

OPOWIEŚĆ WOJOWNIKÓW

KSIĘGA PIERWSZA

POŚCIG

Rozdział pierwszy

DEMON POD BRAMAMI

Oto ja: Rali Emilie Antero, niegdyś kapitan Gwardii Maranon. Jestem żołnierzem i żołnierzem pozostanę do chwili, gdy Czarny Łowca pochwyci mnie, korzystając z chwili nieuwagi. Jak większość żołnierzy, cenię sobie twardy grunt pod nogami, solidną, dobrze utrzymaną broń, oraz gorącą kolację i kąpiel po długim, męczącym marszu. Krótko mówiąc, mam praktyczny umysł i przedkładam zdrowy rozsądek nad majaczenia magów.

A jednak przez dwa minione lata domem był mi drewniany pokład potężnego wojennego okrętu, do walki służyło przeżarte rdzą ostrze... a dobrze, że mieliśmy choć takie miecze. Kąпалиśmy się w zimnych morskich falach i jadaliśmy byle co, nie dbając o pory posiłków. Żeglowaliśmy po nieznanych kartografom zachodnim oceanie, nie wierząc, że jeszcze kiedyś w życiu ujrzymy dom. Jeśli zaś chodzi o zdrowy rozsądek, stał się on nieomalże przyczyną mej zguby; ratunek przyniósł mi pewien mag i wiara w czary.

Nasze czyny i przygody wychwalano już na wiele różnorodnych sposobów. Złotouści bardowie napisali niejedną epicką opowieść o tym, jak pokonaliśmy wiele tysięcy mil, by położyć kres największemu złu, jakie zna historia. Mówili, że stawką w tej walce był los wszystkich cywilizacji.

Prawda mocno ucierpiała w tych wszystkich legendach; co gorsza, nikt nie zauważył, jak wiele nauczyliśmy się, poddawani owym krwawym próbom. Bez tej nauki zaś pozostaniemy bezbronni, jeśli kiedyś w przyszłości ciemności znów zagrożą naszej krainie. Zresztą, sądzę, że czytając moją opowieść przekonacie się, że w tym przypadku prawda potrafi utkać o wiele bardziej podniecającą opowieść, niż jej ładniejsza siostra.

Ale zanim zechcesz wzbogacić tego złodzieja, księgarza, płacąc mu za moją opowieść, pragnę cię ostrzec: jestem kobietą. Jeśli masz coś przeciwko temu, schowaj miedziaki do kieszeni i odejdz. Nie będę za tobą tęsknić. Wszystkich innych zaś zapraszam - weźcie do ręki historię mego życia i niech będzie dla was jak ogień na kominku.

Jeśli dzień jest mroźny, poprawcie polana na palenisku i rozgrzejcie się w ich ciepłe. Dla spragnionych grzeje się w kociołku wino z przyprawami. Kto zaś głodny, niech powie kwatermistrzynie, żeby przyniosła wędliny, specjalnie dla was schowane w kambuzie. Cieszę się, że mogę was gościć u siebie.

Mój skryba powiada, że należałoby w tym miejscu poprosić o łaskę bogów i boginie dziejopisarzy. Ja jednak wolę zadowolić moje własne bóstwa, a wiedzcie, że są one nad podziw zazdrosne. Powiedziałam temu durniowi, że gęsie pióro nic nie zdziała przeciw mieczowi, więc i spokojni bogowie inkaustu nie znajdą u mnie poważania. Modlitwy zachowam dla tych, którzy dbają, by mi skóry nie podziurawiono w walce, i żebyśmy pozostała cała i zdrowa.

Gdyśmy się brali do dzieła, wydałam skrybie surowy rozkaz: słowa, które zapisze, mają być tylko i wyłącznie moje. Jego obiekcje co do wyboru wyrażen mniej mnie obchodzą, niż próżny bukłak na wino. Zamierzam powiedzieć wam całą prawdę, choćby była brzydka i płaska jak ta biała, okrągła patelnia, którą on nazywa twarzą, albo też łysa i lśniąca jak jego tonsura. Żaden gryzipiórek nie będzie osładzać mej prawdy ozdobnikami. Ale ten skryba jest uparty i kłótlivy, czym różni się od trzech swoich poprzedników, których przepędziłam precz. Powiedziałam mu, że jeśli się będzie upierał przy swoim, utnę mu głowę i wbiję na pal przed drzwiami, na postrach jego następcom. Odrzekł, że reputacja jest dla niego ważniejsza niż głowa. Nieustannie mamroce coś o Nauce i Sztuce i zarzeka się, że tworzymy razem historię, a nie koszarowe opowiastki.

Ja zaś twierdzą, że jest dokładnie na odwrót i nie wstydę się tego, bowiem opowieść ta wzięła swój początek właśnie w koszarach i tam też dobiegła końca. Przez ten czas zaś wiele dzielnych wojowniczek poległo, dokonując bohaterkich czynów.

Zabicie skryby przynosi pecha. Zresztą, ten tutaj pracuje dla mego brata i obiecałam Amalrykowi, że zwrócę mu gryziopiórka w dobrym stanie. Daruję mu więc życie, by nie mącić spokoju w rodzinie. A zatem ostrzegam cię, czytelniku, że za wszystko co teraz nastąpi, sama ponoszę odpowiedzialność.

Czytaj więc. Oto moja opowieść.

Wielu ludzi powiada, że poranek, będący początkiem tej historii, był naznaczony niezliczoną ilością złych wróżb: niejednej karmiącej matce nagle wyschło mleko, maciora oberżysty urodziła prosię z dwiema głowami, w zbrojowni świeżo naostrzone miecze ni z tego ni z owego stępiały, a pewnej wiedźmie, wróżącej z rzutu kośćmi, kubek rozbił się w drzazgi w połowie przepowiedni. Powiadają nawet, że jeden z Mistrzów Magii oszalał i zamienił swoją żonę i teściową w parę pociągowych wołów.

Nie potrafię nic na ten temat powiedzieć. W dniu, o którym mowa obudziłam się ze straszliwym kacem. Z niemałym trudem przypominałam sobie, gdzie się znajduję. W szczęśliwszym okresie mego życia leżałabym na wielkim, miękkim łóżku w uroczym domku, w którym kwaterowałam jako dowodząca Gwardią Maranon. Do mego boku tuliłaby się śliczna Tries. Nowy dzień zaczęłby się od łaskotek i pieszczot, potem zjadłybyśmy solidne śniadanie, a jeszcze później odbyłabym godzinne ćwiczenia z grupą kobiet o żelaznych mięśniach, czyli z członkiniami naszej Gwardii. Zamiast tego znalazłam się w wąskim pokoju kawalerskiej kwaterze, na niewygodnej żelaznej pryczy... i czułam się bardzo samotna. Poprzedniego wieczora widziałam moją byłą kochankę w towarzystwie jednej z gwardzistek, kobiety o fatalnej reputacji. Niektórzy twierdzą, że to smagłolica piękność, ale moim zdaniem jest na to zbyt oślizła, niedomyta, a nad górną wargą puszcza jej się wąsik.

Na pewno sprowadzi moją niewinną Tries na samo dno.

Koilałam zranione serce kolejnymi dzbanami grzanego wina, aż nastąpiła późna noc; wokół rozbrzmiewały głośnie pieśni, odgłosy chwiejnych kroków na pustych ulicach, jakaś bójka, aż wreszcie zapadłam w twardy, podobny do omdlenia sen na niewygodnym łóżku.

Lubię mocne napitki, ale rzadko sobie folguję aż do tego stopnia. Bogini pobłogosławiła mnie mocnym, prężnym ciałem, oczyma tak bystrymi, że potrafią zliczyć wszy w piórach przelatującego w dali wróbla i jasnym, chłonnym umysłem. Nie piszę tego, by się chwalić, lecz jedynie wymieniam

dary, które posiadam od urodzenia. Niczym sobie na nie nie zasłużyłam, tak więc zawsze czułam się w obowiązku zadbać, by były w pełnej bojowej sprawności, podobnie jak broń, którą noszę przy boku. Zaś alkohol jest równie groźnym wrogiem ciała i duszy, jak pył i rdza dla zacnego ostrza.

Wszystko to powtarzałam sobie, gdy Lord Wstyd wygnał mnie z łóżka i zmusił, bym dotknęła zimnej kamiennej posadzki bosymi stopami. W głowie huczały mi kroki tysiąca wojaków w ciężkich, podkutych butach, drugi tysiąc żołnierzy rozbił obóz na języku, a w brzuchu nagle wybuchł groźny bunt, więc pospieszyłam ku nocnikowi, by ogłosić kapitulację mych wnętrzności. Ukłękłam przed nim, czyniąc pokutę przynależną pijakowi, gdy nagle uświadomiłam sobie, że tego dnia przypada święto mojej matki. Co roku, w rocznicę jej śmierci, cała rodzina spotykała się w domu Amalryka, by uczcić jej pamięć. Znów zwymiotowałam, a Poczucie Winy - ten podły pomiot - aż ryknęło z uciechy widząc, że odkryłam przed nim kolejną słabość charakteru.

- Ach, czy naprawdę musiałaś się upić właśnie w ten dzień? - zaszepotało złośliwie.

- Nie jestem pijana, do cholery! - warknęłam w odpowiedzi. - Ja tylko cierpię z powodu nadużycia alkoholu. Wszystko przez tę dziwkę Tries.

- Ależ proszę bardzo, zrzuć winę na tę biedną dziewczynę, nie krępuj się, - zaskrzeczało mi do ucha. Zobaczysz, duch twojej matki ucieknie, czując twój śmierdzący oddech, i będzie musiał zadowolić się towarzystwem obcych. Powędruje po ziemskim padole, płacząc z żalu nad upadkiem ukochanej córki.

- Idź do diabła! - ryknęłam i natychmiast jęknęłam z bólu, bo głośny okrzyk spowodował kolejną szarżę gniewnego tłumu w moim brzuchu. Pochyliłam się nad nocnikiem i w tej samej chwili usłyszałam, że ktoś otwiera drzwi mojej kwatery.

- Ach, widzę, że odprawiamy modły do porcelanowej bogini - powiedział sarkastyczny głos. - Pani kapitan jak zwykle jest natchnieniem dla nas wszystkich.

Wytarłam podbródek, wyprostowałam się i z największą godnością, na jaką mnie było stać, odwróciłam się, by stanąć twarzą w twarz z kolejnym wyzwaniem. To była Corais, jedna z moich zastępczyń. Ta szczupła, żyłasta kobieta przypominała kota, szczególnie w chwilach, gdy uśmiechała

się, bawiąc się zdobyczą, którą w chwilę później miała zamordować. Tym razem ja odgrywałam rolę myszy, a moja podwładna wielce się radowała, widząc, mnie w tak żalnym stanie.

- Zostaw mnie w spokoju, zastępczo - warknęłam. - Nie mam dziś ochoty słuchać twoich docinków.

Złośliwa Corais uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Ostre białe zęby błysnęły w rozchylonych, zmysłowych ustach, a w ciemnych oczach zalśniło rozbawienie.

- Nigdy bym na to nie wpadła, kapitanie - odparła. - Tak dobrze potrafisz ukrywać swoje zmartwienia... oczywiście, żadna członkini Gwardii nie dosłyszała twojej skargi, że Tries wyгнаła cię z łoża i wzięła sobie kogoś innego.

Pokonana, padłam z powrotem na pryczę.

- Och, żartujesz chyba - jęknęłam. - Trąbiłam o tym na cały głos ze wszystkich miejskich dachów, prawda?

- Niezupełnie trąbiłaś - uspokoiła mnie Corais - ale jednak można powiedzieć, że głos masz donośny. Nie byłaś wprawdzie uprzejma łązić po dachach, ale za to Polillo musiała cię siłą sprowadzić z wieży ciśnięć na placu defilad.

Ugięłam się pod ciężarem kolejnego upokorzenia. Nagle na korytarzu czyjś głęboki głos zadudnił jak odległy grom: - Kto mnie wołał? - Po chwili rozległy się ciężkie kroki i w drzwiach pojawiła się potężna postać, która dodała: - Na dobrą Boginię, która mnie stworzyła, jeśli przyłapię którąś, jak mnie obgaduje za plecami, obetnę jej lewy cycek, wygarbuję i zrobię sobie z niego sakiewkę.

Była to właśnie Polillo, która sprawowała funkcję mojej drugiej zastępczyni, obok Corais. Wygłosiwszy swoją przemowę, schyliła głowę i weszła do pokoju. Miała dobrze ponad dwa metry wzrostu, niezwykle długie, kształtne nogi i przepięknie uformowaną figurę; kobieca budowa ukrywała mięśnie jak potężne, stalowe liny, które nabrzmiwały jak węzły, gdy unosiła swój topór wojenny. Cerę miała niemal tak jasną jak ja; moje włosy jednak lśniły złotem, podczas gdy jej wpadały w

odcień jasnobrązowy. Gdyby została kurtyzana, a nie wojowniczką, w krótkim czasie zrobiłaby fortunę.

Gdy spostrzegła, że to ja siedzę na pryczy, natychmiast zaczęła żałować pochopnych słów: - Ach.. przepraszam, pani kapitan. Nie wiedziałam...

Nakazałam jej milczenie gestem ręki.

- To ja powinnam wszystkich przeproszać - stwierdziłam. - Jeśli koniecznie ci to potrzebne do szczęścia, to kolejka zaczyna się za nocnikiem.

Ryknęła śmiechem i z radości poklepała mnie po plecach, niemal łamiąc mi ramię.

- Jedna dobra walka i pani kapitan dojdzie do siebie - zarechotała. - A jeśli ci pyszałkowaci Likantyjczycy nie stchórzą, pewnie będzie po temu wiele okazji.

Wzmianka o Likantyjczykach przypomniała mi o obowiązkach. Jęknęłam, wstałam z pryczy, zdjęłam tunikę, w której sypiałam i ciężkim krokiem podeszłam do miednicy.

Służąca widocznie weszła do pokoju wcześniej, nie budząc mnie, bo z pełnego gorącej wody dzbanka na umywalni unosiła się para i aromat kosmetycznego płynu.

- Co nowego? - spytałam Corais przez ramię.

Jej odbicie w lustrze wzruszyło ramionami: - Właściwie nic. Dużo plotek, trochę dobrych, trochę złych. Na pewno wiemy tylko jedno: w dalszym ciągu zmierzamy do wojny.

Trzy tygodnie temu Archontowie Likantu rzucili nam wyzwanie, wysyłając przeciw nam armadę, - z

zadaniem zniszczenia łączności naszego państwa z aliantami oraz nękania naszych statków handlowych. W tym samym dniu nastąpiło moje burzliwe rozstanie z Tries.

Teraz, gdy dyktuję skrybie te słowa, widzę, że nie była to przypadkowa zbieżność. Kością niezgody był przecież mój zawód, a że jest on nierozzerwalnie związany z wojną, nowiny z Likantu przecięły więź między nami jak ostry miecz.

- Wojna jest może i pewna - odpowiedziałam jej ponuro - nie wiadomo tylko, czy nasi szlachetni wodzowie powołają gwardię Maranon pod broń.

- Przecież jesteśmy najlepszymi żołnierzami Orissy - wyrzuciła z siebie Polillo.

- Każda z nas może śmiało stawać przeciw dziesięciu mężczyznom z dowolnych koszar w mieście. Na Maranonie, dlaczego mieliby nam zabronić walki?

Tylko trochę przesadzała, mówiąc o naszym wyszkoleniu... odpowiedź na jej pytanie widziałam w lustrze umywalni. Odbijała się w nim moja postać. Miałam charakter i umiejętności wojownika, ale w świecie rządzonym przez mężczyzn mój wygląd mnie dyskryminował. Łabędzia linia szyi, na przykład, stwarzała pozory delikatności - nikt nie chciał widzieć mocnych ścięgien, które pojawiały się na niej, gdy podnosiłam miecz. Zawsze byłam dumna ze swej cery, przyjemnej dla oka i miłej w dotyku, a jednak odpornej na gorąco, zimno i wysiłek. Choć liczę ponad trzydzieści wiosen, mam prężne, strome piersi o dziewiczo różowych sutkach, cienką talię i krągłe, choć wąskie biodra; lustro pokazało mi także złocisty trójkąt między nogami - oznakę mej płci.

Radni miejscy nie dopuszczają nas do walki z trzech bardzo ważnych - ich zdaniem - powodów: po pierwsze dlatego, że jesteśmy kobietami, po drugie, dlatego, że jesteśmy kobietami i po trzecie dlatego, że jesteśmy kobietami.

Nie ma takiego Orissańczyka, który by nie słyszał o Gwardii Maranon, ale mało kto wie o nas coś więcej poza tym, że wszystkie jesteśmy kobietami. Stanowimy elitarną jednostkę, której początki sięgają mitycznych czasów. W czasach pokoju gwardia liczy około pięciuset członkiń, choć w okresie wojny liczebność wzrasta niejednokrotnie do tysiąca.

Składamy przysięgę Maranonii, Bogini Wojny, do której od tej pory należy nasze życie.

Wstępując w szeregi Gwardii uroczyście wyrzekamy się mężczyzn, choć dla większości z nas nie jest to wielkim poświęceniem. Upodobanie do towarzystwa kobiet nie czyni mnie tu wyjątkiem. Mimo że żyjemy w tak zwanych cywilizowanych czasach, Gwardia Maranon jest jedyną ucieczką dla kobiety, która nie życzy sobie być matką, żoną ani dziwką. A tym, które wciąż tęsknią za męskim łóżem, wyraźnie nie żal tych wyrzeczeń.

Moje milczenie nie powstrzymało Polillo od dalszych rozważań. Zdążyłam się już umyć i ubrać, a jej myśli wciąż krążyły wokół tematu naszej rozmowy, jak jaszczurki ściekowe, które znalazły świńską kość.

- Przecież muszą pozwolić nam wymaszerować razem z mężczyznami - upierała się. - Prawda, Corais?

Corais z wdziękiem wzruszyła ramionami, jakby odpowiadając na pytania, których jeszcze jej nie zadano. Była drobna, szczupła, smągła i piękna. Obok skromnej siły, jej głównymi zaletami były szybkość i spryt. W całej Gwardii tylko ja potrafiłam sprostać jej w walce na miecze - a nie chwaląc się, w ciągu tych wszystkich lat spędzonych w wojsku jeszcze nikt nie przewyższył mnie w szermierce.

- Jeśli każą nam wyruszyć, to wyruszymy - oświadczyłam - a jeśli nie, z pewnością wynajdą dla nas inną misję. Musimy być w gotowości, niezależnie od rozkazów.

Te spokojne słowa miały ukryć przed nimi prawdę. Wewnątrz aż się skręcałam, nie tylko z powodu wczorajszego przepicia. Gwardię Maranon rzadko wysyłano do walki poza granicami miasta. Choć wiele razy dowiodłyśmy swego męstwa, stawiając wrogom nieugięty opór na posterunkach u bram miasta, Radni i Mistrzowie Magii uparcie odmawiali, gdy prosiłyśmy, by wysłali nas u boku braci-wojowników do walki w zamorskie krainy.

Powtarzali, że wkroczymy do walki, gdy zawiodą wszystkie inne jednostki i że naszym świętym

powołaniem jest obrona Orissy. Żadna z nas nie była jednak tak naiwna, by uznać, że są to rzeczywiste powody odmowy; tak naprawdę nie zgadzano się ze względu na płeć, która czyniła z nas istoty niższe. W oczach władz miejskich byliśmy delikatnymi panienkami, które należy ochraniać.

Polillo gniewnie tupnęła nogą.

- Właśnie że będę się bić, i żaden mężczyzna mnie nie powstrzyma - upierała się.

- Zrobisz to, co ci rozkażę - ucięłam. - Jeśli zamierzasz pozostać zastępczynią dowódcy, zachowaj swoje pomysły dla siebie. Nie będziesz podżegać dziewczyn do buntu taką wichrzycielską gadaniną.

- Tak jest, pani kapitan - odparła Polillo, spuszczać głowę. Wargi jej drżały.

- To niesprawiedliwe - dodała.

Corais pocieszająco poklepała ją po ramieniu.

- Wiesz co, idź poćwiczyć szermierkę toporem. Wypiszemy na manekinach imiona członków Miejskiej Rady i będziesz mogła pościnać im głowy - pocieszyła koleżankę.

Polillo otarła z policzka jedną jedyną łzę i uśmiechnęła się lekko. Nietrudno ją było rozgniewać, a skutki jej gniewu nieraz bywały groźne; nie potrafiła także ukrywać swych uczuć. Na szczęście jednak łatwo było przywrócić jej dobry humor.

- Dobra z ciebie przyjaciółka, Corais - powiedziała. - Jak nikt potrafisz mnie zawsze rozchmurzyć.

Ruszyły razem na plac ćwiczeń. Odchodząc, Polillo spytała: - A może zechcesz porozmawiać ze swym bratem, dowódco? Dobrze byłoby, gdyby dał Radnym parę prztyczków w nos w naszym

imieniu.

- Nie lubię wykorzystywać układów rodzinnych - odparłam. - Gwardia będzie musiała sama zwyciężyć... - lub zginąć.

Polillo zmarszczyła brwi, ale Corais pociągnęła ją za sobą. Skończyłam się ubierać w samotności. Miałam akurat tyle czasu, by zdążyć do willi Amalryka na ceremonię ku czci matki. Założyłam odświętny mundur: błyszczące buty, krótką białą tunikę, lśniący pendent z mieczem i sztyletem, złotą pelerynkę sięgającą talii i kilkanaście cienkich, złotych bransolet na przegubach obu dłoni. Ukoronowaniem tego stroju była szeroka, złota opaska na głowie.

Skropiłam się perfumami z kwiatu pomarańczy i założyłam ulubione kolczyki, również ze złota: w lewe ucho wpięłam miniaturową włócznię, podobną do tej, jaką nosi nasza bogini; w drugim uchu lśniła replika pochodni Maranonii, ozdobiona klejnotami.

Sprawdziłam w lustrze końcowy efekt. Przyglądając się memu odbiciu spostrzegłam, że nieświadomie bawię się wiszącą pochodnią, atrybutem bogini - nieustrudzonej poszukiwaczki mądrości. Może Polillo miała rację? Może rzeczywiście to duma przeszkadza mi w osiągnięciu należnych Gwardii zaszczytów.

A więc dobrze. Postanowiłam porozmawiać z Amalrykiem. Mój młodszy brat jest jedyną osobą, która potrafi zmusić Radnych do działania, wymierzając celne kopniaki w ich tłuste siedzenia.

Jechałam przez miasto ogarnięte gorączką wojenną. Choć jeszcze nie nastąpiło oficjalne wypowiedzenie wojny, wyraźnie było widać, że gorące temperamenty wyprzedzają ceremoniał. Z kominów Pałacu Mistrzów Magii na wzgórzu buchał czarny dym; napalono w kominkach w salach konferencyjnych, gdzie Radni naszego miasta wiodli zakulisowe rozmowy z Mistrzami, szukając ich rady. Ludzie na ulicach gwałtownie wykupywali wszystkie towary ze straganów, wypełniając wozy i worki tym, czego ich zdaniem miało wkrótce zabraknąć. Młodzi gniewni pędzili ulicami konno i pieszo, wykrzykując przy tym wojenne hasła i głupie przechwałki pod adresem przeciwnika. Z okien ściagały ich rozkochane spojrzenia ślicznych dziewcząt... przed wieczorem wszystkie panny niewątpliwie wymkną się z domów na spotkania z tymi galantami. Oberże ledwie nadażały z obsługiwaniem klientów, podobnie jak czarownice na rynku: wielu ludzi pragnęło poznać przyszłość z rzutu kośćmi lub z wyglądu krwawych zwierzęcych wnętrzności. Sklepy zbrojmistrzów można było rozpoznać na odległość po hałaśliwych odgłosach kucia metalu. Wiedziałam, że głęboko w trzewiach

Pałacu Magów mistrzowie zaklęć ciężko pracowali nad najnowszymi typami magicznej broni. Nie rozumiałam tylko, dlaczego nasi przełożeni tracą czas na gadanie, zamiast zabrać się do roboty.

Jestem fatalistką, podobnie jak większość żołnierzy: wierzę, że co będzie, to będzie.

Nie za bardzo lubię polityków, którzy chętnie maskują zamysły losu. Gardłują i puszą się tak, jakbyśmy rzeczywiście mieli jakiś wybór, szczególnie w chwilach, gdy lepiej byłoby w spokoju analizować to, co z pewnością nas spotka. Pokażcie mi górską przełęcz, za którą kryje się coś wartościowego, a obiecuję wam, że z czasem chciwi żołnierze zdobędą ten przesmyk. Znajdźcie miejsce, nadające się na zasadzkę - choćby w najdzikszej głuszy - a ja gwarantuję, że jeśli nawetw przeszłości nie rozlano tam krwi ludzkiej, to prędzej czy później ktoś tam kogoś napadnie. Na pewno.

Moim zdaniem fakty mówią, co następuje: Likantyjczycy to nasi naturalni wrogowie, więc należy ich prędko wysłać w zaświaty. Narody nasze różniły się jak dzień i noc. Orissa to miasto kupieckie, pełne życia, miłujące radość i sztuki piękne. Jesteśmy ludem związanym z rzeką, a wiadomo, że we wszystkich dolinach rzek mieszkają marzyciele.

Wiemy, że warto walczyć z bystrym prądem, by coś osiągnąć, bo w chwilę później będzie można odpocząć na słońcu, pozwalając, by ten sam prąd zaniósł nas bezpiecznie do domu.

Za to Likant zrodził się na nieurodzajnym wybrzeżu burzliwego morza. Obywatele jego nie ufają nikomu, a zazdroszczą wszystkim. Zgadza się żyć pod jarzmem dwóch Archontów; każde słowo tych władców, choćby nie wiem jak niesłuszne, staje się prawem.

Likantyjczycy także są marzycielami, lecz ich niespokojne sny na łożu z nadmorskich skał to marzenia o podbojach. Pragną mieć wielkie królestwo, obejmujące ziemie nasze i ościenne, a swych sąsiadów chcą uczynić posłusznymi niewolnikami.

Wiele razy już walczyliśmy z Likantem; choć jesteśmy urodzonymi żołnierzami, z trudem opieraliśmy się ich kunsztowi walki na morzu i frontalnym atakom na lądzie, przeprowadzanym z samobójczym poświęceniem. Wreszcie niemal starliśmy ich z powierzchni ziemi... ale nie zadaliśmy ostatniego, niszczącego ciosu. Pomyślcie może, że było to mądre posunięcie. Nasi politycy także twierdzą, że osłabiony Likant jest lepszy niż żaden, bo bierze na siebie ataki wrogów zewnętrznych, trzymając ich

z dala od naszych granic. Pewnie nie zdziwicie się, słysząc, że jestem innego zdania. Po pierwsze, Archontowie zaczęli knuć nowy spisek przeciwko nam, zanim jeszcze ich kraj otrząsnął się po klęsce. Po drugie, gdy Amalryk i nieżyjący Janosz Szary Płaszcz, którego bynajmniej mi nie żal, wyprawili się aż do Zamorskich Królestw, cały czas prześladowano ich i śledzono.

Po trzecie zaś, gdy Amalryk i Janosz odkryli krainę, którą obecnie zwiemy Irayas, wpadli na trop spisku Archontów i Księcia Raveline, którzy pragnęli zniszczyć Orissę i obalić książęcego brata, Domasa, władcę Irayas.

Czyż nie dość wam tych argumentów? Ten wymoczek, którego trzymam u siebie jako skrybę, powiada, że decyzja Orissy była przede wszystkim humanitarna, a zatem słuszna. A więc będę dalej wymieniać fakty, przemawiające za moją oceną sytuacji: po czwarte, mój brat podpisał z Irayas liczne lukratywne umowy handlowe, a ponadto król Domas podzielił się z nim głęboką wiedzą magiczną. Po piąte, Archontowie z Likantu natychmiast mu tego pozazdrościli, a przede wszystkim przerazili się, że dopływ nowej wiedzy magicznej do Orissy ostatecznie odbierze im szansę na podbój naszego kraju. Po szóste, natychmiast przyśpieszyli tajemne zbrojenia. Dwa następne powody są dość dyskusyjne, a zdarzyły się bardzo niedawno, niemal jednocześnie.

Nasi przywódcy słusznie rozmieścili ukryte posterunki tuż przy granicach Likantu, na samym początku półwyspu, na którym zbudowano to miasto. Wartownicy wkrótce donieśli o oburzącym wydarzeniu: wielki mur Likantu został odbudowany. Powstał on w zamierzonych czasach, gdy Likantyjczycy nawet jeszcze nie myśleli o budowie imperium; przez całe wieki niewolnicy pracowali nad umocnieniami, a pomogła im dodatkowo cała ochronna magia Archontów. W czasie ostatniej wojny między naszymi miastami, w której walczył mój ojciec, Paphos Antero, wszyscy Mistrzowie Magii z Orissy połączyli swe siły, tworząc potężne zaklęcie, które zburzyło mur w ciągu jednej nocy. A jednak mur powstał na nowo, stanowiąc namacalny dowód na to, że Archontowie nie tylko spiskowali z księciem Raveline, ale i nauczyli się od niego niektórych czarnoksięskich tajemnic.

Odbudowa muru sama w sobie byłaby wystarczającym powodem do wojny, ale nie dość na tym - Archontowie zerwali wszelkie traktaty pokojowe z naszym miastem, a ich okręty wyszły w morze, by napastować flotę handlową Orissy i naszych aliantów: oto i ostatni argument. Był to celowy akt przemocy zmierzający do wywołania wojny, choć wolałabym myśleć o tym jako o piractwie, a o Likantyjczykach jako o zbirach nie lepszych od innych morskich bandytów.

Mój skryba niechętnie pokiwał głową. Jeśli nawet ten mały gryzoń wreszcie uznał się za pokonanego, mogę bezpiecznie założyć, że i wy podzielacie moją opinię. Po ostatniej klęsce Likantu należało

zetrzeć go z powierzchni ziemi, mieszkańców wygnać na kraj świata, by nazwa ich państwa została zapomniana na wieki i obsiać solą ziemię, na której zbudowano to przeklęte miasto.

Na czym stanęliśmy?

No więc tak: politycy politykowali, Mistrzowie Magii zajmowali się magią, młodzieniaszki dumnie paradowały po ulicach, dziewczęta flirtowały, a Orissa przygotowywała się do wojny. Ja zaś zmierzałam do posiadłości mego brata, by oddać cześć zmarłej matce.

Gdy tam dotarłam, całą rodzinę, oprócz Amalryka, zastałam przy jej grobowcu w ogrodzie. Trwała Święta Godzina Milczenia, więc powitały mnie gniewne spojrzenia trzech pozostałych braci i pogardliwe prychnięcia bratowych. Nieprzyjemni to ludzie, lecz nietrudno ich zignorować. Czasem szczerze wątpię, czy naprawdę należą do rodu Antero i podejrzewam, że ojciec musiał ich spłodzić w barłogu jakiejś skąpej dziwki. A zatem, gdy Omerye gestem zaprosiła mnie do swego boku, z wdzięcznością minęłam grupę braci, kuzynów i innych nieprzyjaźnie nastawionych pociotków, by zasiąść koło niej.

Pochyliła się do mnie i szepnęła: - Amalryk jest w Pałacu. Powinien niedługo wrócić.

Kiwnęłam głową. Nie zdziwiłam się, że mój młodszy brat jest w samym centrum wydarzeń. W głowie kłębiły mi się argumenty, jakie zamierzałam mu przedstawić, ale po niudługim czasie cisza panująca w ogrodzie, łagodny aromat i spokojne kolory oddaliły ode mnie wszelkie dręczące myśli.

Matka moja, Emilie, była skromną kobietą i uważała, że ozdobne ołtarze i kaplice są w złym guście. Zmarła, gdy zaczynałam wchodzić w dorosłość, a ojciec zapamiętał się w żałobie tak, że nie był w stanie odpowiednio zaspokoić jej potrzeb w życiu pozagrobowym.

Amalryk był jeszcze mały, a pozostali bracia, szczególnie Porcemus, najstarszy, uparli się, by zbudować jej pomnik w kształcie małej miniaturowej świątyni. Walczyłam jak lwica w jej obronie i wygrałam. Zamiast kaplicy, przy różanym krzewie stanął prosty kamienny pomnik.

Zamiast ozdobnej malowanej podobizny, jak na grobie mego zmarłego brata Halaba, na moje żądanie pozostawiono surowy kamień. Ponieważ jednak matka kochała szmer powoli płynącej wody, poprosiłam jednego z Mistrzów Magii, by rzucił zaklęcie, dzięki któremu po kamieniu stale spływał niewielki strumyk, tworzący sadzawkę u stóp pomnika.

Teraz pływały po niej płatki róż.

Spoglądając na ten grobowiec, znów poczułam przypływ dumy, obudzonej wspomnieniami sprzed dwudziestu lat. Odniosłam wtedy pierwsze prawdziwe zwycięstwo.

Byłam w tym czasie małą dzikuską, kochałam wspinać się na drzewa, rzucałam kamieniami w ptaki i spuszczałam lanie małym chłopcom, którzy złośliwie nazywali mnie dziewczyną.

Wszyscy nieustannie narzekali na moje psoty, z wyjątkiem matki i ojca. Ojciec twierdził, że wkrótce z tego wyrosnę i stanę się małą kokietką, jak każda śliczna dziewczynka.

Matka nie mówiła nic, a gdy w jej towarzystwie zdarzyło mi się zachować jak łobuziak, uśmiechała się tylko i zachowywała, jakby nic się nie stało. Zachęcała mnie do nauki i namówiła ojca, by zatrudnił dla mnie guwernera, jakbym była chłopcem. A gdy pewnej pamiętnej upalnej nocy wyznałam jej, że nade wszystko chciałabym zostać żołnierzem - byłyśmy wtedy same w pokoju, a powietrze było aż gęste od zwierzeń - wcale się nie zdziwiła, ani też nie rozpłakała, uznawszy, że poniosła wymagowaną klęskę wychowawczą. Zamiast tego, wyznała, że sama chciała w życiu dokonać wiele rzeczy, ale nie udało jej się to, bo przecież była kobietą.

- Ach, dlaczego urodziłyśmy się kobietami, mamo? Dlaczego nie jesteśmy mężczyznami? - pytałam rozpaczliwie, z pasją podlotka.

Dopiero te słowa nią wstrząsnęły.

- Nie o to mi chodziło - odparła. - Nigdy nie chciałam, by wyrosły mi męskie narządy. Z tego, co do tej pory zaobserwowałam, posiadanie penisa jedynie rozmiękcza mózg. Nie, kochanie, przestań

marzyć o zamienieniu się w mężczyznę. Módl się, byś została obdarzona taką samą swobodą jak oni; jeśli tak się stanie, będziesz zadowolona Zdradzę ci pewien sekret. Sądzę, że kiedyś nadejdzie nasz dzień, a wtedy okaże się, że kobiety lepiej potrafią kierować losami tego świata, niż mężczyźni.

- Nie chcę tak długo czekać - płakałam. - Zestarzeję się, a starych ludzi nie przyjmują do wojska.

Matka długo się we mnie wpatrywała a potem kiwnęła głową.

- Jeśli tego rzeczywiście chcesz, niech się stanie - powiedziała w końcu.

W tydzień później ojciec zatrudnił emerytowanego sierżanta, by nauczył mnie walki.

Nie skomentował tego nawet jednym słowem, tylko uśmiechał się, gdy narzekałam wieczorem na siniaki, bo stary wojak przez cały dzień okładał mnie drewnianym mieczem. Po roku ojciec śmiał się już od ucha do ucha, bo przewyższałam sierżanta pod każdym względem i trzeba było wynajść kogoś o większych umiejętnościach. Zanim zmarła matka, już byłam lepsza od wszystkich chłopców w moim wieku - to znaczy tych, którzy zaryzykowali pojedynek z wojowniczką. W wieku szesnastu lat wstąpiłam do Gwardii Maranon.

Nigdy tego nie żałowałam.

Słodkie tony liry wyrwały mnie z melancholii. To Omerye niepostrzeżenie odeszła ode mnie, a teraz siedziała na stołku przy kamieniu i grała na swym cudownym instrumencie. Spojrzała na mnie ponad głowami pozostałych i zaśpiewała kojącą pieśń.

Wiedziałam, że muzyka jest przeznaczona dla mnie. Obserwowałam miękkie rude loki - równie płomienne, jak włosy Amalryka - i cieszyłam się, że udało mu się zdobyć taką kobietę. Miałam kiedyś kochankę, którą chyba darzyłam podobnym uczuciem, jak on swoją żonę. Nie myślałam o Tries, lecz o Otarze, dziewczynie o gardłowym śmiechu, miękkich ramionach i palcach, które pieszczotą potrafiły przegnać z mej głowy niejednego demona.

Przez wiele lat, aż do jej śmierci, darzyłyśmy się miłością i myślę, że pod wieloma względami zastępowała mi matkę.

Wybacz, że płaczę, skrybo. Nie krzyw się tylko, jakbyś chciał oświadczyć, że taka jest kobieca natura. Jeśli się odważysz to powiedzieć, albo choćby pomyśleć, zapomnę o mym przyrzeczeniu i nigdy nie wyjdiesz już z tej komnaty, by słać ironiczne uśmiešky pod adresem innej damy. Otara jest tak bliska memu sercu... ale, gdy przysięgałam mówić samą prawdę, wiedziałam, że będę musiała wydobyć na światło dzienne rzeczy, które najchętniej zachowałamby tylko dla siebie. Nieraz jeszcze zapłacę, nim skończymy tę książkę, więc strzeż się, skrybo, bo i ty możesz zacząć przelewać łzy. Zaraz osuszę oczy i podejmę wątek opowieści.

Omerye śpiewała, a ja tęskniłam za Otarą... tego właśnie chciała moja bratowa.

Pieśń się skończyła, a ja poczułam się oczyszczona. Struny liry zadźwięczały weselej.

Przypomniał mi się śmiech matki i w zadumie spojrzałam na jej nagrobny kamień. Obserwowałam, jak woda spływa po kamieniach, otoczona kępami mchu i wydało mi się, że mech, woda i cienie kwiatów róż tworzą zarys twarzy mej matki. Twarz ożyła, zobaczyłam, jak otwierają się oczy i poruszają usta. W nozdrzach poczułam ciężki aromat drzewa sandałowego - zapach jej ulubionych perfum. Zdało mi się, że ciepła dłoń spoczęła na mojej szyi, a w uszach zabrzmiał szept - głos matki. Był tak cichy, że nie rozumiałam słów, ale wiedziałam, że jeśli się weń wsłucham, wszystko stanie się jasne. Chyba się przestraszyłam... Właściwie wiem to na pewno, bo nagle pomyślałam, że wszystko to bzdury i że mój kac chyba jeszcze nie minął.

Matka była zwykłą śmiertelniczką, jak ty i ja, na pewno nie udawałaby ducha.

Szarpnęłam głową do tyłu i szept urwał się wpół słowa. Zapach gdzieś odpłynął. Spojrzałam na kamień - zarys twarzy matki również zniknął. Omerye przerwała grę, zmarszczyła brwi i pokręciła głową. Czuję się, jakby ominęło mnie coś bardzo ważnego; ogarnęło mnie poczucie dojmującej straty.

A potem wszystkie myśli o stracie, kochankach i duchach zniknęły, bo przed willą rozległ się grzmiący tętent kopyt.

Amalryk wrócił z Pałacu Mistrzów Magii.

Wrócił z wieścią, że wreszcie wypowiedziano wojnę. Reszta dnia poświęconego matce rozplynęła się w potoku słów, pełnych obawy i podekscytowania. Tej nocy wszyscy obywatele Orissy mieli się zgromadzić w Wielkim Amfiteatrze, by wysłuchać oficjalnego obwieszczenia, któremu naturalnie będą towarzyszyć pokazy, mające za zadanie wzmocnić ducha patriotyzmu w narodzie.

Brat starał się w miarę możliwości uspokoić rodzinę i cierpliwie wysłuchiwał niezliczonych głupich pytań: wszyscy chcieli wiedzieć, jak długo potrwa wojna, czy rodzina poniesie duże straty finansowe i jakich towarów jego zdaniem zabraknie. Chodziło o to, by zacząć je gromadzić już teraz i sprzedać w przyszłości na czarnym rynku.

Amalryk, mimo, że najmłodszy z nas, jest niekwestionowaną głową rodziny. Ojciec rozsądnie pominął starszych braci, równie słabych i leniwych jak głupich, w kolejce do spadku i przekazał swoje handlowe imperium Amalrykowi. Naturalnie wzbudziło to głęboką zazdrość i oburzenie, ale siła jego osobowości i sława, jaką zdobył gdy odkrył Zamorskie Królestwa, sprawiły, że tchórzliwe skunksy nie odważyły się wychylić z nor. Wreszcie napotkał mój wzrok i gestem zaprosił do swego gabinetu, a potem wysłał wszystkich pozostałych do domów, przypominając, by stawili się na wiecu.

W kilka minut później zasiadłam na fotelu obok biurka. Ponuro zaciśnięte usta i silniejsze niż zwykle rumieńce na twarzy Amalryka powiedziały mi, że wieść o wypowiedzeniu wojny nie była jedyną nowiną, jaką przywiózł - Co tam ukrywasz, kochany braciszku? - spytałam. - Nie bój się, zacznij od najgorszego.

Roześmiał się niewesoło.

- A więc nic nie da się ukryć przed tobą, siostro, prawda?

- Rezultat długoletniej praktyki, mój drogi - odrzekłam. - Zanim stałeś się dorosłym mężczyzną i - jakby to powiedzieć - odpowiedzialnym człowiekiem, nieraz przyłapywałam cię z jaszczurkami po kieszeniach, a nieco później z dziwkami w łóżku.

Brat był tak mały, gdy umarła matka, że musiałam zająć się jego wychowaniem.

Staliśmy się sobie bardzo bliscy i dzieliliśmy sekrety, których za nic nie zdradzilibyśmy nawet ukochanym.

- Wykrztuś to już wreszcie, Amalryku. Powiedz swojej mądrej siostrze, co przyprawiło tych głupców z Pałacu o taki atak paniki.

Amalryk skrzywił się ironicznie.

- Mimo że wiedzieliśmy o wojnie z dużym wyprzedzeniem, nasze wojska nie są do niej przygotowane - stwierdził.

- To oczywisty fakt - odparłam. - Z wyjątkiem moich kobiet. Podwoiłyśmy godziny ćwiczeń i jesteśmy w pełnej gotowości od chwili, gdy usłyszałyśmy pierwsze plotki o likantyjskich mieczach. Mimo braku stosownych rozkazów rozpoczęłam dodatkową rekrutację w szkołach dla dziewcząt i na jarmarkach, opłacając ją z funduszy specjalnych, za co prawdopodobnie usunięto by mnie z funkcji, gdyby ktoś się o tym dowiedział.

Gorzki ton w moim głosie go zaniepokoił. Popatrzył na mnie dziwnie i mówił dalej.

- Pozostałe wojska będą pewnie robić to samo, szczególnie teraz, gdy radni surowo ukarali niekompetentnych dowódców.

- To znaczy, że niedługo wojsko będzie w dobrej formie do walki. - Musiałam niechętnie przyznać,

że żołnierze mego brata nie byli tak całkiem bezużyteczni.

- Czyli problem zostanie szybko rozwiązany i wszyscy o tym wiedzą. Jeśli Radni i Mistrzowie Magii w dalszym ciągu robią w portki, musimy być naprawdę w poważnych opałach.

Amalryk westchnął: - Chodzi o magię.

- Nietrudno zgadnąć. Czy ci spanikowani durnie nie mają ani krzty wiary we własne zaklęcia? Czy też może obijali się, nie racząc wykorzystać wcale tajemnic, które przywiozłeś z Irayas?

- Skądże. Ale Archontowie również ciężko pracowali. Zdaje się, że Książę Raveline udostępnił im więcej tajemnej magii, niż się spodziewaliśmy. Mistrzowie Magii obawiają się, że wrogowie będą potrafili odeprzeć wszystkie nasze zaklęcia. Pomyśl tylko o odbudowie tego cholernego muru przez cały półwysep. Jeden z Mistrzów powiedział mi, że żaden z jego kolegów, nawet Gamelan, nie potrafiłby rzucić czaru, który dokonałby tego w jedną noc.

- A co to ma za znaczenie? - rozzłościłam się. - Przecież i tak miecze zawsze przesądzą o rezultacie bitwy. Archontowie mają nowe zaklęcia, chroniące przed naszymi atakami? No to Mistrzowie Magii wymyślą przeciwzaklęcia i tak dalej, i tak dalej, ale w końcu i tak my, żołnierze, będziemy musieli wygrać bitwę naszymi przestarzałymi metodami, z pomocą mieczy, toporów, pałek i łuków. Przestań się tym przejmować. W przeszłości zawsze potrafiliśmy ich pokonać. Magia i tak niczego nie zmieni.

- W zwykłych warunkach, zgodziłbym się z tobą - odparł Amalryk. - To, czego nauczyłem się o magii wojennej od Janosza Szarego Płaszczka, potwierdza twoją opinię. Był wielkim magiem, ale przede wszystkim mistrzem wojennego rzemiosła.

Nalał sobie wina do pucharu. Gestem podziękowałam za alkohol i napełniłam kielich zimną wodą.

- Jednak tym razem krążą pogłoski o jakiejś strasznej broni, nad którą jakoby pracują Archontowie. Wiem, że w wojennych czasach plotki są równie liczne jak żuki na świńskim łajnie. Niestety, Gamelan wyczuwa dziwne zakłócenia w magicznych fluidach i uważa, że pogłoski mogą się okazać

całkiem uzasadnione.

Milczałam. Gamelan był nie tylko najwyższym Mistrzem Magii i najpotężniejszym z naszych czarnoksiężników... ten stary człowiek wiele w życiu widział i potrafił beznamiętnie oceniać fakty. Jeśli się niepokoił, to nie bez przyczyny.

- I co jeszcze? - spytałam wreszcie.

- Archontowie starają się wkraść w łaski króla Domasa. To przebiegły władca, więc raczej nie powinno się im udać. Chyba, żeby go przekonali, że znaleźliśmy się w beznadziejnej sytuacji. Zrobi wtedy to, co każdy inny rozsądny władca: poprze oczywistego zwycięzcę.

W takiej sytuacji bylibyśmy bez szans. Zamorskie Królestwa przewyższały nas osiągnięciami w dziedzinie magii. Dzięki Amalrykowi były naszymi stronnikami, ale czy na długo?

- Będziemy się o to martwić, gdy nadejdzie czas - otoczyłam się bezpieczną barierą fatalizmu. - Jeśli w ogóle nadejdzie.

- Niedopuszczenie do takiej sytuacji będzie moim najważniejszym zadaniem w tej wojnie - odpowiedział. - Radni wysyłają mnie do Irayas, abym przez ten czas podtrzymał dobre stosunki z królem Domasem.

Nie musiałam spoglądać w jego zachmurzone oblicze, by wiedzieć jak bardzo jest z tego niezadowolony. Nie będzie mógł walczyć, a na dobitkę zmusili go, by pozostał na obczyźnie przez cały czas trwania wojny.

- Kiedy wyjeżdżasz? - spytałam.

- Za kilka dni. Jak tylko się spakuję i statek będzie gotów.

Oboje zamyśliliśmy się nad przyszłością. Ja dodatkowo martwiłam się, że w tak krótkim czasie nie zdoła dopomóc mi w spełnieniu moich zamiarów.

- Zanim wyjedziesz, chciałabym, żebyś porozmawiał w moim imieniu z Radnymi. W tej walce potrzebny będzie każdy żołnierz. Gwardia Maranon nie może pozostać w domu!

Potrząsnął głową.

- Już poruszałem ten temat. Pomimo wszystkich argumentów... odrzucili moją prośbę.

Serce we mnie zamarło. Błyskawiczna przegrana odebrała mi nadzieję.

- Ale dlaczego? - zawołałam, choć znałam odpowiedź.

- Z tych samych powodów co zwykle - odrzekł. - Ta nużąca, odgrzewana sprzeczka ciągnęła się całymi godzinami, a ja musiałem się jej przysłuchiwać.

- Wymienię ci je - warknęłam, ledwie kontrolując gniew. - Bogowie uczynili kobiety łagodnymi, słodkimi istotami, więc to nienaturalne, by stawały do walki; jesteśmy za słabe i za mało wytrzymałe, by dać sobie radę w polu; miesiączkowanie zbyt silnie wpływa na nasze nastroje; nie potrafimy rozumować i padamy ofiarą przelotnych kaprysów; żołnierze- mężczyźni nie będą mieli do nas zaufania jako do towarzyszek broni, albo też staną się nazbyt opiekuńczy, wystawiając na szwank własne życie i powodzenie misji; my, córki Orissy, staniemy się dziwkami, bo fakt to ogólnie znany, że kobiety nie mają władzy nad swoją przyziemną naturą i wleżą pod każdego chłopca, który im się nawinie, a jeśli dostaniemy się do niewoli, wrogowie nas zgwałcą, ośmieszając Męskość Orissy.

- Zdaje się, że wymieniłaś wszystkie, co do jednego - skomentował sucho mój brat. - Ostatni powód wywołał najgorętszą dyskusję.

- Gówno prawda - podsumowałam.

- Jestem tego samego zdania, choć moja odpowiedź nie była tak barwna ani tak lapidarna. Do tego jest jeszcze jedna rzecz, o której ci nie wspomniałem.

Wojskami będzie kierował generał Jinnah, który szczególnie gorąco przeciwstawiał się wcieleniu Gwardii do jego armii.

Mój gniew wzniósł się na nowe wyżyny. Jinnah głównodowodzącym! Właściwie nie powinno mnie to zaskoczyć. Był to jeden z takich wojskowych, którzy rodzą się w czasie pokoju równie licznie jak glisty w kupie kompostu. Wszyscy są skrojeni wedle jednej miary: pochodzą z dobrych rodzin, pokończyli dobre szkoły, pełnili odpowiednie funkcje w odpowiednim czasie i awansowali bez zakłóceń, politycy uważają ich za spokojnych, lecz zdecydowanych, są prawie bez wyjątku przystojni i poważni, i mają idealnie wodzowski wygląd. W dodatku nigdy nie bywają zamieszani w skandale. W czasach wojny wszystkie te zalety stają się groźnymi w skutkach wadami: od pokoleń nauczyciele ani wychowawcy nie pozwalali im na kontakt z oryginalnymi ludźmi ani ideami, służalczość w stosunku do przełożonych okazuje się fałszem, bo uważają ich za durniów, choć sami są nie lepsi, a frustracja powoduje, że rozładowują gniew, arogancko i pogardliwie traktując podwładnych.

Co gorsza, tacy ludzie unikali skandali tylko dlatego, że pozostawali całkowicie bierni, jeśli nikt ich nie zmuszał do aktywności a pod ręką nie było kogoś, kto poniósłby winę za błędne posunięcia. Co do elegancji i urody - jeszcze nie widziałam, by rzucona włócznia zawróciła na widok gładkiego oblicza.

Krótko mówiąc, moim zdaniem generał Jinnah uosabiał wszystkie słabości orissańskiej armii, rozleniwionej długim okresem pokoju.

Nigdy nie zetknęłam się z nim bezpośrednio, z wyjątkiem jednych manewrów, gdy odgrywaliśmy rolę nieprzyjaciela. Posłałam Gwardię do boju, stosując nietypową taktykę, która nie tylko rozbiła w puch jego przednią straż, lecz w dodatku pokrzyżowała wszystkie jego niezwykle precyzyjne, absurdalne, dokładne co do minuty plany. Jinnah nie potrzebował wcale bezpośredniej konfrontacji, by mi się sprzeciwić; był szeroko znany jako fanatyczny przeciwnik wszystkiego, co miało posmak nowości i oryginalności. Niewiele się tym różnił od ojców naszego miasta...

Mój gniew się ulotnił i pozostała tylko rozpacz. Łzy zamglily mi wzrok, choć żadna nie potoczyła się po twarzy. Usłyszałam, jak Amalryk wstaje z krzesła i po chwili poczułam, że obejmuje mnie pocieszająco ramieniem.

- Tylko nie mów, że ci przykro - warknęłam - bo stracę resztki godności osobistej.

Ostrzeżenie nie było potrzebne. Amalryk znał mnie zbyt dobrze i nie odezwał się ani słowem. Nie odepchnęłam jednak jego ramienia. Bardzo potrzebowałam spokojnego, serdecznego dotyku.

Wróciłam myślą do chwili w ogrodzie gdy ujrzałam na grobowcu twarz matki, poczułam aromat drzewa sandałowego i usłyszałam niewyraźny szept. Dlaczego jej się wyparłam? Dlaczego się odwróciłam? Bo to wcale nie był duch, skarciłam się w myśli.

Zjawisko było efektem mej własnej słabości spowodowanej kacem. Grą wyobraźni.

Coś we mnie nie chciało się jednak pogodzić z tym trzeźwym osądem. Wyobraźnia czy nie, na chwilę w to uwierzyłaś, szeptało to coś. Niezależnie od tego, czy obraz matki był duchem, czy też wytworem imaginacji, odepchnęłaś ją od siebie. Dlaczego? Nie potrafiłam na to odpowiedzieć. Jeśli w ogóle istniała jakaś odpowiedź, spoczywała na dnie głębokiej czarnej przepaści.

Amalryk, jakby czytając w moich myślach, powiedział: - Matka byłaby z ciebie dumna.

- Skąd możesz o tym wiedzieć? - odpowiedziałam niepotrzebnie ostrym tonem. - Prawie wcale jej nie pamiętasz.

Usadowił się na grubym dywanie, opierając się o moje kolana. Lubił tak siadywać dawno, dawno temu, gdy był małym chłopcem, a ja podziwianą przezeń wszechwiedzącą siostrą - bohaterką.

- Tyle mi o niej opowiadałaś, że jestem tego pewien - odparł.

Prychnęłam ze złością, ale jego słowa sprawiły mi przyjemność.

- Jaka była naprawdę? - spytał rozmarzonym głosem, jak niegdyś, gdy był dzieckiem.

- Przecież już to wszystko słyszałeś - odpowiedziałam.

- To opowiedz mi jeszcze raz - poprosił. - Czy była piękna?

- Bardzo - przypomniałam sobie jej jasną cerę, wielkie, głębokie oczy i szczupłą sylwetkę.

- Łagodna i mądra?

- Była najłagodniejszą, najmądrzejszą matką na świecie - odpowiedziałam, jak zwykle.

- Teraz powiedz, dlaczego dała ci na imię Rali.

- O tym też już słyszałeś - odrzekłam, ale ścisnął prosząco moją dłoń, więc zaczęłam historię od początku. Nie potrafiłam mu niczego odmówić.

- W jej rodzinnej wiosce - zaczęłam - stała przy studni bardzo stara rzeźba, przedstawiająca młodą dziewczynę, bohaterkę z zamierzchłych czasów. Znalaziono ją w lesie - niektórzy mówią, że wychowała się wśród zwierząt. Gdy przybyła do wsi, nie potrafiła odróżnić dobra od zła i zachowywała się zgodnie ze swoją naturą. Była równie silna, jak chłopcy i każdego z nich potrafiła pokonać w zawodach. Była także piękna, więc jej pragnęli.

Wzbudzała zgorszenie wśród mieszkańców wioski, więc starsi kazali ją wygnąć.

Niedługo potem, wioskę zaatakowali wrogowie. Było ich wielu i nie znali litości, więc wkrótce przed mieszkańcami stało widmo klęski. Ale w nocy nadjechała dziewczyna na grzbiecie wielkiej czarnej pantery. Nie koniec na tym: za nimi z lasu wypadły wszystkie pazurzaste i zębate zwierzęta i z wielkim rykiem zaatakowały wroga. Wioska ocalała, a zwierzęta i dziewczyna zniknęły. Powiadają, że gdy nadejdą ciężkie czasy i wielkie niebezpieczeństwa, dziewczyna powróci, by uratować mieszkańców. Postawili oni tę rzeźbę, by pamiętać, że jeśli ktoś jest odmienny od nich, niekoniecznie zaraz musi być zły.

- A potem nadali jej imię - wtrącił Amalryk.

- Tak. Nazwali ją Rali.

- Dlaczego?

- Ponieważ... - Przypomniałam sobie, jak matka opowiadała mi tę historię po raz pierwszy. Siedziałam u niej na kolanach, otoczona miękkimi ramionami. Zadałam dokładnie takie samo pytanie i w odpowiedzi usłyszałam takie słowa: - To bardzo stare słowo... z dawnego języka mieszkańców tamtej wioski. „Rali” znaczy nadzieja. A imię to pojawiło się w jej myślach, gdy po raz pierwszy przystawiła mnie do piersi.

Długo siedzieliśmy w milczeniu. W końcu Amalryk poklepał mnie po kolanie i wstał.

- Dzięki za opowieść - powiedział.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi.

- To ja powinnam ci podziękować, kochany braciszku. Choć nic się nie zmieniło, twoja chytra

sztuczka bardzo poprawiła mi nastrój.

Nie starał się nawet zaprzeczyć, że właśnie o to mu chodziło. Zamiast tego ujął mnie za rękę ze słowami: - Porozmawiam z Radnymi jeszcze raz.

Tylko kiwnęłam głową. Ale przyznam, poczułam lekki przypływ... nadziei.

Wieczorem całe miasto zgromadziło się w Wielkim Amfiteatrze. Bogaci tłoczyli się wespół z biedotą; handlarz ryb stał obok tłustego kupca; straganiarka obok damy o arystokratycznym nosie. Na wielkim podium pośrodku areny zasiedli przywódcy: Radni, Gamelan i jego najwyżsi Mistrzowie Magii, dowódcy wojskowi, arystokracja kupiecka i - nieco z boku, lecz na honorowym miejscu - mój brat, lord Antero. Dzięki zakłębionym ich postaciom wydawały się tak wielkie, że wszyscy mogli je z łatwością dojrzeć, a głosy były tak potężne, że każdy słyszał je bez trudu.

Wiedziałam, że Amalryk, zgodnie z obietnicą, ponownie prosił Radnych, by zmienili swą decyzję w sprawie Gwardii Maranon. Nie miał czasu, by przekazać mi ich odpowiedź, ale zorientowałam się, co postanowili, gdy na godzinę przed wiecem do naszych koszar przybiegł kurier. Rada Miasta uprzejmie poprosiła nas, byśmy odegrały ważną rolę podczas wiecu. Pięćdziesiąt wojowniczek miało wystąpić jako gwardia honorowa. Aby podkreślić znaczenie naszej roli jako obrończyni Orissy, miałyśmy zabrać ze sobą posąg Maranonii, by złożono jej szczodre ofiary i odprawiono przed nią modły.

Innymi słowy, radni nie zgodzili się na wymarsz Gwardii i rzucili nędzny ochłap, by zadowolić naszą dumę.

Nie zdradziłam się ani słowem przed wojowniczkami, więc gdy sformowałyśmy szyk w pobliżu potężnej bramy amfiteatru, otaczając posąg bogini, na wszystkich twarzach malowała się duma. Uśmiech Polillo rozjaśniał ciemną noc, a Corais była tak rozentuzjasmowana, że zapomniała skarcić szregową, która zaplamiła jej złocistą tunikę.

Sama byłam dumna z moich wojowniczek, ich ducha bojowego, profesjonalizmu i pewności siebie... żałowałam tylko, że już wkrótce czeka nas wielkie rozczarowanie.

Spojrzałam w twarz Maranonii i wyszeptałam modlitwę dziękczynną za błogosławieństwo, dzięki któremu zostałam dowódczynią tak wspaniałego oddziału. Bogini mi nie odpowiedziała, ale bawiłam się myślą, że w oczach z drogich kamieni zalśnił jakiś ognik. Wydawała się jeszcze bardziej wyprostowana niż zwykle... wyciągała przed siebie pochodnię, balansując wysoko wzniesioną złotą włócznią.

Opuściłam wzrok, gdy na środek podium wyszedł Gamelan, aby poprosić bogów, o błogosławieństwo dla zgromadzenia. Mag, wysoki, niezgrabny chudzielec o długich siwych lokach i brodzie, gwałtownym gestem uniósł w górę ramiona, a rękawy szaty, jaką zwykle noszą Mistrzowie Magii, opadły, obnażając długie, kościste ramiona.

- Błogosławiony przez wszystkich Te-Date! - zawołał.

- Błogosławiony przez wszystkich Te-Date - ryknął w odpowiedzi zjednoczony wspólnym uczuciem tłum.

- O, wielki panie Te-Date - zaintonował Gamelan - oto stoją przed tobą pokorni wierni, błagając o pomoc w godzinie wielkiej potrzeby. Spiskują przeciw nam źli magowie.

Pragną zagarnąć naszą ziemię - twoją ziemię - a nas, twych wiernych wyznawców, chcą uczynić niewolnikami. O, wielki panie Te-Date, Orissa jest w wielkim niebezpieczeństwie.

Orissa jest... Nagle noc rozdarło straszliwe, gniewne wycie. Jasne, gwiazdziste niebo przesłoniła olbrzymia chmura, wokół której trzaskały błyskawice. Wycie stało się nagle zrozumiałe; dwa potężne głosy recytowały chórem: Przyjdź demonie, pożyw się, demonie.

Pułapka zamknięta, Pochwyciłeś zdobycz.

Przyjdź, demonie, Pożyw się, demonie!

Nikt wśród zebranych nie miał wątpliwości, czyje to były głosy. Nikt nie musiał się nad tym zastanawiać: ani dziecko, ani wojownik, włościanin, ani też młoda dziewczyna. To Archontowie Likantu zadali nam pierwszy cios w tej wojnie. Mógł to być zarazem cios ostatni, bo w amfiteatrze zgromadziło się całe miasto, wydane na łaskę czarnoksiężskich mocy wroga.

Z tyłu za mną rozległ się grzmot; odwróciłam się i ujrzałam, jak ogromne bramy amfiteatru pękają, wyrwane z zawiasów jakąś potężną mocą. Odrzwia jeszcze nie zdążyły paść na piasek areny, gdy przez otwarte przejście jednym skokiem wdarł się olbrzymi demon. Wylądował na czterech łapach i kręcił głową, jakby chciał objąć wzrokiem ogrom obiecaną mu przez Archontów ucztę. Wyglądał jak półmałpa, półpies. Przykucnął na mocnych skokach, a z tyłu wyginał się obscenicznie mocny, chwytny ogon. Żyłaste ramiona porastało czarne, skołtunione futro, a łapy były uzbrojone w ostre, zakrzywione pazury.

Pysk stworzenia, pełen wielkich, ostro zakończonych zębów, przypominał myśliwskiego psa. Małe uszka były wyraźnie spuścizną po małpie. Troje przekrwionych oczu tkwiących na czole bezustannie lustrowało otoczenie.

Paralizujący lęk zamienił się w panikę, krzyki przerażenia wzbity się pod niebiosa i arena zarojła się od biegających bezładnie ludzi. Gamelan i pozostali Mistrzowie Magii nie mieli nawet czasu, by pomyśleć o kontrzaklęciu, jeśli w ogóle istniała jakaś magia mogąca przeciwstawić się takiej potędze. Pozostali przywódcy na podium wydawali się równie bezwolni.

Przerażona młoda mieszcza przebiegła przed bestią, która wrzasnęła z zachwytem, złapała ją w pazury i wetknęła do czarnej paszczy. Drgające ciało krzyczącej kobiety przez chwilę zwisało po obu stronach pyska... rozległ się ostatni jęk... i zniknęło.

Pierwszy kąsek pobudził apetyt demona, który ruszył, by dopaść nas wszystkich.

Nie zastanawiając się ani przez chwilę, wyrwałam miecz z pochwy i wzniosłam okrzyk - wyzwanie, wibrujący, przenikliwy zew wojenny Gwardii Maranon. W tej samej chwili moje siostry odpowiedziały mi zewsząd i nasz dziki okrzyk wstrząsnął nocnym niebem. Nasze gardła, ciała i umysły zespoliły się w jedno.

Demon odwrócił się błyskawicznie i skoczył ku nam. Zaatakowałyśmy, by wypełnić obowiązek Gwardii Maranon, gdy Orissie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo - walczyć, walczyć nieugięcie, póki ostatnia z nas nie padnie albo wróg nie zginie.

Owładnął nami bitewny szał i żądza krwi, uczyniwszy nas niewrażliwymi na ból.

Cięłyśmy mieczami na odlew, dźgałyśmy, rwałyśmy kawały cielska, bestia odrzucała nas na boki, a my zrywałyśmy się z ziemi i z krzykiem atakowałyśmy znowu. Po chwili demon otrząsnął się z zaskoczenia tym samobójczym atakiem i natychmiast dziesięć gwardzistek padło trupem na piasek z wyprutymi wnętrznościami, a o wiele więcej zwijało się z bólu, wykrwawiając się na śmierć. Razem z Polillo i Corais przegrupowałyśmy siły i ponownie rzuciłyśmy gwardię do ataku. Demon przeskoczył przez nas; jego wielkie cielsko wygięło się w powietrzu i rzuciło w dół płynnym ruchem, przypominającym potężnego węża morskiego.

Przeliczył się jednak i wylądował na posągu Maranonii. Runęli razem na ziemię, a posąg rozpadł się pod wpływem siły uderzenia. Demon wstał, rozgniatając tylnymi łapami pozostałości bogini.

Ruszyłam naprzód, a Corais zatoczyła łuk, chcąc podciąć bestii ścięgna, w nadziei, że zwykła stal wystarczy, by go zranić. Polillo rzuciła się na prawo, a jej bojowy topór lśnił w ciemnościach nocy. Ja zaatakowałam od frontu, podczas gdy pozostałe wojowniczkę bezustannie nękały potwora, starając się zadawać mu choć niewielkie ciosy.

Pędząc przed siebie, spostrzegłam leżącą na ziemi włócznię Maranonii. Podobnie jak reszta rzeźby, była wyciosana z kamienia, a nie z metalu: pomalowano ją tylko na złoto. Coś kazało mi ją jednak podnieść w biegu. Spodziewałam się poczuć w dłoni ciężar niezgrabnego odłamka kamienia, a zamiast tego poczułam lekki oszczep. Poprawiłam uchwyt, a broń okazała się tak wyważona, jakby wyszła z rąk genialnego zbrojmistrza.

Demon wyciągnął po mnie łapy. Pozwoliłam się schwycić i podnieść wysoko do góry.

Jęknął z bólu, gdy poczuł ostrze Corais na ścięgnach - a więc skurczybyk jednak był śmiertelny. Nie

puścił mnie jednak, a przeciwnie, wzmocnił chwyt i podniósł w stronę przepastnej paszczy. Oddech miał cuchnący jak kloaka, a troje zmrużonych z nienawiści czerwonych oczu wpatrywało się we mnie. Nagle bestia zaskrzeczała i spróbowała sięgnąć łapą do czegoś, co zawisło mu na prawym ramieniu. Wisiałam w powietrzu, starając się cisnąć włócznią. Spostrzegłam, że to „coś” to Polillo. Uchyliła się przed ciosem potwora a potem skoczyła mu z tyłu na szyję, zamykając ją w uścisku długich, silnych nóg.

Straciła topór, ale i tak by go nie potrzebowała. Miała zamiar pokonać demona siłą samych mięśni.

Złapała go za kłapciate uszy i pociągnęła do tyłu. Ryknął, starając się ją zrzucić ciosem łapy, ale ciągnęła i ciągnęła, aż zadarła mu pysk całkiem do góry. Próbował mnie odrzucić na bok, by uwolnić drugą łapę, ale trzymałam go mocno. Cofnął ją, by znów spróbować się mnie pozbyć, w ten sposób odsunął mnie od siebie.

Usłyszałam, jak Polillo wielkim głosem błaga Maranonię, by dała jej więcej siły, i czułam, że jej ścięgnięta niemal pękają z wysiłku... aż w końcu zmusiła stwora, by odsłonił gardziel. Rzuciłam się w przód i pchnęłam włócznią. Wchodziła w miękkie ciało coraz głębiej i głębiej. Demona przeszył dreszcz bólu, a z rany buchnęło śmierdzące powietrze i kropelki krwi.

Otworzył pysk, by wydać przedśmiertny ryk. Całe jego ciało zgięło się w pół, a ja oderwałam się od cielska, w półobrocie padając na ziemię. Odtoczyłam się daleko; mało brakowało, a byłby mnie przygniótł, padając na piasek areny.

Pochwyciłam czyjś miecz i podbiegłam, żeby go dobić. Nie było to jednak potrzebne - leżał nieruchomo. Był martwy, a w gardle tkwiła mu włócznia bogini.

Obróciłam się oszołomiona i roześmiałam się, gdy Polillo, a później Corais, pochwyciły mnie w ramiona. Słyszałam radosne okrzyki moich sióstr, które po chwili stłoczyły się wokół nas, obejmując się wzajemnie, wiwatując i płacząc.

Stałyśmy się bohaterkami wieczoru. Następnego również. I jeszcze następnego.

Historia Gwardii Maranon wzbogaciła się o nową legendę.

Gdy miasto świętowało pierwsze zwycięstwo nad Archontami, my grzebałyśmy zmarłe gwardzistki, opatrywały ranne i naprawiały broń. Dobrze jest zyskać podziw i sławę, ale wojownik, który sądzi, że wiaty wdzięcznej, pełnej podziwu publiki przetrwają dłużej, niż wiosenny śnieg, będzie naprawdę gorzko rozczarowany.

Czwartego dnia Amalryk przysłał list z prośbą o spotkanie w głównym porcie.

Pośpieszyłam na nabrzeże, wiedząc, że chce się pożegnać przed wyprawą do Irayas, z misją do króla Domasa. Gdy tam dotarłam, marynarze kończyli ładować towary na statek, a Amalryk niecierpliwie spacerował po nabrzeżu. Na mój widok głośno krzyknął i podbiegł mnie uściskać, jak mały chłopiec. Padliśmy sobie w objęcia na dłuższą chwilę, a potem rozłączyliśmy się, by zamienić kilka słów przed rozstaniem. Ku memu zdumieniu, zamiast smutnej miny, na jego twarzy gościł szeroki uśmiech, jakby zamierzał się witać, a nie żegnać.

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość, siostrze.

Czekałam. Rali oznacza nadzieję, powtarzałam w kółko. Rali oznacza nadzieję.

W końcu powiedział: - Radni wreszcie zmienili zdanie. A ponieważ sprawa ta interesuje mnie osobiście, chciałem ci pierwszy o tym powiedzieć, zanim dostaniesz oficjalną wiadomość.

Gwardia Maranon wymaszeruje razem z resztą armii.

Roześmiałam się. Znowu mnie przytulił.

- Tamtego wieczoru zdobyłaś się na niezły wyczyn - dodał.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie byłam sama. A zresztą, to była drobna potyczka.

- A więc nie muszę się fatygować i kłamać, że najgorsze już za tobą?

- A gdy razem z Janoszem Szarym Płaszczem ruszyliście do Zamorskich Królestw, było wam łatwo?

- Nie - odpowiedział. - Za każdym wzgórzem napotykalismy inne, jeszcze wyższe, śladem każdej bandy szła następna, groźniejsza, a za każdą pustynią rozpościerały się kolejne piaski. Nauczyłem się, że nigdy nie jest łatwo. Jednak nawet jeżeli, jest coraz trudniej, trzeba iść... aż osiągnie się cel.

- Mam nadzieję, że nie tylko my o tym wiemy.

- Może jeszcze kilka osób - stwierdził. - Kilku Mistrzów Magii twierdziło na przykład, że to właśnie demon był nieznaną bronią Archontów, o której krążyły plotki. O mało nie oszaleli ze szczęścia, że się go pozbyłaś. Dopiero Gamelan wyprowadził ich z obłędu.

Powiedział, że rzeczywiście, demon powstał z pomocą potężnej magii, ale...

Ale był to tylko demon, prawda? - wtrąciłam.

- Tak jest. To był tylko demon.

Zabrział ostrzegawczy dzwon na pokładzie. Objęliśmy się i ucałowali po raz ostatni. Amalryk wszedł na pokład i załoga rzuciła cumy. Stałam na nabrzeżu, dopóki statek nie zniknął za zakrętem

rzeki. Do końca widziałam, jak lśnią w słońcu ogniste włosy mego brata.

Do naszego następnego spotkania miało upłynąć wiele lat.

Rozdział Drugi

OBLĘŻENIE LIKANTU

Niecałe dwa miesiące temu zaproszono mnie do Miejskiej Cytadeli na uroczystość pobłogosławienia wielkiego fryzu. Dano mi święty nóż, bym złożyła na ofiarę białego byczka, Aby poświęcić ozdobną płaskorzeźbę, biegnącą wzdłuż całego obwodu głównej kopuły. Był to wielki zaszczyt, szczególnie dla kobiety. Ale za każdym spojrzeniem na ten fryz, mający jakoby przedstawiać historię Drugiej Wojny Likantyjskiej, musiałam ukrywać uśmiech, albo - dla odmiany - błysk gniewu w oczach. Właściwie ceremonia odbywała się po raz drugi, ponieważ po moim powrocie do domu trzeba było wprowadzić zasadnicze zmiany do pierwszej wersji rzeźby: nowa wersja niektórych wydarzeń całkiem odbiegała od poprzedniej.

Mój mały skryba, którego teraz postrzegam nie tyle jako rzeczno szczura, ile raczej jako ziemną wiewiórkę, wiecznie dopominającą się o orzechowe ciastka, jest przerażony. Boi się, że popsuję całą opowieść, wyjaśniając teraz, z jakich powodów pierwszy fryz stał się tak wstydlivy dla Radnych i Mistrzów Magii, że trzeba go było zmienić. Spokojnie, wiewióreczko, spokojnie. Śpiewałam w życiu tyle ballad wojennych i tyle nakłamałam różnym przygodnym towarzyszom kufla o walce, piwie i dziewczynach, że na pewno nie wyjawię niczego ważnego przed czasem.

Pomyślałam o fryzie, ponieważ wizja rzeźbiarza, podobnie jak większość wojennych opowieści, malowanych, śpiewanych, czytanych, czy też opowiadanych, jest równie kłamliwa, jak zajakliwe odpowiedzi rodziców na pytanie, skąd się biorą dzieci.

Pierwsze sceny przedstawiają straszliwe postęпки Likantyjczyków, włącznie z atakiem demona w amfiteatrze. Następna płaskorzeźba to wymarsz dumnej armii z Orissy na wojnę.

Potem widzimy atak na mur Likantu i wiele nudnych obrazków, przedstawiających, jak Orissańczycy tną, rzną, strzelają, kłują i ogólnie dręczą nieprzyjaciół. Cykl ten kończy cię ostatnią bitwą. Pewnie powinnam być łaskawsza dla całego dzieła, bo teraz przedstawia przeważnie czyny moich kobiet z Gwardii Maranon, prowadzonych przez nieprawdopodobnie piękną kobietę, którą niby mam być ja. Przysięgałam jednak, że będę tu mówić samą prawdę, a prawda ta musi obejmować także moje myśli i osądy, bo inaczej czymże będę się różnić od starego zapitego marynarza, który skrzypiącym głosem chwali się przed całą tawerną, dopóki nie wygna wszystkich znudzonych gości w zimową zawieję.

Dobrze pamiętam nasz wymarsz w chłodny wiosenny ranek... wojsko pięknie wyglądało w odświętnych uniformach i maszerowało zgodnie jak kukiełki, pociągane za sznurki przez niewidzialnego animatora. W marszu śpiewaliśmy jakąś balladę, która szczęśliwie dawno już została zapomniana, opowiadającą o tym, jak to będziemy chłeptać likantyjską krew i obżerać się flakami wroga. Zważcie, że takie krwawe hymny są popularne tylko do pierwszej potyczki; potem zastępują je stare pieśni o domu, minionych dniach, dostatku i spokoju.

Wcale nie twierdzę, że następna scena fryzu powinna pokazywać, jak to w godzinę po tym, gdy ostatni żegnający nas krajanie pozostali w tyle, armia zatrzymała się i wszyscy pośpiesznie zmienili ciężkie, powodujące odciski buty i wspaniałe, wyjściowe uniformy na wygodnie obuwie do marszu i polowe mundury. Paradne stroje wrzucono na wozy kwatermistrzów, by czekały, aż ich właściciele będą w nich świętować koniec kampanii, - albo też zostaną pochowani. Drażni mnie tylko nagły przeskok do zburzenia muru - tak jakby przez ten czas nic się nie zdarzyło. Rzeczywiście, przerwaliśmy fortyfikacje wroga, ale dopiero po roku walki. Gdy zaatakowaliśmy po raz pierwszy, przeciwnicy zasypali nas ze szczytu muru gradem śmiercionośnych pocisków, wystrzeliwanych ze wszelkich możliwych broni, od katapulty po kuszę.

W ciągu tego roku zginęło wielu Orissańczyków. Zbyt wielu. Niemal jedna trzecia moich gwardzistek padła w boju i nauczyłam się wypełniać obowiązek, o którym nie wspominają autorzy poematów: bez przerwy błagałam moich przełożonych i kogokolwiek, kto wydawał się mieć choć odrobinę władzy, o więcej - więcej oręza na miejsce broni zniszczonej lub straconej w walce, więcej żywności, w miejsce zepsutych lub zjedzonych zapasów i przede wszystkim, więcej rekrutów w miejsce moich biednych gwardzistek, rannych, okaleczonych, niezdolnych do walki lub pozabijanych. To prawda, przybywały rekrutki, ale były o niebo gorsze od sióstr, z którymi wymaszerowałyśmy z Orissy - pomimo dokładnego szkolenia, jakie musiały przejść, by zasłużyć na ozdobiony pióropuszem hełm Gwardii. Nauczyłam się również pisać listy do rodzin poległych, w których niezmiennie zapewniałam matki, ojców lub kochanków, że bliska im osoba zginęła podczas bohaterskiej akcji i spotkała ją szybka, bezbolesna śmierć. Nie żałowałam tych kłamstw ani wtedy, ani teraz. Cywilom można pokazywać krwawą maskę prawdziwej wojny tylko w nadziei, że dzięki temu przestaną żądać, by mieczem rozstrzygano konflikty, ale tylko dureń lub romantyk, znając choć wycinek z historii własnego narodu, uwierzy przez moment w zniszczenie tego marzenia.

Gdy sformowaliśmy szyki przed murem likantyjskim, zaczęła się walka. Trup padał gęsto; zaatakowaliśmy i zostaliśmy odparci. Ponowiliśmy atak, z tym samym rezultatem.

Ponownie odrzucono nas od poznaczonej bliznami kamiennej płaszczyzny, niezniszczalnej jak górskie skały. Czasem udawało nam się wspiąć na flanki, ale nie byliśmy w stanie ich utrzymać, więc i mężczyźni i kobiety nierzadko bywali wyrzynani w pień lub zrzucani z muru, jeśli nie udało im się wycofać na czas. Mimo wszystko trzymaliśmy Likantyjczyków w szachu.

Zbudowali to miasto tak dawno, że jego początki giną w mroku niepamięci. Miało być wówczas fortecą, strzegącą końca wąskiego półwyspu, w miejscu gdzie niegdyś wulkan ciskał ogień w niebiosa a potem morze wdarło się do jego krateru, tworząc olbrzymi port o naturalnych, wysokich murach. Likantyjczycy przegrodzili wejście do portu potężnym łańcuchem, by zatrzymywał wrogie statki - na przykład nasze. Na wierzchołku krateru stał straszliwy zamek Archontów, gdzie niegdyś więziono mego brata. Miasto zbudowano wokół portu i na półwyspie. Likantyjczycy woleli wysokie, wielorodzinne domy, nie chcąc, by ich miasto ciągle się rozrastało, jak Orissa. Mur przegradzał półwysep w najwęższym miejscu.

Przed nim ciągnęła się dzika puszcza; nie było tam ani jednej, najuboższej nawet likantyjskiej lepianki.

Armia nasza odcięła ich od lądu, ale ogromna nieprzyjacielska flota w dalszym ciągu stanowiła zagrożenie. Jako lud z rzecznej doliny, dopiero niedawno spostrzegliśmy, że Orissa musi stać się potęgą morską, więc niewiele mieliśmy okrętów... kilka z nich tkwiło jeszcze w stoczniach, które w większości należały do rodziny Antero. Wybudował je Amalryk po powrocie z Zamorskich Królestw. Nie wolno było się zgodzić, by Likantyjczycy mieli przewagę na morzu; mogli zaatakować Orissę lub wysadzić desant za naszymi liniami. W najlepszym przypadku flota mogłaby ich zaopatrzyć i dowozić żołnierzy w czasie oblężenia.

Gdy Radni i Mistrzowie Magii zdali sobie sprawę, że nie unikniemy walki z likantyjską marynarką wojenną, zaczęli zatrudniać najemników morskich, pojedynczo, całymi statkami, eskadrami, aż wreszcie zdobyli silną flotę. Nikt nie miał złudzeń: wiedzieliśmy, że najemnicy walczą wyłącznie dla zdobycia doraźnych łupów i nie lubią się nadmiernie poświęcać. Co gorsza, jeśli przeciwnik oferuje im lepszą zapłatę, rzadko cofają się przed zmianą stron. Nikt jednak nie widział lepszego wyjścia, więc wciągnięto banderę Orissy na maszty statków, których kapitanowie jeszcze kilka tygodni temu

żeglowali jako kaprowie lub piraci pod czarną flagą anarchii. Dowódcą tej floty, po wyborach, czyli hałaśliwej pijatyce przerywanej bójkami, został „admirał” Cholla Yi, potężny mężczyzna, który - od wypomadowanych włosów ufryzowanych w dwa rzędy szpiczastych loków, poprzez nieskazitelne jedwabie, w które się odziewał, trzy, a nawet - zdaniem niektórych - cztery sztylety, które zwykle nosił przy sobie, aż po obcisłe, sznurowane, wysokie buty w kolorach tęczy - wyglądał jak uosobienie korsarza, śmiertelnego wroga spokojnych kupców. Przyznam jednak, choć niechętnie, mając w pamięci późniejsze wydarzenia, że przynajmniej potrafił utrzymać swoją bandę w ryzach. Rozpoczął swoje panowanie od postawienia szubienic po obu stronach obozu korsarskiego na plaży, a później dbał, by nieustannie ugiwały się pod ciałami świeżo powieszonych łotrzyków. Na morzu zaś przeprowadził szybką, krwawą ofensywę, przepędzając Likantyjczyków z powrotem do swego portu; statki, które nie zdążyły się tam schronić, zatopił lub wziął do niewoli. Wielki łańcuch, przeciągnięty od zamku Archontów do wieży strażniczej po drugiej stronie portu, spełnił swoje zadanie, nie pozwalając naszym okrętom zaatakować, podpalić ani też ukradkiem zatopić zakotwiczonej tam floty.

Obie strony szachowały się wzajemnie, ale przynajmniej Likantyjczycy byli teraz w okrążeniu także od strony morza.

Walki o mur trwały dalej. Umocnienia odbudowano przed wojną z pomocą magii, ale tak jak mówiłam Amalrykowi, w końcu wszystko sprowadzało się do potyczek na miecze, z niewielkim tylko czarodziejskim wsparciem. Pewien szczególnie bystrooki kapral ze Zwiadu Przygranicznego, jednostki niemal tak elitarnej jak moja gwardia, wypatrzył nieco słabiej obsadzony obrońcami odcinek muru. Przez cały następny tydzień, nasze najpotężniejsze katapulty miotały głazy w tamtym sektorze, niby to przypadkiem posyłając niektóre pociski w owo słabo bronione miejsce. Gdy budowla została już odpowiednio osłabiona, lecz nie na tyle, by szkody były zauważalne dla Archontów lub ich podwładnych, którzy mogliby rzucić na nią wzmacniające zaklęcie, odwołano oddziały inżynieryjne.

General Jinnah powierzył zaszczytne zadanie szturmowi Zwiadowcom, choć twardo upierałam się, by pierwsze poszły moje gwardzistki. Przy tej zażartej dyskusji był obecny Gamelan, który postanowił porzucić wygodę w Orissie, by przewodzić oddziałowi Mistrzów Magii. Niektórzy uważali, że jego decyzja jest dowodem wielkiego patriotyzmu, inni zaś, bardziej cyniczni, twierdzili, że nasi Mistrzowie Magii po prostu bardzo obawiają się owej sekretnej broni, którą podobno Archontowie stworzyli, zgłębiwszy magiczne sekrety księcia Raveline. Jak się dowiedziałam później, i jak wy się także dowiecie w swoim czasie, były i inne przyczyny pozornego altruizmu Gamelana.

Mistrz Magii wtrącił się do sprzeczki, gdy stała się tak głośna, że zaalarmowała wartowników na zewnątrz namiotu i uspokoił nas oboje. W owym czasie nie potrafiłam docenić jego interwencji, lecz gdyby nie on, prawdopodobnie zdegradowano by mnie i odesłano do domu w niesławie, gdyż

właśnie zamierzałam zwymyślać Jinnaha od niekompetentnych jaszczurczych wypierdków, których znajomość wojny kończy się na grach strategicznych. Gamelan zaproponował kompromis: moje gwardzistki wejdą na umocnienia zaraz po zwiadowcach. Zgodziłam się na to niechętnie, zmusiłam się do pełnego szacunku ukłonu i wściekła wyszłam z namiotu, zakładając gwałtownie hełm na głowę.

Gamelan podążył za mną i gdy tylko znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu wartowników, dotknął mego rękawa. Mało brakowało, a i jego bym skrzyczała, ale na szczęście w porę przypomniałam sobie nie tylko o dobrych manierach, lecz także o umiejętnościach magów: mistrz tej klasy bez trudu sprawiłby, że oblażyłyby mnie niewidzialne wszy łonowe, sugerujące hmmm... niezwykłą szczodrobliwosć w pewnych sprawach.

Odkąd dotarliśmy do muru, Gamelan wiele razy odwiedzał mnie i moje gwardzistki.

Nikt nie wiedział, czemu to przypisać, ale nawet Corais nie śmiała snuć na ten temat żadnych nieprzyzwoitych przypuszczeń. Myślałam wprawdzie, że mag chce nas w ten dziwaczny sposób przeprosić za to, iż tak długo odmawiał otwartego poparcia Amalrykowi, który walczył z przekupstwem w Cechu Mistrzów Magii, albo nawet za śmierć mego najstarszego brata Halaba, którym Cech posłużył się jako nieświadomym narzędziem w rozgrywkach z księciem Raveline. Ale po pewnym zastanowieniu stwierdziłam, że te teorie mają równie mało sensu, jak skargi szeregowej na to, że właśnie ją wyznaczono do kopania latryny.

W świetle niedalekiego ogniska spostrzegłam, że po twarzy Gamelana błąka się uśmieszek.

- Rozumiem twoje rozczarowanie, kapitanie Antero - powiedział. - Czy jednak wzięłaś pod uwagę, że z powodu uporu generała Jinnaha więcej twoich gwardzistek może dożyć jutrzejszego wschodu słońca, niż gdyby się zgodził?

Chyba zamrugałam oczyma ze zdziwienia i niewiele myśląc, wyrzuciłam z siebie wysoce niepolityczną odpowiedź: - I co z tego? Ostatecznym obowiązkiem żołnierza jest śmierć. Jeśli tego nie rozumie, nie ma czego szukać w wojsku.

Gamelan cichutko zachichotał: - Niezwykle bezpośrednia odpowiedź, kapitanie. Takie rzeczy słyszy

się od dzielnych żołnierzy. Ale... czy po kimś z rodu Antero nie można by się spodziewać czegoś więcej?

Przecież lustro nie musi odbijać jednej rzeczy, ma wiele obrazów.

- Nie rozumiem.

Odpowiedzi nie było, a Gamelan rozpląnął się w ciemności, jak za sprawą magii.

Tacy właśnie są ci Mistrzowie Magii, pomyślałam. Co najmniej połowa ich władzy opiera się na umiejętności mieszania ludziom w głowach, a reszta to magia. Potem przyszło mi do głowy coś ważniejszego: Gamelan, ten ponury, zadumany orzeł, nie tylko uśmiechał się do mnie, ale śmiał się na głos - chyba że to wiatr chichotał. Może kiedyś, dawno temu, kiedy ryby miały nogi, temu magowi nie były obce ludzkie troski? Może kiedyś się śmiał, kochał, żartował, a może nawet zdarzyło się, że wychylił jeden kufel za wiele, albo też mrugnął na ładną dziewczynę czy chłopca? Niemożliwe, pomyślałam i pośpieszyłam do obozu, by wydać rozkazy przed szturmem, który miał się zacząć zaraz po północy.

Szturm zakończył się sukcesem, ku zdumieniu wszystkich weteranów, bo wojna niemal w takiej samej mierze polegała na zaskoczeniu, jak na przelewaniu krwi.

Mistrzowie Magii, pod kierunkiem Gamelana, rzucili subtelne zaklęcie, które sprawiło jedynie, że niebo pokryły czarne chmury, a znad morza nadciągnął wiatr, na tyle silny, by jego szum zagłuszył potknięcie niezgrabnego żołnierza, po ciemku skradającego się pod mur. Zarzucono owinięte wojłokiem kotwiczkę i Zwiadowcy sprawnie wspięli się na umocnienia, po czym uciszili likantyjskich wartowników swoją ulubioną bronią - wypełnioną piaskiem skórzaną kulą na solidnym rzemieniu, przyczepionym do rękojeści. Dali nam sygnał. Do muru przystawiono drabiny, umocniono je i Gwardia wspięła się na umocnienia. Błysnęły latarki, rozległy się krzyki i odgłosy walki, ale nie trzeba było już zachowywać milczenia, gdyż pod nami stanęły tarany i zaczęły rytmicznie uderzać w mur. Na pomoc pospieszyły pobliskie oddziały Likantyjczyków - dalsze już nie zdążyły, bo linia obrony została przerwana i nasza armia wlała się przez wyłom na półwysep i do samego Likantu, w pierw między niskie zabudowania na przedmieściach a potem na ulice miasta, wzdłuż których wznosiły się wysokie kamienne budynki mieszkalne.

Gamelan mylił się, oceniając, że niewiele Gwardzistek zginie tego dnia: musieliśmy mocno naciskać Likantyjczyków, wiedząc, że jeśli zatrzymamy się, by coś zjeść, napić się wody, czy choćby złapać oddech, damy wrogom szansę na kontratak. Czytaliśmy w podręcznikach, że walki miejskie są najkrwawsze, bo atakujący łatwo traci kontrolę nad wojskiem, które może zostać wycięte w pień, zanim dowódcy zorientują się, co się dzieje.

Rzeczywiście tak jest. Wiele walk stoczyłam przedtem i potem, na lądzie i na morzu, lecz nie było wśród nich jatki tak krwawej, jak dzień, gdy spychaliśmy Likantyjczyków ulicami ich własnego miasta, na morski brzeg.

Już przedtem toczyliśmy zażarte boje, ale teraz zaczęły dziać się przerażające rzeczy.

Z dziwacznych wysokich budynków wybiegały roje żołnierzy i demonów i wyrzynały w pień własnych rodaków, by dostać się do nas. W krwawym oblężeniu ginęli nie tylko żołnierze.

Widziałam, jak likantyjskie kobiety, nie okryte zbroją, stawały w pierwszej linii, dzierżąc w dłoniach cepy, rzeźnicze noże przywiązane do kijów, oszczepy i miecze poległych żołnierzy... widziałam także ich śmierć. I widziałam starców, inne kobiety, a nawet dzieci, nie uzbrojone, krzyczące ze strachu, szukające ucieczki, schronienia, pragnące się poddać.

Widziałam, jak mordują ich oblężeni z żądzą krwi żołnierze - a wśród nich moje własne gwardzistki. Dowódcy i oficerowie wykrzykiwali rozkazy, by przerwać tę rzeź, więc po chwili wojsko się uspokoiło. Walki trwały przez całą noc i następny dzień, aż wreszcie stanęliśmy pod następnym potężnym murem.

Był to nadmorski zamek Archontów. Jego umocnienia zatrzymały ofensywę i rozpoczęło się kolejne oblężenie. Znowu minął prawie cały rok. Mury wytrzymały szturm za szturmem, a krew atakujących i obrońców jednako plamiła czarny, dymiący kamień.

Bramy były mocno nadwerężone ogniem i taranami, ale nie poddawały się, gotowe w każdej chwili rozewrzeć się, by wypuścić atakujących wojowników, oczadziałych od bitewnych zaklęć Archontów. Spoza murów słyszeliśmy jęki rannych i żalospny płacz głodujących.

Nasza armia również cierpiała. Wojna ogołociła kraj w promieniu wielu kilometrów.

Brakowało nam statków, by zapewnić wystarczające zaopatrzenie samym wojskom lądowym, a jeszcze z czysto humanitarnych względów, musieliśmy karmić biednych likantyjskich cywilów, którzy nie zdążyli się w czas schronić w morskiej twierdzy. Archontowie nie wpuścili ich do swego zamku nawet w czasie jednego krótkiego zawieszenia broni, które wynegocjowano w czasie tego oblężenia. Medycy nie nadążali z leczeniem naszych żołnierzy, wyczerpanych, głodnych i schorowanych. Sen nie przynosił ulgi: powietrze było tak przesycone cuchnącym oddechem magii, że wszystkich nas prześladowały koszmary.

To żelazna wola Archontów, a nie obrońcy stojący na murach twierdzy, powstrzymała nasz marsz. Dwaj magowie władający Likantem z dziką furią walczyli o życie. Nasi Mistrzowie Magii, mimo potężnego wsparcia, które zapewniły im zaklęcia, przywiezione przez mego brata z Zamorskich Królestw, nie byli w stanie wykonać ani jednego posunięcia, które natychmiast nie zostałoby zablokowane.

Powiedziałam, że krwawa łaźnia na ulicach Likantu była najbardziej brutalną bitwą w moim życiu. Szkoda, że nie mam specjalnych słów, by opisać wam oblężenie, gdyż w pewnym sensie jest ono jeszcze straszniejsze. Nuda panuje straszliwa, a jednak nie można odprężyć się ani na chwilę. Moment nieuwagi w otwartym terenie i już bystrooki łucznik posyła ci strzałę prosto w brzuch. Nie wolno odzywać się za głośno, bo wróg dzięki temu usłyszy, gdzie stacjonujecie i wystrzeli głąz z katapulty w sam środek waszego oddziału.

Bez przerwy trzeba uważnie nasłuchiwać, bo żołnierz z nieprzyjacielskiego zwiadu, który wykradł się z twierdzy, może poderznąć ci gardło, zanim spostrzeżesz błysk światła na ostrzu jego noża. Nie wolno nawet zostawić nie zakopanego gówna, bo siądą na nim muchy, które potem przespacerują się po twoim jedzeniu i zacznie się epidemia przeklętej biegunki, albo i czegoś gorszego. Musisz zachowywać czystość, bo jeśli cię zranią i brudne szmaty dotkną do rany, dostaniesz zakażenia... tylko nikt nie wie, w jaki sposób utrzymać higienę, jeśli całymi dniami tkwisz w dziurze, wykopanej oskardem w miejskim bruku. A jeszcze nie można tracić dobrego humoru, bo bezustannie naburmuszona kobieta osłabia morale swoje i kompanów. Trzeba ponadto...

I tak dalej. Mogłabym wymieniać te nakazy bez końca, ale mój wyłupiastooki współpracownik właśnie mi przypomniał, że nie piszemy instrukcji wojskowej.

W miarę trwania oblężenia moje - a więc i Gwardii - stosunki z generałem Jinnahem wciąż się pogarszały. Odmawiano nam nawet tej niewielkiej chwały, jaką może zyskać pierwszy oddział, który spróbuje ataku na mury. Generał nie zgodził się także na „skok śmierci,” czyli akcję niewielkiego oddziału, wykorzystującego jakąś nagle pojawiającą się szansę. Miało to być coś podobnego do szturm Zwiadowców na pierwszy mur, naturalnie na mniejszą skalę. Tamte wydarzenia wydawały nam się tak odległe w czasie, jak przygody wojowników z babcinych opowieści. Wysyłano nas za to do każdej akcji: im bardziej miała być krwawa, tym bardziej prawdopodobne było, że Gwardia Maranon znajdzie się w pierwszej linii. Nasze szeregi powoli topniały: po pewnym czasie miałam pod komendą mniej niż dwieście gwardzistek, a rekrutki jak nie przychodziły, tak nie przychodziły.

Czasem zdawało mi się, że Jinnah pragnie, aby Gwardię wybito do nogi. Nie chciałam w to uwierzyć, przypisując takie myśli przygnębieniu, jakie jest udziałem każdego dowódcy, który widzi jak giną jego najlepsi żołnierze, na ich miejsce przychodzą inni i też giną - po co? Nie dzieliłam więc się swoimi smutkami z nikim, nawet z Corais ani z Polillo.

Mówiono, że Jinnah gromadzi niezmiernie bogactwa kosztem armii i Orissy i że powołał oddziały specjalne, które przeczesują miasto szukając złota, po czym dyskretnie wywożą je do generalskich majątków poza Orissą. Nikt jednak nie widział tych zinstytucjonalizowanych szabrowników, więc ostro karciałam wszystkich, którzy nierozważnie rozpowszechniali takie pogłoski w mojej obecności. Na naradach u generała uważnie wpatrywałam się w jego twarz, szukając oznak chciwości. Widziałam jedynie rozpacz, że nie uda się już dłużej utrzymać oblężenia. Raz pojawił się w jego oczach prawdziwy strach, gdy nasi szpiedzy donieśli, że Archontowie prawie już skończyli snuć zakłęcie śmierci, które będzie oznaczało koniec Orissy.

Wreszcie nadeszła ostateczna rozgrywka, choć, podobnie jak w inne takie dni, które dane mi było oglądać, nie zapowiedziały jej żadne znaki ani też przepowiednie, które, jak mówią, zwykle towarzyszą takim wydarzeniom.

Generał Jinnah zgromadził nas przed świtem i rzucił wojsko do kolejnego ataku na ów niezdobyty mur. Zdesperowani, znużeni żołnierze stanęli w ordynku, poganiani krzykami i ciosami kaprali. Rozległy się głośnie rozkazy i szeregowcy, przeklinając oficerów i swój los, ruszyli na pozycje. Wyglądzone woły ciągnęły po błocie ciężkie maszyny oblężnicze: tarany, hulajgrody i potężne katapulty. Drużyny obsługujące składane drabiny stanęły w gotowości, nerwowo przyglądając się mur. Nieprzyjacielem również się przygotowywali do szturm.

Sagany pełne wrzącego oleju i płynnego ołowiu parowały i dymiły na umocnieniach.

Obok poukładano głazy i gruz, by je zrzucić na atakujących; kusznicy naciągali cięciwy, łucznicy wybierali najgładsze brzechwy a pikinierzy stanęli na przedpiersiu okopów z bronią na sztorc, jak śmiercionośny las.

Nasza armia była zbieraniną, liczącą około dwudziestu tysięcy. Zawodowi żołnierze, wśród nich dwieście moich gwardzistek, stanowili w owym czasie tylko jej niewielką część, zaś reszta tego tłumu składała się z rzeźników, sklepikarzy, robotników i byłych niewolników. Nie wiedzieliśmy, w jakiej sile jest nasz przeciwnik - może było ich dziesięć tysięcy, a może więcej.

Gdy zabrzmiały rogi i żołnierze po obu stronach frontu ze znużeniem zaczęli uderzać w tarcze i wykrzykiwać chrypliwe obelgi pod adresem przeciwników, co stało się już rytualnym niemal wstępem do każdej bitwy, wyprowadziłam z pola bitwy dziesięć kobiet, uczestniczek misji specjalnej zleconej nam przez Jinnaha. Generał twierdził wprawdzie, że Gamelanowi zależało na tej dywersji co najmniej tak samo jak jemu, ale wówczas wątpiałam w jego słowa.

Wyprawa nasza graniczyła z samobójstwem, dlatego też postanowiłam sama stanąć na jej czele i wybrałam najlepsze gwardzistki, a wśród nich moje dwie zastępczynie.

Postanowiłam, że albo wszystkie przyprowadzę do obozu całe i zdrowe, albo, jeśli moje wyliczenia zawiodą, będę miała przynajmniej marną pociechę, że nie zleciłam zadania komuś mniej doświadczonemu lub nie tak sprawnemu. Poza tym uważam, że jeśli dowódca boi się iść tam, gdzie posyła swoich żołnierzy, nie powinien piastować swego stanowiska.

Uczerniłyśmy sobie palonym korkiem twarze, dłonie i ciało nie okryte odzieżą, a na broń rzucono zakłęcie pochłaniające światło. Ciężar zbroi spowolniłby nasze ruchy i stałybyśmy się w ten sposób łatwym celem, więc wdziałyśmy tylko ciemne, krótkie tuniki, czapki i obcisłe bryczesy.

Z łatwością przebiegałyśmy od jednej kryjówki w terenie do drugiej, dając sobie znaki rękoma, poruszając się tak harmonijnie, jakbyśmy stanowiły jeden organizm.

Pierwszy cel osiągnęliśmy nie zauważone przez obserwatorów z muru, który wznosił się coraz bliżej i bliżej. Była to zrujnowana zewnętrzna wieża strażnicza, której ani obrońcy, ani atakujący nie potrafili utrzymać przez dłuższy czas. Przykucnęliśmy pod jej wysokimi ścianami i Polillo zrobiła koszyczek z dłoni. Gdy postawiłam na nim stopę, wyrzuciła mnie w górę, gdzie z muru wystawały drewniane bale, stanowiące niegdyś legary pierwszego piętra.

Schwyciłam nadłamaną belkę obiema rękami, podciągnęłam się i ułożyłam na niej, starając się nie obsypać towarzyszek gruzem. Ostry kamień wbił mi się w pierś, gdy odwróciłam się na bok, by odwiązać długą linę, którą miałam na ramieniu. Zawiązałam podwójną pętlę na belce i opuściłam drugi koniec na dół. W chwilę później Corais znalazła się obok mnie.

Bez trudu wymacała stabilną deskę i, gdy spuszczałam linę dla pozostałych, podtrzymywała je przy końcu wspinaczki. Słysząc tylko skrzypienie naszych skórzanych pendentów, szuranie butów i od czasu do czasu tępe uderzenia owiniętej gałganami broni.

Na końcu wspięła się Polillo. Z trudem utrzymałam jej ciężar - ważyła mniej więcej cztery razy tyle co ja - lecz po kilku pełnych bólu sekundach już siedziała na przegniłych deskach. Zdjęła z ramienia ciężką skórzaną torbę, którą miała przez cały czas pod opieką, i rzuciła ją na kamienie. Uśmiechnęła się szeroko.

- A teraz czas spróbować nieco likantyjskiej krwi - powiedziała i poklepała zakrzywiony topór przy boku. - Zgłodniał już, biedaczek.

- Zważ, że mamy przeprowadzić dywersję, zastępczo - przypomniałam. - Zabijanie Likantyjczyków jest dziś jedną z naszych mniej ważnych powinności.

Nachmurzyła się, a jej cudownie pełne wargi wyduły się w dziecinną podkówkę.

Corais poklepała ją po plecach, by przywrócić pogodny nastrój.

- Złapię ci jednego - obiecała. - Będiesz mu mogła ukreścić łebek - dodała, ilustrując te słowa

odpowiednim gestem. Cmoknęła językiem o ostre zęby, imitując trzask łamanych kości.

Polillo o mało nie ryknęła śmiechem, ale powstrzymała się w samą porę rzuciła zawstydzone spojrzenie na mury zamku, wysokie i bliskie.

- Ach, Corais, co ja bym zrobiła bez twojej wesołości?

- Jeśli coś takiego cię bawi, kochanie, złapię ci dwóch, żebyś była już całkiem szczęśliwa.

Nie zwracałam uwagi na takie pogawędki, które zdarzają się przed każdą walką.

Uważnie wpatrywałam się w główną część muru, ale nie spostrzegłam żadnych oznak, że nas dostrzeżono. Potem odwróciłam się, by spojrzeć na drugi kraniec pola walki, tam, skąd przyszliśmy. Nasi Mistrzowie Magii twili na niewielkim podium pośrodku linii frontu. Było ich sześciu, wszyscy recytowali zaklęcia i groźnie, szeroko gestykulowali.

Gamelan stał w centrum. Nagle wyrzucił ramiona w górę. Jego okrzyk, nagłośniony z pomocą magii, poniósł się po całej okolicy. Zza murów zamku usłyszałam równie donośny, dudniący ryk, dobywający się z gardeł Archontów. Wydawało się, że powietrze pękło i rozsypało się na drobne kawałki. Potem rozległo się chóralne wycie, tak przeraźliwe, że wszystkie schowałyśmy głowy w ramiona, zamknęłyśmy oczy i zatkałyśmy oczy, bojąc się bólu.

Po chwili zdałyśmy sobie sprawę, że zachowujemy się jak głupie rekrutki, które po raz pierwszy znalazły się pod ostrzałem i myślą, że każda strzała mierzy prosto w ich serce.

Gdy doszliśmy do siebie, magiczna walka była w pełnym toku. Poranne niebo pociemniało, nad głowami szalały magiczne płomienie a legiony demonów wyły i walczyły ze sobą. Na ziemi zwykli ludzie z trudem parli przed siebie.

Walka demonów była dla nas sygnałem do akcji - prześliznęliśmy się przez wąską szczelinę i oto byliśmy w środku ruiny. Spuściłam koniec liny w miejsce, gdzie niegdyś znajdowała się główna izba i zjechałam w dół. Sala nie miała tylnej ściany, która osłoniłaby nas przed bystrym wzrokiem żołnierzy stojących na obwarowaniach zamku.

Zadrzałam.

Nigdy jeszcze nie byłam tak blisko tej straszliwej twierdzy. Tu więziono Amalryka i Janosza Szarego Płaszczę, z początku w komnacie na wysokiej wieży, próbując ich złamać przy użyciu magii, a potem w głębokich, wilgotnych lochach. Otrząsnęłam się ze złych myśli; moim, a raczej naszym wspólnym celem było pozbycie się tego zła: zrównanie z ziemią budowli z wielkich, parujących kwaśnym dymem kamieni i zniszczenie jego władców - Archontów. Jeśli zacznę rozważać ich uczynki i złękę się, jak sklepikarka, która ze strachu wyskakuje z majtek na pierwszą lepszą przepowiednię wróżbity, na pewno nic nie osiągnę.

Zrujnowana wieża strażnicza zagradzała nam drogę do wąskiej wulkanicznej grzędy, która zaczynała się kilkaset metrów dalej i biegła wokół całego zamkowego muru.

W najwęższym miejscu półka ta nie miała więcej niż długość włóczni, a w najszerszym około dwóch długości; w każdym razie tak wynikało z pomiarów, które przeprowadziłam w ciągu dwóch minionych dni, gdy przygotowywałam ten wypad. Nie sądzicie tylko, że owa gręda stanowiła słaby punkt, który armia mogłaby jakoś wykorzystać. Jak już mówiłam, z jednej strony miała mur twierdzy, gładki i wysoki, bez żadnych punktów zaczepienia dla szturmowych drabin. Z drugiej strony półka opadała gładkim jak szkło, co najmniej sześćdziesięciometrowym urwiskiem do zatoki portowej, w której tkwiły beczynnio okręty zablokowane potężnym łańcuchem.

Machnęłam ręką i Corais z trójką gwardzystek przemknęły się pod mury. Usłyszałam stłumiony okrzyk i pozostała szóstka obnażyła broń - prawdopodobnie zauważyły wartownika, lub lotny patrol. Polillo rzuciła na ziemię worek i sięgnęła po topór.

Zatrzymałam ją gniewnym zmarszczeniem brwi - Corais zaryzykowałyby głośniejszy okrzyk, gdybyśmy jej były potrzebne. Moja zastępczyni mruczała pod nosem coś niepoehlebnego, przysłuchując się odgłosom walki; wiedziałam, że krew się w niej burzy. Po krótkiej chwili pojawiła się Corais i pokazała, że możemy ruszać. Patrząc na jej splamioną posoką miecz, Polillo warknęła z zazdrości. Corais lekko się uśmiechnęła i wzruszyła ramionami: co mogła na to poradzić? Taki los, i

już. Syknęłam na nie: „Przestańcie się wygłupiać, zajmijcie się swoją robotą”. Potem wdziałyśmy pendenty i pobiegłyśmy do skalnej półki.

Okrzyłyśmy twierdzę niemal do połowy, zanim dostałyśmy się do miejsca, które wybrałam do przeprowadzenia dywersji. Półka się tam nieco rozszerzała, tworząc miejsce, powiedzmy, dla połowy kompanii, która mogłaby się tu zgromadzić, wystawiając na śmiertelne ciosy z murów; jeśli obrońcy wiedzieli o obecności przeciwnika w tym miejscu, nie można by stąd przeprowadzić nawet najprostszej akcji ani też stworzyć przyczółka. Jednak to nie szerokość półki była powodem mojej decyzji. Wydawało mi się, że z dala dostrzegłam, iż niegdyś były tu drzwi, wybite w narożnej wieży na murze. Zakłęcie wyostrowające wzrok potwierdziło moje obserwacje. Zastanawiałam się wtedy, po co mieszkańcy zamku potrzebowali tego wejścia. Teraz znowu się skupiałam i wydało mi się, że na skraju urwiska znajduje się potrzaskany kamienny fundament, gdzie kiedyś mógł być osadzony dźwig z wielokrążkiem. Prawdopodobnie było to tajemne wejście, przez które dostarczano Archontom towary prosto z morza, wciągając je po urwisku i pośpiesznie zanosząc do jakiejś kryjówki. Zadrzałam, zastanawiając się jak straszliwe musiały to być rzeczy, skoro nawet Archontowie obawiali się ich odkrycia przez całkowicie podporządkowany sobie lud.

Gdy podzieliłam się tymi obserwacjami z Polillo i Corais, w ich oczach zaigrały iskierki. Może uda się w jakiś sposób wyłamać te drzwi i wprowadzić do zamku oddział żołnierzy?

Natychmiast przerwałam te bzdurne przypuszczenia. Wiedziałam, że Archontowie i ich dowódcy nie są głupcami, więc taki słaby punkt w obronie, mimo że niezwykle trudno osiągalny, na pewno został dawno temu umocniony. Gdy zbliżyłyśmy się do tajnego wejścia, spostrzegłam, że miałam wtedy rację. Odrzwia zostały solidnie zacementowane - przed wieloma laty, sądząc z barwy zaprawy. Można by je wyważyć tylko z pomocą potężnego tarana - tylko jak go przenieść na skraj urwiska? Mimo wszystko jednak, brama ta pomogła nieco zmodyfikować początkowy zamysł Gamelana.

Poniżej znajdowało się wejście do portu; widziałam zawieszony nad wodą kolosalny łańcuch, zamykający drogę dla żeglugi. Ogniwa były wielkości rzecznych kutrów, pozieleniały ze starości, od wodorostów i planktonu. Godzinami wpatrywałam się w ten łańcuch, planując naszą misję: zastanawiałam się, czy uda nam się dotrzeć wulkaniczną grzędą do miejsca, gdzie został przymocowany do muru gigantycznym zaczepem.

Podejrzywałam, że półka nie dochodzi do niego i okazało się, że miałam rację.

Nawet gdyby udało się tam dotrzeć, co by nam z tego przyszło? Łańcuch podnoszono i opuszczano za pomocą dźwigni, wielokrążków i innych sztuczek technicznych, wspomaganych magią, ale urządzenia te mieściły się na przeciwnym cyplu, na wieży, której broniono z równym zapałem co samego zamku.

Zmusiłam się, by powrócić do rzeczywistości; wstyd mi było, że pozwalałam sobie na mrzonki, jakbym była młodą szeregową, która zawsze wierzy, że jednym posunięciem, jedną jedyną szarżą można nie tylko wygrać całą wojnę, lecz także wynieść pomysłodawczynię na szczyty chwały. Nasze zadanie tamtego dnia było o wiele bardziej prozaiczne: polegało jedynie na wspomaganiu szturm, który już się rozpoczął za moimi plecami.

Poczułam wężowy dotyk zimnych palców na plecach. Miałam dziwne uczucie, że obserwują mnie czyjeś nieprzyjazne oczy. Rzuciłam szybkie spojrzenie na umocnienia nad naszymi głowami: nie spostrzegłam nikogo. Nauczyłam się jednak brać pod uwagę takie nieprzyjemne odczucia, więc bacznie przyjrzałam się również samym mur, szukając okna lub szczeliny strzelniczej, z której ktoś mógłby się nam przyglądać. Ani śladu nieprzyjaciela.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy to właśnie z tej strony zamku znajdowała się cela Amalryka - opowiadał, że z okna swego więzienia miał dobry widok na port i łańcuch. Nie.

Mury były gładkie; poza zamurowanymi drzwiami nic nie zakłócało jednolitości kamiennej ściany. A jednak wciąż mi się zdawało, że ktoś na nas patrzy.

Wtedy coś usłyszałam - głos, który jednak głosem nie był. Wydawało mi się, że wyszeptał jakieś ostrzeżenie, choć nie potrafiłam rozróżnić poszczególnych słów ani też płci tego, kto do mnie mówił. Wydawało mi się jednak, że to ktoś znajomy i zadrżałam, przez obłąkańczą chwilę przekonana, że to Halab, mój dawno zmarły brat. Amalryk opowiadał mi niegdyś, że duch Halaba pomagał mu w czasie wyprawy do Zamorskich Królestw. Mój młodszy braciszek zwykle bywał rozsądny, ale tym razem uznałam, że albo wyobraźnia płatała mu figle pod wpływem tego łajdaka Janosza Szarego Płaszcz, albo też w Królestwach robią niezwykle upajające wina.

Zacisnęłam zęby i dałam sygnał. Polillo przerzuciła worek przez ramię i skoczyła przed siebie. Pobiegłam za nią przez nie osłonięty teren. Potężnie zbudowana gwardzistka poruszała się bez wysiłku, choć niosła ciężar, który przygiąłby do ziemi dwóch silnych mężczyzn. Zatrzymałyśmy się w najszerszym miejscu grzędy i moja zastępczyni wysypała z worka trzy wielkie kryształowe kule i statyw, wykonany przez magów w połowym warsztacie. Statyw ów składał się z metrowego cylindra

z gałką na jednym końcu, osadzonego na trójnożu zakończonym kółkami. Cylinder można było wysuwać do wysokości dwóch metrów, podobnie jak nogi. Gdy biedziłam się, by ustawić prawidłowo cały aparat, przez magiczną mgłę przebił się promień słońca i oświetlił nas dokładnie.

Przeklęłam swe niezgrabne palce, wiedząc że w każdej chwili ktoś może nas wypatrzeć. Wreszcie skoczyłam przygotowania i Polillo mogła utworzyć trójkąt z kryształów. Na sygnał, Corais wyprowadziła pozostałe gwardzistki z kryjówki i ustawiła je w szyku, który Gamelan ćwiczył z nami przez pół nocy.

Polillo zmarszczyła brew, gdyż podobnie jak ja, traktowała magię z wielką nieufnością. Powinni byli z nami wysłać Mistrza Magii, by zajął się przygotowaniami.

Gamelan nalegał, by Jinnah pozwolił mu iść z nami, ale generał nie zgodził się na to, zresztą bez słowa wyjaśnienia. Nie pozwolił nawet, by towarzyszył nam jakiś młodszy, mniej ważny czarownik. Polillo odczepiła topór od pasa i stanęła w pozycji odpowiedniej do uderzenia, lekko uginając długie nogi. Wyciągnęłam z sakiewki przy pasie niewielkie zawiniątko i posypałam szarym pyłem najpierw jeden kryształ, a potem dwa pozostałe.

Następnie, choć czułam się bardzo głupio, wyrecytowałam zaklęcie, które Gamelan pracowicie wbił mi do głowy: Jest nas kilka.

Jest nas wiele.

Myśmy z kości.

Myśmy z ciała.

Jest nas dziesięć.

Jest nas tysiąc.

Cofnęłam się i wyciągnęłam miecz. Odrzuciłam głowę do tyłu, zaczerpnęłam powietrza w płuca i wydałam z siebie wojenny okrzyk Gwardii Maranon. Moje siostry powtórzyły go za mną jak echo. Głosy nasze, wibrując, wznosiły się wciąż wyżej i wyżej, aż przebiły się przez bitewny zgiełk. Czekaliśmy, stojąc nieruchomo w dziesiątkę, pewne, że śmierć jest blisko. Widziałam, jak po murach twierdzy nadbiegają żołnierze i zajmują pozycję nad nami. Przygotowałam się na najgorsze. Nagle poczułam mrowienie w całym ciele. Włosy mi się zjeżyły, a sutki stały się twarde jak skała. Mrowienie zmieniło się w falę ciepła, która skoncentrowała się w brzuchu, wlała się do łona i tam nabrała siły, wybuchając jak słup ognia. Wydałam radosny okrzyk, bo porwała mnie moc i radość tego ognia; słyszałam, jak moje siostry powtarzają ten zew, aż dziesiątek naszych głosów stał się rykiem tłumu. Poczułam, że nie jestem już jedną wojowniczką, lecz dziesięcioma.

Dziesiątka ta w jednej chwili powiększyła się jeszcze dziesięciokrotnie i oto stałam się setką kobiet, zawadiacko wymachujących w powietrzu mieczami. Obok mnie zaś dziewięćset sióstr z furią atakowało nieprzyjaciela.

Gamelan obiecał, że wrogowie zamiast nas ujrzą tysiąc zagrażających im wojowniczek, nagle wyrosłych z ziemi pod ich obronnym murem. Słyszałam okrzyki zaskoczenia z twierdzy i wiedziałam, że mag nie skłamał. Ogarnęła mnie gorączka bitewna i chciałam wezwać mój oddział do ataku, ale zdrowy rozsądek przeważył nad magicznie naładowaną wyobraźnią i zamiast tego dałam sygnał Corais, która z drugą kobietą popędziła do trójnoga na kołach. Pchnęły go naprzód. Gałka uderzyła o ścianę. Wiedziałam, że jest zbyt mała, by zostawić na niej choćby najlżejszy ślad, ale za to wydawała odgłos, jakby była potężnym taranem - i tak właśnie wydawało się nieprzyjaciołom. Przez chwilę uchwyciłam w kryształowej kuli obraz, który im się objawił: nasz dziwaczny trójnóg stał się potężnym hulajgrodem, wznoszącym się nad dwustu wojowniczkami, które go pchały; tak wielka machina z łatwością roztrzaska drzwi w murze, choćby nie wiem jak solidnie wzmocnione.

Reszta z nas, czyli osiemset kobiet, była odziana w lśniące puklerze i wymachiwała wszelkiego rodzaju bronią: toporami, łukami, lancami i kuszami; miałyśmy też haki i drabiny do szturm. Wyglądałyśmy przerażająco.

Teraz dało się słyszeć o wiele więcej ostrzegawczych okrzyków, lecz nie stanowiły one dla nas zagrożenia: dowództwo w tej części umocnień przejęła Pani Panika.

Słyszałam, jak Polillo śmieje się i drwi z ich męskości. Zaśmiałam się razem z nią, wyobrażając sobie, jak jądra kurczą im się pod brzuchem. Już wkrótce wróg wycofa oddziały broniące bram i rzuci je, by odeprzeć nowe zagrożenie. Jinnah miał w rezerwie potężne odwody, które tylko czekały, by uderzyć w tę osłabioną linię obrony; wtedy nadmorski zamek Archontów po raz drugi podda się Orissie.

Usłyszałam ostrzegawczy krzyk jednej z moich wojowniczek. Po niebie pędziły wielkie czarne chmury. Kotłowały się nad nami, kłębiąc się i wirując. Krew zastygła mi w żyłach na dźwięk przerażającego śmiechu, który z nich się dobył. Czarna zasłona rozsunała się i ujrzałam gigantyczną męską twarz. Oczy jej były czarne jak mogilna ziemia, pełne usta czerwone jak krew, a długa broda przypominała puszczańskie ostępy. Usta uniosły się, odsłaniając długie, spiłowane na czubkach zęby. Archont roześmiał się znowu, a śmiech ten był tak potężny, że zniszczył zaklęcie Gamelana i pozbawił mnie sił. Miałam prędko, aż z setki żołnierzy stałam się dziesiątką, a potem jedną samotną, małą postacią, która niebacznie rzuciła wyzwanie Archontowi Likantu.

Zacisnął usta, by wypowiedzieć z sykiem jedno słowo. Oddech miał cuchnący i tak zimny, że - skostniałe - nie mogłyśmy ruszyć się z miejsca.

- Antero - powiedział, z pewnym zaskoczeniem, jak sędzę. Jego spojrzenie przybrało kształt robaków, które wychylały się z błota, by mi się przyjrzeć, kalając mą duszę swymi odchodami. Kolejny wybuch śmiechu. - Ależ to kobieta!

Drwina była jak grzmot. Wciągnął powietrze, aż wszystko wokół zawyło - i splunął.

Plwocina opadła z chmur, pokrywając wszystko ohydny śluzem. Odrażający akt pohańbił nas i ośmieszył. Twarz zniknęła w masie chmur, które przez chwilę dziko się kłębiły, po czym wpłynęły wirującą smugą do wnętrza zamku... i zniknęły.

Dziesięć wojowniczek stało na odkrytej półce. Byłyśmy bezradne wobec wroga.

Przed niechybną śmiercią stałyśmy się obiektem drwin... mężczyźni z murów naigrywali się z naszej płci i wywrzaskiwali wulgarne przechwałki, do czego to posłużą im nasze martwe ciała. Obelgi te odniosły jednak odwrotny skutek, gdyż nie wzbudziły w nas strachu, tylko dziki gniew.

Polillo ryknęła: - No to chodźcie tu walczyć, likantyjscy wszarze! Obetnę wam ręce i nogi, a głowy odeślę waszym kobietom, tylko przedtem powtykam wam oberżnięte jaja do gardeł!

Cisnęła wielkim toporem do góry, ale gniew sprawił, że zbyt wcześnie zwolniła uchwyt i broń nie doleciała do obleżonych. Gdyby którakolwiek z nas spróbowała podobnego rzutu, nie sięgnęłaby toporem nawet do połowy ściany. Ostrze z trzaskiem uderzyło w gładką ścianę, lecz zamiast się odbić, utkwilo w niej! Zdumiałam się. Topór nie wszedł w kamień, lecz wsiadł w powietrze. Dlaczego nie spadał?

Na murach pojawił się tłum łuczników i obsypał nas deszczem strzał. Wyszkolenie przemogło lęk i padłyśmy na ziemię, przetaczając się pod samą kamienną ścianę.

Podpełzłam do Polillo, tuląc się do kamienia, by stanowić jak najtrudniejszy cel.

Bezpieczeństwo nasze było jednak całkowicie złudne: wkrótce łucznicy spuszczą haki, którymi podciągną nas do góry, albo też poleją nas wrzącym olejem.

Spojrzałam w górę: dokładnie nade mną wisiał topór Polillo. Ku memu zdziwieniu, wcale nie tkwił w szparze lub spojeniu między kamieniami, tylko we framudze zasłoniętego okiennicą, lecz nie okratowanego nawet okna. Kręciłam głową w obie strony, przyglądając się temu, co wydawało się przedtem gładką ścianą. Na całej przestrzeni murów były okna.

Zastanawiałam się właśnie, co też za sztuczka sprawiła, że kamienna budowla wydawała się gładka, jeśli spoglądało się na nią z pewnej odległości, gdy usłyszałam jęk bólu. Odwróciłam się gwałtownie: to jedna z mych gwardzistek wyciągała grot strzały z uda.

Zagłada naszego oddziałku była już bliska. Spojrzałam na kryształowe kule, w dalszym ciągu leżące na odkrytej przestrzeni i wpadłam na pewien pomysł. Szybko wydałam odpowiednie rozkazy Polillo. Kiwnęła głową, a twarz jej pojaśniała.

Skoczyłam na równe nogi i popędziłam przed siebie jak strzała, udając, że chcę uciec.

Biegłam zygzakiem, starając się uchylać przed lecącymi strzałami. Polillo również rzuciła się do przodu, lecz w inną stronę. Gdy łucznicy skupili na mnie uwagę, ona pobiegła w stronę kul. Pochwyciła pierwszą i rzuciła w grupę przeciwników na murach. Kryształ gwizdnął w locie jak pocisk wyrzucony z oblężniczej katapulty, uderzył tuż pod flankami i rycząc ogłuszająco, eksplodował morzem płomieni. Domyśliłam się, a raczej po prostu miałam nadzieję, że zaklęcia, które Mistrzowie Magii wymruczeli nad tą kulą, potężnie ją naładowały, a zawartą w niej moc można było wyzwolić nie tylko z pomocą magii, lecz także sił fizycznych, tak jak doskonale wykonany kryształ można rozbić jednym delikatnym stuknięciem paznokcia, jeśli ktoś wie, gdzie uderzyć.

Z murów posypały się kawałki gruzu i kamienie, a Polillo pochwyciła następną kulę i cisnęła w górę. Tym razem udało jej się przerzucić kryształ za mur; niewidoczna dla nas eksplozja wstrząsnęła podwórcem. Ostatnia kula trafiła w cel. Po chwili usłyszałam okrzyki bólu i przerażenia.

Zanim wróg otrząsnął się z szoku, odbiegłyśmy szeregiem tam, skąd przyszłyśmy.

Corais prowadziła, a Polillo, z ranną przerzuconą przez ramię, pilnowała tyłów.

Nie zawracałyśmy sobie głowy zygzakowaniem, lecz pędziłyśmy prosto przed siebie, jak jaskółki zmierzające do gniazda. Lecz nawet podczas tej szalonej ucieczki palił mnie wstyd; mimo improwizacji, która uratowała nas wszystkie, dławił mnie w gardle gorzki smak wstydu.

Półka skalna doprowadziła nas wreszcie do zrujnowanej strażniczej wieży, gdzie czekały przygotowane liny i bezpieczne schronienie. Z tyłu zaczęły świstać strzały.

Chwila spokoju minęła.

W momencie gdy pierwszy rój strzał padł na ziemię za nami, pewna myśl wyrwała mnie z posępnego nastroju. Nagle odgadłam, na czym polega zagadka zamku Archontów.

Pomodliłam się do Maranonii, by dodała chyżości mym stopom, a wrogom zaćmiła wzrok.

Byłam pewna, że jeśli bogini uśmiechnie się do swej córki, jeszcze tam wrócę.

Rozdział Trzeci

KOŚCI ZOSTAJĄ RZUCONE

Wiesz ty, skrybo, co to nienawiść? Czy spoglądałeś kiedyś w czyjeś oczy i czułeś pogardę tak dziką, że pragnąłeś je wydrzeć z twarzy? Nie musisz odpowiadać - wstydlivy rumieniec na twojej twarzy mówi mi, że tak. Dobrze. Cieszę się, że masz w żyłach krew, a nie wodę. Łatwiej zrozumiesz, co zaszło między mną a Jinnahem.

Na początku sądziłam, że to tylko wzajemna niechęć. Nie było w tym nic dziwnego.

Całkiem często się zdarza, że dwie osoby potrafią się znieubić od pierwszego spojrzenia.

Wymieniłam już wady, jakie moim zdaniem posiada Jinnah i podobni mu lalusie.

Jego antypatia w stosunku do mnie również wydawała się naturalna. Orissańscy patrycjusze gardzą kupieckimi klanami, takimi jak ród Antero. Pieniądze zarobione ciężką pracą i handlem wydają się im czymś nieprzyzwoitym. Ale w Orissie nawet chłop, byleby miał odwagę i talent, może ciężką pracą przebić się na te piękne komnaty, do których Jinnah miał wstęp z racji urodzenia. Co więcej, to ród Antero - dzięki memu bratu - oswobodził niewolników, ku głębokiemu niezadowoleniu starych rodów.

Istniały więc powody do wzajemnej niechęci. Jinnah był dowódcą, więc ze wszystkich sił starałam

się ukrywać moje uczucia. On, dla odmiany, wcale tego nie próbował.

Jestem żołnierzem i chlubię się tym, że potrafię wykonywać swoje obowiązki w każdych warunkach, nawet jeśli przełożeni są mi niechętni. Ale w noc poprzedzającą ostateczną bitwę, gdy siedziałam w namiocie Jinnaha i wyłuszczałam swój plan, zaszło pewno drobne zdarzenie, z którego mogłabym wywnioskować, jak głęboka jest jego nienawiść. Byłam jednak tak rozgorączkowana swoim odkryciem, że nie pomyślałam, by je głębiej przeanalizować. Wiele krwi splamiło moje ręce z powodu tego niedopatrzania - krwi moich sióstr i przyjaciół.

Duchy ich nazbyt są kochające, by mnie prześladować. Ale rzadko miewam spokojne noce, skrybo. A jeśli nawet zasnę, to zapadam w nicość, bez marzeń i koszmarów.

Mężczyźni bez słowa wysłuchali opowieści o tym, co widziałam ze skalnej półki.

Szlachetne oblicze generała Jinnaha spoglądało na mnie z wyższością; przybrał maskę uprzejmej uwagi a usta rozciągnęły się w grymasie, który z trudem można by określić jako uśmiech. Podczas całej mojej przemowy przebierał jednak niecierpliwie palcami po blacie bogato zdobionego polowego stolika. Jego adiutanci, naśladując nastrój pana i władcy, założyli ramiona na piersi i siedzieli, znudzeni. W wilgotnym namiocie cuchnęło zastarzałym piżmem, męskimi perfumami, które lubił Jinnah, a zatem i jego adiutanci. W kącie majaczył ciemny, potężny kształt - admirał Cholla Yi, który zabawiał się, rozbierając mnie w wyobraźni. Wpatrywał się w moje ciało, gładząc koronkowe mankiety i od czasu do czasu sprawdzając, czy jego szpiczasta fryzura dobrze się trzyma. Cudownie, pomyślałam. Jeszcze jeden typ, który uważa, że jeśli pójdę do łóżka z prawdziwym mężczyzną, z pewnością zmienię swe seksualne preferencje. W zwykłych warunkach skopałabym go w pojedynku po jajach, ale tak mi zależało na powodzeniu planu, że tym razem zignorowałam jego próby upokorzenia mnie. W odległym kącie namiotu Gamelan milczał, podobnie jak inni.

Nie potrafiłam odczytać jego uczuć, ale przynajmniej nie odczuwałam wrogości z tamtej strony.

Jinnah ziewał, gdy po raz pierwszy opowiedziałam mu o tym, jak topór Polillo zawisnął w osłanianym zakłębieniu oknie. Za to krzaczasta brew na jastrzębiej twarzy Gamelana powędrowała wysoko do góry. Gdy wyjaśniałam dowódcy, w jaki sposób chciałabym wykorzystać to odkrycie - i jeszcze kilka innych - ziewnął jeszcze szerzej. Ale Gamelan w napięciu pogładził siwą brodę.

Kapitan Hux, pierwszy zastępca Jinnaha, w afektowany sposób udawał, że pisze notatkę.

- Czy mam wysłać zwiadowców, by potwierdzili te ... niezwykle obserwacje, o których donosi kapitan Antero? - spytał leniwie, głosem wprost ociekającym ironią.

Jinnah zadał sobie trud i przez chwilę udawał, że się zastanawia.

Zaprotestowałam ostro: - W ten sposób możemy zaprzepaścić szansę, sir. Jeden Te-Date wie, czy podobna okazja jeszcze się kiedyś powtórzy.

Jinnah nachmurzył się: - Zakładając, że zechcę się zainteresować waszymi... poglądami, będę nalegał na przeprowadzenie profesjonalnego rozpoznania.

Ugryzłam się w język, by zatrzymać gniewne słowa. Wskazałam na egzemplarz mojego raportu, zawierającego szczegółowe szkice, wykonane przez Polillo.

- Masz na to nie tylko moje słowo, sir - odparłam. - Moi oficerowie również podpisali ten dokument.

Hux bez słowa pokręcił głową.

Przyjmując jego sugestię, Jinnah odparł: - Nie będę bez potrzeby obrażać uczuć moich wyższych dowódców. Nie będziemy na ten temat więcej dyskutować, kapitanie. - Z tymi słowami wziął do ręki raport i przekartkował go, po czym parsknął pogardliwie i upuścił na ziemię.

- Ten cały plan jednak wielce mnie zaniepokoił. Są to rojenia - jak by to można nazwać? - niezrównoważonego umysłu - dodał i zwrócił się do Huxa. - Właśnie przed czymś takim ostrzegałem radę.

Mało brakowało, a skoczyłabym na równe nogi. Ale opanowałam gniew.

- Nie chodzi mi o siebie, sir - powiedziałam przez zaciśnięte zęby. - Ale nie zgodzę się, by naigrywano się z moich wojowniczek. Walczyły równie dobrze i ponosiły straty równie wielkie, jak inni w tej wojnie, sir.

Oczy Jinnaha płonęły, ale zachowywał maskę spokoju, a ohydny uśmiezek jeszcze się pogłębił.

- Twoje słowa są w zasadzie słuszne, kapitanie - odparł. - Kładę jednak nacisk na to „w zasadzie.” - Tu zwrócił się do Huxa. - Właśnie takie nielogiczne zachowanie mnie niepokoi - powiedział i z powrotem popatrzył na mnie, przybierając pozę ojcowskiej łagodności. - Obawiam się jednak, że nie możemy nic poradzić przeciwko samej naturze.

Cholla Yi zaniósł się krótkim, złośliwym chichotem. Miałam tego dość. Poklepałam tkwiący w pochwie sztylet i powiedziałam spokojnie: - Uważaj, admirale. Nie słyszałeś, co przed chwilą stwierdził generał? Mojej naturze nie należy zbytnio ufać.

Spochmurniał, ale gniew jego zaplątał się w sieć oszołomienia. Co odpowiedzieć na takie wyzwanie? Żadna kobieta nigdy nie odzywała się do niego w ten sposób.

Odwrociłam się od niego, zanim się otrząsnął, i skoncentrowałam z powrotem na Jinnahu. Przy okazji jednak spostrzegłam, że Hux i inni adiutanci znacznie spoważnieli. Właśnie o to mi chodziło.

Znali moją reputację jako wojowniczkę, a niektórzy nawet widzieli mnie w akcji.

Kręcili się teraz na krzesłach jak mali, nieznośni chłopcy. Jinnah jednak spojrzał mi prosto w oczy.

- Z całym szacunkiem protestuję przeciw pańskiej reakcji na mój plan, sir - powiedziałam, starając się, by w mej wypowiedzi nie było nawet cienia niesubordynacji. - Moim zdaniem zasługuje on na

uważniejsze przestudiowanie. Jeśli mam rację, o tej porze jutrzejszego dnia zakończymy wojnę i zadamy klęskę wrogowi.

- Ależ ja go bardzo uważnie przestudiowałem, kapitan Antero - odparł Jinnah. - I podjąłem już decyzję.

- A zatem nalegam, sir, by odnotowano mój protest.

Jinnah uśmiechnął się chytrze.

- Ależ został odnotowany, kapitan Antero - odrzekł i wstał, jakbyśmy skończyli już naradę.

- Życzę sobie, by to się odbyło oficjalnie, sir - zażądałam. - Mam prawo, by odnotowano go w oficjalnym dokumencie i opatrzone podpisami wszystkich osób obecnych w tym namiocie, jako świadków. Jutro wyrusza kurier do Orissy. Zamierzam włączyć ten protest do poczty, którą zabierze, sir.

Jinnah wybuchnął: - Jak śmiesz mi się sprzeciwiać!

- Nie sprzeciwiam się panu, sir - odrzekłam. - Tylko uprzejmie proszę, by respektowano moje prawa, jeśli będzie pan tak uprzejmy.

- Nie będę tak uprzejmy - warknął.

- Czy pan odmawia, sir? - spytałam, nadając głosowi pewną ostrość.

Jinnah był coraz bardziej wściekły, ale zanim zdążył wybuchnąć gniewem, Hux pociągnął go za rękaw. Wiedziała, że ktoś będzie musiał ostrzec generała, jak jest bliski przekroczenia granic swej

władzy. Jeśli wojna dalej będzie nam źle szła, mój protest będzie bardzo na rękę politykom, szukającym kozła ofiarnego.

Westchnął głęboko i opadł na składane krzesło: - Czego sobie ode mnie życzysz, kapitanie? - spytał uprzejmie, starając się przybrać pozę znużonego, lecz rozważnego dowódcy.

- Chcę, żeby pan uszczęśliwił wiele matek, sir - odparłam. - Chcę, by położył pan kres przelewowi krwi i stał się bohaterem całej Orissy. Chcę, by rozkazał pan zrealizować mój plan.

Westchnął ciężko i głęboko: - Nie mogę tego zrobić - odpowiedział.

- Dlaczego nie, sir?

- Bo twój plan nie ma sensu.

- Jeśli tak rzeczywiście jest, proszę powiedzieć mi, dlaczego - poprosiłam. - Niech pan się ze mną podzieli swoją mądrością, sir, a wtedy wycofam protest. Proszę mi wskazać, sir, gdzie się pomyliłam.

Jinnah rozejrzał się, szukając wsparcia, ale zanim któryś z adiutantów zdążył coś wymyślić, do dyskusji włączył się Gamelan.

- Właśnie, generale - powiedział. - Sam chciałbym wiedzieć, dlaczego.

Zdumiony Jinnah odwrócił się do niego. Mistrz Magii skubał swą brodę.

- Czytałem ten raport i nie widzę w nim słabych punktów. Naturalnie, nie jestem profesjonalistą, lecz...

Pomimo spokojnego zachowania, starzec był potężną osobowością. Dało się to odczuć teraz, gdy się odezwał. Jinnah aż się skurczył pod jego łagodnym spojrzeniem.

- Może rzeczywiście powinienem go uważniej przestudiować - wycedził nerwowo i rzucił raport Huxowi. - Proszę powołać zespół sztabowy - powiedział energicznie.

- Powiedz im, że muszę mieć odpowiedź za tydzień.

- Za tydzień? - zawołałam, zapominając się na myśl, że mój plan za chwilę zniknie w biurokratycznym papierowym młynie. - Przez ten czas zginie następny tysiąc ludzi!

Mój wybuch był poważną pomyłką. W ten sposób dałam Jinnahowi argument przeciw sobie. Wąskie wargi generała rozciągnął szeroki grymas zadowolenia.

Zanim jednak zaatakował, ponownie przerwał mu Gamelan.

- Tak, tak - powiedział z roztargnieniem, jakby nie zauważył mojego wybuchu. - Obawiam się, że trzeba to zrobić albo zaraz, albo wcale!

Poszukał czegoś w kieszeni czarnego płaszcza - tradycyjnego ubioru magów, a gdy wyciągnął stamtąd rękę, w powietrzu rozszedł się ostry zapach siarki. Oczy Jinnaha rozwarły się szeroko, gdy zobaczył w dłoni Mistrza Magii pięć ozdobnych kostek pokrytych tajemniczymi symbolami, wytrawionymi czerwienią. Powietrze aż stężało od magicznej energii. Spoglądaliśmy na wróżebne kości Wielkiego Mistrza Magii. Słyszałam, jak Cholla Yi modli się szeptem do jakiegoś pirackiego boga. Hux i pozostali adiutanci wyglądali, jakby mieli ochotę uciec ze strachu. Ja z kolei tak byłam pochłonięta rozgrywką z Jinnahem, że nie czułam niczego, nawet śladu fascynacji.

Oczy Gamelana płonęły żółtym blaskiem. Wyciągnął kości w stronę Jinnaha.

- Rzuć nimi, generale - rozkazał.

Jinnah odwrócił oczy od żółtego, lwiego spojrzenia. Oblizął suche wargi.

- Myślałem, że to wy...

Gamelan potrząsnął głową.

- To od ciebie zależą nasze losy, generale.

Po długim wahaniu Jinnah wyciągnął drżącą rękę. Mag włożył w nią kości, a Jinnah machinalnie zacisnął je w pięści. Gamelan zaintonował: Kości Przeznaczenia, Powiedzcie prawdę, Komu się powiedzie?

Komu przegrana przypadnie?

Kto was powitać przyjdzie Przy Płonącym Palenisku Przeklętych?

Jinnah krzyknął z bólu i cisnął kości na połowy stolik. Nozdrza zbrukał nam ohydny smród palonego generalskiego ciała. Ssał oparzoną rękę.

- Ja... ja nie mogę - wykrztusił.

Słyszałam pełne przerażenia szepty pozostałych. Zmusiłam się, by zamknąć uczucia w sercu, a myśli w głowie. Pozwoliłam sobie na jedyną pociechę: dłoń mocno zaciśniętą na głównej rękojeści miecza. Nie uspokoiliłam się jednak wcale, gdyż jednocześnie spojrzałam w twarz Wielkiego Mistrza Magii:

malowało się na niej przerażenie.

- To już się stało! - syknął.

- Co? - spytał Jinnah przerażonym szeptem.

Gamelan potrząsnął głową, nakazując ciszę. Obracał się, wężąc i nad słuchując cichych nocnych odgłosów. Poczułam gęsią skórę na skórze, wywołaną napięciem jego wszędobylskich zmysłów. Gdzieś w oddali stado wilkołaków wyło nad świeżą ofiarą.

Mag odwrócił się gwałtownie, stając twarzą w twarz z generałem.

- Archonci dokonali jakiegoś przełomu - powiedział. - Musimy działać szybko, albo wszystko będzie stracone.

- Ale co... - zaczął zbity z tropu Jinnah.

Gamelan go zignorował. Chwytał kości ze stołu i zaczął wciskać je w moją dłoń.

- Rzuć nimi, kapitanie - polecił.

Wpatrywałam się w niego bez ruchu. Dlaczego mnie o to prosi? Bogowie widać się od nas odwrócili... przecież nie zdołam powstrzymać ich ucieczki.

- Zaczynaj, Rali - ponaglił mnie Gamelan. - Jeszcze nie jest za późno!

Wykonałam polecenie, jak ogłuszona. Otworzyłam dłoń, przygotowując się na ból, gdy kości dotkną ciała. Gamelan dał mi je i przysięgam na wszystkie świętości, że czas nagle stanął w miejscu. Zdawało się, że od ludzi zgromadzonych w namiocie oddzieliła mnie smuga cienia. Poczułam aromat perfum matki z sandałowego drzewa. Skóra moja nabrała miękkiego połysku, jakbym wyszła z wanny pełnej mleka i miodowego wina. Wszystko w tym świecie cieni wydało mi się takie... harmonijne. Kości spoczęły w mej dłoni, jakby wyrzeźbiono je specjalnie dla mnie. Były chłodne, lecz z jakiegoś powodu niepokoiłam się, że są aż tak przyjemne w dotyku.

Gamelan ponownie rozpoczął zaśpiew. Po raz drugi błagał o ujawnienie naszych losów. Kości w dalszym ciągu pozostały chłodne; czułam tylko narastające, przyjemne mrowienie. Przez cały czas recytacji jakiś kobiecy głos szeptał mi do ucha: „Rali oznacza nadzieję. Rali oznacza nadzieję.” - Rzuć kośćmi - nakazał Gamelan.

Niezgrabnie wykonałam polecenie. Poczucie, że przebywam w świecie cieni - tylko tak potrafię to opisać - opuściło mnie, gdy kości podskakując toczyły się po stole.

Gdy upadły na blat, półmrok namiotu rozjaśnił blask błyskawicy, która trafiła gdzieś w pobliżu. Po chwili usłyszeliśmy grzmot, tak głośny, że ból rozdarł nam uszy.

Gamelan, zdaje się, nawet tego nie zauważył. Zaśmiał się wesoło i skoczył do przodu, by zobaczyć wynik. Zaśmiał się jeszcze raz i zgarnął kości, ale wkładając je do kieszeni, rzucił mi dziwne spojrzenie. Nie starałam się nawet zrozumieć, o co mu chodziło. Szczerze mówiąc, świadomie unikałam wszelkich domysłów.

Mistrz magii zwrócił się do Jinnaha, który wpatrywał się w całą scenę, otwierając i zamykając usta, jak karp w sadzawce.

- Ona jest naszą jedyną nadzieją, generale - powiedział do mego wroga. - Nie pytaj mnie, dlaczego, bo sam tego nie wiem. Ale jestem pewien swego.

Jinnah jednak się wahał. Spojrzał na mnie, maska opadła i przez chwilę widziałam w jego oczach nienawiść, zimną, czarną i głęboką. Jej siła odepchnęła mnie w tył.

Pierwszym uczuciem było zdumienie. Czym sobie zasłużyłam na tak przerażającą wrogość?

Zdumienie moje pogłębiło się jeszcze, gdy na dnie nienawiści dostrzegłam lęk. Zanim jednak zdążyłam się nad tym zastanowić, poczułam płomień gniewu. Buchnął tak gwałtownie, że zerwałam się do skoku, by zabić tego człowieka na miejscu.

Nagle namiot pojaśniał, gdy kolejna błyskawica przeszła nocne niebo. I znów podskoczyliśmy, gdy ryk gromu niemal rzucił nas na ziemię.

Jinnah pochwycił szklanicę brandy i wychylił ją do dna - na uspokojenie.

- I co, generale? - naciskał Gamelan.

Nasz wódz przytaknął ledwie dostrzegalnym ruchem głowy i schrypniętym z napięcia głosem odpowiedział: - Jutro ruszamy do szturmu. O zmierzchu.

O świcie złożyliśmy ofiarę, a raczej trzy ofiary, podkreślające nie tyle znaczenie, ile niebezpieczeństwo zagrażające w czasie przedsięwzięcia, jakiego miałyśmy dokonać tej nocy. Najpierw posłałyśmy Maranonii owieczkę. Powinien to być tłusty tryk, ale jak już mówiłam, okoliczne ziemie zostały do cna splądrowane, więc bogini musiała się zadowolić tym kościstym biedactwem. Po wygranej bitwie dostanie odpowiednie zwierzę. W końcu była boginią wojowniczek i na pewno rozumiała, że czasem trzeba zadowolić się namiastkami. Ktoś zaproponował, żeby złożyć jej w ofierze likantyjskiego jeńca, ale szybko odrzucono tę propozycję: nie jest najmądrzejszym posunięciem próba zyskania aprobaty bogini, przez złożenie ofiary, której skrwawiona dusza jest najsilniejszym argumentem przeciw wszystkiemu, czego od niej chcemy. Następnie złożyliśmy mniejszą daninę z ryb bogom Orissy, a potem każda z nas ofiarowała coś od siebie bogom ogniska domowego.

Miałam nadzieję, że te dary zostaną przyjęte z zadowoleniem i że niewiele z nas będzie musiało stawić się osobiście przed obliczem bogów z nadejściem następnego świtu.

Resztę poranka poświęciłyśmy na ostatnie przygotowania. Wojenne ballady rzadko poświęcają choć słowo zapoconym kowalom, którzy pilnują, by wszystkie wierzchowce były dobrze podkute przed szarżą kawalerii, albo zbrojmistrzom i ich sypiących iskrami ostrzałkom, na których doprowadza się morderczą broń do stanu gotowości...

niewielu cywilów zdaje sobie także sprawę, że żołnierze - a przynajmniej ci, którym zwykle udaje się przeżyć - prawie nigdy nie zastanawiają się nad przedmiotem ataku, tylko z krzykiem ruszają do szarży.

Od świtu do południa w naszym obozie wrzała gorączkowa krzątanina. Wyposażenie każdej gwardzistki sprawdzała kapral, potem porucznik, a na końcu Polillo wraz z Corais. W południe najadłyśmy się do syta: przed bitwą zawsze podawano rostbef i jaja.

Musiałam wysłać komando kwatermistrzowskie złożone z najbardziej utalentowanych złodziejasków daleko w głąb kraju, by zapewnić moim żołnierzom tak wystawny posiłek.

Niespodziewana burza - przywołana przez dwóch Mistrzów Magii niższego stopnia - przegoniła nas do namiotów w udawanym pośpiechu i zaskoczeniu. W ukryciu przebrałyśmy się w bojowe uniformy - odzież z surowego płótna i matowe zbroje. Przez otwarte poły wpadła do mego namiotu przygnana deszczem bryza. Zadrżałam, lecz nie dlatego, że wiatr był chłodny.

Zbyt wiele postawiłam na jedną kartę. Logika wojny mówi, że nigdy nie można wystawiać w bitwie całej jednostki szczególnie, w przypadku wysokiego ryzyka.

Jeśli z walki wraca garstka żołnierzy, pozostali tylko wzruszają ramionami; ale jeśli oddział zostaje zmieciony z powierzchni ziemi, wszyscy inni czują zimne palce śmierci na swych własnych grzbietach.

Tym razem zostawiłam na tyłach tylko nieliczną grupkę gwardzistek. Część była chora lub poraniona, a reszta stanowiła świeży, nieprzeszkolony zaciąg, który przybył poprzedniego dnia z Orissy pod wodzą ambitnej młodej funkcyjnej. Oprócz mnie, Corais i Polillo była to jedyna gwardzistka w

randze oficera. Nasze dowódczynie zawsze w walce stawały na czele oddziałów, więc śmiertelność wśród nich była katastrofalna... a w tej wojnie nie było czasu na szkolenia ani promocje.

Funkcyjna miała na imię Dica i była chyba młodsza, niż ja, gdy zaciągnęłam się do Gwardii. Odwołałam ją na bok i poinformowałam, że jeśli nie wrócę po bitwie, ona będzie następnym komendantem Gwardii Maranon. Zbladła, lecz twardo zacisnęła usta.

Spodobało mi się takie zdecydowanie: dziewczyna zapowiadała się na dobrego żołnierza.

- Jeśli padniemy w boju - rozkazałam - masz wrócić do Orissy i odbudować Gwardię.

Maranonia stawia wysokie wymagania, lecz w mieście jest wiele weteranek, które ci pomogą.

Jednakże twoim pierwszym obowiązkiem będzie odzyskać sztandar, który dziś w nocy zabieramy ze sobą. Jeśli nie wrócimy, sztandar ten będzie tam, gdzie polegną wszystkie Gwardzistki Maranon - wewnątrz Cytadeli Archontów.

Poleciłam jej odmaszerować i odwróciłam się do Corais. Ta poczekała, aż młoda Dica opuści namiot, po czym uśmiechnęła się ironicznie, doskonale wiedząc, dlaczego przemawiałam z takim dramatyzmem.

- Bardzo dobrze, kapitanie - powiedziała. - Jeśli pisana jest nam śmierć tej nocy, twoje słowa pomogą stworzyć nową legendę. Polillo pewnie by się popłakała, gdyby je słyszała. - Westchnęła. - Straszna szkoda, że te cholerne legendy muszą być takie smutne, prawda?

Burza trwała dalej. Pod jej osłoną w naszych namiotach zagospodarował się oddział mężczyzn, którzy mieli za zadanie rozpaścić ogniska kuchenne, kręcić się po obozie, wystawić posterunki, czyli, jednym słowem stworzyć dla postronnych obserwatorów iluzję, że Gwardia Maranon w dalszym ciągu pozostaje w rezerwie.

Poczyniwszy wszelkie przygotowania do bitwy, ruszyliśmy szybkim marszem na tyły orissańskiego obozu, a potem zeszliśmy po urwisku na brzeg morski poza Likantem, gdzie na piaszczystej plaży spoczywały na rolkach galery admirała Cholla Yi. Poprzedniej nocy próbowałam niezgrabnymi zwrotami szczura lądowego opisać, jakiego rodzaju łodzi będziemy potrzebować podczas szturm. Cholla Yi zaśmiał się, niby to po przyjacielsku, jakbyśmy przedtem nie byli o krok od pojedynku, po czym powiedział, że nie muszę się dalej wysilać.

- Dość często zdarza się, kapitan Antero, że my, żeglarze miewamy swoje dobrze ukryte sekrety. Każda z moich galer ma na pokładzie jedną albo dwie szalupy, zaprojektowane dokładnie tak, jak opisujesz - jakbyś osobiście dawała wskazówki skutnikowi. Miałem nadzieję, że wykorzystam je do napadów na likantyjskich kupców, których statki tkwią w porcie - naturalnie, gdyby udało się przeciąć ten cholerny łańcuch, co nas trzyma z dala. Ale nie ma co o tym marzyć, gdyż bogowie nader chętnie sprawiają ludziom rozczarowanie.

Po chwili podjął energiczną przemowę: - Łódki są dziesięcioosobowe, a załoga składa się ze sternika i czterech wioślarzy. Możesz wcześniej podzielić swoich żołnierzy - nie wytrzymał i ironicznie zaakcentował to słowo - na takie oddziały, żebyś przy zejściu na ląd nie ganiała za nimi, jak gęsiarka za swoim stadkiem.

Skwitowałam jego słowa jedynie kiwnięciem głowy. Pomyślałam, że admirała nic nie zmieni, a my nie potrzebujemy jego aprobaty. Sądziłam wtedy, że tak czy siak, po wyokrętowaniu nie zobaczę go już więcej na oczy, więc jego zachowanie nie ma znaczenia.

Tyle, jeśli chodzi o mój dar widzenia przyszłości!

Gdy dotarliśmy do obozu najemników, poleciłam gwardzistkom pozostać w ukryciu i przekazałam komendę Ismet, która była moim adiutantem. Ach, spośród wszystkich dziwaczek, stanowiących Gwardię Maranon, ta była prawdziwą osobliwością. Na sam jej widok poczułam się pewniej. Jeśli takie kobiety są wśród nas, nikt nie zdoła nas pokonać!

Widzicie, Ismet była dla nas wszystkich przykładem: od żółtodziobych rekrutów, poprzez równych jej stopniem młodszych oficerów, aż do starszych oficerów.

Stanowiła uosobienie ducha Gwardii, żeby użyć wyświechtanej frazy. Szeptano, że Ismet jest wcieleniem samej Maranonii, szczególnie że przez wiele lat, gdy służyła w Gwardii, nie postarzała się ani trochę. Jej ciemna cera - ciemniejsza nawet niż u tubylców z tropikalnych krain Północy - dodawała jej jeszcze tajemniczości. Nikt nie wiedział, skąd przyszła. Po prostu pewnego dnia pojawiła się w koszarach i oświadczyła, że chce się zaciągnąć. Nie odpowiedziała ani słowem na pytanie o pochodzenie, tylko złożyła przysięgę, że jeśli jej nie przyjmą do Gwardii, zagłodzi się na śmierć. Protestowano, ale nikt nie wątpił w jej determinację. Tu opowieść staje się nieco mniej szczegółowa: może moja poprzedniczka miała miękkie serce, a może był akurat niedobór rekrutów. Najprawdopodobniej jednak ktoś spojrział w oczy tej kobiety i po prostu doznał oświecenia. Ismet była obznajmiona z wszelkimi rodzajami broni. Zaprzysiężono ją jako rekrutkę, ale nawet przez miesiąc nie zagrzała miejsca w tylnych szeregach. Niemal natychmiast ją promowano, i odtąd awans szedł za awansem, póki nie doszła do najwyższego stopnia wśród młodszych oficerów.

Wtedy odmówiła dalszych promocji, mimo błagań, szantażu i grózb. Zdarzyło się to dwa pokolenia temu. Ismet nie brała urlopów, tylko przepustki. Nie szukała kwatery poza koszarami, a jej związki uczuciowe nigdy nie trwały dłużej, niż tydzień. Często powtarzała, że dla żołnierki tylko trzy rzeczy powinny się liczyć: ona sama, jej pododdział i Gwardia.

Gdy gwardzistki zostały rozlokowane, udałam się do namiotu admirała razem z zastępczyniami i czwórką funkcyjnych. Czekał tam na nas Gamelan. Powiedział Cholla Yi, że chce rozmawiać z nami bez świadków. Pirat warknął gniewnie, lecz uspokoił się natychmiast, gdy mag zmierzył go nieruchomym wzrokiem. Oczy Mistrza, zwykle podobne spokojnym, głębokim krynicom mądrości, nagle błysnęły złocistym spojrzeniem, jakim wielkie koty taksują swą zdobycz tuż przed skokiem. Cholla Yi zamknął usta i bez słowa ruszył ku statkom na plaży, wykrzykując po drodze bezsensowne rozkazy do swych podwładnych.

Gamelan już przygotował magiczne ingrediencje. Szczegółowo wypytał Polillo o topór, który pozostał wbity we framugę zamkowego okna. Teraz uniósł do góry miniaturowy model jej broni. Zapalił ogień na trójnogu i polecił nam przed nim uklęknąć. W żar wrzucił znane od wieków zioła, poprawiające ostrość wzroku: rozmaryn, hyzop, skalną różę i białą wierzbę. Sypiąc je w ogień szeptał zaklęcie, a słodki dym, jaki uniósł się z paleniska, rozdzielił się na trzy smugi i owionął nam twarze. Wydawało mi się, że zaraz zaczną nas piec oczy, ale nie: dym był kojący i dziwnie uspokajał. Czwarta smuga cofnęła się w stronę dłoni maga, dzierzących miniaturowy topór, jakby było to mordercze narzędzie normalnej wielkości, rzucone w mur przez Polillo. Zanucił cicho: Topór, choć bez oka Widzenia użyczy, Przymiot jego ostrza Przypadnie dziewczicy.

Nie zniknie, nie odpłynie Wyostrzy widzenie, Nic się nie ukryje.

Recytując śpiewnie, okrążał trójnog, lekko dotykając naszych powiek toporem.

Polillo cofnęła się nieświadomie - ze wszystkich znanych mi osób była najbardziej nieufna wobec magii. Kiedyś opowiedziała mi wróżebny sen, według którego magia miała stać się przyczyną jej śmierci.

- Już po wszystkim - oświadczył Gamelan. - Na razie nic nie poczujecie, choć być może świat będzie wam się wydawał nieco... ostrzejszy - uśmiechnął się, rozbawiony własną grą słów. - To przyjemne, proste zakłęcie - wyjaśnił. - Przyda się wam we właściwym czasie, ale jest za słabe żeby... jak by to powiedzieć... przyciągnąć uwagę nieodpowiednich osób w niewłaściwym momencie.

Moje podwładne wstały i zasalutowały. Pozwoliłam im odejść. Gamelan przeciągnął się.

- A teraz, moja miła pani kapitan, pozostaje nam tylko czekać. Pozwolę sobie na szklaneczkę admirałskiego wina, by skrócić ten czas. Czy zechcesz się do mnie przyłączyć?

- Zwykle nie piję przed bitwą - odpowiedziałam. - Mimo to... chętnie dotrzymam ci towarzystwa, panie, tym bardziej, że chciałabym cię prosić o przysługę.

- Co tylko zechcesz - odpowiedział. - Mógłbym z godzinę rozwodzić się nad tym, że w tobie cała nasza nadzieja i jak wiele od ciebie zależy, ale wydaje mi się, że takie przemowy należy zachować dla ludzi, którzy się nimi wzruszają. Po tym, co pokazał nam wczorajszy rzut kośćmi, wszelkie słowa tracą sens. Żałuję tylko, że nie mogę z tobą iść, by cię osłaniać.

Ale mój wiek i to wszystko... - wskazał dłonią swoją szatę. Kiwnęłam głową, rozumiejąc, co ma na myśli. Obecność potężnego Mistrza Magii pośród oddziału, mającego dokonać dywersji, prawdopodobnie stałaby się sygnałem ostrzegawczym dla Archontów, równie czytelnym, jak atak w lśniących zbrojach w południe, przy wtórze piszczałek.

Po tych słowach łatwo mi przyszło powiedzieć, o co proszę. Był zaskoczony.

Pogładził siwą brodę.

- Zdumiałaś mnie, kapitanie, a raczej Rali, jeśli pozwolisz. Nie wiem, czy przemawia przez ciebie niezwykle cynizm w stosunku do własnej taktyki, czy też chodzi ci o coś innego.

- Powiedzmy, że lubię być przygotowana na wszelkie ewentualności - odparłam. Nie powiedziałam mu prawdy. - Czy moja prośba niesie w sobie jakieś zagrożenie dla głównego planu?

- To możliwe - odpowiedział. - Każda kolejna porcja magii towarzysząca twoim żołnierzom zwiększa ryzyko, że wykryją was Archonci lub ich sługusy. Ale...

chwileczkę.

Znam takie jedno zaklęcie. Bardzo stare. Bardzo proste. W czasach mego dziadka korzystały z niego czarownice. Sztuczka jest tak prymitywna, że wyrafinowani magowie, tacy jak Archonci, mogą po prostu jej nie wyczuć. Poradzę sobie z nią w kilka minut.

Gdybyś była Mistrzem Magii, po prostu bym cię jej nauczył. W tym przypadku jednak, hmmm...

może znajdziemy jakiś amulet? - kiwnął głową, zadowolony z tego pomysłu. - Znakomicie, znakomicie. Z moich kości zeskrabię odrobinę osadu. Wczoraj wieczorem były wystawione na działanie magii Archontów... i to powinno wystarczyć do uaktywnienia zaklęcia dla ciebie.

Hmmm. Całkiem prawdopodobne. I do tego nietrudne. - Tak, tak - wyraźnie się rozkręcał. - To jest bardzo sensowne. Muszę odłożyć na bok uczucie rosnącej przyjaźni dla ciebie, Rali, jeśli wybaczysz mi osobisty ton, i traktować cię jedynie jako największą nadzieję Orissy. Ni mniej, ni więcej. Masz być dla mnie wojownikiem, a nie przyjacielem, którego pošlę na niebezpieczną misję.

- Gdybym nie życzyła sobie, by bezustannie towarzyszyło mi ryzyko - powiedziałam - siedziałabym teraz w Orissie, z nudnym mężem i kupą dzieciaków, interesując się tylko gotowaniem obiadów i sukniami.

Mag lekko się uśmiechnął.

- Jeśli dam ci ten amulet, może zaprowadzić cię nie tylko do tych, których pragniesz odszukać, lecz także do samego serca ich potęgi.

Odpowiedziałam: - Jeśli słusznie wnioskujesz, że planują wielki magiczny atak przeciw Orissie, trzeba zniweczyć ich przygotowania, prawda?

- Zniweczyć, albo, jeśli skaza nie okaże się nazbyt potworna, przenieść zdobycze ich wiedzy do Orissy, abyśmy mogli je zastosować w lepszej sprawie - wyjaśnił.

Potrząsnął głową: - Przypomniało mi się, co Janosz Szary Płaszcz kiedyś powiedział twojemu bratu na temat magii - że to, czy jest zła, czy dobra, zależy wyłącznie od obserwatora.

Nie jestem pewien, czy do końca zrozumiałem tę cyniczną myśl... - dodał i dopił wino. - Dobrze więc, pani kapitan, dam ci coś, co zmieni cię w łasicę, która potrafi wywęszyć zło.

Jeśli jednak zdecydujesz się skorzystać z tego amuletu, nieodwołalnie popchnie cię to w czarne korytarze, w ślad za twoją ofiarą.

Słyszając te słowa, uśmiechnęłam się z trudem.

- Łasiczki zawsze przynosiły szczęście mojej rodzinie - powiedziałam. - Mój brat przysięga na

wszystko, że duch łasicy, którą hodował w dzieciństwie, pomógł mu w walce z Ravelinem.

- To dobry omen - rozpogodził się Gamelan. - Już nie jestem tak głęboko przekonany, że wysyłam cię na misję, z której nie ma powrotu.

Na ustach miał uśmiech, ale oczy pozostały poważne. Wiedziała, że chce po prostu trochę uspokoić siebie i mnie.

Słońce powoli kryło się za horyzontem, gdy galery zepchnięto na rolkach do wody.

Potem na wiosłach podpłynęły do prowizorycznego pomostu, prowadzącego z plaży na głębszą wodę. Wtedy się zaokrętowałyśmy. Ponieważ podróż miała być krótka, stłoczyłyśmy się na trzech statkach. Osiemnaście szalup, o których opowiadał mi Cholla Yi, przycumowano na krótkich linach po zawietrznej galer tak, by nie było ich widać z zamku Archontów. Właściwie potrzebowałyśmy siedemnastu, lecz dodano nam jedną zapasową.

Pożeglowaliśmy na wschód, jakbyśmy zmierzali do Orissy. Pięćdziesięciu żeglarzy, po dwudziestu pięciu z każdej burty, pchało statek niespiesznie, w tempie, w jakim zwykle odbywa się długie podróże; silny wiatr wydymał żagle.

Znalazłam się na pokładzie pierwszego statku, należącego do Cholla Yi. Sunęliśmy po falach, a ja próbowałam się odprężyć, stojąc na pokładzie rufowym w towarzystwie Corais i Polillo. Spokojne morze lśniło czerwono i złoto w świetle ginącego za horyzontem słońca.

Starałam się myśleć o spokojnych wodach i skwirze mew, zawieszonych na spokojnym niebie, a nie o tym, co nas czekało.

Przyłączył się do nas Cholla Yi. Obawiam się, że nie dość starałam się ukryć niechęć do niego, gdy spytałam, dlaczego postanowił wziąć udział w tej wyprawie. Czy to przypadkiem nie poniżej godności admirała?

Spojrzenie mężczyzny pobiegło w bok - wychwycił więc pogardę w tonie mego głosu - a potem przybrał pozę jowialnego patriarchy: - Ach, pani kapitan, nie rozumie pani nas, chudopachołków, którzy bijemy się raczej dla dóbr materialnych niż dla chwały. Jeśli nie zadbamy o to, by znaleźć się blisko triumfatorów w zwycięskim momencie, gdy wojna się kończy, nasi pracodawcy mogą aż nazbyt chętnie starać się zaoszczędzić pieniędzy przy rozliczeniach. A z tego wynikają rozliczne nieprzyjemności.

Potem spoważniał: - Zresztą, moi chłopcy uznają tylko takiego przywódcę, który odnosi zwycięstwa w bitwach. Zatem towarzysząc ci, pani, odnoszę podwójną korzyść.

Sklonił się i zszedł na główny dek, gdzie wzdłuż nadburcia siedzieli wioślarze, na ławeczkach, niewie wystających ponad deski pokładu.

- Jeśli kiedyś przypadkiem podejdziesz za blisko do relingu, chyba go popchnę - oświadczyła Polillo. - Słyszałam, że większość marynarzy nie umie pływać.

Corais obnażyła ostre, lisie ząbki: - Nie teraz, moja dobra kobieto, nie teraz. Kiedy będziemy już bezpieczne na stałym lądzie, skusimy go, obietnicą, że na osobności spełnimy wszystkie jego najbardziej obleśne zachcianki, na spacer po urwisku, ja przed nim uklęknę, a ty wtedy zrobisz sobie przyjemność i go popchniesz.

Gdy słońce zaszło, marynarze zwinęli żagle, złożyli maszty i reje i wydawało się, że nasza mała flotylla zniknęła za horyzontem. W gęstniejącej ciemności statki bez omasztowania stały się całkowicie niewidoczne. Szalupy odwiązano od burt; umocowane na holu z tyłu statków nie hamowały już wioślarzy, którzy wzięli wyścigowe tempo.

Pomknęliśmy ku Likantowi. Zastanawiałam się, jak można do tego stopnia pogodzić się z losem by przez całe życie tylko poruszać kawałkiem drewna do przodu i do tyłu.

Uznałam, że ci mężczyźni pewnie są niewolnikami. Ale Corais, jak zwykle popychana niepohamowaną ciekawością, zapytała ich o to i dowiedziała się, że są wolnymi ludźmi, a siadają do

wioseł tylko wtedy, gdy koniecznie trzeba rozwinąć dużą szybkość. W normalnych warunkach wiatr jest jedyną siłą napędową dla tych galer.

Dwie godziny przed północą znaleźliśmy się przy wejściu do likantyjskiego portu.

Widziałam ciemne zarysy krateru, tworzącego zatokę, a nawet cel naszej wyprawy - zamek Archontów na tle nocnego nieba. Panowała cisza i spokój, a powietrze wydawało się przesycone balsamicznym aromatem. Gamelan polecił innym magom rzucenie zaklęć, wywołujących taką właśnie pogodę. Czuło się zapowiedź nadchodzącej wiosny, było ciepło i nieco sennie. W taką spokojną noc nic złego się nie może zdarzyć: strażnicy będą marzyć o szybkim końcu warty, dowódcy rontów nie zechcą wychodzić na obchód częściej, niż wymaga regulamin, zmiennicy zasną twardo i tak dalej.

Wsiadliśmy do szalup. Pomimo komentarzy, jakie Cholla Yi wygłaszał na temat naszego nieobycia z morzem, zaokrętowanie odbyło się bezgłośnie, nikt nie zgubił broni, żadna z nas nie wpadła do ciemnego, falującego oceanu. Ruszyliśmy w stronę wejścia do portu. Szalupy rzeczywiście okazały się idealne do naszych celów. Nie miały wiosła, tylko z każdej strony, w połowie pokładu, po dwa koła wodne z łopatkami, przypominającymi płetwy żółwia morskiego.

„Wioślarze,” jeśli można ich tak nazwać, siedzieli po środku łodzi między kołami i kręcili korbami, która napędzały koła. Dzięki temu łodzie poruszały się w całkowitej ciszy, bez przypadkowych rozbryzgów wody pod wiosłem ani komend sternika. Spostrzegłam jednak, że manewrowanie takim napędem nie jest bynajmniej proste; wszyscy czterej wioślarze muszą się bowiem idealnie zgrać, bo w przeciwnym razie łódź zygzakowałaby po oceanie jak obłąkany wodny żuk.

Gdy zbliżyliśmy się do celu, jeszcze raz przeanalizowałam plan. Wydawało mi się, że jego największą zaletą jest prostota. Skomplikowana taktyka rzadko wytrzymuje konfrontację z deszczem strzał. Według mego pomysłu gwardzistki miały się wspinać po olbrzymim łańcuchu blokującym wejście do likantyjskiego portu - z miejsca, gdzie zwieszał się nad wodą, aż na szczyt urwiska, gdzie umocowano go do murów zamkowych.

Następnie poszukamy dużego okna, przez które będzie można wejść. Gdy już znajdziemy się w środku, popędzimy jak najciszej i najszybciej do głównej bramy. Bataliony szturmowe generała Jinnaha będą czekały na zewnątrz. Po otwarciu bram nastąpi główne uderzenie.

Plan nie był aż tak ryzykowny, jak może się to wydawać. Niejedna forteca padła, gdy zaatakowała ją garstka pełnych zapachu żołnierzy z ostrą stalą w dłoni. Jeśli poniesiemy klęskę, zgodnie z ogólną opinią, co to zmieni? Moje kobiety zginą wewnątrz zamku.

Dziesięć razy tyle poniosło już śmierć w tym beznadziejnym ataku, gdy z moim małym oddziałkiem próbowałyśmy dywersji pod murami. Sądząc zaś po tym, co Jinnah myślał o pożytkach bitewnych z kobiecej gwardii, pewnie będzie zadowolony, pozbywszy się „słabej płci”, jak nas nieraz nazywał, tym bardziej, że płęć ta nalegała na dziwactwa takie jak logika i przewidywanie, zamiast bezmyślnej bohaterzczyzny i strategii godnej byka w czasie rui.

Nadszedł czas, by sprawdzić wartość ostrza, które wykułam i zobaczyć, czy będzie zadawać gładkie cięcia, czy też złamie się lub skruszy bezużytecznie. Miałam również drugi, bardziej osobisty cel tej wyprawy, ten, przy którym pomagał mi Gamelan, choć nie do końca wyjaśniłam mu, o co mi chodzi.

Port otwierał się przed nami jak rozdziawiona paszczyka jakiegoś mitycznego potwora. Byłyśmy już blisko łańcucha, który niemal dotykał lustra wody i wznosił się ku wysokiemu zamkowi, więc nie miałam czasu na myślenie. Do akcji wkroczyły mięśnie, wyszkolenie i przyzwyczajenie.

Słyszac me ostatnie słowa, skryba uniósł brew, myśląc pewnie, że wspinanie się po olbrzymich łańcuchach jest częścią treningu gwardzistek. Może się jeszcze zastanawiał, czemu nie widział ich wśród ćwiczebnych przyrządów na naszym placu defilad. W rzeczywistości niewielka jest różnica między tym, co prezentowałyśmy obywatelom Orissy na pokazach zręcznościowych z okazji wielkich świąt, a błyskawicznym wspinaniem się na ogniwa łańcucha. Najpierw jedna gwardzistka służyła oparciem koleżance, która sięgała do następnego ogniwa, potem ta druga podciągała się wyżej, by z kolei stanowić najwyższy szczebel drabiny - i tak dalej. Z tym drobnym wyjątkiem, że nad naszymi głowami stacjonowały tysiące nieprzyjacielskich żołnierzy, a ścianę ćwiczeń zastąpiły ogromne, oślizłe kawały żelaza, pokryte mokrymi wodorostami, ukwiałami i innymi morskimi stworzeniami, które w świetle dziennym na pewno wyglądały obrzydliwie. Manewrem kierowała Polillo i inne gwardzistki znane ze swej siły, a ja byłam tylko jednym ze szczebli w żywej drabinie.

Ogniwo za ogniwo, kobieta za kobietą, wspinaliśmy się po łańcuchu. W końcu razem z Corais, Polillo i Ismet dotarliśmy do ostatniego ogniwa, zamocowanego na ogromnym haku wmurowanym w wysoki mur. Nasza czwórka wisiała ucepiona ogniwa, reszta czekała na dole i przez chwilę wyobraziłam sobie, że jesteśmy amuletami na łańcuszku olbrzymki.

Potrząsnęłam głową. Z jakiegoś powodu, być może ze względu na bliskość potężnej magii, moja wyobraźnia tamtej nocy zachowywała się jak pijany cywil.

We trzy bacznie przyglądałyśmy się gładkiej ścianie wieży wznoszącej się nad nami i obok, a Ismet, ze strzałą na cięciwie, wpatrywała się we flanki muru, na wypadek gdyby jakiś wartownik przypadkiem spojrzął w dół.

W głowach dzwoniły nam słowa zaklęcia: przymiot jego ostrza przypadnie dziewicy...wyostrzy widzenie...

Nasz wzrok rzeczywiście przebił zasłonę magii otaczającą wieżę: w ścianie były wąskie otwory strzelnicze i wykusze, oświetlające ciemną klatkę schodową, a nade wszystko otwarte okna, bez krat ani nawet okiennic. Archontowie, jak wielu ludzi szczycących się przewagą w jakiejś dziedzinie, zbyt wiele zaufania pokładali w najsilniejszej broni, jaką dysponowali - czyli w magii. Wysoko dostrzegłam sześć szerokich przerw w murze i domyśliłam się, że tam znajduje się luksusowe więzienie, w którym trzymano Amalryka. Nie musiałyśmy jednak zdawać kolejnego egzaminu ze wspinaczki, gdyż nieopodal, po stronie morza, na wysokości mniej więcej pięciu metrów, znajdował się portal, niemal tak samo szeroki jak te okna w górze.

Polillo zaśmiała się cicho, a Corais zdjęła plecak i wyjęła zeń ciężką kotwiczkę i linę.

Wiem, o czym myślała: minęło tyle czasu, przelano tyle krwi, a tu okazuje się, że wejście do zamku jest równie męczące, jak popołudniowy spacer po łagodnych zbocza góry Aephens w Orissie.

Polillo bez wysiłku zarzuciła kotwiczkę na parapet. Pociągnęła mocno za linę, upewniając się, że owinięte skórą ramiona dobrze się zaklinowały, a potem zabrała się za jedyną nieco bardziej skomplikowaną część swego zadania: musiała upewnić się, że liny się nie poplątały. Kotwiczka została zaprojektowana dla dużych oddziałów szturmowych. Zanim rzucono na nią zaklęcie, wyglądała, jakby do haka przymocowano drabinkę sznurową zamiast zwykłej liny. Gdy już wszystko zostało rozplątane, Polillo odchyliła się, naprężając drabinkę, luźny koniec zawiązała wokół jednego z ogniw łańcucha, a potem wyszeptała słowa dobrze znane wszystkim dowódcom, gdyż stanowiły część szkolenia. Wiele lat temu, zanim Amalryk i Janosz Szary Płaszcz zmusili orissańskich czarowników do upowszechnienia najprostszych zaklęć, towarzyszyłby nam Mistrz Magii, tylko po to, by zaktywizować czar rzucony na drabinkę. Polityka jednak się zmieniła i obecnie każdy młodszy i starszy oficer armii, pobłogosławiony przez Mistrza, mógł zrobić to samo co Polillo, która

recytowała: Cudze zakłęcie służy dobrej sprawie Bądźcie mocne, bądźcie twarde Bądźcie proste, bądźcie harde.

Chwył stalowy, pomoc w potrzebie.

Liny posłusznie zeszywniały, tworząc solidny most prowadzący do okna.

Przeszłaby po nim nawet wiekowa matrona. Polillo popatrzyła, skrzywiła wargi i szepnęła: - Nawet na rękach bym tędy przebiegła.

Moje zastępczynie nie zdążyły nawet mrugnąć okiem, a już prześliznęłam się obok nich i z mieczem w ręku wstąpiłam na most. Śpieszyłam się, by nie dać zbyt wiele czasu na przygotowania nieprzyjaciołom, którzy mogli czekać na górze. Kocim ruchem przeskoczyłam przez parapet, wylądowałam na podłodze i natychmiast odskoczyłam w mrok, przybierając postawę obronną. Komnata była pusta. Zanim zdążyłam otworzyć drzwi prowadzące na podest schodów, w pomieszczeniu tłoczyły się już gwardzistki. Bez rozkazu, bez jednego gestu, uformowałyśmy komanda szturmowe i ruszyłyśmy przed siebie.

Na schodach panowały głębokie ciemności, prawdopodobnie ponure i przerażające, lecz żadna z nas nie odczuwała lęku, tylko żądzę krwi i przeszywającą radość, że Maranonia wreszcie pozwoliła nam się wdrzeć do zamku! Ojcowie nasi byli tu przed nami, w czasie pierwszej wojny z Likantem, a my okazałyśmy się ich godnymi spadkobierczyniami.

Tym razem postaramy się, żeby nie było już Trzeciej Wojny Likantyjskiej.

Spiralną klatką schodową zeszyliśmy do głównych pomieszczeń zamkowych, jak mordercza fala. Spotkałyśmy jakiś Likantyjczyków, raz, drugi, trzeci i czwarty.

Za każdym razem w ciemności błyskał miecz i martwy człowiek padał na ziemię, nie zdążywszy nawet wydać głosu. Nie wiem, czy byli to służący, czy żołnierze. To nie jest ważne.

Weszliśmy do wielkiej, wysokiej komnaty o ścianach pokrytych gobelinami. Na kominkach po obu stronach wciąż płonął ogień. Prawdopodobnie była to sala audiencyjna, ale teraz, po północy, panowała w niej pustka. Zza okna dochodziły normalne odgłosy garnizonowego życia: wartownicy rozmawiali po cichu, a z dala niosły się przygłuszone alarmowe okrzyki. Mało kto wie, że wojna czasami bywa cicha, choć przeważnie w walce panuje piekielny zgiełk.

Oblężenie to jednak co innego. Moim zdaniem było bardzo cicho, choć cywil prawdopodobnie wychwyciłby dźwięk, którego my już nie zauważaliśmy: niskie mruczenie na jednej nucie, jak warkot olbrzymich mięsożerców. To obie armie sposobiły się do bitwy.

Gestem nakazałam ciszę. Na moment stanęliśmy w całkowitym bezruchu. Gdyby ktoś nas wtedy widział, pewnie by pomyślał, że się modlimy. Nie musiałyśmy jednak tego robić, bo Maranonia jest dobrą, rozsądną boginią i wie, że modlić należy się przed bitwą i później, ale nigdy w trakcie. Zamiast tego wszystkie, od prostej szeregowej aż po mnie, komendantkę, przywoływałyśmy w myślach „mapę”, czyli obraz zamku, stworzony z pomocą modelu i szkiców, jakie wykonali dla nas sztabowcy generała Jinnaha, czerpiąc ze wszelkich możliwych źródeł, poczynając od przedwojennych wspomnień zapraszanych tam gości, aż po zeznania jeńców wojennych. Tak, tak, najprawdopodobniej jesteśmy tu... albo nieco dalej, więc powinno być tu wyjście na wielki dziedziniec, a stamtąd, przez wewnętrzne umocnienia zamku, do samej bramy. W najgorszym wypadku jesteśmy piętro wyżej, ale poszliśmy w odpowiednim kierunku.

Corais i Polillo spodziewały się, że poprowadzę atak. Wybałuszyły oczy, widząc, że sygnalizuję umówionymi, tylekroć ćwiczonymi gestami, wskazując na pióropusz mojego hełmu, a potem na nie, że „przejmujecie dowodzenie... jesteście przewodniczkami... zgodnie z rozkazem...”. Zakończyłam, wskazując wyjście mieczem, co oznaczało „do ataku!” Ten ostatni gest nie był już nikomu potrzebny. Moje zastępczynie i podwładne zdziwiły się tą niespodziewaną zmianą, ale były przecież żołnierzami, więc usłuchały rozkazu - tak, jak je wyszkolono. Usłyszałam szelest stóp tak cichy, jakby wyszła pojedyncza osoba i zostałam sama w wielkiej komnacie. Sama, jeśli nie liczyć sierżant Ismet. Już chciałam wybuchnąć gniewem, ale ubiegła mnie, pokazując dłoń z dwoma wyciągniętymi palcami.

Przypomniała mi, że zawsze, ale to zawsze walczymy w parach. Wyciągnęła rękę dłonią do góry. Znaczyło to: czekam na twoje rozkazy. Uśmiechnęłam się. Nawet w tym pałacu uprzedzonym z nocnych koszmarów, przez chwilę potrafiłam się rozpogodzić. Ty biedna, głupia żołnierko, pomyślałam, odsłużyłaś zaledwie piętnaście lat i wyobrażasz sobie, że sprzeciwisz się życzeniom swojego adiutanta? Nawet o tym nie myśl. Jesteśmy zespołem i umrzemy w zespole.

Nadszedł czas, by użyć drugiego zaklęcia. Wyjęłam z mieszka amulet, który składał się wyłącznie z dwóch zeszytych ze sobą kawałków skóry, zawierających osad zdrapany z kości do wróżenia, i dotknęłam nim najpierw swego nosa, a potem kamiennej posadzki. Nie wyczułam żadnej zmiany.

A jednak nie. Chyba był tam jakiś nowy zapach, słodki, obrzydliwy, porównywalny ze smrodem pobojuwiska, na którym nie pogrzebano poległych. Zastanowiłam się chwilę i przypomniałam sobie, że Gamelan kazał mi naładować amulet. Rozejrzałam się.

Jeśli dobrze odgadłam, że jesteśmy w sali audiencyjnej używanej przez Archontów, władcy najprawdopodobniej zasiadali... tutaj, na niskim kamiennym podwyższeniu.

Podeszłam tam, stanęłam na kamieniach i przyłożyłam do nich amulet. Dodatkowo przycisnęłam go do jednego z gobelinów.

Ponownie go powąchałam. Zapach powrócił, tym razem jednak silniejszy, jakby stężony. Opanowałam mdłości. Znałam już kierunek. Odwróciłam się do Ismet, która oczywiście stała tam, gdzie powinna, trzy kroki z tyłu, z dobytym mieczem. Nie zwracała uwagi na to, co robię, lecz wpatrywała się w ciemność, szukając ewentualnych napastników.

Wybiegłyśmy z komnaty lekkim truchtem. Amulet poprowadził nas cztery piętra do góry, ale po innych schodach, szerokich, z kamienną balustradą, wyłożonych grubym dywanem. Od czasu do czasu zatrzymywałam się, lecz amulet wiodł mnie do przodu, a odór rozkładu stawał się coraz potężniejszy.

Na zewnątrz rozległy się krzyki, jęki i dźwięk stali. Rozpoczęła się walka.

Zastanawiałam się, jak daleko dotarły moje gwardzistki, zanim zostały odkryte.

Zamek ożył, gdy wrzaski dowódców zbudziły żołnierzy ze snu. Słyszałam okrzyki: „Zdrada! Są w środku!” i piski przerażonych kobiet i dzieci.

Korytarz prowadził na balkon, z którego można było dojrzeć dziedziniec. Był ogromny. Gdyby nie nowo wybudowane wieże i improwizowane szańce, cała armia mogłaby stanąć na nim do uroczystego przeglądu. Tu właśnie Archontowie odprawiali swe ohydne rytuały, podczas których oszołomieni magią ludzie sami składali się w ofierze, dokonując powolnego, rytualnego samobójstwa. Tak chcieli pozbyć się mego brata, którego w ostatniej chwili uratowało kontr zaklęcie. Teraz jednak dziedziniec zmienił się w pole bitwy, oświetlone pochodniami przez likantyjskich wojowników, którzy w biegu dopinali zbroje i dobywali mieczy. Z dala słyszałam okrzyki wojenne gwardzistek. Mało brakowało, a i ja krzyknęłabym z radości, gdy zobaczyłam, gdzie toczy się walka. Dziewczyny były o krok od celu - zatrzymano je pod samymi bramami. Jeśli zdołają powstrzymać napastników tak długo, by podnieść ciężkie sztaby, nasza armia wedrze się do środka.

Odkryto je jednak w najbardziej niebezpiecznym miejscu. Naturalnie, najsłabszy punkt umocnień był najsilniej broniony. Bramę osłaniał otwarty od góry, wewnętrzny korytarz, zwieńczony u góry pomostami. Gwardzistki wyważyły bramę wewnętrzną, ale nie zdążyły zająć korytarza, gdy rozpoczął się kontratak. Teraz walczyły o życie przy samym wejściu; nieprzyjaciele blokowali przejście i co gorsza, czekali na górnych pomostach, gotowi zasypać je gradem strzał. Znalazły się między kowadłem, czyli barbakanem a potężnym młotem - nieprzyjacielskim wojskiem.

Co gorsza, z góry usłyszałam głośny syk, jakby zbudziła się gigantyczna żmija.

Nad placem defilad wirowały dwa cyklony, podobne czarnym cieniom w świetle pochodni... trzy albo cztery razy przewyższające wzrostem człowieka. Wpadły w środek bitwy i zaczęły ciskać o mury gwardzistkami i Likantyjczykami, bez różnicy. Amulet po raz ostatni zapachniał odorem magii Archontów, więc odwróciłam się od przerażającego widoku i popędziłam po schodach do komnaty znajdującej się powyżej. Ismet biegła tuż za mną.

Nasza obecność na balkonie w niczym by nie pomogła walczącym. Albo będą sobie potrafiły poradzić z fizycznym zagrożeniem, albo zginą. Ja musiałam zająć się znacznie groźniejszym niebezpieczeństwem.

Taki był mój sekretny cel. Miałam w zanadru dwa plany - pierwszy dla gwardii, drugi dla mnie, a teraz i dla sierżant Ismet. Wiem, że zabrzmiał to jak szaleńczy pomysł, ale zamiarem moim było zaatakować Archontów bezpośrednio. Nikomu o tym nie mówiłam, bo zabroniliby mi tego i odrzucili mój plan jako dzieło szalonej i naiwnej entuzjastki. Ja zaś wiedziałam swoje; zdawałam sobie

sprawę, czego może dokonać zdeterminowany wojownik, zdolny do krańcowego poświęcenia. Ale naturalnie w naszych czasach, gdy mężczyźni mają do dyspozycji olbrzymie armie i tłumy Mistrzów Magii i toczą na wielokilometrowych polach bitwy walki, ciągnące się całymi dniami, mój pomysł wydaje się romantyczną bzdurą.

Może to i była bzdura, ale poleciłam duszę Maranonii, własność swoją przekazałam w testamencie przyjacielom i rodzinie i porzuciłam wszelką nadzieję, że dożyję do rana.

Syk przybrał na sile, gdy zbliżyłam się do drzwi komnaty. Nie stali przed nią wartownicy, co mnie z początku zdziwiło, ale potem uznałam, że przecież nikt nie śmiałby zakłócać spokoju Archontom.

Usłyszałam wewnątrz głosy: „Bracie”, „uderz”, „to tylko kobiety” - i pożałowałam, że nie mam ani chwili, by się uspokoić, zebrać siły i odzyskać oddech. Nie mogłam się zatrzymać, bo wydawało mi się, że słyszę, a może rzeczywiście usłyszałam: „Z tyłu”, „od środka”, „niebezpieczeństwo!” i wpadłam jak burza do osobistej komnaty Archontów.

Kątem oka spostrzegłam jakieś szkło, złoto, alembiki i pergaminy, zapalone cienkie świece i kadzidło, kości i ohydne stwory, lecz popędziłam przed siebie, wiedząc, że śmiertelnik ma jedną jedyną szansę, by zaatakować tak potężnych magów; tylko wtedy, gdy działa z zaskoczenia i z błyskawiczną szybkością.

Dwaj wysocy brodaci mężczyźni, o naznaczonych okrucieństwem sępich obliczach, odwrócili się i rozcapierzyli szpony. Jeden z nich wskazał na mnie palcem niby lancą... na jego czubku zaczęła się tworzyć szaroczarna chmura, która rzuciła się na mnie i wyrwała mi miecz. Odrzuciłam na bok tarczę, skoczyłam w powietrze, mierząc w jego brzuch, by wyrwać wnętrzności; buchnął dym, usłyszałam ludzki krzyk pełen bólu. Tamten drugi coś wołał.

Poczułam pod palcami ciało, potem łuski, znowu ciało, upadłam z Archontem na podłogę, turlaliśmy się po niej, czułam skurcz potężnych mięśni, jakbym była na ringu zapaśniczym, walcząc z najsilniejszym przeciwnikiem w życiu, potężne ręce szarpnęły w górę, przyciskając moje ramiona do boków, przetoczył mnie na plecy i poczułam, jak jego palce zaciskają się mi na gardle... dzięki bogu nie wiedział, że powinien naciskać arterię, a nie gruchotać krtań... W oczach mi pociemniało, zakrzywiłam palce jak szpony jastrzębia i zadałam cios prosto w oczy Archonta. Krzyknął, poczułam wilgoć i wyrzutem nóg odrzuciłam go od siebie.

Stanęliśmy naprzeciw siebie, ale przez palce, które przyciskał do twarzy sączyła się krew i limfa... nie było czasu, więc przystąpiłam do niego, złożyłam razem pięści, wzięłam solidny zamach i uderzyłam go w skroń. Archont padł do tyłu w konwulsjach i drgawkach, nie zdając sobie sprawy, że już nie żyje.

Rozejrzałam się, znalazłam miecz i pochwyciłam go w dłoń. Przyszpiliłam go do ziemi, jakbym unieruchamiała węża, i błyskawicznie zadałam jedno czyste cięcie.

Odcięta głowa potoczyła się po posadzce. Tak, był martwy, przynajmniej przez moment, ale pozostał jego brat, więc powinnam się strzec.

Nie było to jednak potrzebne. W komnacie pozostała jedynie sierżant Ismet. - Uciekł - powiedziała. - Pochylił się ku tobie i poruszał rękami, jakby chciał rzucić zaklęcie, więc cisnęłam w niego sztyletem. Trafił prosto w pierś, ale odskoczył, jak od zbroi.

- Którędy uciekł?

Wskazała otwarte drzwi. Za nimi panowała niezgłębiona ciemność, jak w kurhanach, które obiecywał mi Gamelan.

- Za mną - rozkazałam.

- Tak jest. Tylko zabezpieczę odwrót.

Zanim zdążyłam warknąć: - Nie teraz! - Ismet znalazła sztylet, podeszła do bezgłowego ciała i nacięła je w kształcie litery „V”. Gdy się wyprostowała, trzymała w dłoni ociekające krwią serce. Pobieglyśmy w głąb tunelu, ścigając ostatniego z Archontów.

Tunel był ich ostatnią drogą ucieczki. Co krok były w nim nisze, gdzie mogła nas czekać zasadzka. Ale nikt się tam nie czaił. Przemysłne pułapki i mordercze samopały nie zostały nastawione. Cały czas zastanawiałam się, dlaczego Archont nie został w komnacie, by pomóc bratu? Ze strachu? Może był w szoku? Nie wydało mi się to możliwe w przypadku tych ludzi, czy też istot, które niegdyś były ludźmi i przez wiele lat sprawowały krwawe rządy w Likancie. Nie znałam odpowiedzi na to pytanie, ale ściagałam wroga uparcie, starając się nie stracić go z oczu, jednocześnie zważając na pułapki.

Podziemny korytarz ciągnął się w nieskończoność. Im głębiej schodziłyśmy, tym był węższy i niższy. Ściany wykuto w litej skale. Modliłam się, by nie zwęził się jeszcze bardziej, bo musiałybyśmy wtedy pełznąć na kolanach, żeby wreszcie się okazało, że na końcu jest kamienna ściana, nasz przeciwnik umknął z pomocą magii, a my utkwiliśmy na dobre w skalistych trzewiach zamku.

Wreszcie tunel się skończył; ujrzałyśmy księżyc i gwiazdy. Wyjrzałam na zewnątrz.

Znajdowałyśmy się trzy metry nad wodami portu. W górze wznosiło się urwisko, a jeszcze wyżej morski zamek, z którego wydostałyśmy się skalnym korytarzem, wykutym w wulkanicznej masie. Po Archoncie nie było ani śladu. Drgnęłam na dźwięk potężnego trzaśnięcia; to olbrzymi łańcuch strzegący wejścia do portu pękł, jak rozerwany niewidzialnymi dłońmi. Droga na ocean stała otworem - Spójrz! - krzyknęła donośnie Ismet. Zobaczyłam, że na masztach niektórych likantyjskich statków, które wydawały nam się opuszczone, zaczęły pojawiać się bandery.

Znałam je obie. Ta niższa, rozcięta, wyobrażała potężną panterę w czerwonym polu. Herb Nisou Symeona, wroga naszego rodu! Niestety, ponad nią powiewała flaga królewskiego domu Likantu, czarny dwugłowy lew, dzierżący w łapach miecz i różdżkę, skrzyżowane ze sobą. Archontowi udało się jakimś cudem dostać na pokład. Na inne statki, których według rachuby Ismet było dziewięć, nie zwracałam uwagi.

Niewielka flota przepłynęła obok mnie... i wydostała się z portu. Z jękiem obserwowałam ucieczkę ostatniego z Archontów.

Miałam wrażenie, że w tamtym momencie wzrok mój nabrał magicznej ostrości - widziałam dwóch mężczyzn stojących z tyłu za sternikiem, jakby znajdowali się tuż obok mnie. Pierwszym z nich był Nisou Symeon. Nigdy go przedtem nie widziałam, ale rozpoznałam twarz, poznaną bliznami po oparzeniach. Kiedyś był piękny jak kobieta, dopóki mój brat i Janosz Szary Płaszcz nie zadali mu

tych straszliwych ran. Za nim stał Archont.

Z pokładu statku dobiegł mnie ryk, jakby rozpętał się tam huragan. Zorientowałam się, że mnie spostrzegli. Chmura strzał frunęła w naszą stronę. Ismet odciągnęła mnie w tył, a groty nieszkodliwie zastukały po skalnej ścianie. Zrozpaczona, patrzyłam bezsilnie, jak statki przepływają obok nas. Nikt ich nie zaatakował. Może flota Cholla Yi powinna była stanąć na straży, ale kto mógł przewidzieć taki rozwój sytuacji?

Ryk przybrał na sile i z głębin wyprysnęła długa macka. Owinęła się wokół mej talii.

Straciłam równowagę, zachwiałam się, chwyciłam za występ skalny i trzymałam go mocno, słuchając, jak ryk zmienia się w radosny rechot. Walczyłam z całej siły, ale macka odrywała mnie od skały, jakbym była smakowitą ostrygą, która ma urozmaicić piknik na plaży.

Spojrzałam w brudną toń portowej zatoki; kłębiły się w niej inne macki, wyciągając się, by pochwycić mnie w objęcia. Usłyszałam trzaśnięcie żółtego dzioba. Spostrzegłam błysk zimnego oka.

Obok błysnął sztylet, wpadł w wodę, w której pojawiła się chmura czarnego atramentu. Byłam wolna, w wodzie przez chwilę kotłowało się coś odrażającego, a potem zapanował spokój.

- Nigdy nie chybiam dwa razy pod rząd - powiedziała Ismet.

Obie zostałyśmy spryskane czarnym atramentem kałamarnicy, którą przywołało pewnie ostatnie, pożegnalne zaklęcie Archonta.

- Jeden uciekł - powiedziałam. Widziałam, jak bryza od lądu wypełnia żagle dziewięciu okrętów Symeona.

Ismet milczała, wskazując w górę.

Spojrzałam na umocnienia zamkowe, nad którymi powiewał złoty sztandar Orissy.

A więc jeden z nich uciekł, pomyślałam. Czymże jednak jest mag, nawet tak potężny jak Archont, bez swych skarbów, bez zaklęć, bez pergaminów?

Wojna dobiegła końca. Orissa zwyciężyła. Likant poniósł klęskę.

Panowanie Archontów zostało złamane.

Rozdział Czwarty

SERCE CZARNOKSIĘŻNIKA

Nigdy jeszcze nie wydano na cześć zwycięstwa tak wspaniałej uczy, jak ta po upadku Likantu. Nikt nie dbał o to, że Archontowi i Nisou Symeonowi udało się uciec.

Żołnierzom wystarczył widok sztandaru Orissy, powiewającego o świcie z najwyższej wieży nadmorskiego zamku. Można było wreszcie wyjść z okopów i spokojnie spacerować pod potężnymi murami, które przez tyle miesięcy pluły śmiercią na nasze głowy.

Żołnierze, pijani radością, krzyczeli, śpiewali i wirowali w szaleńczych tańcach.

Powyjmowano z taborów posągi wszystkich bogów i ozdobiono je girlandami, zrabowanymi klejnotami i drogimi kamieniami. Podczas plądrowania morskiego zamku natrafiono na zapasy alkoholu, więc zapanowało kompletne szaleństwo. Na ofiarnych ołtarzach składano byki, drób, świny i szczenięta.

Sama świadomość, że dożyjemy jutra, pojutrze i następnych dni przepelniała nam dusze tak burzliwą radością, że cała dyscyplina poszła w ką. My, oficerowie, mieliśmy na tyle rozsądku, że nie zabranialiśmy swawoli, dbając tylko, by nie ucierpieli cywile ani jeńcy.

Moje gwardzistki świętowały z równym zapamiętaniem, co reszta wojska. Polillo pojawiła się w obozie, niosąc na ramionach dwie skrzynki zdobyczej brandy.

Rozbiła drewno toporem i bursztynowy napitek popłynął w gardła moich sióstr. Corais i Ismet przewidująco zrezygnowały z pijaństwa i pilnowały, by ich towarzyszki nie przebrały miary.

Nieokiełznana radość, wzmocniona haustami brandy, może stać się potężnym narkotykiem dla tych, co nie potrafią się ustrzec, a demony gniewu zawsze są gotowe zaatakować, pod najmniejszym nawet pretekstem. Wiele sprzeczek między kochankami zakończyły pojedynki po bitwie. Dość już krwi było na naszych rękach.

Ja zaś nagle spostrzegłam, że stałam się przedziwną istotą: bohaterką. O czymś takim marzą młode rekrutki, gdy wieczorem, nie bacząc na drżące ze zmęczenia mięśnie, zasypiają po całym dniu pośpiesznego wypełniania bezsensownych rozkazów sierżanta. Marzą sobie, jak to pewnego dnia staną wyprostowane, lecz pokorne, tysiąc głosów będzie wiwatować na ich cześć, a starzy żołnierze będą sobie coś szeptać na ich widok. Sama śniłam o czymś takim w młodości. Ale w dniu, gdy na szyi zawisł mi wieniec bohaterki, wcale nie byłam szczęśliwa. Kurierski statek, który zabrał do Orissy wieść o zwycięstwie, wiozł także kwiecisty opis bohaterskich uczynków - moich i Gwardii Maranon. Pochwały mej dzielności niosły się daleko po zniszczonej wojną krainie. Tłumy żołnierzy rozstępowały się przede mną, a niektórzy ze czią dotykali mej tuniki, jakby to była szata świętej, a nie szorstki materiał żołnierskiego munduru. Przed namiotem leżał stos darów i rósł tak szybko, że musiałam postawić obok niego wartowników, by uprzejmie, lecz stanowczo odprawiali ofiarodawców. Dostawałam niezliczone propozycje małżeństwa. Mężczyźni błagali, bym zechciała mieć z nimi dziecko. Kobiety - nawet te, które niegdyś mną gardziły - zostawiały na mej drodze różne intymne drobiazgi i szeptały z cienia gorące obietnice, błagając, bym zechciała dzielić z nimi mą pryczę. Ustalono, że jeden dzień w roku zostanie nazwany na mą cześć i będą się wtedy odbywać wszystkie zwyczajowe ceremonie, łącznie ze składaniem ofiar.

Wszystko to nie było mi miłe, skrybo. W dalszym ciągu mi się to nie podoba. To fałsz i śmiertelne zagrożenie dla zwykłego, szczęśliwego człowieka, ponieważ taka celebra może z niego uczynić demona próżności. Miejscem dla bohatera jest grób. Tam tylko znajdzie on schronienie przed samym sobą - i swymi czcicielami.

Co gorsza, ten nowo nabyty nimb świętości wyraźnie pogłębił nienawiść Jinnaha, który uważał, że pozbawiłam go upragnionego tytułu bohatera. Ludzie skądś się dowiedzieli, że to Gamelan zmusił go do zaakceptowania mego planu. Niemal natychmiast, gdy poddał się ostatni Likantyjczyk, zaczęły krążyć dowcipy o generale. Długie, krwawe oblężenie określano jako „kaprys Jinnaha” i wielu żołnierzy przeklinało go za to, że dopuścił, by wojna trwała tak długo i oskarżało, że podjął wiele błędnych decyzji, za które tysiące żołnierzy zapłaciły życiem.

Uczniwie mówiąc, Likantyjczycy byli twardymi przeciwnikami, a potęga Archontów niemal przewyższała naszych Mistrzów Magii. Mimo tego, Jinnah był odpowiedzialny za wiele błędów. Rozliczą go za nie dopiero po powrocie do Orissy, gdy stanie przed Radą Miasta. Wiadomo było, że jeśli jakiś bóg nie obdarzy Jinnaha nagłą, głęboką przyjaźnią, nic nie uratuje generała przed hańbą, której pamięć przetrwa wiele setek lat.

Jednakże los Jinnaha odmienił się tej samej nocy. Zmiana nadeszła wraz z potężnym huraganem, który zmienił nasz obóz w morze błota. Strugi deszczu zaćmiewały wzrok. Groźne fale, trzykrotnie przekraczające wielkością ludzki wzrost, biły o skalisty brzeg.

Jinnah rozkazał mi natychmiast stawić się przed nim, ale nie w namiocie, lecz w zamku, w prywatnej komnacie Archontów, gdzie zabiłam jednego z nich.

Gdy weszłam do przestronnego pomieszczenia, zacisnęłam mocno w dłoni amulet Gamelana. Pocieszył mnie fakt, że ohydny swąd, który zdradzał obecność Archontów, gdzieś się rozwiął. Rozejrzałam się, osłaniając oczy przed blaskiem, który bił z magicznych latarni, zapalonych za pomocą orissańskiej magii. Ze zdziwieniem spostrzegłam, że w komnacie nie pozostało nawet śladu po walce, która tu się odbyła kilka godzin temu. Wszystkie przedmioty stały w idealnym porządku, poustawiane i odtworzone przez Gamelana i jego Mistrzów.

Uczniowie, przepasani białymi szarfami, zmiatali resztki potłuczonego szkła i podawali je terminatorom, których rozpoznałam po żółtych pasach; ci z kolei okadzali je słodko pachnącym dymem, a szkło na powrót przybierało kształt dzbanów, flakonów i kryształowych kul z wytrawionymi magicznymi symbolami. Inni Mistrzowie, wraz z pomocnikami, cicho chodzili po pomieszczeniu, ustawiając naprawione przedmioty na stołach, ławach i ręcznie rzeźbionych półkach. Wszystkim kierowało kilku Mistrzów w czerwonych szarfach, którzy posługiwali się chyba pergaminowymi planami komnaty, które Gamelan - lub jego pomocnik - odtworzył z pomocą zaklęć.

Z boku, w pobliżu wielkiej złotej urny, tkwił Jinnah z grupą adiutantów.

Obserwowali, jak Gamelan ustawia na przenośnym ołtarzu jakąś dziwną maszynę. Coś przy niej majstrował, ale gdy tylko weszłam do komnaty, uniósł głowę. Spojrzenie żółtych oczu tak długo błędziło dokoła, aż wreszcie na mnie natrafiło. Chyba chciał mnie ostrzec gestem, ale zanim zrozumiałam o co mu chodzi, dostrzegł mnie Jinnah.

- Ach, kapitan Antero - powiedział. - Nasza bohaterka - dodał jadowitym tonem. - Proszę do nas łaskawie podejść. Potrzebujemy pani pomocy.

Wiedziałam, że w jego sercu zazdrość walczy o lepsze z nienawiścią, więc zdumiałam się widząc, że jest wyraźnie zachwycony. Nie wiedziałam, czemu to przypisać.

Przypominał naszą starą kotkę z kuchni, gdy dopadła szczura i bawiła się nim do woli.

- Co się stało, generale? - spytałam.

- Zdaje się, że wygraliśmy bitwę, ale nie wojnę - w jego głosie dźwięczała ulga, co mnie wielce zdziwiło.

- Pięknie powiedziane, sir - przyklasnął jego totumfacki, kapitan Hux, po czym zwrócił się do mnie: - Obawiamy się, że ta cała bohaterszczyzna poszła na marne.

Spojrzałam na Gamelana.

- Czy chodzi o Archonta? - zapytałam.

Ponuro pokiwał głową.

- Generał wysłał Cholla Yi za naszym wrogiem - powiedział. - Ale Archont wywołał burzę, która nas teraz nęka, i zmusił admirała do przerwania pościgu.

W dalszym ciągu poprawiał coś przy aparacie. Była to skomplikowana konstrukcja, złożona z cienkich rurek, drutów i szklanych retort wypełnionych różnobarwnymi płynami, które wrzały, podgrzewane jakimś zaklęciem. Unosił się z nich kolorowy, lecz bezwonny dym.

Wzruszyłam ramionami.

- Burza nie potrwa wiecznie. Dopadniemy go w końcu. Żaden kraj go nie przyjmie do portu teraz, gdy stracił armię i ojczyznę. Nasi szpiedzy go wkrótce wykurzą.

Gdy wymawiałam te słowa, poczułam zimny dreszcz na plecach i machinalnie dotknęłam dłonią amuletu. Gamelan pochwyił wzrokiem ten gest.

- Nie możemy zawierzyć przyszłości całego kraju przypadkowi i szpiegom - powiedział i zatoczył ręką wokół siebie. - Odtworzyliśmy to pomieszczenie w najdrobniejszych szczegółach, takim, jakim było na chwilę przed twoim bohaterskim atakiem.

Nie zabrakło nawet karalucha, który wtedy badał zawartość mieszka jednego z tych czarnoksiężników.

Mistrz Magii uniósł w górę niewielki woreczek z dobrej skóry pokrytej jakimiś symbolami. Rozwiązał złoty sznurek i ujął w palce szczyptę jakiegoś proszku.

Przytrzymał go nad jedną ze szklanych retort.

- Oto jeden ze składników zaklęcia. Składa się z mielonych kości i łodygi pewnej rośliny. Nikt z nas jednak nigdy nie zetknął się z taką fauną i florą - dodał i wrzucił proszek do wrzącego płynu, po czym zakorkował retortę i wsunął w otwór kawałek miedzianej rurki.

Retorta powędrowała między inne szklane flakony, z których składał się aparat.

Gamelan zakręcił kołem małego młynka modlitewnego, ustawionego tuż obok. Usłyszeliśmy cichy dźwięk dzwoneczków, gdy koło rozpoczęło automatyczną recytację. Niewiele wtedy wiedziałam o magii, ale nie wątpiłam, że całe to urządzenie, w jakiś sposób połączone z młynkiem modlitewnym, jest rezultatem jednego z odkryć, jakie mój brat i Janosz Szary Płaszcz poczynili w Zamorskich Królestwach.

Gamelan powstrzymał się od wyjaśnień. Odwrócił się do nas, jakby aparat nie miał nic wspólnego z naszą rozmową.

- Powiedz jej resztę - naciskał go Jinnah. - Powiedz, czego się dowiedziałeś.

Bez zbędnych wstępów mag rzekł: - Znaleźliśmy niepodważalne dowody na to, że tylko kilka dni dzieliło Archontów od stworzenia broni, której tak bardzo się obawialiśmy. Co gorsza, przygotowali się na ewentualność klęski, sporządzając zapasowe modele maszynierii i kopie notatek.

Umieścili je w specjalnych kufrach, nieprzeniknionych dla magii i zwykłych śmiertelników.

Nasz przyjaciel zabrał owe kufrы na okręty lorda Symeona i zbiegł.

Poczułam, że ściska mnie coś w żołądku. Z gniewem zaatakowałam Jinnaha: - Burza czy nie burza, powinniśmy teraz podążać jego śladem. Czy ten Cholla Yi oszalał, że zawrócił? Symeon nie miał nad nim zbyt wielkiej przewagi. Jestem pewna, że ten pirat przeżył niejedną sztorm na morzu.

- Admirał Cholla Yi zrobił, co w jego mocy - oświadczył Jinnah - lecz nie mógł kontynuować pościgu z braku środków.

- To znaczy, że chce więcej pieniędzy, prawda? - nie kryłam obrzydzenia.

- Naturalnie, że tak potwierdził Jinnah. - My walczymy o nasze ideały, a on dla pieniędzy. Poza tym, będzie potrzebował więcej statków, zapasów i żołnierzy, żeby skutecznie rozprawić się z Archontem, gdy go dopadnie.

Nagle zdałam sobie sprawę, że generał wydaje się nazbyt beztroski. Po co chciał się ze mną spotkać? Dlaczego tracił czas na tę rozmowę? Byłam przecież tylko jednym z wielu oficerów. Nie musiał opowiadać mi o swoich planach, wystarczyłoby, gdyby wydał odpowiednie rozkazy. Należało natychmiast zorganizować pościg. Im bardziej oddalą się od nas Archont z Symeonem, tym trudniej będzie ich dogonić i pochwycić. Już w tej chwili dowódca jednego z orissańskich oddziałów doświadczonych w walce na morzu powinien razem ze swymi ludźmi zaokrętowywać się na statki Cholla Yi, by podjąć pościg, a ja powinnam szybkim marszem prowadzić gwardzistki do Orissy na wypadek, gdyby Archont jakimś cudem znalazł sposób, by zagrozić miastu. Cała ta gadanina o niosącej zagładę broni i przebiegłych czarnoksiężnikach przypominała mi tylko, że historycznym obowiązkiem Gwardii Maranon jest zapewnić bezpieczeństwo Orissie. Potem zaczęło mi świtać, czego Jinnah może chcieć ode mnie.

Zanim w pełni zrozumiałam jego intencje, wypowiedział je sam, w najpodlejszy sposób, jaki można sobie wyobrazić: - Panią kapitan zapewne ucieszy wiadomość, że postanowiłem uhonorować Gwardię Maranon, powierzając jej tę misję o żywotnym znaczeniu dla interesów kraju.

- To nie ma sensu, sir - odparłam. - Moje wojowniczkę są najbardziej wyczerpane walką ze wszystkich oddziałów naszej armii. Czy też może zapomniałeś, generale, o dzisiejszej bitwie?

- Oczywiście, że nie, droga pani kapitan - wdziękzył się fałszywie. - Podjąłem decyzję, mając na uwadze bezprzykładną odwagę twoją i twoich żołnierzy.

W jednej chwili zorientowałam się, o co mu chodzi. Zamiary generała stały się przejrzyste jak welon tańczącej kurtyzany. Najpierw usunie mnie z drogi, a potem zapisze na swoje konto całą chwałę, która przypadła moim gwardzistkom. Nie mówiąc o lwiej części łupu zdobytego na wrogu.

- Ależ naturalnie - mówił dalej. - Misja jest tak ważna, że tylko jedna jedyna kobieta będzie w stanie ją wypełnić. Bohaterka spod Likantu. Kapitan Rali Emilie Antero.

Wiedziałam, że przegrałam, ale spróbowałam podejść go z innej strony.

- Chętnie bym się zgodziła, generale - powiedziałam z największą uprzejmością, na jaką mnie było stać - i dziękujemy ci za to szczególne wyróżnienie. ale Gwardia Maranon ma do spełnienia obowiązków w ojczyźnie. Właśnie, zamierzałam, sir zameldować się u was jutro rano i poprosić o rozkazy.

- Dostaniesz je więc dzisiaj - odparł Jinnah. - Nie wracacie do domu.

Powiedziałem już, że jest to zadanie dla bohatera. Zlecimy je więc bohaterowi. Radni miejscy bez wątpienia się z tym zgodzą, gdy wzniosę toast na twoją część podczas uczyty zwycięstwa w Orissie, za kilka tygodni.

Hux i pozostali adiutanci parsknęli ironicznym śmieszkiem.

Następne słowa Jinnah warknął rozkazującym tonem: - Ty i twoje kobiety o brzasku zaokrętujeście się na statki admirała Yi. Macie rozkaz ścigać Archonta, znaleźć go i zabić. Nie oszczędzajcie wysiłku, kosztów ani życia, póki nie osiągniecie celu. Co więcej, rozkazuję wam nie wracać, póki nie wypełnicie tego polecenia.

Czy wyraziłem się jasno?

Zabrzmiało to jak zesłanie, jakby karał mnie i moje gwardzistki za sukces...

cóż, tak właśnie było.

Jesteś równie zaszokowany jak ja wtedy, skrybo. Historyczne zapisy tamtych wydarzeń nie wspominają nic o motywach Jinnaha, prawda? A więc witaj po drugiej stronie, w świecie kobiet, przyjacielu. Panuje tu spory tłok, bo mężczyźni wymagają - i zajmują - o więcej więcej miejsca niż ja i moje siostry. Jest tu także dużo chłodniej, skrybo. Widzisz, opał jest racjonowany. Uważa się, że potrzeba nam go tylko tyle, by rozpaść dziecięcą dumę z urody, nauczyć się, jak zdobyć partnera do łóżka i utrzymać czystość w salonie, pokoju dziecięcym i kuchni. Ten świat jest także mroczny. Niewiele trzeba światła komuś, kto jest zaledwie odbiciem mężczyzny.

Długo wpatrywałam się w Jinnaha twardym wzrokiem, gdy wypowiedział te słowa.

Pragnęłam siłą woli zmusić go do zmiany decyzji. Ale nie chciałam się otwarcie wycofać...

może zresztą nie mogłam tego zrobić, przynajmniej z jego punktu widzenia.

Chciałam krzyknąć, że Gwardia jest jednostką lądową od chwili powstania. Nie mamy doświadczenia w walce morskiej. Chciałam przekląć go za to, że próbuje skraść chwałę, którą zaledwie godzinę temu miałam w takiej pogardzie. Chciałam prosić o życie - nie swoje, lecz moich siostr. Ile z nich zobaczy jeszcze kiedyś błogosławione brzegi Orissy? Nie mogłam jednak zrobić niczego. Rozkaz był jasny i zrozumiały, choć szalony.

Nie dałam mu jednak satysfakcji; ukryłam zwątpienie i lęk. Ale i nie strzeliłam obcasami, salutując zamaszyście. Nie zasłużył na taki honor. Tylko tyle mogłam mu zrobić.

Kiwnęłam głową.

- Tak jest, sir. Ale jeśli mam tego dokonać, będę się upierać przy jednej rzeczy.

- O co chodzi, kapitan Antero? - spytał drwiąco. Nie odważył się szczeptać, że nie wolno mi się przy niczym upierać. W końcu sam przecież nazwał mnie Bohaterką spod Likantu, a bohaterom niczego się nie odmawia, prawda?

- Chcę pełnego dowództwa nad całą ekspedycją, sir. Proszę jasno powiedzieć Cholla Yi, że ma bez zwłoki spełniać moje najdrobniejsze zachcianki. Naturalnie nie będę tego nadużywać, sir. Pozostawię w jego gestii sprawy związane z żeglowaniem. Ale moje słowo ma być rozkazem w czasie pościgu i w przypadku wszelkich niezgodności.

Jinnah roześmiał się brzydko.

- Już rozmawialiśmy na ten temat z admirałem, pani kapitan - odpowiedział. - Jasno mu wytłumaczyłam, jaką rolę ma odgrywać.

Znów ironiczny śmiech Huxa i innych.

- Sir, nalegam, byście powtórzyli moje słowa podczas oficjalnej odprawy z udziałem admirała.

- Jeśli uważasz to za niezbędne, kapitanie, chętnie to uczynię - odpowiedział i odwrócił się do wyjścia. - Odprawa odbędzie się za godzinę.

W tym momencie usłyszałam skrzypiący głos Gamelana: - Jedną chwileczkę, generale.

Jinnah zatrzymał się. Popatrzył na starego maga; gładką twarz zeszpecił grymas niepokoju. Czyżby Gamelan chciał się wtrącić? Sama przez chwilę miałam taką nieprawdopodobną nadzieję, ale mag natychmiast zgasił ją w zarodku.

- Ekspedycja tego rodzaju wymaga obecności Mistrza Magii - powiedział tylko.

- Wybierz, panie, kogo zechcesz - odparł generał.

- Ach, naturalnie, że wybiorę - uciął Gamelan, dając mu do zrozumienia, że Najwyższy Mistrz Magii zwykle sam podejmuje decyzje. - Wybieram siebie.

Jinnah wybałuszył oczy.

- Ale to... ale wy, panie jesteście...

- Za stary? - pogardliwie przerwał mu Gamelan. - Właśnie dlatego to ja powinienem jechać. Młodzi magowie najlepiej poradzą sobie z tym, co tu pozostało do zrobienia. Śmiem twierdzić, że z nas wszystkich jedynie ja jestem w stanie sprostać naszemu przyjacielowi Archontowi. Tak, jestem przekonany, że szanse tej misji wzrosną, jeśli się do niej przyłączę.

Oczy Jinnaha błyszczały z zadowolenia: udało mu się pozbyć dwóch wrogów za jednym zamachem. Cóż za niespodziewany uśmiech losu.

- Niechaj was Te-Date błogosławi - zaintonował. Gamelan nie odpowiedział ani słowem. Znów zaczął majstrować coś przy swej maszynerii, jakby zapomniał o obecności generała. Po długiej, pełnej zakłopotania chwili Jinnah potrząsnął głową i wyszedł, a za nim pośpieszyli adiutanci, jak świeżo wyklute skalne jaszczurki, które zawsze trzymają się blisko matki, na wypadek gdyby tato wrócił wcześniej do domu i był bardzo głodny.

Pozostałam w komnacie. Powoli zaczynałam rozszyfrowywać zachowanie starego maga.

- Dziękuję - odezwałam się.

- Za co, moja miła Rali? Za to, że obciążam cię kimś, czyje życie jest już równie długie jak jego broda? - pogłaskał się po dawno nie czesanej gęstwinie poniżej podbródka.

Oczy świeciły mu żółto, jak wesoły ogień na kominku. Krzywe zęby zaświeciły w uśmiechu spoza siwej zasłony.

- To nie ma znaczenia. Zanim się, panie odezwałeś, myślałam, że już wszystko stracone.

- Myślisz, że nie dasz sobie rady?

- Właściwie nie, chociaż szanse są bardzo nierówne. Sądzę jednak, że dowódca nie pragnie mego powrotu. Obawiam się, że raczej chodzi mu o własną reputację i fortunę, a za nic ma bezpieczeństwo Orissy.

Żółty ogień jego oczu zapłonął głębszym blaskiem.

- Jestem tego samego zdania, Rali - odpowiedział mag.

Wtedy po raz pierwszy zwróciłam uwagę, w jak serdeczny sposób zaczął się do mnie zwracać - jakby wiedział, że w przyszłości staniemy się przyjaciółmi. W tamtej chwili było mi to bardzo na rękę, choć, jako członkini rodu Antero, odczuwałam niejaki niepokój. Jakoś nie najlepiej wiodło nam się z magami. Ale wtedy nie rozmawialiśmy o takich sprawach.

- Nie ufam mu - ciągnął Gamelan - i dlatego postanowiłem wyruszyć razem z wami.

Jeśli przestaniemy nękać Archonta, skończy pracę nad swoją bronią. Będzie potrzebował na to

więcej czasu, niż gdyby mógł siedzieć spokojnie na zamku. Nie ma również brata do pomocy. Ale nie można mu pozwolić na spokojny pobyt w jednym miejscu, bo nasze zwycięstwo rzeczywiście okaże się pustym słowem.

Zastanawiałam się nad tymi zagrożeniami, a Gamelan nagle się roześmiał. Dziwnie się czułam w towarzystwie śmiejącego się maga. Wielu z nich spotkałam podczas mych licznych podróży i wiem, że ten ludzki odruch, który wszystkim przychodzi tak naturalnie, dla nich jest czymś bardzo trudnym. Niektórzy skrzeczą jak wiedźmy. Inni rechocą jak żaby w zalotach.

Jeszcze inni wyją jak wilkołaki na widok księżycy. Zaś Gamelan, gdy czuł się szczęśliwy, co - jak się dowiedziałam później - było rzadkością w jego życiu, pohukiwał jak puchacz na polowaniu. Spodobał mi się ten odgłos, chyba po raz pierwszy od chwili, gdy się spotkaliśmy.

- Jest jeszcze jeden powód - przyznał się - i to bardzo egoistyczny.

- W czym rzecz, panie?

- Pamiętam ten dzień, gdy pozwoliłem twojemu bratu i temu łajdakowi Szaremu Płaszczowi ruszyć na wyprawę w poszukiwaniu Zamorskich Królestw. Siedziałem na służbowym tronie i czułem się jak mały chłopiec, a nie jak mądry, wiekowy Mistrz Magii, posiadający wielką moc i równie wielkie obowiązki. Mówię ci, oddałbym ten tron, całą wiedzę i całą władzę, co do joty, żeby tylko móc wyruszyć razem z nimi.

Teraz z kolei ja się roześmiałam.

- A więc chodzi o przygody? To jest twoja słabość, magu?

Gamelan znów zaczął pohukiwać.

- Po to się urodziłem, Rali - odparł. - Tylko przeznaczenie niepotrzebnie się wtrąciło.

Niestety, zostałem napiętnowany talentem magicznym. Ale to inna historia, którą z przyjemnością będę cię zanudzał podczas podróży.

Potrząsnął głową i zakręcił na palcu brodę z wielkiego zadowolenia.

- Pomyśl tylko. Rozmawiamy o takich rzeczach... o opowieściach, podróżach i przygodach. Ja się przecież już czuję jak młody chłopiec.

Rzeczywiście odmłodniał w ciągu tych kilku minut od początku naszej rozmowy.

Policzki ponad linią brody poróżwiały, oczy mu błyszczały, a cała postać się wyprostowała.

Był teraz nieomalże przystojny. Gdyby moje gwardzistki miały inne skłonności, poszłabym o zakład, że niejedna bójka wybuchłaby o to, która z nich pierwsza pójdzie poturlać się z tym starszym panem na dywaniku przed kominkiem. Przysięgłam sobie, że jeśli w czasie naszej podróży napotkamy przypadkiem przystojną kobietę, która znajduje upodobanie w mężczyznach, doprowadzę do tego, by znalazła się w koi naszego maga.

Gamelan drgnął.

- Widzisz, naprawdę jestem za stary - powiedział. - Mało brakowało, a byłbym zapomniał, że mam robotę.

Pośpiesznie zbliżył się do urządzenia, powąchał bezwoną parę i przekręcił kilka kurków, mieszając ze sobą krople płynów. Nie przestawał mówić.

- Dzięki tobie - rzekł - zdobyłem środki potrzebne do stworzenia naszej własnej tajnej broni przeciwko Archontowi. Prawdopodobnie sama nie stanie się przyczyną jego klęski, ale wielce go osłabi. Prócz tego ułatwi nam tropienie.

Postawił na stole czarną jak heban skrzynkę, ozdobioną wielobarwną intarsją. Nie miała ani jednego łączenia, tak jakby nie sposób było ją otworzyć. Przesunął nad nią dłońmi, szepnął kilka słów i przycisnął boczne ścianki kciukami i palcami wskazującymi obu dłoni.

Wieczko odskoczyło do góry. Zajrzałam do środka i o mało nie dostałam mdłości.

Wewnątrz leżał kawał mięsa o brązowo-fioletowym odcieniu, jakiego nabierają organy wewnętrzne, które wkrótce mają się zepsuć.

- To serce Archonta, którego zabiłaś - wyjaśnił. Wyjął je ze skrzynki obojętnym gestem człowieka, który nieraz miał do czynienia z wnętrznościami, i podłożył pod sporą rurką z brązu, wystającą z magicznego urządzenia. Odkręcił kurek. Na serce spadły krople gęstego, oleistego płynu o jasnozielonym zabarwieniu, pokrywając je cienką warstwą lśniącej zieleni.

Gamelan wyrecytował śpiewnie: Kamienne serce Karmione strachem, Braterskim strachem.

Nie znasz miłości, Nie znasz żalości, Nie znasz litości.

Kamienne serce Karmione śmiercią, Braterską śmiercią.

Nie znasz radości, Nie znasz lubości, Nie znasz piękności.

Strach szuka strachu, Śmierć szuka śmierci, Brat znajdzie brata!

Serce poczęło się kurczyć, zmieniać kształt i barwę. Małało i małało, z początku powoli, potem zaś, gdy mrugnęłam okiem, w jednej chwili zrobiło się wielkości ptasiego jaja, choć jeszcze przed chwilą było duże jak pięść. Stało się też czarne i gładkie jak hebanowa skrzynka. Gamelan szybko schwycił je kryształowymi szczypcami, umieścił w skrzynce i wyrecytował kolejne zaklęcie. Wieko opadło z trzaskiem.

Podniósł pudełko i przez chwilę trzymał w dłoniach, prostując palce. Pochylił głowę, zezując z napięcia. Potem kiwnął głową i spojrzał w górę, a krzywe zębiska znów zabłyśły pośród kosmyków brody.

- Działa - oświadczył z satysfakcją, jakby z początku nie był całkiem pewny skuteczności swych poczynań.

Podał mi skrzynkę. Cofnęłam się.

- Nie zamierzam tego nawet dotykać - powiedziałam strachliwie jak niewinna dziewczynka.

- Trudno ci się dziwić - odparł. - Oboje wiemy, skąd to się wzięło. Ale...

potrzymaj to jednak chwilę, zrób mi tę przyjemność.

Ujęłam w dłonie skrzynkę w taki sam sposób, jak on. Niemal natychmiast poczułam drżenie, a raczej wibrację, podobną do tej, jak wydaje dźwięczący strunowy instrument.

- Co się dzieje? - spytałam.

Gamelan znów zahuczał jak sowa.

- Ano, skrzynka mówi, że jej brat nie odjechał daleko. Teraz będzie nam wskazywać drogę i...

Tak się uradował swoim sukcesem, że odrzucił głowę do tyłu i wydał okrzyk, który odbił się echem od ścian Komnaty Archontów: - Mam cię, ty draniu! Dopadłem cię wreszcie!

Rozdział Piąty

POGOŃ NA KRAJ ŚWIATA

Odbiliśmy od brzegu w pierwszy Dzień Palenia Świec, w miesiącu Żniw, w roku Jelenia. Aby zapewnić nam błogosławieństwo, Gamelan przeznaczył na ofiarę dwóch żołnierzy, skazanych na śmierć za zgwałcenie wielu likantyjskich kobiet.

Zgnieciono ich między dwoma kamieniami młyńskimi z zachowaniem ścisłego ceremoniału, lecz zamiast rozlać ich krew po polach, nasz Mistrz Magii namaścił nią dziobnice statków, a resztę wylał do morza, na obiadę bogom oceanu. Wszyscy uznali, że to szczęśliwy początek podróży i że wybraliśmy bardzo korzystny dzień do odjazdu.

Może i tak było. Zgorszę jednak ciebie i tobie podobne skorupiaki, mój skrybo, bo wyjawię ci moje świętokradcze myśli. Otóż ten nasz szatański mag sprytnie wykorzystał pewien zbieg okoliczności, by od razu dać nauczkę admirałowi Cholla Yi i jego piratom.

Żegnała nas wielka armia, z całą pompą, na jaką potrafił się zdobyć Gamelan i paru zaprzyjaźnionych oficerów, mimo zazdrosnego oporu Jinnaha. Ceremonia tak się przedłużyła, że nie zdążyliśmy odpłynąć z porannym przyptywem. Gamelan szepnął mi jednak na stronie, bym się tym nie przejmowała, gdyż zna parę sztuczek, dzięki którym nadrobimy opóźnienie.

Nasza flotylla składała się z piętnastu pirackich galer, długich okrętów o wilczych kształtach i groźnym wyglądem. Nawet gdy spoczywały na rolkach, leżąc spokojnie na piaszczystej plaży, emanowały pewnością, że dopędzimy Archonta, który przecież wyruszył na uzbrojonych kupieckich statkach.

Odkomenderowałam po jednym plutonie gwardzistek na dziesięć statków, a na jedenasty zaokrętowałam sztab. Na czterech pozostałych byli jedynie zbrojni marynarze Cholla Yi. Wołałabym mieć swoje oddziały na każdym okręcie, bo wcale nie ufałam uczciwości naszego admirała, a tym bardziej jego ludzi, ale pomimo rekrutek, które przywiodła nam porucznik Dica, stan liczebny Gwardii był żałośnie niski.

Po wielu zaklęciach i przemowach - nawet Jinnah wysilił się na krótką oszczędną pochwałę zasług gwardii i jej dowódczyni - przemaszerowałyśmy uroczyście pośród wiwatujących żołnierzy, którzy wykrzykiwali życzenia powodzenia i rychłego powrotu.

Przechodząc obok towarzyszy broni, z którymi zżyłyśmy się podczas długiego oblężenia, spostrzegłam, że niektórzy nie kryją łez wzruszenia.

Gdy znalazłyśmy się w pobliżu statków, zadudniły bębny i ryknęły rogi. Cholla Yi wyszedł, by mnie powitać. Odziany był w swój najlepszy i najbardziej krzykliwy mundur, z tyloma medalami, że niemal nie było spod nich widać jego szerokiej piersi. Gdy odpowiadałam na jego salut, przyjrzałam im się fachowym, żołnierskim okiem.

Kilka srebrnych i złotych orderów sam sobie przyznał, gdyż na pewno nigdy nie dowodził tymi flotami, gdyż żaden najemnik, nawet za ogromną sumę pieniędzy, nie dostałby takiego zaszczytu. Ale widok był piękny, tym bardziej, że miał na celu wyrzucić na mnie wrażenie.

Łajdacki uśmiezek sprawiał, że twarz admirała jaśniała prawie jak te medale - i wydała mi się równie uczciwa.

Nie zwróciłam jednak na ten moment szczególnej uwagi i w ten sposób straciłam nowe, pouczające doświadczenie. Długotrwały brak snu sprawił, że miałam trudności z koncentracją i cały świat wydawał mi się oszalamiającą mieszaniną obrazów i dźwięków.

- Gwardia! - zawołałam, a Polillo i Corais jak echo powtórzyły wezwanie.

- Szeregami! Marsz na statek! - i gwardzistki, szczękając bronią, weszły po trapach, zmierzając ku nowym obowiązkom.

Słyszałam, jak dowódca mego statku, łotrzyk imieniem Stryker, wykrzykuje komendy powtarzane przez pozostałych kapitanów. Naszemu wejściu na trap towarzyszył ostry dźwięk gwizdków. Oficerowie i załoga niezgrabnie, po marynarsku stanęli na baczność.

Zapach zatęchłego potu mieszał się z ostrymi portowymi woniami. Wioślarze o potężnych barach i ramionach, lecz cherlawych nogach, stali przy swych ławach i uderzali wiosłami.

Byli tam i barwnie odziani żeglarze, których w żadnym wypadku nie należy mylić z wioślarzami, jak mi później dobitnie wytłumaczono. Choć poza oficerami niemal wszyscy byli boso, odziali się świątecznie, w przedziwny sposób łącząc prostą odzież i zrabowane bogate szaty.

Pozakładali kobiece szale i kolorowe tuniki, choć na nogach mieli płócienne spodnie, albo tylko przepaski biodrowe. Na szyjach pobłyskiwały im przeróżne klejnoty, które zwisały także z uszu, nosów i warg. Kilku z nich, obnażonych do pasa, miało złote pierścienie w przekłutych sutkach.

Gdy przyglądałam się tej nieokrzesej bandzie, przez zmęczony mózg przemknęły wszystkie zwykłe zastrzeżenia i na poły ukształtowane myśli; ale w tym momencie chorąża rozwinęła sztandar. Przypięto go do fału. Gamelan wyrecytował tradycyjne błogosławieństwa i modlitwy do Maranonii, ale zanim rozkazał wciągnąć flagę na maszt, wyjął z rękawa niewielki mieszek i rzucił go na pokład. Z mieszka wydostał się słodko pachnący dym, a jego czerwone, niebieskie i zielone smugi zaczęły unosić się na wietrze i giąć na boki. Gdy chorąża wciągała sztandar, dym wspiął się razem z nim aż do wierzchołka masztu.

Flaga przez chwilę zwisała bezwładnie, potem Gamelan wydał jakiś okrzyk i od wybrzeża powiał wiatr. Chmura barwnego dymu popłynęła na zachód a chorągiew zatrzepotała i rozwinęła się, ukazując naszą boginię w pełnej chwale. Maranonia była wojowniczką w każdym calu, od złocistych butów po wzniesione do góry włócznię i pochodnię. Na śnieżnobiałej tunice błyszczał lekki napierśnik, a spod spiczastego hełmu wypływała fala czarnych kędziorów.

Nigdy jeszcze nie czułam się tak dumna jak wtedy, gdy po raz pierwszy od niepamiętnych czasów flaga naszej bogini zaczęła powiewać z okrętowego masztu.

Usłyszałam, jak Polillo powstrzymuje łkanie. Spostrzegłam, że Corais kułakiem ociera łzę w kąciku oka. Sama musiałam odkaszlnąć, bo coś utkwilo mi w gardle.

Zespoły odkomenderowane do wodowania okrętów wzięły się do roboty i galery zaczęły zsuwać się po rolkach, aż wreszcie zakołysały się na łagodnej przybrzeżnej fali.

Stryker szepnął dziwnie przenikliwym tonem, który dawał się słyszeć z wielkiej odległości: - Czy pani kapitan rozkazuje odbijać?

Mogłam tylko potakująco skinąć głową. Kolejna seria ostrych gwizdów i okrzyków z brzegu, i załoga rozpoczęła szaleńczy balet, tańczony na każdym statku, który wyrusza po długim okresie uwięzienia na lądzie. Oficerowie podawali komendę za komendą, rozlegały się dziwne dźwięki, postukiwanie wioseł i uderzenia bębna. Z pozostałych statków dobiegały te same odgłosy w odpowiedzi na identyczne komendy.

Gamelan gestem polecił mi podejść do siebie. Podał mi złotą włócznię, wykonaną na wzór oszczepu Maranonii. Wskazał na horyzont i polecił, bym rzuciła ją przed siebie. Byłam tak osłabiona i znużona, że lękałam się ośmieszenia, ale mag ścisnął moje prawe ramię i poczułam nagły przypływ siły. Cała prawa strona ciała napięła się jak wielka sprężyna, gotowa do rzutu. Ustawiłam stopy w pozycji i odwiodłam rękę do tyłu. Gamelan wyrecytował: Śmigaj szybki oszczepie.

Nasze dusze twym śladem Pośpieszą na rozkaz Te-Date.

Z całej siły cisnęłam włócznię, czując zachwycającą harmonię ruchów. Siła rzutu zbiła mnie z nóg, lecz wylądowałam na pokładzie zgrabnie jak akrobatka czy tancerka.

Widziałam, jak złocista smuga płynie w powietrzu ku odległemu zachodowi, łukiem, który poniesie ją dalej, niż zdołałby ją cisnąć jakikolwiek śmiertelnik. Leciąca wysoko, jak polujący orzeł, aż

wreszcie zniknęła.

Galera zadrżała, gdy pięćdziesiąt wiosł zanurzyło się głęboko w fale, i pomknęła w ślad za włócznie. Poruszaliśmy się ze zdumiewającą prędkością, podobnie jak pozostałe okręty, pędzące w ślad za nami.

Okrzyki z brzegu zagłuszyły wszystkie inne odgłosy. Odwróciłam się, by popatrzeć na towarzyszy broni zgromadzonych na plaży, a potem na łąd, który uciekał przed oczyma.

Zachwiałam się i Polillo musiała przytrzymać mnie za łokieć. Niewyraźnie protestowałam mówiąc, że trzeba wydać rozkazy i tyle jeszcze jest do zrobienia, ale uciszyły mnie jak dziecko, zaprowadziły pod pokład i ułożyły w hamaku. Powieki stały się tak ciężkie, że nie byłam w stanie utrzymać otwartych oczu. Zasnęłam.

Śniłam, że znów leżę w ramionach Tries. Następnego dnia miałam wyruszyć do Likantu, pogodziłyśmy się i kochałyśmy szaleńczo, niemal brutalnie. Nadchodził świt, a ja leżałam z głową złożoną na jej miękkiej piersi. Wiedziałam, że to sen, który przeinacza rzeczywistość. Tak naprawdę przecież nie spotkałyśmy się ani nie przytulałyśmy wtedy, wiele miesięcy temu. Ale iluzja była niezwykle przyjemna i postanowiłam dać się jej ponieść. Ucałowałam różane sutki kochanki i pieściłam szczupłe uda, aż rozchyliły się dla moich dłoni i ust. Wydawało mi się, że z oddali słyszę stłumione dźwięki muzyki Omerye, która upewniała mnie, że wszystko jest dobrze. To jest moje miejsce na świecie. Oto prawdziwe życie - świat miłości, muzyki i perfumowanych westchnień.

Usłyszałam trzask bata, tętent kopyt i grzmot żelaznych kół. Ściana komnaty rozpadła się w gruzy, naga wyskoczyłam z łóżka, a do pokoju wjechał Archont na czarnym rydwanie.

Koła pojazdu jeżyły się ostrymi szpikulcami i mieczami; ciągnęła go para czarnych koni, z olbrzymimi orlimi skrzydłami na grzbiecie. Zrujnowana komnata zmieniła się w pokład naszego statku, a Archont przedrzeźniał mnie ze swego rydwanu. Cholla Yi wraz z załogą śmiali się razem z nim, drwiąc z mej nagości i z tego, że kocham kobiety, sama będąc jedną z nich. Nagle Tries stała się branką Archonta, który poruszył cugłami, krzyknął na konie i mocno pochwycił za kajdanki, które pętały jej ręce. Skoczyłam za nimi, lecz spóźniłam się, bo konie zerwały się do lotu i porwały rydwan wysoko w niebo. Usłyszałam jeszcze krzyk Tries i pożegnalny wybuch śmiechu Archonta. I nic więcej. Obudziłam się. Oczy zamknięte.

Mięśnie drżą w napięciu, spowodowanym przez koszmarny sen. Na zewnątrz słychać było wiatr i plusk wioseł. Leżałam na rozhuśtanym, marynarskim hamaku. Poczułam czyjąś obecność. Niebezpieczeństwo? Powoli otworzyłam oczy.

Nade mną stała Tries, odziana w przezroczystą, powiewną białą szatę. Uśmiechnęła się, oczy jej zalśniły nienawiścią. Spostrzegłam, że trzyma w dłoni cienki srebrny sztylet.

Zamierzyła się na mnie. Przetoczyłam się na bok, choć hamak krępował ruchy, i poczułam, że trafiła w ramię. Cudem wyplątałam się z hamaka i upadłam na drewniany pokład.

Słyszałam, jak Tries rzuca się do ataku. Chciałam wstać, ale byłam znużona...

tak bardzo znużona, że ciało ciążyło jakby było z ołowiu. Nagle...

Nic więcej. Oczy zamknięte. Mięśnie drżą. Odgłosy morza i wiatru. Hamak kołysze się pode mną. Poczułam czyjąś obecność. Niebezpieczeństwo?

Jeszcze raz otworzyłam oczy. Corais uśmiechnęła się: - Masz słodkie sny, kapitanie?

Jęknęłam i przerzuciłam nogi przez krawędź hamaka.

- Gorsze niż psi koszmar o nieudanym polowaniu - odparłam.

Poczułam ból w ramieniu. Z małej rany wypłynęła kropla krwi. Oniemiała, starłam ją dłonią.

- Jakiś marynarz pewnie zgubił igłę w czasie szycia - oświadczyła Corais i przesunęła dłonią po

krawędzi, by sprawdzić, czy igła jeszcze tam tkwi.

- Tak, to na pewno to - odparłam z wyraźną ulgą.

- A co mogłoby być innego? - zmartwiona Corais przyjrzała mi się uważnie.

Tak jest. To na pewno igła, nic innego. W przeciwnym wypadku mój sen wcale nie byłby snem. A to przecież niemożliwe, prawda?

Wstałam, by powitać nowy dzień, i nim minęła godzina, tak mnie pochłonęło poznawanie nowego otoczenia, że zapomniałam i o koszmarze, i o skaleczeniu.

Najważniejszą sprawą było wpaść na trop Archonta. Zwołałam odprawę na pokładzie okrętu flagowego Cholla Yi. Wybrałam to miejsce z dwóch powodów: po pierwsze chciałam dać wszystkim jasno do zrozumienia, że to ja dowodzę. Zamierzałam to wbić do głowy naszemu admirałowi wszelkimi sposobami, nie cofając się przed upokorzeniem go.

Miała to być zatem kropla miodu, która osłodzi późniejszą gorycz. Po drugie, admirał miał dużą kabinę. Na wypadek gdyby nazbyt zażarta dyskusja przerodziła się w bójkę, chciałam mieć dość miejsca na machanie mieczem. Nie sądziłam wprawdzie, że coś takiego może się zdarzyć, ale wolałabym o nic się nie potykać i nie zaczepiać, gdyby okazało się, że trzeba nastraszyć pirata - na przykład dobywając broni.

Gdy weszłam do kapitańskiej kabiny, natychmiast zorientowałam się, że Cholla Yi rzeczywiście zarabia na życie nie tylko jako najemnik, lecz także jako pirat.

Pomieszczenie było urządzone z krzykliwą ostentacją, jak pokój kurtyzany, a raczej prostej ulicznicy, która znalazła bogatego opiekuna. Oczy bolały od krzykliwych barw gobelinów i dywanów.

Pełno było tam różnorodnych przedmiotów wysadzanych klejnotami, od naczyń nocnego aż po coś, co - przysięgam - było czymś w rodzaju pokrytej piórami maszyny miłosnej, o uchwytych wysadzanych rzadkimi szlachetnymi kamieniami. Wszędzie panowały się muśliny i koronki najwyższej jakości i obrzydliwie wulgarne dekoracje: ozdobne półeczki, parawany i figurki, w ordynarny sposób przedstawiające stosunek seksualny. Wszędzie porzucano ogromne poduchy, ozdobione równie rozpustnymi haftami. Jedna była nawet ładna.

Przedstawiała dwie kobiety w uścisku; jedna z nich była niezwykle podobna do Tries.

Na środku kabiny stał stół z ciemnego, politurowanego dębu, otoczony skórzanymi krzesłami. Jedno z nich, wyróżniające się wysokim oparciem, ustawiono na honorowym miejscu. Naturalnie należało do admirała. Natychmiast się na nim usadowiłam. Nie chciałam traktować Cholla Yi nazbyt słodkim miodem. Zmarszczywszy brew zaczął krążyć po kabynie i przyglądać się swym bogactwom z miną zblazowaną i pobłażliwą. Jestem nieodrodną córką swego ojca i choć wybrałam wojenne rzemiosło, mam w żyłach kupiecką przebiegłość, która pozwala mi narzucać innym swoje życzenia. Admirał chciał zasiąść po mej prawicy.

Z tyłu miałyby wtedy ozdobnie wycięte ramy okna i wpadające przez nie światło dobrze by go oświetlało. Nie zdążył jednak zająć miejsca, bo Gamelan podskoczył jak mały chłopiec i go ubiegł. Mrugnął do mnie, a potem z wielką powagą jął się przyglądać co bardziej szokującym figurynkom pirata. Potrząsnął wreszcie głową, i zaczął śledzić poczynania Phocasa, kapitana flagowego okrętu. Żeglarz właśnie rozwijał ogromną mapę.

Marynarskie stopnie wojskowe, podobnie jak wszystko na morzu, były dla mnie zupełną nowością. Na przykład Cholla Yi, jako admirał, komenderował wszystkimi okrętami, ale jednocześnie był honorowym gościem Phocasa, który dowodził tym konkretnym statkiem.

Podobnie na naszym statku kapitanem był Stryker, a on z kolei wydawał rozkazy Klisurze, mistrzowi żeglarskiemu, i Dubanowi, który dowodził wioślarzami.

Na widok mapy Phocasa w jednej chwili zapomniałam o pojedynku indywidualności, który przed chwilą toczyliśmy z Cholla Yi. Gdy spojrzałam na skalę mapy, cel naszej wyprawy wydał mi się nierealny; ziemie na zachód od Orissy i Półwyspu Likantyjskiego były niewyobrażalnie odległe. Przez chwilę wydawało mi się, że mam do czynienia z odległościami, nad którymi pracują gwiazdździarze, gdy starają się wyczytać nasze losy.

Widywałam już podobne mapy, w gabinetach ojca i Amalryka, ale nigdy nie miałam do nich osobistego stosunku, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Znałam porty i miasta, z którymi ojciec i jego znajomi utrzymywali więzi handlowe. Ale na tej mapie stały się one niewielkimi punkcikami, zagubionymi pośród niepewnych informacji kartografa, który umieszczał wizerunki piekielnych stworów, mających ostrzegać przed dzikimi ludami, i demonów, które oznaczały miejsca pechowe i skażone czarną magią. Największe wrażenie zrobił na mnie jednak przestwór mórz, widoczny na tej mapie. Olbrzymi ocean wyglądał, jakby chciał połknąć kawałeczki lądu, które śmiały naruszyć jego majestatyczną domenę, i te małe wysepki, które bezczelnie przykucnęły mu na czole. Ocean rozciągał się na zachód aż do granicy mapy, nie ograniczony żadnym lądem. Żaden żeglarz nie śmiał się zapuścić na tak przerażającą odległość, nie krążyły nawet opowieści o tym, co mogło znajdować się za tymi morzami.

Phocas zaznaczył miejsce na mapie - o długość palca na zachód od Likantu. Nie trzeba było mi tłumaczyć, że oznaczył nasze położenie: przy samej wschodniej granicy mapy.

- Mają nad nami prawie dwa dni przewagi - powiedział Cholla Yi - a morze i wiatr im sprzyjają. Mimo to, nie mogą być daleko od tego miejsca...

Wskazał punkt na oceanie w odległości dwóch palców od nas. Phocas go zaznaczył, a admirał odsunął się na bok, nakreślając okrąg. Nasz wróg znajdował się gdzieś w jego obrębie. Nie wiedzieliśmy jednak, czy płyniemy dokładnie w jego kierunku. Jeśli Archont zmienił kurs, oddalał się od nas z każdą mijającą minutą.

- Moim zdaniem, można z dużą dozą prawdopodobieństwa uznać - przynajmniej w tej chwili - że w dalszym ciągu ucieka na zachód - oświadczył Gamelan. - Wszystkie zaklęcia, które rzucałem, by zwiększyć naszą prędkość albo spowolnić jego, były neutralizowane czarami, które potrafi rzucać jedynie nasz drogi przyjaciel. W dodatku zakłócenia w eterach pochodzą właśnie z zachodu.

- A zatem logika nakazuje kierować się na zachód - powiedziałam.

Phocas roześmiał się.

- Zachód jest duży - wycedził pogardliwie i machnął ręką w stronę mapy. - Wszystko, co tu widać, to Zachód.

- Zachowuj się - warknął Cholla Yi.

Phocas pobladł. Admirał był wyraźnie rozgniewany. Podczas odprawy u Jinnaha postarałam się - z pomocą Gamelana i paru sprzyjających mi oficerów - by generał złożył na Cholla Yi całą winę za ucieczkę Archonta. Nasz admirał powinien był przecież zablokować wejście do portu. Co więcej, Jinnah poinformował go, że uzgodniona premia za zwycięstwo nie zostanie wypłacona przed końcem obecnej ekspedycji. Gorzej jeszcze: ani on, ani jego załoga nie dostaną aż do powrotu udziału w łupach z Likantu. Spodziewałam się, że admirał wybuchnie na tę wieść, ale wymienił tylko dziwne spojrzenia z Jinnahem i pohamował gniew.

Prawdopodobnie ci dwaj zawarli na stronie jakąś umowę. W owym czasie wydawało mi się, że Jinnah obiecał mu sowite wynagrodzenie, jeśli weźmie na siebie całą winę za ucieczkę Archonta. Wobec prawa i rozsądku największa wina za to spadała na Jinnaha, jako głównodowodzącego.

Nagle Gamelan uspokoił nastroje, mówiąc: - Niech więc wróg sam rozwiąże nasze wątpliwości.

Wyjął czarną skrzynkę z talizmanem, zrobionym z serca Archonta.

Cholla Yi i Phocas przyglądali się jej z widocznym zdenerwowaniem. Słyszeli plotki o tym talizmanie, ale rzeczywisty widok tak potężnego dzieła magii był o wiele bardziej przerażający, niż szeptane pogłoski.

- Potrzebny mi będzie tylko kompas - zdecydował Gamelan.

- Słucham? - Cholla Yi rozdziawił usta, jakby dopiero co wyłonił się z morskiej piany.

- Chciałem prosić o kompas.

Pośpiesznie przyniesiono mu urządzenie. Gamelan ustawił skrzynkę w kole zakreślonym przez Phocasa, a na niej położył kompas, po czym gestem poprosił o ciszę, choć wszyscy marynarze wpatrywali się w niego jak oniemiały. Zaklęcie nie wymagało żadnych wstępów; ani inkantacji, przynajmniej głośniejszej, ani modlitwy o pomoc bogów.

Gamelan skoncentrowany wpatrywał się w skrzynkę. Żółte oczy lśniły jak dwa słońca; wydawało się, że całe pomieszczenie pojaśniało od bijącego od niego wewnętrznego blasku. Usłyszałam ciche westchnienia, gdy skrzynka zadygotała od głębokiej wibracji.

Potem sama zaczęła świecić. Igła kompasu drgnęła i jęła wirować jak opętana.

Obiegła tarczę raz i drugi, a podczas trzeciego obrotu zamarła nagle, jakby zatrzymała ją niewidzialna ręka.

Gamelan cofnął się. Blask jego oczu zagasł i znowu jego źrenice wydawały się niemal naturalne, tylko trochę pożółkłe. Otarł pot z czoła, po czym wskazał na igłę kompasu, która lekko dygotała, jakby za chwilę miała się poruszyć.

- Kierujcie się tym urządzeniem, a znajdziemy wroga - powiedział.

Kompas wskazywał prosto na zachód.

Nie jestem pewna, co działo się dalej. Cholla Yi o coś mnie pytał, ja odpowiadałam, ale wszystko było jakby zasnuwane mgłą i odległe. Wpatrywałam się w igłę kompasu i mapę.

Wiele miejsc było mi dobrze znanych. Oto Tros, bogate miasto, z którym moja rodzina handlowała od pokoleń. Dalej Savia, znana z doskonałych win, Thurgan, gdzie kuto najlepsze miecze i Luangu, słynne z hodowli bydła; zagrody dla trzody ciągną się tam całymi kilometrami na wybrzeżu. Dalej Jeypur, barbarzyński port, dokąd codziennie schodzą się liczne karawany zwożąc jedwabie, korzenie i magiczne osobliwości z krajów, które byłyby jeno legendą, gdyby nie pochodzące z nich towary. Za Jeypurem znajdowała się Laosia, gdzie ród J'hana kontroluje rynek kości słoniowej i tego pięknego czarnego drewna, które jest twardsze od stali.

Na przeciwległym brzegu ujrzałam Redond, a dalej prawie niedostępne góry Królestwa Valaroi, strzegące wybrzeża. Za nimi znajduje się wielka pustynia, gdzie harczą dzikie plemiona konnych koczowników. Wiemy o nich tylko dlatego, że potrafią tkać przepiękne dywany i wytwarzać słodko pachnącą oliwę, którą palimy w lampach w świąteczne dni. Jeszcze dalej na zachód jest Tygrysia Zatoka, która swą nazwę zawdzięcza nie wielkim kotom, lecz barwie i rysunkowi pereł, służących do wyrobu najpiękniejszych perłowych świetlików. Dobrze znałam te wszystkie miejsca, podobnie jak wszyscy uczniowie orissańskich szkół. Ale dalej, za Wyspami Jaśminowymi, Koralowym Morzem, rzeką Imbirą i Cytrynowym Wybrzeżem, rozciągały się ziemie nieznanne.

Brat często mi opowiadał, jak w pewnych momentach ogarniało go uniesienie, że oto jego podróż rzeczywiście się zaczęła. Przed tym momentem wszystko opiera się na naiwnych spekulacjach; po nim wyprawa staje się po prostu ciągiem codziennych marszów, które prowadzą wciąż dalej i dalej. W naszej rodzinie jedynie brat opowiadał o takich rzeczach, ponieważ odbył podróże dalsze niż ktokolwiek inny w historii rodu; teraz jednak mogę z nim współzawodniczyć.

Właśnie tamtego dnia, w kapitańskiej kabinie Cholla Yi naprawdę zaczęły się moje przygody. Wtedy w jednej chwili poczułam pewność, że zanim to wszystko się skończy, zobaczę na własne oczy wszystkie te miejsca na mapie.

Spojrzałam na jej skraj, który odgraniczał nieznanne, nie zbadane krainy.

Zrozumiałam też, że tamte miejsca również zobaczę. Nie przeraziła mnie ta wizja, skrybo.

Ponieważ obiecałam mówić szczerą prawdę, muszę przyznać, że przez krótką chwilę zapomniałam nawet o Archoncie i zagrożeniu z jego strony. Zamiast tego ogarnęła mnie wielka tęsknota. Chciałam, musiałam poznać odpowiedź na zagadkę, którą była ta mapa: co jest za jej granicą?

Po raz pierwszy zrozumiałam ekstazę - i udrękę - poszukiwaczy przygód, choćby takiego Janosza Szarego Płaszczka i mojego brata... tak, mojego brata, choć jeszcze wtedy się przede mną nie przyznawał do takich uczuć.

Odkryłam całkiem nowe, nieoczekiwane cechy mego charakteru i nieco zakłopotana tym faktem, popatrzyłam na Gamelana. Przez chwilę wzrok mi się zaćmił, jakby między nami opadła zasłona cienia. Cień był znajomy; pamiętałam też ten aromat. Chyba posłyszałam kobiecy szept. Potrząsnęłam głową i wizja zniknęła. Cholla Yi i Phocas byli pochłonięci pracą nad planami. Ale stary Mistrz Magii wpatrywał się we mnie z wielką uwagą.

- Miałaś widzenie? - spytał.

Zaprzeczyłam ruchem głowy. Ale w kabinie zapachniało sandałowym drewnem, więc wiedział, że kłamię.

Żeglowaliśmy w ślad za Archontem, bacznie obserwując magiczny kompas. Gdy igła się poruszała, i my zmienialiśmy kurs. Gdy wracała do poprzedniego ustawienia, naśladowaliśmy jej ruchy. Nie wiedzieliśmy, czy zmiany te zachodzą dlatego, że przeciwnik wie, jak blisko za nim jesteśmy, czy też droga jego ucieczki prowadzi takimi zakosami. Nikt jednak nie wątpił, że rzeczywiście go ścigamy. Byliśmy pewni, że Archont jest gdzieś przed nami, w odległości kilku mil morskich, albo nawet kilku dni.

Gorączka pościgu opadała, gdy kolejne dni wykrwawiały się jeden za drugim, a my coraz bardziej przywykałyśmy do życia na morzu.

Powoli zaczęłam zdawać sobie sprawę, że pokłady tych statków będą dla nas polem bitwy; wiedziałam o nich zaś tak mało, jak - powiedzmy - o walce na lodzie.

Postanowiłam zatem zostać ekspertem w walce morskiej i dopilnować, by moje gwardzistki osiągnęły ten sam stopień doskonałości. W każdej chwili - jeśli Te-Date będzie łaskaw - mogłyśmy przecież ujrzeć statki Archonta na horyzoncie. Dotarłam do najnudniejszego marynarza na naszym

okręcie, czyli do pomocnika kapitana, który był morskim odpowiednikiem kwatermistrza. Tyle, że kwatermistrzowie potrafią usypiać słuchaczy gadaniną o linkach namiotowych i kociołkach, a ten człowiek opowiadał o wszystkim, co nas otaczało, od lin po kordelasy... tylko o słonej wodzie nie wspominał.

Dla tych, którzy chcieliby dowiedzieć się co nieco o świecie, w którym nagle się znaleźliśmy i miałyśmy spędzić aż nazbyt wiele czasu, a nawet resztę życia w przypadku niektórych gwardzistek, podam kilka szczegółów.

Nasze galery były znane jako „długodystansowce” i nadawały się, jak mi z dumą opowiadał zastępca, do wszystkiego, poczynając od żeglugi rzecznej poprzez abordaż statków handlowych, najazdy na portowe miasta, aż po dalekomorskie podróże bez zawijania do portów.

- Płytkie są, moja pani, to i kołyszą się na każdej fali, jak coś powieje - zwierzał mi się, jakbym tego nie doświadczyła na własnej skórze. - Po prawdzie, każdy długodystansowiec lubi dobrze wykolebać człowieka, nawet i marynarza, co przecież przywykł do morza. Ano, kompania z galer ma żelazne żołądki. A jak ktoś nie ma, to żarcie zaraz puści górą, jak tylko fala przyjdzie.

Z jakiegoś powodu mężczyźni uważają, że choroba morska jest niezwykle zabawną dolegliwością, dopuki przytrafia się komuś innemu. Corais zastanawiała się nawet, czy uznawaliby ją za zabawną, gdyby podobne odczucia męczyły każdego z nich bez wyjątku co dwadzieścia osiem dni. Ja jednak przemilczałam docinki marynarza.

Każda galera miała mniej więcej trzydzieści trzy metry długości i siedem metrów szerokości. Zanurzenia miały niewiele więcej niż metr, co powodowało ową „żwawość”, jak to określał nasz mat. Na każdym statku było trzech oficerów: kapitan, mistrz żeglarzy i mistrz wioślarzy. Podlegali im marynarze zwani matami, którzy byli odpowiednikami naszych młodszych oficerów. Matami nazywano również rzemieślników na statku, czyli cieślę, żaglomistrza i tak dalej. Na każdym okręcie było pięćdziesięciu wioślarzy, którzy zmieniali się w marynarzy, gdy kapitan wołał o wszystkie ręce na pokład. Ponadto w skład załogi wchodziło piętnastu doświadczonych żeglarzy, którzy uważali się za elitę i za nic nie tknęliby wiosła, nawet gdyby okręt znosiłoby prosto na skały. Na jedną galere można było zaokrętować praktycznie każdą liczbę żołnierzy na jeden, dwa dni, ale w normalnych warunkach pokojowych, co - moim zdaniem - oznaczało kaperstwo, na pokładzie przebywało około dwudziestu pięciu żołnierzy morskiej piechoty, posiadających podstawowe umiejętności żeglarskie. Stanowili oni jednostkę szturmową.

Główny pokład galery był otwarty; pod nim mieściły się pomieszczenia do spania, gdzie chroniono się także w razie złej pogody. Schodziło się tam tylko wtedy, gdy morze rzeczywiście było wzburzone, ze względu na niezmierną ciasnotę i ciemność.

Niemal wszyscy musieli się schylać, bo inaczej bezustannie uderzali głową w sufit, aż w uszach dzwoniło. W czasie upałów górny pokład można było zacienić płóciennymi markizami.

Niezwykłe przyjemnie było wylegiwać się pod kolorowym przewiewnym namiotem, czując powiew morskiej bryzy... i niechętnie wstawało się stamtąd, by zabrać za kolejny zestaw ćwiczeń fizycznych, szermierkę albo trening oszczepniczy.

Wyżej, z przodu, ponad ostrym dziobem, znajdował się górny pokład, z którego w czasie bitwy przeprowadzano abordaże. Pod nim składowano broń, zapasowe żagle, liny, baryłki z wodą, racje żywnościowe i wiele innych rzeczy.

Przy sterze było drugie podwyższenie, czyli pokład rufowy. Stąd wydawano komendy i sterowano długim rumplem, połączonym z bocznym sterem. Pod tym pokładem umieszczono kabiny oficerskie, czyli jedyne pomieszczenia na okręcie, mogące rościć sobie pretensję do miana luksusowych.

Nad burtami, powyżej głównego pokładu, biegł długi, wąski pomost, łączący podwyższenia na dziobie i na rufie. Był to mostek sztormowy, który nie tylko umożliwiał poruszanie się, gdy fale zalewały pokład, lecz także wzmacniał kadłub.

Każda galera miała dwa maszty z łacińskim ożaglowaniem. Gdy trzeba było płynąć pod wiatr lub z większą szybkością, niż pozwalały żagle, ściągano je i załoga zasiadała do wiosł.

Do gotowania przeznaczono wysypane piaskiem, obudowane miejsce na głównym pokładzie. Jeden z marynarzy gotował proste posiłki w wielkich kotłach, które następnie wydawano do dalszego podziału "mesom", czyli grupom liczącym po dziesięciu marynarzy.

Ich talerze i sztuce, jak również przyprawy, które kupowali za własne pieniądze, przechowywano w specjalnych skrzyniach. Każdy marynarz miał prawo przystąpić do wybranej masy lub z niej odejść, pod warunkiem, że jej członkowie go zaakceptują. Mogli oni też pozbyć się niechcianego stołownika ze swej masy.

Klozet był drewnianą konstrukcją, którą wywieszało się za rufą, jeśli ktoś szedł za potrzebą. Jeśli chodzi o kąpiel, zacytuję matę: „Ostry dziób dodaje chędości, za to marynarze ciągiem moczą się we wodzie”.

I to już wszystko. Galery były dokładnie takie, na jakie wyglądały - zaprojektowano je, mając na uwadze tylko dwie rzeczy: prędkość i walkę. Niepotrzebne dodatki odrzucono.

Tak długo chodziłam po naszym okręcie i szkicowałam go w szczegółach, aż poznałam go na pamięć. Wtedy zajęłam się innymi aspektami: techniką żeglowania i walki. Ta nauka trwała aż do końca podróży.

Zwołałam odprawę moich oficerów, by przedyskutować strategię bitewną na naszych galer. Cholla Yi i jeden z oficerów jego morskiej piechoty wygłosili każdy po wykładzie, ale nie powiedzieli nic szczególnie odkrywczego. Bitwy morskie toczono, jakby każdy z okrętów był wozem załadowanym piechurami i miał za zadanie atakować inne wozy.

Jeszcze lepszym porównaniem byłoby niewielkie skupisko wrogich obozowisk, otoczone bagnami.

Najpierw należało narazić nieprzyjaciela na jak największe straty, walcząc z dystansu, przy użyciu włóczni, katapult, magii, jeśli na pokładzie byli Mistrzowie, oraz wszelkiej innej broni.

Potem następowało bezpośrednie starcie - na sygnał, piechota przeskakiwała na okręt przeciwnika, by wyrzucić jego żołnierzy. W tej walce nie było rozstrzygniętych pojedynków; napadnięty okręt przypadał w udziale zwycięzcom, jeśli był na tyle sprawny, by utrzymać się na wodzie, a przegrani stawali się jadłem dla rekinów, które już teraz ciągnęły naszym śladem.

Były w tej taktyce pewne subtelności, na przykład taranowanie ostrym dziobem i sieci abordażowe, o których opowiem, gdy nadejdzie czas. Ale zasadniczo między szturmowaniem zamku a abordażem niewielka jest różnica. Piechota to piechota, na lądzie czy na morzu.

Przedyskutowałam to wszystko z Corais na osobności. Obu nam się wydawało, że czegoś tu brak, coś się nie zgadza. Proponowany styl walki był równie subtelny jak pojedynek na pałki dwóch pijanych ślepców w ciasnym pokoju. Byliśmy przekonane, że można to zrobić lepiej albo inaczej. Ale wtedy jeszcze nie miałyśmy dobrych pomysłów.

Miałyśmy rację, ale i tej części mojej historii dowiedzie się w trakcie czytania.

Gdyby nie piracki wygląd załogi i ciągłe, wyęczone ćwiczenia z bronią moich gwardzistek, postronnemu obserwatorowi nasza podróż mogłaby się wydać wycieczką dla przyjemności. Fale lśniły w słońcu, powietrze było z rana ożywcze, a potem rozleniwiało, bezchmurne niebo urzekło błękitem w dzień, a gwiazdną feerią nocami, jak w romantycznym śnie. Silny wiatr ułatwiał żeglowanie, a dni były długie. Nie zbliżaliśmy się do nieprzyjaciela, ale też i nie oddalaliśmy się od niego; wkrótce stało się jasne, że ten pościg to pojedynek, gdzie liczy się tylko siła woli. Kto pierwszy popełni błąd, ten przegra. Nawet Gamelan i Archont zaniechali magicznych sztuczek. Rzucanie zaklęć okazało się bezcelowe, bo neutralizowali je wzajemnie, a przy takiej odległości nikt nie mógł nawet czerpać przyjemności, z patrzenia na ich magiczne popisy. Obaj magowie wyraźnie postanowili oszczędzać siły na ostateczny pojedynek. Gamelan jednak czuwał, by przeciwnik go nie zaskoczył i zapewniał mnie, że Archont postępuje tak samo. Byliśmy przekonani o naszej przewadze, bo nie tylko mieliśmy więcej okrętów i ludzi niż Symeon i Archont, lecz także byliśmy lepiej zaopatrzeni. Wiedzieliśmy więc, że nasi przeciwnicy wkrótce będą musieli się zatrzymać, by uzupełnić zapasy lub wodę.

Morale moich kobiet było lepsze niż się spodziewałam. Choć tęskniły za domem, kochankami i rodziną, przeżywały jednocześnie fascynację nowymi rzeczami i umiejętnościami. Przyjaźnie się pogłębiały, tworzyły się nowe pary, a te, które postanowiły być wierne pamięci kochanek, które zginęły albo pozostały na lądzie, sypiały samotnie i w spokoju. Pośród moich najbliższych współpracowniczek, Ismet w dalszym ciągu wystarczało własne towarzystwo, a Corais swoim zwyczajem nie angażowała się w poważne związki, lecz wdzięcznie przelatywała z kwiatka na kwiatek, bez obietnic, zobowiązań, nie zadając nikomu niepotrzebnych ran. Polillo zaś zakochała się bez pamięci i raczej melancholijnie w drobnej blondyneczce, sierżant Neustrii, która najpierw doprowadziła ją do wrzenia, udając nieśmiałość, a potem zaspokoila ją, pograżając w pamiętnym szaleństwie miłosnym, które trwało dwa dni; obściskowały się wszędzie, gdzie tylko mogły znaleźć nieco intymności i jęczały przy tym jak kotki. Wreszcie romans zakończył się wspaniałą walką, podczas której nawyzywały się od kompletnych idiotek, żałując serdecznie, że się w sobie zakochały.

Ostatni raz widziałam Polillo tak szczęśliwą w dniu, gdy poderznęła gardła dwóm Likantyjczykom w ciągu pięciu minut. Co do mnie, nie romansuję, gdy dowodzę. A nawet, gdybym miała inne zasady, między mną a fascynującą mnie kobietą i tak stanęłaby Tries.

Tak więc przez wiele dni morze nam sprzyjało. Każdy ranek witał nas pustą linią horyzontu, który zapraszał do dalszej wędrówki, a każda noc zaczynała się cudownie szkarłatnym zachodem słońca co, jak twierdzą żeglarze, zapowiada kolejny pogodny dzień.

Rozdział Szósty

OPOWIEŚCI MAGA

Mijały dni, a ja coraz częściej szukałam towarzystwa Gamelana. Na początku nie czułam się z nim całkiem swobodnie, bo dalej chowałam w sercu urazę do Mistrzów Magii za to, że odegrali pewną rolę w zamordowaniu mego brata Halaba. To prawda, Amalryk zawarł pokój z orissańskimi magami i uwolnił nas od tyranii czarnoksięstwa, przywożąc zdobycze wiedzy z Zamorskich Królestw. Ja jednak nie pragnęłam z nimi zgody, i nie sądzę, bym ją mogła zawrzeć z kimkolwiek innym oprócz Gamelana. Nie umiem łatwo wybaczać, szczególnie, gdy doszło do rozlewu krwi.

Wszystko to zaczęło się jednak zmieniać, gdy ujrzelśmy dryfujące pole lodowe.

Takie widoki zdarzają się rzadko, lecz, zdaniem podróżników, czasem prądy morskie odrywają takie pola od wielkiego lodu na mroźnym południu i ściągają je w nasze okolice.

Było ono olbrzymie, wielkości sporej wioski, pokryte lodowymi szczytami i rozpadlinami; z jednej strony zaś ciepła woda wytopiła olbrzymi, różowawy fiord. Wszyscy go podziwialiśmy, a kilka osób nawet podpłynęło tam łodzią i przywiozło wielki odłamek różowego lodu.

Włożyłam kawałek do kubka z winem, które wzburzyło się drobnymi bąbelkami, niezwykle

przyjemnymi w smaku.

Gdy przepływaliśmy obok tego pola, przeszłam się wzdłuż pokładu, by utrwalić sobie w pamięci niezwykle widok. Byłam tak pochłonięta obserwacjami, że prawie się potknęłam o Gamelana, który coś majstrował przy relingu. Gdy przeprosiliśmy się wzajemnie za niezręczność, zobaczyłam obok dwa duże wiadra z wodą morską, pełne tłustych ryb.

Gamelan zaś trzymał w dłoni solidną linkę, do której przyczepił kilka nieprzyjemnie zaostrzonych haczyków. Pochylił głowę, gdy zorientował się, że spostrzegłam, co robi, ale dalej zakładał przynętę.

Roześmiałam się.

- Ty, panie, rybakiem? I to doskonałym, trzeba przyznać! Myślałam, że jeśli mag wybiera się na ryby - choć właściwie nigdy nie wyobrażałam sobie żadnego z was w takiej sytuacji - to po prostu rzuca zaklęcie na morze. Albo wrzuca do wody jakąś paskudną substancję, która zabija ryby.

- Gdy byłem prostym pomocnikiem, nauczono mnie, że najważniejszą zasadą magiczną jest: nie praktykować bez potrzeby - odciął się Gamelan.

- Ale zdobywanie pożywienia jest potrzebne - stwierdziłam.

Gamelan zarumienił się. Naprawdę. Nawet długa siwa broda i kościste rysy nie odebrały mu chłopięcego uroku. Gdybym miała jakiegokolwiek ciągoty macierzyńskie - niestety, zawsze mi ich brakowało, ku wielkiemu utrapieniu Tries - natychmiast przytuliłabym go do łona. Po chwili wzruszył ramionami: - Nie chcę, by wszyscy o tym wiedzieli, ale po prostu lubię łowić - wytłumaczył.

- Prawdę mówiąc, kiedyś byłem rybakiem. Rodzice nawet twierdzili, że gdy dorosnę, zostanę najlepszym rybakiem w Orissie.

Byłabym mniej zdumiona, gdyby wyciągnął z rękawa jakiegoś demona i przedstawił mi go jako swą kochaną siostrzyczkę.

- Wy? Rybakiem?

Uśmiechnął się i zarzucił wędkę.

- Czy to takie dziwne? - spytał. - Przecież każdy skądś pochodzi, więc i ja mam własne miejsce urodzenia i rodziców na dokładkę.

- Ale w jaki sposób z rybaka robi się mag? I to w dodatku Najwyższy Mistrz Magii całej Orissy?

Milczał dłuższą chwilę. Patrzyłam, jak prowadzi linkę w pobliże lodowego pola.

Powiedział: - Moje zimnokrwiste przyjaciółki tam się właśnie pochowały. Jak tylko zobaczyłem ten lód, wiedziałem, że będę miał dobry połów.

Pozwoliłam mu zmienić temat, bo widziałam, że poczuł się skrępowany. Odparłam: - A ja myślałam, że raczej będą uciekać przed zimnem.

- Nie mam doświadczenia z lodem, ale kiedy zobaczyłem ten lodowiec, wiedziałem od razu, że dla ryby to raj. To doskonała kryjówka, a w dodatku świetne żerowisko.

Nie pytaj, skąd wiem takie rzeczy. Po prostu wiem.

- Magia? - naciskałam.

- Ach, nie. Ja... po prostu nagle zacząłem myśleć po rybiemu. I wiedziałem, że tam mi będzie dobrze.

Linka szarpnęła, najpierw raz, potem drugi. Nie zdążyłam mrugnąć okiem, a on już ją wyciągał. Już sięgałam ręką, żeby mu pomóc, ale poruszał się tak sprawnie, a jego ręce ściągały linę tak pewnie i mocno, że się cofnęłam. Po chwili na pokładzie leżała olbrzymia ryba, poruszając skrzelami w agonii.

- A widzisz?

- Nigdy się nie sprzeczam, jeśli stawką jest obiad - odrzekłam.

- W takim razie zapraszam cię do siebie dziś wieczór Obiecuję doskonałe jedzenie.

Przyjęłam zaproszenie, wiedząc, że chodzi mu o coś więcej.

Wieczorem siedziałam zgięta we dwoje w malutkiej kabinie, którą okrętowy cieśla musiał ustąpić Mistrzowi Magii na laboratorium. Mag zapełnił ją przedziwnymi przedmiotami, iluminowanymi księgami, flakonami, dzbanami i woreczkami o tajemniczej zawartości. Jednak ciekawość moją skutecznie przyćmił aromat ryby, gotującej się na niewielkim piecyku. Byłam straszliwie głodna. Bez zbędnych wstępów zabraliśmy się do jedzenia.

Gdy skończyliśmy, popuściłam pasa i westchnęłam: - Jeśli teraz mi powiesz, panie, że w poprzednim swym życiu byłeś mistrzem kucharskim u najbogatszej rodziny w Orissie, nawet przez sekundę nie będę wątpić w twe słowa - podniosłam do ust ostatni kąsek. - Widzę, magu, że jesteś wszechstronnie utalentowany.

Gamelan roześmiał się.

- Przy gotowaniu posłużyłem się magią - wyznał. - Mam takiego demonka, którego skusiłem, by

porzucił dla mnie kuchnię innego maga. To drobny ciułacz, więc umówiliśmy się, że ja mu będę dostarczała miedziaków do woli, a on za to zostanie moim kucharzem.

- Myślałam, że magią można posługiwać się tylko w ważnych sprawach - zażartowałam.

Uśmiechnął się przekornie zza zasłony brody.

- Jedzenie jest ważne - odciął się.

Wyciągnęłam butelkę brandy, którą przezornie zabrałam ze sobą.

- Jeśli znajdziecie, panie, dwa kubki, to zajmiemy się ciałami lotnymi nieco innego rodzaju. Łyk albo dwa, i zaraz opowiecie mi wszystko o swoim rybackim pochodzeniu.

- Nie wstydzę się go - odparł, ale i tak przyniósł kubki. Napełniłam je i wypiliśmy.

Otrząsnął się, poczuwszy w przełyku mocny alkohol i pociągnął kolejny łyk. - Właściwie - dodał - pomyślałem po prostu, że przyjemniej będzie ci słuchać tej opowieści w zaciszniejszym otoczeniu. Uważam bowiem, że ma ona pewnie odniesienie do ciebie.

Zaskoczył mnie.

- Do mnie? W jakim sensie?

- Ponieważ posiadasz Dar - odparł po prostu.

- Bzdura - zdenerwowałam się nieco. Nie musiałam pytać, co to oznacza. - Wszystkie moje dary są natury fizycznej, zasłużyłam na nie ciężką pracą i tyle.

- Możesz zaprzeczać, ile tylko zechcesz, Rali - odparł. - Ja jednak wiem, że to prawda.

Pamiętasz, jak rzucałaś kośćmi w namiocie Jinnaha? Zresztą, samo wyszkolenie bojowe, nawet połączone z dużym szczęściem nie pozwoliłoby ci zabić jednego Archonta, a drugiego zmusić do ucieczki. Posłuchaj mnie: coś takiego nie udałoby się zwykłemu człowiekowi.

- Ale ja nawet nie lubię magów - zdenerwowałam się. - Włącznie z moim obecnym rozmówcą, jeśli zaraz nie zmieni tematu.

Nie obraził się jednak.

- Twój brat, Halab, też miał Dar. Zaprzeczysz temu?

Nie mogłam. Zdaniem Amalryka, gdyby Halabowi pozwolono żyć, stałby się jednym z najpotężniejszych Mistrzów Magii w historii naszego ludu. Ale Mistrzowie, zanim Amalryk ich nie utemperował, byli zazdrośni o moc naszego najstarszego brata i postarali się, by nie zdał morderczego egzaminu, jakim poddano jego umiejętności.

- On był jedyny w mojej rodzinie - odparłam.

- Naprawdę? - zapytał. - W Amalryku również wyczuwam niewielki Dar. Tak więc mamy i drugiego.

Gwałtownie potrząsnęłam głową.

- Nie wierzę ci. Poza tym, jeśli ten dar jest tak częsty w rodzinie Antero, dlaczego nie ujawniał się w

przeszłości? Dlaczego nikt nie był tak potężny jak Halab?

- Jesteś pewna, że nie było nikogo takiego?

- Naturalnie. Nikt ze strony ojca...

Gamelan wszedł mi w słowo.

- Wiem o tym. A ze strony matki i jej rodziny?

Zamilkłam. W mojej matce zawsze było coś szczególnego. Czasami wydawało się, że żyje jakby z dala od nas wszystkich. Tak jakby była na... na wyższym poziomie?

Bardzo rzadko też opowiadała o swojej rodzinie, mieszkającej w niewielkiej wiosce, tam, gdzie spotkała i pokochała mego ojca.

- Nie wiem - przyznałam w końcu, lecz głosem tak cichym, że sama go ledwie słyszałam.

- Ale ja wiem - odpowiedział Gamelan. - To jest powód, dla którego moi bracia magowie starają się strzec przed waszą rodziną. Kiedyś za sprawą zaklęć dowiedziałem się, że twoja babka była słynną czarownicą, szeroko znaną w okolicy, podobnie jak jej matka.

Uznałam, że mówi prawdę. Dlaczego miałby kłamać? Ale nie podobało mi się to, co usłyszałam.

- Nie oznacza to jednak, że i na mnie padła ta klątwa.

- Naprawdę będzie to klątwa, jeśli dalej będziesz się wypierać swego daru - ostrzegł. - Jeśli nic się nie zmieni, staniesz się przyczyną tragedii. I to nie tylko własnej. Także dla wszystkich wokół ciebie.

Nie odpowiedziałam. Byłam przerażona, zbita z tropu i bliska załamania.

Wychyliłam brandy do dna i ponownie napełniłam kubek.

- A teraz posłuchaj mojej historii - powiedział. - Powinnaś przecież wiedzieć, że człowiek, który stoi przed tobą, całym sercem pragnął stać się kimś zupełnie innym.

Wypiłam... i zamieniłam się w słuch.

- Urodziłem się na rybackiej łodzi, w rodzinie rybaków - zaczął. - Łowiliśmy w naszej błogosławionej rzece od czasów, gdy Orissa była zaledwie wioską.

Wiedziałałam, jakiego rodzaju ludzi ma na myśli. Spędzali niemal całe życie na rzece, schodząc na ląd tylko po to, by naprawić łódź, sprzedać ryby i kupić zapasy. Na noc łączyli łodzie linami tak blisko, że tworzyły coś w rodzaju miasteczek; można było przechodzić z jednej na drugą bez trudu, jak po ulicy. Czasem do późna w noc słyszało się stamtąd śmiechy i dźwięki ich ulubionej muzyki. Wydawali się tacy beztroscy, że nieraz pragnęłam się do nich przyłączyć i porzucić miasto dla życia na rzece.

- Mamy rzekę we krwi - opowiadał Gamelan. - Nie, inaczej. Rzeka jest naszą krwią.

Niesie nas z prądem i odsuwa od nas smutki. Jest dla nas strawą i napojem. Jest wszystkim.

Tyle w niej zawsze tajemnic, nieraz nawet niebezpiecznych, że nikomu się nie znudzi. Nigdy do końca nie poznamy, co kryje się w jej głębinach. W takim świecie się urodziłem.

Takiego życia pragnąłem ponad wszystko. I do dziś go pragnę.

Pociągnął kolejny łyk w zadumie.

- Niestety miałem Talent - mówił dalej. - Na początku właściwie nikt go nie zauważał.

Ale nawet gdy byłem małym chłopcem, wystarczyło, bym dotknął każdej, choćby nie wiem jak splątanej sieci, a wszystkie supły zniknęły i sieć była jak nowa. Były i inne znaki, na początku niemal niezauważalne. Jeśli komuś coś zginęło, wystarczyło mnie poprosić, a natychmiast odnajdywałem zgubę. Jak każde dziecko, miewałem ataki furii, a wtedy ogień na kominku zaczynał szaleńczo buzować, a drobne przedmioty fruwały po całym pokoju, choć nikt ich nawet nie dotykał. Szkło zaś pękało i kruszyło się bez powodu, a w dno łodzi ktoś stukał, jakby był tam człowiek, chcący coś nam przekazać.

- A widzisz, panie! - wybuchnęłam. - Mnie nigdy się nic takiego nie przytrafiło.

Jestem jednak zwykłą śmiertelniczką...

Ciągnął swą opowieść, nie zwracając na mnie uwagi. Z początku rodzina była z niego dumna, szczególnie gdy okazało się, że potrafi dotknięciem leczyć niewielkie rany. Ten niezwykły dar, oraz początki sławy jako rybaka, który zawsze wracał z połowem i potrafił doprowadzić innych na bogate łowiska w czas nieurodzaju, powodowały zazdrość ze strony przyjaciół i dalszych krewnych.

Gdy miał osiemnaście lat, jego przyszłość była przesądzona. Ojciec miał wkrótce podarować mu pierwszą łódź i wszyscy twierdzili, że pewnego dnia Gamelan zostanie ich przywódcą. W dodatku, zakochał się wtedy.

- Pamiętam, że Riana była piękna, jak cudowny sen zakochanego mężczyzny. Byliśmy pewni, że nikt nie zaznał takiej miłości jak my i przysięgaliśmy każdemu, kto chciał nas słuchać, że bogowie

stworzyli nas jako dwie części tej samej całości, które nie mogą bez siebie istnieć.

Znów się zadumał, a ja napełniłam kubki. Dodał: - Ludzie pewnie by powiedzieli, że przeżywaliśmy typowe młodzieńcze zakochanie. Ale ja jestem innego zdania. I tak zresztą wkrótce okazało się, że bogowie z nas zadrwili. Mieli inne plany.

Wspomniałam moją Otareę, od tak dawna nieżyjącą i prawie zapłakałam, przypomniawszy sobie jak to jest, gdy się kocha i jest się kochaną tak głęboko.

- Pewnego dnia zdarzył się wypadek. Jakaś młoda dziewczyna z miasta wybrała się na przejażdżkę łodzią, w towarzystwie rodziny i zanurzyła dłoń w wodzie akurat wtedy, gdy dureń, który sterował ich łodzią, podpłynął za blisko do handlowego statku.

Urwało jej rękę.

Byłem najbliżej i popłynąłem na ratunek. Do końca życia nie zapomnę przerażenia i bólu na jej twarzy i krwi buchającej strumieniem. Krzyknęła do mnie: - Ale ja mam dopiero szesnaście lat! Zobaczyłem, że urwane przedramię leży tuż obok, złapałem je i przycisnąłem do kikutu. I modliłem się, ach jakże gorąco się modliłem Nie wiem do kogo...

myślałem tylko o tej biednej dziewczynie, z której życie ucieka. Usłyszałem jej krzyk, a potem płacz, otworzyłem oczy i ujrzałem, że ręka na powrót przyrosła do ciała, tak jakby nic się nie stało.

Jej rodzina i towarzysze zaczęli mi dziękować, chcieli wiedzieć, jak się nazywam, ale ja tak byłem wstrząśnięty i przerażony cudem, że wskoczyłem do swej łódki i uciekłem, ile wiatru w żaglach.

W kilka dni później Gamelan po raz pierwszy spotkał maga.

- Dla chłopca o bujnej wyobraźni było to rozczarowanie - opowiadał. - Spodziewałem się, że będzie

wyglądał tak jak ja teraz. Powinien być stary. Brodaty. Powinien umieć jednym spojrzeniem powstrzymać w miejscu rozpędzonego byka.

Spojrzałam w jego dziwne, żółte oczy. Były ciepłe i dobre jak ogień na kominku.

Pochwycił moje spojrzenie: - Potrafią i dokuczyć - skomentował.

Roześmiałam się i poprawiłam na siedzeniu. Opowieść była tak zajmująca, że zapomniałam o własnych zmartwieniach.

- Wracając jednak do mego pierwszego Mistrza Magii - zaczął - był młody i przystojny. I bogaty. Był bratem tej młodej dziewczyny, którą uratowałem.

Nazywał się Yuloor, talentu miał niewiele, za to ambicje - potężne. Chciał mnie wynagrodzić za uratowanie siostry, opłacając moje członkostwo w Radzie Mistrzów Magii. Mógłbym wkrótce wdziąć szaty czarownika i zyskać szacunek w całym mieście. Ale ja o to nie dbałem.

Wiedziałem, że gdy raz porzucę rzekę, nigdy więcej na nią nie powrócę.

Yuloor potwierdził moje obawy, ale twierdził jednocześnie, że to niewielkie poświęcenie, ponieważ moja rodzina odniesie z tego ogromne korzyści. Co więcej, moim świętym obowiązkiem wobec ludu Orissy było wykorzystanie talentu, którym może się chlubić tak niewiele osób. Przez wiele dni wodził na pokuszenie i mnie i rodzinę, aż w końcu przekonał mnie, że nie mam wyboru. Jeśli zrezygnuję, skazę samego siebie i moich bliskich na straszne cierpienia, ponieważ dar magiczny będzie walczył zębami i pazurami, by wyrwać się ze mnie na wolność. W końcu się zgodziłem.

- Jak sądzę, Yuloor zorientował się, że jesteś jego szansą - wtrąciłam. - To jemu przypadła w udziale prawdziwa nagroda.

- Masz rację - przytaknął Gamelan. - Został mym mentorem i gdy ja wspinałem się do góry po szczeblach wiedzy i potęgi, on wznosił się razem ze mną. Umarł całkiem niedawno.

Był chyba szczęśliwy.

- A co się stało z Rianą? - spytałam.

- Straciłem ją - odpowiedział. - Zabronili nam małżeństwa. Przecież to nie do pomyślenia, by Mistrz Magii poślubił zwykłą rybaczkę.

- Nie spierałeś się z nimi? - spytałam gwałtownie. - Nie walczyłeś?

- Ależ walczyłem - westchnął. - Ale nie miałem szans. Powiedziano mi wprost, co się z nią stanie, jeśli dalej będę się im sprzeciwiał. Mam wrażenie, że ta strata to jeden z powodów, dla których zdobyłem aż taką moc. Nigdy nie pokochałem innej kobiety, nic więc nie odrywało mnie od studiów magicznych, aż w końcu całkiem mnie pochłonęły i po rybaku zaginął ślad. Został tylko mag.

- I takiego życia chcesz dla mnie? - spytałam. - Jestem szczęśliwa i nie pragnę żadnych zmian.

- Na pewno, Rali?

Pomyślałam o śnie, w którym Tries mnie zdradziła i nie potrafiłam przytaknąć.

- I tak zresztą szczęśliwy okres masz już za sobą - powiedział. - Albo pójdiesz za swym losem, albo poniesiesz konsekwencje.

- Konsekwencje? - warknęłam. - Właśnie o tym opowiadał ci ten kłamca Yuloor.

- Tak, tylko że wtedy nie kłamał - odparł Gamelan.

- Jestem żołnierzem, niczym więcej - mruknęłam, zamazując samogłoski. Upiłam się, ale to nie brandy mnie tak oszołomiła.

- Czy postarasz się to przemyśleć?

- I na tym koniec - odparłam gniewnie, pełna nienawiści.

- Porozmawiamy o tym jutro - obiecał.

Nie odpowiedziałam. Pomyślałam sobie, że gdybym rzeczywiście miała magiczną moc, jutro nie nadeszłoby nigdy.

Ale nadeszło, skrybo, nadeszło. Tylko że nie spędziliśmy tego dnia tak, jak nam się przedtem wydawało.

Codziennie, po obserwacjach nieba w czasie południowego przyływu, Gamelan płynął szalupą na admirałską galerę, by uzgodnić, jakim kursem przypuszczalnie płynie flota Archonta. Magiczną wiedzę Gamelana uzupełniały wskazania przyrządów nawigacyjnych.

Ustalano dokładny kierunek, który obwieszczały flagi sygnałowe, po czym każdy z okrętowych sterników wprowadzał poprawki na własną rękę.

Jednak tego dnia wszystko przebiegało inaczej. Rozmawialiśmy z Corais o przebiegu szkolenia rekrutów, gdy usłyszałam okrzyk z bocianiego gniazda.

Gamelan skrócił spotkanie z Cholla Yi i pośpiesznie płynął łódką w naszą stronę. Powoli podeszliśmy do relingu, by zobaczyć, co się stało. Na szalupie panowało wyraźne podniecenie, a Gamelan niecierpliwie wskazywał na nasz okręt i poganiał wioślarzy.

- Aha, magowi się śpieszy - stwierdziła sucho Corais - a to zwykle oznacza kłopoty.

Usłyszałam okrzyk Polillo, spojrzałam na morze i zobaczyłam, że kilkanaście metrów za rufą łodzi Gamelana ogromny ptak o skórzastych skrzydłach walczy z morskim jaszczurem o dużą rybę. Bestie nie stanowiły zagrożenia dla Gamelana, więc natychmiast pochłonęło mnie obserwowanie walki między dwoma niezwykłymi przeciwnikami... reszta załogi poszła w moje ślady.

Jaszczur był dwa razy większy ode mnie, ale ptak bynajmniej się go nie lękał.

Schwycił rybę w potężny zębaty dziób i już miał umknąć z łupem, gdy jaszczur zaatakował.

Oba stwory mocno pochwyciły rybę za przeciwległe końce, jeden ciągnął do góry, a drugi w dół.

- Sztuka srebra na ptaka! - zawołała Polillo.

Nikt jednak nie podjął zakładu, bo wszyscy brali stronę dziwnego ptaszyska, głośno mu kibicując. Jęknęliśmy, gdy nagle puścił rybę.

- Dwie sztuki przeciw jednej! - podwyższyła stawkę, gdy jaszczur odchylił się do tyłu, trzymając rybę w paszczy. Odpowiedział jej chór ofert. Po jej szerokim uśmiechu poznałam, że jej zdaniem ptak jest równie mądry, jak odważny. I rzeczywiście, gdy jaszczur odsłonił się, oszołomiony nagłym zwycięstwem, ptak rzucił się na niego i rozorał mu biały brzuch zakrzywionymi szponami. Gad ryknął, zwinął się z bólu, po czym zaczął rzucać się na boki.

Ptak natychmiast porwał rybę i wystrzelił w niebo, a na pokładzie rozległy się wiwaty, a także jęki

tych, którzy założyli się z Polillo.

- Dobrego wojownika poznam na pierwszy rzut oka - chwaliła się, obchodząc licznych dłużników. - Ano, popatrzmy na te wasze monety, przyjaciele. Tylko biały metal.

Nie mam w skrzyni miejsca na miedziaki.

Walka wszystkich nas orzeźwiła, jakbyśmy sami brali w niej udział.

- To jest bez wątpienia dobry omen - powiedziała Corais.

Chciałam się z nią zgodzić, ale wrodzona ostrożność - niektórzy twierdzą, że to cynizm - nie pozwoliła mi na to. Może to i był dobry omen. Z drugiej strony jednak, z punktu widzenia morskiego jaszczura, mogło to być ostrzeżenie.

Szelest szaty sprowadził mnie na ziemię; odwróciłam się i spostrzegłam, że Gamelan kuśtyka ku nam tak szybko, na ile pozwala mu wiek. Dopłynął do galery w trakcie walki i wspiął się na pokład o własnych siłach, albo z bardzo niewielką pomocą.

- Przepraszam... - zaczęłam się tłumaczyć, ale powstrzymał mnie niecierpliwym gestem. - Flota Archonta się zatrzymała - powiedział.

Zakrztusiłam się i wydałam z siebie wszystkie bezsensowne odgłosy, typowe dla oficera, który wpadł w rutynę i zapomniał, że jego zawód polega głównie na działaniu z zaskoczenia.

- Nie wiem, jak długo będą zwlekać, ani też co ich zatrzymało - powiedział - ale ze wszystkich oznak wynika, że stanęli na kotwicy albo trafili w strefę ciszy morskiej.

- Może zatrzymał się gdzieś, by zaczerpnąć wody albo uzupełnić zapasy - zasugerowałam. - Mieli niewiele czasu na przygotowania przed ucieczką.

Gamelan kiwnął głową; broda zjeżyła mu się z nadmiaru energii, a żółte oczy tańczyły, niby bliźniacze słońca.

- Tak właśnie przypuszczamy razem z admirałem.

Rozwinął małą, byle jaką mapę, której nigdy przedtem nie widziałam.

- Mistrz Phocas znalazł to w swoich zborach - powiedział. - Podobno pokazuje ziemie leżące poza naszą mapą, ale on sam nie wierzy w jej wiarygodność, bo dostał ją w winiarni, zamiast nabyć w żeglarskim sklepie.

Pochyliłyśmy się z Corais nad mapą. Gamelan wskazał palcem grupkę daleko wysuniętych na zachód wysp.

- Chyba tu obecnie kotwiczy jego flota. Nikt nie wie, czy na tych wyspach można zdobyć jakieś zaopatrzenie. Cholla Yi twierdzi, że nie wiadomo, czy tam w ogóle jest jakiś ląd.

Na mapie obok wysp wypatrzyłam znaczek - ostrzeżenie, że kartograf, nanosząc je, polegał raczej na pogłoskach, niż na faktach. Mimo to słyszałam w uszach pulsowanie krwi.

- Jeśli to nie wyspy, po co miałyby się zatrzymywać na środku oceanu?

Mag skręcał brodę w palcach.

- No właśnie, po co? - spytał zachwycony.

Corais roześmiała się: - Następnym razem, gdy zobaczę śpieszącego się maga, nie będę się od razu martwić, że szczęście nas opuszcza.

- Nie prowokuj bogów - ostrzegłam. - Najpierw musimy go dopaść. A potem z nim walczyć.

Polillo, która stanęła za nami, wtrąciła się do rozmowy: - Czy mi się zdaje, czy ktoś mówił o walce?

- Nie zdaje ci się, moja droga - odparłam. - Tak, w końcu będziemy walczyć.

- To dobrze. Od pewnego czasu zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie przestaję z tchórzami. Mój topór jest głodny.

Obiecana walka jednak nie nastąpiła prędko. Zgodnie z tym, co powiedziałam Corais, najpierw trzeba było dopędzić Archonta. Wiosłowaliśmy z wielkim zapałem, bębny cały czas wybijały podwójny rytm, a wiosłarze ciągnęli tak silnie, że drzewce wiosel się wyginały.

Okręty pędziły po falach tak chyżo, że kadłuby prawie nie zanurzały się w wodzie. Trwało to dwa dni, po czym nastąpiło kilka godzin odpoczynku i kolejne dwa dni szaleńczego pościgu.

Żyliśmy w takim napięciu, że nikt nie powiedział ani słowa, gdy przekroczyliśmy zachodni skraj głównej mapy i znaleźliśmy się na nie znanych kartografom morzach.

Piątego dnia ujrzelśmy flotę Archonta.

Zwiększyliśmy jeszcze mordercze tempo pościgu i po dwóch godzinach można było oglądać uciekających Likantyjczyków z pokładu dziobowego. Wydawało mi się nawet, że potrafię rozróżnić pojedyncze żagle. Na pokładzie panował tłok - oprócz mnie stali tu Corais, Polillo, kapitan Stryker i Gamelan. Potem przybył Cholla Yi, choć nieproszony i odbyliśmy improwizowaną konferencję. Atmosfera była pełna podniecenia i napięcia.

- Czy nas już spostrzegli?

Pytanie Corais było skierowane do Strykera, ale odpowiedział na nie Gamelan: - Na pewno tak. Jeśli nie gołym okiem, to z pomocą zakłéc. Już czuję, jak wyciągają się do nas szpony Archonta.

Cholla Yi zmarszczył brwi, spostrzegłszy, że stojący nieopodal marynarz zadrzał, i to bynajmniej nie z powodu chłodnego wiatru. Gamelan ze zrozumieniem kiwnął głową i przeszliśmy po mostku sztormowym dalej, tak, by nas nie słyszał nikt niepowołany.

- Ile mają nad nami przewagi? - spytała Polillo.

Cholla Yi spojrział na wydęty grotzagiel i sprawdził, która jest godzina, oceniając jak bardzo przesunął się po pokładzie cień fokmasztu od czasu, gdy zebraliśmy się, by obserwować statki.

- Jeśli wiatr nie osłabnie i będzie wiał z tej samej ćwiartki - powiedział - i jeśli zostaną na tym samym kursie, to jakieś dwa, trzy dni.

- Gdybym to ja komenderował tamtymi statkami, wiedząc, że na pewno czeka nas walka, bo i tak ich dogonimy - zauważył Stryker - już teraz stanąłbym w szyku do walki, tak by mieć przeciwnika z wiatrem.

- Ja też - odparł Cholla Yi - ale jak ktoś już zacznie uciekać, trudno jest mu się zatrzymać. Strach każe nam robić dziwne rzeczy.

- Jesteś pewien, admirale, że oni się boją? - spytał Gamelan. - I że uciekają przed nami, a nie zdążają do jakiegoś celu?

Pirat chciał rzucić jakąś kąśliwą odpowiedź, ale po zastanowieniu zrezygnował z tego.

Wyglądał na zmartwionego. Przeczesał palcami kolczastą fryzurę.

- Cały czas utrzymują ten sam kurs, prawda? I to od dłuższego czasu - powiedział.

- Tak też myślałem, choć niewiele mam wspólnego z żeglarstwem - przytaknął Gamelan.

- Czy coś wyczuwasz, lordzie Gamelanie? - spytał Stryker.

- Jeszcze nie - odparł mag. - Poświęcam większość energii na odgadywanie, jakie zaklęcia Archont rzuca przeciwko nam, i staram się je neutralizować. Postaram się jednak poszukać jakiegoś słabszego miejsca w jego obronie i spróbuję się jakoś prześliznąć.

Zszedł z mostku na pokład i udał się do swej ciasnej kabiny.

Polillo potrząsnęła głową: - Nie lubię walczyć z magami i za nic nie chciałabym się teraz znaleźć się na miejscu Gamelana. Wyobraźcie sobie wroga, którego nie widać, nie słychać i nie można zabić mieczem.

Corais otoczyła ją ramieniem: - Nie denerwuj się, siostrze. Daleko, w czarnym piekle smaży się już jeden Archont, który myślał tak jak ty, póki Rali nie dała mu nauczki.

Polillo, pocieszona, uśmiechnęła się półgębkiem.

Zamilkliśmy i wzrok nasz znów pobiegł ku małym kropkom daleko na horyzoncie.

Tej nocy wpłynęliśmy na dziwne morze. Słońce zaszło, lecz niebo w dalszym ciągu pozostało jasne. Gdy zapadła noc, zorientowaliśmy się, że blask bije z miejsca znajdującego się z tyłu za flotą Archonta. Niebo mieniło się czerwienią, jakby tuż za horyzontem szalał pożar. Słyszałam kiedyś o fosforyzujących morzach, więc spytałam Strykera, czy mamy do czynienia z czymś takim.

- Nie słyszał-żem jeszcze o morskim ogniu, co potrafi całe niebo oświecić - odpowiedział.

- A co to może być, waszym zdaniem?

Splunął przez reling.

- Opuściłem sobie myślenie, jak ruszyliśmy w ten rejs, kapitanie - odpowiedział. - Inaczej, jakbyśmy złapali tego czarnego maga, to bym nijak nie mógł sterować prosto.

W miarę upływu czasu blask na niebie stawał się coraz silniejszy, a o północy, gdy zmusiłam się, by ułożyć się w hamaku, mogłam już odróżnić pojedyncze płomienie.

* * * Obudziłam się przed świtem drżąc na całym ciele; ze sny wyrwała mnie ohydna woń i krzyki z pokładu. Z początku myślałam, że ktoś nas atakuje zaklęciami i wyskoczyłam z hamaka, od razu chwytając za miecz. Okazało się jednak, że nic takiego się nie dzieje.

Powietrze, morze i cały świat cuchnęły jak siarkowe źródła i błota w pobliżu Orissy, gdzie ojciec zabierał nas na wycieczki, kiedy byłam mała. Popędziłam na pokład, po raz kolejny mało nie

roztrzaskując sobie czaszki o piekielnie niskie drzwi. Obudziłam się ostatnia, bo prawie cała załoga statku już się tłoczyła przy relingu.

Słońce jeszcze nie wstało, ale mglista, żółtawa poświata dawała dość światła.

Nad morzem unosił się brązowawy tuman, tak gęsty, że choć znaleźliśmy się o wiele bliżej Likantyjczyków niż poprzednio, ich statki w dalszym ciągu były niemal całkiem ukryte w ponurych kłębach oparu. Ale nie z tego powodu wszyscy wylegli na pokład.

Zobaczyliśmy wreszcie ląd, a w każdym razie coś w rodzaju lądu. Nietrudno było zgadnąć, skąd bierze się ten okropny zapach i dziwna nocna poświata.

Policzyłam niewysokie szczyty, które wydawały się wyrastać z morskich fal: trzy...

nie, pięć nowo powstałych wulkanów. Z każdego z nich wędrowała ku niebu smuga dymu, a momentami iskry i pomieszane z dymem płomienie. Corais i Polillo stanęły obok mnie bez słowa.

Na pokładzie rufowym stali Gamelan ze Strykerem. Weszłam do nich na górę. Obaj wyglądali na przygnębionych.

- Zdaje się, że mieliście rację: Archont, uciekając, rzeczywiście zmierzał do jakiegoś celu - zwróciłam się do Gamelana.

Zamiast niego odpowiedział Stryker: - Ano tak, pani kapitan. Może im się wydawa, że się tam schowają? A może tam czeka ktoś do pomocy? - podrapał się po głowie. - Tylko że trzeba mieć skórę z żelaza, jak ktoś tam mieszka. To się kupy nie trzyma.

Gamelan mu przerwał: - Jestem jednak pewien, że tu właśnie zmierzali. Nasi przyjaciele nie są ślepi; gdyby sądzili, że wpływają w pułapkę, wcześniej zmieniliby kurs.

Przypomniałam sobie dawną rozmowę z Amalrykiem: - Mój brat powiedział mi kiedyś, że klan Symeonów podróżował gdzieś na zachód i nikt nie wie, jak daleko się zapuszczali.

Gamelan pogładził się po brodzie.

- Aż na te wody? Bez pomocy nawigacyjnych? Moim zdaniem Nisou Symeon tyle wie o tych wodach, co i my. To raczej Archont poznał je z pomocą magii.

- Ano, to szkoda, żeście sami też tego nie zrobili - wtrącił Stryker półszeptem - i żeście nas nie ostrzegli przed tym przeklętym oceanem.

Gamelan spojrział na najemnika płonącymi oczyma i powiedział bardzo, bardzo zimnym tonem: - Jak już wspomniałem, wyęźałem wszelkie swe siły i całą magię, by nie stracić z oczu Archonta i jego statków. Na przeszkodzie stało mi wiele zaklęć, które zostawiali na swym śladzie, i bez moich wysiłków łatwo moglibyśmy zmylić drogę albo w ogóle zrezygnować z pościgu. A co do tych wybuchów... większe niebezpieczeństwo zagraża nam ze strony Archonta. Nawet teraz, gdy Symeon i jego ludzie ostrzą broń do walki, czarny mag przygotowuje swoje zaklęcia. Błyskając zębami zza siwej brody, dodał: - Skoncentruj się na swoich obowiązkach, kapitanie, a ja zajmę się moimi.

Stryker wił się pod wzrokiem Mistrza Magii, lecz po chwili ochłonął: - Ano, głupio zem to powiedział, lordzie Gamelanie - powiedział, odwrócił się na pięcie i zszedł na główny pokład.

Gamelan spoglądał za nim bez słowa.

- Jakie zaklęcia wyczuwasz, panie? - spytała Corais, by rozładować napięcie.

- Nie wiem dokładnie, jakie. Możemy jednak odgadnąć, co nas czeka, jeśli się rozejrzemy wokół. Nie dość, że żeglujemy po dziwnym morzu, to jeszcze pogoda się pogarsza.

Rzeczywiście, tak nas pochłonęło obserwowanie ryczącej kipieli i podnoszących się z morskiej głębin gó, że nie zwracaliśmy uwagi na nic innego. Słońce pewnie już wstało, ale na niebie kłębiły się chmury, na razie szare, lecz coraz czarniejsze. Wiatr rozwiewał pióra na hełmach i smagał zbroje. Na morzu piętrzyły się długie wały wodne, idące za sobą w sporej odległości. Podobne widziałam na plaży u ujścia naszej rzeki, gdy nadchodziły zimowe sztormy. Od czasu do czasu galery nabierały wody przez dziób, a majtkowie na oku przysiadali pod relingiem.

- Możemy się spodziewać zakłęb wszelkiego rodzaju: powodujących zaćmienie umysłu, sprowadzających rozpacz i innych, których wymienić nie sposób - powiedział Gamelan. - Archont musi nas zniszczyć albo tak osłabić, by móc dalej uciekać. W przeciwnym wypadku sam dziś umrze.

- W takim razie nie ma wyjścia, umrze - twardo oświadczyła Polillo.

Mag z aprobatą pokiwał głową.

- Wszyscy powinniśmy być tacy twardzi jak ty, pani. Pamiętaj przy tym, że mamy wielką przewagę - Archont ma ze sobą przypadkowych żołnierzy i marynarzy, którzy akurat trafili na statki Symeona, kiedy rzucił się do ucieczki. Przeciwno nim staje Gwardia, tak groźna jak to ostrze, które masz u pasa.

Corais i Polillo przyjęły komplement jako należny gwardii i odmeldowały się do swoich obowiązków. Wymieniliśmy z Gamelanem spojrzenia. Wiedziałam, że mówi prawdę o naszej gotowości do bitwy... nie wspomniał jednak o dwóch potężniejszych prawdach: po pierwsze, nie wiedzieliśmy co jest w kufrach, które załadowano na statki w Likancie, a po drugie, że Archont został pochwycony w pułapkę. Każdy wojownik zaś wie, że nie wróg przyparty do muru jest zawsze najgroźniejszy.

W dwie godziny później marynarze na oku zaczęli krzyczeć na alarm: płynęliśmy prosto na łańcuch raf. Stryker rozkazał zmienić kurs i wywiesić flagi sygnałowe dla pozostałych okrętów. Po chwili jednak wydał rozkazy, które przeczyły poprzednim.

- To nie skały - powiedział. - Nie takie skały, co statki topią.

Nie wyjaśnił, co ma na myśli, więc ponownie wszyscy stanęli przy relingach, gdy płynęliśmy prosto w kipiel. Gdy zbliżyliśmy się do niej, drgnęłam, spostrzegłszy, że „rafy” unoszą się i opadają na falach.

Stryker polecił jednemu z marynarzy przynieść podbierak, opuścił go do wody i podjął jedną ze skał. Była niemal tak wielka jak jego korpus i Polillo już miała wykrzyknąć, że jest niezwykle silny, choć nigdy przedtem tego nie okazywał. Zanim jednak się odezwała, wyjął skałę z siatki, odwrócił ją jedną ręką i rzucił prosto w gwardzistkę.

Wytrzeszczyła oczy i odskoczyła. Skała uderzyła o pokład z siłą nie większą, niż kot, zeskakujący z podołka swej pani. Polillo podniosła ją i podała mnie. Kamień był lekki jak poduszka.

Nazywają je pumeksem - wyjaśnił Stryker. -. Bierze się z tych tam wulkanów. Już go kiedyś widziałem, pływałem przez całe pola pumeksowe. Znaczą się, one wychodzą z wody jak bąble, zanim taki wulkan wybuchnie.

Spojrzał przed siebie. Wyspy wulkaniczne były coraz bliżej; mogłam już naliczyć sześć. Zastanawiałam się, co będzie, jeśli jeden z wulkanów wybuchnie, zanim dotrzemy do statków Archonta. Stwierdziłam, że wszystko w rękach Bogini i pomodliłam się krótko do Maranonii w nadziei, że jej potęga rozciąga się i na owe płonące morza.

W ciągu tego dnia ujrzelśmy więcej szczątków: najpierw drzewa unoszone na falach, potem jakieś krzaki, wyrwane z lądu, którego najwyższe szczyty majaczyły w oddali.

Wydawało mi się, że każdy szczyt wznosi się na innej wyspie. Potem zobaczyliśmy pierwszy znak życia, a raczej czegoś, co kiedyś życiem było. Wypatrzyliśmy łódkę, którą prąd unosił prosto w naszą stronę. Poleciłam, by jeden pluton założył broje stanął na dziobie i naciągnął łuki. Gdy zbliżyliśmy się bardziej, okazało się, że to chyba rybacka łódź, więc postanowiłam pochwycić rybaków, by się od nich czegoś dowiedzieć o tych nieznanym morzach.

Było ich czterech i wszyscy siedzieli spokojnie, żaden z nich się nie poruszył i nie pomachał do nas, nie próbowali też się do nas zbliżyć, ani oddalić. Poszliśmy im na spotkanie nowym kursem.

Gdy znaleźliśmy się w odległości rzutu oszczepem od łódki, dowiedziałam się, czemu ci rybacy byli tacy spokojni: nie było takiej ziemskiej siły, która mogłaby wytrącić ich z równowagi. Półożeli na dnie łódki, z twarzami zwróconymi ku niebu. Nie żyli, ale na ich ciałach nie dostrzegłam żadnych śladów przemocy. Ciała wydawały się świeże, jakby mężczyźni zmarli niedawno; nie znać było na nich śladów rozkładu ani też mumifikacji.

Dopiero gdy podpłynęli blisko, ujrzałam coś okropnego: żaden z nich nie miał oczu.

Puste, krwawe oczodoły były skierowane w górę, jakby chciały przebić zasłonę chmur i spojrzeć w słońce.

- Mewy - powiedział jeden z marynarzy. - To pierwsza rzecz, na którą te ścierwa się rzucają. Czasem... czasem się zdarza, że człowiek jeszcze żyje, ale nie ma już sił, by je odegnąć.

Zadrżałam.

Ohydny zapach nasilał się, gdy płynęliśmy w kierunku wulkanów w ślad za statkami Archonta. O zmierzchu doszłam do wniosku, że następnego dnia ich dopędzimy.

Pozwoliłam sobie na luksus marzenia o tym, że sama dopadnę Nisou Symeona i będę miała przyjemność go zabić. Byłby to koniec klanu Symeonów i wiele krzywd wyrządzonych mojej rodzinie zostałoby w ten sposób pomszczonych - na przykład uwięzienie i torturowanie Amalryka, a później próba zamordowania go. Morze w dalszym ciągu było wzburzone, przerwy między falami się zmniejszyły a wiatr wzmógł się jeszcze bardziej, więc Cholla Yi polecił flocie zrefować żagle.

- Wzburzone morze to korzyść dla ichnich statków - powiedział mi Stryker. - Galery, takie jak nasza, popłyną w każdy sztorm, ale do przodu to za bardzo nie idą. Bez kilu i z płytkim zanurzeniem, płyniemy przed siebie i na bok, jak mamy taki wiatr.

Gdy spostrzegł, że mnie to zmartwiło, dodał: - Nie przejmuj się, kapitanie.

Burza czy spokojna woda, wszystko za jedno. Jutro i tak pewnie będziem się z nimi bić.

Nakazałam gwardzistkom nocny alert pierwszego stopnia i postawiłam pluton zwiadowczyń na dziobie. Nie spodziewałam się nocnego ataku z zaskoczenia, ale mimo to głupotą byłoby nie przygotować się na wszelkie okoliczności.

Byłam pod pokładem i po raz dziesiąty albo może setny analizowałam plan bitwy - bezproduktywne zajęcie, któremu jednak oddają się wszyscy dowódcy, póki nie padnie pierwszy strzał z łuku - gdy chłopiec pokładowy zameldował, że Gamelan chce ze mną porozmawiać na pokładzie. Wysłałam po schodach i natrafiłam na dwóch zajętych rozmową marynarzy. Stali przy relingu, odwrócenie do mnie tyłem. Zatrzymałam się na moment, by posłuchać, o czym mówią.

- Niech mnie licho - rzekł pierwszy - po mojemu to żeśmy powinni zostać w Jeypurze i niechby mnie Strażnicy dopadli. Pięć lat w kamieniołomach... znam takich, co to przeżyli! A tu... - splunął w morze - najpierw nas wykołowali z naszą częścią łupu, a potem posłali na jakiś durny rejs, w dodatku z tymi dziwkami, co to robią sobie dobrze tylko ręką od włóczni, albo z drugą taką samą. A jeszcze ganiemy za magikiem, co nas jutro wszystkich pośle w ogień, aż będziemy wrzeszczeć... Może go zresztą dorwiemy... ale nawet jak go dorwiemy, to ci mówię, że z powrotem długa droga, a te skurczybyki z Orissy już dobrze pomyślały, jak nas oszukać, choć własnych łbów tu nadstawiamy.

- A myślisz, brachu - odpowiedział jego kolega - że admirał sam na to nie wpadł?

Jak tylko te dziwki zabiją Archonta, a my położymy łapy na jego złocie, to co, myślisz, że się plany nam trochę nie zmienią? I nie zapominaj, że on pewnie wiezie ze sobą magię, którą też można sprzedać za ciężkie dutki... chociażby w Zamorskich Królestwach. Kupią ją, kupią, choćby po to, żeby nikt inny jej nie dostał. Nie żałuj, stary, nie żałuj. Mówię ci, jutro wszyscy będziemy pierdzieć w jedwab.

Pierwszy marynarz coś mruknął, ale zanim zdążył odpowiedzieć, brzęknęłam pochwą od miecza w

deski, jakbym właśnie wychodziła na pokład Obaj odwrócili się jak frygi, zobaczyli mnie i odskoczyli na bok. Nic nie powiedziałam, ale pomyślałam, że jutro możemy stoczyć dwie bitwy, więc moje wojowniczkę muszą być przygotowane na ewentualność zdrady. Może ci marynarze tylko snuli zbójce marzenia, ale nie wątpiłam, że Cholla Yi na pewno kryje w swoim czarnym sercu inne plany, na wypadek, gdyby zwęszył gdzieś większy zysk.

Gamelana nietrudno było znaleźć. Kazał rozbić na pokładzie niewielki namiot pod samym głównym masztem. Nawet w przesyconym wonią siarki powietrzu poczułam zapach kadzideł z czterech kadzielnic, osłoniętych przed bryzą morską, ustawionych symetrycznie w kątach namiotu. Mag był w ponurym nastroju. Siedział po turecku na dywanie, rozłożonym wprost na deskach pokładu. Przed nim leżała różdżka, kilka niewielkich flakonów i pięć pokrytych czerwonymi symbolami kości stawowych, które służyły mu do wróżenia. Z sufitu zwieszały się na jedwabnych niciach cztery perfumowane, cienkie świece. Mój wzrok przykuła jednak otwarta hebanowa szkatułka i spoczywający w niej czarny klejnot, który niegdyś był sercem Archonta.

- Rzucę teraz kości - oświadczył mag bez zbędnych wstępów - by odczytać, jakie plany ma Archont na jutrzejszy dzień. Wyczuwam zakłęcie, stworzone przy użyciu tej samej dziwnej sztuki, jaką się posługiwali przed ostatecznym szturmem na Likant. Brak mi jednak wiedzy, by powiedzieć dokładnie, co to może być.

- Niewątpliwie jest skierowane przeciw nam - powiedziałam.

- Dziwne, ale na razie jeszcze nie. To coś się nasila, podobnie jak burza, ale brak mu punktu koncentracji. Nie wiem, czy uda mi się porównać to z czymś, co znamy w naszym świecie, ale spróbuję. Pomyśl o cyklonie, który czerpie siłę z powietrza i jest niewidoczny, póki nie dotknie ziemi. Ach, szkoda że nie potrafię zajrzeć w umysł Archonta tak łatwo, jak wiejska czarownica potrafi zbadać serce zalotnika.

- Wczoraj się zastanawiałaś, panie, czy Archont celowo wybrał tę okolicę jako swój ostatni szaniec. Czy wyczuwasz teraz coś takiego?

- Tak... i nie. Czuję złe zamiary, ale nie jestem pewien, czy planował to od początku, czy po prostu korzysta z okazji. W każdym razie, nie wyczuwam zła przed nami. To znaczy, że nie płyniemy w kierunku magicznej zasadzki - pokręcił głową z goryczą. - Posłałem po ciebie dlatego, że Archont uważa cię za swego najpotężniejszego wroga. Boi się ciebie.

Nie protestowałam, gdyż byłaby to fałszywa skromność. Powinien się mnie bać, do cholery!

- Podejrzewam, że zechce cię zniszczyć na samym początku bitwy - ostrzegł Gamelan.

- Ciebie i tę sierżant, która wyrwała serce z piersi jego brata. Już wzywałem tu sierżant Ismet i dałem jej najmocniejszą osłonę, jaką potrafiłem wykonać. Myślę, że w czasie bitwy nie będzie wystawiona na większe zagrożenie, niż my wszyscy... choć i tak będzie ono ogromne.

Tobie jednak będzie potrzebna silniejsza tarcza. Chodź tutaj. Siadaj naprzeciwko.

Odpięłam miecz i usiadłam ze skrzyżowanymi nogami, jak mi polecił. Gamelan wyciągnął kościstą dłoń i wyrecytował:

Jastrząb kołuje na niebie
Zwierzyńa w norze zamarała Łasiczka leży,
ani drgnie Ślady za sobą zatarła.

Gdy skończył zaklęcie, powiedział: - Podejrzewam, że Archont mógł wyczuć zaklęcie łasiczki, które rzuciłem na ciebie przed ostatnią bitwą, abyś dla mnie polowała, więc teraz je unicestwiłem.

Kiwnęłam głową w podziękę, choć w sercu poczułam żal - Gamelan w dalszym ciągu nie rozumiał znaczenia, jakie moja rodzina przypisywała tym małym, zawziętym myśliwym, których duchy tak często nam pomagały. Gdy to wszystko się skończy, pomyślałam, poproszę go o inne zaklęcie, na przykład takie, które mnie spowinowaci z łasicami.

- Jeszcze jedna rzecz może pomóc - powiedział, biorąc do ręki maleńki złoty sierp.

Przyłożył go do kamienia, w który obróciło się serce Archonta. - Wyciągnij ręce, dłońmi do góry.

Dotknął sierpem obu moich nadgarstków, tam, gdzie pulsowała błękitna żyła.

- Przygotowałem już zioła i rzuciłem zaklęcie na tę zabawkę - powiedział i zanucił: Takich pieśni się nie śpiewa, Nie wymawia takich słów.

Krew z krwi, Krew z krwi.

Niech krew człeka zabitego Krwawą mgłą się stanie I niech oczy żyjącego Zmyli i omami.

Niechaj jego oko widzi, Lecz jednego Nie dostrzega.

Potem powiedział normalnym już głosem: - I na tym koniec, moja przyjaciółko. Obawiam się, że największą ochronę jutro zapewnią ci miecz i twoje siostry.

- Niczego więcej nie pragnie prawdziwy wojownik... oprócz błogosławieństwa Maranonii i Te-Date
- odpowiedziałam i chciałam wstać, ale nagle wpadłam na pewien pomysł i usiadłam z powrotem. -
Gamelanie... nie jestem Mistrzem Magii, ale...

powiedziałaś niedawno, że Archont najprawdopodobniej nie zmierzał w te strony, gdy wyrwał się na wolność, a teraz chce wykorzystać jakąś sposobność. Czy to mogłyby na przykład być te wulkany, do których się zbliżamy?

Nawet w świetle migocących płomyków świec widziałam, że zbladł.

- Magia Ziemi - szepnął, raczej do siebie niż do mnie. - Tutaj, gdzie dociera do nas z samego serca świata? - Zastanawiał się długo, aż wreszcie potrząsnął głową i odzyskał spokój.

- Nie, Rali. Nawet posługując się wiedzą, zdobytą w Zamorskich Królestwach i od Janosza Szarego Płaszczu, Archont nie potrafiłby tego zrobić. Żeby dotrzeć do tej mocy, trzeba nie tylko genialnego Mistrza Magii u szczytu umiejętności, lecz także ofiary... ofiary, której nawet nie potrafię sobie wyobrazić. Ale przez chwilę byłem niespokojny.

Dziękuję, Rali. Otrzymałem dziś od ciebie dar. Nie tylko przypomniłaś mi, że mózg mój starzeje się równie szybko, jak kości, lecz także udowodniłaś, że zbyt często jestem sam na sam ze swoimi myślami i nie słucham, co inni mają do powiedzenia. Rali, bardzo cię proszę, mów mi o wszystkim, co ci przyjdzie do głowy, choćby wydawało ci się to bez sensu.

Archont jest już niemal w potrzasku, ale jest pewna różnica pomiędzy zagnaniem niedźwiedzia do nory, a ułożeniem się na jego skórze przed kominkiem w zimowy wieczór.

- I komu to mówisz, panie? - roześmiałam się, przypominając sobie pierwszy raz, gdy ruszyłam sama z włócznią na niedźwiedzia i jak moje łowy skończyły się na drzewie, które szczęśliwie okazało się dość grube, by zapewnić schronienie nastolatce, ale zbyt cienkie, by dać oparcie zwierzowi, który nagle sam został myśliwym. - Teraz potrzebny mi jak najdłuższy odpoczynek - z tymi słowy wstałam z dywanu. - Powodzenia jutro, Gamelanie.

Powodzenia dla nas wszystkich.

Wysłałam w cuchnące opary nocy, wiedząc, że póki Archont nie zginie, ani ja, ani nikt inny nie zaśnie spokojnym snem.

Późną nocą zmieniliśmy kurs. Przed nami majaczyły pierwsze wulkaniczne stożki, wyrastające wprost z dna oceanu. W czerwonym blasku ich ogni widzieliśmy fale, bijące o stoki gór. Nie było tam innego lądu, poza zboczami wulkanu, a gdy wyrzuciliśmy sondę, nie doszła do dna. Nocne niebo było tak jasne, że wyraźnie widzieliśmy dziewięć statków Archonta, które także zmieniły kurs, podpływając niemal do samych wulkanów.

Zanim minęliśmy pierwszy z nich, już świtało i widoczność jeszcze się poprawiła.

Przed nami, równo rozsiane po przestworze oceanu, widniały następne trzy wulkany, lecz mniejsze i mniej groźne niż ten, który minęliśmy. Nie wznosiły się prosto z morza, lecz były połączone mieliznami i łachami piasku, które ciągnęły się aż po horyzont.

Archont wreszcie został schwytyany w pułapkę.

Gdy słońce stanęło wysoko, Archont i Symeon ustawili swoje statki w szyku bitewnym i opuścili żagle, widocznie czekając na jakiś sygnał albo na nasz atak.

Mimo słońca dzień był ponury, a powietrze gęste jak w płonącym lesie. Wydawało mi się, że słyszę grzmot wulkanu, który mieliśmy za rufą, ale raczej był to huk fal, bijących o rafy przed nami.

Morze było szare, wzburzone, prawie sztormowe. Wiatr znowu się zmienił i teraz wiał nam prosto w twarz, a nie z boku. Złożyliśmy maszty na galerach, jak zwykle przed walką, by padający maszt przypadkiem nie poranił wioślarzy i by nie stwarzać dodatkowego oporu powietrza przy wiosłowaniu. Na ławach zasiadła pełna obsada, zabrzmiały wojenne bębny, a ich ciężki grzmot niósł się ze statku na statek ponad wyciem wichru, nie tylko podając tempo marynarzom, lecz także budząc w sercach bitewny zapal. Może i rzeczywiście było to niezbędne marynarzom i piechocie pod wodzą Cholla Yi, ale moje wojowniczkę nie potrzebowały podniety. W czasie tego pościgu rzeczywiście się przekonałem, że długa pogoń jest najbardziej męcząca, czy to na lądzie, czy na morzu. Tego dnia miała wreszcie zakończyć się walka Orissy z Likantem, niezależnie od tego, jak wielka moc służyła ostatniemu Archontowi.

Trudno było spostrzec pozostałe czternaście okrętów naszej eskadry: gdy złożyły maszty, nad pokłady wystawały tylko krótkie pręty przy sterze, na które wciągano proporczyki sygnałowe. W tej chwili pozostały puste, gdyż już od dawna mieliśmy opracowaną taktykę na wypadek bitwy. Każda z galer miała atakować najbliższy sobie cel, pójść na abordaż i opanować go szturmem. Kapitanowie Cholla Yi, jak również moje dowódcynie i funkcyjne, komenderujące oddziałami na jedenastu statkach, które spotkał ten zaszczyt, mieli czujnie obserwować, czy jakimś orissańskim okrętem nie grozi niebezpieczeństwo i w miarę możliwości śpieszyć im na pomoc. Gdyby trafiła im się sposobność zaatakowania umykającego Likantyjczyka, mieli ją natychmiast wykorzystać i atakować bez litości.

Statki likantyjskie były o wiele większe i bardzo różniły się od naszych. Były to żeglowne kogi, a nie żeglowne galery; każdy z nich miał dwa albo nawet trzy pokłady ponad linią wodną, trzy maszty i ozaglowany dziobnik. Powiedziano mi, że te szybkie, uzbrojone statki kupieckie stanowiły dumę floty

Symeona, gdyż od okrętów wojennych różniły się tylko luksusowym wyposażeniem. Teraz stały na nawietrznej.

Dostrzegłam, że wielka flaga na platformie przy dziobniku jednego ze statków pochyliła się dwa razy; w odpowiedzi na sygnał wszyscy Likantyjczycy wciągnęli żagle.

Wiatr przyniósł w naszą stronę bojowy okrzyk.

- Teraz ci łajdacy będą chcieli nas taranować - powiedział Stryker. - Powodzenia, chłopaki... tylko że my jesteśmy rekiny Cholla Yi, co nie będą czekać spokojnie, aż byle delfin je trafi.

Wiosła poruszyły się i nasze galery ruszyły do przodu. Widziałam także, choć nie skomentowałam tego ani słowem, że wszystkie statki z moimi gwardzistkami na pokładzie znalazły się w awangardzie, rwąc się do kontaktu z wrogiem. Pozostałe zaś, na których płynęła piechota Cholla Yi, pozostały raczej z tyłu, pozwalając by inni zdobyli chwałę - i przelewali krew - w czasie pierwszej potyczki.

- Kapitanie Stryker! - zawołałam. - Archont jest pewnie na pokładzie tego statku, co sygnalizował. Bierzemy go!

Stryker wydał rozkazy i nasza galera popędziła po falach ku swej ofierze. Nie tylko my dostrzegliśmy sygnały, więc przyłączyły się do nas i inne orissańskie okręty.

Szarżę wiodła galera Cholla Yi. Teraz, gdy już dowiedziałam się o nim wszystkiego i wiem także wiele innych rzeczy, najchętniej uznałabym, że rwał się do walki tylko dlatego, że wódz najemników musi zawsze iść w pierwszej linii, - albo mu odbiorą komendę. Sam mi przecież to tłumaczył przed atakiem na Likant. Ale choć mam nadzieję, że demony powołutku rwą mu duszę na strzępy, nie mogę pomniejszać jego odwagi. Trzeba pamiętać, że nie tylko bohaterowie potrafią być odważni.

Zauważyłam, że przed statek Archonta wysuwają się dwa inne, próbując obronić swego króla - maga. Wydawało się, że poruszają się z nadnaturalną szybkością. Choć huragan wiał im prosto z rufy,

działała tu także magia wiatrów, widać to było wyraźnie.

Nagle napłynęła fala strachu. Byłam przekonana, że umrę i to nie szlachetną śmiercią, lecz niesławnie, wyprują ze mnie wnętrzności, wykrwawię się na śmierć, a Archont i tak ucieknie. Słyszałam głośnie krzyki innych mężczyzn i kobiet, porażonych tym samym zaklęciem. Chciałam je zwalczyć, szukałam punktu oparcia, ale znikąd nie było pomocy... i nagle zaatakował nas drugi czar wojenny. Poczulałam zawrót głowy. Nie wiedziałam, jakie wydawać rozkazy ani co robić, gdy rozpocznie się walka.

Nagle, z dziobu naszego okrętu podniosły się kłęby zielonego dymu. Panika i konfuzja zniknęły i zobaczyłam, jak Gamelan wykonuje skomplikowane gesty rękoma, rzucając zaklęcie przeciwne. Magia bitewna jest zawodna, to czarownicy po obu stronach przez większość czasu tworzą magiczne tarcze ochronne, niewidzialne zbroje i rzucają zaklęcia taktyczne, podobne temu, które przed chwilą zastosował Archont: poza tym bardzo rzadko się zdarza, by na polu bitwy byli fizycznie obecni dwaj magowie tak potężni jak Gamelan i Archont. Bez wątpienia byliśmy świadkami historycznego pojedynku magów.

Wciągnęłam w płuca siarkowe powietrze i mimo wszystko poczułam się lepiej.

Spojrzałam w bok, na naszą eskadrę i zobaczyłam, jak jedna z galer błyskawicznie umyka z drogi szarżującemu likantyjskiemu statkowi. Jednak - czy to zaklęcie zaćmiewające umysł jeszcze działało, czy też wioślarzom brakowało umiejętności - taran wrogiego statku trafił galerę w sam środek, strzaskał nadburcia i przedziurawił, jak myśliwy-oszczepnik rybę.

Słyszałam krzyki, gdy galera cała uniosła się nad wodę i zawisła tak przez moment; potem drewno popękało i okręt opadł na fale. Dziób likantyjskiego statku uderzył weń mocno i wróg dosłownie przejechał przez galerę, zatapiając ją od razu. Marynarze i gwardzistki jeszcze przez chwilę utrzymywali się na powierzchni, gorączkowo szukając czegoś, co utrzymałoby ich na wodzie, lecz wkrótce ciężar zbroi i nasiąkniętych wodą ubrań zaczął ściągać ich w dół albo też zatapiały ich spienione fale.

Nie miałam jednak czasu się temu przyglądać, bo pobiegłam na dziób, wołając po drodze do gwardzistek, by były gotowe do walki. Krok w krok za mną podążała sierżant Ismet. W biegu usłyszałam następny grzmot i wiedziałam tym razem na pewno, że to nie morze ani skały, tylko wulkan za nami. Ach, wybuchnij sobie i do diabła z tobą, pomyślałam.

Na razie liczy się miecz i nie ma co myśleć o strumieniach lawy.

Corais i Polillo czekały na czele oddziałów. Na ustach Corais jak zwykle zastygł uśmiezek pozbawiony wesołości, Polillo zaś mruzczała swoją melodię. Kiedyś, po walce, spytałam ją, co to za piosenka ją tak inspiruje, a ona popatrzyła na mnie zdumiona i stwierdziła, że chyba mam źle w głowie, bo ona nie ma słuchu i nigdy nie śpiewa, chyba że po pijanemu i w towarzystwie innych ochlapusów, żeby jej nie było słychać.

Dwa likantyjskie statki, chroniące Archonta, były od nas odległe już tylko o trzy strzały z łuku. Na jego statku mogłam już dojrzeć banderę Symeona, a nad nią dwugłowego lwa Archontów. Okrętu Cholla Yi nigdzie nie było widać.

Z ponurych tumanów mgły wyprysnęły nagle trzy galery, kierując się prosto na statek Archonta. Widziałam, jak zasypują strzałami i oszczepami pokład rufowy najbliższego statku z ochrony, który nagle skręcił; widocznie jedna ze strzał trafiła sternika. Dwie galery zaatakowały drugi statek i zobaczyłam, że jak moje gwardzistki hurmem przeskakują na jego pokład, a miecze w ich dłoniach unoszą się i opadają.

Pierwsza galera już miała dopaść dryfującego bezwładnie wroga, kiedy nagle uderzył Archont. Nagle z jego statku wytrysnął strumień ognia i pobiegł po wodzie, prosto jak strzała niewidzialnego łuczника. Dziób galery zajął się ogniem jak suchy chrust. Gamelan zaczął wykrzykiwać jakieś zaklęcie i płomień zgasł równie gwałtownie jak się pojawił - lecz orissański okręt stanął nieruchomo, bo załoganci i wojowniczkę rzucili się do gaszenia ognia.

Powoli galera wróciła na kurs. Stłumiłam radosny okrzyk, gdy po chwili, nie zniechęcona zagrożeniem, ponownie rzuciła się w samo serce walki.

Mieliśmy wolną drogę do ataku.

- Jakie rozkazy? - spytała Polillo.

Zastanowiłam się. Z dolnych rej statku Archonta aż do nadburci zwisały luźno wielkie sieci. Wzdłuż relingów stali oszczepnicy, gotowi wbić broń w ciało każdej gwardzistki, która się zapłącze w ten obronny niewód. Ubezpieczały ich dwa szeregi łuczników, na przednim pokładzie ustawiono dwie katapulty, z bezanmasztu zwieszał się dźwig, a na tylnym maszcie wiatr wydymał żagiel, wciągnięty do bitwy. Wydawało mi się, że daleko, na tylnym pokładzie widzę sylwetki Nisou Symeona i Archonta.

Jeden z naszych okrętów ustawił się bokiem do Likantyjczyka, dziobem do steru i ciskał w niego szturmowymi kotwiczkami. Ale powiewy magicznego wiatru odpychały nas od celu, niebezpiecznie przechylając na bok. Jeden z dźwigów na ich pokładzie przesunął się na stronę, od której zbliżała się nasza galera, a w jego sieci huśtał się wielki głaz. Sieć się rozwarła, a kamień zgruchotał kadłub galery. Rozległy się krzyki i bulgotanie wody, liny kotwiczek obcięto, a Likantyjczyk popłynął dalej, pozostawiając za sobą zatopionego wroga.

Okręt Archonta zbliżył się do nas. Zobaczyli nas i zorientowali się, że im zagrażamy, więc wymierzyli w nas głaz z katapulty, który wylądował całkiem blisko, ochlapując kaskadą wody żołnierzy na dziobie.

Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- Zatrzymaj wiatr! - krzyknęłam do Gamelana. Usłyszał, bo spostrzegłam, jak rzuca zaklęcie. Przyłożyłam złożone dłonie do ust i ryknęłam do Strykera przy sterze: - Ustaw nas pod dziobem!

Odebrałam jednej z moich kobiet łuk i kołczan i zarzuciłam je sobie na ramię.

Nie wiem, czy Stryker nie pomyślał sobie, że zwariowałam, bo chcę taranować jeden z potężnych statków Archonta, ale nie zawahał się nawet na chwilę, tylko wydał odpowiednie rozkazy, krzycząc wysokim głosem, podobnym do wycia morskiego wichru. Sternik pchnął rudel, a Duban, mistrz wioślarzy, też wydał polecenia... wiatr ustał, dzięki kontrzaklęciu Gamelana...

żagiel Archonta osłabł i załopotał w nagłej ciszy i Likantyjczyk zaczął tracić tempo.

Płynęliśmy blisko niego tak, że wysokie burty przesłoniły nam widok; wkrótce znaleźliśmy się przy dziobie, a wiosła od ich strony prześliznęły się tylko po wodzie i uniosły w powietrze. Nad nami wychylały się głowy Likantyjczyków, a strzały i oszczepy padały jak deszcz. Skoczyłam, mając przed oczyma tylko jedną z kotwic statku, wiszącą na kotbelce. Po chwili zaciskałam ręce na skorodowanym metalu; podciągnęłam się w górę, łamiąc sobie paznokcie. Stojąc na łapie huśtającej się kotwicy opuściłam rękę, chwyciłam dłoń Ismet i po chwili sierżant była wraz ze mną na likantyjskim statku. Widziałam jej hełm i zaciętą minę, a z tyłu oddalającą się galereę, którą wioślarze na rozkaz Strykera desperacko próbowali znów zbliżyć do statku.

Stanowiłyśmy zaledwie dwuosobowy oddział szturmowy... i już nad głową słyszałyśmy krzyki, a jeden z łuczników na platformie przy bukszprycie strzelił do nas, ale chybił haniebnie. Chwyciłam w rękę łuk, założyłam strzałę, cięciwa zaśpiewała, a Likantyjczyk rozrucił ręce i z bełtem w piersi spadł w fale. Dwaj jego koledzy stali z tyłu i pewnie wymierzyliby celniej, lecz zabrakło im czasu, bo Ismet położyła jednego, a ja, jak zwykle w czasie bitwy czując się jak we śnie albo pod wodą, gdzie wszelkie ruchy są spowolnione, bez pośpiechu wybrałam strzałę. Zakładając ją sprawdziłam, czy pióra brzechwy są idealnie równe, naciągnęłam łuk i tak, jak mnie uczono, wyczekałam moment, gdy w mej duszy strzała szepnie „puść mnie już”. Wtedy posłałam ją wrogowi.

Weszła głęboko w gardło i oto na platformie nie było już nikogo. Przez moment byłyśmy bezpieczne - do czasu, gdy Likantyjczycy na pokładzie nie znajdą sposobu, by przedostać się na nadburcia przez sieć, która chwilowo dawała nam osłonę.

Galera Strykera znów się do nas zbliżała. Spostrzegłam także okręt Cholla Yi, idący na największej szybkości. Aby opanować flagowy statek, potrzebne nam były posiłki.

Przewiesiłam łuk przez ramię, ręka za ręką wspierałam się po łańcuchu, mocno chwyciłam się drewnianej deski i podciągnęłam na dziobnik.

Skrybo, przerwę opowieść na chwilę, tylko by dodać, że sagi o bohaterach nie wspominają o jeszcze jednej stronie prawdziwych bitew. Deska, na której się opierałam, tkwiła w jednym z otworów, które służyły załodze do załatwiania potrzeby naturalnej.

Stawiam wszystkie majątki rodu Antero, które przypadną mi w udziale, przeciw jednemu guzikowi z

twojej tuniki, że żaden z heroicznym obrazów, które powstały, albo powstaną w przyszłości, nie będzie przedstawiał mnie w owej historycznej chwili, stojącej po kolana w gównie, z Ismet u boku.

Ale nie miało to znaczenia, ani wtedy, ani później, bo z dziobnika szedł w górę gruby forsztąg, sięgający do połowy przedniego masztu. Przez sekundę widziałam przez zawój sieci abordażowej biegnących w naszą stronę oszczepników.

Krzyknęłam w stronę galery, by nas osłaniali ogniem, ale mój głos zginął w wicherze, która rozszalała się ponownie, gdy Archont złamał kontrzakęcie Gamelana. Jednak i bez tego z galer Strykera i Cholla Yi nadleciały chmury strzał, przeciwnicy zaczęli się cofać wśród jęków i przestali koncentrować na nas całą uwagę.

Znowu zaczęliśmy się wspinać jak małpy, zbliżając się do przedniego masztu.

Forsztąg kończył się małą platformą przy maszcie, którą, jak się później dowiedziałam, nazywają marsem. Maranonia chyba rzeczywiście nam sprzyjała, bo nie było tam nikogo.

Dobyliśmy mieczy. Nagle dojrzałyśmy liny utrzymujące sieć abordażową.

Przedostałyśmy się w bok na reję - tę wielką belkę, która podtrzymuje żagiel - i cięłyśmy te liny jak oszalałe, aż wreszcie sieć spadła na pokład, przykrywając kilkunastu łuczników, którzy do nas mierzyli. Droga dla desantu była otwarta.

Wzdłuż statku płynęła galera Strykera, rzucana we wszystkie strony potężnymi falami. Teraz wyfrunęły z niej kotwiczki szturmowe i na pokład Likantyjczyka zaczęły zeskakiwać moje gwardzistki. Galera Cholla Yi trzymała się z tyłu, zasypując przeciwnika deszczem strzał.

Zatrzymałyśmy się z Ismet na moment, by odpocząć i nagle koło mego ucha świsnęła strzała, chybiwszy o włos. Grot rozciął ramię mej towarzyszki i wbił się głęboko w maszt, którego się trzymałyśmy. Chciała instynktownie zeskoczyć w dół, ale powstrzymała się, zanim zdążyłam ją przytrzymać siłą.

- To już nie jest bezpieczne miejsce - wykrztusiła, ocierając krew z płytkiej rany. Po chwili zresztą zapomniała o skaleczeniu. - Nie widzę tylko, kto do nas mierzył.

Ruszajmy!

Później wyrównamy ten rachunek.

Bardzo dobrze, pomyślałam, tylko dokąd mamy iść? W dole, na przednim pokładzie kłębili się walczący mężczyźni i kobiety; słychać było jęki i okrzyki bitewne.

Poznałam Polillo po błysku topora, którym sparowała cios oszczepem i z olbrzymią siłą uderzyła oszczepnika, zadając mu głęboką ranę w bok. Nikt z walczących nie cofał się ani o krok, nikt nie wołał pomocy, nikt nie szukał ucieczki. Na bogów, ci Likantyjczycy, choć podli, byli dzielnymi ludźmi. Miałam wewnętrzne przeczucie, że ów bitewny dzień zapisze się do historii, choć nie decyduje już o życiu i śmierci naszego miasta. Walka z tchórzami nie przynosi chluby.

Ponad szczękiem oręża znowu usłyszałam grzmot pobliskich wulkanów.

Mogliśmy ześliznąć się po wantach w wir bitwy, ale do zrobienia pozostała nam jeszcze jedna rzecz. W poprzek pokładu, tuż za głównym masztem, tkwił niewzruszony żywy mur, uczyniony z żołnierskich ciał; on to odgradzał naszych wojowników od najważniejszego celu. Na tylnym pokładzie, tuż za likantyjskim sternikiem stał Archont, wyraźnie widoczny. To jego należało wziąć do niewoli. W przeciwnym razie wilk zostałby nietknięty, pojmalibyśmy tylko jego miot.

Przed Archontem stały dwie czarne otwarte skrzynie. Wyjmował z nich jakieś przedmioty i ciskał na wiatr, atakując nas coraz to nowymi zaklęciami. Oczy bolały mnie od patrzenia na niego i siłą woli skierowałam wzrok na Nisou Symeona. Choć nigdy się nie spotkaliśmy, znałam go dobrze, od drobnej postaci, jasnych włosów opadających falami na ramiona, niepozornego miecza w dłoni aż po blizny, którymi magia Janosza Szarego Płaszczka naznaczyła tę niegdyś piękną twarz, by przypominała pysk potwora, którym Nisou był w rzeczywistości.

Stałam się kimś innym niż Rali Antero, kapitan Gwardii Maranońskiej. Miecz błysnął w mej dłoni i odciął koniec liny, która łączyła naszego marsa z głównym masztem.

Pochwyciłam ją, chowając jednocześnie broń do pochwy - i oto wzniosłam się w powietrze.

Spostrzegłam unoszącą się do góry główną reję, uderzyłam w nią stopami, gotowa odbić się jeszcze raz, ale już puściłam linę i przywarłam bezpiecznie do rei. Nie miałam nawet sekundy, by zastanowić się nad głupotą swojego postępuku ani też nad straszliwym upadkiem, który groził mi, gdybym spadła na pokład albo, co gorsza, dostała się między galerę Strykera i statek Archonta, które rozartałyby mnie na miazgę. Rzuciłam spojrzenie w dół.

Nikt nas nie spostrzegł, nawet Nisou Symeon; wszyscy obserwowali bitwę na przednim pokładzie.

Nagle zamarłam w miejscu jak królik pod wzrokiem jastrzębia, bo spostrzegłam, że Archont podnosi wzrok i przygląda się masztom. Przez myśl przebiegł mi fragment zaklęcia Gamelana: - „Jastrząb kołuje na niebie... Łasiczka leży, ani drgnie” - ale nie śmiałam nawet wymówić tych słów. Lodowate spojrzenie prześliznęło się po mnie raz, potem drugi i powędrowało dalej, pewnie dzięki ochronie, jaką dał mi nasz Mistrz Magii. Ale nie mogłam polegać wyłącznie na zaklęciach.

Spostrzegłam, że Ismet, tkwiąca na przednim maszcie, odcina dla siebie drugą linę - lecz moje porachunki z Nisou Symeonem i jego panem nie mogły czekać. Znów znalazłam linę, tym razem łączącą maszt główny z bezanmasztem, chwyciłam się jej i skoczyłam.

Tuż pode mną byli Archont i Symeon. Strzegło ich tylko dwóch gwardzistów, nie licząc kilku oficerów i sternika.

Zdaję sobie sprawę, że opowiadam o wydarzeniach od chwili, gdy dostałyśmy się na pokład do momentu, gdy stanęłam ponad głową śmiertelnego wroga Orissy, jakby to wszystko trwało bardzo długo, a ja miałam czas, spokojnie wykonywać czynność po czynności. Tak mi się wydawało, podczas gdy w rzeczywistości nie zajęło to więcej niż cztery obroty minutowej klepsydry.

Zjazd na dół był nieprawdopodobnie łatwy - z żurawia bomowego zwisały liny, po których ześliznęłam się gładko i szybko jak na poligonie. Puściłam linę, gdy byłam trzy metry nad mężczyznami i wylądowałam swobodnie tuż za Nisou Symeonem.

Odwrócił się błyskawicznie; na twarzy jego malowało się zaskoczenie, lecz mięśnie zadziałały instynktownie. Stał z mieczem w pozycji obronnej. Dostrzegłam, jak jeden z żołnierzy rzuca się w przód z wymierzonym we mnie oszczepem; miecz mój odepchnął broń i przeszył strażnika. Wyrwałam broń z jego ciała w chwili, gdy Nisou zaatakował w nadziei, że nie zdąży się oswobodzić. Odsunęłam się i cięłam niezgrabnie, odrzucając go jednak do tyłu. Usłyszałam krzyk Archonta i wiedziałam, że zostały mi zaledwie sekundy.

Ale byliśmy w świecie oręża, a magia jest powolna.

Symeon znów się na mnie rzucił. Spróbowałam uderzyć na ostrze, w nadziei, że ciężki miecz strzaska jego szabelkę. Jednak sprytnie odbił cios i zorientowałam się, że sam jest nielichem mistrzem szermierki.

Udało mi się przejechać czubkiem miecza po jego piersi, lecz ostrze zazgrzytało o stal.

Pod czarną tuniką miał zbroję. Przez krótką chwilę nasze miecze pozostawały w zwarciu...

Jeszcze i jeszcze... ale celowo opuściłam broń, udając niedoświadczoną. Zanim jednak zdążył to wykorzystać, ponownie uderzyłam jego broń płazem, tym razem przy samej rękojeści, by odwrócić uwagę, po czym natychmiast zadałam właściwy cios. Ostrze weszło głęboko w udo; widziałam grymas bólu na jego twarzy. Wziął się jednak w garść i znowu zaatakował, więc powstrzymałam go gardą z nadgarstka.

Żadne z nas nie odezwało się ani słowem. W prawdziwej walce, na śmierć i życie, nie ma czasu na mielenie językiem.

Zaatakował znowu, prosto w twarz, myśląc pewnie, że kobieta będzie szczególnie chronić swe liczko. Lekko poruszyłam głowę i chybił. Nie pozwoliłam mu się otrząsnąć, lecz zadałam precyzyjny cios tam, gdzie dostrzegłam bijący puls - w zagłębienie poniżej gardła. Również chybiłam i przez chwilę staliśmy w zwarciu, tak blisko, że czułam słodki aromat kardamonu w jego oddechu. Próbował ciosu głową, ale oderwałam się od przeciwnika i, odskakując, plunęłam mu w twarz.

Pamiętam, że niechętnie pokiwałam głową, ponownie stając w pozycji obronnej. Na bogów, Nisou Symeon był prawdziwym szermierzem. Długo będę pamiętać chwilę jego śmierci, bo przeżyłam ją głęboko. Oboje wiedzieliśmy, co się stanie za moment.

Szeroko otworzył oczy a potem instynktownie zacisnął powieki, spodziewając się bólu, gdy zaatakowałam w skoku, od góry, a mój miecz wśliznął się mu z boku pod zbroję i głęboko wbił w brzuch.

Symeon cofnął się niezgrabnie; wyrwałam miecz z jego ciała i cięłam jeszcze raz, zanim upadł. Ostrze przejechało mu po gardle i niemal obcięło głowę. Krew trysnęła na pokład; poczułam smród odchodów, gdy puściły zwieracze.

To coś, co upadło na pokład, nie było już człowiekiem, stało się nieważne, a ja odwróciłam się od niego, ponownie w pozycji obronnej. Usłyszałam wiwaty moich kobiet i zorientowałam się, że przełamały obronę Likantyjczyków na głównym pokładzie, gdy żołnierze zobaczyli śmierć Symeona, ale mój umysł nie zajmował się tym wcale.

Przede mną stał ostatni z Archontów. Za nim tkwił jeszcze jedyny pozostały na tylnym pokładzie żołnierz, ale to nie miało znaczenia.

Archont był całym światem.

Do tej pory walczyłam jakby we śnie, lecz nagle wszystko stało się realne, przestało wydawać mi się iluzją zmysłów. Czułam się, jakby mnie pogrzebano w syropie albo jakbym chodziła po lotnych piaskach...to wrażenie powraca tylko w koszmarach sennych.

- Łasica! - warknął. I rzucił na mnie klątwę: - Dziwko-łasico! Morderczyni mego brata, okryta zdradliwą magią, którą kto inny dla niej utkał. Antero! Tym razem ród wasz zginie, podobnie jak wszystkie wasze sprawy! Giń, boś niepobożna, giń, boś arogancka, giń, bo niesiesz zniszczenie! - Teraz stój, musisz stać i czekać na śmierć, a wtedy oczyszczę ten statek i wszystkie morza z podłych Orissańczyków.

Ale twoja śmierć, ty Antero, będzie najstraszniejsza. Takiej śmierci zaznają tylko moi Wybrańcy. Zginiesz z własnej ręki, ale w sposób, jaki ja dla ciebie wybiorę. - Nie szukaj pomocy, dziwko-łasiczko. Nikt ci nie pomoże, ani ten twój mag, ani ladacznice z twojego oddziału.

Wiedziałam, że mówi prawdę. Wszyscy na statku zamarli. - Teraz spojrzysz mi w oczy i posłuchasz rozkazu mej duszy - nakazał.

Powoli, bardzo powoli moje spojrzenie powędrowało w górę, po jego kościstej klatce piersiowej, splecionej dziko brodzie, spiłowanych zębach, aż wreszcie nie mogłam się pohamować i spojrzałam głęboko w śmiertelny wir jego oczu.

- Tak, oczy - powiedział w zadumie, jakbyśmy byli w bezpiecznej, zacisznej komnacie. - Twoje oczy. Od nich zaczniemy. Rzuć miecz na ziemię i wydlub je sobie, dziwko-łasiczko. Masz długie paznokcie, ławo ci pójdzie. Wbij je głęboko, dziwko-łasiczko.

Łaskawie pozwalam ci krzyczeć.

Czułam, jak palce puszczają rękojeść i posłusznie zakrzywiają się w szpony. Ale gdy ręka wędrowała powoli ku twarzy, coś poczułam i znów stałam się sobą... na chwilę minęło też to spowalniające zakłęcie lotnych piasków. Znów mocno pochwyciłam miecz, a zakrzywione palce rozprostowały się. To był Gamelan! - a raczej jego magia.

- Ach, twój przyjaciel jest lepszy niż przypuszczałem, ale i tak nie da mi rady - powiedział Archont, pochylił się, nie spuszczać ze mnie oczu, znalazł coś w otwartej skrzyni i cisnął we mnie garścią pyłu.

Drobiny pyłu urosły i zmieniły się w maleńkie, ostre strzałki. Próbowałam odskoczyć, ale pomknęły za mną. Pomyślałam, że to już koniec, ale nagle przez głowę przemknęły mi bezsensowne słowa: Uciekaj, uciekaj Z wiatrem i zawiejają.

Zdawało mi się, że rzucam zaklęcie, ale to na pewno była robota Gamelana...

chmura rozdzieliła się i maleńkie śmiercionośne strzałki ominęły mnie po obu stronach.

Spojrzenie Archonta pobiegło w bok, ale prędko odzyskał pewność siebie.

- Umrzesz, musisz umrzeć - wykrzyczał wysokim głosem i wyrwał miecz z ręki likantyjskiego żołnierza, który cały czas stał za nim, skamieniały z przerażenia.

- Moja moc to stal, moja moc to miecz, sięgnę twego serca, jak ty wyrwałaś je memu bratu - zaskrzeczał i postąpił krok naprzód z mieczem gotowym do uderzenia.

Poruszał się szybko i zwinnie, nie jak starzec, lecz jak młody wojownik.

Stałam nieruchomo jak wół w rzeźni, czekający na cios obuchem... i w tym momencie coś pojawiło się pomiędzy nami.

Mogę to określić tylko jako czyjąś obecność, przybierającą różne kształty przed moimi oczyma. Najpierw myślałam, że to Maranonia w hełmie i zbroi, potem stała się moją od dawna zmarłą, ukochaną Otara, po chwili wydawało mi się, że widzę Tries..., nie, to była twarz mojej matki, która zaraz przybrała postać nie znanej mi kobiety, odzianej w strój dawnych wieśniaczek z Orissy... ale właściwie był to tylko powiew morskiej bryzy i piana ze sztormowych fal. Poczułam, że zaklęcie pryska, uwalniając moje ręce - i cisnęłam miecz, jakby był włócznią, prosto w Archonta, który już niemal mnie dotykał.

Broń trafiła go prosto w bok, poniżej krzywizny żeber, z prawej strony, w płuco.

Archont krzyknął, jego mięśnie przeszył skurcz, który sprawił, że miecz wyleciał mu z ręki wysokim łukiem, prosto w morskie fale. Potknął się, prawie upadł, ale jakimś cudem - a raczej samą siłą woli - utrzymał się na nogach. Miecz wypadł mu z rany.

Na jego wargach pojawiła się czerwona, bardzo czerwona piana; splunął, potem splunął znowu a jego broda pokryła się krwią.

Jeszcze raz się potknął i wsparł o wieko jednej z magicznych skrzyń.

- A więc dobrze... trudno. Obawiałem się tego i poczyniłem przygotowania. Jest wiele, wiele światów. - Ukąsiłaś mnie, dziwko-łasicu, ale nie przyniesie ci to korzyści. I tak umrzesz zaraz, jutro albo za miesiąc. A dni, które ci pozostały, pełne będą bólu i wątpliwości.

A są one policzone, Antero i nie trzeba długo liczyć...

Spojrzał w czarne, sztormowe niebo, a jego głos nabrał mocy i przeszedł w krzyk, tak głośny jak wtedy, gdy szydził ze mnie w chmurach ponad morską cytadelą. Krzyczał w języku, którego nie znałam, rzucał jakieś złowróżbne zaklęcie, którego nie rozumiałam, ale głos jego sprawiał, że serce we mnie zamarło. Pojęłam tylko kilka ostatnich słów: Zapłaciłem cenę, Dług wciąż pozostaje.

Wyrównajcie dług Zapłacony krwią.

I nagle stało się, jakbym nigdy nie zadała mu tego śmiertelnego ciosu - był pełen życia i energii, a postać jego zaczęła górować nade mną. Magowie niełatwo umierają, pomyślałam, dłonie moje znalazły sztylet i wyciągnęły go z pochwy.

Zanim zdążyłam zaatakować, Archont pochylił się, uniósł jedną ze skrzyń - którą z trudem

poruszyłoby trzech silnych mężczyzn - i trzema długimi krokami zbliżył się do relingu.

- Zapłacono krwią, a walka wciąż trwa - zawył i skoczył we wzburzone fale, ściskając w ramionach swą magię.

Skoczyłam do relingu, wyrzalam i nie zobaczyłam nic, poza wielkimi falami, mgłą i morską pianą.

Potrzebowałam dłuższej chwili, by uświadomić sobie, że oto Archont naprawdę nie żyje.

Potem zaś morze oszalało i zrozumiałam, co oznaczała owa cena krwi, a nadto pojęłam dokładnie, co Gamelan mówił zeszłej nocy w namiocie o potężnej mocy... i ofierze...

ofierze tak wielkiej, że nie sposób jej sobie wyobrazić.

Archont rzeczywiście zapłacił tę cenę, a ziemia dała mu swe najpotężniejsze zaklęcie.

Ogień buchnął pod niebiosa, rozpędzając chmury i deszcz. Dwa wulkany eksplodowały. Z najbliższego wypłynęła fontanna lawy, dymu i ognia.

Stałam oniemiała, aż wreszcie Corais podeszła i wzięła mnie pod ramię.

- Rali! Musimy uciekać!

Następnych minut, a nawet godzin, nie pamiętam dokładnie, lecz wiem, że ciągnięto mnie po pokładzie, potem niezgrabnie gramoliłam się na pokład naszej galery; właściwie gwardzistki prawie mnie przeniosły. Nie zapamiętałam żadnych Likantyjczyków, którzy by się jeszcze bronili. Być może wszyscy polegli, a może, podobnie jak ja, wpatrywali się oszołomieni w ognistą śmierć. Pamiętam, jak Stryker krzyczał, by wszyscy brali się do wiosł, i galerę Cholla Yi, oddalającą się od nas

błyskawicznie w tumanie szarej mgły...

marynarze wiosłowali jak szaleni, by umknąć przed gniewem natury.

Widziałam jeszcze kilka likantyjskich statków, rzucanych przez fale, jakby przerażeni sternicy porzucili swoje posterunki.

Wielkie głazy, ciskane boskimi katapultami, o wiele potężniejsze, niż największy z naszych statków, padały w morze naokoło; drobne cząstki pyłu opadały na nas nieustannie, jak parzący deszcz.

Widziałam jeszcze jak inne orissańskie okręty ruszają naszym śladem, rozpaczliwie starając się umknąć z zasięgu wybuchającego wulkanu.

Niestety, znaleźliśmy się w tej samej śmiertelnej pułapce, co statki Archonta przed bitwą. Z tyłu szalały wulkany. Przed nami rozciągał się pas raf, ostrych skał sterczących jak palce ze wzburzonych skał, długich piaszczystych mielizn, czekających by pochwycić nas w objęcia, kamiennych wysepek bez jednej plaży, która by litościwie przyjęła nas na brzeg.

Stałam na tylnym pokładzie. Stryker, wspomagany przez dwóch najsilniejszych i najlepszych marynarzy, przejął ster.

- Niech twoje kobiety zejść pod pokład - polecił.

Zdziwiłam się. Gdyby któryś z tych głazów trafił w okręt, wszystkich nas czekała zguba. Wolałabym raczej zginąć pod gołym niebem, choć powietrze śmierdziało siarką i ozonem, niż tam w dole, w cuchnących trzewiach statku. Nagle jeden z żołnierzy odwrócił się, spojrzął na wulkan i wydał okrzyk przerażenia.

Odwróciłam się także i zobaczyłam coś, co do tej pory nawiedza me sny i sprawia, że budzę się z

krzykiem. Pędziła na nas olbrzymia fala, a raczej ściana wodna, szarobiała, zwieńczona grzywą brudnej piany. Zbliżała się szybciej niż tygrys w pełnym biegu, szybciej niż oszczep, szybciej niż skała, szybciej niż straszliwe przeznaczenie.

Wzrok mówił mi, że ta fala jest o wiele większa nawet od wulkanu, który ją zrodził, choć wiedziałam, że to niemożliwe. Ile mogła mierzyć? Nie wiem, nie potrafię ocenić tego nawet w przybliżeniu. Była zdecydowanie wyższa od naszych masztów, może nawet dwa albo trzy razy. Musiała więc mieć ze trzydzieści metrów. Na pewno powstała przy samym lądzie, bo niosła ze sobą wyrwane z korzeniami drzewa i, jak mi się wydawało, jakieś chatynki i łodzie.

Woda ryczała - głośniej niż wiatr, głośniej niż wulkany. Nie wiem, czy krzyczałam.

Na pewno słyszałam krzyki innych i nie winałam ich za to. Rozpaczliwie szukałam schronienia, podczas gdy Stryker, mężczyzna tak twardy, że przechodziło to ludzkie pojęcie, nakazał, by marynarze wciągnęli wiosła. Z całych sił uczepiłam się jakiejś kraty.

Morze porwało nas ze sobą.

Uniosło nas za rufę, wysoko, wysoko, rzuciło w przód i nagle patrzyłam w dół na przedni pokład i wiosłarzy, którzy kładli się płasko i chwyтали ławek, a w dole, nisko kotłowały się morskie fale. Wznosiliśmy się coraz wyżej i wyżej, na sam czubek, przez chwilę poczułam przypływ nadziei a potem grzywa fali się załamała i woda zwała się na pokład.

Nie wiedziałam, co się dzieje, gdzie góra a gdzie dół. Uderzenia wody były brutalniejsze od bokserkiej walki, a moje płuca dyszały rozpacziwie, błagając o haust powietrza, ten jeden jedyny haust, którego nie było. Nie mogły już tego znieść, więc wybaczyłam im tę słabość, poddałam się - i nagle już było powietrze i zsuwaliśmy się bezwładnie po drugiej stronie fali.

Podciągnęłam się do pozycji stojącej. Zdążyłam spostrzec, że większość moich gwardzystek również zdążyła się czegoś chwycić i tylko kilka znalazło się za burtą. Stryker przeżył i wykrzykiwał rozkazy; Duban również. Wiosłarze zasiedli na miejscach i nagle ktoś krzyknął, że płyniemy na skały. Rify zbliżały się błyskawicznie. Pojawiły się przed dziobem jak rozwarłe ręce, gotowe, by nas schwytać. Nie mogliśmy ich ominąć ani się zatrzymać, ponieważ gnała na nas następna fala.

I znów morze uniosło nas wyżej i wyżej a potem pogrzebało w głębinach.

Przetrwaliśmy jednak i to. Wpadliśmy w kipiela za tą piekielną falą... a jednak przeżyliśmy.

Pamiętałam, że zaraz mamy wpaść na tę rafę i wyteżęłam oczy, chcąc widzieć nowe, śmiertelne niebezpieczeństwo. Przed nami jednak nic nie było, więc zdałam sobie sprawę co się stało i spojrzałam za siebie: oto fala przeniosła nas przez te ostre jak noże skały.

Wokół jednak były inne rafy. Stryker wyszcze kiwał komendy, wioślarze starali się je wykonywać, ale nie było na nic czasu, gdyż nadeszła trzecia fala i zabrała nas ze sobą.

Tym razem dostrzegłam na jej grzbiecie dwa inne okręty - obydwie orissańskie.

Przetrwaliśmy i tę falę.

Jeszcze cztery razy w ciągu tego ponurego dnia nadchodziły ogromne grzywacze, unosząc nas za każdym razem dalej na zachód, dalej na nieznane wody, dalej od pasa raf, który blokował znajomą drogę powrotu do Orissy.

Aż wreszcie ostatnia fala wzięła nas na swój grzbiet i wypuściła - i oto walczyliśmy już tylko z „normalnym” sztormem. Teraz mogłam ocenić straty. W tumanie mgły widziałam inne statki, między innymi okręt Cholla Yi.

A więc nie tylko my przeżyliśmy.

Nie było wśród nas ani jednego likantyjczyka. Sądzę, że ich statki wolniej reagowały na ruchy sterem i fale je zgruchotały. Może jednak niektóre przetrwały, wpadły na rafy, a może i dopłynęły do

barbarzyńskich wybrzeży i dopiero tam marynarzy spotkała śmierć.

Było to dla mnie bez znaczenia. Skończyliśmy z Likantem.

Cena jednak była okrutna.

Zabłądziliśmy na nieznanym morzach, bez map. Mieliśmy wielu zabitych i rannych.

Pomyślałam, że jedynym ratunkiem jest magia. To przez nią znaleźliśmy się w opałach i tylko ona mogła nas z nich wyciągnąć.

Ale w miejscu, gdzie przed bitwą stał namiot maga, leżał zakrwawiony Gamelan.

Nie ruszał się a na czole miał wielki siniec.

Wydawało się, że jest bezapelacyjnie martwy.

KSIĘGA DRUGA

NIEZNANE MORZA

Rozdział Ósmy

KRZYK JASZCZURKI

W głębi serc wszyscy bogowie to bezduszni łajdacy. Nie boję się o tym mówić, bo w życiu raz bywałam ich faworytką, a kiedy indziej ofiarą i w dalszym ciągu nie wiem, czy lepsze ich błogosławieństwo, czy klątwa. Wydaje mi się, że jesteśmy częścią gry, w której błazen sędziuje, a szachownica jest cała pokryta świńskim łajnem, więc żaden śmiertelnik jej nie przejdzie, nie powalawszy sobie butów. Nadto wiem, że nie ma takiego skarbu, w którym nie kryłaby się żmija. Nie spotkałam też człowieka, choćby nie wiem jak szczęśliwego, który przynajmniej raz w życiu nie uskarżał się na zły los.

Jestem głęboko przekonana, że w dniu naszej morskiej bitwy, w pałacu bogów rozbrzmiewał gromki śmiech. Pewnie bawił ich nasz zły los: po raz kolejny Orissa odniosła zwycięstwo, ale i po raz kolejny nasz sztandar zawisł na powalonym nieczystościami maszcie.

Odnieśliśmy przerażające straty. Mieliśmy wielu zabitych, a jęki rannych niosły się daleko ponad szumiącym morzem. Z piętnastu okrętów pozostało nam dziewięć, z czego dwa tak zniszczone, że bez napraw pewnie wkrótce spoczęłyby na dnie oceanu, razem z zatopionymi sześcioma. Szczęście dopisało nam tylko w jednym: prawie wszystkie moje gwardzistki przeżyły bitwę, nie odniósłszy poważniejszych ran. Kilka jednak poległo, napełniwszy me serce głębokim smutkiem i bardzo mi ich brakowało, podobnie jak Gamelana. Ale nie było czasu na prawdziwą żałobę... jeszcze nie wtedy.

Mimo sztormowej pogody poleciłam Strykerowi, żeby spuścił szalupę i odkomenderował swoich najlepszych marynarzy, by zawieźli mnie na okręt flagowy. Musiałam porozmawiać z Cholla Yi bezpośrednio, nie przez tubę, ani z pomocą kodu sygnałowego. Zabrałam ze sobą także Corais i Polillo.

Cholla Yi powitał mnie w kabinie z ponurą miną, ale znacznie poweselał, gdy zapewniłam go, że Orissa odkupi stracone okręty. Wzruszeniem ramion zbył kondolencje, które złożyłam mu z powodu śmierci tylu marynarzy.

- Niech się pani kapitan nimi nie przejmuje i śpi spokojnie - odpowiedział. - Ja tam za nimi nie płaczę. Kiedy podpisywali papiery, wiedzieli na co się narażają.

Poza tym to szumowiny, nic ponadto i bez trudu znajdę ludzi na ich miejsce, gdy wpłyniemy na bardziej przyjazne morza. Za to będzie mniej ludzi do podziału łupów.

Polillo aż warknęła, słysząc taki brak szacunku. Gardziła nimi wszystkimi i nawet złamała kark jednemu, który przyglądał jej się nazbyt łakomie jednak uważała, że byli jej braćmi w orężu i zasługiwali na więcej poważania ze strony swego dowódcy. Moje myśli biegły podobnym torem, więc nie udzieliłam jej nagany.

Byłam nieco zaniepokojona, bo czułam, że Cholla Yi z trudem ukrywa niezadowolenie z powodu moich odwiedzin na flagowym okręcie. Wyglądał na bardzo zdziwionego, że przeżyłam bitwę. Twardo nakazałam sobie spokój; nie mogłam przypisywać mu negatywnych uczuć tylko z powodu niechęci, jaką do niego powzięłam. Na pewno wydałby z radości ucztę, gdybym skrzyła kark po naszym bezpiecznym powrocie do Orissy, ale tu, na obcych morzach, każdy miecz liczył się po dziesięćkroć, więc pirat nie mógł sobie pozwolić na drobne animozje, podobnie zresztą jak ja.

Corais zatuszowała niezręczne milczenie: - Z tego co mówisz, panie, wynika, że powrócić do domu będzie równie łatwo i lekko, jak wyczyścić nowy miecz - wskazała na rozwiniętą na stole mapę. - Przecież nawet nie wiemy, gdzie jesteśmy. Może nie zauważyłeś, panie, ale znaleźliśmy się poza główną mapą, a nawet poza szkicem Gamelana.

- Ach, nie będzie aż tak ciężko - powiedział i mrugnął do Phocasa, ubawiony naiwnym pytaniem. - Wszystko się wyjaśni, jak tylko opłyniemy rafę.

Corais odpowiedziała uśmiechem. Słaby był to uśmiech, za to w jej oczach zalśnił twardy blask, którym można by ostrzyć sztylety.

Wyjrzałam z kabiny przez duże okno na czarne rafy i pomrukujące pomiędzy nimi wulkany. Wydawały się ciągnąć w nieskończoność, na północ i na południe.

- Gdzieś przecież musi się to skończyć - stwierdziłam. - Pytanie, w którą stronę będzie nam bliżej?

- Niedobrze, że mag odszedł od nas - odpowiedział Phocas. - Mógłby rzucić kości.

Nie tylko z tego powodu głęboko żałowałam, że nie ma przy mnie Gamelana.

Gdy ujrzałam go tam na pokładzie, z zakrwawioną lecz spokojną twarzą, bardzo cierpiałam, prawie tak, jakbym straciła kogoś z rodziny. Bardzo szybko został moim bliskim przyjacielem i wiedziałam, że będzie mi brakować jego obecności, choć bez przerwy opowiadał o mym domniemanym magicznym dziedzictwie. Marynarze, odpowiedzialni za sprawienie pogrzebu umarłym, bali się dotykać jego ciała, nawet po śmierci. Kazałam złożyć je w kabinie, którą mag zajmował za życia, póki nie znajdziemy czasu, by przygotować zwłoki do oczyszczenia i ceremonii pogrzebowych godnych jednego z największych Mistrzów Magii, jakich miała Orissa.

Obrzędy pogrzebowe powinny trwać tygodniami, całe miasto okryłaby żałoba, w Pałacu Mistrzów Magii nie palono by żadnych świateł i całe niebo zasnułoby się magiczną ciemnością. Jego następca, wybrany przez Cech Mistrzów po długim, ponurym konklawe, odprawiałby wszelkie ceremonie, a radni miejscy i najprzedniejsi obywatele wygłaszałiby mowy pochwalne na cześć Gamelana.

Nadano by jego imię jakiemuś placowi albo bulwarowi i złożono by na ofiarę stado bydła oraz jednego albo dwoje ludzi, prawdopodobnie dobrowolnych żałobników. Nawet tu, tak daleko od ojczyzny, postanowiłyśmy odprawić jak najświetniejsze ceremonie, kiedy tylko będzie na to czas. Pragnęłam sama oddać jego ciało morzu.

Odpowiedź Cholla Yi przerwała mą zadumę.

- Do takiej decyzji nie trzeba maga - powiedział. - Wszystko jedno, w którą stronę ruszymy. Parę dni dłużej czy krócej, co to ma za znaczenie?

Wyciągnął z kieszeni złotą monetę. Pochodziła z Irayas. Na jednej stronie miała wybity wizerunek króla Domasa, a na rewersie żmiję i słońce. Zastanawiałam się, skąd ten złodziejaszek zdobył tak rzadki pieniądz.

- Niech decydują bogowie tawerny - powiedział. - Jeśli wypadnie król, płyniemy na północ. Wąż oznacza południe.

Kiwnęłam głową. Lecz gdy podrzucił monetę, aż zawirowała w powietrzu, w umyśle mym pojawił

się wizerunek króla Domasa. Północ. Powinniśmy się zwrócić na północ. Pieniążek zadzwonił o blat stołu. Okazało się, że wypadła żmija.

- A więc na południe - powiedział Cholla Yi.

O mało co nie sprzeciwiłam mu się. Chciałam powiedzieć: - „Nie! Musimy zmierzać na północ”. Wszystko we mnie pragnęło wypowiedzieć te słowa.

Po chwili jednak uczucie to ustąpiło. Poczułam zmieszanie i zakłopotanie.

- Dobrze - odparłam.

I tymi słowy przypieczętowałam nasz los.

Tak więc pożeglowaliśmy na południe. Łańcuch raf ciągnął się nieprzerwanie.

Całymi kilometrami poszarpane skały przeplatały się z wulkanami. Wiele z nich było czynnych i dymiło, a po ich stokach spływała lawa, sprawiając, że morska woda gotowała się i kipiała. W jednym miejscu, napotkaliśmy tysiące śniętych ryb, nad którymi kłębiły się stada ptaków, wrzeszczących z zachwytem, że oto trafiło im się świeże mięso. Wiatr zmienił się i przyniósł gęstą chmurę dymu znad jednego z wulkanów. Ze zdziwieniem obserwowałam, jak ogarnięte nią ptaki spadają do wody. Po chwili drażniące wyziewy dotarły i do nas. Smród był tak intensywny, że wiele osób padło na pokład, wymiotując. Strykerowi udało się wychrypieć rozkaz odpłynięcia z tej okolicy, ale powiadam ci, skrybo, wioślarze byli tak osłabieni, że łódź z trudem sunęła przed siebie. Gdyby wiatr się nie zmienił, pewnie nie siedziałabym tu dzisiaj i nie zanudzała cię moimi przygodami.

Gdy oddaliliśmy się, naszym zdaniem, na bezpieczną odległość, zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Czułam pulsowanie pod czaszką, a każda kostka mego ciała bolała tak, jakbym właśnie skończyła zapasy z olbrzymem.

Chciwie wdychałam słodkie, upajające powietrze, aż zakręciło mi się w głowie.

Wkrótce jednak poczułam się lepiej.

Odwróciłam się, by sprawdzić, jak zniosły to moje towarzyszki i usłyszałam głos: - Odsuń się ode mnie, ty durniu!

To był Gamelan! Ale on przecież umarł...

- Przysięgam na Te-Date, zamienię cię w żabę, razem z twą matką i całą rodziną.

Popędziłam na dół i zdążyłam zobaczyć, jak z kajuty Gamelana wybiega jakiś drobny chudzielec, którego twarz znaczyła blizna wielkości mojej dłoni.

Zignorowałam go i wpadłam do środka.

Gamelan siedział na koi i zdierał z siebie białe płótno, którym go owinięto. Uniósł twarz, gdy usłyszał moje kroki.

- Następny złodziejaszek! - zawołał. - Dobrze. Zmienię cię w czaplę i możesz sobie zjeść tego pierwszego, razem z rodziną. A potem wywołam demona, który wyskubie ci pióra, zrobi z nich strzały i zedrze ci skórę, na kołczan.

- Ty żyjesz! - zawołałam.

- Oczywiście, że żyję - mruknął mag, szarpiąc całun. - A teraz, człowieku, bądź tak miły i zapal

lampę, żebym widział, kogo przekląłem. W nagrodę odczaruję cię bezzwłocznie.

Nie odpowiadałam. Wpatrywałam się tylko w te wielkie, szeroko rozwarte oczy, które kiedyś płonęły żółtym blaskiem a teraz były blade i puste.

Obracał głową na boki, ale jego źrenice nie zatrzymywały się na niczym.

Uklękałam obok niego.

Wciągnął nosem powietrze: - Rali? - zapytał i wyciągnął z wahaniem rękę. Dotknął mej piersi.

- Tak, przyjacielu - odparłam. - Jestem Rali.

Zaczerwienił się, sprawdziwszy, czego dotyka i cofnął dłoń.

- Przepraszam - powiedział - ale jest tak ciemno, że nic nie widzę. Niech ktoś przyniesie tu parę lamp, dobrze, Rali? Będę ci bardzo wdzięczny.

- Jest południe - odparłam tak łagodnie, jak tylko potrafiłam.

Gamelan zamarł. Pomarszczona dłoń powoli powędrowała ku brwiom.

Zadrzał. Schwyciłam go za kościste ramię. Twarz mu skamieniała. A potem uśmiechnął się i poklepał mnie po ręku. - Jestem ślepy - stwierdził rzeczowo.

- Tak jest.

- A zatem, do niczego ci się już nie przydam - odparł. - Znałem tylko jednego niewidomego maga, którego to kalectwo spotkało we wczesnej młodości. Miał przed sobą całe życie, by uczyć się rzucania zaklęć bez pomocy wzroku.

- U ciebie pójdzie to szybciej - pocieszyłam go. - W końcu jesteś Najwyższym Mistrzem Magii.

Tym razem milczał bardzo długo. Wyczuwałam, że stara się zebrać w sobie i szuka sił w głębinach swego jestestwa. W końcu odezwał się niemal normalnym tonem, jakby już zaakceptował to straszne kalectwo cielesne, duchowe i magiczne z fatalizmem, jaki okazują tylko najdzielniejsi żołnierze.

Westchnął.

- Niestety, jestem teraz tylko zwykłym dziadkiem. Nie myśl, proszę, że użalam się nad sobą. Znam swoje ograniczenia. Już wiele lat temu doszedłem do granic swych możliwości i wiem, że więcej nic nie zdołam.

- Niedługo dopłyniemy do domu i będziesz miał tłum uczniów do pomocy - pocieszałam go dalej.

Mag przechylał głowę na boki. Z ust na moment wysunął się język - zaskakująco młody i różowy - i smakował powietrze.

- Zgubiliśmy drogę.

- To nic takiego - odpowiedziałam. - Musimy tylko opłynąć te rafy.

Potem bez trudu odnajdziemy drogę.

Potrząsnął głową.

- Może i jestem ślepy, ale rozumu nie straciłem i wiem, że nie pójdzie nam tak łatwo - odparł.

- Bogowie ułatwiają człowiekowi życie tylko wtedy, gdy chcą na niego sprowadzić klęskę.

Roześmiał się. Ucieszyło mnie to, bo przez chwilę wydało mi się, że wszystko jest tak jak dawniej. Odpowiedział: - A zatem potraktuję swoje niepowodzenie - i niepowodzenia innych - jako dobry omen.

Ziewnął. Łagodnie ułożyłam go z powrotem na łóżku. Nie protestował.

Znalazłam jakieś przykrycie i otuliłam go aż po szyję.

- Nie pozwól mi spać za długo - powiedział. - Mamy wiele spraw do omówienia.

- Dobrze - obiecałam, choć wiedziałam, o co będzie mnie prosił.

Napełniało mnie to lękiem i niechęcią.

Gdy już stałam w drzwiach, odezwał się: - Rali?

- Tak?

Zwrócił ku mnie oślepienie oczy: - Twój ojciec byłby z ciebie bardzo dumny.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć, więc tylko zamknęłam drzwi.

Tej nocy śniłam o Tries. Mój poprzedni sen znowu się powtórzył.

Kochałyśmy się, lecz tym razem byłam rozpalona i niecierpliwa, bo obawiałam się tego, co wkrótce przyniesie mi demon snu. Ponownie pojawił się Archont i wyśmiewał się z mej nagości. Obudziłam się ze snu we śnie, a Tries znów czekała, by mnie zdradzić. Walczyłyśmy. Poczułam ukłucie jej srebrnego sztyletu. Potem leżałam w hamaku z zamkniętymi oczyma, drżąc na całym ciele i śniłam nowe sny, modląc się jednocześnie, by ten koszmar wreszcie się skończył.

Usłyszałam jakiś hałas, a potem przekleństwa Polillo i skrzyp lin, gdy Corais wyskakiwała z hamaka, by sprawdzić, co się dzieje. Nie otwierałam jednak oczu, bo nie ufałam wzrokowi, omamionemu snem i jawą na przemian.

Poczułam ból w miejscu, gdzie Tries zadała mi cios sztyletem.

Usłyszałam kolejne hałasy i głos Gamelana.

- Rali! - wołał mnie. - Rali!

Otworzyłam oczy. Mag stał nade mną, cały podrapany i poobijany, bo szukał po omacku drogi ze swej kabiny do mego hamaka.

Wstałam.

- Tak, przyjacielu? Co się stało?

- To Archont! - odparł Gamelan. - On żyje!

- Wiem - odrzekłam. Czułam tylko zimno i pustkę.

- Słyszysz mnie, Rali? To jeszcze nie koniec! - wołał.

- Słyszę cię, magu. Dobrze cię słyszę.

Gdzieś daleko, w ciemnościach nocy, usłyszałam, jak młoda morska jaszczurka głębokim głosem przywołuje matkę.

Rozdział Dziewiąty

TATUOWANY WÓDZ

Przez wiele dni nasze okaleczone okręty płynęły na północ. Kończyły się zapasy i woda do picia, lecz bezlitosne rafy nie chciały przepuścić nas na drugą stronę, do domu. Gamelan czuł się coraz lepiej, lecz jego ślepotą wydawała się nieuleczalna. Rozmawialiśmy ze sobą nieczęsto, nigdy nie wspominając o Archoncie. Chyba oboje mieliśmy nadzieję, że było to tylko złudzenie wyczerpanych umysłów. Moja praktyczna natura szukała racjonalnych rozwiązań: na Te-Date, Archont przecież nie żył! Na własne oczy widziałam, jak umiera. To nic, że przeklął mnie przed śmiercią. Lepiej być przeklętym przez nieboszczyka niż przez żywego, który może złorzeczenie wprowadzić w czyn, prawda?

Moje gwardzistki były przekonane, że odnieśliśmy wielkie zwycięstwo, wkrótce opłyniemy rafę naokoło i wrócimy do domu, opromienione sławą. Za to ludzie Cholla Yi narzekali i wpatrywali się we mnie ponuro. Ani Stryker, ani mistrz wioślarzy Klisura, ani też przełożony żeglarzy Duban ani jednym słowem nie karcili swych podwładnych za gniewne słowa. Nie starali się też podnieść ducha w załodze. Wręcz przeciwnie, każda nieco bardziej pogodna lub pełna nadziei wypowiedź natychmiast wzbudzała ich negatywne reakcje.

Zaczęłam się zastanawiać, jak powinnam na to wszystko zareagować, kiedy pewnego ranka obudził nas aromat żyznej, bogatej gleby, egzotycznych kwiatów i znajomy zapach dymu z ogniska. Na horyzoncie pojawił się zamglony, błękitny kształt, co oznaczało, że zbliżamy się do wyspy. Przed nami na falach unosił się pień drzewa. Wciągnęliśmy go na pokład. Drzewo miało liście w kształcie trąbek, fioletowokremowe kwiaty i liczne zgrubienia na konarach, na gałęziach zaś rosło całe mnóstwo mięsistych, różowawych tykw wypełnionych gęstym, słodkim płynem, który dodawał energii umysłowi i chyżości ciała.

- To znak, że gdzieś blisko są ludzie - oświadczyła Polillo. - To byłoby straszne marnotrawstwo, gdyby coś tak smakowitego rosło sobie samotnie, bez ludzi, którzy by je docenili i zjedli.

Corais roześmiała się z tego rozumowania: - Ty zawsze myślisz żołądkiem, droga przyjaciółko.

Polillo zarumieniła się, ale zakłopotany uśmiech dowodził, że się nie obraziła. Zamiast odpowiedzi przedziurawiła kolejną tykwę i podała mi ją, wyginając przegub dłoni jak panna służąca.

Pomimo wzrostu i zachowania, Polillo miała w sobie kobiecość, a nawet nieodparty urok, jeśli potraficie sobie wyobrazić uroczą olbrzymkę. Właśnie tę cechę najlepiej w niej zapamiętałam. Powinnam dodać w tym miejscu, że mało brakowało, a zostałybyśmy kochankami we wczesnej młodości.

Wzdychałyśmy do siebie przez cały tydzień. Sprawy pewnie zaszłyby dalej, ale zanim uczucia nasze doczekały się spełnienia, stanęłyśmy na przeciw siebie na ringu ćwiczebnym. Rozbroiłam ją dwa razy i wtedy z wielkim zakłopotaniem wycofała się z walki. Wieczorem tego samego dnia powiedziałyśmy sobie, że zostaniemy przyjaciółkami do końca życia, ale nie kochankami, choć słowo to nigdy nie padło między nami. To ja poruszyłam ten temat, wiedząc, że Polillo z trudem zniosłaby zbliżenie z kobietą, która przewyższała ją w walce. Zgodziła się z wyraźną ulgą. Ale nieraz w ciągu tych wszystkich lat spoglądałyśmy na siebie, żalując, że nic między nami nie było. Byłoby to pożądanie, czyste i proste, a nie miłość. Mimo to pamiętałybyśmy pewnie tę noc przez całe życie.

Przyjęłam tykwę z dłoni mej dziewczęcej miłości, mrugnęłam do niej, żeby wiedziała, że ja też nie zapomniałam, o niczym i napiłam się. Smakowity napój rozniecił we mnie nadzieję. Może rzeczywiście miała rację... ten smak jakby sugerował ludzką obecność.

Przykuśtykał do mnie Gamelan. Odkomenderowałam dwie gwardzistki do opieki nad nim i nie dbałam nic a nic o jego narzekania, że traktujemy go jak kalekę. Choć niewidomy, był dla nas zbyt cenną pomocą, by ryzykować, że zginie w jakimś wypadku.

Podaliśmy mu tykwę. Pociągnął solidny łyk.

- Ciekaw jestem, dlaczego tak słodkie owoce nigdy nie rodzą się w naszych ogrodach, ale gdzieś daleko, za nieznanymi morzami, pod strażą demonów? - zadumał się, oddając mi owoc.

Już miałam powiedzieć, że jak na razie, nie natrafiliśmy na żadne szczególnie interesujące potwory, ale w tym momencie marynarz na oku zawołał, że dopływamy do lądu i zaraz będziemy na płyciźnie.

Spostrzegłam po jednej stronie wyspy przylądek, wyciągający się ku nam jak zielone ramię. Wpłynęliśmy do zielonej, bagnistej zatoki. Za drzewami wznosiły się ku niebu kolumny dymu z ognisk. Jeszcze mocniej zapachniały kwiaty, a inne zapachy - przyjemne i brzydkie - powiedziały nam, że wyspa jest zamieszkała. Bagiennie ptaki fruwały do góry z gęstych trzciny. Usłyszeliśmy dudnienie bębnow. Oprzytomniałam i zawołałam do Strykera, by się zatrzymał i wezwał sygnałami Cholla Yi na konferencję.

Między wodną roślinnością pojawiły się czółna, długie i niskie, malowane we wzór przypominający trzciny, który doskonale je maskował aż do chwili, gdy zbliżyły się do nas. Dałam sygnał alarmu i w jednej chwili Ismet ustawiła gwardzistki w szyku bitewnym. Kobiety skokami znalazły się w wyznaczonych dla siebie miejscach, obnażyły miecze, przygotowały włócznie do rzutu i napięły łuki. Wioślarze dali kontrę i galera niemal natychmiast stanęła w miejscu. Trębacze na pozostałych statkach powtórzyli nasze sygnały jak echo i cała flota zamarła, gotowa do walki.

Czółna utworzyły długą linię i zatrzymały się. Jedno z nich wyłamało się z szeregu i ruszyło w naszą stronę. Nazywam te łodzie czółnami, bo rzeczywiście nimi były; w niczym jednak nie przypominały naszych spacerowych łódek, w których zakochani wypływają wieczorami na spokojne wody jeziora. Każde z nich mieściło co najmniej stu wojowników. W miarę gdy się zbliżali, widać było najpierw błysk broni, potem kolorowe farby, którymi pomalowali ciała, nagie za wyjątkiem woreczków okrywających ich narządy płciowe. Na dziobie stał wysoki mężczyzna z długą, grubą łaską w dłoni, przybraną zielonymi i czerwonymi piórami jakiegoś leśnego ptaka. Wyglądała jak gigantyczny,

unurzany we krwi penis. Mężczyzna, wymalowany wieloma krzyczącymi barwami, wyglądał na miejscowego dostojnika, który pewnie ma na swe usługi wielu niewolników.

Wojenne czółno zatrzymało się przy naszej burcie, a wysoki mężczyzna zaczął wykrzykiwać coś władcym tonem w języku, którego nikt nie zrozumiał.

Niepojęte dla nas słowa były z pewnością jakimś rozkazem. Spróbowałam odpowiedzieć mu w żargonie handlowym, ale, choć zwrócił się ku mnie, zdziwiwszy się wielce, że zwraca się do niego kobieta, potrząsnął głową bez zrozumienia. Wyraźnie się rozgniewał, zaczął krzyczeć i wymachiwać laską.

Ktoś trącił mnie w bok. Był to Gamelan.

- Rób, co ci mówię - powiedział - i to szybko.

Modląc się do Maranonii, by wróciła magiczną noc naszemu Mistrzowi mimo jego ślepoty, zapytałam: - Co mam robić?

- Czy są tu jeszcze te egzotyczne owoce? Te tykwki o słodkim soku?

W dalszym ciągu trzymałam w ręku tę, którą wcześniej dostałam od Polillo. Kiwnęłam głową, zapominając o ślepotcie maga.

- Odpowiadaj na głos - syknął - nie widzę gestów.

- Tak, mam tu jeden - odparłam, zbyt zmartwiona wrogim wodzem, by się przejmować naganą.

- Wypij - powiedział.

- Ale jak...

- Wypij. Potem powtórzysz to, co ci powiem.

- Dobrze - odparłam. Wypiłam łyk, opuściłam tykwę i dodałam: - Już. Co mam teraz mówić?

Chwycił mnie za ramię. Byłam zdziwiona, jaka siła kryje się w tych chudych dłoniach. - Musisz zrobić to sama, Rali - syknął. - Nie myśl sobie, że moja magia wróciła. Sama musisz rzucić Zaklęcie Wielu Języków.

Zmieszałam się.

- Mówiłam ci, że nie mam Daru.

- A zatem wszyscy jesteśmy zgubieni, Rali - odpowiedział. - Nie ma wśród nas nikogo innego, kto potrafiłby to zrobić.

Chciałam się z nim spierać. Chciałam go posłać do diabła! Zamiast tego powiedziałam tylko: - Bardzo dobrze.

Zaczął natychmiast: - Słowa mądrość poczynają...

- Słowa mądrość poczynają... - powtórzyłam jak echo.

- Słowa rodzą i głupotę...

Wydawało mi się to bzdurne, ale powtarzałam posłusznie. Potem nakazał mi: - Wypij jeszcze łyk, ale tym razem zajrzyj w głąb a wtedy... zobaczysz.

Wypiłam, nie mając jednak najmniejszego pojęcia, jak mam zobaczyć coś, czego wyraźnie nie było.

- Patrz, Rali! - syknął. - Czy widzisz drzewo, które zrodziło ten owoc?

Potrząsnęłam głową, znowu zapominając o jego kalectwie.

- Pomyśl o drzewie, Rali - nalegał. - Pomyśl o tym drzewie.

Nagle ujrzałam je w wyobraźni, jak płynęło po wodzie, widziałam dziwaczne zgrubienia na pniu, kwiaty i długie, trąbkowate liście.

- Zajrzyj w głąb - powiedział. - Jeszcze głębiej!

Spróbowałam to zrobić, z całej mocy. W umyśle mym otwarły się drzwi, błysnęło światło i liście zaczęły się poruszać. Stały się językami, które powtarzały: Słowa rodzą i głupotę.

Usłysz swego brata Usłysz siostrę swoją, Usłysz człeka obcego w najciemniejszą noc.

Zakłęcie mnie pochwyliło mocniej niż dłoń Gamelana. Poczułam zawrót głowy, bicie serca ze strachu i z wielkim wysiłkiem wyrwałam się, oddychając płytko i gwałtownie, jakbym wynurzyła się z głębiny. Zza długiej, białej brody Gamelana błysnął niewesoły uśmiech: - Teraz możesz z nim porozmawiać - powiedział. Wyjął mi tykwę z dłoni, wypił i podał Polillo i innym, by też wypili.

Oniemiała, zwróciłam się do wodza, który w milczeniu czekał na koniec rozgrywki między mną a Gamelanem. Spojrzał na mnie z zainteresowaniem, gdyż chyba wyczuwał coś z tego, co się działo.

- Jestem kapitan Antero z Orissy, panie - powiedziałam.

Oczy rozszerzyły mi się ze zdziwienia; widać było, że mnie zrozumiał.

- Ty dowodzisz? - spytał, z trudem ukrywając zdumienie.

- Tak, jestem dowódcą floty. Mówię w imieniu wszystkich: przybywamy w celach pokojowych. Przybywamy jako przyjaciele.

Wódz roześmiał się.

- Mam już przyjaciół - odpowiedział. - Po co mi nowi?

- Wejdź na pokład i porozmawiaj z nami, panie. Szybko przekonasz się, że warto się zaprzyjaźnić także i z nami.

Nie przypuszczałam, że się zgodzi, a w każdym razie nie od razu. Ku memu zaskoczeniu, polecił swoim ludziom zaczekać i skoczył na burtę czółna.

W chwilę później szedł ku mnie po pokładzie. Nagie, pomalowane ciało sprawiało, że wydawał się wyższy niż w rzeczywistości. Wyglądał jak typowy dzikus. We włosy miał wplecione różnobarwne sznurki, ozdobione nie oszlifowanymi kamieniami szlachetnymi, kawałkami kości słoniowej, piórami i paciorkami. Na piersi namalowano mu wielką, szponiastą jaszczurkę, która owijała się wokół szyi i zachodziła aż na policzek. Z gniewnej, otwartej paszczyki buchały płomienie, które były splecioną w warkoczyki, pomalowaną na czerwono brodą. Na prawym udzie była przedstawiona kobieta, na lewym piękny chłopiec; ręce ich wyciągały się, jakby chciały objąć woreczek, w którym pęczniał

potężny mięsień. Wódz zatrzymał się przede mną i zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. Pomimo barbarzyńskiego wyglądu, spoglądał z wyrachowaną inteligencją. Odpowiedziałam spokojnym spojrzeniem, nie dając się zastraszyć potężnej męskiej postaci.

Zmarszczył czoło i zastukał laską w pokład: - Jestem Keehat. Jestem tu królem - powiedział.

- To dla nas zaszczyt, królu Keehacie - odpowiedziałam z szacunkiem, lecz bez uniżoności. - Wybacz naszą niewiedzę, gdyż jesteśmy tu obcy. Jak się nazywa twoje królestwo?

- To Wyspy Lonquin - odpowiedział, rozejrzał się po naszej galerze, po czym popatrzył na pozostałe.
- Szaman nie mówił, że przyplyniecie na takich dobrych statkach - stwierdził z pożądlivym błyskiem w oku.

- Wiedziałaś, że przyplniemy? - nie potrafiłam ukryć zaskoczenia.

- Wiedziałem - odparł ponuro. - Wszyscy wiedzieliśmy.

- Mam zatem nadzieję, że powitacie nas mile - odparłam, gdyż nie śmiałam pytać o więcej. - Mamy bogate dary, które zadowolą Waszą Królewską Mość. Prosimy tylko o trochę jedzenia, wody i może kawałek plaży, byśmy mogli naprawić nasze galery. Jestem pewna, że szaman Waszej Wysokości powiedział, że nie narzucamy się wam z własnej woli. Jesteśmy ofiarami morza i chcemy tylko jak najszybciej powrócić do domu.

Nie zwrócił uwagi na moje słowa. Spytał: - Jesteście z tamtej strony rafy?

- Tak jest Wasza Wysokość. Nie chcieliśmy wcale tu się zapuszczać, ale morze nas pochwyliło i przez nią przeniosło.

- Niestety - rzekł Keehat.

- Tak jest. Nieszczęście.

- My zaś mamy szczęście - odparł. - To znaczy, mieliśmy je do niedawna.

Kilka dni temu bogowie morza się rozgniewali i przeklęli nas. Zesłali wielkie fale, które spustoszyły nasze ziemie. Zniszczyły całe wioski. Całe pola. Wiele dzieci straciło ojców i matki, a wielu rodziców - swoje dzieci.

- A więc spotkał nas ten sam zły los, Wasza Wysokość - powiedziałam. - I my straciliśmy wielu drogich przyjaciół i towarzyszy broni.

Król Keehat wpatrywał się we mnie bez słowa, z kamienną twarzą. Nie wyczuwałam w nim ani krzty przyjaznych uczuć. Oświadczył: - Szaman twierdzi, że to wy jesteście przyczyną naszych nieszczęść.

- To niemożliwe - odparłam. - My też do niedawna mieliśmy szczęście.

Prawdę mówiąc, morze nas porwało w niedługi czas po tym, jak stoczyliśmy zwycięską bitwę ze strasliwym wrogiem, tak niebezpieczną, że tylko wybrańcy bogów mogli ją przetrwać, a cóż dopiero wygrać.

Król obejrzał galery i dostrzegł uszkodzenia, odniesione w bitwie.

- Może to i prawda - powiedział w końcu. - Mój szaman nie wiedział też, że macie takie dobre statki. Ale jest młody, chociaż zanim skazałem jego ojca na śmierć, stary obiecywał, że syn będzie mi dobrze służył.

Nie odpowiedziałam, bo nie było takiej potrzeby. Skłoniłam się tylko z szacunkiem.

- Gdzie jest wasz szaman? - spytał Keehat.

Wskazałam na Gamelana.

- Oto nasz mag. W naszym kraju jest największym spośród Mistrzów Magii. Jest bardzo mądry i potężny.

Gamelan wystąpił naprzód, by powitać króla, ale wyraźnie źle stąpnął, potknął się i chwycił łaskę króla, szukając oparcia. Obrażony król wyrwał mu ją z ręki, ale mag zdążył już niepostrzeżenie pochwycić jedno z ozdabiających ją piór. Ukrył je w szatach i skłonił się w niewłaściwą stronę.

- Przepraszam uniżenie, Wasza Wysokość - rzekł i spojrzał wielkimi, pustymi oczyma. - To z powodu ran jestem taki niezgrabny.

Gniew Keehata zmienił się w niesmak.

- Znowu zły los - gderał. - Wasz mag przecież jest ślepy.

- A mag Waszej Wysokości za młody - odpaliłam. - Jedno i drugie niedomaganie jest przejściowe, a więc jesteśmy sobie równi.

- Nie całkiem równi - odparł. - To wy mnie prosicie o łaskę.

- Wasza Wysokość chyba mnie źle zrozumiał. Nie chcemy nic za darmo.

Zapłacimy za wszelką pomoc, jaką nam uprzejmie ofiarujecie.

Keehat zamilkł. Wyraźnie nas oceniał w myśli, drapiąc się przy tym po nabrzmałym woreczku. W końcu kiwnął głową.

- Zobaczymy - powiedział. - Poczekajcie. Muszę porozmawiać z doradcami.

Odwrócił się na pięcie i skoczył do morza. Cisnął falliczną laskę jednemu ze swych ludzi i podciągnął się bez wysiłku, za to z dużym wdziękiem, na burtę czółna, które powróciło do innych łodzi.

Stryker zawołał do mnie: - Admirał sygnalizuje! Prosi o instrukcje, kapitanie.

Uważnie przypatrywałam się szeregowi łodzi i starałam się odgadnąć zamiary Keehata. Przez głowę przebiegały mi różne podejrzenia, a żołądek ścisnął się z niepokoju. Czy wódz rzeczywiście będzie naradzał się ze swoimi ludźmi? A może właśnie wydaje rozkazy do walki? Moim zdaniem nie należał do dowódców, którzy zasięgają czyjejkolwiek rady. Ale czy zaryzykuje walkę, by pomścić nieszczęścia, które jego zdaniem ściągnęliśmy na to królestwo?

Prawdopodobnie nie. Choć z drugiej strony, wyraźnie pragnął zagarnąć nasze galery...

Od zachodu pośród trzciny zaczęły krzyżeć czaple. Dwa ptaki krążyły nad kępą zarośli, to zniżając lot, to się oddalając. Trąbiły groźnie, jakby ktoś atakował ich gniazdo.

- Trzeba będzie walczyć - powiedziałam do Corais. Krzyknęłam w stronę Strykera: - Nadawaj do admirała, że ma się natychmiast wycofać. My zostajemy w tylnej straży.

Gdy tylko sygnałówki powędrowały na maszt, usłyszałam wysokie, wojenne okrzyki, wykrzykiwane przez setki gardeł. Czółna pomknęły w naszą stronę, prowadzone przez samego króla.

- Idą z zachodu, kapitanie - krzyknęła Polillo. Stało się to, czego się obawiałam. Kilkanaście nieprzyjacielskich łodzi wysunęło się z trzciny, by zająć nas z boku.

Z grupy czółen Keehata nadleciała w naszą stronę czarna chmura strzał.

Powstrzymać abordaż - rozkazałam i kompania pikinierki, pod dowództwem Polillo, skoczyła do przodu. Jeden mężczyzna właśnie przechodził przez burtę, ale Polillo dopadła go pierwsza, błysnął opadający topór, obcinając mu palce. Barbarzyńca spadł do wody, wrzeszcząc przeraźliwie. Gdy pikinierki rozpoczęły robotę, nad wodami zatoki rozległy się kolejne okrzyki bólu.

Posłałam do relingu łuczników w chwili, gdy spadł nas kolejny rój wrogich strzał. I znowu nikt z moich ludzi nie został zabity, ja zaś miałam satysfakcję widząc, jak nasze strzały trafiają wroga; co najmniej dziewięciu wyspiarzy od nich ucierpiało, a jeden zginął. Ismet poprowadziła na tylny pokład grupę procarek i po chwili barbarzyńców zasypał grad ołowianych kulek.

Galera zadrżała, gdy przedzieraliśmy się przez mieliznę. Omal nie upadłam. Po chwili wyrwaliśmy się z zatoki, lecz czółna otaczały nas ciasno i przez burtę przedostawali się coraz to nowi napastnicy, wywijając pałkami i mieczami.

Dostrzegłam jeszcze tylko, że inne galery śmigają już po otwartym morzu, dobyłam broni i rzuciłam się w wir bitwy. Wywalczyłam sobie drogę do boku Polillo i razem zaatakowałyśmy grupę wyspiarzy. Moja towarzyszką, z wojennym okrzykiem na ustach, zmiotła mi z pleców toporem jakiegoś barbarzyńcę. Sparowałam cios mieczem, a potem wypatroszyłam napastnika, odwróciłam się w lewo i ścięłam następnego wroga, potem w prawo i poderzłam gardło kolejnemu, potem jeszcze raz w lewo, kopnęłam kogoś w krocze, i jeszcze raz w prawo: wbiłam miecz w czyjąś pierś. Fontanny krwi mnie oślepiły, więc cięłam na ślepo, aż zrobiło się na tyle luźno, że mogłam otrzeć oczy. Ujrzałam, jak Gamelan wymachuje wokół siebie ciężką pałką, powalając wszystkich w jej zasięgu. Nieopodal jeden z wioślarzy niezwykle skutecznie atakował wrogów olbrzymią maczugą. Polillo, opętana żądzą krwi, śmiała się szaleńczo, rzucając się na sześciu nagich szermierzy. Po chwili leżeli już w drgawkach na pokładzie, pozbawieni kończyn i z potrzaskanymi czaszkami.

Wreszcie leniwy wiatr powiał nam w żagle i galera zwawiej ruszyła do przodu. Po kilku chwilach zostawiliśmy przeciwników za sobą. Wybiliśmy do nogi tych, którzy pozostali na naszym pokładzie i wyrzuciliśmy ich za burtę.

Pobiegłam do steru i zobaczyłam, że czółna płyną za nami. Keehat stał na dziobie swojej łodzi, potrząsał laską i zachęcał ludzi do wiosłowania. Płynęły za nami setki czółen, a jeszcze kolejne wypływały z zatoki. Król nie zamierzał zrezygnować z pościgu tylko dlatego, że byliśmy szybsi od niego.

Pośpiesznie nadałam wiadomość do Cholla Yi i uzyskałam jego odpowiedź. Wiatr pchał nas na zachód, lecz obawialiśmy się schodzić z kursu za daleko, bo w dalszym ciągu chcieliśmy opłynąć rafę od południa. Cholla Yi spróbował podstęp. Z wielką szybkością skierowaliśmy się na zachód, by jak najbardziej oddalić się od pościgu, po czym ruszyliśmy ostro na południe.

Niestety, gdy tylko zbliżyliśmy się do jednej z wysp, zaatakowały nas liczne czółna i zmusiły do skierowania się na zachód. Wielokrotnie próbowaliśmy tej samej sztuczki i zawsze musieliśmy zawracać.

Wyczuwałam, że szamanowie Keehata z pomocą magii przekazują wiadomość o nas z wyspy na wyspę, tak by zamieszkujące je plemiona miały czas przygotować się do ataku.

Mijając jeden z atoli, wpłynęliśmy na straszliwe śmietnisko. Prąd morski niósł z sobą niezliczone drzewa, pnie, a nawet całe domy. Wszędzie na wodzie unosiły się zakrwawione zwłoki bydła, dzikich zwierząt i setek ludzi - mężczyzn, kobiet i dzieci. Był to rezultat wielkiego trzęsienia dna morskiego, które o mało co nie przyczyniło się do naszej zagłady i zniszczyło większą część królestwa Keehata. Zniszczenia te stanowiły brutalną odpowiedź na pytania, które tylko głupiec mógłby zadać: dlaczego król nas nienawidził i dlaczego pragnął pomścić swe królestwo.

Gdy z trudem przedzieraliśmy się przez ten koszmar, jedna z uszkodzonych galer trafiła w pień drzewa, unoszący się tuż pod powierzchnią wody i zatonała. Udało nam się uratować załogę, ale doścignęły nas czółna, bez trudu lawirujące wśród pni i szczątków. Tubylcy dostali się na pokład kolejnej galery. Ta również była zniszczona i miała mniej szczęścia, niż mój statek: na jej pokładzie nie było gwardzistek i nikt nie potrafił rozprawić się z napastnikami.

Słyszeliśmy błagania marynarzy o litość, ale nie mogliśmy zatrzymać się i im pomóc, gdyż sami z trudem wymykaliśmy się bandzie Keehata w tym śmiertelnym labiryncie.

Gdy udało nam się od nich dostatecznie oddalić, znużonym głosem zawołałam Strykera i poleciłam mu wywiesić sygnały dla Cholla Yi i pozostałych okrętów. Nawet rozmawiając z nim, widziałam z tyłu flotyllę czółen, uparcie idącą naszym śladem. Część łodzi skręciła w bok, na wypadek gdybyśmy znów chcieli wymknąć się na południe.

Mieliśmy tylko jedną drogę: uciekać na zachód, na otwarte morze... coraz dalej i dalej w nieznane.

Król Keehat ścigał nas równie bezlitośnie, jak niegdyś my Archonta.

Przez tydzień pędziliśmy przed siebie, na żaglach lub na wiosłach, tak szybko jak tylko potrafiliśmy. A jednak gdy tylko zwalnialiśmy lub zatrzymywaliśmy się, by odpocząć, nałowić ryb lub uzupełnić gwałtownie kurczące się zapasy, na horyzoncie natychmiast pojawiały się wojenne czółna. Pogoda była zmienna: mgliste, spokojne dni przeplatały się z gwałtownymi burzami, więc nie można było marzyć, że potężne, spokojne wiatry poniosą nas tak daleko i tak długo, byśmy wreszcie pozbyli się wyspiarzy. Raz, po dwóch dniach nieprzerwanego wiosłowania i żeglowania, myśleliśmy, że nam się udało. Późną nocą drugiego dnia zarzuciliśmy kotwicę przy całkowitym braku wiatru, wyczerpani, lecz pewni, że wreszcie mu uciekliśmy. Następnego ranka obudziły nas czółna, które właśnie wypryskiwały w naszą stronę zza osłony gęstej ściany mgły. Król Keehat stał na dziobie i wznosił krwiożercze okrzyki. Ledwie udało nam się umknąć w porę, a i to jedna galera dostała się w zasięg strzał i kilku wiosłarzy zginęło z ręki najbardziej wprawnych łuczników Keehata.

W końcu znudziło mi się to. Byłam znużona ucieczką i ponurymi spojrzeniami moich gwardzistek. Zgodne z naszą tradycją, wspartą wyszkoleniem, zawsze przecież atakowałyśmy, a nie cofałyśmy się. Czułam się jak mała rybka drżąca ze strachu przed dużą i to także mnie męczyło. Co gorsza, im bardziej oddalaliśmy się od wulkanicznych raf, tym większe było prawdopodobieństwo, że zabłądzimy bez żadnego ratunku.

Zwołałam naradę, na którą zaprosiłam mój sztab, Cholla Yi, jego sztabowców oraz Gamelana. Rozpoczęłam od pytania skierowanego do Gamelana: w jaki sposób, jego zdaniem, Keehat przez tak długi czas idzie naszym śladem, nie zdradzając oznak zmęczenia.

- Czy sprawia to jego szaman? - pytałam. - Czy rzucił zaklęcie, stale odradzające siły tych ludzi?

Gamelan potrząsnął głową.

- To nie magia - odparł. - Tego rodzaju zaklęcia wyczerpują magów.

Działają dopóty, dopóki sam mag jest wypoczęty.

- A więc co to jest?

- Pamiętacie tykwy wyłowione z morza? Myślę, że to ich sok. Przecież przekonaliśmy się sami, że nawet maleńki łyk odświeża umysł i wzmacnia ciało.

Rzeczywiście tak było. Rozdzieliliśmy między siebie wszystkie owoce, znalezione na niesionym prądem drzewie. Wciąż byłam nieufna wobec magii, więc niechętnie powieliłam Zaklęcie Obcych Języków, aby i inni mogli porozumiewać się z ludźmi napotykanymi na tych wodach. Mimo tego, że na każdego przypadła tylko odrobina soku, wszyscy twierdzili, że po wypiciu go poczuli się jakoś dziwnie wypoczęci.

- Jestem pewny, że jeśli król i jego ludzie zgromadzili odpowiedni zapas tych owoców, będą jeszcze długo mogli płynąć w tym tempie - dodał Gamelan.

- Poza tym sok ten skutecznie przytępia łaknienie, więc mogli obciążyć łodzie jedynie bronią i wodą. Z łatwością mogą zaspokajać głód tym, co złowią na wędki po drodze, nie przerywając wiosłowania.

- To głupie - warknęła Polillo. - Uważam, że powinniśmy stawić im czoła.

Jest ich zaledwie parę tysięcy Corais była podobnego zdania, choć jej argumenty były bardziej

wyważone i zdroworozsądkowe: - Możemy zastosować sztuczkę z mgłą: pojawić się nagle, zabić tylu ilu się da i szybko się wymknąć. Wkrótce mu się znudzi ta zabawa.

- Nic z tego nie wyjdzie - oświadczył Phocas. - Ludzie są zmęczeni.

- Marudzicie - warknęła Polillo.

- Najmniejszy błąd może sprowadzić klęskę. Przeciwników jest zbyt wielu - oświadczył Cholla Yi.

- Tchórze - odpowiedziała.

Phocasa i pozostałych ludzi admirała zirytowały jej docinki.

- Lepiej byś zamknęła tę gębę - warknął. Pozostali mu zawtórowali.

Polillo wysunęła głowę do przodu i wykrzywiła usta w uśmiechu, lecz bez krztyny wesołości. Wskazała palcem usta: - Bardzo proszę. Może któryś odważy się je zamknąć.

Mruczeli coś pod nosem, ale żaden nie zaryzykował wyzwania. Phocas odwrócił się i udawał, że szuka jakiejś mapy.

- Moim zdaniem porucznik Corais ma rację. Możemy walczyć jak stado wilkołaków, polujących na dziki. Ukryjemy się we mgle, napadniemy ich z zasadzki i będziemy nękać wroga - może nawet go okulawimy - i z powrotem się ukryjemy. Są też i inne sztuczki... możemy udać, że jedna galera zostaje z tyłu, pozwolić im podejść bliżej a potem atakować i wycofywać się, znowu atakować i znowu się wycofywać, aż będzie miał na łodziach tylu rannych i zabitych, że się zniechęci, albo tak osłabnie, że go bez trudu wykończymy.

Cholla Yi potrząsnął głową.

- To zbyt ryzykowne. Moi ludzie odmówią.

Uniosłam brew.

- Przecież jesteś ich admirałem, prawda? Kto tu dowodzi - ty czy ich kaprysy?

Wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że ja. Ale przestanę, gdy tylko utracą we mnie wiarę.

Mówił z takim namaszczaniem i tak fałszywie, że nie wierzyłam ani w jedno słowo.

- Moje kobiety są gotowe do walki - oświadczyłam.

- Naprawę chcemy walczyć, na bogów - syknęła Polillo. - Zostaw mnie tylko samą z twoimi ludźmi przez jeden dzień, a zaraz im dodam animuszu.

Albo będą przeklinać swoje matki, że ich urodziły.

Admirał nie obraził się, tylko westchnął.

- Jeśli chcesz, żeby moi ludzie stanęli do walki - powiedział do mnie - musisz mi oddać dowództwo. Szczerze mówiąc, nie podoba im się, że rozkazy, które dostają, pochodzą od kobiety.

O to więc chodzi, pomyślałam. Cholla Yi grał na zwłokę, podobnie jak król Keehat. Będzie się ociągał, póki nie stanę z boku.

- Obciążają cię i twoje kobiety winą za wszystkie niepowodzenia - dodał admirał. - I wcale nie są w błędzie. Wszyscy marynarze wiedzą, że kobiety nie powinny przebywać na statkach. Bogowie morza z jakiegoś powodu nie lubią słabej płci, a boginie są zazdrosne o waszą obecność.

Gamelan zaśmiał się z ironią, obnażając bezdenną głupotę słów Cholla Yi. Na twarz potężnego mężczyzny wypełził rumieniec, dłonie zacisnęły się w pięści, ale udało mu się zachować pozory spokoju. Uśmiechnął się obojętnie.

- Czy odmawiasz udziału w walce, Admirale? - spytałam. Tym razem należało grać w otwarte karty.

- Ależ skąd - odparł, a obojętny uśmiech zniknął z jego twarzy. - Ostrzegam tylko, że ludzie mogą odmówić wykonywania twoich rozkazów.

- A jeśli to ty obejmiesz komendę?

- Będą walczyć - odparł z uśmiechem.

Wstałam gwałtownie, by zakończyć naradę, zanim Polillo wybuchnie niepohamowanym gniewem. W każdym razie był to dogodny pretekst.

Przyznam, że i we mnie krew się zaczęła burzyć.

- Spotkamy się jeszcze, prawda? - spytał Cholla Yi z niepokojem.

- Ależ, naturalnie, Admirale. Na pewno się spotkamy - odparłam, uśmiechnęłam się drapieżnie i wyszłam.

Za czasów mojej młodości w koszarach grywano w pewną grę. Nazywała się „koło fortuny”, albo „kulawka”. Grywały w nią parami młode wojowniczkki.

Trzeba było zdjąć obuwie i mieć ze sobą ostry nóż do rzucania. Stawało się w odległości dwóch kroków od siebie; celem gry było rzucić nożem jak najbliżej stopy przeciwniczki, nie raniąc jej. Każdej z grających przysługiwały trzy rzuty, a każdy następny musiał być bliższy celu niż poprzednie. Najmniejsze zawahanie oznaczało przegraną. Grałyśmy na pieniądze albo o służbę w kuchni, o warty, a raz, nawet aby rozbić pewien trójkąt miłosny. Zwycięzyczyni straciła wtedy kawałek wielkiego palca, dzięki czemu o grze dowiedziały się przełożone i zabroniły nam zabawy.

W taką właśnie grę zabawiał się ze mną teraz Cholla Yi. Był pewien, że w obliczu ścigającej nas hordy dzikusów zawaham się pierwsza i oddam dowodzenie. Stawką było nasze życie.

Tak więc muszę przyznać, skrybo, że blefowałam w tamtą noc, kiedy opuściłam go, mając na twarzy ten groźny uśmiech, który sugerował, że wiem bardzo wiele. Ale powinieneś wiedzieć także, że nigdy nie blefuję bezpodstawnie. Widzisz, to ja byłam jedną z dziewcząt, które rozegrały ostatnią partię kulawki, o której ci przed chwilą opowiadałam. Nie musisz ukradkowo spoglądać na moje stopy. Ja akurat mam całe palce.

Rozstrzygnięcie tej próby sił odbyło się o wiele później, a przyczyną tego opóźnienia był Gamelan.

W dwie noce po tym spotkaniu spowił nas gęsty tuman mgły. Był tak nieprzenikniony, że nie odważyliśmy się płynąć przed siebie w obawie, że się pogubimy na dobre. Sygnałami rogów nakazałam postój. Zrzuciliśmy żagle czekając, aż mgła się podniesie. Mogliśmy się jedynie modlić, by Keehat zrobił to samo.

Gamelan wezwał mnie do swojej kabiny. Na magicznym piecyku płonął wesóły ogieniek - Siadaj i napij się brandy ze starym człowiekiem - zaprosił.

- Powinnam być na pokładzie, na warcie - odparłam.

- Bzdury. I tak nic nie widać. A gdyby nawet było, to i tak spostrzeglibyśmy się za późno, w chwili, gdy te dzikusy już by nam wskakiwały na pokład. Chodź tu i siadaj, to ci powiem, jak wygrać tę gonitwę.

Miałam powody, by się denerwować, ale usłuchałam polecenia. Miałam też powód, by wychylić pierwszy kieliszek jednym haustem do dna i nalać sobie następny. Pierwsze zaklęcie, jakie rzuciłam na jego prośbę, otworzyło przede mną nowy, obcy świat i spowodowało wstrząs. Gdy kazał mi powielić Zaklęcie Wielu Języków, jeszcze bardziej się zlekłam, ponieważ uczucie, że coś mnie wciąga w głąb, jak wodny demon, było tym razem o wiele potężniejsze.

Najbardziej mnie przerażało to, że wcale nie chciałam wychynąć na powierzchnię. Pod powierzchnią owego magicznego menisku kryło się tak wiele obietnic... obietnic, które pociągały mnie z równą mocą, co widziana po raz pierwszy mapa zachodnich mórz... podobnie jak wtedy aż płonęłam z niecierpliwości, by dowiedzieć się, co jeszcze jest przede mną ukryte.

Gamelan pogmerał w kieszeni i wydobył z niej piórko skradzione z laski Keehata. Podał mi je na oślep.

- Mamy tu coś, co należy do tego barbarzyńskiego króla - powiedział. - Coś, co ceni ponad wszystko inne... - Wzięłam piórko, wiedząc, co powie dalej: - ... jego męskość.

Palce mi drżały.

- Wiem, czego ode mnie chcesz, magu - odparłam. - Nie mogę i nie chcę tego zrobić.

- Co w magii przeraża cię tak bardzo, Rali? - spytał.

- Sam wiesz - odparłam.

- Nic nie wiem! Opowiedz mi! - warknął.

- Znajdź sobie kogoś innego!

- Nie ma nikogo innego. Opowiadaj!

Tak więc zaczęłam opowieść. Nie miała nic wspólnego z tragiczną śmiercią Halaba. Nie zwierzałam się z tego nikomu, oprócz mej drogiej Otary.

Zapisuj więc wszystko pilnie, skrybo. Mówię o tym teraz tylko dlatego, że obiecałam zawrzeć w tej księdze całą prawdę.

Wcześnie stałam się kobietą. Jako dziesięciolatka zaczęłam miesiączkować. W rok później miałam już kobiece piersi, biodra i meszek pod kształtnym brzuchem. Jednak choć ciało rozkwitło, umysł ledwie się budził, więc chodziłam po świecie w wielkim pomieszeniu i zamęcie. Wiele myślałam o seksie, który napełniał mnie niesmakiem, bo nie wiedziałam wtedy o swych odmiennych upodobaniach i wczesne tęsknoty zawsze łączyłam z mężczyznami. Bywały dni, kiedy oblewało mnie gorąco i pociłam się bez powodu, lecz gdy widziałam jakiegoś mężczyznę w podobnym stanie, napełniał mnie obrzydzeniem widok splątanych bród i kanciastych kształtów, a zapach potu przyprawiał mnie o mdłości.

Latem, gdy miałam dwanaście lat, odwiedziliśmy jedną z posiadłości mego wuja. Miał ogromne plantacje oliwek, znakomity warzywnik i trzymał stada kóz, więc objadaliśmy się mięsistymi czarnymi oliwkami, znakomitym białym serem, ciemnym chlebem pieczonym przez ciotkę oraz pomidorami i cebulą, słodszyimi od najlepszych cukierków. Pewnego dnia mój kuzyn Veraen i ja zabraliśmy sporą porcję takich frykasów w koszu ze sobą i wybraliśmy się w długą wędrówkę na wzgórze, by podglądać jak brykają młode kózki. Veraen miał piętnaście lat i choć sporo urósł od naszego ostatniego spotkania, byłam w dalszym ciągu wyższa i silniejsza od niego, więc bez przerwy wybuchały między nami sprzeczki i zatargi. W dzieciństwie jednak bardzo się przyjaźniliśmy... Ale w takie piękne popołudnie wszelkie zmartwienia zniknęły razem z delikatnymi puchami mleczu, które odpyływały poza zielone wzgórze, niesione pachnącym letnim wiatrem.

Zjedliśmy zapasy, napiliśmy się wody ze źródła wypływającego spod starego dębu i ułożyliśmy się w cieniu na odpoczynek. Było gorąco i cicho. W krzakach brzęczały cykady, ćwierkały nieliczne ptaki, a jakaś osa-samotnica kręciła się w pobliżu, szukając błota do budowy gniazda. Powietrze przesycone było wonią dzikiego rozmarynu, oregano i tymianku, który właśnie zaczynał kwitnienie.

Veraen zaczął opowiadać dowcipy, rozśmieszył mnie, a potem zaczął łaskotać. Odwdzięczyłam się pięknym za nadobne... dostaliśmy ataku śmiechu, jak dzieci, i zaczęliśmy się siłować, turlać po trawie i łaskotać nawzajem.

Nagle dziecinna zabawa się skończyła i zanim się spostrzegłam, miałam sukienkę na głowie, majtki w dole, nogi rozrzucone na boki, a Veraen leżał na mnie. Oprzytomniałam natychmiast i zepchnęłam go jednym ciosem przedramienia. Klęczał z rozpiętymi spodniami. Zobaczyłam jego penis - już nie chłopięcy, lecz męski organ, gruby, twardy, uniesiony jak zwodzony most.

Zrobiło mi się niedobrze.

- Precz ode mnie! - krzyknęłam.

On jednak znów się na mnie rzucił, przycisnął mi ramiona do ziemi i parł na ślepo, starając się we mnie wdrzeć. Wrywałam się, walczyłam i wreszcie udało mi się uwolnić rękę. Uderzyłam go z całej siły, wyrwałam drugą z jego uścisku i już miałam go zrzucić, gdy poczułam mocne uderzenie w głowę.

- Przestań się wrywać! - wrzasnął i ujrzałam, że w ręku trzyma kamień.

Zamiast się poddać, krzyknęłam ze złości i bólu. Uczułam przypływ sił, jakimś cudem zerwałam się z ziemi, on znów uderzył mnie tym kamieniem, a ja go zabiłam.

Tak jest, skrybo, zabiłam własnego kuzyna. Tak, nie mylisz się, mówię o Veraenie Antero. Wiem, co

sobie teraz pomyślałeś... masz się teraz nie odzywać do mnie ani słowem, tylko posłusznie zapisywać wszystko co ci dyktuję, słowo w słowo.

W jednej chwili Veraen na mnie leżał, bił mnie tym kamieniem, a w następnej - stałam, a on leżał bez ruchu na ziemi, z wykręconą szyją i wyrazem przerażenia i bólu w martwych oczach.

Byłam nazbyt wstrząśnięta, by odczuwać cokolwiek, poza przekonaniem, że oto właśnie nastąpił przełom w moim życiu. Nie czeka mnie już nic dobrego.

Z tyłu dobiegł mnie kobiecy głos, słodki i śpiewny. Odwróciłam się, jakbym była igłą kompasu, pociąganą siłą woli Syren Południa, które rządzą stronami świata.

- Rali - wołała. - Raaali!

Stała pod dębem, tuż przy źródelku. Była piękna pięknnością nie z tego świata; pięknnością bogini. Włosy, czarne jak noc, spływały niby woda po kremowobiałym ciele. Oczy, szaroczarne, ocienione rzęsami podobnymi wachlarzom, jakie noszą tancerki, przyciągały uwagę. Wpatrzona w nie, przez moment nie spostrzegłam nawet, że kobieta jest naga. Obnosiła swą nagość jak piękną szatę, jakby to był najbardziej naturalny strój na świecie.

Pokiwała do mnie długą, szczupłą ręką.

- Chodź tu, Rali - powiedziała.

Podeszłam do niej. Wydawało mi się, że zwolna płynę nad ziemią.

Wzięła mnie w ramiona i zapłakałam nad tym, co uczyniłam, nad Veraenem i nad tym, co uczynił. Uniosła mą głowę, spoczywającą na miękkich, matczyńskich piersiach i zajrzała mi głęboko w oczy. Odpowiedziałam spojrzeniem i zatraciłam się w przyjaznej ciemności. Umysł mój zamknął się na

wszystko poza nią.

- Kocham cię, Rali - powiedziała.

Nie zdziwiłam się. Jej słowa wydały mi się naturalne i słuszne.

Wiedziałam, że mnie kocha.

- Czekałam na ciebie, Rali - powiedziała.

I to także wydało mi się właściwe.

Wzięła mnie za rękę i poprowadziła tam, gdzie pod sękatymi korzeniami biło źródło. Zanurzyliśmy stopy w niewielkiej sadzawce, a w miejscu, gdzie wypływała woda, otworzyła się furtka i weszliśmy do ogrodu, brama zamknęła się za nami i oto stałyśmy przed zieloną, leśną altaną.

- Oto twój nowy dom, Rali - powiedziała.

Tak też się stało. Mieszkałam tam z Basaną przez jedenaście miesięcy.

Zostałyśmy kochankami. Basana powiedziała, że jest boginką tego źródła i zakochała się we mnie dwa lata temu, gdy Veraen po raz pierwszy mnie tu przyprowadził. Nie zastanawiałam się wtedy, dlaczego zrodziło się w niej to uczucie. Młodość ślepo przyjmuje takie wyznania - i tak być powinno. Z wyjątkiem uczucia do Otary nigdy już nie przeżyłam namiętności tak gorącej jak ta, którą roznieciła we mnie Basana. Wiedz, że jestem z natury namiętna, jak cały ród Antero. To nasza największa słabość. Boginka otoczyła mnie miłością: dawała mi prezenty, śpiewała pieśni, karmiła smakołykami, wychwalała mą piękność, mądrość, charakter... co tylko potrafiła wymyślić.

Zapomniałam o domu, o rodzinie, o świecie, z którego przybyłam. Do dnia, w którym spróbowałam wstać z łoża okrytego świeżym kwieciem, które przynosiła mi co noc i okazało się, że nie mogę się ruszyć. Tak osłabłam, że ledwie mogłam unieść rękę albo zawołać o pomoc. Przyszła Basana, a na jej ustach zamiast miłosnego uśmiechu gościł grymas głodu.

Podeszła do łóżka i szczypała mnie po całym ciele, powtarzając: - Taka słodka, taka słodziutka.

Chciałam zapłakać, gdyż oto zostałam zdradzona, ale z mych oczu spłynęła tylko jedna łza. Basana zachichotała na ten widok i scałowała ją z policzka. Głodne usta spoczęły przez dłuższą chwilę na mojej twarzy, ale nie to nie miłość je zwabiła.

Wyprostowała się i powiedziała: - Nie płacz, Rali. Karmiłam cię miłością prawie przez cały rok, a teraz, gdy dojrzałaś, nie możesz narzekać. Teraz przyszła moja kolej.

Chciałam się poruszyć, więc poklepała mnie kojąco.

- Już dobrze, już dobrze, kochanie - powiedziała. - To moja natura jest wypaczona, a nie twoja. Nie mam własnej duszy, więc co dziesięć lat muszę pożywić się młodą dziewczyną. To prawda, nie kochałam cię szczerze, moja droga Rali, ale jakoś musiałam cię przekonać o swym uczuciu. W przeciwnym razie ten strzępek człowieka, który znalazłam przy ciele martwego chłopca, na nic by mi się nie przydał. Nauczyłam się już, że najlepsze dusze są zawsze pełne szczęścia i miłosnej słodyczy. Zważ, że nie chodzi mi o aromat. Nie wyobrażasz sobie, kochanie, jak cudownie mi to poprawia nastrój. Ach, jestem tak... młoda i tak pełna życia, choć mija rok za rokiem!

Powiedziała, że teraz wychodzi na chwilę, by się przygotować. Przez ten czas mogę się pocieszać myślą, że choć właściwie mnie nie kochała, to udawanie miłości wobec mnie przyszło jej łatwiej niż wobec wszystkich dziewcząt, które miała do tej pory.

Odwróciła się, a ja poczułam aromat drzewa sandałowego i pojawiła się moja matka, naga jak Basana i jeszcze piękniejsza od niej. Poruszała się niby pantera, a oczy lśniły jej ogniście. Miała ze sobą jedynie zaostrzoną wierzbową witkę.

Basana krzyknęła i skoczyła jej na spotkanie. Z palców u rąk i nóg wyrosły jej nagle wielkie pazury, a zęby zmieniły się w długie kły, którymi kłapała, chcąc wgryźć się matce w gardło. Zanim jednak jej dopadła, matka dźgnęła ją wierzbową witką, która wbiła się bogince w samo serce. Trysnęła krew i Basana upadła nieżywa na podłogę.

Matka nawet nie spojrzała, lecz podeszła i wzięła mnie w ramiona.

- Przyszłam cię zabrać do domu, Rali - powiedziała tylko.

Chciałam wstać, ale pchnęła mnie z powrotem na łóżko i zaśpiewała pieśń, której słowa ukryły się gdzieś w mej pamięci... są tam, lecz nie potrafię ich przywołać. Gładziła moje czoło tak długo, aż zamknęłam oczy i zasnąłam.

Obudził mnie głos Veraena. Otworzyłam powieki. Okazało się, że leżę obok niego pod dębem. Nic się nie zmieniło. To samo ciepło, letnie popołudnie.

Aromaty i dźwięki. Powiedział coś zabawnego i roześmiałam się. Połaskotał mnie i oddałam mu pięknym za nadobne.

Usłyszałam, że matka mnie woła. Veraen odskoczył ode mnie jak oparzony i zaczerwienił się. Wstałam, odpowiedziałam na jej wołanie i oto nadeszła z drugiej strony wzgórza. Była odziana w błękitną, krótką tunikę o prostym kroju i błękitne spodnie wsunięte w buty. Gdy się do nas zbliżyła, poczułam sandałowy aromat jej perfum.

Spojrzała na mnie czule i powiedziała: - Przyszłam cię zabrać do domu, Rali.

I tak właśnie zrobiła.

Powiedziałam Gamelanowi, że nie wiem, czy wydarzyło się to na jawie, czy we śnie. Sądziłam

raczej, że był to sen, skrybo... i ty też pewnie tak myślisz.

Na początku tej opowieści pewnie pomyślałeś sobie, że zwariowałam, bo wedle tego, co wiem, mój kuzyn Veraen Antero ma się nieźle, założył szczęśliwą rodzinę i nie narzeka na brak grosza. Teraz pewnie powiesz, że to był sen. Sen młodej, nie znającej życia dziewczyny.

Czasem jednak, opowiadałam dalej Gamelanowi, wcale nie wydawało mi się, że był to sen. Uważałam, że naprawdę porwała mnie driada, bo tak określała siebie Basana, i że matka mnie uratowała. Jeszcze jedno: od tamtej pory matka bardzo się zmieniła. Słabła z dnia na dzień, aż wreszcie umarła równo w rok od tamtego zdarzenia. Gdy dopadnie mnie chandra, zastanawiam się nieraz, czy zawarła wtedy ugodę z demonem i oddała za mnie życie.

- I właśnie dlatego - powiedziałałam Gamelanowi - po pierwsze obawiam się twojej propozycji, a po drugie, nigdy jej nie przyjmę.

- Teraz rozumiem już, dlaczego, Rali - odparł. - Żal mi ciebie, bardzo żal.

Czy jednak opowiedziałaś już wszystko? Czy matka naprawdę cię opuściła? Czy czasami do ciebie nie przychodzi? Czy duch jej nie przebywa w pobliżu dziecka?

Nic nie odpowiedziałam... Gamelanowi to wystarczyło.

- Nie ma to teraz znaczenia. Opowiedziałaś mi o swoich powodach i o swoich lękach. Ale nie zmienia to naszej sytuacji. Jeśli potrwa ona dłużej, król Keehat wreszcie nas dopadnie i pozabija. We dwójkę mamy dość sił, by go zatrzymać. Możemy zatrzymać go teraz, tak by tylko jego krew została przelana.

Ponownie podał mi piórko. Tym razem je przyjąłam.

Uśmiechnął się.

- Przyciągnij bliżej moją skrzynię - powiedział. - Będziemy potrzebować specjalnego olejku i paru innych rzeczy.

Przysunęłam skrzynię, znalazłam właściwy flakon i jakieś nieprzyjemnie pachnące sproszkowane substancje, które uznał za niezbędne. Kazał mi postępować według swoich wskazówek. Wyobraziłam sobie, że idę w bój; odsunęłam od siebie wszelkie emocje i uczucia, bez reszty koncentrując się na jego słowach.

Najpierw musiałam wyrysować kredą pentagram naokoło piecyka, rozsypałam wokół proszek i spryskałam go olejkami. Buchnął kłęb fioletowego dymu i wyskoczył z niego demon: niewielki stwór o zielonej gładkiej skórze, twarzy podobnej do zębatej ropuchy i ludzkich, choć szkaradnie chudych kończynach, zakończonych jednak zwierzęcymi pazurami i szponami. Syczał na mnie i kłapał zębami. W oszołomieniu podałam mu piórko. Wyrwał mi je z palców i wskoczył z powrotem do piecyka.

Gamelan uprzedził mnie, co się będzie działo, ale mimo to z trudem zachowałam spokój, gdy płomienie buchnęły w górę i na boki. Zamknęłam oczy, gdy ogarnęły moją twarz i całe ciało - nie poczułam jednak żaru, lecz chłód na skórze. Otworzyłam powieki i widziałam, jak lodowaty płomień liże mnie żarłocznie. Wokoło wirowała feeria kolorów, a pode mną - u podnóża piecyka - kłębił się dym. Dmuchałam i rozwiął się niepostrzeżenie.

Spoglądałam z wielkiej wysokości w dół na flotę wojennych czółen, ukrytych częściowo we mgle. Dmuchałam więc ponownie i gęsty tuman odpłynął w szarą morską dal.

W jednej z łodzi wylegiwał się król Keehat, karmiony łakociami przez jakiegoś szczupłego młodzieńca, który nie miał na sobie nawet przepaski biodrowej. Chłopiec miał kobiece piersi i narządy intymne mężczyzny.

Patrzyłam, jak wyjmuje z naczynia jakiś kęs i wkłada Keehatowi do ust. Król zjadł przysmak z ręki hermafrodyty i starannie oblizwał jego palce. Młodzieniec zachichotał i znów włożył dłoń do naczynia. Usłyszałam z dala nagłą głos Gamelana.

- Keehacie! - zawołałam. Głos mój odbijał się echem, jakbym była w przestronnej grocie.

Król podskoczył w górę, odepchnął młodzieńca i rozejrzał się, szukając źródła głosu.

- Kto przemawia do króla? - huknął.

- Keehacie! - zawołałam znowu.

Głowa wodza obracała się gorączkowo na wszystkie strony; lustrował płonącymi oczyma twarze wszystkich swych wojowników po kolei.

- Kto do mnie mówi? - zawołał gniewnie.

Jego ludzie byli przerażeni; wyraźnie uważali, że zwariował.

- Keehacie! - krzyknęłam raz jeszcze.

Tym razem skoczył do góry; w tym samym momencie młodzieniec zmienił się w tę obsceniczną laskę, z którą król się nie rozstawał. Chwycił ją teraz i zaczął wygrażać swoim ludziom.

- Odpowiadajcie - krzyczał - albo dosięgnie was mój gniew!

Byli zbyt przerażeni, by się odezwać. Keehat uderzył laską najbliższego wojownika. Ten krzyknął i cofnął się, skurczony, jakby w obawie oparzenia.

- To nie ja, panie! - jęknął.

- A więc który z was? - krzyczał król. - Wiem, że wszyscy rozmawiacie o mnie za plecami! Uważacie, że zwariowałem, ścigając obcych tak długo!

Wojownicy milczeli.

Keehat uderzył laską następnego. Nieszczęśnik zawył z bólu, podobnie jak poprzednik, i błagał, by król uwierzył i go oszczędził. Ale Keehat obalił go kopniakiem na dno łodzi i wbił mu laskę w brzuch. Wojownik wył i skręcał się z bólu, gdy ognisty kij palił mu ciało.

- Niewolnik jako pan - zaintonowałam, a słowa potoczyły się niby fala.

Keehat obrócił się na pięcie; spostrzegł, że głos dochodzi z nieba. Przez chwilę wydawało mu się, że mnie spostrzegł.

Pogroził niebiosom laską.

- Jestem Keehat! - ryknął. - Kto waży się rozgniewać króla?

Z czubka laski wytrysnęła błyskawica. Chciałam się uchylić, gdy uderzyła tuż obok. Poczułam uspokajający dotyk Gamelana na ramieniu. Rzeczywiście nic mi się nie stało.

- Pan jako niewolnik - deklamowałam jedną magiczną formułę po drugiej.

Poczułam wstrząs, gdy spłynęła na mnie falą potęga zaklęcia. Tym razem jednak ta moc napelniła mnie obrzydzeniem i sprawiła, że zakręciło mi się w głowie, jakbym miała gorączkę. Nie odważyłam się jednak przerwać zaklęcia; Gamelan ostrzegł mnie, że to bardzo niebezpieczne. Brnęłam dalej:

- Swój do swego... Nienawiść do nienawiści. Niewolniku, znajdź pana! Panie, znajdź niewolnika!

W pobliżu czołna wzburzyła się woda. Keehat krzyknął ze strachu, gdy z odmetów wyskoczył mój demon o twarzy ropuchy. Król zamachnął się laską, a demon zaskrzeczał ze złości, gdy ognisty kij przypalił mu ciało. Tamten roześmiał się i uderzył znowu. Tym razem jednak demon zniknął, uchylając się przed ciosem.

Keehat kręcił się niespokojnie, wypatrując następnego ataku. Jego ludzie nie śmieli drgnąć ani wykrztusić choć słowa.

Nagle król krzyknął ze strachu, bo laska poruszyła mu się w dłoni.

Następny krzyk - i oto główka laski zmieniła się w zębaty pysk demona. Władca jęknął z bólu, bo oparzyła go w rękę. Chciał ją odrzucić.

Laska zmieniła się w jego kochanka. I znów krzyknął ze strachu, bo zamiast głowy ludzkiej, na karku hermafrodyty tkwił łeb demona.

- Panie mój - zasyczał demon, parodiując namiętność - pójdz w me objęcia!

A Keehat znowu krzyknął, gdy jego kochanek i niewolnik skoczył mu do gardła i wbił w nie zęby.

Ani jeden wojownik nie ruszył na pomoc, gdy młodzieniec zarzucił ręce na szyję królowi i porwał go ze sobą za burtę.

Patrzyli w milczeniu na wzburzoną wodę. Po chwili fale się uspokoiły i morze wokół czołna przybrało barwę krwi.

Jeden z mężczyzn powiedział: - Dobrze mu tak.

- Zawołajmy resztę, przyjaciele. W domu pewnie już się nas nie mogą doczekać - dodał ktoś inny.

Poczułam skurcz, obraz się rozmazał. Pamiętam tylko, że potem znalazłam się w kabinie Gamelana. Wymiotowałam do miski, a on gładził mnie po głowie i szeptał kojące słowa.

Gdy skończyłam, wymacał obok siebie ręcznik nasączony naparem z aromatycznych ziół. Wytarłam twarz.

- Znakomicie, jak na pierwszą próbę - pochwalił mnie z wielkim zadowoleniem.

Nie odpowiedziałam. Nie zaprotestowałam. Nie byłam też szczęśliwa, bo wiedziałam, że oto Gamelan nieodwołalnie uczynił ze mnie maga.

Wyobrażam sobie, że gdyby jedna z moich sióstr została dziwką, pewnie czułaby się podobnie.

Następnego dnia kazałam rozesłać kilkanaście szalup na wszystkie strony świata. Po wojennych czółnach zaginął ślad.

Nikt jednak nie wiwatował. Wszyscy bowiem wiedzieliśmy, że kompletnie zagubiliśmy się na obcych morzach.

Rozdział Dziesiąty

PRZEMIERZAMY NIEZNANE MORZA

Poczucie klęski uderzyło w nas jak młot, ciśnięty przez demona sztormu.

Odebrało nam zdolność czucia i sparaliżowało myśli. Wątpię, czy wśród żywych znajdzie się choć kilka osób, które w całej pełni poznały, co to znaczy się zgubić, albo które chociaż wiedzą, co to za rozpaczliwe uczucie. Dla większości z nas zgubić się, to stanąć w niewielkim kręgu Nieznanego, otoczonego olbrzymim obszarem tego, co Znane. Z pomocą cierpliwości i szczęścia zawsze można odnaleźć drogę powrotną. Mój brat spytał niegdyś Janosza Szarego Płaszczka, któremu nieobce było żadne doświadczenie podróżnika, czy kiedyś w życiu się zgubił. Janosz po chwili zastanowienia odparł: - Nie. Ale przyznaję, że kiedyś, przez miesiąc albo dwa, czułem się zbity z tropu.

My doznaliśmy czegoś gorszego, co zachwiało naszymi umysłami. Krąg, przez który wiodła nasza droga, był olbrzymią przestrzenią Nieznanego i niczym więcej. To prawda, większość morskich stworzeń była nam znana.

Woda w oceanie miała słonawy smak. Wiatry wiały jak zawsze. Słońce wschodziło i zachodziło w niezmiennym rytmie i miejscu. Nawet kilka gwiazd było nam znajomych, choć znajdowały się teraz w tak dziwnych miejscach na firmamencie, że żaden nawigator nie podjąłby się wyznaczyć według nich powrotnego kursu. Żadna z tych rzeczy jednak nie uspokoiła wzburzonych serc i umysłów, ani też nie tchnęła w nas choć cienia nadziei.

Przez pewien czas wszyscy tkwiliśmy w owym koszmarze - choć to zbyt słabe słowo, by oddać naszą sytuację. Nawet w koszmarach można czerpać słabą pociechę z tego, że przerażający krajobraz jest przynajmniej znajomy. Nie szukaliśmy towarzyszy podróży ani też o nich nie myśleliśmy... wpatrywaliśmy się tylko w puste morze, wiedząc, że żadna z fal przebiegających pod dziobem statku na pewno nigdy nie uderzy o znajomy brzeg.

Paraliżujący strach rozprzestrzenił się na całą flotyllę jak morowa zaraza.

Na początku marynarze, a nawet moje gwardzistki - wszyscy byli niespokojni; ledwie słuchali rozkazów swoich równie zdemoralizowanych przełożonych, a obowiązki wykonywali niechętnie, nie wkładając w pracę serca. Wzrosła liczba wypadków i skaleczeń, spowodowanych nieuwagą przy pracy. Bez przerwy wybuchały sprzeczki z nieistotnych powodów, większość przyjaźni weszła w okres kryzysowy, a kochanki rozstawały się, nie szukając innych związków.

I to właśnie Gamelan, nasz biedny, niewidomy mag, pierwszy otrząsnął się z przerażenia.

Pewnego dnia o zmierzchu stałyśmy razem z Corais i Polillo oparte o reling. Nie cieszył nas widowiskowy zachód słońca; nawet go nie dostrzegałyśmy. Ja zatonełam w ponurych myślach o Tries i o domu, a moje towarzyszki zajęły się rozmową na niewesołe tematy.

- Co się z nami stanie, gdy pomrzemy? - pytała grobowym głosem Polillo.

- Nasze kości nie poznają nawet ziemi, w której spoczną. A nasze duchy? Czy będą równie zagubione, jak my?

Corais potrząsnęła głową, a jej oczy, zwykle płonące jak ogień, były matowe niby stal.

- Nie wiem, ale słyszałam, że jeśli dusza odejdzie ze świata w takim miejscu, jak to, nigdy nie zazna spokoju.

Z tyłu rozległ się schrypnięty głos Gamelana, który znenacka zapytał: - A kto ci to powiedział?

Odwróciłyśmy się zdziwione, że udało mu się nas zaskoczyć. Wskazał laską na Corais: - Cóż to za dureń objaśniał ci upodobania duchów i dusz?

Moja zastępczyni wymamrotała coś niewyraźnie.

- Mów głośniej, kobieto - zdenerwował się Gamelan. - jak się nazywa ten gębacz?

- Mistrz Klisura, jeśli koniecznie chcesz to wiedzieć, panie - odparła gniewnie, odzyskując nieco energii. - Jego ciotka była praczką u pewnej wiedźmy. Właściwie to ona go wychowała... ta ciotka, a nie wiedźma, naturalnie. Przez to dużo wie o takich sprawach.

Gamelan był widocznie zde gustowany.

- Praczka wiedzmy, mówisz? Znajoma znajomej znajomej? - gniewnie zastukał laską w pokład. - Niezmiennie zdumiewa mnie fakt, że gdy idzie o świat duchów, ludzie, którzy w zwykłych warunkach są twardzi jak skała, nagle zaczynają dawać wiarę wszelkim bzdurom. Jeśli informacja pochodzi od pomyłonej baby z brodawkami na nosie, to z pewnością musi być prawdziwa, co? - uśmiechnął się krzywo. - A jeśli mój ojciec sprzedawał ryby kupcowi, u którego zaopatrywał się zbrojomistrz, to znaczy, że dzięki temu ja się znam na mieczach i tarczach? Powierzyłybyście mi swoją broń? Zaryzykowałybyście życie?

Twarz Corais przybrała odcień włosów mego brata. Niełatwo ją zbić z tropu, więc przykro mi było widzieć ją tak zakłopotaną.

- Zostaw ją w spokoju, przyjacielu - powiedziałam. - Corais nie miała niczego złego na myśli. Po prostu rozmawiała.

Gamelan wcale się nie uspokoił.

- Takie rozmowy powtarzają się na tym statku od pewnego czasu - skrzywił się. - Rozmowy i żałosne skamlanie na temat losu, który nas nieuchronnie spotka. Szkoda, że te dzikusy nas nie złapały. Przynajmniej nie musiałbym wysłuchiwać ciągłych narzekań.

Polillo również poczuwała się do winy. Przygarbiła się tak, że zmaląła niemal o głowę. Pośpieszyłam im na ratunek.

- Może byście poszły wyczyścić broje albo naostrzyć miecze?

Pochwyciły tę wymówkę gracko, jak kuchenne myszy kawałek przejrzałego sera, wybelkotały jakieś usprawiedliwienie i umknęły. Odwróciłam się do maga, pewna, że będę musiała samotnie stawić

czoła jego furii.

Ku memu zdziwieniu spytał łagodnie: - Co mamy z tym zrobić, Rali?

Westchnęłam.

- A co można zrobić? Nie jestem nawigatorem, ani nawet marynarzem - dzięki łaskawej Maranonii, która ma dość rozsądku, by pozostawić władanie morzami bogom lubującym się w wilgoci, którzy wolą śmierdzące ryby od smakowitej, choć nieco osmalonej zadniej cielęcej ćwiartki.

W odpowiedzi na moje dowcipkowanie Gamelan tylko niecierpliwie zastukał laską w pokład.

- Jesteś przywódczynią tej wyprawy, kobieto - przypomniał. - Więc zachowuj się odpowiednio.

Urażona, odcięłam się.

- A jak mam niby przewodzić ludziom, kiedy nie wiem, dokąd zmierzamy? Nawet admirał i jego oficerowie przyznają, że tkwimy w bagnie, a ja mam nas wszystkich z niego wyciągnąć? W jaki sposób?

Roześmiał się: - To proste. Zaczynij kłamać! Wszyscy dobrzy przywódcy mają na podorędziu solidny zapas kłamstw. Czas, żebyś i ty wybrała coś z tego zapasu dla swoich ludzi. To prawda, mamy wiele problemów. Ale, moim zdaniem, większość z nich może poczekać, aż rozwiążemy dwa najważniejsze. A z tych dwóch mniej ważne jest znalezienie powrotnej drogi do domu.

- Gdybyśmy ją znali - warknęłam - nie prowadzilibyśmy teraz tej rozmowy.

- Naturalnie. Ale jeśli wszyscy stracimy wiarę w odnalezienie drogi do domu, wtedy rzeczywiście na

nią nie natrafimy, bo nikt nie będzie jej szukał.

Będziemy skazani na mizerne życie wśród obcych, którzy jak do tej pory okazali się bardzo nieprzyjaźni. Zabiją nas albo sprzedadzą w niewolę, a ciebie i twoje gwardzistki uczynią siłą swoimi konkubinami lub żonami.

- Nie sposób temu zaprzeczyć - odparłam. - Tylko jakie kłamstwo mam wymyślić, by dodać im odwagi? A zresztą dlaczego mieliby w nie uwierzyć?

Jestem żołnierzem, a nie cudotwórczynią.

Gamelan nie odezwał się ani słowem, tylko bezustannie uderzał w pokład tą swoją przeklętą laską.

- Nic z tego, magu - jęknęłam. - Nie zrobisz ze mnie kogoś, kim nie jestem. Tylko nie mów, że już i tak dowiodłam swego talentu. I nie udawaj mi tu dobrodusznego dziadunia, w nadziei, że zacznę wypluwać z siebie jedną ponurą tajemnicę za drugą, jakbym upiła się w sztok. Mam tego dosyć, słyszysz?

Nad powierzchnię wody wyskoczyła latająca ryba i pomknęła daleko przed siebie, odbijając się od grzbietów fal. Tam, gdzie wyprysnęła z wody, zamajaczył czarny kształt jej przeciwnika. Gamelan spytał, co się tam dzieje, a ja opowiedziałam mu o rybie.

- Oto stworzenie, które potrafi zaprząć swój lęk do działania. Dzięki niemu ma skrzydła.

Odwrócił się i ruszył przed siebie, postukując laską po pokładzie.

- Dobrze - zawołałam za nim. - Przyznaję ci rację. Zrobię co zechcesz, choćby po to, by nie słuchać ciągłych wymówek. Jaką sztuczkę sobie życzysz tym razem?

Gamelan zatrzymał się i spojrzał na mnie.

- Nie chodzi o jedną czy dwie sztuczki, moja miła Rali. Nie nakarmimy całej flotylii połowem z jednej wędki. Musisz zarzucić całą sieć.

Tego dnia naprawdę zaczęłam uczyć się magii, bo poznałam wreszcie jej prawdziwą istotę; to wspaniała rozrywka i nic poza tym. Powiadam wam, niewielka jest różnica między największym Mistrzem Magii i najmarniejszym jarmarcznym czarownikiem. Nic, tylko lustra i zasłona dymna, skrybo. Nie patrz na mnie z takim niedowierzaniem. sam zobaczysz, że Gamelan pierwszy przyznałby mi rację.

Stary mag miał na myśli huczną ceremonię, ze wszelkimi ozdobnikami i atrakcjami, na jakie potrafiłaby się zdobyć osoba o mojej ograniczonej wiedzy.

Należało ją jednakże zorganizować w precyzyjnie wybranym momencie, kiedy drobny przebłysk szczęścia wyda się niesłychanym zrzędzeniem losu.

Zaczełam od codziennych, nużących lekcji magii. Przede wszystkim nauczyłam się, że magia to ciężka praca. Po drugie, choć Gamelan upierał się, że mam wielki wrodzony dar, brakowało mi entuzjazmu. Obawiam się, że na początku bardzo narzekałam - tak, że Polillo i pozostałe moje towarzyszyki umykały na mój widok, gdzie pieprz rośnie, za każdym razem, gdy kończyłam lekcję.

- Chcę cię po prostu nauczyć ile się da w jak najkrótszym czasie - powiedział Gamelan pewnego dnia.
- Będziemy zatem musieli przeskoczyć cały etap uczenia się na pamięć reguł i zaklęć, przez który przechodzą zwykli adepci.

Prawdopodobnie w niczym to nie przeszkodzi, bo po odkryciach, jakich dokonał Janos Szary Płaszcz, wszystkie te formuły staną się w najlepszym razie staromodne, a możliwe, że niepotrzebne, a nawet szkodliwe.

Siedzieliśmy w zagraconej kajucie maga, opracowując całą ceremonię w szczegółach. Na życzenie Gamelana wywołałam jego kuchennego demona i zasadziłam go do pracy: ucierał różne substancje na proszek, zszył magiczne płótno i wytwarzał lusterka zgodnie z przepisem, jaki musiałam wyszukać w grubym, starym tomisku w pogniecionych czarnych okładkach. Księga była ciepła w dotyku jak żywe stworzenie. Naturalnie była magiczna: po jej otwarciu widać było tylko kalejdoskop barw na stronach i litery, albo nawet całe zwroty, które zamiast łączyć się w całość, skakały po papierze i uciekały na inne strony, gdy tylko przewróciło się kartkę. Układały się w teksty jedynie gdy wyrzekło się jakieś słowo, sugerujące, czego szuka czytający. Na przykład gdy powiedziałam „demon”, najpierw strony zaczynały trzepotać jak szalone, przekładając się same w jedną, potem w drugą stronę, a następnie maleńkie zielone stworzonka, dzierżące w dłoniach coś w rodzaju miniaturowych światełek, podskakiwały niecierpliwie, przepychając się gorączkowo, by zwrócić na siebie uwagę. - Spójrz tu, szlachetna pani: oto sposoby wzbudzania miłosnego żaru u kochanków - piszczał jeden stworek. A inny skrzeczał: - Nasza specjalność to rzucanie klątw na wrogów, panienko. Jeszcze inny zaś: - Polecamy włamanie do domu ukochanego, pełna gwarancja.

Gdy już się podjęło decyzję co do głównej kategorii, wybrany stworek groźnie warczał na inne, by je przegonić, i wpęłzał na żadaną stronę. Następnie unosił do góry światełki i widać było, jak po całej stronie biegają szaleńczo litery, jak mrówki, gdy w pobliżu błyska się na pogodę. Na skrzekliwe polecenie stworka litery układały się w sensowne zdania, a nawet same odczytywały się na głos, jeśli wydało się im odpowiednie polecenie.

Gdy Gamelan przypomniał mi o Janoszu, po raz dziesiąty próbowałam, kierując się instrukcjami z książki, wyczarować wstążkę z powietrza. Patrz, skrybo, to się robi w ten sposób: najpierw krzyżuję palce, o tak. Potem następuje gest, jakby się wiązało supeł. Potem składam palce razem i... O widzisz.

Wstążka. Czerwoniutka. Proszę, jest jej tu więcej. Weź za jeden koniec i pociągnij. O, przepraszam, nie możesz jednocześnie ciągnąć i pisać. Ale widzisz, jakie to z pozoru proste. Jest tej wstążki ładnych parę kilometrów gdzieś tam, w innym wymiarze, więc można ją wyciągać i wyciągać, zanim się skończy. Ale nawet tak prosta sztuczka wcale nie jest łatwa dla początkującej.

Płatały mi się więc palce, wyciągałam tylko zasupłany sznurek i to w dodatku najtańszego gatunku. Ponieważ zadana praca mi nie wychodziła, chwytam się starego jak świat studenckiego sposobu: postanowiłam poruszyć temat drogi sercu wykładowcy, żeby mieć spokój co najmniej przez godzinę, gdy będzie monologował.

- Dobrze wiesz, że nie należę do sympatyków Janosza Starego Płaszcz - powiedziałam. - W końcu przecież zdradził mego rodzzonego brata i mało brakowało, a byłby go zabił. Ale Amalryk twierdzi, że magiczne sekrety, jakie nam przekazał, przechylają szalę na jego korzyść i że cała Orissa ma obowiązek wyśpiewywać hymny pochwalne w rocznicę jego śmierci.

- Takie są bez wątpienia poglądy moich braci magów - odparł mag tonem pełnym goryczy.

Zaciekawił mnie. Zapomniałam, że pytanie moje było jedynie kontrowersyjną sztuczką, by uszczknąć nieco czasu z nudnej lekcji.

- A ty jesteś innego zdania? - spytałam.

- Ależ skądże - odparł. - Szary Płaszcz szczycił się najpotężniejszym talentem magicznym w historii. Myślę, że jego osiągnięcia można porównać z człowiekiem, który po raz pierwszy rozniecił ogień i dał go swym przyjaciołom.

Janos nauczył nas, że magia rządzi się swoimi prawami. Mając taką wiedzę, możemy osiągnąć niemal wszystko, jeśli poświęcimy badaniom dość czasu i zapału.

- Z twoich ust padają wielkie pochwały, przyjacielu - powiedziałam. - Mam jednak wrażenie, że nie do końca w nie wierzysz.

- Ależ wierzę - odparł. - Jeśli jesteś innego zdania, to się mylisz.

Milczałam.

W końcu westchnął.

- Trudno. Przyznaję, że w chwilach słabości... - szczególnie odkąd utraciłem moc, nienawidzę Janosza za ten jego talent. Ale to tylko zazdrość.

Gdy byłem młody, gdy odrzuciłem wszystkie plany na przyszłość i kobietę, którą kochałem, oddałem spokój serca za ambicję. Postanowiłem zostać największym Mistrzem Magii w Orissie.

- I zostałeś nim - odpowiedziałam.

- Tak jest, jeśli nie brać pod uwagę Janosza. Różnica między nami jest tak ogromna jak ten wodny przestwór pod nami. W porównaniu z nim jestem jak niemowlę.

- Żartujesz sobie. wszyscy wiemy, jaki jesteś potężny. Bez ciebie nigdy nie pokonalibyśmy Archontów.

- Nawet jeśli to prawda, wcale mnie nie pociesza - powiedział. - Widzisz, zanim pojawił się Szary Płaszcz, uprawialiśmy magię według odwiecznych zasad, które biorą początek w czasach, gdy nawet ogień był nowością. Udanych zaklęć uczono się na pamięć i przekazywano młodzieży. Gdy pojawiło się pismo, zebraliśmy je w księgach, takich jak ta, która leży przed tobą. Nikomu nie przyszło do głowy, by się zastanawiać, dlaczego dane zaklęcie jest skuteczne. Wierzyliśmy, że nasze czary spełniają się z woli bogów istniejących w świecie duchów i to nam wystarczało. Gdzie nie ma pytań, tam nie ma rozwoju wiedzy. Teraz o tym wiem, ale przedtem nie wiedziałem. W tamtych czasach można było tylko doskonalić wykonanie starych sztuczek albo tworzyć ich bardziej wyrafinowane wersje. Uważaliśmy, że moc magiczna jest wrodzona i nie można jej rozwijać. A ja miałem jej wiele - przynajmniej w porównaniu z moimi współczesnymi.

- A magowie z Irayas? - spytałam. - Wszyscy wiemy, że magia w Zamorskich Królestwach jest o wiele bardziej zaawansowana niż u nas.

Poczynili ogromne postępy i wcale nie potrzebowali do tego reguł Janosza Szarego Płaszcza.

Gamelan prychnął pogardliwie: - Tylko dlatego są tacy mądrzy, że przypadkiem natrafili na

pergaminy i księgi starożytnych. Nie zawdzięczają swych sztuczek intelektowi, lecz odnalezieniu zapomnianej wiedzy.

- Moim zdaniem trudno nazwać przemianę metali nieszlachetnych w złoto sztuką - odparłam. - A oni potrafią tego dokonać.

Mag pociągnął kosmyk brody.

- Z przemyśleń twojego brata wynika, że Janosz Szary Płaszcz uważał taką przemianę za równie prostą sztukę jak ta ze wstążką, która ci przychodzi z takim trudem. Jeśli znasz zasadę, według której działa jedno, bez trudu osiągniesz drugie. Janosz twierdził, że magią i właściwie wszystkim na świecie rządzi ta sama siła natury, a nie bogowie... jego zdaniem, ciepło idące od ognia, strumień wody, substancja, z której składa się złoto - wszystko to jest zrobione z cząsteczek. Dlatego zakłęcie przeciw brodawkom, wezwanie deszczu lub przepędzenie go, zrobienie złota, wykrzesanie ognia - to jedno i to samo.

- Nie rozumiem - odparłam.

- Z czasem zrozumiesz. Im więcej cię nauczę, tym lepiej będziesz to dostrzegać.

- Dlaczego wobec tego jesteś zazdrosny? Wydaje mi się, że Stary Płaszcz uwolnił was wszystkich od rutyny i wskazał drogę do tworzenia wielkich rzeczy, o których bez tej wolności nawet nie można było marzyć.

- To prawda - odpowiedział Gamelan. - A teraz popracuj wyobraźnią.

Pomyśl o magu, który w porywie młodzieńczego buntu przez chwilę dostrzegał to, co Janosz Szary Płaszcz widział zupełnie jasno. Ale pomyślał sobie wtedy, że nachodzą go głupie myśli. Niemożliwe, by wiedział więcej niż jego mistrzowie, nauczyciele i starożytni Mistrzowie Magii, którzy przekazywali swą wiedzę w księgach.

- Chcesz powiedzieć, że byłeś na tropie tajemnic, które odkrył Janosz Szary Płaszcz? - spytałam.

- Nie. Nie jestem aż tak zadufany. Geniusz taki jak Janosz zdarza się raz na całe stulecia, jeśli w ogóle się pojawia. A jednak prześladowuje mnie myśl, że zmarnowałem szansę.

- Ale przecież kolejne tajemnice czekają na odkrywców - pocieszyłam go.

- Nawet fanatycy Szarego Płaszczka twierdzą, że stanął on zaledwie na początku drogi.

- To prawda, i tym bardziej jestem zazdrosny. Wszystkie następne odkrycia będą dziełem młodych mężczyzn i kobiet, nie obciążonych latami błędnego myślenia. Jestem już za stary, Rali. Teraz w dodatku zniewidziałem.

Co gorsza, dla takiego starca jak ja odkrycia Janosa są czymś przerażającym.

Jego Dar, choć nieświadomie, zniszczył moich bogów. Taka bowiem jest esencja jego nauki. Bogowie, jeśli w ogóle istnieją, podlegają tym samym prawom co najzwyklejszy żebrak u drzwi najbardziej skąpego oberżysty w tym kraju.

To było wstrząsające.

- Dlaczego mówisz „jeśli istnieją”? - spytałam. - Czyżbyś zaczął w nich wątpić?

Wzruszył ramionami.

- Zbyt wiele razy objawiali się w dziejach naszego kraju, by w nich wątpić. W dodatku spotykali ich

nie tylko durnie i kłamcy, lecz także ludzie, w których słowo nie sposób wątpić. Jednakże, jeśli przypuszczenia Szarego Płaszczka okażą się prawdziwe, nie są to bogowie... w każdym razie nie tacy, jak przywykliśmy o nich myśleć. Nie potrzebują naszego szacunku i czci.

Rozejrzałam się dziko w poszukiwaniu ukrycia przed piorunem z nieba - trochę tak, jak ty w tej chwili, skrybo. Ale nic się nie stało. Nakazałam sobie spokój.

-Jeśli nie są bogami - spytałam - to po co istniejemy, na... jakąkolwiek istotę, którą chciałam właśnie wezwać. Według czyjego planu żyjemy? Czyja wola nas prowadzi?

A mag odparł: - Według tego, co twierdzi Janosz, nie ma celu istnienia.

Kierujemy się jedynie własną wolą. I nikt, z wyjątkiem nas samych, nie planuje naszego życia.

- A dobro i zło? - wykrztusiłam.

- Bez różnicy - odparł.

- Więc po co to robimy? Można przecież ze wszystkiego zrezygnować.

- A chcesz zrezygnować? Zresztą, zgodnie z nauką Szarego Płaszczka, nie ma to żadnego znaczenia.

A jednak to, co robiliśmy, miało znaczenie dla moich wojowniczek. Miało znaczenie nawet dla wykrętnego Cholla Yi i jego pirackich załóg. A co najważniejsze, miało znaczenie i dla mnie.

Potrząsnęłam głową. Przypomniałam sobie, że mag jest ociemniały, i dodałam na głos: - Nie chcę. I niech demony porwą Janosza Starego Płaszczka.

Gamelan roześmiał się gorzko: - Może i tak się stało... jeśli się mylił.

Zastukał laską w pokład.

- Wracajmy do pracy. Skoncentruj się wreszcie porządnie, kobieto.

Gdybyś na ćwiczeniach z mieczem tak się leniła jak z tą nudną wstążką, już dawno ktoś by cię posiekał na plasterki!

Przygotowania zajęły nam kilka tygodni. Mimo tego oboje żalowaliśmy, że nie mamy więcej czasu. Niestety, nastroje były tak minorowe, że jeszcze kilka dni i żadne nasze starania nie zdołałyby podnieść ludzi na duchu. Gamelan co rano kazał mi ćwiczyć rzucanie kości. Opisywałam wynik, a on tłumaczył, czy przepowiednia jest pomyślna, czy nie. Przeważnie wróżby były mało konkretne i nakazywały oczekiwanie. Cały ten ceremoniał wydawał mi się nieco poniżający.

- Tobie to dobrze - mówiłam Gamelanowi. - Jesteś Mistrzem Magii.

Nawet wyglądasz na takiego. Godna postura, siwa broda, uosobienie powagi i mądrości. Nikt nie pomyśli, że zgłupiałeś, bo rzucasz na pokład jakieś stare, śmierdzące gnaty, potem klękasz nad tym obrzydlistwem, przyglądasz im się, coś mamroczesz i czochrasz sobie brodę. Ale ja wyglądam... jak ja, do cholery!

Niezbyt mądrze, z pewnością nie nadmiernie szlachetnie, a poza tym mam włosy jeszcze tylko w jednym miejscu, wiem, bo sprawdzałam, i w dodatku tamta broda jest zaiste bardzo krótka.

- Jeśli chcesz przez to powiedzieć, że kobiecie brak odpowiedniej charyzmy, by zostać Mistrzem Magii, to lepiej zrezygnujmy z tego wszystkiego - odparł.

- Tego nie powiedziałam!

- Ale ja to usłyszałem. Właściwie, jak się dobrze zastanowić, to wszystko, co robimy jest po prostu śmieszne. Sądzę, że wrogowie kobiet mają rację. Twoja płęć ma po prostu mniejsze możliwości umysłowe niż mężczyźni i muszę przyznać, że bez brody prawdopodobnie...

- Daj mi te przekłęte kości - warknęłam, wyrwałam mu je z dłoni i rzuciłam. - W dalszym ciągu uważam, że to bzdura. Po tym, co mi opowiedziałeś o magicznych regułach Janosza Szarego Płaszczka, całe to rzucanie nie ma sensu. Jak można przewidywać przyszłość, jeśli nie istnieje boski plan, który można by było podejrzeć? Właściwie cała ta zabawa to jedno wielkie...

- Co się stało, Rali? - spytał Gamelan.

- Te kości... - odparłam.

- Co się z nimi stało?

- Nie wiem, ale... po prostu wróżą dobrze. Nie potrafię powiedzieć dlaczego. Dobrze i już!

Opisałam mu układ. Roześmiał się.

- Masz rację! Idziemy w jasny świt, przyjaciółko! Zaiste, w jasny świt...

W ten sposób stałam się przepowiadaczką przyszłości. W jednej chwili nic nie umiałam, w następnej już byłam mędrcom.

W godzinę później usłyszeliśmy wołanie marynarza na oku: wypatrył wyspę. Był to jednak marny, skalisty spłachetek lądu. Niewielka kamienista plaża otaczała kilka sfatygowanych pagórków.

Jednakże widok ten rozbudził nadzieję i tęsknotę za domem. Szybko wysłaliśmy zwiad, który po powrocie doniósł, że wysepka jest nie zamieszкана, lecz być może znajdzie się na niej woda i coś do jedzenia. Zeszliśmy na brzeg, pozostawiając na statku jedynie szczątkową załogę.

Radosny nastrój nie potrwał jednak długo. Tuż po wylądowaniu otoczyła nas zimna, lepka mgła. Na lądzie prawie nie było zieleni, poza kilkoma rachitycznymi roślinami. Na nielicznych drzewach rosły tylko jakieś gorzkie orzechy. Żyłaste ptaszyska przedrzeźniały nas z gałęzi krzykami ostrymi jak wołanie sprzedawców ryb. Woda ledwie nadawała się do picia. Znaleźliśmy ją w kilku parujących sadzawkach wokół niewielkiego gejzera, przycupniętego u podnóża jednego z wzgórz. Z gejzera nieustannie bił słaby strumień wody, mniej więcej mojej wysokości.

Stałam ook, jedynie w towarzystwie mego niewidomego przyjaciela, i oddałam się ponurym myślom na temat magii, a szczególnie rzucania kośćmi.

Jeśli, przepowiadając szczęśliwy przypadek, miały na myśli lądowanie na tej wyspie, to odznaczały się wyjątkowo paskudnym charakterem. Nieopodal zebrała się spora grupa marynarzy. Napełniali naczynia cuchnącą wodą i kleli.

Nie miałam do nich o to pretensji, bo wypowiadali na głos również moje myśli, lecz zaniepokoiłam się spostrzegłszy, że obok stoi Cholla Yi i jeden z jego oficerów. Admirał bywał zwykle tak surowy, że żaden z jego podwładnych nie śmiałby narzekać w jego obecności.

Jeden z marynarzy - potężny chłop z kaczym, krostowatym nosem - zaczerpnął wody, napił się i wypluł ją, przeklinając.

- Kurewskie szczyny, przyjaciele - powiedział tak głośno, że i głuchy by usłyszał i rzucił naczynie na ziemię. - Teraz jeszcze chcą, żebyśmy pili kurewskie szczyny, chłopaki. Mało tego, trzeba to świństwo zabrać do ładowni, żebyśmy nie zapomnieli, że mają nas w dupie.

Jeden z jego towarzyszy, wysoki, chudy jak szkielet bandzior o podbródku ostrym jak sztylet, odparł równie głośno.

- Nic się nie zmieni, jak długo ta wielka kurwa będzie rozkazywać.

Odwrócił się i spojrzał wprost na mnie, podobnie jak jego kompani.

Cholla Yi i oficerowie odeszli nieco dalej, jakby nic nie słyszeli. Phocas coś powiedział, admirał się z tego roześmiał i wszyscy zniknęli w skalnym labiryncie. Marynarze wpatrywali się we mnie bezczelnie. Choć nie zamienili między sobą ani słowa, ręce same im powędrowały ku sztyletom, zatkniętym za pas.

Gamelan wyczuł niebezpieczeństwo; pociągnął mnie za rękaw, szepcząc: - Lepiej stąd chodźmy.

Wiedziałałam, że zanim ujdziemy dziesięć kroków, te wszystkie noże wbiją nam się w plecy. Byłam gotowa dobyć miecza i walczyć, nawet już przyjąłam pozycję, lecz nagle natrafiłam stopą na coś twardego. Spojrzałam w dół, chcąc kopnąć wszelkie przeszkody, mogące utrudniać pracę nóg w czasie pojedynku, i ujrzałam konchę wielkości dziecięcej głowy. Spłynął na mnie wielki spokój.

Krew w mych żyłach zawrzała, lecz nie z gorączki bitewnej, którą już wiele lat temu podporządkowałam swej woli, ale dzięki mocy, przypominającej swą siłą spiętrzone wody rzeki, przebijającej się przez skały.

Zamiast dobyć miecza, pochyliłam się, by podnieść muszlę i powiedziałam do Gamelana, ale tak głośno, by inni słyszeli: - Przyjacielu, mamy następnego małża. Założę się o sakiewkę złota przeciw miedziakowi, że mięso będzie tak samo słodkie, jak poprzedniego.

Gamelan zmarszczył brwi: - O co chodzi... - tu przerwał gwałtownie. - Aha - dodał. Wetknęłam mu muszlę w dłonie. On również podniósł głos: - Tak, to drugi z tego samego gatunku. Jestem pewien, że będzie nam smakować tak samo jak ten, którego znaleźliśmy niecałą godzinę temu - oświadczył i mlasnął. - Doskonały. Wiesz, ten smak przypomina mi egzotyczne owoce morza, które podawano w wielkie święta w Orissie. Naprawdę, potrawa godna bogów.

Spojrzałam na marynarzy tak, jakbym ich dopiero zauważyła, po czym natychmiast spoważniałam i

zawołałam ich rozkazującym tonem: - Hej, wy tam! Przestańcie się zajmować głupstwami i chodźcie tu natychmiast.

Tak ich zaskoczyłam, że zapomnieli o sztyletach. Przyzwałam ich do siebie niecierpliwym gestem: - Pośpieszcie się, ludzie. Głodna załoga na was czeka.

Postąpili naprzód sztywno, jak nakręcane zabawki, którymi bawią się dzieci w bogatych domach. Zanim jednak dotarli do mnie, Kaczy Nos i jego szkieletowaty kolega wysunęli się aroganckim krokiem na czoło grupy.

- Nazbierajcie ich - rozkazałam wskazując muszlę. - Możecie je na razie wkładać do pustych naczyń na wodę.

Wpatrywali się we mnie z otwartymi ustami.

- Dalej, do roboty. Uzgodnię wszystko z waszymi oficerami, więc nie musicie się ich obawiać.

Kaczy Nos zaśmiał się bezczelnie: - Po co komu garnek pełen starych skorup? - powiedział do swych kolegów. - Za chwilę każe nam ugotować rosół z kamieni.

Roześmieli się, ale w ich głosach czaiła się śmierć.

- Nie opowiadaj bzdur, człowieku - skarciłam go. - Są naprawdę doskonałe.

Nawet nie zdążył mrugnąć, a już wyrwałam mu nóż zza pasa i wbiłam go w skorupę, usilnie pragnąc, by było w niej coś żywego. Wyobraziłam sobie sadzawkę, pozostałą na plaży po przypływie, pełną pływających i pełzających stworzeń. Poczułam, że coś wewnątrz starało się uniknąć uderzenia klingi.

Wbiłam ją głębiej i wygarnęłam tłuste stworzenie, mięsiste, wijące się na nożu.

- Poczekaj chwilę, a sam zobaczysz - oświadczyłam.

Przyklękłam obok gejzera i zanurzyłam mięso w parującej wodzie.

Pomyślałam o ostro przyprawionej potrawce rybnej, jaką robiła matka i w umyśle moim siarkową wodę zastąpił smakowity sos, w którym gotowałam małża. Gdy po kilku sekundach wstałam i rzuciłam mięso na skalną półkę, przez myśl nie przemknęła mi nawet najmniejsza wątpliwość. Prędko pokroiłam je w kawałki. Pachniało smakowicie.

Nabiłam kawałek małża na ostrze noża i ugryzłam.

- Mmmm - westchnęłam, autentycznie zachwycona. - Zupełnie jak specjały z kuchni mojej matki.

Wcale nie kłamałam. Mięso rzeczywiście było znakomite. Podałam kolejny kęs Kaczemu Nosowi. - Spróbuj - powiedziałam.

Wziął nóż i grymas zniknął z jego twarzy. Pozostali stłoczyli się wokół niego.

- Jedz, Santh - namawiał go chudzielec. - No, dalej, chłopiec.

Kaczy Nos - albo też Santh - wsadził mięso do ust i zaczął żuć. Uśmiech pełen zachwyty sprawił, że na jego twarzy było widać tylko wielki nochal.

- Ale to dobre - zawołał.

- Zdaje się, że wystarczy dla wszystkich - odpowiedziałam, wskazując paski mięsa. Wszyscy rzucili się na jadło, nieomal wylizując skałę do czysta.

- Pani kapitan, mówiliście, że jest tu więcej takich, nie? - spytał Kaczy Nos z niechętnym szacunkiem w głosie.

- Znaleźliśmy tylko tego i jeszcze jednego - skłamałam - ale na pewno jest tu ich więcej. Właśnie zastanawialiśmy się z Lordem Gamelanem, jak znaleźć ich tarłowisko.

Gdy tylko wypowiedziałam te słowa, moja pewność siebie prysnęła.

Jakim cudem miałam spełnić tę obietnicę?

Gamelan wyczuł moje zdenerwowanie i pogładził się po brodzie jak prawdziwy mędrzec: - Podaj mi tę muszlę, kapitanie - powiedział.

Spełniłam prośbę, a marynarze z szacunkiem i w milczeniu przyglądali się, jak obracał muszlę na wszystkie strony. W końcu oddał mi ją.

- Przyłóż ją do ucha, dowódco, i dobrze słuchaj - poinstruował mnie.

Ukrywając zaskoczenie, przyłożyłam konchę do ucha. Cały czas żałowałam, że nie mam brody, bo gdybym ją pogładziła, to może wyglądałabym na osobę, która wie, co robi. Usłyszałam jedynie to, czego się spodziewałam - odległe echo szumu morza, które wszyscy tak dobrze znamy z dzieciństwa.

- Nie wiedziałem, że ryby gadają - powiedział z niejakim podziwem patykowaty przyjaciel Kaczego Nosa.

Z trudem powstrzymałam się, by mu nie odpowiedzieć, że ja również nie miałam o tym pojęcia. Przypomniałam sobie jednak jedną z pierwszych lekcji Gamelana o rzucaniu uroków.

- W tak krótkim czasie nie zdołam wyuczyć cię wszystkich zaklęć - powiedział - bo musiałabyś opanować zawartość wielu opasłych tomów. Wiedz jednak, że młodzi magowie - wyznawcy teorii Janosza Szarego Płaszczka - twierdzą, że słowa, w jakie ubieramy naszą magię, są zbędne; służą jedynie jako pomoc przy koncentracji energii. Muszę przyznać, że w ich twierdzeniach jest wiele prawdy. Jestem już stary i nie mógłbym przysiąc, czy słowa, których używam przy zaklęciach, są wyuczone, czy też je improwizuję. Po prostu przychodzą do mnie, kiedy są potrzebne.

- To żadna pomoc dla takich jak ja - odparłam. - Słowa to twój żywioł, magu. Ja nie mam z nimi nic wspólnego.

- Jeśli dobrze się wsłuchasz, Rali - odpowiedział - słowa same do ciebie przyjdą.

- Mam się wsłuchać? - spytałam. - W co mam się wsłuchiwać?

- W siebie, moja droga, w siebie.

Tak więc przyłożyłam muszlę do ucha i zaczęłam się wsłuchiwać. Na początku docierały do mnie tylko szum morza i powolne bicie mego serca. Po chwili jednak po plecach przebiegł mi zimny dreszcz, bo usłyszałam jakiś głos, który docierał jakby z mego wnętrza. Słowa fruwały w powietrzu niby iskry z ogniska; otworzyłam usta i pozwoliłam im wyrwać się na wolność: Piach i wiatr, Morski kwiat; Muszlę kryje zatoka, Piaszczysta, niegłęboka.

Gdzie słońce o zachodzie Kąpie się w złotej wodzie.

Uniosłam głowę, by sprawdzić położenie słońca.

- Tam, za skałami - wskazałam palcem - znajdziecie niewielką plażę. W wodach zatoki mieszkają nasze miłe przyjaciółki.

Marynarzom nie pozostał w głowach nawet cień wątpliwości: z radosnym okrzykiem popędzili we wskazanym kierunku, wymachując buklakami na wodę.

Poszliśmy za nimi. Rzeczywiście, była tam plaża i zatoka utworzona przez przyływ, a w niej setki ogromnych małży. Poleciałam marynarzom zawołać pozostałych ludzi i wkrótce w wodzie brodzili mężczyźni i kobiety, wypatrując muszli. Nazbierali ich tyle, że na plaży piętrzyły się góry jedzenia.

Ktoś rozpałił ognisko z drewna naniesionego przez fale, a na nim ułożył warstwę wodorostów. Na takie palenisko rzucaliśmy muszle, a nawet kilka znalezionych krabów, i wkrótce smakowite zapachy przyćmiły wszystkie nasze zmartwienia.

Gamelan podszedł do mnie, wymacując drogę swoją laską. Myślałam, że będzie mi gratulował udanego zaklęcia, ale pociągnął mnie za rękaw i powiedział.

- Trzeba to zrobić dziś wieczór, Rali. Musisz do nich przemówić. Może nam się nie trafić lepsza okazja.

Tak więc tego wieczoru po raz pierwszy wystąpiłam w roli maga.

Poleciałam, by wszyscy zgromadzili się w miejscu, gdzie znalazłam pierwszą muszlę. Wymyślił to Gamelan, ze względu na scenerię - jego zdaniem parujące jeziorka i gejzer miały sprawić, że widzowie staną się bardziej podatni.

Przede mną stanęła grupa ponuraków. Radosny nastrój dawno już przeminął. Jedzenia wystarczyło tylko na jeden posiłek, a wszystkie muszle zostały już wyzbierane. Nie udało się zdobyć na tej wyspie żadnych zapasów, oprócz niesmacznej słodkiej wody. Cholla Yi sprzeciwiał się zorganizowaniu ceremonii mówiąc, że nie ma z czego się cieszyć i że ludzie tylko się zdenerwują, ale Gamelan prędko go uciszył pytaniem, czy może ma coś przeciwko oddawaniu czci bogom.

Wspięłam się na wielki głaz obok gejzera, by wszyscy mnie dobrze widzieli. Gamelan stanął obok, by wspierać mnie na duchu i w razie potrzeby szeptem udzielać wskazówek. Szybko rzuciłam zaklęcie wzmacniające głos i zaczęłam od krótkiego, lecz wielce dramatycznego opisu naszych dotychczasowych przygód, kładąc szczególny nacisk na sukcesy. Mówiłam o podbiciu Likantu i świętej misji - pościgu za Archontem. Wychwalałam wszystkich za bohaterstwo w bitwie morskiej, która zakończyła się klęską groźnego nieprzyjaciela, a na koniec powiedziałam im, że bogowie udzielili nam wielkiej łaski, gdyż uszliśmy z życiem ze straszliwego tajfunu. Część ludzi wielce rozdrażniła moja mowa. Zaczęli krzyczeć, że wcale nie mamy szczęścia, lecz ogromnego pecha. To ja ściągnęłam na nich nieszczęście i klątwę Archonta.

- Jak śmiecie obrażać bogów w ten sposób? - Zagrzałam, a głos mój powrócił, odbity echem wśród skał i nawet mnie napęłnił lękiem. - Zostaliście przecież przy życiu, nieprawdaż? Czy samo to nie wydaje wam się wielkim szczęściem? Zgubiliśmy się, to prawda, lecz to może się zmienić. Bóg wszystkich poszukiwaczy, Te-Date, dał nam życiową szansę! Czy odważycie się poddawać w wątpliwość jego wolę.

Umilkli z lęku przed bluźnierstwem.

- Nikt w całej historii naszego ludu nie żeglował po tych morzach - mówiłam dalej. - Niezliczone pokolenia zastanawiały się nad tym, jakie tajemnice i bogactwa kryją niezmierzone krainy poza zachodnimi krańcami naszego świata. Wiecie wszyscy, że mój brat, Amalryk Antero, wraz z potężnym i mądrym Janoszem Szarym Płaszczem, badali tajemnice Wschodu i odkryli legendarne Zamorskie Królestwa. Od tego czasu poszukiwacze przygód pogrążyli się w żałobie, rozpaczając, że nic już nie pozostało do odkrycia.

Przednami stanęła nowa szansa. Taka szansa zdarza się raz na tysiąc lat.

Powrócimy do domu, by opowiedzieć naszym bliskim o nowych odkryciach.

Nasze imiona zostaną wykute w kamieniu i umieszczone wśród Tablic Pamięci ku podziwowi ludzkiemu, na długie, długie lata. Wielu naszych współczesnych zaleje się łzami, o bracia moi. Będą płakać z bezsilnej złości, że nie przypadł im w udziale nasz zaszczytny los!

Po raz pierwszy od wielu ponurych dni na twarzach zagościły uśmiechy, a głosy zabrzmiały pogodnie. Teraz miałam zdobycz na haczyku i, wedle słów Gamelana, należało ją tylko podciąć i wrzucić do podbieraka.

Wezwałam Te-Date i Maranonię i rozpoczęłam ceremonię, nad którą pracowaliśmy z magiem od wielu tygodni. Rzuciłam na ziemię niewielki woreczek. Powietrzem wstrząsnęła głośnie eksplozja. Widzowie westchnęli z zachwytu, gdy ku niebu uniósł się wielobarwny dym. Wrzuciłam węń kilka lusterek, które uniosły się do góry, rozprysnęły na kawałki i zabłyśły jak gwiazdy na niebie. Kolejny wybuch i lustrzane iskry rozpadły się na jeszcze mniejsze drobiny, które łagodnie, mieniając się wieloma barwami, opadły na dół i zmieniły się w kropelki, a gdy dotykały jakiegokolwiek powierzchni, wydzielały cudowny aromat. Następnie zademonstrowałam sztuczkę ze wstążką, tym razem bez kłopotów ze spletanym wątkiem. Wysnuwałam palcami czerwone, zielone i złote wstęgi, które połączyły się ze sobą, tworząc welon lekki jak pajęczyna.

Tkanina trzepotała na wietrze i otulała nas barwną magią.

Ustaliliśmy z Gamelanem, że po tym pokazie nastąpi jeszcze większy wybuch, po czym do nieba wzniesie się słup czerwonego dymu. Następnie miałam wezwać bogów, prosząc ich o błogosławieństwo na drogę i o to, abyśmy po wielu przygodach dotarli z ich pomocą szczęśliwie do domu. Wyjęłam woreczek z mieszanką, przygotowaną pod kierunkiem maga. Był nieco większy niż poprzedni, bo miał wywołać potężniejszy efekt. Już miałam go rzucić na ziemię, gdy coś mnie powstrzymało. Poczułam, jak jakaś ręka nie z tego świata lekko mnie obraca. Ujrzałam kipiący gejzer i w tej chwili usłyszałam szeptań do ucha wskazówki. Wrzuciłam woreczek do parującej sadzawki.

Zamiast spodziewanej eksplozji rozległ się przejmujący dźwięk rogu, tak głośny, że z pewnością nie wydobyły go z instrumentu usta śmiertelnika. Gejzer wystrzelił do nieba na dwukrotną wysokość człowieka i zawirował, jak derwisz w tańcu, mieniając się kontrastowymi, jaskrawymi barwami. Do dźwięków wygrywanych na rogu dołączyły się bębny, skrzypce i flety, tworząc niesamowitą melodię. Ze wszystkich sadzawek, otaczających gejzer-matkę, wystrzeliły fontanny wody, wirując w tańcu do wtóru nieziemskiej muzyki.

Nagle gejzery uspokoiły się równie nieoczekiwanie, jak wybuchły i z powrotem stały się sadzawkami, tyle że spokojne lustro ich wód przybrało barwę głębokiego błękitu. Gejzer również zbłękitniał i odbijał nasze postaci równie dokładnie, jak najlepsze pałacowe lustro. Muzyka ucichła.

Zapanowała cisza, nie zmacona niczym, nawet odgłosami pieniającej się wody.

W mojej piersi wezbrał głos. Przysięgam na ducha mej matki, że pochodził on z zewnątrz i nie był żadną czarnoksięską sztuczką. Słuchałam go, jakby to nie z moich ust padały grzmiące słowa: - O, wielki Te-Date, obrońco podróżnych! Władco horyzontów już przekroczonych i tajemnic już ujawnionych! Okaż nam swą łaskę! Dokąd żeglować mamy, panie nasz? Gdzie czeka przeznaczenie, dokąd prowadzi nas los?

Wirujący gejzer przybrał stałą formę, a na szklistej powierzchni ukazał się obraz naszej floty, żeglującej po spokojnym morzu. Na przedzie płynął mój okręt, a flaga Maranonii powiewała na wietrze. Płynęliśmy na zachód, w ślad za słońcem, które kryło się za horyzontem.

Widzenie zniknęło. Gejzer opadł z sykiem i nic już nie mąciło wód spokojnej sadzawki. Odwróciłam się do moich ludzi, przepełniona radością.

Odezwałam się, tym razem z własnej woli: - Oto odpowiedź na nasze pytania, przyjaciele. Te-Date wskazał nam drogę do domu. Żeglujemy na zachód! Chwała Te-Date, już się nie zgubimy!

Rozległy się gromkie wiwaty, a skalista rozpadlina odegrzmiała echem okrzyków. Niektórzy marynarze śmiali się w głos i klepali towarzyszy po plecach. Inni płakali ze wzruszenia. A najgłośniej krzyczały moje gwardzistki, pod wrażeniem chwili.

Ja zaś poczułam ogromne zmęczenie i ugięły się pode mną kolana.

Padłam na skałę i ogarnęła mnie ciemność.

Gdy się obudziłam, płynęliśmy pod pełnymi żaglami, mknąc po falach przy sprzyjającym wietrze. Byłam w kabinie Gamelana. Gdy otworzyłam oczy, mag przecierał mi czoło ręcznikiem zanurzonym w słodko pachnącym leczniczym wywarze.

Uśmiechnął się, gdy wyczuł, że patrzę na niego.

- Ach, znowu jesteś duchem wśród nas, droga przyjaciółko - powiedział. - Jak się czujesz?

Chciałam wstać, lecz byłam tak słaba, że nogi nie chciały mnie nosić.

- Jakby na ringu trzy razy pod rząd powalono mnie na łopatki - odparłam.

- Ale pewnie należało się tego spodziewać. Jestem nowa, nie znam się na tych wszystkich sztuczkach i tak dalej. Jeszcze parę godzin odpoczynku i dojdę do siebie.

- Z pewnością masz rację - zaśmiał się. - Przespałaś już prawie tydzień.

Przerażona, zmusiłam się, by usiąść.

- Cały tydzień? Dlaczego pozwoliłeś mi się tak wylegiwać?! Na Te-Date, przecież mam tyle do zrobienia! Trzeba się zająć planowaniem, szkoleniem i...

Gamelan śmiał się tak, że musiałam przerwać narzekanie.

- Dawniej to byli magowie, nie to co teraz - chichotał. - W dniach młodości kandydaci na magów musieli wygłaszać błogosławieństwa przed śniadaniem, a potem uzdrowić co najmniej pół setki chorych, zanim dzwon wezwał nas na ceremonię pokory o dziesiątej.

- Wsadź sobie knebel z jeża, magu - mruknęłam nieprzyjaźnie.

Gamelan nagle spoważniał.

- Muszę przyznać, że przestraszyłaś mnie tym przedwczesnym popisem jasnowidztwa. Wzywaniem wyroczni bywa niebezpieczne, szczególnie dla niedoświadczonych żółtodziobów.

Wzruszyłam ramionami.

- Udało mi się, więc nie ma o czym mówić. Bogowie raczyli wskazać nam drogę do domu. Pożeglujemy na zachód i tam znajdziemy Orissę.

Potrząsnął głowę.

- Nie byłbym tego pewien - odparł.

- Słuchaj no - zdenerwowałam się - wyrocznia wyraźnie pokazała, jak żeglujemy na zachód.

- Naturalnie, nie mogłem zobaczyć wyczarowanego przez ciebie obrazu.

Zważ jednak, że choć jestem ślepy, słuch mam całkiem dobry. I wyraźnie słyszałem, że pytasz, w którą stronę powiedzie nas los. Nic nie wspomniałaś o odnalezieniu Orissy. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy w ogóle istnieje zakłęcie, które by nam w tym pomogło. Gdybyśmy mieli choć cień szansy, już dawno nakłoniłbym cię, żebyś wyczarowała ze dwie, trzy mapy.

- A więc kurs na zachód nie doprowadzi nas do domu? - spytałam słabym głosem.

- Któż to wie? - odpowiedział. - Może losy nasze są zbieżne z marzeniami o domu? Może właśnie żeglując na zachód, czyli w kierunku, który ogólnie rzecz biorąc oddala nas od Orissy - spotkamy kogoś, kto wskaże nam drogę? A może natrafimy na szybki prąd albo cieśninę, wiodącą ku domowi?

- A więc niczego w końcu nie osiągnęłam - westchnęłam, kompletnie załamana.

- Ależ skądże - zaprotestował. - Wszyscy pozostali popełnili tę samą pomyłkę, albo przynajmniej uwierzyli w twoją interpretację przepowiedni. Są przekonani, że wskazałaś właściwą drogę. Gdy zabierałem cię do tej kabiny, twoje zastępczynie właśnie skończyły naradę z Cholla Yi i jego oficerami, na której postanowiono natychmiast ruszyć na zachód.

Pospiesznie poderwałam się z koi. Rozebrali mnie, kładąc do łóżka, więc nie miałam na sobie nic, oprócz gniewnej zmarszczki na czole.

- Gdzie jest moje ubranie? - zirytowałam się. - Przecież natychmiast muszę zatrzymać flotę! Bardzo możliwe, że płyniemy w złą stronę!

Gamelan złapał mnie za ramię i posadził na koi.

- Nie rób głupstw - syknął. - W najśmielszych snach nie przypuszczaliśmy, że odniesiesz taki sukces. Żołnierze i marynarze są spokojni i pewni siebie, a tego nam bardzo ostatnio brakowało, nieprawdaż. Rali, dodałaś im pewność siebie i wlałaś nadzieję w serca.

- Ale skłamałam! - sprzeciwiłam mu się.

- O tym wiemy tylko my dwoje - odpowiedział mag. - W dodatku to wcale nie musi być kłamstwo. Tylko bogowie wiedzą, dokąd prowadzi nas los.

Może właśnie powinniśmy płynąć na zachód? Jedno jest pewne - załoga cię znienawidzi, jeśli teraz powiesz im prawdę, i znajdziemy się w jeszcze gorszej sytuacji, niż przedtem. Z pewnością stracimy wszelkie szanse na bezpieczny powrót do domu. Położyłam się na koi i naciągnęłam koc pod brodę, bo nagle zrobiło mi się bardzo zimno.

- Co mam teraz robić? - jęknęłam.

- Nic - odparł Gamelan. - Uśmiechaj się tylko, a jeśli ktoś zada ci jakieś pytanie, kłam dalej. Kłam konsekwentnie, a jeśli los się do nas uśmiechnie, w twoich kłamstwach będzie początek prawdy.

Następnego dnia poczułam się na tyle lepiej, że mogłam wstać z łoża boleści. Powitano mnie z ogromnym entuzjazmem. Wszyscy starali mi się przypocholebić, odkładano dla mnie najlepsze kęski z naszych szczupłych zapasów i uprzedzano moje życzenia. Czułam się naprawdę podle, ale postępowałam tak, jak radził Gamelan. Uśmiechałam się tylko i od czasu do czasu rzucałam oględne uwagi, godne statusu bohaterki, który osiągnęłam po raz drugi od czasu oblężenia. Jeśli było trzeba, pomagałam sobie kłamstwami, które wyczarowałam na tamtejszłowróbnej wysepce.

Z dnia na dzień było mi coraz łatwiej, bo szczęście zaczęło się do nas wreszcie uśmiechać. Słońce świeciło co dnia, a wiatry nam sprzyjały. Nasza mała flotylla pomykała po falach w ślad za słońcem, a co wieczór oglądaliśmy niewyobrażalne piękne zachody słońca. W morzu pływało o wiele więcej ryb, niż zdołalibyśmy zjeść, a w dniu, kiedy całkiem wydobrzałam, natrafiliśmy na wyspę zamieszkałą przez niezliczoną kolonię olbrzymich ptaków - niemal sięgających do pasa naszej olbrzymce Polillo. Były to nieloty, a w dodatku tak głupie, że marynarze bez trudu podchodzili je blisko i zabijali pałkami. Wielkie uda tych ptaków były smakowite, a białe mięso z piersi niezrównanie delikatne.

Napełniliśmy nasze ładownie solonym i wędzonym mięsiwem. W dodatku znaleźliśmy na tej wyspie źródła wody słodkiej jak najprzedniejszy likwor.

Wylaliśmy cuchnący siarką płyn z wyspy gejzerów, wyszorowaliśmy baryłki i napełniliśmy je aż po brzegi.

W owym czasie szczęście tak nam sprzyjało, że przywykliśmy do owej niezwykłej przychylności losu i traktowaliśmy ją jako coś oczywistego. Zdaje mi się, że wszyscy jesteśmy dziecinni z natury. Zaprowadźcie nas na wykwintną ucztę, a będziemy podziwiać zastawiony stół i smakować różnaitości dań w nieomal erotycznej ekstazie. Ale jeśli taki bankiet stanie się dla nas codziennością, prędko zaczniemy się skarżyć: „Co? Znowu jęczyczki kolibrów w miodzie? Co za nuda!” Tak też było w przypadku moich towarzyszy. Wiatr sprzyjał nam jak nigdy, ale kapitan Stryker

narzekał, że wieje bezustannie i nie ma kiedy naprawiać żagli. Duban, przełożony wioślarzy, skarżył się, że jego ludzie mają za mało praktyki. Kwatermistrzowie martwili się, że wzrasta liczba szczurów na statku, bo ładownie są pełne świeżego jedzenia. Ismet niepokoiła się, że gwardzistki mogą się przetrenować, bo ćwiczą z nazbyt wielkim entuzjazmem, a moje zastępczynie były zdenerwowane, bo uznały, że morale wśród wojska jest za wysokie, więc na pewno zaraz zdarzy się coś złego.

Ja zaś nie uległam takim słabościom, nie dlatego, że jestem mniej małostkowa niż bliźni; wiedziałam po prostu, że wszystko to jest fałszywe, od samego początku.

Po niedługim czasie wiatr gdzieś przepadł, a z nim razem nasze szczęście.

Rozdział Jedenasty

DEMON I JEGO FAWORYTA

W dniu, kiedy skończył się pomyślny dla nas okres, obudziłam się z potężnym bólem głowy. Było niezwykle gorąco jak na tak wczesną porę. Z trudem oddychałam gęstym jak syrop powietrzem, które pachniało wilgocią, starością, śmiercią i powolnym konaniem. Słyszałam, jak marynarze zrzucają i zwijają żagle, a Duban przekleństwami zagania wioślarzy do pracy. Zadudnił bęben, pogłębiając pulsujący ból w moich skroniach, okręt drgnął i powoli ruszył przed siebie. Płynął z trudem, jakby woda zmieniła się w błoto. Wyraźnie słyszałam, jak coś ociera się o burty. Jęknęłam, wstałam i wdziałam ubranie.

Gdy wychodziłam na pokład, z hamaku Polillo dobiegł mnie żalospny pomruk - widać nie ja jedna cierpiałam tego poranka.

Oczom moim przedstawił się dziwny obraz. Światło słoneczne, ponure i żółtawe, pozwalało widzieć tylko zarysy przedmiotów; na pokład kładły się rozmazane, niewyraźne cienie. Wioślarze, pracujący przy wtórze powolnych uderzeń bębna, ciężko stękali, wstawali z ławek i wbijali pięty w pokład przy każdym pociągnięciu, jakby woda stawiała im opór. Mimo tego okręt ledwie się posuwał.

Wyraźnie wpadliśmy w kłopoty. Okręt nasz - nie, cała flotylla - utkwiała w szerokim pasie wodorostów. Widziałam, jak z burt sąsiednich statków zwieszają się na linach marynarze i próbują powycinać mięsiste łodygi, w których uwięzły kadłuby statków. Kapitan Stryker właśnie zlecał grupie marynarzy podobne zadanie. Podeszłam i zapytałam go, co się stało.

- To nie moja wina - warknął. Zdziwiłam się, bo moim zdaniem nie musiał się wcale usprawiedliwiać. - Mówiłem, że w nocy będzie nielichy sztorm i Klisura też to wiedział, ale czy to wielki pan admirał posłucha zwykłego człowieka? Chociaż ja to przez tyle lat żeglowania nazbierałem w sobie tyle soli, że można mnie wsadzić w beczułkę, zalać wodą i sprzedać na prowiant, bez nijakiego przygotowania. Ja to byłem mistrzem żeglarskim, kiedy wielmożny pan Phocas był tylko mokrą plamką na jasiu swojego taty, przepraszam za słowo, pani kapitan. Ale admirał słucha tylko tego durnego syna likantyjskiej dziwki. Nie patrzy, jak mu mówimy, że trzeba stanąć, rzucić dryfkotwy i poczekać, aż przewieje.

Rzeczywiście, w nocy obudził mnie sztorm, ale nie wydał mi się nazbyt gwałtowny. Właściwie podziałał na mnie uspokajająco i z łatwością zasnęłam z powrotem, ukołysana powolnym ruchem statku, przy wtórze szumu fal i padających kropli deszczu. Słuchając narzekań Strykera, przypominałam sobie niedawne czasy, gdy najmniejszy przechełł posłał nas, szczury lądowe, do relingu, gdzie wyrzygiwaliśmy z siebie flaki. O mały włos byłabym się roześmiała. Udałam, że kaszlę i jakoś ukryłam wesołość, po czym zrobiłam stosowną minę, wyrażającą współczucie dla kolegi-officera.

- Rozumiem, że uznałeś sztorm za niebezpieczny, panie? - zapytałam.

- I głupi by tak uznał - odpowiedział Stryker. - Nie rozchodziło się o siłę wiatru, ale o widoczność. Deszcz padał gęściej, niż przekleństwa z ust mojej starej, kiedy za późno przyjdę z tawerny, a taką czarną noc widziałem raz jeden, kiedy byłem jeszcze chłopakiem. Żeglowaliśmy wtedy wzdłuż Pieprzowego Wybrzeża. Tom się przestraszył, że wpadniemy na rafę w tych ciemnościach i nadałem do admirała, że najlepiej będzie przeczekać, a rano wyznaczyć nowy kurs. Ale Phocas się uparł, żeby się śpieszyć, a Cholla Yi się z nim zgodził. A dokąd mamy się śpieszyć, proszę ja kogo? Sami nie wiemy, gdzie płyniemy! - Ano zebraliśmy się razem, chociaż musiałem ich przymuszać, żeby wywiesili latarnie, bo byśmy na siebie powpadali. A ten wiatr przestał wiać, raz-dwa, tak szybko jak portowa dziewczka chowa cycki, kiedy spostrzeże dno w twojej sakiewce. Od tej pory ani razu nie zawiąło. Ale to nic nie szkodzi. Gorsze jest to zielsko, cośmy się w nie uplątali.

Wskazał ręką na las wodorostów, tak gęsty, że miejscami nie było widać wody, tylko zielony kożuch,

wznoszący się i opadający na falach.

- W życiu czegoś takiego nie widziałem. Olbrzymie pole i strasznie gęste!

- dodał. - Ale słyszałem różne opowieści. Och tak, słyszałem opowieści, które potrafią sprawić, że serce mało z piersi nie wyskoczy.

- Jestem o tym przekonana, kapitanie Stryker. Mam jednak nadzieję, że zatrzymacie te opowieści dla siebie, do czasu, aż się stąd nie wydostaniemy. Nie należy niepotrzebnie straszyć załogi - odparłam.

- O ile w ogóle się stąd wydostaniemy - mruknął złowieszczo.

Nie zwróciłam uwagi na te ponure słowa. Stryker po prostu chciał dodać dramatycznego posmaku krzywdzie, jakiej doznał od Cholla Yi, który zignorował jego rozsądne rady.

- Wszystko będzie w porządku - zmienił ton, ujawniając swe prawdziwe myśli. - Starczy, żeby powiało raz a dobrze, i zostawimy to śmierdzące bagno za kilem.

Ale wiatr nie nadchodził. Nawet najlżejszy powiew nie poruszył mas gorącego powietrza tego dnia, ani następnego, ani przez wiele, wiele dni. Prócz tego panował upał. O tak, na wszystkich bogów, którzy znów o nas zapomnieli, upał był co się zowie. Otulająca nas żółta mgła wydawała się jeszcze zwiększać temperaturę. Czuliśmy się jak warzywa na dnie parującego kociołka, wodorosty zaś trzymały nas w coraz ciasniejszym uścisku. Znaleźliśmy coś w rodzaju kanału między nimi, który wydawał się prowadzić na zewnątrz; przedostaliśmy się tam, wycinając roślinność, ale droga ta, zamiast skierować poza pole wodorostów, poprowadziła nas w labirynt ślepych odnóg, zwężonych pętli i zakrętów. Wpływaliśmy weń coraz głębiej i głębiej, ponieważ nie mogliśmy się cofać: gdy tylko wycięliśmy sobie jakieś przejście albo znaleźliśmy dość czystej wody, by wiosłować, i wypływaliśmy tam, wodorosty zaraz zamykały za nami kanał swymi splątanymi zwojami.

Codziennie rzucałam kośćmi, ale wynik był równie zniechęcający jak na początku mej nauki. Choć bardzo się starałam i rzucałam nimi na różne sposoby, zawsze układały się w taki sam sposób.

Gamelan wyjaśnił, że ten wzór oznacza brak zmian w najbliższej przyszłości. Marynarze ciężko pracowali w straszliwym upale, by statki choć trochę ruszały się do przodu, a stary mag z moją pomocą próbował wszelkich znanych sobie sztuczek, by przywołać wiatr.

Mieliśmy magiczne worki z wiatrami, które zabraliśmy ze sobą właśnie na wypadek podobnej sytuacji. Gamelan i jego współpracownicy, przygotowując je przed wyjazdem z Likantu, dołożyli wszelkich starań, by zaklęcia były jak najskuteczniejsze. Niestety cała magia przywołana przy ich tworzeniu na nic się nie zdała. Wiele razy odprawiałam stosowną ceremonię, recytowałam wezwanie do wiatru i otwierałam kolejny worek; za każdym razem wydostawała się z niego tylko odrobina gorącego, cuchnącego powietrza.

Bardzo niepokoiło to Gamelana, który twierdził, że nad tym olbrzymim polem sargassowym unosi się jakieś zaklęcie, pilnujące, by żaden wiatr nie naruszył straszliwej symetrii krainy wodorostów.

Im głębiej w nią wpływaliśmy, tym bardziej się zmieniała. Okazało się, że z początku ludzi nas wyglądał łagodnie falującej, zielonej równiny. Gdy błądziliśmy po kanałach, wodorosty zaczęły tworzyć coraz wyższe ściany, miejscami sięgające do połowy naszych masztów. Splątane łodygi tych roślin tworzyły przeróżne dziwaczne kształty. Niektóre udawały mięsiste, brązowawe wieżycy zamkowe, inne zaś przypominały postaci ludzi lub zwierząt.

Przysięgłabym, że jeden kłęb wodorostów przypominał kobiecy tors wyrastający z ciała klaczy. Na jej grzbiecie siedziała młoda kobieta o obnażonych piersiach, z rozwianymi włosami, jakby wierzchowiec pędził z wielką szybkością. Polillo twierdziła, że widzę takie rzeczy, bo od dawna nie miałam kochanki. Roześmiałam się, ale w duszy zaniepokoiłam się, że może mieć rację.

Po tygodniu nużącego przeciskania się pośród wodorostów trafiliśmy na kanał, w którym woda płynęła nieco zwawiej. Nie był to z pewnością bystry prąd, ale wszelki ruch na tym bagnisku był powodem do radości. Nie trwała ona niestety długo - kres położył jej Santh, czyli mój dobry przyjaciel Kaczy Nos.

Rozmawiałam sobie spokojnie ze Strykerem, aż nagle gardłowy okrzyk marynarza poderwał nas do biegu. Musieliśmy przepychać się przez tłum marynarzy na dziób, gdzie stał wybladły żeglarz, bełkocąc słowa bez związku.

- Co się stało człowieku? - spytał Stryker.

Santh jednak był zbyt rozdygotany, by odpowiadać.

- Niech się nade mną zlitują bogowie - skamlał. - Całe życie byłem łajdakiem, ale nikt nie zasługuje na taką śmierć!

Stryker szarpnął go mocno za koszulę na piersiach.

- Przestać pleść głupoty, durniu - warknął. - Jeszcze nie umierasz. I nie masz powodu, żeby się bać śmierci.

Santh otrząsnął się na tyle, by wskazać drżącym palcem na prawo.

- Popatrz tam, kapitanie! - zawołał. - Popatrz tylko!

Spojrzelismy w tamtym kierunku. Rzeczywiście wśród wodorostów leżało coś białoszarego. Drgnęłam, rozpoznawszy co to jest, i jednocześnie usłyszałam, jak przerażony Stryker wciąga powietrze.

- Na Te-Date, aleśmy się wpakowali - mruknął.

Społgądaliśmy na biały ludzki szkielet, oczyszczony przez jakieś morskie stworzenia. Z oczodołu wyjrzał mały krab, pomachał szczypcami i schował się z powrotem. Obok szkieletu leżał kołek do mocowania lin.

- Och, biedny skurwiel - mruknął Stryker, uzalając się nad losem kolegi- marynarza. Odwrócił się do swoich ludzi: - Zabierać stąd tyłki i jazda do roboty, chłopcy - warknął. - Nic tu po was, chyba że

chcecie posłuchać prawdy tak wielkiej, jak kaczy nos Santha: ten oto chłopak nie słuchał rozkazów swojego kapitana, więc statek musiał odpłynąć bez niego i zostały po nim tylko te kości, krabom na żer.

Przez chwilę jeszcze przemawiał w podobny sposób, by dodać ludziom ducha, a potem kazał im rozejść się do zajęć. Odeszli, nerwowo spoglądając za siebie.

- Dobrze to rozegrałeś, panie - pochwaliłam.

Potrząsnął głową. - Kłamałem jak z nut i oni to wiedzą - odparł, dygocąc.

- Żeby nie to wasze magowanie tam, na wyspie, niczego by nie usłuchali.

Wiemy przynajmniej, że bogi są z nami. To żeśmy jasno widzieli. Ale nic nam nie chcą pomagać, pani kapitan. Ani za grosz nie chcą.

Z tymi słowy odszedł, by przypilnować swoich ludzi, a ja ponownie zaczęłam robić sobie wyrzuty, że wizja, którą im ukazałam, nie obiecywała niczego takiego. Może i los prowadził nas na zachód, ale jedynie bogowie wiedzieli, jak to się wszystko skończy - i kiedy. W owym momencie przeznaczenie mogło równie dobrze prowadzić nas w miejsce, gdzie kości nasze staną się schronieniem dla niższych form życia, tak jak to się stało z marynarzem, który spoczywał nieopodal. Już miałam poszukać Gamelana, by zasięgnąć jego rady, gdy chwilowy spokój na statku został zakłócony ponownie.

Żeglarz na oku wydał głośny okrzyk. Nie musiałam pytać go o szczegóły, bo w tej chwili sama zobaczyłam, co spowodowało jego przestrasz. Po obu stronach kanału ciągnęło się ogromne cmentarzysko. Wszędzie leżały niezliczone szkielety ludzkie i zwierzęce. Niektóre, jeszcze kompletne, były okryte strzępkami tkanin, inne zaś rozrzucono niedbale, a większe kości były rozłupane, jakby drapieżcy chcieli wyssać z nich szpik.

Niektórzy marynarze wybuchnęli płaczem, inni wymiotowali przez reling, a reszta, pobladła, modliła

się po cichu do swoich bogów w nadziei, że przybędą im na ratunek w tej strasznej chwili. Przerażający ten widok ogniem wypalił sobie ścieżkę do naszych koszmarów sennych i zniknął za zakrętem, ustępując miejsca jeszcze straszniejszej scenie.

Przed nami znajdowała się laguna, a w niej niezliczone gnijące ze starości okręty różnego rodzaju, pochodzące ze wszystkich epok. Niektóre tkwiły uwikłane w przybrzeżnych wodorostach, inne zaś były niemal całkowicie pokryte roślinnością. Tylko niektóre ich części wyglądały spod łagodnie falującej masy, jak okiem sięgnąć, aż po horyzont. Niektóre z nich wyglądały całkiem współcześnie, inne zaś - nawet dla takiej profanki jak ja - wyglądały na bardzo stare, sprzed wielu, wielu wieków. Mieliśmy oto przed sobą cmentarzysko wszystkich statków, które zagięły bez śladu - od początku historii żeglarstwa.

Coś kazało mi się pochylić i całe szczęście, bo nad głową przeleciał mi jakiś cień. Usłyszałam okrzyk zdziwienia i bólu, gdy lecący przedmiot trafił w stojącego obok marynarza. Padłam na pokład, przetoczyłam się po nim, wyciągając jednocześnie miecz i wstałam, ponownie uchylając się przed pociskiem. Powietrze przeszył chóralny, przenikliwy okrzyk wojenny i na pokład posypały się ciężkie przedmioty. Tłum chudych, nagich postaci przeskakiwał na pokład, huśtając się na wodorostach, długich i sprężystych jak liany. Napastnicy wymachiwali różnorodną bronią. Ktoś zamierzył się na mnie zardzewiałym oszczepem. Odepchnęłam broń i ścięłam nieprzyjaciela, wielkim głosem wzywając gwardzistki, by odparły atak.

Na pokładzie zaroilo się od drobnych brązowych postaci o tak chudych kończynach, że zda się, można by je złamać w dwóch palcach. Napastnicy nadrabiali jednak niski wzrost agresywnością, a przy tym sprzyjało im zaskoczenie. Wielu marynarzy straciło życie w pierwszej chwili, ale gdy gwardzistki zaatakowały, załoga je wsparła, zawzięcie tłukąc wroga wszystkim, co było pod ręką. Corais i Gerasa, doskonała łuczniczka, osłaniane przez Polillo, raz po raz napinały łuk, szyjąc strzałami do wrogów. Rzuciło się na mnie trzech na raz. Lewą ręką namacałam nóż i oparłam się o maszt, by stawić im czoła. Ten z lewej chciał mnie dźgnąć trójzębem. Szybkim ruchem miecza odcięłam broń przy samej nasadzie, pochyliłam się i wyprostowałam nagle, wbijając mu sztylet w żebra. Utkwił w nich na dobre, więc zostawiłam w ciele padającego mężczyzny, obróciłam się w miejscu i potężnym, dwuręcznym ciosem niemal rozcięłam na pół walczącego u jego boku topornika. Z rany trysnęła krew, oslepiając mnie doszczętnie. Gdy rozpaczliwie starałam się wyciągnąć miecz z ciała zabitego, wyczułam, że trzeci napastnik skoczył do przodu. Rzuciłam się na kolana i podcięłam go. Zanim oprzytomniał, uwolniłam broń i cięłam na ślepo. Na szczęście - moje, nie jego - trafiłam w nerki, gdy chciał się odtoczyć ode mnie po pokładzie. Wrzasnął z bólu i zanim otarłam krew z oczu, już charczał z agonii.

Gdzieś daleko zabrzmiał róg i w chwili gdy się podniosłam na nogi, napastnicy zaczęli umykać.

Biegli, taszcząc odrażającą zdobyczą - nogi, ręce i kawałki ciał naszych poległych towarzyszy. Nie uciekali jednak w panice, lecz wycofywali się w uporządkowany sposób, osłaniając lotną ariergardą ludzi obciążonych zdobyczą.

Zebrałam gwardzistki i zaakowałyśmy nieprzyjaciela na pokładzie, ale zabiłyśmy zaledwie kilku. Reszta, wyrzaskując obelgi, uciekła po pędach wodorostów grubszych niż tors dorodnego mężczyzny. Odgłosy walki na pozostałych okrętach także ucichły, ustępując miejsca przenikliwym, drwiącym okrzykom wroga. Szeregi nagich mężczyzn wybiegających ze statków przypominały pochód mrówek. Połączyły się w jedną kolumnę i ruszyły w dal.

Schowałam miecz do pochwy i wspięłam się na przedni maszt, by wysłedzić, dokąd się udają.

Na szczycie masztu siedział chudy kolega Santha i coś bełkotał. Nie zwracając na niego uwagi rozglądałam się na wszystkie strony, aż wypatrzyłam kolumnę wrogów. W oddali majaczył kształt ogromnego statku. Przyjrzałam się dokładniej i okazało się, że to rzeczywiście statek, ale różny od wszystkich, jakie widziałam w życiu. W jego olbrzymim kadłubie zmieściłaby się cała nasza flotylla. Na pokładzie wznosił się dziwaczny budynek z kawałków drewna, ozdobiony trzema wieżyczkami. Środkowa była dwa razy wyższa od pozostałych, a ze spiczastego dachu unosiły się kłęby dymu. Kolumna łukiem zmierzała w stronę dziwnego statku i po kilku minutach zniknęła w wielkiej dziurze, ziejącej w burcie.

Zsunęłam się na dół, poleciłam oficerkom wystawić strażę i zrobić przegląd oddziałów, po czym posłałam po Cholla Yi. Zanim przybył, zorientowałam się, że moje kobiety odniosły tylko kilka pomniejszych ran. Za to biedny Stryker stracił dziesięciu ludzi, i to całkowicie, ponieważ napastnicy zabrali ze statku zwłoki.

- Ale tamtym dostało się gorzej niż nam - podsumował z ponurą satysfakcją.

Wrogowie zostawili trzydziestu sześciu zabitych, ale moim zdaniem nie było z czego się cieszyć. Nie wyglądali na pogrążonych w żałobie, gdy uciekali za burtę ze zdobyczą w postaci zwłok naszych towarzyszy. Byli kanibalami, to nie ulegało wątpliwości. Bardziej mnie jednak zastanawiało, że wszyscy wyglądali na zagłodzonych: ramiona i nogi mieli cienkie jak patyki, a brzuchy spuchnięte. Na tych zadławionych wodorostami morzach zdobycie wody było poważnym problemem, ale jedzenia tu nie brakło. Pośród wodorostów roiło się mnóstwo jadalnych stworzeń, a w kanałach pływały ławice ryb. Jednak wszyscy polegli mieli włosy o marchewkowym odcieniu, spuchnięte

ciała i ropiejące, nie gojące się wrzody na skórze, co wskazywało na niedożywienie.

Przybył admirał Cholla Yi, poruszony napaścią, ale gotowy do walki.

- Przecież to worki z kośćmi, nie ludzie - parską. - Zaskoczyli nas i tyle.

Kto by się spodziewał ludzkich istot w tych zatraczonych stronach?

Prawdopodobnie to tylko rozbitkowie z tych wraków. Nic się nie znajdują na walce. Większość statków to chyba handlowce.

- Najprawdopodobniej nigdy nie zetknęli się z flotyllą wojenną - przytaknęłam. - Jeśli zaczniemy się wycofywać, będą się starali codziennie urwać nam po kilku żołnierzy. Ale jeśli teraz napędzimy im porządnego stracha, pochowają się w mysie dziury i nie wysadzą z nich nosa, póki nie odjedziemy.

- Zwróćcie jednak uwagę - wtrącił Gamelan - że działają wspólnie i celowo. Znaczy to, że mają przywódców, a może nawet jakiegoś pana.

Kiwnęłam głową.

- Wygląda na to, że kwateruje w tym ogromnym statku, do którego weszli. Pewnie tam trzeba zaatakować.

- Najprawdopodobniej - potwierdził Gamelan - ale nie do tego zmierzałem. Wydaje mi się, że mamy przed sobą okazję, na którą czekaliśmy tak długo. Jestem przekonany, że w tym miejscu działa jakaś magiczna siła - nie wieją żadne wiatry, a wodorosty rozrastają się w skomplikowany labirynt. Na pewno nie jest to dziełem natury; ktoś to stworzył.

- Jakiś mag? - spytałam.

- Myślę, że tak. Naturalnie może tu działać inna siła, ale zdecydowanie wolałbym mieć do czynienia z istotą, z którą można wejść w układy i w końcu wydostać się z tego miejsca.

- Po mojemu, to jemu nic u nas nie jest potrzebne, tylko bynajmniej nasze skóry i tyle. Nie ma się o co targować. Ja myślę jak admirał. Pobić ich i już - wyrwał się Stryker.

Ale ja spostrzegłam już, do czego zmierza Gamelan i w głowie zaczął mi powstawać pewnien plan.

- Całkowicie się z wami zgadzam, panowie - stwierdziłam. - Ale w słowach Lorda Gamelana też jest nieco prawdy. Proponuję, abyśmy urzeczywistnili oba cele: zastraszyć nieprzyjaciela, a jednocześnie znaleźć wyjście z tej matni.

Wyłożyłam swój plan. Nie spodobał im się z początku, ale w końcu doszliśmy do porozumienia: tej nocy nastąpi atak.

Wzięłam ze sobą osiem najlepszych gwardzistek, wśród których znalazły się Polillo, Ismet i Jacena, szybkonoga, zręczna biegaczka. Corais przejęła dowodzenie pozostałymi wojowniczkami. Miała także trzymać w gotowości łuczniczki w oczekiwaniu na nasz odwrót i nie zapomnieć, żeby jedną z nich była Gerasa.

Miałyśmy na sobie jedynie tyle odzienia, by nie uchybić skromności i przyciemniłyśmy skórę, z wyjątkiem Ismet, która i tak była czarna. Broń uczerniłyśmy, a smołową substancją wyprodukowaną przy pomocy Gamelana posmarowałyśmy bose stopy. Gdy przechodziłyśmy po niezwykle grubych linach śliskich i obłych wodorostów, bez trudu zachowywałyśmy równowagę.

Jasny księżyc w pełni omal nie pokrzyżował nam planów, ale szczęśliwie zasłoniła go mgła, która wstawiała znad ochładzających się nocą roślin.

Prowadziła Jacena, za nią szłam ja, potem Ismet i reszta, zaś Polillo, z wielkim toporem na plecach, chroniła tyły.

Wiedziałam, że jeśli nam się uda, w powrotnej drodze będziemy musiały iść w zawody ze śmiercią. Pewną pomocą miał być specjalny olejek, który zrobiłam pod kierunkiem naszego maga. Polillo niosła go we flakoniku i skrapiała wodorostowe pnącza. Płynu nie było widać, więc wielce sobie narzekała na to pozornie bezsensowne zadanie, ale zapewniłam ją, że w odpowiednim czasie wszystko okaże się jasne. Nakazałam również wywiesić na masztach jak najwięcej światełek, by bez trudu można było odnaleźć nasz okręt. Dotarcie do celu wyprawy, czyli monstrualnego statku, nie wydawało się trudne. W ciemnościach nocy najwyższa wieża oświetlała go jak latarnia.

Dobywała się z niej dziwna muzyka i dzikie, mrozące krew w żyłach wycie.

Podejrzewałyśmy, że nasi wychudzeni przyjaciele w ten sposób świętują zwycięstwo, albo też nabierają ducha przed jutrzejszym atakiem. Mało mnie obchodziły powody, ponieważ zamierzałam popsuć zabawę tym zamorkom.

Potrzebowałyśmy nieco czasu, by przyzwycząić się do chodzenia po obcym terenie. Roślinny kożuch bezustannie poruszał się w rytmie fal. W miejscach, gdzie był cieńszy, woda strzelała do góry bez ostrzeżenia, jak gejzer, i niemal nie sposób było utrzymać równowagę. Co gorsza, w każdej chwili można było trafić nogą w przerwę między wodorostami i upaść, albo zaplątać się w cieńsze gałązki. Raz trzeba było mnie wyciągać z dziury, a potężna Polillo zapadła się trzykrotnie. Nie było to miłe przeżycie. Woda, ciepła i lepka, roiła się od drobnych stworzonek, które natychmiast zaczynały atakować ciało szczypcami i pazurkami. Gdy zanurzyłam się z głową, miałam niemiłe wrażenie, że coś mnie obserwuje. Wynurzyłam głowę i poczułam, że to coś pełźnie w moim kierunku. Mogłam tylko zmusić się, by milczeć i spokojnie czekać, aż mnie wyciągną. Leżałam, dysząc, na skraju dziury między wodorostami; na powierzchni wody pojawiły się bąble, a gdy pękły, poczułam odór rozkładu. Zadrżałam i omal nie zwymiotowałam, gdy wyobraźnia podsunęła mi kilka mało przyjemnych sugestii co do źródła tych bąbli i tej woni.

Do dziś miewam w sennych koszmarach wrażenie, że znalazłam się w odrażającym gnieździe tamtego stwora. Przez cały czas zdawało mi się, że nie tylko stanę się czymś obiadem, lecz przedtem, w ramach przygotowań do posiłku, zostanę zbezczeszczona w najbardziej ohydny i odrażający sposób. Za każdym razem, gdy Polillo wpadała w kipiel, wiedziałam co czuje, a raz mało brakowało, żebym zgubiła całe wyposażenie, tak się śpieszyłam wraz z innymi, żeby ją stamtąd wyciągnąć.

W końcu odkryliśmy, że najlepiej jest zaufać instynktowi i jak najprędzej przeć do celu. Biegaliśmy więc po pnączach w ślad za zwinną Jaceną.

Zatrzymaliśmy się na mgnienie oka na szczytach rozkołysanych, zielonych wałów, niemal natychmiast przeskakiwaliśmy na następne i biegaliśmy, aż dopędziła nas następna fala. Ponad godzinę uczyliśmy się tej techniki i przez ten czas niewiele posunęliśmy się do przodu. Ale gdy tylko zapomnieliśmy o środkach ostrożności, które odbierały nam sprawność, w niecałe piętnaście minut dotarliśmy do wraku.

Ostrożnie podpełzaliśmy do wejścia. Jacena dała dłonią znak, że nikt go nie pilnuje, lecz wcale mnie to nie uspokoiło. Przed wymarszem Gamelan ostrzegwał nas, że natura i brzydka strona ludzkiego charakteru potrafią stworzyć więcej pułapek, niż nam się wydaje. Nakazałam, by grupa się zatrzymała i prześliznęłam się do Jaceny. Gestem kazałam jej pozostać z tyłu, a sama powoli, centymetr za centymetrem poczołgałam się w stronę ogromnego kadłuba. Po chwili zatrzymałam się, wyciągając wszystkie zmysły.

Poczułam na policzku muśnięcie zakurzonych nitek, które przylgnęły do skóry niczym pajęczyna. Mało brakowało, a strzepnęłabym je dłonią, ale zamarłam w pół drogi. Cofnęłam się lekko i powoli wyciągnęłam rękę, zamknęłam oczy i skoncentrowałam się - z pewnym trudem, bo przeszkadzała mi ta dziwna, głośna muzyka, przyprawiając mnie o ból uszu i przenikając aż do kości. Wreszcie dotknęłam palcami magicznej pajęczyny. Zatrzymałam się.

Poczułam mrowienie i bardzo delikatnie cofnęłam dłoń, czując, jak nitki przywierają do niej, po czym łagodnie opadają.

Zanim zeszliśmy z pokładu, Gamelan udzielił mi kilku wskazówek.

- Ponieważ moc mnie opuściła - powiedział - nie potrafię przewidzieć, z jakim rodzajem magii się zetkniesz. Będziecie musiały się maskować, by umknąć nieprzyjaciołom.

Poleciałam pozostałym, by się do mnie zbliżyły. Gestami wskazałam im pułapkę, a potem kazałam

zgrupować się wokół. Z mieszka przy pasie wydobylałam niewielki flakon z ciągnionego szkła i roztrzaskałam go na miazgę trzonkiem noża. Wysypał się z niego kolorowy pył, pachnący rybimi kośćmi i owadzią chityną. Gamelan powiedział, że to, co brałam za kość, to raczej mielone dzioby ośmiornic, wymieszane z odrobiną suszonego atramentu. Chityn pochodziła z rozartych na proch pancerzy chrząszczy, które żyją w licznych koloniach na roślinach kwiatowych. Aby przetrwać, nauczyły się mimikry i przybierają barwę oraz kształt zielonych łodyżek, liści i wielobarwnych kwiatów. Otworzyłam pięść i dmuchnęłam pyłem w twarze wojowniczek, a potem resztą proszku, łącznie ze szkłem, posypałam sobie głowę i wyszeptalam zaklęcie: Kształt i Cień, Cień i Kształt - Oto para skrzydeł Niesie ptaka w noc.

Wydałam się sobie mała, słaba, pozbawiona dumy. Głód palił mi wnętrzności, a wewnętrzny głos skowytał: Umieram! O, ja biedny, biedny umarłak. Nagle skamlanie zamieniło się w płaczącą prośbę: Pomocy, Wielki Panie. Och, Wielki Panie, daj mi coś do jedzenia.

Słyszałam jęki moich towarzyszek, które cierpiały podobnie jak ja.

Instynktownie chciałam zwalczyć słabość, lecz jednocześnie wiedziałam, że muszę się jej poddać, aż nadejdzie właściwa chwila. Poddałam się żalości, zostawiając sobie jedynie strzępek zdrowego rozsądku. Ponownie stałam się rozpaczliwie bezradna i głodna - och, jak bardzo głodna. Bełkotliwie błagałam mego Pana, dobrego, wielkiego Pana, o odrobinę jedzenia. Gdzieś ocknęło się coś złego i czarnego. Powiedziało, że mam Go słuchać we wszystkim. W myśli wyraziłam piskliwą zgodę i poddanie, a paskudna ciemność zaśmiała się z zadowoleniem. Poczulałam radość, kiedy przepelniła mnie nienawiść i stłumiła uczucie głodu. Nienawiść, która dała mi siłę, była skierowana przeciwko...

mojej flotyli! Wszyscy tam umrą, wszyscy muszą umrzeć. Tylko wtedy dostanę coś do jedzenia. Omal nie złamała mnie fala palącej agresji. Nadszedł czas działania, ale brakło mi woli. Rozpaczliwie szukałam nasionka, które przedtem sama zasadziłam. Już miałam porzucić nadzieję i poddać się memu Panu i władcy, gdy na nie natrafiłam. Mocno uczepliłam się go myślą. Ścisnęłam je coraz mocniej i mocniej, aż poczułam, że dłonie zwijają mi się w pięści, a paznokcie głęboko wbijają się w ciało. Spociałam się gwałtownie, a potem odczułam chłód. Powróciły mi siły, wstałam i po kolei przeprowadziłam moje zapłakane towarzyszki, trzymając je za rękę. Sieć rozsunała się na boki, nie wyczuwając zagrożenia. Odpoczęliśmy chwilę po drugiej stronie, odzyskawszy całkowicie swoją jaźń. Po niedawnych emocjach pozostało jedynie palące pragnienie. Nie protestowałam, gdy gwardzistki opróżniły manierki z winem wymieszanym z wodą. Była to ostatnia okazja, by się napić.

Nikt nas nie zatrzymywał ani też nie alarmował pozostałych, gdy przechodziłyśmy przez przepastną

dziurę, za którą znajdowała się chyba ładownia olbrzymiego statku. Nagle, o mało nie zawróciliśmy i nie uciekliśmy, ujrawszy pomieszczenie pełne mężczyzn, jęczących i rzucających się po pokładzie. Okazało się jednak, że albo śpią, albo są we władzy zaklęcia.

Prawdopodobnie ulegli jakiemuś czarowi, ponieważ, choć odgłosy hałaśliwej ceremonii były tu niemal nie do wytrzymania, nie robiły wrażenia na tych ludziach. Zdaje się, że znacznie bardziej cierpieli z powodu dręczących ich koszmarów. Po cichu przeszliśmy pomiędzy nimi, przeskakując ciała, miotające się pod wpływem dręczących snów. Zatrzymałam się przy masywnym drewnianym filarze na środku, wyciągnęłam długą czerwoną nić i owinęłam go dookoła. Poszliśmy dalej, zatrzymując się od czasu do czasu, bym mogła w podobny sposób oznaczyć odpowiednie kawałki belek i podpór.

Po drabinach wspięliśmy się na wyższy pokład i, minawszy kilka korytarzy, znowu weszliśmy na górę. Widziałyśmy wyłącznie śpiących ludzi, lecz nie było wśród nich ani jednej kobiety. Wreszcie wydostałyśmy się na otwarty główny pokład. Nad nami wznosiła się środkowa wieża i wiodące na górę spiralne schody. Pod szpiczastym dachem znajdowały się okrągłe okienka, z których buchała muzyka i światło, tak intensywne, że na pokładzie kładły się wyraziste, długie cienie. Poleciałam Ismet i pięciu innym gwardzistkom osłaniać odwrót i razem z Jacyną i Polillo popędziłam w stronę wieży. Moje towarzyszki obiegały ją w przeciwnych kierunkach, by nie zagroziły nam jakieś niespodzianki, a ja wyciągnęłam ostatni kawałek nici, akurat odpowiedniej długości, by dwa razy opasać wieżę. Zawiązałam ostatni węzeł. Czas było nastawić pułapkę, ale przedtem postanowiłam sprawdzić, kto jest naszym przeciwnikiem.

Poleciałam Jacenie zostać z tyłu i razem z Polillo wspięliśmy się po schodach, które prowadziły na pomost wokół wieży. Z jednej strony drzwi były otwarte i widać było przez nie podskakujące żywo sylwetki. Naprzeciw drzwi znajdowało się jedno z okrągłych okien. Zbliżyłyśmy się do niego, nisko pochylone, i ostrożnie wyprostowałyśmy się, by popatrzeć. Polillo, wstrząśnięta, głośno wciągnęła powietrze. Każda z nas z pewnością miała jakieś wyobrażenie o tym, co ujrzymy, ale sceny we wnętrzu wieży przerosły wszystko. Powiem tylko, że nie jest to historia dla dzieci. Nie powinno się jej też opowiadać zaprawionym w boju towarzyszom broni, siedząc z nimi w ciepłej tawernie nad dzbanem wina i pieczenią.

W olbrzymim pomieszczeniu zgromadzono przedmioty zrabowane ze statków, które utkwily w sargassowym morzu. Wszędzie leżały stosy wyszukanej odzieży, kufry pełne klejnotów i złotych naczyń. Między nimi piętrzyły się worki z egzotycznymi przyprawami. Na ścianach rozwieszono mnóstwo kosztownych obić, udrapowano brokaty i jedwab. Między nimi wisiała starodawna broń i zbroje, jak również dziwaczne, porzewiałe maszyny, których zastosowania nie znałam. Na środku, w morzu wysokich płomieni, bulgotał i dymił kocioł, którego zawartość śmiało mogłaby wyżywić

armię. Ogień mienił się tyłoma jaskrawymi kolorami, że z pewnością był magiczny. W kotle gotowało się mięso, a unoszącego się zeń zapachu wołałabym raczej nie opisywać. Mężczyźni tańczyli do wtóru muzyki, dochodzącej zewsząd i znikąd.

Od czasu do czasu z tłumu ktoś wyskakiwał, zanurzał gołe ręce we wrzątku i krzycząc z bólu przebierał palcami tak długo, aż udało mu się wyłowić kawałek mięsa. Następnie żuł go jak szaleniec, łkając przez cały czas. Zwykle jednak nie udawało mu się przełknąć więcej niż dwa, trzy kęsy, bo pozostali rzucali się na niego, pazurami walcząc o żer.

Widok ten tak mną wstrząsnął, że na razie nie zauważyłam, kto przewodzi szaleńczemu obrzędowi. Nie można było się pomylić co do jego osoby: na podwyższeniu, wyłożonym grubymi gobelinami, leżał w niedbałej pozie demon.

Od żółtych, zakrzywionych szponów u stóp aż po pojedynczy, najeżony wyrostkami nóg na głowie mierzył mniej więcej dwie długości oszczepu. Róg był żyłkowany biało i czerwono, jak słonina ze świeżo zarżniętej świni. Długie łapy demona przypominały małpę, zaś palce kończyły się szponami, podobnie jak u stóp. Zamiast skóry miał łuski, białe jak śmierć, a długi, również pokryty wyrostkami ogon uderzał o ziemię z rozkoszy za każdym razem, gdy kolejny, rozdierany bólem mężczyzna rzucał się w stronę kipiącego kotła. Choć potwór był długi, nie miał na sobie zbędnego tłuszczu, lecz składał się z potężnych kości, wielkich, węzlastych stawów, żeber jak wręgi okrętu i długich, mocarnych mięśni. Rogaty trójkątny łeb miał dwie otoczone czerwienią dziury zamiast nosa i ostry wyrostek kostny zamiast ust.

Nagle wybuchła kolejna walka; oto jeden z ludzi, starając się dopaść mięsa, przez pomyłkę wyrwał zębami drugiemu kawałek ciała z ramienia i pożarł je bez wahania. Ich bestialski pan aż zawył z ukontentowania. Był to ten sam niesamowity dźwięk, który słyszałyśmy na początku naszej wyprawy w chwilach, gdy muzyka cichła. Spiczaste zęby potwora były długie na palec, a błyskawicznie poruszający się, długi język miał barwę szaroróżową.

Z góry założyłam, że demon jest płci męskiej, co nie jest zbyt sprawiedliwe z mojej strony, bo nie potrafię z całą pewnością powiedzieć, czy przypadkiem nie był kobietą. Miałam w życiu szczęście; spotkałam więcej dobrych mężczyzn niż złych i ci, z którymi się liczyłam, zawsze mnie dobrze traktowali. Przepraszam więc, że określiłam tę bestię jako stwora rodzaju męskiego, ale sama w ten sposób do dziś o nim myślę. Choć był nagi, nie spostrzegłam, jaki organ płciowy ma między nogami. Widziałam tam tylko białą, obrzeżoną czerwienią wypukłość. Nie przyglądałam jej się jednak na tyle długo, by spostrzec, czy wychylał się z niej penis, gdy potwór podniecał się rozpaczliwymi

podrygami swych podwładnych.

Polillo trąciła mnie łokciem i wskazała na inną scenę: oto na szerokim, pokrytym dywanem podeście znajdowało się źródło muzyki. Była to kobieta - jedyna kobieta wśród niewolników demona. Była również jedyną grubą osobą na tym statku. Naga, jak pozostali, miała ogromne piersi, opadające na opasły brzuch, nogi i ręce tak odtłuszczone, że wydawały się bezużyteczne, i nieprawdopodobnie spalone pośladki, składające się z niezliczonych fałdów tłuszczu. Choć siedziała, widać było, że wzrostem sięgałaby postawnemu mężczyźnie ledwie do pasa. Włosy zwisały w tłustych kosmykach z głowy tak małej, że wyglądała jak główka lalki ustawiona na górze sadła. Oczy miała jak kropeczki i nieustannie wydymała małe usteczka, grając na dziwnym, podobnym do liry instrumencie. Na czarnym, matowym szkielecie naciągnięto pasmo szarego, mięsistego materiału, który lśnił od wilgoci, ściekającej spod jej palców. Dłonie kobiety przebiegały po strunach liry, które gładziła raczej niż szarpała. Szaleńczemu tańcowi mężczyzn wtórowały przedziwne, chrypliwe dźwięki. Obok kobiety stała drewniana taca wielkości stolika, na której piętrzyła się piramida jedzenia: stosy mączki zbożowej, kawałki gotowanego mięsa z tłuszczem, mnóstwo krabów i innych owoców morza.

Demon znudził się w końcu zabawą i czubkiem ogona pogładził kobietę.

Odwróciła się do niego i zrobiła grymas, który chyba miał być uśmiechem.

Kiwnęła głową, jakby w odpowiedzi na niewypowiedziane słowa, i przestała grać. W powstałej ciszy mężczyźni natychmiast padli na ziemię, oddając cześć demonowi.

- Kochami cię, panie - wygłaszali chórem. - Jesteś wcieloną miłością, pięknem i dobrem.

Demon otworzył paszczę i odezwał się.

- Ja dawać wam jeść - powiedział głosem suchym i szorstkim jak syk żmii.

- Tak, Panie - odrzekli - ty dawać nam jeść.

- Inni nie jeść - oświadczył.

- Są niegodni, Panie - odpowiedzieli mężczyźni.

- Ja dawać im spać.

- Spać, tak, spać. Zesłałeś im dar snu.

W czasie tej recytacji kobieta obżerała się jedzeniem z tacy. Obiema rękami popychała ogromne ilości pożywienia, które wypadało z jej pełnych ust i ściekło po policzku na obwisłe piersi.

- Jutro więcej jeść - zasyczał demon. - Jutro wszyscy jeść!

Mężczyźni byli tak podnieceni, że chór rozpadł się na pojedyncze pochwalne głosy, wygłaszające różne szaleńcze zwroty.

- Jutro wy iść na statki. Przynieść jeść dla wszystkich - oświadczył demon.

Poczułam, jak Polillo przebiegł dreszcz. To nas demon miał na myśli.

Jego ludzie wrzaskliwie obiecywali, że pozabijają nas wszystkich. Nagle jednak ucichli, gdy powstał na całą wysokość i spojrzał na nich z góry.

- Nie zabijać wszystkich - ryknął. - Zabić część. Niewolnicy dla Pana.

Jeść dla Pana. - Mężczyźni natychmiast wydali potakujące mruknięcia, przyrzekając posłuszeństwo we wszystkim.

Demon zwrócił się do kobiety. Nadal zgarniała jedzenie do ust, ale wyczuła chyba, że jest potrzebna, bo zamarła w połowie gestu i spytała: - Pan jeść teraz, dobrze? - słodkim głosem małej dziewczynki.

- Tak. Przyprawdź dobre jedzenie - odpowiedział demon.

Kobieta strzepnęła z dłoni resztki jedzenia niemal wyrefinowanym gestem i powstała. Ciężkim krokiem przechodziła wzdłuż szeregów klęczących mężczyzn i dźgała ich palcem, szczypała po rękach, pośladkach i krocach.

Kiedy skończyła ich oglądać, ruszyła w pochód po raz drugi, by upewnić się, czy dobrze wybrała. Czterej ludzie, których uderzyła po ramieniu, wrzasnęli z udawaną radością: - Dzięki, panie. Cieszę się, że jestem godzien.

Demon machnął ręką i podpełzli ku niemu na kolanach.

Machnął ogonem i chwycił nim jednego z nich. Zaostrzony koniec wbił się mężczyźnie w ciało i uniósł w górę bełkocącą z bólu i przerażenia ofiarę, po czym wrzucił go do gotującego się kotła, wyjąc z radości na widok rzucającego się z bólu człowieka. Potem wyciągnął go, jeszcze żywego i drgającego, wsadził sobie do pyska i zaczął jeść. Zaczął od palców u nóg i posuwał się w górę, radując się wielce z ludzkiego cierpienia.

Odwróciłam się od okna, bo żołądek podszedł mi do gardła. To było nie do wytrzymania. Spojrzałam na Polillo, która z obrzydzenia zbladła jak chusta.

Nie byłyśmy w stanie mówić, tylko się objęłyśmy, by oprzytomnieć i poczuć bliskość drugiej osoby. W końcu pociągnęłam nosem, powstrzymując łzy i wypuściła mnie z ramion.

- Bardzo bym chciała własnoręcznie zabić to... stworzenie - powiedziała.

- Obiecuję, że ci go oddam, jeśli nadarzy się okazja.

Zbiegłyśmy po schodach, zabrałyśmy Jacynę i pozostałe dziewczęta i ruszyłyśmy w powrotną drogę. Po kilku minutach już przekradałyśmy się pośród powalonych zakłębionymi mężczyzn; wkrótce byłyśmy na zewnątrz, oddychając wilgotnym nocnym powietrzem. Chwilę odpoczywałyśmy, a następnie nakazałam wszystkim zająć pozycje przy głównym wejściu. Polillo uśmiechnęła się paskudnie, wyjęła topór z pochwy i zaczęła nim wymachiwać dla rozgrzewki. Reszta również dobiła broni i starała się rozprostować zeszywniałe mięśnie, a ja uklękłam i rozpoczęłam przygotowania. Rozwinęłam cienki płat skóry, pokrytej symbolami, które Gamelan polecił mi przepisać z magicznej księgi. Jako hubka posłużyło mi kilka patyczków kadzidła; posypałam je odrobiną startej na pył sadzy, która podobno pochodziła ze świętego drzewa, i skrzesałam długą iskrę, która padła na moje paliwo. Lekko dmuchałam na miniaturowy stos, aż na pergaminie zapłonął równy ogień.

Zachowałam odrobinę czerwonej nitki, która teraz zanurzyłam we flakonie z oliwą i przesuwając nad żarem, recytując: O ty, który mieszkasz w ogniu, O ty, która śpisz w płomieniu, Wyjdźcie na swobodę!

Rzuciłam na pergamin nitkę, która zapłonęła jasnym, gorącym ogniem, i szybko zwinęłam kartę w rulon. Wstałam i zaczęłam nim machać nad głową, aż buchnął płomieniem. Choć wydawało się, że ogień całkiem ogarnął mi rękę, nie czułam gorąca ani bólu. Podbiegłam do wejścia i wrzuciłam płonący zwitek do środka. Upadł obok gromady śpiących. Ani jeden z nich się nie poruszył, choć pergamin zaczął syczeć i sypać iskrami. Stałam i patrzyłam, skamieniała z żalu, gdy płomienie rosły i stawały się coraz jaśniejsze. Widziałam, że nitka, którą zawiązałam poprzednio na głównym filarze ładowni, zaczyna błyszczeć.

Drewno w okamgnieniu stanęło w ogniu, a mimo to nikt się nie obudził.

Wycofałam się, szukając w górze miejsc, gdzie zawiązałam inne nitki.

Wszystkie zaczęły świecić, ożyły i wreszcie buchnęły gorącymi, głodnymi jęzorami ognia.

Pierwsze krzyki usłyszałyśmy, gdy środkowa wieża rozjarzyła się nagle i w jednej chwili stała się żywą ścianą płomieni. Widziałam, jak nadzy ludzie wybiegają na pomost, który również płonął. Ginęli straszną śmiercią w ogniu.

Po chwili pomost się zawalił i spadł na główny pokład, rozsypując wszędzie płonące głownie.

Usłyszałam ryk bólu i wściekłości: to demon wyfruwał przez robite okno.

Na moment zawisł w powietrzu, po czym sięgnął po kobietę. Posadził ją sobie na ramionach i wspiął się na czubek wieży. Stał tam, otoczony płomieniami, kręcąc głową na wszystkie strony. Nagle wydało mi się, że spojrzał wprost na nas. Rzeczywiście: wskazał nasz oddziałek pazurzastą łapą i ryknął z wściekłością: - Obudźcie się! Obudźcie się!

Usłyszałam straszliwe wrzaski w ładowni, gdy wyzwoleni spod władzy zaklęcia ludzie oprzytomnieli w środku pożaru, otoczeni morzem płomieni.

- Zabić ich! - krzyczał demon. - Zabić ich!

Za zasłony dymu poczęli niezgrabnie wybiegać ludzie; niektórzy płonęli, inni wykasływali z płuc sadzę, ale nikt nie uciekał. Wszyscy atakowali nas, wyciągając pazury lub wygrażając mieczami, które zdążyli schwycić, gdy demon ich obudził. W walce z moimi gwardzistkami nie mieli jednak żadnych szans. Polillo z gromkim okrzykiem bojowym na ustach skoczyła w tłum, wymachując toporem. Ismet i reszta kobiet wezwały Maranonię, błagając o przyływ sił, i zaczęły zabijać wszystkich w zasięgu ręki. Po kilku minutach falująca pod naszymi stopami warstwa wodorostów ugiwała się pod stosami zwłok i przesiąkła świeżą krwią. Nieprzyjaciół wrzucano w piekło płomieni, na śmierć. Niektórzy chcieli się wyrwać, ale moje wojowniczkę szalały: jedyną ucieczką przed nimi była śmierć w ogniu.

trzymałam się z dala od walki, obserwując dalsze posunięcia demona.

Ryczał w bezsilnym gniewie, wzywając niewolników do ataku. Przez dach wieży przedarły się języki płomieni, więc musiał się cofnąć. Kobieta straciła oparcie, zsunęła mu się z ramion i z krzykiem spadła na ziemię. Uderzyła w warstwę wodorostów, która ugięła się sprężysto, amortyzując upadek, i prawie odbiła ją do góry. Widziałam, jak grubaska wstaje, krzycząc ze strachu.

- Polillo! - ryknęłam. Zwróciła ku mnie zbryzganą krwią twarz.

Wskazałam na kobietę, stojącą tuż obok. - Bierz ją!

Olbrzymka rzuciła się w tamtą stronę. Kobieta niezgrabnie próbowała uciec, więc dostała po głowie obuchem. Moja zastępczyni złapała ją i zarzuciła sobie na plecy.

Demon wrzasnął z gniewu. Z dachu wieżyczki buchnęły płomienie, lecz nie zniszczyły go. Wręcz przeciwnie, wydawało się, że dodają mu sił. Ciało jego lśniło energią i chyba nawet urósł. Blask stał się zbrojnym pancerzem, a z boków wystrzeliło sześć owadzich nóg, obracających się w potężnych stawach.

Potwór szybko zbiegł po ścianie wieży, prosto przez ogień. Trzaskał potężnymi żuwaczkami, a długi, kolczasty ogon ociekał trucizną.

Krzyknęłam hasło do odwrotu i pobiegłyśmy na okręt. Jacena popędziła przodem, by zaalarmować wszystkich na pokładach. Przed nami widniała wyraźna ścieżka. Olej, który Polillo tak niechętnie rozlewała na naszych śladach, zaczął świecić, wyznaczając szlak prosto ku statkom i bezpieczeństwu.

Udało mi się spojrzeć w biegu przez ramię: demon opadł na ziemię i wrzasnął na swych niewolników. Ci, którzy przeżyli, zgromadzili się wokół niego, zagryzając wargi z żądzą krwi.

Demon zawołał mnie po imieniu: - Antero! Zabiję cię, Antero!

W odpowiedzi przyśpieszyłam biegu, przeskakując przez dziury w wodorostach, pozostałe po naszych upadkach. Z ostatniej nagle wychyliła się zakrzywiona macka, wielka i pokryta okrągłymi, rozwartymi przyssawkami.

Owinęła się wokół Ismet, która krzyknęła z bólu. Ale zanim bestia wzmocniła uścisk, już tam byłam. Cięłam mackę mieczem. Pod nami zawrzało, gdy stwór zareagował na ból. Ismet odrzuciła wijący się wciąż kikut. W miejscach, gdzie przyssawki dotknęły ciała, widniały krwawiące rany. Pobieglyśmy dalej, ale przez ten wypadek wróg już deptał nam po piętach, zaś z tyłu syczał demon, przeklinając i popędzając swoich niewolników.

Ujrzałam statek i w tym samym momencie poczułam, że powietrze rozdziera ulewa strzał. Za nami rozległy się krzyki. Gdy Polillo dotarła w bezpieczne miejsce, rzuciła brankę na pokład i wydobyła topór z pochwy.

- Chodźcie no tu, świnioluby! Mam tu dla was delikates - krzyczała, wywijając bronią nad głową.

Kilku mężczyzn zdołało nas wyprzedzić, by odciąć oddziałek od bezpiecznego schronienia, ale zginęli pod jej ciosami. W tym czasie Ismet i reszta dostała się na okręt. Z pokładu poleciała kolejna salwa strzał. W końcu i ja znalazłam się u boku Polillo. Już przygotowałam się do walki, lecz spostrzegłam, że demon odwołuje niewolników. Na falującej równinie piętrzyły się stosy ciał, oświetlone niesamowitym blaskiem płonącego domostwa potwora. On zaś wrócił do swej poprzedniej postaci i warcząc oraz sycząc poprowadził swoich ludzi w ciemność, aż zniknęli mi z widoku.

- Za łatwo się poddali - narzekała Polillo. - Dopiero się rozgrzewałam.

- Nic się nie martw - odparłam, dysząc. - On tu jeszcze wróci.

Wyczerpana, wspiełam się na pokład, prosto w serdeczne uściski gwardzistek. Wiwatowały i klepały nas po ramionach, wyciągając bukłaki pełne wina, byśmy mogli ugasić pragnienie.

Przechyliłam naczynie i pociągnęłam solidny łyk, tak by wino wylało mi się z ust i popłynęło chłodną strugą po ciele. Zmęczenie umknęło przed strumieniem alkoholu. Poczulałam się naprawdę świetnie. Wprawdzie nie odniosłyśmy wielkiego zwycięstwa, ale biorąc pod uwagę naszą sytuację, spisałyśmy się wspaniale.

Przespałam kilka godzin i wstałam, wielce odświeżona i gotowa na następne spotkanie z demonem. Nie wątpiłam, że przybędzie, tym bardziej że mieliśmy doskonałą przynętę: jego ulubioną niewolnicę. Miała na imię Chahar i bynajmniej nie wyglądała na przerażoną porwaniem. Kazałam postawić na pokładzie namiot z tkaniny w kolorowe wzory i zaprowadzić ją tam na przesłuchanie.

- Pożałujecie tego - powiedziała, wchodząc. - Mój pan Elam mnie kocha.

Zapłacicie za to.

Nie powiedziałam jej, że właśnie liczę na takie podejście ze strony jej ukochanego Elama. Wskazałam tylko kilka miękkich poduszek, które rzuciłam na pokład, by branka miała na czym oprzeć gołe, tłuste pośladki. Polillo stanęła tuż obok niej, marząc, aby do wydobycia zeznań z tej kobiety niezbędne stało się zadawanie bólu. Prześladował ją, podobnie jak mnie samą, obraz potworności widzianych w zamku demona i naturalnie pragnęła zemsty za tych wszystkich zamęczonych mizeraków.

- Daj mi tę tłustą dziwkę na małe pół godzinki - warknęła. - Wypluje z siebie flaki albo jej sama wytnę i porobię z nich kiełbasy na kolację.

Chahar odsunęła się od niej ze strachem. Mrugnęłam do Polillo i powiedziałam: - Nie powinniśmy się chyba tak śpieszyć. Być może myliliśmy się co do lorda Elama.

Gamelan, obecny przy przesłuchaniu, podchwycił wątek.

- Na pewno masz rację, kapitanie Antero - oświadczył. - Rzeczywiście mogliśmy źle ocenić lorda Elama. Może on rzeczywiście jest dobrym panem, który dobrze nas potraktuje, jeśli mu będziemy posłuszni.

- Ach, naturalnie - powiedziała Chahar. - On naprawdę potrafi być dobry.

Tylko czasem się gniewa, ale to dlatego, że jest taki smutny.

- Smutny? - spytał Gamelan. - Dlaczego taki potężny pan miałby być smutny?

- Jest samotny, bo nie może wrócić do domu - odparła.

- Ach, tak... Opowiedz nam o tym coś więcej, moja droga. A przez ten czas porucznik Polillo przyniesie ci coś do jedzenia. Po tych wszystkich strasznych przejściach na pewno bardzo zgłodniałaś.

- No cóż, zjadłabym odrobinę - zgodziła się, pokazując dwoma paluszkami, jak niewiele jej potrzeba.
- Byłabym niegrzeczna, odmawiając.

Polillo uniosła się gniewem, ale ponownie do niej mrugnęłam i wściekły grymas na jej twarzy zmienił się w uśmiech - na tyle, na ile potrafiła się do niego zmusić w tych okolicznościach. Był to więc raczej grymas, wykrzywiający usta. Wyszła, by spełnić moje polecenie. Usiadłam na pokładzie obok Chahar i gawędziłam z nią o różnych nic nie znaczących sprawach aż do powrotu Polillo. Zrozumiała o co mi chodzi i z pomocą kilku gwardzistek przytасzczyła misy pełne najróżniejszego jadła. Chahar zanurzyła w nim obie ręce i wkrótce była brudna po uszy.

Gdy doszłam do wniosku, że jest już na tyle ułagodzona, by złapać się na moją sztuczkę, podjęłam śledztwo.

- Powiedziałaś przedtem, że twój pan nie może wrócić do domu.

Dlaczego tak jest?

Chahar eleganckim ruchem strzepnęła okruch przyklejony do dolnej wargi.

- Bo się zgubił - odparła. - Widzisz, on nie jest stąd. Przybył z ... - pomachała ręką, szukając odpowiedniego słowa, ale nie znalazła. - Nie stąd.

Nie z żadnego miejsca. Coś w tym rodzaju.

- Chcesz powiedzieć, że jest z innego świata? - wtrącił Gamelan.

-Tak. Nie z naszego świata. Z innego. Właśnie stamtąd jest. Tam jest jego dom.

- Jak to się stało? - spytałam.

- Noo... kiedyś mi to wyłożył, ale mnie jest ciężko tyle zapamiętać. Nie jestem za bardzo mądra. Nie wiele jest rzeczy, na których się znam. Tylko umiem zrobić, żeby mój Pan był szczęśliwy. Wiem, czego chce, nawet jeśli o to nie prosi na głos. Umiem zrobić, żeby był szczęśliwy, naprawdę. Dobrze to umiem.

Gęste brwi Gamelana uniosły się nad niewidzącymi oczyma.

- Jest jego faworytą - powiedział do mnie.

- Och, tak! - rozpromieniła się Chahar - Jestem jego najlepszą faworytą ze wszystkich.

Wiedziałam, że mistrzowi chodziło o coś innego; otóż ta kobieta służyła demonowi tak, jak pomniejsze demony służą naszym magom, na przykład ten maluch, który gotuje Gamelanowi i spełnia dla mnie różne drobne posługi. Ale nie powiedziałam tego, na głos, tylko pogłaskałam ją po głowie.

- Na pewno tak jest, moja miła - uspokoiłam ją. - A teraz powiedz mi, proszę, jak to się stało, że lord Elam znalazł się w tak smutnym położeniu?

- Na ile pamiętam, przyprowadził go tutaj zły czarownik. Znaczący przy... przywołał go, to jest właściwe słowo. A ten zły czarownik był taki mocny, że mój pan nie potrafił sobie poradzić. I dlatego przyszedł. A ten czarownik kazał mu robić różne rzeczy. Ale maga zabili w jakiejś bitwie, a teraz mój pan nie wie, jak wrócić do domu. Zgubił się, wiesz? Jakies dwieście lat temu.

Szerokim gestem dłoni wskazała sargassowe morze, w którym zostaliśmy uwięzieni.

- Przez tyle lat robił to wszystko. Żeby mieć dla siebie dom i jedzenie i służących i wszystko. Mówi, że to taka duża pajęczyna. Tylko że naprawdę nie jest bardzo duża. W każdym razie to on tak mówi. Ale ciągle robi, żeby była większa.

Udałam, że jej nie wierzę.

- Nie opowiadaj takich rzeczy! Nikt nie potrafiłby zrobić czegoś takiego.

Nawet twój pan nie ma takiej mocy!

Moje słowa bardzo ją uraziły.

- To naprawdę on! I dalej to robi. Zatrzymuje wiatr. I każe wodorostom rosnać i trzymać się razem. I żeby inni byli szczęśliwi, nawet jak ich kaleczy.

Nie dlatego, że jest zły, albo coś takiego. Tylko wtedy jego jedzenie jest lepsze.

A mnie nigdy nic złego nie zrobił. No, może czasem, jak potrzebuje krwi do swoich czarów. Ale to nie boli tak bardzo. Sama sobie nacinam rękę i wpuszczam mu do kubka trochę krwi, a on ją miesza z innym rzeczami. To tylko trochę szczypie, a on jest taki dobry, bo potem pozwala mi trochę więcej zjeść, więc mi to wcale tak nie szkodzi.

- A dlaczego wybrał właśnie ciebie, kotku - spytał Gamelan. - Dlaczego twoja krew jest taka ważna?

Chahar zagarnęła więcej jedzenia.

- Mój ojciec był czarownikiem - odparła rzeczowo i wsadziła je sobie do ust. Poczekaliśmy, aż przełknie. - Ja nie jestem, ale mój ojciec był. Ale umarł.

A nowy czarownik zrobił mu uroczysty pogrzeb. Moi ludzie zrobili wielką łódź i wsadzili do niej wszystkie rzeczy ojca. I mnie też, i matkę, i moich braci i siostry. Było nas dziesięcioro. I matka. A potem puścili łódź na morze, żeby nas prąd zabrał gdzieś daleko. Bardzo daleko. W końcu dopłynęłam tutaj. I znalazł mnie mój pan.

- Tylko ciebie? - spytałam. - A co się stało z innymi?

Chahar wzruszyła ramionami.

- Poumierali - odparła. - Nie mieliśmy jedzenia, no to trzeba było jeść tych, co sami pomarli. A potem zaczęli mi się przyglądać, pewnie dlatego, że jestem trochę gruba. No to w nocy pozabijałam wszystkich. Takim nożem. Jak spali. No i miałam dużo jedzenia - z tymi słowy wbiła zęby w udko

ptaka.

Dodała: - Na końcu zjadłam matkę. Była strasznie chuda. No i tak tu dojechałam. Pewnie moja krew jest taka dobra, bo chociaż nie jestem czarownik, to jest we mnie tyle krwi ojca, że wystarcza mojemu panu do magii.

Słuchaliśmy tej relacji kompletnie oniemiałi.

Gamelan otrząsnął się pierwszy.

- Rzeczywiście, jesteś kimś bardzo... - tu odchrząknął - ... niezwykłym, moja droga. Powiedz mi, nie tęsknisz ty czasem za domem? Za twoim ludem?

Chahar gwałtownie potrząsnęła głową, co spowodowało dygotanie zwałów tłuszczu od policzków po uda.

- Nigdy - odparła. - Oni byli dla mnie niedobrzy. Zawsze. Nawet jak plotłam im mapy. Myśliwi tylko wyrywali mi je z rąk i mówili różne brzydkie rzeczy.

- Plotłaś mapy? - spytałam, ledwie ukrywając podniecenie. - Jakie mapy?

- No, te, które ojciec mi kazał robić, głupia - odpowiedziała branka. - Czasem myśliwi muszą daleko pływać łodziami, więc ojciec dawał im mapy, żeby mogli znaleźć miejsca, gdzie trzeba iść po zwierzynę. A potem wrócić.

- Dlaczego kazał je robić właśnie tobie?

Spojrzała na mnie jak na niedorozwiniętą.

- Bo musiał mieć ich strasznie dużo. I wszyscy je gubili albo psuli, więc trzeba było robić i robić. Ojciec nie miał czasu, a bracia i siostry zawsze pracowali. Nie wychodziło mi, ale ciągle byłam chora i nie mogłam pracować, więc mnie kazał je pleść. A potem mówił jedno zaklęcie i już.

- Mogłabyś teraz zrobić taką mapę? - spytałam.

Prychnęła pogardliwie.

- Pewnie, że bym mogła. Nie jestem mądra, ale tyle uplotłam, że nigdy tego nie zapomnę. Czasem mi się nawet śnią - zadygotała. - Jak mam złe sny. O domu.

- Zrobisz dla nas jedną? - nalegałam.

Potrząsnęła głową.

- Mojemu panu Elamowi to się nie spodoba.

- Nie będzie się gniewał - odparłam - jeśli w zamian za to puścimy cię wolno.

Spojrzała na mnie zimno.

- A po co wam mapa? Nigdy się stąd nie wydostaniecie.

- Mimo to jeśli zrobisz dla nas mapę, puszcze cię wolno - odparłam.

Rzuciła mi następne długie, lodowate spojrzenie. Żując kolejną porcję jedzenia, rozważała moją propozycję. W końcu spytała: - Obiecujesz?

- Obiecuję - skłamałam.

Kazała nam przynieść patyki i tyle muszli, kamyków i przedzy, ile znajdziemy. Praca zajęła jej godzinę. Miała zręczne palce jak na tak leniwe, tłuste stworzenie, więc prymitywna mapa była dość solidna. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego, lecz słyszałam opowieści podróżników o zdumiewająco dokładnych mapach, robionych przez barbarzyńców.

Skończyła, oddała mi swoje dzieło i wskazała główne punkty orientacyjne.

- Jesteśmy gdzieś tutaj - jej palec powędrował w stronę dużej muszli przy górnej krawędzi mapy. - Nie jestem całkiem pewna, ale tędy płynął prąd, który niósł nas w tej łodzi - pokazała niebieską nitkę, przeplecioną przez witki.

Dowiedzieliśmy się od niej, gdzie są najważniejsze wyspy, a także tego, że ich mieszkańcy nie są przyjaźnie nastawieni od obcych. W końcu pokazała cały archipelag na dole mapy.

- To Konya - wyjaśniła. - Tu jest bardzo dużo ludzi. To bardzo daleko, prawie nikt od nas tam nie pływał, od dawna. Mówili, że tam są setki dużych wysp i pełno ludzi. I mają różne cudowne rzeczy i nigdy nie są głodni, bo mają najmocniejszych magów na świecie. Mają króla, i duże domy zamiast chat, i ogniska, które nie dymią. Mają jeszcze takie rzeczy, w które się patrzy i patrzy, i to są książki, a ich statki pływają po całym morzu. - Wzruszyła ramionami. - Do nas pewnie nie przyplływali, bo jesteśmy tacy głupi.

Polillo uśmiechnęła się po raz pierwszy od początku przesłuchania.

- Cywilizacja! - powiedziała.

Chahar potrząsnęła głową.

- Nie. Powiedziała, że to Konya, a nie jakaś cywila, czy jak tam. - Wykrzywiła się do Polillo. - Ty chyba też jesteś strasznie głupia - stwierdziła.

Olbrzymka tylko się roześmiała. Gamelan cały promieniał. Mapa była dla nas tym, czym klucz do baśniowego skarbcza - tyle że tym razem największym ukrytym w nim bogactwem było nasze życie.

Chahar popatrzyła na nas, nagle zaniepokojona.

- Zrobiłam, co chcieliście - powiedziała, wskazując na mapę. - Teraz wasza kolej. Wypuście mnie, gdy przyjdzie dobry pan Elam, prawda?

- Ależ oczywiście - odparłam z całą serdecznością, na jaką mogłam się zdobyć. - Inna myśl nawet by mi w głowie nie powstała.

Gamelan zastukał laską w pokład, by przyciągnąć moją uwagę.

- Wydaje mi się, że musimy o tym porozmawiać, kapitan Antero. I to na osobności, jeśli pozwolisz.

Pozostawiłam Polillo na straży, szeptem zabroniwszy jej krzywdzenia tej świni i wysłałam za Gamelanem z namiotu.

Gdy znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu, powiedział: - Mam nadzieję, że zamierzasz dotrzymać tej obietnicy.

Byłam zdumiona.

- Na wszystkich bogów, dlaczego miałabym jej dotrzymywać? Przecież to nasza karta przetargowa. Jedyna rzecz w naszym posiadaniu, która liczy się dla tego demona.

- Ach, nie mam nic przeciwko targom. Nie spodziewasz się chyba, że on potem dotrzyma słowa. Ale trzeba będzie się trochę cenić, dla zachowania pozorów. W przeciwnym razie nabierze podejrzeń, że się jej tak łatwo chcemy pozbyć.

- Magu - odrzekłam górnolotnie - czuję, że pod twą czaszką rodzi się jakiś genialny plan.

Zza zasłony brody zaświeciły zęby.

- Nie plan - mruknął - tylko podła intryga.

- Proszę o szczegóły, mój mądry przyjacielu.

Powiedział mi wszystko. Plan był genialny, prosty i rzeczywiście wredny.

Krótko mówiąc, posiadał wszystkie zalety skutecznej intrygi. Magiczna część wymagała jedynie kilku ciągutek, które odkleiłam od dna torby Corais.

Wiedziałam, że dziewczyna ma słabość do słodczy, choć stara się ją powściągać. Odświeżyłam je substancją, którą potrafi zrobić każdy magik z targowiska i wyrecytowałam kilka słów, których tu nie powtórzę. Morderstwa i tak stały się już zbyt powszechne. Powróciliśmy do namiotu i gawędziliśmy chwilę. Podałam ciągutki Chahar, która aż zakipiała z radości. Tak, ta gra słów jest całkiem zamierzona, czytelniku.

Zanim słońce wspięło się wysoko na niebiosa, dzikuska zaczęła odczuwać senność. Wtedy powrócił

demon.

Pierwsza wypatrzyła go Gerasa. Kazałam jej, wraz z grupą najlepszych łuczniczek, obserwować wodorosty na wypadek, gdyby Elam próbował zaatakować nas z zaskoczenia. Gdy usłyszałam jej ostrzeżenie, pierwszą rzeczą, która przykuła moją uwagę, była wielka fala, pędząca prosto na nas pod grubym kozuchem wodorostów. Zatrzymała się gwałtownie w odległości kilkunastu metrów. Pojawiła się w niej dziura, z której buchnął gruby słup czarnego dymu.

Wszyscy stanęliśmy w gotowości, niepewni, czego się spodziewać. Dym kłębił się i strzelał palącymi iskrami. Stopniowo przybrał kształt Elama, dwa razy większego, niż poprzednio. Oczy miał jak przepastne studnie pełne furii i wściekle smagał się ogonem po bokach. Wiedząc, że nie podszedłby do nas tak blisko, a w dodatku sam, nie rzuciwszy uprzednio zaklęć ochronnych, szepnęłam do Gerasy i innych, by wstrzymały ogień.

Z całym spokojem, na jaki mnie było stać, podeszłam do relingu i odezwałam się do demona.

- Dzień dobry, lordzie Elamie - powiedziałam. - Twoja obecność tutaj jest dla nas wszystkich wielkim zaszczytem.

Zignorował moje uprzejmości.

- Gdzie ona? - zasyczał tylko. Oddech miał tak cuchnący, że nawet z tej odległości niemal przyprawił mnie o wymioty.

- Mam wrażenie, że chodzi ci, panie o naszą miłą Chahar - odparłam.

- Czuje się dobrze, zaraz sam będziesz miał okazję się o tym przekonać.

Gestem poleciłam Polillo przynieść Chahar z namiotu. Tłuscioszka ziewała i przecierała oczy, ale na

widok Elama krzyknęła z radości i kołyszającym się krokiem przydreptała do mego boku.

- Przyszedłeś po mnie, panie - powiedziała i rozplakała się z wielkiej ulgi.

- Jak widzisz, panie - powiedziałam do Elama - czuje się nienajgorzej.

Choć świetnie się u nas bawiła, biedaczka jest zmęczona z powodu wielkich przeżyć i bardzo chce wrócić do domu.

Szponiasta łapa potwora wystrzeliła w moją stronę.

- Daj mi ją - ryknął. - Daj, bo zabiję wszystkich.

Potrząsnęłam głową, jakby zranił moje uczucia.

- Po co ciągle mówić o zabijaniu, lordzie Elamie? Dopiero co jadła kolację. - Poglądziłam Chahar po głowie. - Dobrze cię traktowaliśmy, prawda?

- spytałam. Przytaknęła, płacząc.

- Nic mi nie zrobili - zawołała do Elama. - I obiecali wypuścić.

Złapałam ją za ramię tak mocno, że się skrzywiła.

- Poczekaj chwileczkę, moja droga - powiedziałam. - Najpierw muszę porozmawiać z twoim panem.
- Spojrzałam na Elama. - Możesz ją sobie zabrać, pod warunkiem, że uwolnisz nas z tego miejsca.

Demon roześmiał się. W każdym razie zdawało mi się, że to był śmiech, bo brzmiał raczej jak odgłosy stada polujących wilkołaków.

- Nie - oświadczył. - Wy oddać. Ja nie zabijać. Wy moi niewolnicy. To łaska. Potrzeba mi niewolników. Dużo umarło w ogniu.

Potrząsnęłam głową.

- Choć z wielką przyjemnością spędzilibyśmy u pana wiele radosnych chwil - oświadczyłam - niestety nie możemy pozostać dłużej. Obawiam się, że będzie pan musiał pójść na pewne ustępstwa, albo... - złapałam Chahar za włosy, wyrwałam sztylet z pochwy i przyłożyłam jej do gardła. - Albo to twoja mała, tłusta faworyta umrze dzisiaj.

Chahar wrzasnęła: - Nie pozwól mnie skrzywdzić, panie! Proszę!

Demon, zamiast wybuchnąć gniewem, przyjął narzuconą przeze mnie pozę kupca, który stara się zawrzeć rozsądną transakcję z twardym negocjatorem. Strzepnął pazurami nieistniejący pyłek z łuskowatej piersi.

- Dlaczego was puścić? To tylko niewolnica.

- Może to i prawda - odparłam - ale gawędziłyśmy tu sobie z Chahar co nieco i teraz wiemy o tobie wszystko. Nie należysz do tego świata i potrzebujesz do życia magii zawartej w krwi tej dziewczyny, albo kogoś podobnego do niej. - Spojrzałam na niego z wielką litością. - Pewnie już słabiesz, panie. Jeśli jeszcze trochę poczekamy, może wcale nie będziemy musieli się targować.

Przerazająco szerokie ramiona potwora poruszyły się w pogardliwym geście.

- Jak nie ona, znajdę innych - powiedział. Rozdał płaskie nozdrza i zaczął węszyć. Poczułam na swym ciele nieziemskie palce. Pohamowałam dreszcz i tylko uśmiechnęłam się szerzej, by pokazać, że nie zrobił na mnie wrażenia.

Rozdziawił usta pozbawione warg i obnażył kły w grymasie rozbawienia.

- Ty masz krew wiedźmy - powiedział. - Może poczekam. Zabijesz Chahar. Ty będziesz faworyta Elama.

- Jesteś pewien, że starczy ci czasu, zanim utracisz całą moc? - spytałam. - Mamy dużo jedzenia i wody. I wszyscy jesteśmy wojownikami, nieporównywalnie lepszymi od tych słabeuszy, którzy ci służą. Ciekawe... kto ma więcej czasu do stracenia?

Ogon Elama znów gniewnie śmignął w powietrzu: - Daj mi Chahar - ryknął stwór. - Daj! Ja chcę!

- A puścisz nas wolno, jeśli ją dostaniesz? - spytałam.

Spojrzał na mnie chytrze, zezem.

- Tak - powiedział. - Puść Chahar. Ja puścić was. Umowa stać?

Przybrałam zaniepokojony wyraz twarzy i udawałam, że myślę nad jego propozycją. W końcu powiedziałam: - Przysięgniesz, że jeśli ją uwolnię, dotrzymasz słowa?

Demon znowu wybuchnął śmiechem.

- Elam przysięga. Teraz dajesz Chahar, tak?

Udałam, że się waham, po czym niechętnie pchnęłam Chahar w jego stronę.

- Jesteś wolna, możesz iść - powiedziałam.

Dziewczyna pisnęła z radości i z wdziękiem, nieoczekiwanym w tej górze sadła, skoczyła z burty do wody. Mocnymi ruchami rąk dopłynęła szybko do brzegu, Elam wyciągnął ją z wody i posadził sobie na ramieniu. Objęła go za szyję i ze szczęścia bębniła tłustymi piętami po łuskowatej piersi.

- Wypełniliśmy naszą część umowy - krzyknęłam w jego stronę. - Teraz twoja kolej.

Poprzednio śmiał się jak stado wilkołaków, teraz jednak ryknął jak tysiąc takich stworów, które zebrały się na ucztę. Udałam niebotyczne zaskoczenie.

- Na pewno puścisz nas wolno, prawda? - powiedziałam drżącym głosem.

- Skłamałem, głupia - nadał się z dumy. - Teraz wy moi niewolnicy. Albo zabić was. Jeszcze nie wiem.

Odwrócił się i ruszył przed siebie. - Odchodzę - rzucił przez ramię. - Robić magię z Chahar. Będę silny. Wtedy wrócę.

Wychyliłam się za odchodzącym, miotając przekleństwa z powodu tej zdrady. Umilkłam, jak tylko się oddalił. Odwróciłam się z wielce zadowolonym uśmiechem, a Polillo spoglądała na mnie z wielkim podziwem.

- Gdybyś zajęła się handlem, a nie wojaczką - powiedziała - zrobiłabyś większą fortunę niż twój brat.

Ze śmiechem powiedziałam jej, że w porównaniu z Amalrykiem jestem tylko marną amatorką. Ale jej słowa sprawiły mi przyjemność. Nie dlatego, że marzyłam o takim zawodzie, wiedziałam, że żadnej kobiecie nie pozwolono by znaleźć się wśród najprzedniejszych kupców Orissy. Zresztą, lubiłam żołnierskie rzemiosło. Miło było jednak pomyśleć, że być może Amalryk nie był jedynym sprytnym negocjatorem w rodzinie.

- Co teraz zrobimy? - spytał Stryker.

- Daj admirałowi sygnał, żeby przygotował się do odpłynięcia - odparłam.

- Jeśli bogowie nas nie opuszczą, ruszamy za godzinę.

Marynarz, kręcąc głową z niedowierzaniem, którego nawet nie próbował ukryć, poszedł spełnić moje polecenie.

Podszedł do mnie Gamelan.

- Dobra robota, moja miła - powiedział. - Jeszcze zrobię z ciebie maga.

Słowa te zepsuły mi całą przyjemność. Chciałam huknąć na niego, że jak tylko skończy się ta podróż, palcem nie kiwnę przy żadnym zakłęciu, ale taki był dumny ze swej uczennicy, że ugryzłam się w język i poklepałam maga po ramieniu.

Szukałam właśnie stosownej riposty, gdy powietrze przeszył krzyk strasznego bólu. Błyskawicznie odwróciłam się i ujrzałam, że demon niezgrabnie wybiega z za spalonego statku-olbrzyma. Wrzasnął jeszcze raz i zgiął się wpół, bo trucizna paliła mu wnętrzności. Zmusił się jednak, by wyprostować się i popędzić w naszą stronę błyskawicznymi, długimi susami.

Pozostali niewolnicy porzucali swe kryjówki i pobiegli jego śladem.

Przed jego nadejściem zdążyłam szybko wydać rozkazy. Gwardzistki dobyły broni i napięły łuki. Widziałam, że Elam zbiera siły i zbliżając się do nas, staje się coraz większy. Trzaskał pazurami i zagryzał zęby. Zatrzymał się na brzegu kanału.

- Ty mi skłamać! - zawołał.

- Ależ dlaczego tak sądzisz, Lordzie Elamie? - odparłam z wielką łagodnością. - Jak możesz coś takiego twierdzić?

- Ty zabić Chahar - wycharczał, szarpany następną falą bólu.

- I bardzo mi przykro z tego powodu - odparłam. - Niestety musiałam ją otruć, aby móc otruć ciebie. Czym mogę ci służyć, panie? Mów szybko, bo wielce jestem zajęta.

Niewolnicy tłumnie zgromadzili się za jego plecami, czekając na rozkaz do ataku. Wyciągnął się na całą długość i chciał wrzasnąć, żeby nas pozabijali, ale znów schwycił go ból i upadł na kolana. Jego ludzie jęczeli ze strachu.

- Widzę, że nie najlepiej się czujesz, milordzie - rzekłam. - Mogłabym ci może pomóc... pod warunkiem, że nas stąd uwolnisz. Ale tym razem, jeśli chcesz pozostać przy życiu, musisz dotrzymać słowa.

Demon zadygotał i kiwnął głową.

- Tak. Elam się zgadza.

Polillo podała mi skórzany bukłak, który przygotowaliśmy z Gamelanem.

Odkorkowałam naczynie, dobiłam noża i zacięłam się w ramię. Kilka kropel krwi spłynęło do środka, mieszając się z eliksirem. Zakorkowałam bukłak i oddałam go Polillo.

- Bądź uprzejma podać napoje, pani porucznik - poprosiłam.

Olbrzymka zamachnęła się i rzuciła bukłak klęczącemu demonowi. Wstał z wysiłkiem, odkorkował naczynie i podejrzliwie powąchał zawartość.

- Skąd wiedzieć, że nie kłamiesz? - spytał.

- Znikąd się tego nie dowiesz - odparłam. - Ale powiem ci jedno. To nie tylko odtrutka, ale wywar, który wiąże cię ze mną najsilniejszą przysięgą.

Oszukasz nas, a zginiesz w kilka godzin straszliwie bolesną śmiercią.

Dotrzymasz słowa, to przeżyjesz i będziesz mógł dalej prowadzić swoje brudne sprawy. Jeśli mam być całkiem szczerą, wołałabym pozwolić ci umrzeć.

Potem zdarłabym z ciebie skórę i powiesiła ją na ścianie tawerny, żeby wszyscy się z ciebie śmiali, kiedy będę opowiadać, jak toczyłam pojedynek z demonem Elamem, który uczynił tyle zła. Ale nie mam wyboru. Jeśli my mamy przeżyć, ty też musisz zostać przy życiu. Bardzo mi przykro z tego powodu. Niestety nie mogę na to nic poradzić. Wypij więc, milordzie. Wypij do dna i podziękuj swoim ohydny bogom, że powstrzymali kobietę, która cię pokonała, przed zrobieniem ci gorszej krzywdy.

Spojrzał na mnie wściekle. Nagle następna fala bólu przebiegła przez jego ciało. Szybko wypił eliksir.

- Pośpiesz się - ponagliłam go. - Jeśli natychmiast nie zaczniesz działać, wywar cię nie uzdrowi.

Wahał się długo, obracając głową, jakby chciał nakazać niewolnikom, by atakowali. Podeszli ku niemu, błagając o rozkosze zabijania. Odwrócił się jednak ku nam, wyciągnął się na całą długość i otworzył paszczę. Powietrze wtargnęło do niej z taką siłą, jakby duchy wszechczasów wyrwały się na wolność. A potem dmuchnął.

Ohydnie cuchnący wicher zadał w nas tak, że okręt niemal się przewrócił pod naporem. Wielu ludzi upadło na pokład. Wiatr ryczał nad nami, nad całą flotyllą i nad falującym morzem wodorostów. Nagle ustał równie gwałtownie, jak wybuchnął. Gorące, wilgotne powietrze ostygło, a po niebie zaczęły pędzić wielkie czarne chmury. Stryker ledwie zdołał wydać rozkazy, gdy z niebios uderzyła w nas następna zawierucha. Morze wyrwało się spod kożucha wodorostów i ruszyliśmy do przodu, z żaglami trzeszczącymi od naporu wiatru, który rozerwał brzegi kanałów, rozepchnął pływające wyspy wodorostów i otworzył szerokie, proste przejście na otwarte morze w dali. Usłyszałam w poszumie wichru dalekie, radosne wiwaty, gdy reszta floty spostrzegła, co się dzieje.

Z trudem dotarłam do relingu i wyjrzałam do tyłu. Czarna postać Elama tkwiła tam, gdzieśmy go zostawili. Płynęliśmy tak szybko, że wkrótce stał się tylko kropką na horyzoncie.

Zanim całkiem zniknął, ryknął pełnym głosem, który wzbił się ponad wycie wiatru.

- Ty skłamać, Antero? Ty kłamać?

I już byliśmy na otwartym morzu, daleko od niesamowitego więzienia.

Dzięki bogom, więcej już go w życiu nie ujrzałam.

O co chodzi, skrybo? Chciałbyś wiedzieć, czy powiedziałam demonowi prawdę? Czy mój eliksir był rzeczywiście odtrutką? Ranisz moje serce. Jak mogłeś we mnie tak zwątpić? No dobrze, już dobrze.

Powiem tylko jedno. Jeśli kiedyś los zagna twój statek za ogniste rafy i znajdziesz się na bezwietrznym morzu wodorostów... nie wspominaj tamtejszym bogom mojego imienia, gdy będziesz się modlił o wiatr.

Magiczny sztorm ucichł wkrótce, lecz zastąpił go ostry, naturalny wicher, który obudził w nas nadzieję i poprawił nastrój. Nawet Cholla Yi i Phocas wydali mi się weselsi, gdy zgromadziliśmy się, by obejrzeć plecioną mapę Chahar. Phocas stwierdził, że jest bardzo dokładna, przynajmniej w tej części, którą mógł porównać ze swoimi pomiarami, robionymi po drodze do kryjówki Elama. Postanowiliśmy popłynąć do odległego Królestwa Konyi i zdać się na łaskę jego cywilizowanych mieszkańców.

- Na pewno mają szczegółowe mapy tych mórz - stwierdził Cholla Yi. - Dodamy do tego własną wiedzę nawigacyjną i niedługo popłyniemy do domu.

Miałam co do tego pewne wątpliwości. Chahar wprawdzie była za głupia, by zmyślać, ale czy starczyło jej rozumu, by właściwie ocenić poziom rozwoju miłych mieszkańców Konyi? Nie mieliśmy jednak innego wyjścia. Na chwilę zapomniałam o zmartwieniach i poddałam się ogólnej radości. Tej nocy wino płynęło strumieniami.

Żeglowaliśmy wiele tygodni i z każdym mijanym znakiem terenowym coraz bardziej ufaliśmy mapie. Pewnego dnia, zaraz po przebudzeniu, ogarnęło mnie wspaniałe samopoczucie, jakiego nie zaznałam nigdy przedtem, ani potem.

Wyskoczyłam na pokład, pełna energii i dobrej woli. Polillo już ćwiczyła, wzmacniając mięśnie podnoszeniem olbrzymiej skrzyni. Na mój widok rzuciła ją na pokład, który aż jęknął pod ciężarem.

Wzięła głęboki, radosny oddech, który powiększył jej pierś do takich rozmiarów, że naszym marynarzom mało oczy nie wyszły z orbit.

- Co za wspaniały dzień - wykrzyknęła. - Nie jestem magiem, kapitanie, ale mam przecucie, że dzisiaj zdarzy nam się coś cudownego.

Zgodziłam się z nią ze śmiechem, po czym udałam się do Gamelana, odprawić codzienną ceremonię rzucania kośćmi. Był równie radosny jak ja, cesał sobie brodę i dokuczał mi, opowiadając, jakiego to wielkiego maga w końcu ze mnie zrobi. Wyjął kości. Rzuciliśmy je i zaśmiał się wesoło, gdy mu powiedziałam, co wyszło. Powiedział, że nie można marzyć o lepszym układzie.

Dla mnie wprowadzie ten układ wyglądał nie lepiej, niż w poprzednich dniach, ale pomyślałam, że pewnie się mylę.

W godzinę później powróciłam na pokład i spacerowałam przy relingu, upajając się słońcem i świeżym powietrzem. Marynarz na oku zawołał: - Ziemia! - więc poszłam na dziób, by zobaczyć, co też tam się kryje za tańczącymi falami.

Ujrzałam bladoniebieską mgłę, obramowaną od dołu ciemniejszą kreską.

Mgła uniosła się do góry, odsłaniając przepiękną, ciemnoszmaragdową wyspę, która kusila nas słodkimi obietnicami i jeszcze słodszyimi marzeniami.

Rozdział Dwunasty

SARZANA

W miarę zbliżania się do wyspy nasza radość wciąż rosła, jakbyśmy dopływali do domu. Nie mieliśmy powodów do wesołości, ale po minionych ponurych tygodniach, pełnych niepowodzeń, wszyscy z przyjemnością powitali ten spokój. Morze odzwierciedlało nasze uczucia - fale prawie zniknęły, a ciepła, łagodna, poranna bryza od lądu marszczyła spokojną powierzchnię wód, poruszała żaglami i rozwiewała nam włosy. Przyłapałam się na tym, że uśmiecham się mile, choć nieświadomie, do Strykera, jakby nie był nędzną namiastką istoty ludzkiej, po czym uśmiechnęłam się jeszcze szerzej na tę złośliwość.

Przy relingu stał tłum moich gwardzistek, a także sporo marynarzy, chociaż zawsze starali się udawać, że wszystko już w życiu widzieli. Ciekawska foka zanurkowała przed dziobem i przepłynęła

pod wodą, tak blisko powierzchni, że widać było jak pod gładką, brązową skórą pracują mięśnie.

- Może i dobrze by było - powiedziała marzycielsko Corais - gdyby okazało się, że ci durnie, którzy wierzą w wędrówkę dusz, w końcu mieli rację.

Chętnie powróciłabym na ziemię jako foka.

Już chciałam rzucić jakiś ironiczny komentarz, na przykład o tym, że w takim razie powinna się odrodzić w wodach nie znanych łowcom fok, ale w czas się powstrzymałam. Corais bardzo rzadko bywała tak odprężona, jak tamtego dnia.

Gamelan też wyglądał na zadowolonego, po raz pierwszy od chwili, gdy utracił wzrok. Zaryzykowałam, że zepsuję radosną atmosferę i spytałam, czy wyczuwa na tym ładzie coś, co mogłoby sugerować niebezpieczeństwo.

Uśmiechnął się i przecząco potrząsnął głową.

Wyspa przypominała wygiętą dłoń. Kilka cypli zamykało zatokę niby palce, a na środku, powyżej plaży brzeg wypiętrzał się i dalej przechodził w płaskowyż. Oceniałam, że wyspa ma mniej więcej piętnaście kilometrów długości i dziewięć szerokości. Wszystko to było zielone, tak zielone, że aż raziło w oczy. Wydawało mi się, że na wyżynie dostrzegłam coś białego, ale gdy spojrzałam tam ponownie, uznałam, że się pomyliłam.

W zatoce woda była płytsza i krystalicznie błękitna, jak najczystsze diamenty. Jedna z wojowniczek wskazała palcem w dół. Za statkiem pojawił się delfin, a zaraz potem drugi. Pływały w odległości dziewięciu metrów od siebie i wydawało mi się, że trzymają coś w pyskach. Na głowach ich coś lśniło, jakby nosiły książęce diademy. Przed nimi ławica małych srebrnych rybek próbowała ujść swemu losowi, ale wyglądało na to, że skończą swoje dni jako przedpołudniowy posiłek delfinów. Wkrótce przepłynęliśmy obok i kilwatek zasłonił całą scenę.

Po wodzie poniósł się czyjś okrzyk. To Cholla Yi wzywał flotyllę do siebie. Aż dziw brał, że

oszczędził nam tym razem wulgaryzmów i przekleństw.

Widocznie i na niego podziałał urok tego dnia. W ciągu kilku minut nasze nadwerężone okręty stanęły obok siebie z opuszczonymi żaglami, łagodnie kołysząc się na niskiej fali. Poniżej linii wodnej unosiły się długie pasma wodorostów i tkwiły kolonie ukwiałów. Wanty były poszarpane, burty poplamione a poszycie kadłubów ledwie się trzymało. Przez krótką chwilę modliłam się, by ta nowa wyspa spełniła swą obietnicę i przyniosła nam pokój.

Rozpaczliwie potrzebowaliśmy nie tylko wody i jedzenia, lecz także kawałka plaży, by wyciągnąć na nią okręty i ponaprawiać.

Rozkazy Cholla Yi były krótkie: ustawić się w żurawim szyku, połowa statków na wierzchołku klucza, reszta na jego ramionach. Nie wolno zarzucać kotwicy ani lądować bez rozkazu admirała. Następnie jednak zdarzyło się coś niezwykłego: admirał poprosił mnie o sugestie i komentarze. Być może cała ta podróż i nasze wspólne przeżycia nauczyły nawet takiego uparciucha, że konflikty między nami nie przyniosą niczego dobrego. Miałam tylko jedną propozycję - aby jakaś galera została na kilka godzin u wejścia do zatoki, blisko lądu, na wypadek gdyby gdzieś ukrywały się wrogie okręty, gotowe zamknąć nas w tej idealnej pułapce. Cholla Yi uśmiechnął się szeroko i ryknął: - Bardzo dobry pomysł! Jeszcze zrobimy z niej żeglarza. Kapitanie Meduduth... będziesz stać na straży. Postaramy się, żeby zostały dla ciebie jakieś kobitki i wino, jeśli coś się tam trafi.

Dowódczyni plutonów już rozkazały gwardzistkom wdziać zbroje, wiosłarze wysunęli wiosła i statki powoli wpełzły do przestronnej laguny. Z początku wydawało się, że jesteśmy pierwszymi gośćmi w tym ziemskim raj, co wcale nie było nieprawdopodobne na tych nie znanych kartografom morzach.

Klisura powiedział Strykerowi, że zatoka ta byłaby idealnym portem dla floty wojennej. Stryker wygiął usta w uśmiechu i odrzekł: - Ano tak, ale jest jeden małeńki kłopot: musiałbyś się, chłopie, dobrze tu napływać, żeby znaleźć coś, co by warto ukraść.

Po chwili rozległ się okrzyk marynarza na oku, więc wszyscy pobiegliśmy do relingu.

- Zdaje się, że jakiś admirał pomyślał sobie to samo, co ty - zawołał kapitan do Klisury.

Na środku zatoki rozmieszczono w regularnych odstępach boje, przeznaczone do kotwiczenia okrętów w równych rzędach, by uniknąć zamieszania w porcie i wynikających z tego uszkodzeń. Naliczyłam ich dziesięć... dwadzieścia, a nawet więcej. Rzeczywiście, można by tu pomieścić całą flotę. Podpłynęliśmy bliżej. Słysząc było tylko szum wiatru i plusk wody, kapiącej z unoszonych i obracanych wiosł. Boje zrobiono z dużych drewnianych baryłek, uwiązanych na łańcuchach, które zamocowano do potężnego drutu biegnącego po dnie oceanu. Umieszczono je w wodzie stosunkowo niedawno, bo łańcuch był zardzewiały, lecz jeszcze nie pokryty wodnymi porostami. Dziwne jednak, że tam, gdzie w linii brakowało baryłek, które się urwały lub zatonęły, nikt nie uzupełnił szkód. Wyglądało, jakby stworzono to kotwiczowisko tylko po to, by je od razu porzucić.

Opłynęliśmy przylądek i ujrzeliśmy to, czego wszyscy się spodziewali.

Białe kamienne budynki wspinały się od nabrzeża wzdłuż brukowanych uliczek aż po wysoki kamienny mur, który oddzielał wioskę od górskiego zbocza u stóp płaskowyżu.

- Port wojenny - powiedział Klisura, więc zapytałam, po czym to poznaje.

- Statki handlowe muszą mieć doki, a przynajmniej molo do wyładowywania towarów, okręty zaś raczej stają w porcie na kotwicy. W ten sposób są bezpieczniejsze i szybciej mogą ruszyć w drogę. Ale gdyby nie te boje, pomyślałbym, że to wioska rybacka.

Wiedziałam, o co mu chodzi. Nigdzie na nabrzeżu nie było umocnień obronnych ani machin wojennych.

Poczułam lekki niepokój, zorientowawszy się, że z miasteczka nie docierają do nas żadne odgłosy. Nie było słyszeć ani okrzyków handlarzy, ani bawiących się dzieci, nie skrzypiały koła wozów, nie odzywały się zwierzęta pociągowe. Panowała kompletna, niczym nie zmacona cisza. W porcie była tylko jedna łódka - na pół zatopiony kuter przy jedynym nabrzeżu.

- Kapitanie Stryker - powiedziałam - nadaj do innych, żeby zatrzymali się w miejscu. Admirał obejmie komendę, my zaś najpierw wyślemy na ląd zbrojny zwiad.

Po naszych poprzednich doświadczeniach nawet nie próbował się spierać.

Poleciałam Polillo zebrać zespół: dwie łodzie z wiosłarzami, piętnaście kobiet.

Znając dobrze wojsko, które boi się nudy o wiele bardziej niż ponurej śmierci, nie byłam zaskoczona, widząc podniecony tłumek złożony z najlepszych gwardzistek. Zebrało się ich dwa razy więcej niż potrzebowałam.

Znalazły się wśród nich Polillo, Corais, Ismet i rekrutka Dica, którą, jak podejrzewałam, zaczęła już ogarniać nieodparta żądza ryzyka. Ta dziewczyna będzie niedługo równie nieznośna jak moje weteranki. Wszystkie zebrane kobiety patrzyły na mnie błagalnym, psim wzrokiem, niemo błagając, by je zabrać na ląd.

Zakłęłam pod nosem na los, który kazał mi być zawsze tą nielitościwą przywódczynią, lecz także uśmiechnęłam się w myśli. Dowodzenie to samotnicza profesja, ale za to kapitan zawsze może wybierać sobie towarzystwo na tego rodzaju wycieczki. Zostawiłam w odwodzie Corais i Polillo, wzięłam ze sobą Dicę i Ismet, jako zastępczynię.

Powsiadałyśmy do łodzi z niejakim trudem, bo przeszkadzało nam ciężkie uzbrojenie, i marynarze powieźli nas na plażę. Nikt nie wyszedł nam na powitanie ani też nie pojawił się, by nas przegnać. Jeden z wiosłarzy mruknął pod nosem: - Widzi mi się, że jakiś mag wydmuchał wszystkich ludzi w chmury. Ta wioska to fatamorgana, czy co?

Sierżant Ismet groźnym głosem kazała mu zamilknąć.

Dna łodzi zazgrzytały o piasek i dźwięk ten poniósł się daleko w ciszy.

Pośpiesznie wyskoczyłyśmy, by nie stać się zbyt łatwym celem, gdyby czekała tu na nas zasadzka. Woda, głęboka po uda, była ciepła i przyjemna, podobnie jak piaszczysta plaża, rozciągająca się aż

po brukowany bulwar, który oddzielał domy od morza. Zauważyłam, że sieci na stojakach musiały się suszyć już od jakiegoś czasu. Na piasku, wygładzonym wiatrem, nie było widać odcisków stóp, tylko ślady ptaków i zwierząt morskich, które widocznie lubiły się tu grzać w słońcu.

Posłałam sierżant Ismet z siedmioma gwardzistkami, by zbadała wschodnią część nabrzeża, a sama ruszyłam na zachód. Słysząc tylko krzyki mew, nie było też widać żadnych żywych istot, poza nielicznymi szczurami, przebiegającymi przez ulicę. Na bruku leżało wiele dachówek, postrąconych przez wiatry. Zimowe wiatry? - pomyślałam. Teraz mamy wiosnę, więc wieś prawdopodobnie opuszczono już jakiś czas temu.

Poza nieobecnością mieszkańców, wioska wydała nam się zupełnie nieciekawa. Obnażywszy miecz, zaryzykowałam wejście do małego sklepiku.

Był dokładnie taki, jakiego spodziewałabym się w tym miejscu: trochę rzeczy do gospodarstwa, trochę żywności. Lekki, nieprzyjemny zapach okazał się pochodzić z przegniłej przynęty na ryby, którą trzymano w drewnianym wiadrze. Na półkach wciąż leżały towary, choć raczej nieliczne. Domyśliłam się, że sklepikarz ledwie zarabiał na życie i pewnie miał pole gdzieś poza wioską albo łowił ryby. Natychmiast zaczęłam się zastanawiać, gdzie podziały się łodzie. Czyżby wszyscy mieszkańcy odpłynęli w obawie przed jakąś katastrofą, która nigdy nie nadeszła?

Weszłam na zaplecze, gdzie mieszkał sklepikarz - i natychmiast opuścił mnie spokój. Odbyła się tu gwałtowna walka. Łóżko, pościel, podłogę i ściany plamiła krew, która dawno zakrzepła i przybrała czarną barwę. Ktoś tu zginął, stoczywszy przed śmiercią rozpaczliwy bój. Wyrzałam przez szeroko otwarte tylne drzwi, ale nic nie spostrzegłam. Zadrżałam i wróciłam na ulicę, gdzie czekała reszta patrolu. Znalezisko moje było co najmniej dziwne, a nawet niesamowite, ponieważ instynkt w ogóle nie ostrzegął mnie przed niebezpieczeństwem. Rozglądałam się na wszystkie strony, lecz nie było powodu, by chodzić dalej z obnażonym mieczem. Zmusiłam się do ostrożności, wypatrując wszędzie możliwych zagrożeń. Ale nic więcej się już nie zdarzyło.

Przeszliśmy resztę bulwaru, nie dowiedziawszy się już niczego. Przebiegliśmy z powrotem do łodzi, gdzie czekała już sierżant Ismet. Wschodnia część wioski była także opuszczona. Ismet też znalazła ślady walki, ale nigdzie nie widziała zwłok ani kości. Napastnicy albo zabrali je ze sobą, albo, jako niezwykle eleganccy mordercy, pogrzebali ofiary masakry. Zastanawiałam się, czy to nie byli przypadkiem łowcy niewolników - ale oni przecież nigdy nie wybijają wszystkich mieszkańców, tylko porywają młodych, przystojnych i utalentowanych, pozostawiając resztę, by się dalej rozmnażała, dostarczając im żywego towaru. Jednak cóż ja wiedziałam o zwyczajach ludów,

zamieszkujących te obce morza?

Wysłałam sierżant Ismet na statek z raportem i z rozkazami dla Strykera i Cholla Yi. Ponieważ wyraźnie nie zagrażało nam bezpośrednio niebezpieczeństwo, można było zakotwiczyć statki w porcie, choć część załogi powinna pozostać w gotowości do walki, aż do czasu, gdy dostaną ode mnie inne rozkazy. Poleciłam również, by do kapitana Medudutha, patrolującego wejście do zatoki, dołączyła jeszcze jedna galera, jako dodatkowy środek ostrożności. Rozkazałam całej Gwardii wylądować, by zbadać i zabezpieczyć wyspę. Uznałam również, że można wysłać na ląd ludzi po wodę - do strumyka na zachodnim skraju wioski, lecz niech marynarze lepiej będą ostrożni i osłaniani przez uzbrojoną piechotę morską.

W ciągu godziny cała gwardia była już na wyspie. Żołnierze Cholla Yi zabezpieczyli nabrzeże. Nie planowaliśmy zapuszczać się daleko na ląd, obawiając się zasadzki od morza. Wioska miała tylko kilkanaście ulic, więc nie musieliśmy się przejmować płaskowyżem i terenami w sercu wyspy. Jeśli nie natrafimy na nic niepokojącego, Cholla Yi będzie mógł wysłać ludzi, by ścięli i oheblowali drewno na łaty i po kolei doprowadzać okręty na płyciznę, by przyptyw wyniósł je na brzeg. Tam marynarze oczyszczą, połatają i zasmolują dna, a moje gwardzistki z wielką radością zajmą się w tym czasie polowaniem, by uzupełnić nasze zapasy.

Wtedy Gamelan, który niezauważenie przybył na brzeg, postukał w bruk laską, by zwrócić na siebie uwagę i spytał, czy może iść z nami. Przyszły mi do głowy różne myśli, ale nie wypowiedziałam żadnej z nich na głos.

- Być może pozostało mi nieco magicznych mocy - stwierdził - i będę mógł was ostrzec, jeśli pojawi się jakieś zagrożenie tego rodzaju.

Nie widziałam powodu, by z tego zrezygnować, więc przydzieliłam mu dwie gwardzistki do pomocy. Nie zamierzałyśmy przecież poruszać się biegiem, a jeśli nas zaatakują... no cóż, Gamelan wiele razy powtarzał, że nienawidzi traktowania go jak balast.

Wkroczyliśmy do wioski pod bronią. Szłam z przodu i znów miałam u boku Dicę. Z tyłu szła Corais, a sierżant Ismet dowodziła tylną strażą.

Mijałyśmy sklepy, domy i to wszystko, co składa się na zasobną wioskę.

Weszłam do kilku budynków, starając się odgadnąć, ile czasu pozostawiono mieszkańcom do obrony. W przeciwieństwie do tego, co jak przypuszczałam, zaczęły rozgłaszać koszarowi plotkarze po powrocie do Orissy - jeśli tam w ogóle wrócimy, na stołach nie pozostały przerwane w połowie posiłki. Nie było też śladów wskazujących, że ktoś porzucił w połowie jakiegoś zajęcia.

Był tylko jeden wyjątek - w największej izbie tawerny panował straszliwy chaos. Bukłaki porozpruwano, na ziemi leżały porozbijane butelki i flaszki, a poprzewracane stoły odepchnięto pod ściany. Tu również było kilka wielkich kałuż krwi. Oceniałam, że ktoś tu zaskoczył i zamordował nad kuflami co najmniej sześciu pijaków. Przypomniał mi się widziałam wcześniej zdemolowaną sypialnię, doszłam do wniosku, że atak nastąpił w nocy, bez ostrzeżenia. Ruszyliśmy przed siebie, gotowe na wszystko, ale w dalszym ciągu nie wyczuwałyśmy żadnego zagrożenia. Czułam się, jakbyśmy badały pozostałości zniszczonej dawno temu cywilizacji.

Jedna ze zwiadowczyń przybiegła donosząc, że przed nami, od strony gór, znajduje się duży budynek. Jej zdaniem były to koszary - pierwsza oznaka, poza portem, wskazująca na obecność wojska. Skierowałyśmy się w tamtą stronę.

Niewątpliwie były to koszary: długi, dwupiętrowy budynek z budką wartowniczą na zewnątrz. Po raz pierwszy na tej wyspie poczułam cień lęku, albo czegoś bardzo zbliżonego.

- Sierżant Ismet, do mnie!

W jednej chwili stanęła u mego boku. Wybrałam jeszcze sześć gwardzistek, wyśmienitych szermierek. Łuczniczki miały nas osłaniać, a reszta prowadzić ogólną obserwację terenu.

Wnętrze budynku przypominało na połę jatkę, na połę kostnicę. W koszarach stacjonowało około dwustu żołnierzy - wiem, bo widziałam ich ciała.

Nawet moje zahartowane w bojach gwardzistki były pod wrażeniem - usłyszałam jedno czy dwa

przerażone westchnienia i wypowiedziane pod nosem przekleństwa.

Ohydna scena przywołała wspomnienie, które wtargnęło w moje myśli, zanim zdołałam je odepchnąć: kiedyś, gdy byłam mała, bawiłam się z trzema podrośniętymi kociakami w jednej z ojcowskich stodół. Nagle zwierzątka znalazły mysie gniazdo w stosie luźno ułożonego siana. W jednej chwili miłe i łagodne kociątka przypomniały sobie o obowiązku i z wielkim wrzaskiem i miauczeniem wybiły wszystkie mysięta, nie dając im szans na ucieczkę. Nie wystarczyło im to jednak, więc zaczęły się bawić martwymi i zdychającymi gryzoniami. Część z nich pożarły, część jedynie okaleczyły. Tak samo ktoś - czy też coś - potraktował nieszczęsnych żołnierzy. Niektórych z nich zaatakowano we śnie, inni zaś byli zbrojni i gotowi do walki. Nie uratowało ich to jednak przed strasznym losem. Widziałam rozłupane oszczepy, połamane miecze i znakomite, stalowe zbroje, potrzaskane jak skorupy garnków.

Od tamtej krwawej nocy minęło wiele czasu, lecz koszmar pozostał. Z niektórych ciał pozostały tylko szkielety, inne wyschły na wiór; brązowe wargi obnażały pożółkłe zęby w odrażającym uśmiechu. Ani jedno ciało nie zachowało się jednak w całości. Może żywiły się nimi drapieżne stworzenia i gryzonie, może to one powynosiły gdzieś część kości. Może.

Wtem usłyszałam muzykę. Melodię graną na flecie. Dochodziła z zewnątrz. Bez rozkazu wybiegłyśmy z koszar, w kierunku, z którego dochodziły dźwięki.

Za koszarami wysoki mur, otaczający wioskę półkolem, nieco się cofał.

Już chciałam popędzić w tamtą stronę, lecz w ostatniej chwili się powstrzymałam. Nakazałam gestem, by wojowniczkę ustawiły się w półkolistym szyku i ruszyły kolumną, najeżoną ostrzami oszczepów.

Dotarłyśmy do zakrętu muru i zatrzymałyśmy się. Kamienną ścianę zastąpiła tu kolumnada, przez którą było widać podobny mur naprzeciwko, wygięty w naszą stronę. Na środku tego drugiego muru zrobiono przejście, otwarte na gigantyczne schody, wiodące na płaskowyż. Po obu stronach wiły się gęste pędy winorośli, obspane feerią barwnych kwiatów.

Muzyka dochodziła od podstawy schodów. Siedział tam dziwny stwór, który rzeczywiście grał na

flecie. Na pewno nie był człowiekiem, bo nawet barbarzyńcy z mroźnego południa nie bywają aż tak owłosieni, a przynajmniej tak mi mówiono. Nie był także małpą, a przynajmniej żadnym z gatunków, jakie widywałam na wolności albo w menażerii. Pysk miał niepodobny ani do małpy, ani do człowieka. Najbardziej przypominał lwa, lecz wielkie kły nie kryły się za lwimi bokobrodami. Na szyi miał wstążkę z naszytym klejnotem.

Stworzenie spojrzało na nas spokojnie, z zainteresowaniem, lecz bez lęku, ani na chwilę nie przerywając muzyki. Melodia opowiadała o ptakach nad wzburzonymi falami, które szukają domu. Wiatr porwał je znad rodzinnych stron i nigdy już tam nie powrócą.

Odetchnęłam gwałtownie, spostrzegłszy, że flet zrobiony jest z ludzkiej kości udowej, troskliwie wypolerowanej i nawierconej. Kątem oka spostrzegłam ruch. To Gerasa, moja najlepsza łuczniczka, napięła broń, łagodnie odciągając prawa rękę, aż koniec strzały delikatnie dotknął policzka.

- Stop - syknęłam. W oddziale panowała taka dyscyplina, że wojownicza powstrzymała się od strzału. Nie opuściła jednak łuku. - Nie chcemy tu wojny.

Nie wiemy, kim byli tamci żołnierze i dlaczego ich zabito. Nie wiemy też, czy ten miły zwierz był jednym z zabójców.

Spojrzała na mnie kątem oka. Bez trudu odgadłam jej myśli. Uważała, że taka śmierć nie powinna przypaść w udziale żadnemu żołnierzowi i niczyja pamięć nie powinna być bezczeszczona przez zwykłą małpę. Ale opuściła łuk.

Obok mnie stał Gamelan ze swymi dwiema opiekunkami. Ponieważ nasz muzyk nie zamierzał przerwać koncertu, krótko opowiedziałam magowi, co tu się dzieje i co widziałam w pobliskich koszarach. Milczał przez dłuższy czas, kręcąc głową, jakby lustrował szerokie schody, niby ogar szukający tropu. Na jego ustach od czasu do czasu pojawiał się ulotny uśmiech.

- Nie wiem, jak to opisać. Moja moc nie powróciła - powiedział i widziałam, że zmusza się do zachowania spokoju - ale tutaj coś jest. Czuję się tak... wyobraź sobie, że miałaś przez długi czas zamknięte oczy, w miejscu gdzie panuje ciemność absolutna. Po pewnym czasie umysł zaczyna cię przekonywać, że jednak coś widzisz. Ja w ten sposób wyczuwam magię wokół nas... dobrą albo złą,

nie potrafię powiedzieć. Ale na pewno będziemy musieli stanąć z nią twarzą w twarz.

Dźwięk fletu urwał się nagle. Stworzenie, jakby czekało na te słowa, skoczyło na poręcz schodów, złapało gruby pęd winorośli, wspięło się po nim do góry i zniknęło.

Wsluchiłam się w siebie, by sprawdzić, czy coś wyczuję. Rzeczywiście coś w tym miejscu było - dokładnie tak, jak mówił Gamelan. Poruszało się.

Czułam się jak płotka w jeziorze, pod którą w mule i wodorostach krąży wielki szczupak. Wciąż jednak nie wyczuwałam zła ani zagrożenia.

- Wejdziemy po tych schodach - postanowiłam. Wysłałam na plażę gońca z eskortą, by powiadomić Cholla Yi o naszych zamiarach. Ruszyliśmy w górę, w odstępnie co sześć schodków, by łucznicy albo oszczepnicy w ewentualnej zasadzce mogli trafić jedynie pojedynczą kobietę. Stopnie pięknie wycięto w skale, jakby tłumy kamieniarzy poświęciły nieskończenie długi czas na wykonanie tego zadania. Dotarliśmy do podestu. Tu schody zagłębiły się w tunel wykuty w litej skale i oświetlony przemyślnie wyciętymi oknami, które widzowi z zewnątrz wydawały się tylko naturalnymi szczelinami. Ściany tunelu były pokryte płaskorzeźbami, opowiadającymi historię pełną krwawych bitew, toczonych w dziwnych miastach na jeszcze dziwniejszych wyspach.

Próbowałam odczytać tę opowieść tak, jak się interpretuje legendy ukryte w gobelinach, lecz nie potrafiłam jej zrozumieć. Płaskorzeźba stawała się coraz bardziej skomplikowana, dziwniejsza i bardziej okrutna - w końcu musiałam odwrócić od niej oczy.

Dotarliśmy do następnego podestu i schody ponownie wyprowadziły nas na świeże powietrze, prosto na skalną ścianę. Po obu stronach skała wznosiła się prosto w błękitne niebo.

Zatrzymałam się i spojrzałam za siebie, by sprawdzić, czy gwardzistki za mną nadążają. Wspinaczka po schodach sprawiła, że porządnie się zmachałyśmy. Zakląłam pod nosem, uświadomiwszy sobie nagle, jak bardzo podróż morska odbiera siły człowiekowi, choćby się nie wiem jak gimnastykował, albo biegał wokół pokładu pod wodzą sierżanta o głosie jak dzwon i płucach jak skórzane worki. Minął mnie Gamelan. Jego opiekunki miały lekką zadyszkę, za to mag parł przed siebie w tempie, jakiego pozazdrościłby mu młodzieniec. Pośpieszyłam na czoło kolumny i powędrowałyśmy dalej.

- Chyba bardziej mi się podobał ten tunel nad głowami - odezwała się Polillo z tyłu. - Takie urwisko potrafi zasugerować masę nieprzyjemnych rzeczy każdemu, komu nie spodoba się moja fizjonomia... a będzie akurat miał pod ręką jakiś kawałek skały... albo parę kawałków.

Zwolniłam, by znaleźć się obok niej i wspinałyśmy się dalej w milczeniu, starając się nie liczyć schodów. W końcu znalazłyśmy się na płaskowyżu.

Przed nami rozciągała się olbrzymia łąka. Niskie, łagodne pagórki prowadziły wzrok w dal, aż po horyzont. Tu i ówdzie rosły kępy drzew i niebieściły się stawy i strumyki. W samym środku tego rajcu rozsiadła się wielka willa, otoczona licznymi zabudowaniami. Główny budynek był marmurowy - to by wyjaśniało ową białą iskierkę, którą wzrok mój pochwyił z pokładu okrętu, zanim jeszcze wpłynęliśmy do zatoki. Po środku kilkupiętrowej budowli wznosiły się dwie wielościenne kopuły, połączone zadaszoną galerią.

Posiadłość była równie wspaniała jak najpiękniejsze farmy hodowlane w majątkach rodu Antero - a może nawet piękniejsza.

Zauważyłyśmy ruch przed budynkiem. Moje gwardzistki natychmiast stanęły u szczytu schodów w szyku w kształcie litery „V”, z łuczniczkami na flankach, oszczepniczkami chroniącymi łuczniczki i szermierkami w środku.

Okazało się, że poruszający się punkt to wierzchowiec z jeźdźcem. Ale w miarę, jak się do nas przybliżali, zaczęli przypominać nam postaci z baśni.

Wierzchowiec nie był zwykłym, udomowionym koniem, lecz paskowaną, biało- czarną zebra. Widziałam takie stworzenie tylko raz w życiu, gdy w Orissie zacumował statek pełen egzotycznych zwierząt, przeznaczonych dla królewskiej menażerii. Na grzbiecie zebry siedział zaś jeszcze jeden zwierzoczwólik.

Wyglądał jeszcze bardziej groteskowo niż muzyk, bo był odziany w czerwone spodenki do kolan i zieloną kurtkę. Zebra zatrzymała się bez rozkazu i jeździec zsunął się na ziemię.

Rozejrzał się z ciekawością a potem podszedł wprost do mnie. Ujrzałam, że i on ma klejnot na szyi. Skłonił się, wyjął zza pazuchy tabliczkę z kości słoniowej i podał mi ją. Było na jej wypisane jedno jedyne słowo: WITAJCIE.

Ktoś napisał je po orissańsku.

Zwierzocłowiek nie czekał na odpowiedź, lecz skoczył na grzbiet swego wierzchowca. Zebra, znowu bez żadnego polecenia, ruszyła galopem, lecz tym razem nie w stronę budynku mieszkalnego, lecz do jednej z widocznych w oddali stajni.

Powiedziałam Gamelanowi, co jest napisane na tabliczce i spytałam, czy jego odczucia się nasiliły.

- Nie - odparł. - Wiem tylko, że musimy iść dalej.

Tak też się stało. Ustawiłam gwardzistki w rozciągniętym szyku, wybierając co bardziej zajadłe wojowniczeki, by obstały flanki, i pomaszerowałyśmy w kierunku willi. Okazało się, że w rzeczywistości dzieliły nas od niej prawie trzy kilometry; z bliska była jeszcze większa, niż się to wydawało z odległości. W miarę zbliżania się zobaczyłyśmy ogrody, labirynt z jednej strony, stawy rybne i rozmaite eleganckie zabudowania. Nie widać było tylko tłumu ogrodników, jacy niewątpliwie byli niezbędni, by utrzymać tak wielką posiadłość w idealnym stanie. Do pałacyku prowadził podjazd, brukowany tłuczonymi muszlami, który z łatwością pomieściłby sześć karet jadących obok siebie. Muszle trzeszczały nam pod obcasami, gdy zbliżałyśmy się do wejścia - podwójnych drzwi wysokich na dziewięć metrów, osadzonych w środku tarasu, do którego prowadziła kolumnada.

Kazałam gwardzistkom zatrzymać się, a one automatycznie stanęły w dwuszeregu, jakby spodziewały się, że jakiś książę będzie prowadził przegląd.

Żadnej z nich nie przyszło nawet do głowy, że ktoś może nas zaatakować.

Po chwili drzwi otworzyły się i stanął w nich mężczyzna.

- Witam was serdecznie na wyspie Tristan - rzekł po orissańsku, a głos jego dźwięczał jak potężny gong i rozgrzewał serca, jak wino z przyprawami w zimową noc. - Jestem Sarzana i od dawna oczekuję waszego przybycia.

Minął dzień, od kiedy, gdy odesłałam skrybę, powiedziawszy mu, by się nie obawiał, gdyż wcale mnie nie rozdrażnił. Potrzeba mi było czasu, by zastanowić się, jakie dobrać słowa, by snuć dalej moją opowieść. Nie myślcie tylko, że boję się opowiadać o tym, co się stało. Wszyscy jesteśmy omylni, grzeszymy jeno wtedy, gdy popełniamy ten sam błąd po raz drugi.

Zdarza się jednak tak, że gdy spotykasz kogoś wielkiego, przed kim ziemia drży, wspomnienia często odzierają go z fałszywego blichtru. Sarzanę z pewnością należy uznać za wielkiego człowieka, zwłaszcza że słowo to nie wyjaśnia, czy chodzi o wielkie dobro, czy też wielkie zło. Nie chciałabym, by moja wiedza o późniejszych wydarzeniach wpłynęła na sposób przedstawienia wszystkiego, co widziałam i słyszałam na tamtej wyspie, gdy ujrzałam tego człowieka po raz pierwszy. Teraz już mam w pogotowiu odpowiednie słowa.

Na pierwszy rzut oka Sarzana przypominał kogoś z kupieckiej arystokracji. Był odziany w bogatą tunikę o szerokich rękawach, z kołnierzem zachodzącym wysoko na szyję. Nogawki spodni były równie luźne jak rękawy.

Odzież była purpurowa, a mężczyzna zachowywał się tak, jakby urodził się w tej cesarskiej barwie. Ogdąłam, że tunikę i spodnie wykonano z grubego jedwabiu. Tunikę ściągał pas ze szlifowanych płytek turkusów, a spod nogawek wyglądały czarne jak heban buty.

Sarzana był nieco mniej niż przeciętnego wzrostu, ale mocno zbudowany.

Widać było, że nie lubi opuszczać posiłków, ale też i się nie objada prosięcym obyczajem, jak na przykład Cholla Yi. Gładko ogolone policzki były upudrowane, a wypomadowane włosy opadały falami do ramion. Wyglądało na to, że mężczyzna wyszedł nam na powitanie prosto spod ręki fryzjera, który kręcił mu loki żelazkami. W okrągłej twarzy rzucały się w oczy ciemne brwi i proste wąsy. Gdybyście go minęli na ulicy w Orissie, bez trudu wzięlibyście go za zagranicznego księcia, i

tyle. Wyglądał władczo i bogato.

Wtedy spojrzałam w jego oczy. Zaklinam się, że to nie pamięć o późniejszych wydarzeniach podpowiada mi coś, czego nie widziałam w czasie tego powitania. Oczy te były bardzo ciemne - nie sposób powiedzieć, czy miały barwę najgłębszej zieleni, granatu czy też czarnego śniegu - i lśniła w nich pamięć niegdysiejszej potęgi. Najbardziej przypominały oczy uwięzionego w klatce orła, który siedzi na drążku wspominając, jak rozdzierał pazurami wszystko, co w nie wpadło. Może zresztą był w nich błysk taki, jaki miewają sokoły do polowania tuż po zdjęciu kaptura, gdy ujrzą słońkę.

Nie, nawet na ruchliwej ulicy dzielnicy bogaczy Sarzana nie pozostałby nie zauważony - wystarczyło spojrzeć w te oczy.

Zszedłszy z ostatniego stopnia, Sarzana zatrzymał się i skłonił.

- Jesteście tu bezpieczni - rzekł, a ja natychmiast poczułam całkowitą pewność, że powiedział prawdę. - Możecie wezwać do portu statki, które patrolują wejście do zatoki i pozwolić zejść na ląd wszystkim marynarzom, którzy tego zechcą. Nie stanie się im nic złego. Nie spodziewam się jednak, że uwierzycie mi na słowo. Wyczuwam, że dwoje spośród was posiada Dar.

Jedno zostało boleśnie zranione, czuję to... - stojący za mną Gamelan poruszył się niespokojnie na te słowa -... drugie zaś jest w rozkwicie młodości i dopiero szuka drogi ku pełnej mocy.

Zdjęłam hełm i skłoniłam się.

- Witam w imieniu Orissy - powiedziałam, nie nawiązując jednakże do wzmianki o magii. - Widzę, że posiadasz, panie, moc i jesteś Mistrzem Magii, jak my to nazywamy. Czy potrafisz odgadnąć minione koleje naszego losu?

- Nie wiem wszystkiego - odparł - jestem jednak pewien, że sami chętnie mi opowiecie. Ale nie musimy teraz tym się zajmować. Wiem, że niedawno odbyliście wielką podróż i stoczyliście jeszcze większą bitwę, a po zwycięstwie, które ledwie przeżyliście, spotkało was wiele cierpień i trudności.

Teraz jesteście już bezpieczni. Możecie pozostać tu tak długo jak zechcecie, by zebrać siły. Zezwalam wam używać wszelkich narzędzi, jakie tu znajdziecie.

Możecie zamieszkać w wiosce albo tu, na płaskowyżu. Są tu liczne koszary, mogące pomieścić oddziały o wiele większe, niż wasz. - Jest tu dla was świeża woda, dzikie winogrona, owoce na drzewach. Może polować i łowić ryby.

Proszę tylko, byście zostawili w spokoju wszelkie dwunogie stworzenia i istoty, które noszą mój znak - klejnot na czole lub na szyi. To moi słudzy i przyjaciele.

Zaprzysiągłem, że nie stanie im się krzywda. Bardzo mi na tym zależy i każdy, kto złamie to prawo, zostanie ukarany, a kara ta będzie straszliwa - rzekł i teraz już wszyscy ujrzeni w jego oczach ten rozkazujący blask.

Przerwałam oczarowanie, w jakie wszystkich wprawiły te słowa.

- Przychodzimy w pokoju, lecz nie jesteśmy głupcami ani też dziećmi.

Przestrzegamy praw krajów, w których się znaleźliśmy - tu pozwoliłam, by mój głos zabrzmiał twardo jak stal - pod warunkiem, że ich mieszkańcy traktują nas jak gości. Jeśli ta umowa zostanie złamana... - nie musiałam kończyć tego zdania.

- Dobrze - odparł Sarzana. - Wysłałem już jednego z mych... służących na dół, by powitał pozostałą część waszej flotyli i zaprosił do mej willi oficerów z okrętów, a w szczególności tego, którego zwiecie Cholla Yi. - Kapitanie Antero, bądź tak uprzejma i pozwól żołnierzom rozejść się i odpocząć. Będzie tu można odświeżyć się przed obiadem.

Zastanawiałam się chwilę. Absurdem byłoby zastosować się do tych słodkich słówek, ale ponownie odczułam falę serdeczności i ciepła. Spojrzałam na Gamelana. Miał na ustach lekki uśmieszek, a

twarz wystawił na promienie popołudniowego słońca.

- Dzięki, Sarzano - powiedziałam. - Serdecznie ci dziękujemy za zaproszenie do twego królestwa.

W jednej chwili jego twarz spochmurniała.

- Królestwa? - spytał. Jego głos również się zmienił. Było tak, jakby czyste niebo nagle przesłoniła burzowa chmura. - Niegdyś byłem władcą krainy, która rozpościerała się tak szeroko, że człowiek nie przemierzyłby jej przez całe życie. Moje królestwo nie tutaj się znajduje. - Tutaj jest miejsce mojej kaźni, kapitanie. Moje wygnanie. Tutaj mam dożyć swoich dni!

W południe wszystkie okręty stanęły na kotwicy w porcie, a większość ludzi zeszła na ląd. Sarzana powiedział, że już nakazał swoim totumfackim posprzątać szczątki z koszar w wiosce i nasi ludzie mogą się w nich zakwaterować. Ci, którzy usłyszeli tę propozycję, zadrżeli na myśl, by choć jedną noc spędzić w tej makabrycznej kostnicy. Spozrzegł naszą reakcję i zaproponował, że możemy w takim razie nocować na płaskowyżu, bo jego wrogowie postawili wiele podobnych budynków, gdy zesłali go na tę wyspę.

Corais odważnie spytała, co wydarzyło się na wybrzeżu.

Uśmiechnął się niewesoło. Powiedział, że dowiemy się o tym z czasem, ale wolałby snuć swą opowieść kiedy indziej i w porządku chronologicznym.

Chyba, że pani porucznik obawia się, że to, co przytrafiło się tamtym łajdakom, w jakiś sposób wpłynie na jej własny los? Choć słowa te zabrzmiały nieco za ostro, nikt się jednak nie obraził. Corais wzruszyła ramionami i oświadczyła, że wyspa przecież należy do niego. Wszyscy w dalszym ciągu odczuwaliśmy wielkie zadowolenie, jakby wszelkie trudy wędrówki pozostały za nami.

Nie skorzystaliśmy z gościnności Sarzany, gdyż ani ja, ani Cholla Yi nie chcieliśmy się oddalać od okrętów. Zresztą, codzienna wędrówka po owych ogromnych schodach pochłonęłaby zbyt wiele czasu, który można byłoby wykorzystać na pracę. Dopóki okręty były w tak żalosnym stanie, czuliśmy

się nadzy i bezbronni.

Zdecydowaliśmy więc, że na płaskowyżu zostanie niewielki oddział gwardzistek pod wodzą Corais, głównie po to, by mieć na oku Sarzanę. Reszta zakwateruje się w opuszczonych domach wzdłuż wybrzeża, a naszym pierwszym zadaniem będzie doprowadzenie ich do porządku. Mój sztab będzie w jednej z sal na parterze oberży, zaś Cholla Yi zajmie drugą. Wybrana przeze mnie oberża miała również obszerne pokoje na piętrze, gdzie zamieszkałyśmy we trzy: Polillo, rekrutka Dica i ja. Postanowiłam mianować Dicę swoją zastępczynią, jeśli przeżyjemy kolejną bitwę - i niech diabli porwą oficjalną politykę awansowania tylko po zatwierdzeniu promocji przez najwyższych oficerów, to znaczy oczywiście mężczyzn. Podczas długiej podróży zdążyłam przemyśleć na nowo wiele spraw, które w Orissie wydawały mi się oczywiste.

Kiedy wrócimy, zaczną się zmiany w naszej Gwardii.

Sarzana powiadomił nas, że planuje wydać ucztę na cześć naszego przybycia. Przyjęliśmy zaproszenie, lecz powiedzieliśmy mu, że niektóre gwardzistki i wachty na każdym okręcie niestety nie będą mogły w niej uczestniczyć; zadowolą się jednak prowiantem ze statków. Jutro zaś, jeśli nikt z nas nie zachoruje, oni także będą mogli ucztować. Była to zwykła praktyka, przy kontaktach z cudzoziemskimi władcami, dla których trucizna mogła być zwykłym środkiem sprawowania władzy.

Sarzana nachmurzył się, gdy mu powiedziałam, że nie wszyscy będziemy korzystać z jego gościnności, więc rzekłam - może nieco za ostro - że my również mamy swoje zwyczaje. Uśmiechnął się, wcale nie zrażony i cienie mych podejrzeń rozwiały się pod wpływem jego serdeczności. Powiedział, że zwyczaje to oczywiście bardzo ważna rzecz, a on sam jest przekonany, że szary człowiek zasługuje, by jego czyny uczczono bankietem tak samo, jak honoruje się wielkich panów. On sam zawsze sadzał za stołem i chłopów, i szlachetnie urodzonych, nie robiąc między nimi różnicy.

- Chociaż nie, odkryłem jednak pewną różnicę - rzekł z jowialnym uśmiechem, który jednak nie obejmował oczu. - Mianowicie kobiety i mężczyźni pracujący na farmach czy na morzu mają o wiele więcej ciekawych rzeczy do opowiedzenia, niż dworscy plotkarze.

Zrobiło to na mnie i na moich kobietach ogromne wrażenie. W ten sposób właśnie żyłyśmy i jadałyśmy w polu, ale w koszarach nawet Gwardia Maranon miała osobne jadalnie dla młodszych i starszych oficerów, a osobne dla szeregowych. Zakarbowałam sobie w pamięci, by przemyśleć słowa Sarzany. Może po powrocie do domu warto będzie wprowadzić i ten zwyczaj, by zrobić

wyłom w przestarzałej, okrytej pajęczynami armijnej rutynie, przynajmniej dla naszej Gwardii. Tylko Cholla Yi i niektórzy jego oficerowie kręcili nosami na obecność pospólstwa na uczcie, lecz żaden z nich nie powiedział ani słowa, przynajmniej w mojej obecności.

Kąpałyśmy się na zmianę, a potem dołożyłyśmy wszelkich starań, by odświeżyć najlepsze uniformy. Niestety były to beznadziejne wysiłki, bo tuniki splamiła morska, sól a zbroje utraciły barwę mimo nieustannego polerowania.

Wszystkie części uzbrojenia z brązu przybrały prześliczny zielony odcień, który zniknął dopiero po długim szorowaniu popiołem, z towarzyszeniem licznych soczystych przekleństw. Wybieliłyśmy skórzane części ubioru najlepiej jak się dało, choć niewiele im to pomogło. Miałam nadzieję, że przed wyruszeniem w dalszą drogę zdążymy pociąć i wygarbować nowe skóry. Naszym pięknym hełmom z pióropuszcami podróż też nie posłużyła; oklapły jak morskie ptaki długo niesione zimowym sztormem. Tylko broń pozostała niepokalana i lśniąca.

My zaś wyglądałyśmy jak wiedźmy. Polillo raz tylko spojrzała w wysokie lustro, umieszczone między dwoma oknami, wychodzącymi na port, i jęknęła: - To nie włosy, tylko miotła - po czym pomachała w moją stronę pasmem kasztanowych loków.

Starałam się jej nie urazić, ale miała rację. Moja fryzura wyglądała jeszcze gorzej, ponieważ wiatry i deszcze zawsze najbardziej niszczą włosy i cerę blondynek. W drodze czesałyśmy się i myłyśmy, a gdy był czas i możliwości, nacierałyśmy ciała olejkami, ale woda morska i słone wiatry drwiły sobie z naszych wysiłków. Na pokładzie okrętów wygląd nie wydawał się taki ważny, bo mało nas obchodziła opinia marynarzy. Teraz jednak, gdy obiecano nam ucztę, czułyśmy się upokorzone, choć poza Sarzaną i jego zwierzoludźmi nie było tu nikogo, na kim można by wyrzucić wrazenie.

Choć miałyśmy niewiele czasu i kosmetyków, osiągnęłyśmy jednak nie najgorsze rezultaty. Z tych czasów pochodzi pewna opowieść, którą moje kobiety będą powtarzać, jak długo pozostanę ich dowódczynią i pewnie jeszcze wiele lat później.

Mieszkańcy wioski wyraźnie lubili czystość, bo udało nam się znaleźć wiele drewnianych i metalowych wanien i cebrzyków do kąpieli. Dwaj marynarze Cholla Yi postanowili zabawić się, podglądając nas przy ablucjach.

Jeden z nich zarobił złamaną rękę, gdy Polillo cisnęła w niego ciężką belką, drugi zaś zyskał na swej rozrywce sińce albo nawet i połamane żebra, bowiem strzała Gerasy, choć stępiona, uderzyła go z wielką siłą.

Te, które lubiły mieć gładką skórę na rękach i nogach, wyostrzyły żyłki i nożyki, żeby się ogolić. Zacięłam się przy tym mocno i zakląłam, po czym zaczęłam się zastanawiać, dlaczego żaden Mistrz Magii nie wymyślił jeszcze zaklęcia depilacyjnego. Przyszło mi do głowy, że mężczyźni przecież przywiązują wielką wagę do owłosienia, więc naturalnie wcale nie dbają o potrzeby kobiet w tej mierze. Pamiętałam jednak opowieści o niektórych najświetniejszych orissańskich kurtyzanach, całkowicie pozbawionych owłosienia poniżej szyi, i doszłam w końcu do wniosku, że takie zaklęcie musi istnieć; po prostu, dopóki nie zaczęłam pobierać lekcji u Gamelana, nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że magia może mieć takie praktyczne, codzienne zastosowania.

I to była przyczyna mojej klęski. Otworzyłam niewielki sakwojaż, w którym przechowywałam rzeczy osobistego użytku i jęknęłam, podobnie jak moje towarzyszki. Nasze nieliczne kosmetyki jeszcze gorzej zniosły wojenne trudy, niż nasze ciała. Puder się skawalił, oliwka wyschła i zgęstniała, krem się zwarzył a róż popękał. Wtedy poczułam przypływ natchnienia. Uratuję nas.

Przywołałam plutonowe i nakazałam im zebrać wszystkie wyschnięte kosmetyki, uprzednio podpisane przez właścicielki. Pomyślałam chwilę i położyłam własne rzeczy nieco z boku. Zacerpnęłam odrobinę czystej deszczówki z cysterny, zerwałam z krzaka kilka słodko pachnących kwiatów, z kuchni wzięłam trochę oliwy, a obok położyłam kolorową chustę, która pozostawiono w jakiejś szafie. Dotknęłam tym po kolei wszystkich swoich kosmetyków i byłam gotowa.

Potrzebowałam tylko imienia odpowiedniej bogini. Pomyślałam o Maranonii, lecz natychmiast zrezygnowałam z jej wstawiennictwa. Gdyby usłyszała tę modlitwę, pewnie bez zastanowienia zmieniłaby mnie w dziką świnię za to, że zawracam jej głowę zwykłym pudrem.

Próbowałam sobie przypomnieć innych bogów, lecz niestety, będąc prawdziwą córą Orissy, zawsze byłam sceptyczna i nie zawracałam sobie nimi głowy, oprócz patronki mego domostwa, Maranonii, opiekunów miasta i tych bogów, którym należało oddawać publicznie cześć ze względów politycznych. Tylko przesądni chłopcy i prowincjusze przypisywali niemal każdą czynność i funkcję innemu bogu albo bóstwu. Zapytałam, swoje towarzyszki, czy nie znają bogini, która by nam mogła pomóc. Odpowiedziało mi długie milczenie.

W końcu Polillo rozpogodziła się i powiedziała, że kiedy była małą smarkulą, miała taką przyjaciółkę, piękną jak młoda łania - tu olbrzymka westchnęła smutno: - Ale niestety wolała mężczyzn i to możliwie jak najbardziej włochatych, więc nie miała dla mnie czasu... I ona się modliła do takiej bogini...

zaraz, niech sobie przypomnę... o, mam! Helthoth. Nie. Heloth. Tak jest.

Modliła się do Heloth, jestem tego pewna.

Do tego czasu zgromadziła się wokół nas co najmniej połowa gwardzistek. Wiedziałam, że muszę dobrze się spisać wobec tej publiczności.

Zaczęłam więc zakłęcie: Jako byliście Tak i będziecie Słuchaj, Heloth, spełnij me błagania.

Zawróćcie, Zmieńcie się, Powróćcie.

I oto jesteście takie Jako przódy.

Recytując, dotykałam chustką wszystkich sakwojaży po kolei, siłą woli skłaniając esencje oliwy, kwiatów i słodkiej wody, by odnowiły nasze kosmetyki. Wydawało mi się, że ujrzałam jakiś błysk i popatrzyłam na swoje puzdro. Wyglądało, jak nowe. Zniknęły wszystkie zadrapania i wgniecenia, świadectwo tysiąca wypraw wojennych.

Obawiam się, że emocje mnie nieco poniosły, bo przecież było to pierwsze zakłęcie, które sama od początku obmyślałam i zrealizowałam.

Wrzasnęłam: - Udało się!

Corais pierwsza złapała puzdro i otworzyła je szeroko, zanim zdążyłam obejrzeć moje. Otworzyła szeroko usta... a potem zaczęła się śmiać i śmiać, jak lisica, obserwująca wiosną zabawy swoich szczeniaków. Natychmiast zorientowałam się, że popełniłam jakiś straszny błąd i drżącymi palcami otworzyłam własną kosmetyczkę.

Zaklęcie okazało się skuteczne. Właściwie bardziej, niż skuteczne, bo odmłodziło kosmetyki w sposób absolutny. Wewnątrz sakwojaża znajdowała się okropna mieszanka wszelkich składników: migdałów, z których po zmieleniu robiono olejek, płatków różanych, sproszkowanych metali, masła, oliwy i wszelkich innych substancji, które aptekarze mieszają razem, by sporządzić proszki i kremy, zadowolające kobiecą próżność.

W końcu zbiorowy wybuch śmiechu ucichł i tylko od czasu do czasu rozlegało się jeszcze jakieś parsknięcie, a ja zdałam sobie sprawę, że wiele minie czasu, zanim w Gwardii zapomną o tym, jak to Kapitan Antero Zawróciła Czas.

Zanim się zebrałyśmy, by ponownie wejść po schodach na płaskowyż, odwołałam Gamelana na stronę. On również wystroił się w swe najlepsze szaty.

Odkomenderowałam dwie szeregowce, by pomogły mu się przygotować, zagroziwszy im wprzód, że jeśli mag choć jednym gestem poskarży się, że potraktowały go jak kalekę, przez długi, długi czas nie będą musiały się zastanawiać, na kogo wypada dyżur przy sprzątaniu latryn.

Podobnie jak na chwilę przed lądowaniem, spytałam Gamelana, czy nie wyczuwa przypadkiem, że ktoś tworzy zaklęcia skierowane przeciw nam.

Odparł, że nie.

- Jedno jest pewne, choć sama już prawdopodobnie to wyczułaś: Sarzana jest potężnym magiem. Mimo że pozbawiono mnie mocy, czuję, że dorównuje największym czarownikom, znanym mi osobiście lub ze słyszenia. Wydaje mi się, że ma on moc nie tylko daną przez bogów.

- Tak jak Archontowie? - spytałam.

Gamelan zastanawiał się przez chwilę.

- W pewnym sensie - przyznał. - Trudno to dokładnie opisać, ale jest między nimi pewna różnica. Archontowie poznali magię i z jej pomocą zdobyli tron, jak prawdziwi likantyjscy władcy. Ten człowiek jest inny. Czuję, że ten Sarzana - szkoda, że nie wiemy, czy to imię, czy też tytuł i co właściwie oznacza - ten Sarzana zagarnął w tym samym czasie czarodziejską różdżkę i berło, tak że pierwsze przydawało mocy drugiemu, a potem na odwrót - aż nastąpił jego upadek.

- Ciekawe, co spowodowało ten upadek - zamyśliłam się.

- Wszystko mi mówi, że był wielkim władcą, co potwierdza wasz opis tego pałacu. To oczywiste. Przeczuję również, że władał mądrze, choć surowo. Zastanawiam się więc, dlaczego zrzuciono go z tronu i w jaki sposób tego dokonano.

- Może sam nam o tym opowie?

- Niewykluczone, że tak będzie. Zanim ujawni, czego od nas oczekuje.

Żaden zdetronizowany władca, choćby podobny bogom, nie zadowolony się swym losem, nawet jeżeli pozbawiono go tronu już przed wieloma laty. Niestety, możemy tylko zdać się na los, tak samo jak robimy to od czasu potyczki z Archontem.

- A czy wyczuwasz jakiś ślad jego obecności?

- Nie - odparł Gamelan. - To przynajmniej jakaś ulga. Nie czuję go od dnia... od dnia, gdy obudziłem się ślepy, ale wiedziałem, że on jest gdzieś niedaleko. Niemal udało mi się przekonać samego siebie, że to była halucynacja.

- No cóż... szkoda, że nie masz pewności.

Usta mu zadrżały, ale nic nie odpowiedział. Zamiast tego ujął mnie za ramię.

- Młoda damo, właśnie wybieramy się na bankiet. Usiądź blisko mnie i pilnuj, żebym przypadkiem nie położył sobie ryby na talerzu do mięsa.

Będziesz moimi oczyma.

- Nie wątpię - powiedziałam bardzo chłodno - że chcesz, bym służyła ci wzrokiem tylko ze względu na etykietę.

- Ależ, kapitanie - odparł przekornie - czyż mógłby być po temu inny powód?

Roześmialiśmy się, po czym zwołałam wojsko. Czas był iść na ucztę.

Może nie był to najdziwniejszy posiłek, jaki jadłam w życiu, ale niewiele uczt go przewyższało pod tym względem. Spożywaliśmy go w przestronnej marmurowej sali, obwieszanej gobelinami przedstawiającymi równie heroiczne i groteskowe sceny, jak płaskorzeźby na skalnej klatce schodowej, wiodącej na płaskowyż. Miejsca było dość dla wszystkich - właściwie w sali bez trudu zmieściłaby się cała nasza ekspedycja w pełnym składzie, jeszcze sprzed bitwy z Archontem. Komnata dorównywała wspaniałością wielkiej sali bankietowej w Cytadeli Radnych w Orissie. Była oświetlona jasno, lecz nie rześście, chociaż nigdzie nie było śladu lamp lub pochodni. Grała muzyka, choć nie widzieliśmy orkiestry ani nawet zasłoniętej niszy, w której mogłaby się ukryć. Przynajmniej ja niczego takiego nie potrafiłam dostrzec.

Zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią Sarzany, posadzono nas za stołem nie przestrzegając hierarchii - szeregowców razem z oficerami. I rzeczywiście, rozmowa była o wiele bardziej interesująca niż gadanina podczas większości dworskich bankietów, na jakich zmuszona byłam się pojawiać w

Orissie. Ten zwyczaj był rzeczywiście wart zapożyczenia.

Właśnie spostrzegłam, że skryba zmarszczył czoło. Pewnie się zastanawia, dlaczego moim zdaniem ta uczta była taka dziwna. Jak dotąd nie usłyszał przecież niczego niezwykłego. Mogłabym przypomnieć mu o naszej sytuacji: ledwie poprzedniego byliśmy rozbitkami, których sztorm rzucał po nieznanych morzach, albo o tym, że człowiek, który siedział pomiędzy Gamelanem i mną z jednej strony a Cholla Yi i Strykerem z drugiej, był chyba jedyną ludzką istotą na tej wyspie. Ale nie to sprawiało, że przez cały wieczór czułam się niezwykle.

Wystarczyło spojrzeć na służbę. Wszyscy byli zwierzoludźmi, jak fletnista i jeździec, który doręczył nam powitalny list Sarzany. Odziano ich jeszcze dziwniej, niż stworzenia, które widzieliśmy poprzednio. Mieli na sobie przeróżne stroje, nierzadko bardzo kosztowne: wyszywane klejnotami kobiece suknie, szaty, które mogłyby należeć do jakiegoś miejskiego rajcy, a nawet pozłacane zbroje, których pozazdrościłby im niejeden generał.

Sarzana spostrzegł moje zainteresowanie.

- To taki mój żart - wyjaśnił - a raczej, jeden z wielu pomysłów. Każdy z tych służących jest odziany jak jeden z moich byłych dworzan. Otaczają mnie jakby te same damy i panowie, co za dawnych lat. Z tą różnicą - dodał gorzkim tonem - że nie muszę się obawiać zdrady z ich strony, jak kiedyś, w innym pałacu i w innych czasach.

Pokiwałam głową, zdając sobie sprawę, że jak każdy dobry gawędziarz, Sarzana przygotowuje grunt dla swej opowieści. Ciekawa byłam, kiedy ją rozpocznie.

Pomimo niewygodnej odzieży, która krępowała im ruchy, zwierzoludzie byli niezwykle sprawni i usłudni: sprząтали talerze natychmiast, gdy biesiadnicy skończyli jeść i dbali, by bez zwłoki napełniać kielichy ze złotego dzbana.

Bardzo dobrze pamiętam potrawy, jakie wtedy podano. Każdej z nich towarzyszyło inne, doskonale dobrane wino. Rozpoczęliśmy od różnorodnych przystawek, które miały zaostrzyć nasz apetyt. Na stole pojawiły się więc małe kanapki z ostro przyprawionym pasztetem z wątróbek, ostrygi na surowo, lub zapiekane z wieprzowiną czy warzywami i różne pikantne jarzyny. Następnie podano

pieczone ortolany, w winnej galarecie; każdy wystarczał na jeden rozpluwający się w ustach kąsek. Potem przyniesiono półmiski z łososiem - po jednej wielkiej rybie na kilku gości, parującej, bo świeżo upieczonej na ruszcie. Dla tych, którzy chcieli ją jeszcze doprawić, znalazł się sos beszamelowy z szalotkami: mnie wystarczyło skropić delikatne mięso cytryną. Następnie przyszła kolej na zupę z leśnych grzybów; nigdy nie widziałam takiej różnorodności gatunków w jednym wywarze. Każdy z nich miał niepowtarzalny smak, jakby gotowano go osobno.

Głównym daniem były wielkie porcje dziczyzny, podane z galaretką z kwaśnych rajskich jabłek i jagód. Mięso naszpikowano słoniną. Spytałam Sarzanę, co to za zwierzę i dowiedziałam się że jemy rodzaj jednorogiej antylopy, spotykany na zachodnim krańcu wyspy. - To wyzwanie dla myśliwego - rzekł - bo ten gatunek nigdy nie chadza w stadach. Woli przebywać samotnie. Nie wiem nawet, czy w ogóle łączy się w pary.

- Sam też polujesz, panie? - chciała wiedzieć Polillo.

- Ależ skąd - odparł. - Pewnie dostałbym zadyszki, spociłbym się i wyglądał jak głupawy grubas, który robi z siebie kompletnego durnia, pędząc przez zarośla i ścigając coś, z czym najchętniej nawiązałby bliższy kontakt dopiero przy biesiadnym stole. Poluje służba. Ryby także łowią.

- Nie widziałyśmy tu ani jednej łodzi - rzekła olbrzymka. - Czy twoi...

służący, panie, łowią z brzegu?

Sarzana uśmiechnął się i wskazał na swoich dworzan.

- Nie tylko oni zdecydowali się mi służyć. Mam jeszcze delfiny, foki, jastrzębie i wielu innych pomocników.

Przypomniałam sobie wtedy dwa delfiny, które płynęły przed naszym statkiem, gdy zbliżaliśmy się do wyspy. Może wzrok mnie nie mylił i rzeczywiście miały w pyskach sieć, a na czołach diademy, takie same jak zwierzoludzie?

- Zdecydowały się? - wtrącił łagodnym głosem Gamelan.

- Przyznam, że przygotowałem grunt z pomocą jednego czy dwóch zakłęb - odparł Sarzana. - I co z tego? Los tych stworzeń jest teraz o wiele lepszy, niż przedtem. Wtedy polowały i na nie polowano, a żyły o wiele krócej, nieledwie mgnienie oka. Były bezradne, jeśli powaliła je choroba albo dopadł sztorm.

Teraz zaś, w zamian za drobne przysługi, które w większości nie kłócą się z ich zwierzęcą naturą, jak na przykład łowienie ryb, wiodą o wiele szczęśliwsze i spokojniejsze życie.

Nie byłem pewna, czy jakiegokolwiek pozbawione wolności zwierzę rzeczywiście czuje się szczęśliwsze, lecz nie wspomniałam o tym na głos.

Właściciele zwierzyńców wysuwali podobne argumenty jak nasz gospodarz.

Gamelan również nie skomentował jego słów.

Bankiet trwał dalej. Prawie wszyscy zachowywali się bez zarzutu.

Nakazałam gwardzistkom, by nie nadużywały alkoholu i stwierdziłam, że żadna, nawet Cliges, największa miłośniczka wina spośród nas, nie przebrała miary. Za to trzech czy czterech marynarzy, jak to ludzie morza, postanowiło skorzystać z tak wspaniałej okazji. Jeden z nich przybrał takie tempo, że z końca stołu, gdzie siedział, zaczęły dochodzić urywki pijackich piosenek. Sarzana wydawał się tego nie dostrzegać i dalej prowadził lekką, pogodną rozmowę. Widziałam jednak, że gdy spojrzał w stronę rozpoczynającej się pijatyki, jej niedoszli uczestnicy natychmiast ucichli.

Jedna z moich wojowniczek opowiadała później, że marynarze rzeczywiście wytrzeźwieli w jednej chwili i zaczęli się trząść, jakby przez kilka sekund cierpieli na spotęgowane bolesne objawy kociokwiku. Sarzana wyraźnie potrafił stworzyć odpowiednią atmosferę w czasie bankietu - nie tylko

z pomocą dobrych manier i gościnności.

Na zakończenie uczyty podano ciasta i owoce, oraz wybór serów, jakich nie jadłam nigdy w życiu.

Gdy kończyłam posiłek, rozległo się szuranie krzesłami. Gwardzistki i marynarze powstawali z miejsc i, pożegnawszy się niezwykle uprzejmie, wyszli, jakbyśmy właśnie skończyli posiłek w koszarach i wysuszyli ostatnie krople wina z dzbanów. Na zewnątrz rozległy się głosy sierżantów formujących szyki.

Byłam tak zaskoczona, że zanim zdążyłam się odezwać, wojsko już maszerowało przez równinę.

W ogromnej komnacie pozostała nas jedynie czwórka - oprócz mnie Cholla Yi, Gamelan i Corais. Przez chwilę bardzo się niepokoiłam, ale w progu spostrzegłam sierżant Bodilon, która, zgodnie z moim rozkazem, miała kwaterować wraz z Corais w pałacu Sarzany. Po obu stronach drzwi stanęły w gotowości dwie gwardzistki, ściskając w dłoniach drzewca włóczni.

Sarzana spojrział na mnie i rzekł: - Pani kapitan, proszę wybaczyć mi przekroczenie moich kompetencji, ale wyszedłem z założenia, że gwardzistkom będzie wygodniej na kwaterach niż tu.

Miały dziś ciężki dzień, podobnie jak pańscy marynarze, admirale Yi.

Nie wiadomo dlaczego, nikt z nas nie zaprotestował ani też nie poczuł się zaniepokojony potęgą magii Sarzany. W dalszym ciągu otulały nas ciepło i serdeczność, miłe i przytulne jak wełniana opończa w zimowy wieczór.

- Teraz zaś proponuję przenieść się do innej komnaty, gdzie będziemy mogli spokojnie prowadzić dalszą rozmowę. Wiem o was niemal wszystko.

Znam was i wasze rodzinne krainy. Wiem o pościgu za potężnym wrogiem i o jego zniszczeniu.

Wiem, jakie niebezpieczeństwa pokonaliście, wędrując po tych morzach. Wiem także, co was czeka... ale wy o mnie nie wiecie nic - rzekł Sarzana i dodał z uśmiechem: - Możemy jednak coś na to zaradzić. Opowiem wam teraz historię mego życia. Dowiedziecie się, w jaki sposób zostałem Sarzana i o tym, jak siły zła spowodowały upadek mój i potężnej cywilizacji wysp Konya.

Rozdział Trzynasty

WŁADCA

Konyi Sarzana odwrócił się i wyszedł z sali bankietowej. Z jego ust nie padł ani rozkaz, ani zaproszenie, lecz wszyscy wiedzieliśmy, że mamy iść za nim.

Corais wzięła Gamelana pod rękę i powędrowaliśmy wzdłuż stołów.

Zwierzoludzie, zajęci sprzątaniami, nie zwracali na nas uwagi.

Szliśmy długą galerią, która przypominała muzeum: bo na ścianach porozwieszano setki przedmiotów, pochodzących z różnych kultur - od obrazów i rzeźb aż po kolorowe stroje.

Sklepionym korytarzem dotarliśmy do okrągłej komnaty, której środek zajmował okrągły kominek. Huczał na nim ogień, mimo że wieczór był ciepły, lecz nie odczuwałam nieprzyjemnego gorąca. Wokół ognia porozkładano wygodne, miękkie siedziska, a przy każdym stał niski stolik z kieliszkami i butelkami.

- Posłużyłem się drobnym zaklęciem, by ustalić wasze ulubione trunki - rzekł Sarzana, starając się utrzymać lekki, pogodny ton rozmowy. - Mam nadzieję, że wybaczycie mi takie natręctwo.

Usadowiliśmy się wygodnie. Natychmiast poznałam po butelce, że stoi przede mną wierna replika Talyi, słodkiego deserowego wina, które od pokoleń tłoczono w majątkach rodu Antero jedynie dla

honorowych gości. Sporządza się je w ten sposób: winogrona należy pozostawić na krzaku aż się pomarszczą, a potem, gdy miękisz będzie najśłodszy, delikatnie zerwać je z łodyżek i ułożyć w kadzi, gdzie popękają pod własnym ciężarem. Na moment zapomniałam, gdzie się znajduję i oczy przesłoniła mi mgła, na wspomnienie odległego miejsca, które zaczęło mi się już wydawać nieosiągalne. Po raz ostatni piłam to wino przed rokiem, gdy zbiory okazały się tak znakomite, że można było przeznaczyć część gron na sporządzenie Talyi, wina dla prawdziwych rozrzutników. Nieraz popijałyśmy je z Tries, gdy między nami istniała tylko jedwabista więź miłości.

Odwróciłam twarz, by Sarzana nie spostrzegł, że policzki zwilgotniały mi od łez. Cholla Yi coś mamrotał pod nosem, po czym mruknął, że czuje się uhonorowany, gdyż lord Sarzana potrafił wyprodukować najlepszy alkohol, jaki pędzi się w jego ojczyźnie, czyli destylat z wiśniowych pestek, który rzadko komu przypada do gustu.

- Proszę, nie nazywajcie mnie lordem - rzekł w odpowiedzi Sarzana. - Dla wszystkich mieszkańców Konyi, mój tytuł nie wymaga już żadnych dodatków.

Pokiwałam głową. Oto i odpowiedź na jedno z pytań Gamelana.

Czubkiem sztyletu podważyłam woskową pieczęć, wyciągnęłam korek, nalałam odrobinę wina do kieliszka i spróbowałam. Ukryłam uśmiech. Magia Sarzany nie była bezbłędna - napitek krył w sobie lekką goryczkę, której winogrona rodu Antero nigdy nie miały. Musiałam jednak przyznać, że ogólny efekt był doskonały, a wino okazało się bardzo przyjemne w smaku.

- Ta komnata zachowała dla mnie wspomnienia minionych wydarzeń.

Rozejrzyjcie się tylko - rzekł Sarzana. Dwoje z nas obróciło się w tył, ja zaś nieruchomo wpatrywałam się w ręce Sarzany. Gamelan nauczył mnie obserwować magów. Władca wyspy ułożył prawą dłoń na lewej, grzbietem do dołu i wykonywał palcami gest przyzywania. Zapamiętałam wszystko, lecz uznałam, że na nic mi się to nie przyda, ponieważ nie znałam tekstu zaklęcia.

Usta Sarzany poruszały się, ale zbyt cicho wymawiał słowa, bym mogła je zrozumieć. Potem i ja odwróciłam się, by popatrzeć.

Widowisko wywołane przez Sarzanę pochłonęło mnie całkowicie.

Znaleźliśmy się w olbrzymim pałacu, który właśnie opanowali zdobywcy. Po ścianach, pokrytych gobelinami, szalały huczące płomienie. Widziałam piękne kobiety, krzyczące rozpaczliwie i wyrywające się z rąk pijanych mężczyzn.

Widziałam, jak grabieżcy wynosili naręcza bogactw, inne zaś przedmioty rozbijali lub darli z czystej żądzы zniszczenia. Widziałam też żołnierzy w zbrojach: niektórzy padli martwi, wypełniając ostatni obowiązek, inni zaś zmienili front, przyłączając się do rabusi. Widziałam mężczyzn a także kobiety, odzianych bogato, jak na członków warstwy panującej przystało, kierujących niszczycielskim tłumem. A potem nie pozostało nic, tylko marmurowe ściany, z płyt żyłkowanych pasmami egzotycznych minerałów.

- To był dzień detronizacji - powiedział Sarzana. - Tego dnia moja ukochana Konya utraciła potęgę, wolność i pokój.

Widziałam, jak zaciska wargi i skutecznie stara się opanować emocje.

- Troskliwie przechowuję te wspomnienia - dodał - gdyż nie chcę, by długie wygnanie zatarło we mnie pamięć okrutnych przeżyć.

- Może na początek opowiedz nam panie, o krainie, którą władałeś - zaproponował Gamelan cichym, lecz rozkazującym głosem.

Sarzana skrzywił wargi.

- Dzięki, lordzie Gamelanie. Masz rację. Nie jestem przyzwyczajony do snucia opowieści i zapominam, że nie wszyscy znają Konyę i minioną świetność mego kraju.

Zasiadł na sofie i z przezrzystej karafki nalał sobie wody lub czegoś, co wyglądało jak woda.

- Moje królestwo - rozpoczął - znajduje się daleko stąd, na południu, a jeśli wybaczyście mi poetycką frazę, powiem, że przypomina drogie kamienie, rozsypane po morzu, to składa się z wielu tysięcy przepięknych wysp, z których najważniejsza jest Izolda, najcudowniejszy z tych wszystkich klejnotów. Tam, od niepamiętnych czasów, mieścił się ośrodek władzy królewskiej. Wyspy bardzo różnią się wyglądem i klimatem - od pustynnych płaszczyn poprzez koralowe atole aż po wysokie góry lodowcowe na dalekim południu, które w dalszym ciągu pozostają niezbadane. Izolda zaś jest odległa stąd o jakieś trzy tygodnie żeglugi przy silnym wietrze.

- Tyle wysp i wszystkie zamieszkane? - spytał Cholla Yi.

- Większość - odparł Sarzana. - I to jest właśnie największa tragedia Konyi. Czasem wydaje się, że każdą z nich zamieszkuje inny naród, całkowicie różny nawet od swych najbliższych sąsiadów. Co gorsza, wszystkie te wyspy są ze sobą w stanie ciągłej wojny.

Na twarzy Cholla Yi pojawił się uśmiezek. Wiedziała, co sobie pomyślał: sąsiedzkie swary oznaczają dobre czasy dla piratów.

- My, Konyanie - opowiadał Sarzana - mamy trochę wspólnych cech: jesteśmy gorąco krwiści, pochopni w sądach i bezkrytyczni, zarówno w miłości jak i w nienawiści. Jest takie przysłowie: „Z Konyaninem u boku nie zabraknie ci ani przyjaciół, ani też wrogów”. Obawiam się, że to wielka prawda.

- Trudno rządzić takim krajem - zauważyła Corais.

- Tak jest... a raczej, tak było.

- Czy urodziłeś się, panie, następcą tronu? - spytał Cholla Yi.

- Nie. Byłem rybakiem, podobnie jak wasz Mistrz Magii. - Rzuciłam ukradkowe spojrzenie Gamelanowi i spostrzegłam, że zmusił się, by nie drgnąć z powodu zaskoczenia. - Może nieco przesadziłem - poprawił się Sarzana. - Mój ród nie tyle mistrzowsko władał wędką i pobierakiem, ile wiosłem i łodzią, a poza tym zajmowaliśmy się handlem. Mieliśmy pięć kutrów na własność i mieliśmy dziesięciu lenników.

- W takim razie przerastasz mnie o głowę, panie - wtrącił Gamelan. - My mieliśmy jedną jedyną łódkę i to rzeczną, a nie morską, a w dodatku zadłużoną u naszego znajomego.

- Byłbym może szczęśliwszy, gdyby moja rodzina była biedniejsza - odparł Sarzana. - Może wtedy los nie zawiódłby mnie na tę przeklętą skałę.

Prawdopodobnie jednak się łudzę. Moim zdaniem, jeśli człowiek jest przeznaczony na władcę, to zasiądzie na tronie, nawet gdyby urodził się w rynsztoku. Władza to kwestia przeznaczenia, a nie profesji.

Cholla Yi potakiwał z wyraźnym upodobaniem, zaś Gamelan zmarszczył brwi, ale nikt nie przerywał gospodarzowi.

- Jak mówiłem, nie różniłem się niczym od wielu innych właścicieli statków na naszej wyspie, z jednym wszakże wyjątkiem. Moja rodzina bardzo wcześnie spostrzegła, że posiadam dar magiczny. W odróżnieniu od innych miejsc, u nas bardzo szanowano wioskowych wróżów i czarowników, szczególnie jeśli uprawiali tak zwaną przez nas Sztukę Pogody. Zdobyłem jednak bardzo wrywkową wiedzę. Nie wiedziałem, że można przejść w tej dziedzinie formalne szkolenie, bo nie było ono u nas tak powszechne jak w Orissie, jeśli nie pomyliłem się, odczytując waszą przeszłość. Może, gdybyśmy mieli więcej pieniędzy, lub rodzina moja miała wyższą pozycję społeczną - choć na mojej wyspie nie ma arystokratów w całym tego słowa znaczeniu - może wtedy mógłbym dotrzeć na Konyę, by doskonalić swe umiejętności. Stało się jednak inaczej - może i lepiej, gdy pomyślę o tym, co przytrafiło się w kilka lat później wielu damom i lordom. We wczesnej młodości niczym nie różniłem się od chłopców o statusie podobnym do mojego. Pracowałem w rodzinnym rzemiośle, patrosząc ryby, a także jako sternik i harpunnik. Wykorzystywałem swój niewielki dar, odgadując, gdzie najlepiej zarzucić sieci, aby uzyskać bogaty połów.

- Niestety, wyspa nasza leżała na szlaku handlowym do Konyi, a morze wokół niej było niezwykle obfite w ryby. Otaczały nas wspaniałe, bogate ławice, dostępne dla każdego - które jednak przyciągały liczne rekiny: piratów, łowców niewolników, okręty wojenne, a nawet poczciwych kupców, którzy nie wahali się napadać na nasze łodzie, jeśli akurat brakowało im kilku wiosłarzy. Wszyscy wiedzieli, że mieszkańcy Rekiniej Wyspy rodzą się z mocnymi nogami i dłońmi pasującymi akurat do wiosła. - Co roku przepadało pięciu, dziesięciu, a nawet i więcej wyspiarzy. Niektórzy wracali po długiej podróży, inni zaś... - Sarzana wzruszył ramionami. - Sam wiele razy z trudem wymigałem się łowcom niewolników - dzięki sztormowej pogodzie, udając chorobę lub też pomieszanie zmysłów, gdy zatrzymywali moją łódź.

Naturalnie, nigdy nie ujawniałem najeźdźcom skromnego Daru, ponieważ stałbym się dla nich wielce łakomym kąskiem.

- Czy wasz rząd nie potrafił sobie z tym poradzić? - spytał Gamelan.

- Rząd? - zaśmiał się Sarzana. - Władcy byli daleko i mało ich obchodził nas los. Chcieli jedynie, byśmy płacili podatki i w tym celu przysyłali statek z poborcami na pokładzie. Niektórzy z nas uważali, że to niewiele lepsze od najazdu piratów. Konyą władał, i to bardzo źle, królewski ród i klan, którego krew w ciągu wielu stuleci stała się niewiele gęstsza od wody. Ze strony władców, którym wydawało się, że są godni zasiadać na tronie, nie mogło nas spotkać nic oprócz surowości.

- Bogowie dali człowiekowi stać, by nie musiał bez końca znosić niesprawiedliwych władców - rzekła Corais.

Sarzana przyjrzał jej się dziwnym wzrokiem i rzekł: - Może takie legendy opowiada się w waszych krajach, pani porucznik. Ale nie u nas. Mieszkańcy Konyi wierzą, że królobójca będzie umierał po milionkroć, a dusza jego nie zazna spokoju, lecz przez wieki będzie dręczona przez demony we wszystkich istniejących światach.

Ale odbieглиśmy od tematu i od wydarzeń, które zapoczątkowały to wszystko. - Pewnego dnia piraci otoczyli dziesięć łodzi zajętych wyciąganiem ciężkich sieci, zabrali wszystkich mężczyzn i, rycząc radośnie, zatopili łodzie.

Tego dnia nastąpił koniec pewnego okresu i początek nowego. Wszyscy właściciele łodzi zebrali się razem i postanowili, że trzeba z tym skończyć.

Tego dnia poczułem dotyk bogów, gdyż wiedziałem dokładnie, co należy zrobić. Po raz pierwszy chyba mój Dar pokazał, czym może się stać w przyszłości.

Powiedziałem, że w odpowiedzi musimy wystąpić zbrojnie, i to energicznie.

Ludzie drwią z nas, żeśmy nie mężczyźni, nie kobiety, jeno rzezańcy i jeśli zamierzamy to pokornie znosić, rzeczywiście zasługujemy na zagładę. Wyspa nasza stanie się pustkowiem, a kobiety zostaną wywiezione do cudzoziemskich portów, by nierządem zarabiać na chleb. Zmienimy nazwę naszej wyspy na Wyspę Tchórzliwych Małży, bo nie jesteśmy godni imienia władcy mórz. Tego dnia obdarzono mnie widać miodopłynną wymową, gdyż naraz wszyscy moi ziomkowie zaczęli wykrzykiwać radośnie i ponieśli mnie na ramionach.

Przerwał na chwilę, po czym mówił dalej: - Wtedy to po raz pierwszy posłyszałem, jak tłum z entuzjazmem wiwatuje na moją cześć, a to bardzo wielka przyjemność.

Wydawało mi się, że te ostatnie słowa mówił trochę do nas, trochę do siebie...

- Utworzyliśmy związek obronny. Rybacy przestali ukradkiem wymykać się na połowy w sekretne miejsca wśród raf i na głębinach. Pływaliśmy w grupach liczących co najmniej pięć łodzi i pracowaliśmy wspólnie. Na każdej łodzi jeden z mężczyzn miał za zadanie wypatrywanie wrogich żagli na horyzoncie. Pod sieciami chowaliśmy broń. Z początku były to zaostrzone osęki, trójzęby i noże do patroszenia, ale gdy pierwszy napastnik popełnił ten błąd i nas zaatakował, arsenał wzbogacił się o miecze, włócznie i łuki. - Uśmiechnął się na to wspomnienie. - Bardzo szybko nauczyliśmy się sprawnie posługiwać bronią przeciw łajdakom, którzy odważyli się porywać naszych ludzi. Pogłoski o nas rozeszły się szybko i wkrótce wody wokół Rekiniej Wyspy stały się bezpieczne dla wszystkich, z wyjątkiem tych, którzy pożąдали krwi. Oczy Sarzany zabłyśły. - Inne wyspy wysłały do nas swych przedstawicieli, by dowiedzieli się, jak udało nam się to osiągnąć. Każdemu składaliśmy tę samą propozycję: przyłączcie się do nas, a i u was zapanuje pokój. Gdy dostrzegli korzyści płynące ze współpracy, nie trzeba ich było nawet za bardzo namawiać.

Cholla Yi był równie podniecony opowieścią, jak sam Sarzana.

- I wybrali cię, panie, na swego przywódcę?

- Oczywiście, że tak - odparł nasz gospodarz. - Czy znaleźliby kogoś lepszego? W ciągu roku pokój zapanował na całym archipelagu. Wyspiarzom podobały się moje pomysły i sposoby ich realizacji, więc poprosili mnie, bym przewodził im na codzień, nie tylko podczas obrony. Wybraliśmy najdzielniejszych ludzi i płaciliśmy im, by nie musieli robić nic innego, tylko stać w gotowości do obrony. Uregulowaliśmy rynek tak, by każdy rybak wiedział, że gdy wróci do domu z pełną ładownią, ceny nie spadną drastycznie.

Nieraz bywało, że zysk z ryb nie wystarczał nawet na sznurki do reperacji sieci albo przynętę na następny połów. Spory między wioskami rozstrzygał sąd objazdowy, a nie krwawe wendetty, jak poprzednio. Wymyśliliśmy nawet własną flagę. Widniał na niej Rekin, by uhonorować miejsce, gdzie to wszystko się zaczęło... i ponownie zapanował pokój. Lecz nie na długo.

- Władcom Konyi pewnie niezbyt się spodobało nowo powstałe królestwo po środku ich włości - powiedziałam.

- Właśnie. Ale wszystko odbyło się nieco inaczej. Dowiedzieliśmy się, że istnieje gorszy despotyzm niż władza starzejącego się, sklerotycznego rodu.

To despotyzm ludu. Stary król zmarł. Okazało się, że to dla niektórych świetna sposobność. Jeśli nikogo nie koronowano, nie można przecież popełnić królobójstwa. Na Konyi i innych wyspach wybuchły spontaniczne bunty.

Gniewny tłum zaatakował pałace możnowładców. Zanim wieść o tym dotarła do naszych wysp, stary rząd, słaby i niekompletny, utonął w fali krwi i morzu płomieni, a głowy szlachetnie urodzonych obnoszono po ulicach, zatknięte na ostrzach pik.

Sarzana zadrżał.

- Wtedy dopiero rozpoczął się prawdziwy terror. Pozwólcie sobie jeno powiedzieć, wy cisi, łagodni ludzie - jeśli nie mieliście nigdy nieszczęścia, by zetknąć się z tyranią, wiedzcie, że nie ma gorszej niż ta, którą sprawuje lud.

Niechaj tylko pojawi się ktoś wyrastający ponad przeciętność talentem, umiejętnościami lub geniuszem, a natychmiast go zetną, tak jak żniwiarz najpierw ścina sierpem najdojrzałe kłosa, wyrastające ponad łan. Wtedy nauczyłem się, że pierwszą zasadą monarchii jest sprawiedliwa władza, zaś drugą - że ci, których bogowie przeznaczyli na rządzonych, pod żadnym pozorem nie powinni mieć wpływu na władzę.

Spojrzałam na Corais, zachowując kamienną twarz, i widziałam, że również stara się zachować obojętność. Dokładnie taką minę miewała zawsze, gdy wiedziała, że dostaje niewłaściwe rozkazy. Zaś Cholla Yi kiwał głową z wielkim entuzjazmem. Gamelan miał nieprzeniknioną minę. Sarzana mówił dalej: - Gdy obalili rząd, spotkali się na wielce poważnym zgromadzeniu, które nazwali sobie Parlamentem Ludowym - tu prychnął z niesmakiem. - Wyobraźcie sobie tych wszystkich żołnierzy o zakrwawionych rękach, brudnych chłopów prosto od pług, żony sklepikarzy i podobne pospólstwo, tłoczące się w pałacach, które pozajmowali... każdy pewnie wykrzykiwał wniebogłosy, że zna najlepszy i jedyny sposób na sprawowanie władzy. W końcu utworzyli rodzaj rządu, w którym nikt nie miał prawa być lepszy niż najgłupszy minister, a każdy, kto uważał siebie za mądrzejszego niż inni, był automatycznie uznawany za siewcę zła i likwidowany. Straszne to było przypomnienie czasów monarchii, która odeszła i nigdy już nie miała powrócić.

- Co gorsza - ciągnął ponuro - ci chłopscy władcy mieli własne stronnictwa, potakiwaczy najgorszego gatunku, którzy uniemożliwiali tym biednym durniom uświadomienie sobie własnej głupoty. Bardzo wczesnie, w pierwszym okresie buntu ludowego, najniższa warstwa szlachecka, czyli baronowie, którzy nigdy nie przysłużyli się Konyi, tylko siedzieli w swych majątkach i wykorzystywali wszystkich wokół, dostrzegli, co się dzieje i przyłączyli się do uzurpatorów.

Władcy Konyi pozwolili tym książątkom żyć po swojemu, by udowodnić, że wcale nie zamierzają przemienić wszystkich poddanych w rój pracowitych mrówek. Naturalnie szlachta z wdzięczności lasiła się do kolan swoich nowych panów.

- Rozumiem, że zbliża się chwila, gdy twoje, panie, Rekinie Wyspy weszły w konflikt z Konyanami, prawda? - spytał Gamelan.

- Dokładnie tak - Sarzana żwawo pokiwał głową. - Gdy spostrzegli, że istnieje inna droga - układ społeczny, w którym każdy człowiek z własnej woli oddaje swemu suwerenowi to, co należne, a ten z kolei daje z siebie jeszcze więcej - ach, wtedy sformowano wielką ekspedycję, by pozbyć się naszej herezji z Konyi. - Dowiedziałem się wtedy także, że władcy jest łatwiej panować, gdy masy mają zewnętrznego wroga, przeciw któremu mogą zwrócić gniew - dodał.

Tę uwagę również wygłosił do siebie, a nie do nas. - Wysłali wielką flotę, która miała za zadanie spustoszyć nasze krainy. Takie zadanie mogłoby się powieść staremu reżimowi, ale nie tej nowej zbieraninie. Potrzebowali całych miesięcy, by sformować armię i choć trochę ją wyszkolić, znaleźć statki, nauczyć kapitanów floty handlowej wojennego rzemiosła... Jeszcze dłużej trwało zaopatrzenie armii w prowiant, zdobycie mundurów i broni. Nie zdawali sobie sprawy, że trwa to za długo i że ich czas już się skończył. Nikt nie wiedział, że ja się zmieniłem. Pewnego dnia - a gdybym zechciał koloryzować, zamiast nij opowiadać wam szczerą prawdę, byłby to dzień wielkiej burzy z piorunami - otóż, pewnego dnia ja... ja zrozumiałem. Nie wiem, jak inaczej można to określić. Czy możesz to wytłumaczyć, Gamelanie?

- Doskonale wiem, o co ci chodzi - odparł Mistrz Magii. - Wiemy, że szczególnie uzdolnieni magowie mogą doświadczyć nagłego oświecenia i ujrzeć przed sobą jak na dłoni wszystkie elementy swej sztuki.

- Tak właśnie było - przytaknął nasz gospodarz z podnieceniem w głosie.

- O tej części mego życia nigdy nie rozmawiałem z obcymi, lecz to wielka ulga, że nie jestem osamotniony. W chwili gdy posiadałem tę moc, zdałem sobie sprawę, że nie mogę zaufać żadnemu innemu magowi, bo mógłby on stanowić dla mnie zagrożenie. Wyczuwałem, że wrogowie - wrogowie mojego ludu - stają się coraz silniejsi. Ale i moja siła rosła szybko. Czasami wydawało mi się, że dodaje mi mocy duch wszystkich ziomków i tych, którzy wybrali mnie na swego władcę.

Sarzana przerwał i nalał sobie pełen kielich. Wychylił go do dna, odstawił i uśmiechnął się, przebywając myślami w przeszłości.

- Gdy ich flota dopłynęła do Rekiniej Wyspy, rozszalał się potężny sztorm, wywołany z pomocą mej sztuki. Ku naszym wyspom płynęło ponad dwieście okrętów, lecz skały, pływy i wichry porwały je,

rozpędziły na cztery wiatry i pozatapiały. Gdy wszystko się uspokoiło i wyrzało słońce, nasze niewielkie okręty ruszyły przeciw ogromnym wiosłowym galerom. Ludzie moi tłumnie je zaatakowali, jak barrakudy walczące z wielkim samogłowem.

Wszystko szybko się skończyło i ludzie z Rekinich Wysp odnieśli zwycięstwo.

Teraz byliśmy najpotężniejszą siłą w całej Konyi. Wiedzieliśmy, co należy zrobić. Nie mogliśmy odłożyć broni i powrócić do naszych sieci i domów, ponieważ ta dzicz rzuciłaby się na nas ponownie i atakowała, póki nie opadlibyśmy z sił.

Zebraliśmy więc flotę wojenną, która jednakże pochodziła nie tylko z naszego archipelagu. Nie wszystkim Konyanom podobała się nowa władza.

Byli tacy, którzy rozumieli, że niesie ona ze sobą tylko zagładę dla całej ludzkości - nic ponadto. Wokół Izoldy zgromadziło się więc tysiąc okrętów.

Spodziewaliśmy się wielkiej bitwy - ale nie było z kim walczyć. Samozwańcy zniknęli! Niektórzy uciekli, inni wybrali śmierć z własnej ręki, by nie patrzeć na powrót praworządności.

Poniesli mnie na ramionach z portu, gdzie cumował mój okręt flagowy, prosto do Pałacu Monarchów, a tam drżącą ręką ukoronował mnie jedyny żyjący członek wielkiego, niegdyś panującego rodu. Było to prawie trzydzieści lat temu.

Sarzana zamilkł. Siedział przysłoniwszy oczy dłonią i przywoływał minione, pełne triumfu dni. Żadne z nas nie przerwało mu zadumy.

Podjął opowieść.

- Na początku wszystko szło dobrze. Nikt nie okazywał niezadowolenia, że odebrano władzę

tłumowi. Stosowałem jak najmniej kar, bo pragnąłem pokoju i nie chciałem, by ktoś zaprzysiął mi krwawą zemstę. Próbowałem władać miłosiernie, co było załóżkiem mego upadku.

- W jaki sposób miłosierdzie może okazać się czymś złym? - chciała wiedzieć Corais.

- Pani porucznik, nie spodziewałbym się takiego pytania ze strony wojowniczkii. Pozwól, że wyjaśnię ci to na przykładzie. Czy powaliłabyś wroga, a potem odwróciła się do niego tyłem, wiedząc, że wciąż ma sztylet za pasem?

- Aha - odparła Corais.

- No właśnie. Niektórych wicherzycieli, którzy wysłali przeciw mnie flotę lub mordowali lordów i damy dawnego reżimu, zesłałem jedynie w odległe krainy lub nakazałem im pozostać w ich własnych majątkach. Innych, obciążonych większymi winami, uwięziłem na określony czas. Tylko kilku wymierzyłem najostrzejszą karę. I jaki był skutek? Wygnańcy spiskowali za moimi plecami. Tych, których zlikwidowałem, obwołano męczennikami. A więźniowie pisali uduchowione dokumenty, kładąc podwaliny pod kolejny bunt... pisma te wszyscy przekazywali sobie w sekrecie.

- Chyba każdy silny człowiek, który dochodzi do władzy, musi spotkać się z czymś takim - stwierdził cynicznie Cholla Yi. - Zgadza się z tobą panie, jedynie w tym, że byłeś nazbyt miłosierny. W mojej ojczyźnie, kiedy ktoś przejmie władzę, zaczyna panowanie od wymordowania swych braci i wujów, aby nikt z rodziny nie wystąpił przeciw niemu.

Tego już było dla mnie za wiele.

- Sarzano... z całym szacunkiem, moje miasto przeszło w ostatnich latach poważnie zmiany. Ale nikt nie spiskuje w ukryciu przeciw radnym ani Mistrzom Magii, którzy obecnie stoją po stronie ludu... a przynajmniej ja o niczym takim nie wiem.

- Podejrzewam, pani kapitan, że jesteście bardziej flegmatyczną rasą - odparł Sarzana. - Pamiętasz, jak mówiłem, że my, Konyańcy, mamy gorącą krew i szybko przerzucamy się od miłości do

nienawiści? Takimi ludźmi można rządzić tylko w jeden sposób - to znaczy twardą ręką. Nie będą się buntować przeciw władzy, jeśli prawa wprowadza się w sposób stanowczy. Ja miałem jednak inny problem, który stał się zarzewiem spisku.

- Czyli szlachtę, o której nam opowiadałeś - odgadłam.

- Dokładnie tak. Na początku baronowie wychwalali mnie pod niebiosa.

Później jednak uznałem, że należy zweryfikować ich sytuację. Zdałem sobie sprawę, że posiadają zbyt wiele niezасłużonych przywilejów, które przez setki lat były zmorem wszystkich władców. Wielu na przykład pobierało podatki z ziem, których nigdy na oczy nie widzieli, inni posiadali na wyłączną własność całe wyspy, a nawet morza wokół nich. Potomek niewolnika umierał niewolnikiem, bo nie praktykowano wyzwolenstwa.

Drgnęłam niespokojnie, słysząc te słowa, ponieważ Orissa dopiero niedawno naprawiła tę straszną niesprawiedliwość dzięki mojemu bratu Amalrykowi.

- Ponadto, niektórzy z nich, dzięki specjalnym przywilejom, nie podlegali ogólnemu prawu, lecz mogli więzić i karać na inne sposoby wszystkich, których chcieli, bez żadnych ograniczeń. Posiadali wielkie latyfundia i kazali sobie płacić niesłychanie wysoką dzierżawę, podczas gdy większość mieszkańców ledwie mogła się wyżywić ze swoich poletek. Być może powinienem działać wolniej, lecz jawna niesprawiedliwość zawsze rozpala mój gniew, a miecz sam wślizguje mi się w dłoń. Obwieściłem, że nastąpi weryfikacja wszystkich przywilejów nadanych baronom, a przez cały kraj powieje ożywczy wiatr zmian.

To rozpałiło iskrę buntu. Padła na podatny grunt, bo w owym czasie bogowie odwrócili się od Konyi. Przez wiele pór roku nękały nas potężne sztormy, a potem gorące, suche wiatry niszczyły urodzajne pola. Ławice ryb, niegdyś nieprzebrane, poszukały sobie innych mórz i po raz pierwszy za ludzkiej pamięci zapanował głód. Z iskry począł się pożar. Niektóre zewnętrzne wyspy powstały przeciw mnie i uznałem, że należy wysłać wojsko, aby stłumić bunty. Niestety, wybrani przeze mnie kapitanowie okazali się brutalami, przekonany, że najtrwalszy pokój panuje na cmentarzach.

Doradcy moi ukryli przede mną ich postęпки, więc myślałem, że lud mój i korona mają się dobrze.

W końcu użyto przeciwko mnie najczarniejszej magii. Moi wrogowie w jakiś sposób okiełznali moc potężniejszą od mojej. Nie wiem, skąd pochodziła - czy była to siła naturalna, czy też jakiś książę demonów, sprowadzony w pełnej chwale z ciemnego świata, czy też coś jeszcze innego. Wszystko, do czego przykładałem ręce, w najlepszej zresztą wierze, kończyło się porażką. Między mną a przyszłością zapadła nieprzenikniona zasłona. Utraciłem wiedzę o tym, co przyniesie mi jutro.

Wtedy wybuchła rewolta. Ludzie powstali, oślepieni wściekłością i paniką. W Konyi ponownie zapanował tłum. Tym razem jednak sterowały nim przebiegłe ręce - czyli baronowie, kierowani bezrozumną wściekłością przeciw władcy, który kochał ich ponad wszystko. Obalili mnie i wielu innych, których sprowadziłem z najdalszych zakątków kraju i obdarzyłem władzą, ponieważ byli utalentowani i kochali swych ziomków. Mój biedny, zrujnowany kraj nigdy jeszcze nie doznał takich zniszczeń.

Ponownie zapadła długa cisza.

- Powinni mnie byli zabić - rzekł wreszcie Sarzana - lecz byli na to zbyt okrutni. W sercach skazali mnie na śmierć. Nawet baronowie zdawali sobie przecież sprawę, że większość Konyan wie, po czyjej stronie leży sprawiedliwość i wkrótce przypomną sobie, że byłem ich ratunkiem, a nie upadkiem. Baronowie skazali mnie na śmierć, lecz, by jeszcze bardziej rozkoszować się swym okrucieństwem, powiedzieli, że sami wybiorą chwilę mej śmierci.

- A co z tą klątwą, o której wspominałeś, panie?

- Powiedziano mi w tajemnicy, że żołnierzom, odkomenderowanym do pilnowania mnie, obiecano potężne kontrzaklęcia, które miały ich chronić, gdy zapadnie decyzja o dniu mego zgonu. Przekonywano ich, że jeśli wiele rąk chwyci za miecz, demony śmierci nie spostrzegą, kto właściwie był zabójcą. W dodatku obiecano im piękne posiadłości i wiele złota. Spostrzegłem, że tego rodzaju nagrody każą ludziom zapomnieć o dalekich bogach i ich groźbach - dodał cynicznie.

- A co pomyśleli mieszkańcy tej wyspy, Tristana, gdy cię tu, panie, zesłano? - chciałam wiedzieć. - I... co się z nimi stało?

- Z początku nie wiedzieli, co o tym myśleć - odrzekł Sarzana - ponieważ niewiele słyszeli o krwawej łaźni w całej Konyi. Cieszyli się tylko, że powstaje tu tyle nowych budynków. O dziwo, pałac był już niemal w połowie gotowy.

Nakazał go postawić pewien ekscentryczny lord, który odsunął się od świata, zdobywszy wielkie bogactwa. Jednak gdy połowa budowli już stała, lord spadł ze skały, gdy w pijackim oszołomieniu biegał nad urwiskiem, przemawiając wierszem do bogów. Baronowie, którzy przejęli władzę w Konyi nakazali, bym do chwili śmierci przebywał w luksusowych warunkach, więc na budynek wydano jeszcze wiele złota, podobnie jak na całą posiadłość. A te wielkie wojenne okręty, zakotwiczone w zatoce, odstraszały piratów i łowców niewolników.

- Mieszkańcy wioski najpierw byli zadowoleni z przybycia żołnierzy, którzy mieli pieniądze, przywieźli nowe opowieści i pieśni... wioskowe kobiety znużyły się jużdotychczasowymi kochankami. Od tego zaczęły się problemy.

Oficerowie powinni byli zaprowadzić porządek, lecz nie zrobili tego, bo większość z nich także uwikłała się w rozmaite podejrzane związki. Nie wiedziałem, co robić. Wiedziałem tylko, że nie będę spokojnie chodził po klatce, choćby splecionej z jedwabiu, i czekał, aż przyślą zabójcę z wielkim młotem.

Na szczęście mój talent powoli powracał. Poczułem, że zasłony przesłaniające wzrok powoli opadają, choć nie wiedziałem, gdzie się podziały.

Jednak długie miesiące, przez które byłem pozbawiony mocy, wywarły na mnie szkodliwy wpływ.

Gamelan skrzywił się na te słowa.

- Musiałem poszukać stronników. Byłem pewien, że ciągłe posługiwanie się Sztuką przywróci mi poprzednią moc.

- Zwierzęta - wtrąciłam.

- Właśnie. Dusze nie skażone ludzkim złem, a zarazem odwieczne ofiary ludzkiego okrucieństwa. Rzuciłem ogólne zaklęcie wzajemnej życzliwości. Gdy żołnierze wychodzili na polowanie, dodawałem jeszcze zaklęcie poznania, by wszystkie stworzenia na wyspie wiedziały, jakie zło wyrządza człowiek, ich wróg.

- A zwierzoludzie?

- To mój własny pomysł. Czyż nie są wspaniali?

- Potrzeba potężnych zaklęć, by stworzyć życie - powiedział Gamelan. - Niektórzy nazywają to czarną magią.

- W walce o życie własne i własnych ziomków nie ma miejsca na osądy moralne. To rzecz historyków i pisarzy, których dzieła znajdują się w cichych bibliotekach, pobudowanych przez krwawego tyrana. Nie dbam o te szlachetne duszyczki, które, zaszyte w spokojnym kącie, chcą osądzać postęпки człowieka, uwikłanego w krwawą, zawziętą walkę.

Z tym również nie mogłam się zgodzić, lecz pohamowałam się w porę.

Dlaczego, na bogów, którzy rozwiązują głupcom języki, mamy siedzieć i rozmawiać o moralności, będąc gośćmi w obcym królestwie, choć tak niewielkim? Nie byłoby to rozsądne, zresztą dawne uczynki tego człowieka nie miały już teraz znaczenia. Może rządził bardziej surowo, niż ja bym to robiła, gdyby znalazł się jakiś szaleniec gotów ofiarować mi koronę, a ja straciłabym rozum na tyle, że bym ją przyjęła. Czułam jednak przez skórę, że Sarzana chciał dobrze dla Konyan i został podle zdradzony. Z tą myślą ogarnęła mnie świadomość, że oto pojęłam wielką prawdę: my, pospólstwo, nie powinniśmy sądzić tych, którzy noszą koronę.

- Stworzenia te, są mi lepszymi przyjaciółmi niż ci głupcy o słodkich językach, którzy płaszczyli się przede mną na dworze - rzekł Sarzana. - Żeby je stworzyć, wykorzystałem... ani w waszym, ani w konyańskim języku nie ma na to odpowiedniego słowa, gdyby chodziło o ludzi, można by chyba użyć określenia „dusza”. Nazwijmy to duchową esencją zwierząt zabitych na morzu lub na lądzie. Dałem

im nowe ciało i ożywiłem je, przekazując moc, jakiej nigdy przedtem nie miały. Dobrze o tym wiedzą i żywią dla mnie bezgraniczną wdzięczność. Pewnego dnia, gdy - albo raczej jeśli - uda mi się uciec z tej wyspy, uwolnię ich wszystkich i będą tu panować, miłosierniej niż potrafiłyby rządzić jakikolwiek człowiek, w harmonii z innymi istotami na morzu i lądzie.

Lecz znowu odbiegłem od tematu mej opowieści. Czułem, że zbliża się chwila, gdy do portu wejdzie statek, przywożąc nakaz egzekucji. Mieszkańcy wioski również chyba coś przeczuwali, bo za każdym razem, gdy pozwalano mi zejść na dół po wielkich kamiennych schodach, słyszałem, jak ludzie szemrzą przeciw żołnierzom; rybacy nakładali drogi, by dawać mi drobne dowody życzliwości. Byłem tym głęboko wzruszony; zawsze serce mi topniało, gdy widziałem, ludzi, dławionych terrorem, którzy za wszelką cenę usiłują zachować człowieczeństwo. Przypominali mi moją rodzinną wioskę, sprzed wielu lat...

tak bardzo odległą od tego miejsca.

- Pewnego dnia kurier rzeczywiście przyplłynął. Byłem gotów na śmierć, lecz nic się nie stało. Życie moje płynęło jak wprzód, tyle że zabroniono mi schodzić do wioski. Pewnej nocy zawleczono mnie do komnaty i zamknięto na klucz pod strażą całego oddziału. Pomyślałem, że to już koniec. Ale następnego dnia wstało słońce, a ja dalej żyłem... a nawet odzyskałem swobodę. Mogłem już chodzić po całej wyspie, ponieważ jej mieszkańcy zniknęli!

- Jak to się stało? - spytała Corais.

- Żołnierze kazali im zebrać się w nocy przy nabrzeżu i wsiąść do łodzi, nie zabierając nic ze sobą; okręty wojenne wzięły te pełne ludzi łódki na hol.

Tyle się dowiedziałem, dyskretnie wypytujac żołnierzy. Resztę odgadłem z pomocą zaklęć. Łodzie odholowano na pełne morze, z dala od lądu.

Żołnierzom nakazano, by nie zostawili żadnego świadka mojej śmierci, a oni chętnie usłuchali, może w nadziei, że w ten sposób odwrócą klątwę prześladowającą królobójców. Okręty staranowały te łódki bez trudu, a łucznicy i oszczepnicy wzięli na cel tonących mężczyzn, kobiety i dzieci. Nikt nie przeżył masakry.

Domyślałem się, że linia mego życia wkrótce się zerwie. Byłem zrozpaczony. Na szczęście przypomniałem sobie, że krew jest wielką siłą magii, pozwala jej stać się potężną bronią. Śmierć tych wyspiarzy - myślałem o nich jako o moich wyspiarzach - nie poszła na marne. Rzuciłem pierwsze potężne zaklęcie. Spadło tej samej nocy, jak zimowa burza. Żołnierze nic nie wiedzieli, niczego nie poczuli. Lecz zwierzęta - ci moi przyjaciele i słudzy, które od pokoleń, padały ofiarą ludzi... teraz, kiedy został zerwany pakt ludzi z bogami, trzymającymi zwierzęta w szachu, mogły swobodnie się zemścić.

Tak też się stało. Nastąpiła długa, krwawa noc. Muszę przyznać, że z satysfakcją słuchałem ludzkich krzyków. Zaklęcie pozwoliło zwierzętom okazać tylko tyle miłosierdzia, ile mieli go żołnierze mordujący wyspiarzy.

Niektórzy mieli łagodną śmierć we śnie, inni próbowali się bronić, więc skończyli rozerwani na strzepy, inni zaś, szukający ratunku na statkach, zostali zabici przez foki i delfiny. Gdy nadszedł świt, byłem jedyną istotą ludzką na wyspie Tristan.

Poleciłem, by pościągano ciała na skraj płaskowyżu, daleko za tą posiadłością, i zrzucano ze skały. Silny prąd morski zabrał je daleko od brzegu.

Następnie, a była to ogromnie ciężka praca, wspólnie z moimi sługami postawiliśmy żagle na wszystkich okrętach i poprzecinaliśmy kotwice; chcieliśmy, by statki błąkały się po samotnych morzach, póki nie padną ofiarą porostów lub morskich potworów i nie zatoną w głębinach. Wysyłaliśmy je w dal, okręt za okrętem, aż zewnętrzny port wojenny stał się równie pusty, jak nabrzeże w rybackiej wiosce po wymordowaniu wyspiarzy.

Sarzana zamilkł. Nikt z nas nie odezwał się ani słowem. Nigdy jeszcze nie słyszałam tak ohydnej opowieści o krwawych morderstwach. Konyanie rzeczywiście byli drapieżną rasą - od podwładnych po królów.

- Tylko w koszarach pozostawiłem zwłoki, jako ostrzeżenie dla wszystkich, którzy przybędą tu ze złymi zamiarami - dodał jeszcze Sarzana.

- Słabe to środki ostrożności - skomentował Cholla Yi. - Na pewno zdawałeś sobie sprawę, panie, że baronowie przyślą kolejnych zabójców.

- Naturalnie, że wiedziałem. Nie omieszkali tego zrobić. Ale wszyscy mordercy trafiali w zasięg drugiego potężnego zaklęcia, które powoduje uczucie zagubienia. Jest bardzo proste, prawda, Mistrzu Magii?

- Rzeczywiście - odparł Gamelan. - Ale trzeba dysponować ogromną mocą, by objąć nim całą wyspę.

- Ach, nie musiałem aż tak się fatygować - odparł Sarzana z dumą. - Trzeba było tylko rozmieścić mgłę w odległości czterech, pięciu dni żeglugi od wyspy. Tyle, by nawigator przestał dowierzać mapom i astrolabium, kapitan zaczął podejrzewać swych oficerów i tak dalej. W ten sposób zyskałem pewność, że nikt mnie tu nie znajdzie, jeśli tego nie zechcę. A myślicie, że wielu ludzi paliło się sprawdzić, co tu się zdarzyło? Opowieść o klątwie, która dotknie moich morderców, jest powszechnie znana, więc kto zaryzykuje ściągnięcie na siebie boskiego gniewu bez koniecznej po temu potrzeby?

Sarzana wstał, przeciągnął się i przeszedł między naszymi sofami, ceremonialnie napełniając kielichy. Nikt z nas nie pił wiele, tak bardzo pochłonęła nas jego opowieść.

- Już późno - rzekł. - A raczej, bardzo wcześnie. Przed wami wiele pracy, jeśli chcecie doprowadzić okręty do porządku. Chyba już czas udać się na spoczynek.

Wstaliśmy i wznieśliśmy kielichy w nieco dziwnym toaście.

Ruszyliśmy do wyjścia, ale nagle się zatrzymałam, bo przyszła mi do głowy pewna myśl. Odważyłam się zadać pytanie: - Sarzanie, powiedziałeś, że potrafisz zaglądać w przyszłość. Co cię zatem czeka? Czy spędzisz resztę życia w samotności, na tej wyspie?

- Bardzo trudno jest przepowiadać przyszłość samemu sobie - odparł. - Tak jest i w moim przypadku.

Wydaje mi się, że coś widzę, ale może to tylko marzenia? Widzę, jak wracam do Konyi, a ludzie mnie rozpoznają wszędzie, gdzie wyląduję. Minęło wiele czasu, baronowie czynią coraz więcej zła, więc z pewnością wybuchnie wielkie, ostateczne powstanie. Może jestem naiwnym marzycielem, ale w dalszym ciągu pragnę, by na moich ojczystych wyspach po wsze czasy zapanował pokój. Wiem także, jak do tego doprowadzić. Ale, jak już mówiłem, to może być tylko złudzenie.

- Dlaczego nie powróciłeś do Konyi na jednym z tych wielkich okrętów, ze zwierzętami zamiast załogi? - spytała Corais, jak zwykle praktyczna. - Powiedziałeś przecież, że pochodzisz z marynarskiej rodziny.

- Powiedziałem także, że odeszła siła, która odebrała mi moc, i że chyba nie doszedłem jeszcze do dawnej formy... a może w dalszym ciągu odczuwam skutki zaklęcia rzuconego przeciw mnie na samym początku, gdy odebrano mi tron. Gdy tylko pomyślę o żeglowaniu, umysł mój pogrąża się w zamęcie.

Podejrzewam, że to psychiczny odpowiednik popularnego zaklęcia, które pęta dłonie. Z wygnania musi uratować mnie ktoś inny, kto uwierzy w moje słowa i zaufa mi, że nagrodzę go sowicie po odzyskaniu władzy.

Corais udała się na spoczynek do pałacu, a my w trójkę zeszliśmy po schodach, jasno oświetlonych łagodnym, księżycowym światłem. Poczekaliśmy, aż Cholla Yi odejdzie do swoich marynarzy, którzy ułożyli się na spoczynek na plaży, i zapytałam Gamelana o wrażenia.

- On jest królem - odrzekł mag - a królowie mają inne spojrzenie na świat niż ja. Myślę, że ma dobre intencje i rzeczywiście pragnie dobra swego ludu.

Nie wyczuwam, by żywił do nich nienawiść, co łatwo mogłoby się zdarzyć, ponieważ pozbawili go tronu. Z jego opowieści wywnioskowałem, że baronowie są naprawdę o wiele okrutniejsi niż sam Sarzana albo ci żądni krwi kapitanowie, o których nam mówił. Ale to jedynie przeczucia, nie wsparte faktami ani magią. Jeśli wróci mi moc, choćby nawet jej ułamek, będę wiedział więcej. A ty co wyczułaś?

- Niewiele więcej niż ty - odparłam. - Chyba nawet mniej. Nie dotarło do mnie nic na temat

baronów. Rzeczywiście Sarzana wydaje się mieć uczciwe zamiary - uśmiechnęłam się. - Na ile to możliwe dla króla o takiej naturze.

Gamelan zaśmiał się i podążył się w stronę domku, który dla niego przeznaczyłam. Szedł, jakby miał doskonały wzrok. Nie mogłam się nadziwić, jak łatwo można pokonać własne kalectwo, jeśli się ma dość siły. Przy drzwiach zatrzymał się i odwrócił do mnie.

- Bardzo ciekawa rozmowa... spotkanie z magiem, którego Dar niemal dorównuje mojemu. A raczej dorównywałby. Naturalnie, oddaję sprawiedliwość twemu Darowi Rali. Gdy wspomniał o naszym wspólnym Rzemiośle, poczułem się, jakbym siedział w domu, w Pałacu w Orissie, i rozmawiał z kolegami o zawodowych sekretach. - Westchnął. - Wydaje mi się, że musimy poddać się rozwojowi wypadków, tak jak do tej pory. Może Sarzana pomoże nam znaleźć drogę do domu. On rzeczywiście jest wielkim magiem. Jeśli jednak zdecyduje się nam pomóc, łatwo odgadnąć, czego będzie chciał w zamian. Sugerował to wystarczająco wyraźnie pod koniec swej opowieści. Niewykluczone zresztą, że nagroda będzie warta naszego wysiłku.

Powiedział mi dobranoc i zniknął za drzwiami.

Świt miał nadejść za godzinę albo niewiele więcej. Pomyślałam, że jeśli spróbuję zasnąć, będę pewnie przewracać się z boku na bok, zastanawiając się nad historią życia Sarzany, a najwyżej godzinna drzemka sprawi, że przy pracy będę gorsza od rozjuszonych lwicy. Zresztą, spacer rozwieje i tak już ledwie odczuwalny wpływ wypitego wieczorem wina.

Poszłam powoli na nabrzeże, a potem wzdłuż plaży. Oddałam honory salutującym wartowniczkom, ale nie zwracałam im głowy pustą gadaniną. Noc była cicha i ciepła jak letni wieczór. Weszłam do wody, ciepłej jak krew; rozbijałam nogami grzbiety fal, patrząc, jak krople wody odbijają światło księżyca, i śmiałam się, jak dziecko. Uczucie wielkiej radości, jakie mnie ogarnęło po przybyciu na tę wyspę, pozostało tak samo silne. Do pełnego szczęścia brakowało mi jeszcze... stłumiłam tę myśl, zanim zdążyłam ją w pełni sformułować.

Poszłam aż do ujścia strumyka i zobaczyłam, że wylądowała tam jedna z szalup. Pomyślałam, że usiądę sobie i poczekam na wschód słońca, lecz romantyczne miejsce było już zajęte. Dica i Ismet leżały uśpione na płaszczu, nagie, objęte w pół. Na ten widok poczułam jednocześnie radość i smutek.

Odwrociłam się, słysząc za sobą kroki. To Polillo, zgodnie ze swym zwyczajem, wzięła ostatnią wartę przed świtem.

Popatrzyłyśmy najpierw na siebie, a potem na kobiety śpiące na piasku.

Pochyliłam się i przykryłam je płaszczem. Na ustach Dicy zaigrał uśmiezek, lecz się nie obudziła.

Potem odeszłam samotnie wzdłuż plaży.

Rozdział Czternasty

NA POŁUDNIE OD KONYI

Następnego dnia zabraliśmy się do pracy. Bogowie, ależ to była harówka.

Zanim skończyliśmy i galery stanęły z powrotem na kotwicy (wyglądały, jakby dopiero co je zwodowano, a krew ofiar jeszcze nie zaschła na dziobnicach) ci wszyscy, którzy czasami marzyli sobie o małej łódce na starość, porzucili te myśli na zawsze. Amalryk niezwykle rzadko korzystał z okrętów; uważał je za środek transportu towarowego między portami... Ja dopiero teraz zaczęłam do nich podchodzić bardziej emocjonalnie. Marzyłam, by zostać największą Mistrzynią Magii i wybrukować wszystkie cholerne morza, by nikt, z wyjątkiem marynarzy i innych obłąkańców, nie używał wody w innym celu, jak tylko do kąpieli.

Może wam się wydawać to próżnym zrzędzeniem i pewnie tak, jest. Ale posłuchajcie, co trzeba zrobić, by całkowicie wyremontować galerę: Najpierw należy zdjąć i zabrać z okrętu wszystko, co się da, aby był płytko zanurzony, mógł dopłynąć jak najbliżej do brzegu i zatrzymać się na piaszczystym, pozbawionym skał dnie. Następnie wyciąga się taką galerę na piach, a gdy następuje odpływ, podkłada pod nią ciężkie kłody, opatrzone miękkimi skórąmi na końcach, by się nie przewróciła.

Gdy już tego dokonaliśmy, zdrapaliśmy z kadłuba muszle i wodorosty, jednocześnie zdzierając sobie z rąk tyle skóry, że starczyłoby na pendenty dla całej armii. Potem małże zaczęły gnić i do południa nasz dzielny okręt śmierdział jak portowa latryna. Klisura powiedział mi, że do tej pracy nie potrzeba marynarskich umiejętności, wystarczy gruba szyja i mały hełm, więc gwardzistki bardzo się przydadzą. Chciałam mu coś odburknąć, ale w porę spostrzegłam, że to ma być dowcip i odzyskałam dobry humor, który trwał aż do chwili, gdy zorientowałam się, że mam świecić przykładem swojemu wojsku, więc będę musiała pierwsza wejść na płyciznę i zabrać się za szorowanie.

- Myślałam - powiedziała sierżant Ismet, pracująca tuż obok mnie - że będziemy szlachetnymi łowczyniami i tak dalej, nie zaś kuchennymi popychadłami, co muszą szorować statki.

- Najpierw obowiązek, a przyjemność potem - wykrztusiłam.

Nie myślcie sobie, że tylko nas wykorzystywano; Cholla Yi nakazał Klisurze i innym kapitanom, by zmuszali załogi do jeszcze większego wysiłku.

Nie przypadła nam też w udziale najgorsza praca, którą rozpoczęto, gdy już dna okrętów były dobrze wyczyszczone. Do tego zajęcia wyznaczono kilka moich gwardzistek, dla których kopniak sierżanta albo tydzień sprzątania latryn byłyby zbyt małą karą, oraz o wiele większą grupę marynarzy, którzy narazili się swym przełożonym. Z okrętów pozdejmowano wszystkie przegniłe liny i zebrano je na wielki stos na nabrzeżu, zaś winowajcy mieli za zadanie porozplatać te smołowane sznury na cienkie pasma. Pasma te następnie wciskano między deskowanie statku z pomocą wąskich dłut i drewnianych młotków. Ponieważ w ten sposób likwidowano przecieki, nawet najbardziej leniwi marynarze wykonywali tę pracę z wielkim zapałem. Dla bezpieczeństwa jednak wyznaczono im jako nadzorcę najbardziej złośliwego oficera, który, zbrojny w linę z zawiązanymi na końcu supłami, powoli spacerował za plecami pracujących. Nie wolno mu było jednak bić gwardzistek.

Polillo wytłumaczyła to w bardzo prosty sposób: - Tylko Gwardia może bić Gwardię, rozumiecie?

Potężny mężczyzna dokładnie przyjrzał się jej muskulaturze, zajrzał w lodowato zimne oczy i ze zrozumieniem pokiwał głową.

Po oczyszczeniu kadłuba zaczęło się malowanie cuchnącą mieszaniną smoły, oleju i trujących roślin zebranych na wyspie. Trucizna miała za zadanie przez krótki czas zniechęcać małże i wodorosty do czepiania się naszych okrętów. Każdy taki pasażer na gapę zwalniał tempo i utrudniał wiosłowanie oraz sterowanie, a nadto niszczył deski.

Oprócz prac na zewnątrz okrętów, należało jeszcze doprowadzić do porządku pokłady. Wymieniono zżarte przez sól deski - na szczęście znaleźliśmy pełno wysezonowanego drewna na jednym z podwórz. Były tam ociosane pnie drzewne, doskonale nadające się na maszty, które przegniły u podstawy. Następnie wszystkie drewniane części natarto olejem. W wiosce znaleźliśmy wiele lin, którymi zastąpiliśmy nasze stare olinowanie.

Ponadto należało wykadzić ładownie i kabiny. W każdej orissańskiej stoczni zatrudniono by ucznia lub wędrownego maga, który rzuciłby odpowiednie zaklęcie, tępiące szczury, karaluchy i inne robactwo. Nie mieliśmy jednak takich ułatwień, przynajmniej na początku. Dopiero gdy jeden z marynarzy mało nie umarł, nawdychawszy się siarkowego dymu przy fumigacji, stwierdziłam, że muszę coś z tym zrobić. Z pomocą Gamelana ułożyłam zaklęcie i to bardzo, bardzo skuteczne. Niestety wśród jego składników znalazła się szcurza krew, szczątki insektów, pewien rodzaj nocnych kwiatów, których aromat czuć z wielkiej odległości, glina z wioskowego cmentarza i kilka słów w starodawnym orissańskim dialekcie.

Wkrótce galery były prawie całkiem wolne od robactwa.

Sprawdzano wszystko, od masztów po stępkę, i wymieniano co się dało lub wzmacniano to, czego nie można było ruszyć. Gdy remont dobiegł końca, czekaliśmy na wysoki przypływ. Wtedy usuwano pnie drzew, które służyły jako blokada i wszyscy z zapalem pracowali przy kabestanie, gdy ściągano okręt na głębszą wodę, a kotwice przewożono na szalupach.

I tak zakończyliśmy pracę przy pierwszym okręcie. Po nim na plaży znalazł się następny i praca zaczęła się od nowa.

Byłyśmy wyczerpane, lecz mimo to niektóre kobiety znajdowały dość sił do różnych innych rzeczy, co wychodziło albo na dobre, albo na złe.

Zauważyłam, że Dica spędza większość wieczorów w towarzystwie sierżant Ismet. Niemal codziennie, jeśli nie miały służby, zabierały lekki materac i szukały samotności w okolicach wioski. Byłam z tego szczerze zadowolona, bo wieczorne rozmowy przed snem to najlepsza droga do wiedzy, a Ismet nieraz już wprowadzała młode rekrutki w arkana wojskowej miłości. Potrafiła ponadto kłaść kres takim miłostkom bezboleśnie, bez szkody dla dyscypliny i wrażliwych serduszek swych kochanek.

Reszta Gwardii pozostawała wierna starym związkom, nawiązywała nowe przyjaźnie lub wracała do dawnych sympatii. Zawsze wydawało mi się, że podróże na statku są romantyczne. Na okręcie wojennym jest inaczej: brak tu prywatności, poza kilkoma minutami, które spędza się w płóciennej latrynie na dziobie... zaś w pomieszczeniach dla załogi hamaki są rozwieszane co pół metra.

Ponownie pojawiły się problemy z mężczyznami. Co jakiś czas narzucali się gwardzistkom, niektórzy obcesowo, niektórzy zaś z pozycji siły, jakby bogowie dali marynarzom prawo do obsiewania wszystkich brzd w ich zasięgu.

Nie mam pojęcia, dlaczego wszyscy mężczyźni wyobrażają sobie, że kobieta, która szuka miłości u swej własnej płci, błądzi, bo nigdy nie miała „prawdziwego kochanka.” Przesąd ten żywią nie tylko mężczyźni wyposażeni w groteskowe oręża, które zawstydziliby ogiera w czasie rui. Słyszałam, jak jakiś pisarzyna piskliwym głosem obiecywał srogiej pani kapral „taką gorącą noc miłości, że zapomnisz o tych wszystkich głupotach.” Phi! Niech wszyscy, którzy tak myślą, pójdą sobie na ruchome piaski powiercić dziury swymi niedocenianymi narządami, jeśli ich zdaniem miłość jest tym samym, co wbijanie palików. Dotyczy to nie tylko marynarzy - w Orissie ten sam problem powtarzał się za każdym razem, gdy pewni młodzi lordowie uderzali w zaloty do Gwardii Maranon.

Dość tego. Wystarczy powiedzieć, że niedoszli zalotnicy byli odtrącani w sposób odpowiedni do strategii, jaką przyjmowali, by nas sobie zjednać: niektórzy odchodzili z uśmiechem, inni wyśmiani, jeszcze inni - zgięci w pół po otrzymaniu celnego ciosu poniżej miejsca, gdzie odcięto im niegdyś pępowinę a powyżej organu, w którym, jak się zdaje, mieściła się ich dusza.

Do zakończenia remontu połowy galer pozwoliłam wykorzystywać moje kobiety do pracy, po czym twardo powiedziałam Cholla Yi, że jego ludzie mają dawać sobie sami radę. Przed nami stało inne zadanie: musiałyśmy zapewnić flocie prowiant na drogę.

Doskonale pamiętam pierwsze wielkie łowy. Kobiety pokrzykiwały i uderzały włóczniami o tarczę,

aż wreszcie wielki dzik z kwikiem wypadł z zarośli. Pędził wprost na mnie, brudnożółte kły lśniły w blasku popołudniowego słońca, a tam, gdzie na grzbiecie dosięgła go włócznia, błyszczała zakrzepła posoka. Czułam się, jakbym była jedynym człowiekiem na świecie; istniały dla mnie tylko te wielkie, zakrzywione, błyszczące szable. Dzik kwiknął znowu, pochylił łeb, zaszarżował i nadział się prosto na moją włócznię. Cofnęłam się, odrzucona siłą jego skoku, a zwierz nabił się na broń głęboko, aż po poprzeczkę w połowie drzewca. Ryknął z całej siły, aż niebiosa zadrżały, potknął się, przechylił i padł, zanim dotarła do niego świadomość własnej śmierci.

Kobiety, do tej pory stojące w ciasnym kręgu najeżonym oszczepami, złamały szyk i podbiegły do mnie, wykrzykując gratulacje. Przez chwilę nie zwracałam na nic uwagi, bo wypowiadałam w myśli krótką dziękczynną modlitwę do Maranonii, prosząc ją, by godnie potraktowała duszę zabitego dzika.

Zmusił nas do szaleńczego pościgu po stromych górskich zboczach po drugiej stronie wyspy; często odwracał się i szarżował, próbując przerwać zacieśniający się kordon. Gdy odcięliśmy mu wszelkie drogi ucieczki, walczył odważnie i dzielnie zginął. Polillo wychwalała zwierza pod niebiosa, podobnie jak kilka innych gwardzistek.

Dla nich polowanie było najszlachetniejszą rozrywką, ustępującą jedynie wojnie. Dla innych zaś, pochodzących z dzikich krain poza Orissą, było to religijna ceremonia. Ja uważałam łowy za przyjemne ćwiczenie na świeżym powietrzu, dobry sprawdzian sprawności i umiejętności czytania śladów.

Cieszyło mnie również, że sama potrafię sobie zapewnić wyśmienite jado.

Wolałam jednak inne sporty: biegi patrolowe, wspinaczkę po skałkach i bezkrwawe łowy - wytropienie zwierza w jego legowisku, a potem obserwowanie jego zwyczajów i potomstwa. Jeśli musiałam polować, wybierałam najprostszy sposób: podchodziłam nieświadome niczego zwierzę i zabijałam je miłosiernie, zanim zdążyło zaznać śmiertelnego przerażenia.

Z ciekawością jednak obserwowałam zachowanie innych oraz emocje, jakie wzbudzała w nich prosta konieczność zapewnienia mięsa do solenia i wędzenia. Polillo, jak już wspomniałam, uważała, że polowanie to najwspanialszy sport na świecie. Dla niej liczył się tylko pościg. Uwielbiała chodzić na łowy samotnie lub w towarzystwie tylko jednej - dwóch koleżanek, równie sprawnych fizycznie jak ona sama. Najchętniej wypłaszała zwierza z lasu, ścigała go aż do zmęczenia

i zabijała krótkim oszczepem, czasami nawet toporkiem, którym rzucała w biegu, zadając precyzyjne, mordercze ciosy, po czym dobijała ofiarę myśliwskim nożem.

Natomiast Corais twierdziła, że to męczące zajęcie jest jeszcze w dodatku nudne. Polowała samotnie i nigdy nie wracała bez zdobyczy. Technikę miała prostą, lecz pracowitą. Zanim wyszła na łowy z bronią, dwa albo trzy razy przemierzała teren, zwykle o brzasku, a potem o zmierzchu. Gdy poznała już zwyczaje zwierzęcia, które chciała ubić, wybierała się na właściwe polowanie w południe lub o północy, bo o tych porach zwierzyna śpi. Znajdowała sobie kryjówkę w pobliżu pastwiska lub wodopoju, czekała na swą ofiarę i zabijała ją najchętniej strzałą z krótkiego, ciężkiego łuku. Rzadko zdarzało się, by musiała strzelić więcej niż raz.

Dla pozostałych łowy były rozrywką towarzyską. Ismet uwielbiała organizować polowania z nagonką, pędzącą zwierzynę na myśliwych. Najpierw polecała uczestniczkom zebrać się przy makiecie terenu i przedstawiała im plan łowów, by każda dokładnie wiedziała, co do niej należy. Czasem wydawało mi się, że polowanie z jego precyzyjną strategią, podobną do meczu futbolowego, było dla niej celem, a samo zabijanie - czymś w rodzaju nagrody za dobrze rozegrany pojedynek.

Przestrzegaliśmy nakazów Sarzany i nie tykałyśmy jego zwierzoludzi, choć żadnej z nas i tak nie przeszłoby przez myśl, by ich zabijać - na mięso lub dla przyjemności. Nie polowałyśmy także na stworzenia, które nosiły diadem - oznakę jego sług. Przestrzegaliśmy pilnie kodeksu myśliwskiego; nie ścigałyśmy samic z młodymi lub w ciąży, ani też niedorosłych roczniaków. Cała upolowana przez nas zwierzyna i wszystkie złowione lub nadziane na oścień ryby szły do garnka. Nie ruszałyśmy przepięknie upierzonych ptaków, których pióra mogłyby ozdobić nasze hełmy, ani też zwierząt o egzotycznym futrze, doskonałym na oryginalne pokrycie tarcz albo długich kolczug. Mięso obdartych ze skór i wypatroszonych zwierząt wędziłyśmy, soliły lub gotowały.

Ptaki łowiłyśmy w sieć lub na posmarowane klejem gałęzie, po czym patroszyłyśmy, soliły i ciasno upychałyśmy tuszki do baryłek.

Nie traciłyśmy czasu na łowienie ryb - zajmowali się tym marynarze wespół z delfinami Sarzany. Był to niesamowity widok. Ludzie musieli tylko ustawić się na plaży, a delfiny pędziły ku nim ryby, jak psy w Orissie zaganiają owce do zagrody. Nagle w wodzie zaczynało się kotłować, stopniowo coraz bliżej nas. W miarę zbliżania się tej kipiącej fali można było rozróżnić pojedyncze ryby w ławicach. Wszystkie desperacko próbowały ujść sprytnym delfinom. Gdy tylko połów znalazł się blisko brzegu, nad siecią, marynarze po prostu wyciągali ją na plażę, ciężką od srebrzystych ryb, które trzeba było tylko oczyścić i uwędzić.

Zauważyłam, że Sarzana zawsze brał udział w tych „połowach” i kiedy wyciągano łodzie, prosił, by odłożono dla niego część ryb. Wchodził z nimi na płytką wodę, niezgrabnie jak na człowieka, który nigdy nie pracował na morzu, po czym rzucał każdemu delfinowi rybkę albo dwie.

Opowiedziałam Gamelanowi o tych nagrodach, a on się tylko zaśmiał: - A nie mówiłem ci przedtem, że jego magia to jedno wielkie mydlenie oczu? Sarzana, niegłupi w końcu człowiek, nie traci sił na zaklęcia, gdy celnie rzucony tuńczyk może równie silnie przywiązać do niego sługę.

Warzywa suszyliśmy lub konserwowaliśmy za pomocą odświeżającego zaklęcia, którym obdarował nas Sarzana. Można było przechowywać je tak przez miesiąc albo nawet dwa. Jaja zanurzaliśmy w gorącym łożu, co zapewniało im trwałość na co najmniej trzy miesiące.

W końcu wszystkie galery były prawie gotowe do wypłynięcia. Chcieliśmy już ruszać w drogę. Orissa była odległa o wiele, wiele mil, a my wciąż potrzebowaliśmy pomocy, by znaleźć drogę do domu. Sądzę, że wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że nasz czas na wyspie Tristan dobiega końca. Ocean już nas wzywał.

Wyspa Sarzany była dla nas czymś więcej, niż tylko dokiem remontowym.

Odpoczęliśmy tu i pozbyliśmy się długotrwałego napięcia, będącego wynikiem pościgu, walki i krwawych starć. Nie przeszkadzała nam nawet świadomość, że nasz dom jest na drugim końcu świata, a morza, które nas dzieli od Orissy to bynajmniej nie spokojna sadzawka.

Tylko jeden dziwny, nieprzyjemny incydent zamącił spokój.

Miałam nocną wartę i właśnie, w dwie klepsydry po północy skończyłam luzować wartowniczkę, gdy na odwach wpadły dwie gwardzistki: Jacena i Ebbo, oszczepniczka. Obie należały do oddziału Corais, który stacjonował na płaskowyżu, w posiadłości Sarzany. Stanęły na baczność, wzięły kilka głębokich oddechów i dopiero potem zaczęły meldować: ktoś zaatakował Corais.

- Co się dokładnie stało?

- Nie podano nam wszystkich szczegółów, kapitanie - odparła Jacena. - Usłyszałyśmy krzyki, ruszyłyśmy w tamtą stronę i zobaczyłyśmy, że porucznik Corais i sierżant Bodilon stoją przed budynkiem, w którym wyznaczono nam kwatery. Porucznik Corais poleciła nam się uzbroić i pośpieszyć z meldunkiem do ciebie. Powiedziała, że nie jest ranna, ale potrzebuje twojej obecności. Nie ma jednak potrzeby sprowadzać całej Gwardii.

- Coś jeszcze?

Jacena rozejrzała się, czy nikt nas nie podsłuchuje. Chociaż byłam wściekła, że ktoś - lub coś - ośmieliło się zaatakować jedną z moich kobiet, to jednak doceniłam jej profesjonalizm.

- Porucznik nie miała na sobie zbroi, była naga, tylko z mieczem - dodała.

Uznałam, iż Corais może mieć rację, że nie potrzebuje całej Gwardii lecz równie dobrze może się mylić. Poleciłam sierżantom obudzić cały odwach i dodać po dwie wartowniczkę na każdym posterunku. Następnie miały dyskretnie postawić Gwardię na nogi, nie budząc marynarzy. Oddałam dowództwo Polillo, wzięłam ze sobą pięć najbardziej odpowiedzialnych kobiet z nocnej warty i powędrowałyśmy po stromych schodach w ślad za Ebbo i Jaceną.

Oddziałek Corais był zakwaterowany w niewielkim kamiennym pawilonie nakrytym kopułą, który prawdopodobnie zaprojektowano jako pawilon zakochanych. Dziewczęta miały tam wszelkie wygody, a prócz tego budynek położony z dala od innych zabudowań, na łagodnym wzniesieniu, był bardzo łatwy do obrony w razie potrzeby. Wokół pawilonu migotały teraz pochodnie, w miarę jak zbliżałyśmy się biegiem, dostrzegałam, że pałac Sarzany również budzi się ze snu.

Cała grupa była w stanie gotowości bojowej, z dobytymi mieczami, napiętymi łukami i bojowymi strzałami o szerokich grotach za pasem. Corais, już odziana w pełną zbroję siedziała z ponurą miną za stołem, tuż przy wejściu.

Gdy weszłam, wstała i zasalutowała. Zanim zdążyłam się odezwać, spytała: - Kapitanie, czy mogę złożyć meldunek w cztery oczy?

Odesłałam pozostałe gwardzistki na zewnątrz. Corais rozejrzała się i najwyraźniej uznała, że jednak, ktoś nas może podsłuchać. Wyprowadziła mnie z budynku. Na granicy obszaru oświetlonego pochodniami dostrzegłam wartowniczkę. Czekałam, lecz Corais odezwała się dopiero po kilku sekundach.

Widziałam jej twarz, bladą i przerażoną. Moja zastępczyni bywała o wiele mniej wstrząśnięta po bitwach, w których obie traciłyśmy przyjaciółki. Zdałam sobie sprawę, że dzieje się coś bardzo złego, więc łagodnym głosem poprosiłam ją, by opowiedziała wszystko, od samego początku.

Powiedziała, że z powodu pięknej pogody, postanowiła sypiać na pryczy, postawionej przed wejściem do pawilonu. Teraz widzi, że to był błąd, ale przecież z każdej strony świata były wystawione warty. Nie „wyczuwała” też żadnego zagrożenia. - Wynika z tego, że byłam zbyt pewna siebie - dodała.

Zasnęła w gotowości do służby, ubrana tak jak zwykle, czyli w regulaminową lekką jedwabną bieliznę na podszewce, która służyła jako kaftan pod zbroję, gdyby zdarzył się alarm bojowy.

- Miałam sen - powiedziała. Umilkła na długą chwilę. Chciałam jej pomóc pytaniami, ale coś mnie powstrzymało. - Śniłam o... mężczyznach - dodała w końcu. - Właściwie, o jednym mężczyźnie. Myślałam, że umysł mój sportretował go dokładnie, we wszystkich szczegółach, ale się pomyliłam.

Pamiętam tylko, że był wysoki, silnie umięśniony, czarnowłosy... - chyba krótko ostrzyżony... gładko ogolony, a jego uśmiech mówił o grzechu, ciemnościach i rozkoszy. Był nagi. Jego... jego członek był wzwiedziony. Ten człowiek podszedł do mnie - Corais zadrżała. - Wiedziałam, czego chce i... i pragnęłam tego! Pragnęłam, żeby mnie wziął!

Odwróciła się na bok i gwałtownie zwymiotowała, raz po raz, jakby chciała oczyścić nie tylko ciało, ale i umysł. Krzyknęłam, by sierżant Bodilon przyniosła ręcznik, miednicę i wino. Corais chciała jeszcze coś dodać, lecz gestem nakazałam jej milczenie w obecności podwładnej. Wytarłam jej twarz, kazałam wypłukać usta winem, a potem wypić pełen kubek.

- Na Maranonię, jakże ja mogłam chcieć czegoś takiego ? - spytała. - Przecież zawsze robiło mi się niedobrze na samą myśl o czymś takim z mężczyzną. Dobrze o tym wiesz.

Rzeczywiście wiedziałam. Corais, podobnie jak ja, miała to szczęście, że nigdy nie pragnęła mężczyzny, a rodzice nie zmuszali jej do wstąpienia w związek małżeński.

- Już miał mnie... miał mnie dotknąć - opowiadała dalej - gdy nagle na krótką chwilę stałam się z powrotem sobą. Było tak, jakbym, zanurzona w jakiejś lepkiej cieczy, pragnęła wydostać się na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza.

Zdawało mi się, że nie dam rady obudzić się na czas.

Udało mi się jednak, zakłęcie prysło, a ja zobaczyłam to odrażające ciało w rzeczywistości. Byłam przytomna i byłam naga i, Rali, przysięgam - jak cię kocham, jak kocham Gwardię i samą Maranonię - to stworzenie dalej tam było, pochylało się nade mną i starało się kolaniem rozsunąć mi uda! Wrzasnęłam, przetoczyłam się na bok i zerwałam, z mieczem w ręku, gotowa do ataku. Ale...

- Ale już nikogo nie było - weszłam jej w słowo. - A wartowniczkę stały w pełnej gotowości i twierdziły, że nikt nie mógł się między nimi przekraść.

Wiedziałam, co zaraz usłyszę od swej zastępczyni, więc położyłam jej dłoń na ustach, by zamilkła.

- Nie przyśniło ci się to - powiedziałam.

- Dobrze o tym wiem. Ale skąd ty masz tę pewność?

Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć, ale byłam przekonana o swej racji.

Ktoś - lub coś - próbowało zgwałcić Corais, albo i gorzej. Nie był to koszmar senny, lecz coś, co zakradło się na tę wyspę. Ono żyło dzięki magii, może nawet w realnym świecie. Nie pytaj mnie, skrybo, skąd się o tym dowiedziałam. Może od mych własnych duchów, może dzięki naukom Gamelana, od samej Bogini, lub dlatego, że po prostu wierzyłam Corais, która kiedyś mówiła mi, że śni jedynie o leśnych polankach, na których igrają zwierzęta.

Oczy Corais zwilgotniały. Długo spoglądała mi w twarz, po czym krótko kiwnęła głową.

- Dziękuję, że mi uwierzyłaś - szepnęła.

Miałam jej odpowiedzieć, lecz spostrzegłam, że za wartowniczkami stoi jeden z groteskowo odzianych zwierzoluździ Sarzany. Gdy do niego podeszłam, chciał mi podać jedną z tych kościanych tabliczek. Zignorowałam to.

- Przekaż swojemu panu moje pozdrowienia - powiedziałam. - Życzę sobie, by za godzinę udzielił mi audiencji. Teraz odejdz.

Stworzenie spojrzało na mnie oczyma pełnymi strachu i popędziło w ciemność.

Odwróciłam się do Corais.

W godzinę później wędrowałam długą aleją, prowadzącą do pałacu Sarzany. U boku miałam dwie uzbrojone, gotowe do ataku drużyny Gwardii. Na schodach oczekiwali nas dwaj zwierzoluździe. Nie zatrzymałam się obok nich, lecz przeszłam prosto do holu, nie zdejmując hełmu.

Sarzana już czekał. Odziany był w barwne szaty i wyglądał, jakby dopiero co się obudził.

- Ktoś próbował zaatakować jednego z moich oficerów, porucznik Corais - oświadczyłam bez zbędnych wstępów i uprzejmości.

Oczy Sarzany rozszerzyły się ze zdumienia.

- Tutaj? Na moim płaskowyzu?

Przytaknęłam kiwnięciem głowy.

- O, bogowie. Co zrobiła? Co się stało?

- Nieważne - odrzekłam. - Ona niczego nie zrobiła i już jest bezpieczna.

Wiem, że nie był to nikt z naszych ludzi, panie. Opisała mi tę osobę, a jestem pewna, że jej pamięć działa bez zarzutu.

- Czy mogę spytać, o czym myślisz, pani? - spytał Sarzana, marszcząc brwi. Spoczęło na mnie jego ognisto-lodowate spojrzenie, a usta zacisnęły się w wąską linię.

- Nie oskarżam ciebie, Sarzano - odrzekłam. - Nie do pomyślenia jest, by tak potężny władca zniżył się do gwałtu. Ale co z twoimi zwierzoludźmi?

Sarzana gwałtownie pokręcił głową.

- Niemożliwe. Zupełnie niemożliwe. Tworząc ich, dałem im pożądanie i zdolność rozmnażania się, ale zatrzymałem to. Chciałem, by był to mój ostatni, pożegnalny podarunek. Nie, moi przyjaciele są równie niegroźni jak kastraci, którzy niegdyś strzegli mego seraju, a nawet jeszcze mniej - zdarzyło się przecież, że nóż w ręku oprawcy nie zawsze działa skutecznie. Kapitanie Antero, przysięgam, że

nikt z moich sług nie miał z tym nic wspólnego. Gdy usłyszałem ten harmider, straszliwie się zdenerwowałem. Próbowałem z pomocą magii odgadnąć przyszłość, lecz gdzieś w ciemnościach nocy kryło się coś, co zaćmiło mi wzrok.

- Czy uważasz, że napastnik był wytworem magii?

- Nie wiem. Może to był demon, może inkub? Nie miałem czasu dowiedzieć się od mieszkańców, jakie duchy nawiedzają tę wyspę, bo wszyscy oni zginęli, zanim nawiązaliśmy bliższe kontakty. Natychmiast rozpocznę pracę nad zaklęciem, które zabezpieczy twoje kobiety - jak również ludzi Cholla Yi - przed wszelkim, najmniejszym nawet zagrożeniem. Prócz tego, wyślę własne demony - kilka z nich jest moimi lennikami - by wysłedyżyły, kto chciał dokonać tego strasznego czynu. A gdy się tego dowiem, sprawca zginie w męczarniach, jakich nie wyobrażał sobie nawet w najkoszmarniejszych snach.

Zajrzałam Sarzanie głęboko w oczy i uwierzyłam mu. Oddałam oficjalne honory wojskowe i odmaszerowałam.

Do chwili opuszczenia wyspy nic takiego już się nie zdarzyło. Co ciekawe, marynarze również przestali się do nas zalecać. Mimo to poleciłam kobietom chodzić wszędzie co najmniej parami, a w nocy nikt - poczynając od Corais i ode mnie, a kończąc na Dicy i Ismet - nie miał prawa oddalić się poza posterunki wartownicze.

Sarzana był wśród nas stale obecny, choć nigdy się nie narzucał i nie pojawiał tam, gdzie mógłby być niemiłe widziany. Ciągłe jednak się na niego natykaliśmy. Marnej szeregowej oszczepniczce wyznaczono najgorszy posterunek na samotnym skraju wioski - i oto Sarzana nadchodzi spacerkiem, rzucając jej miłe słówko. Marynarz trzusi się splatając linę - wtem widzi, że Sarzana przytrzymuje drugi koniec z dala, by się nie plątała. My, oficerowie, często bywaliśmy u niego na posiłkach, choć już nie tak wystawnych jak ten pierwszy bankiet.

Nigdy nie spytał wprost, czy będzie mógł nam towarzyszyć, gdy odpłyniemy z wyspy. Koncepcja ta jednak stopniowo nabierała życia, aż w końcu w jakiś sposób wszyscy uświadomiliśmy sobie, że Sarzana z nami popłynie. Pewność ta dodawała nam sił i wiary w siebie.

Nigdy nie rozmawialiśmy także o tym, jakiego rodzaju pomocy nasz gospodarz będzie od nas oczekiwał w zamian za swą uprzejmość. Sarzana bynajmniej nie ukrywał, o czym marzy, i starał się przekonać wszystkich oficerów. Po raz pierwszy spostrzegłam, w jaki sposób to robi, pewnego popołudnia. Wybrałam się do niego do pałacu, na prośbę Gamelana, który chciał dowiedzieć się, czy mag ma władzę nad duchami wiatru, taką samą, jak portowe wiedźmy. Zastałam Sarzanę pogrążonego w rozmowie z Cholla Yi. Siedzieli w tej samej komnacie, w której swego czasu usłyszeliśmy opowieść o losach Konyi i jej władcy.

Gdy nadchodziłam, usłyszałam, jak mówi: - W twoich słowach jest wiele mądrości, Admirale. Może gdybym miał niewielką grupę lojalnych, doświadczonych marynarzy na każde zawołanie, wszystko poszłoby inaczej.

Mógłbym zawezwać pomoc z rodzinnych wysp i nie zrzuceno by mnie z tronu.

Dałeś mi, panie, wiele do myślenia, naprawdę bardzo wiele.

Odchrząknęłam przed wejściem do komnaty. Sarzana powstał na powitanie, a gdy przedstawiłam swą prośbę, odparł, że to bardzo prosta sprawa i od razu weźmie się za przygotowanie odpowiednich zaklęć. Gdy wyszedł, spojrzałam na Cholla Yi i uniosłam brew. Wiedziałam, że słyszał moje kroki na korytarzu.

- O co chodzi? - spytał bez żenady. - Co z tego, że rozglądam się za złotem? Czy to taki grzech dla ciebie, co wybrałaś walkę pod sztandarem?

Jestem najemnikiem, a my zawsze musimy szukać nowego pana. Gdy wrócimy do Orissy, radni na pewno się ucieszą, jeśli szybko odpłyniemy. Szczerze mówiąc, ja ich też za bardzo nie kocham. Wszyscy moi ludzie uważają, że zostaliśmy wystrychnięci na dudków, gdy rozkazano nam wieźć ciebie i twoje kobiety przez cały ocean w pogoni za tym przeklętym Archontem, zamiast od razu wypłacić nam pieniądze i udział w łupach, zgodnie z obietnicą. A zresztą, co panią kapitan obchodzi, co będę robić, gdy uczciwie wypełnię zobowiązania wobec pani i Orissy?

- Nic zupełnie, Admirale, pod warunkiem, że zobowiązania te rzeczywiście wypełnisz! - odparłam. - Nie przedtem!

- A zatem znowu jesteśmy przyjaciółmi - powiedział i wydał z siebie hałaśliwy ryk, który miał być wybuchem jowialnego śmiechu.

Był to zaledwie jeden przykład. Sarzana spędzał również wiele czasu z Gamelanem. Miałam wrażenie, że są nierozłączni. Bardzo mi się to wprawdzie nie podobało, ale prędko się pohamowałam. O co mi chodziło? Może to była zazdrość? Przecież to naturalne, że wielki Mistrz Magii, Gamelan, będzie miał więcej tematów do rozmowy z utalentowanym czarownikiem, niż z początkującą uczennicą, która wie mniej niż wioskowa wiedźma. Niestety, sprawa ta zaczęła wyglądać znacznie gorzej, odkąd podsłuchałam rozmowę Sarzany z Cholla Yi.

Wtedy zrozumiałam, po co Sarzana kręci się koło Gamelana.

W końcu spytałam o to wprost. Mistrz Magii był jak zwykle bezpośredni.

- To oczywiste, że Sarzana stara się zdobyć moje poparcie - odparł. - Proponuje mi, że w chwili gdy powróci na tron i uzyska pełny dostęp do swoich demonów i alembików, rzuci potężne zaklęcie przeciwko zaświatom, aby w ten sposób przywrócić mi wzrok, magiczny i fizyczny.

Przyszło mi na myśl następne pytanie.

- Wszyscy zachowujemy się tak, jakbyśmy już przedyskutowali między sobą, co zrobić z Sarzaną i zgodzili się, że mamy mu pomóc - a przecież nie padło ani jedno słowo na ten temat. To na miłą czuć magią, a nie jestem pewna, czy odpowiada mi, by ktoś zaklęciem wpływał na moje myśli - oświadczyłam otwarcie.

- Tak, ja również to wyczułem. Sarzana przyznał, że jego podświadomość wysyła silną projekcję, jeśli coś takiego odczuwamy. Ale co z tego? Wątpię, by wystarczyło mu siły do wpojenia jednakowych przekonań całej naszej grupie.

Moja potęga jest wprawdzie zahamowana, ale jestem przekonany, że w takim wypadku nasze umysły by się zbuntowały.

Przez głowę przeszła mi pewna myśl, i natychmiast umknęła, dopiero po chwili powróciła. Proszę, proszę, znowu to samo... Znowu o czymś po prostu wiemy, nie szukając dla naszych przekonań solidnego oparcia w faktach. Zanim jednak zdążyłam wypowiedzieć to na głos, pojawił się poważniejszy problem.

- Jak sądzisz, czego od nas oczekuje Sarzana, oprócz tego, że zabierzemy go z wygnania?

- Spytałem go o to samo. Powiedział bardzo niewiele, właściwie tylko tyle, że chciałby się znaleźć na archipelagu, położonym na południowy zachód stąd.

Mieszkańcy tamtych wysp już dawno go poparli, więc ma nadzieję wykorzystać archipelag jako bazę i punkt wypadowy. Jednak, obok pierwszych dwóch wysp archipelagu trzeba będzie przepłynąć ukradkiem, bo nie tylko są zasiedlone przez nieżyczliwych barbarzyńców, lecz także obsadzone silnym morskim garnizonem konyańskich baronów, służyących najgorętszym przeciwnikom naszego Sarzany.

Gdy dowieziemy go do przyjaciół, będziemy mogli odpłynąć, dokąd zechcemy.

Zwoła dla nas naradę najzdolniejszych nawigatorów i kapitanów morskich.

Twierdzi, że to słynni odkrywcy i ma nadzieję, że choć jeden z nich pomoże nam wyznaczyć prawdziwy kurs do domu. Sam Sarzana zaś udzieli nam wszelkiej magicznej pomocy, jaką dysponuje. Obiecał również przekonać się, czy Archont w dalszym ciągu żyje, a jeśli tak - zebrać magów, którzy pomogą nam w walce z nim.

Zamyśliłam się głęboko. Właściwie nie mieliśmy wyboru, a im dłużej się zastanawiałam, tym bardziej byłam o tym przekonana. Mogliśmy albo wędrować po tych obcych, zabójczych morzach aż do śmierci, albo oddać Sarzanie tę niewielką przysługę. Co w tym złego? - podpowiadał mi

rozsądek.

Pewnie nie, pomyślałam, pamiętając, jak wielki szacunek budził we mnie władca wyspy od samego początku. Jeśli już muszą istnieć królowie - a z tego, co nam opowiadał, Konya wymaga rządów twardej ręki - on najlepiej spełni takie posłannictwo. Będzie naturalnie rządził o wiele bardziej sprawiedliwie i miłosiernie, niż ci intrygancy możnowładcy, którzy pragną wszystkim narodom Konyi wtłoczyć na kark straszliwe jarzmo przeszłości.

- Dziękuję, Gamelanie - rzekłam w końcu. - Jak zwykle, twoja mądrość otworzyła dla mnie nowe horyzonty.

Następnego dnia wybrałam się na przedobiednią przechadzkę wzdłuż nabrzeża i spotkałam Sarzanę. Wiedziałam, że to nie przypadek, więc po powitalnej wymianie uprzejmości, chętnie przyjąłam jego propozycję wspólnego spaceru. Przyznam że, byłam ciekawa, co ma mi do zaoferowania, innymi słowy - czy mnie właściwie ocenił. Okazało się, że jest w tym mistrzem.

- Jak wiesz, kapitanie, rozmawiałem z innymi członkami twojej ekspedycji.

- Wiem - odparłam.

- Wiesz zatem również, że niektórym z nich składałem propozycje zatrudnienia, lub obiecywałem pomoc w inny sposób. Chciałbym i dla ciebie coś zrobić, pani.

Nie powiedziałam na to ani słowa.

- Jednak nie jestem aż tak głupi - ciągnął. - Mam wrażenie, że dobrze cię poznałem, Rali Antero, i uważam, że jesteś jedną z bardziej niezwykłych osób, jakie spotkałem w życiu. Panowanie to brutalna i cyniczna zabawa, więc zawsze wierzyłem, że każdy, mężczyzna czy kobieta, ma swoją cenę. Twój przykład jednak dowodzi, że zawsze trzeba brać pod uwagę istnienie wyjątków.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparłam, kwaśnym tonem. - Wiem tylko tyle, że pochlebstwami nic nie wskórasz.

- Nie chcę nikomu pochlebiać - powiedział głosem, w którym dźwięczała szczerłość - choć zdaję sobie sprawę, że moje słowa mogły tak zabrzmieć. Nie, pragnąłem powiedzieć coś innego, choć najwyraźniej źle mnie zrozumiałaś: po prostu masz już wszystko, co mógłbym ci ofiarować.

Zatrzymałam się i popatrzyłam na niego uważnie. Jestem pewna, że miałam bardzo zdumioną minę. Co ja takiego miałam? Sypiałam samotnie i było mi z tym ciężko. Utraciłam kobietę, którą kochałam; była daleko ode mnie, podobnie jak grupka ludzi, których zwałam swoją rodziną. Z nich wszystkich zależało mi tylko na Amalryku. Bogactwa? Chyba byłam bogata, ponieważ miałam udział w majątkach rodu Antero. Lecz moją osobistą własność tutaj stanowiła jedynie broń, zbroja, kilka sztuk odzieży i zawartość sakwojaża.

Nagle uderzyła mnie pewna myśl: ależ tak, nawet tutaj byłam bogata, przynajmniej we własnym pojęciu. Miałam szacunek, posłuszeństwo, ba, chyba nawet miłość wszystkich gwardzistek. Czego mogłam jeszcze pragnąć, oprócz tego, bym dobrze wywiązywała się z obowiązków wobec nich i mogła zachować tę miłość?

- No właśnie - rzekł Sarzana łagodnie. - Jeśli nawet masz cenę, miła pani kapitan, mnie nie stać na to, by cię kupić. Dlatego też chciałbym zaciągnąć wobec ciebie dług. Jeśli odzyskam tron, chciałbym powołać gwardię bardzo podobną do maranońskiej. Nie pragnę, by jej członkowie składali przysięgę na wierność mnie czy moim potomkom, jeśli będę ich miał. Chciałbym, by służyli Konyi i stali ponad codziennymi sprawami zwykłych ludzi i władców. Myślę, że taka jednostka mogłaby przyczynić się do stabilności państwa. Odnoszę wra/żenie, że siła takich organizacji polega na ich elitarności, tak jak to jest w przypadku twojej Gwardii.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chodzi mi o mężczyzn, którzy wolą własną pleć, lub kobiety podobne twoim gwardzistkom, a może nawet o tych, którzy należą do klanu samotników.

Zawrzałam gniewem: - A więc twoim zdaniem, Sarzano, jesteśmy takie, jakie jesteśmy, bo rżniemy

się wzajemnie?

- Nie, nie, skądże znowu - odparł pośpiesznie. - Nie chciałem was obrazić. Chcę tylko powiedzieć, że nie wiem, co powoduje wyjątkowość ciebie i twoich gwardzistek. A coś mi mówi, że powinienem się tego dowiedzieć. Nie ze względu na siebie, lecz dla Konyi. Powinniśmy się nauczyć, jak służyć wartościom nadrzędnym. Oto moja prośba: gdy razem z Gwardią powrócicie do Orissy i do swych codziennych obowiązków, chciałbym wysłać dwóch albo trzech najzdolniejszych ministrów i jednego lub dwóch wyższych oficerów, jeśli nie zginęli z ręki baronów, aby przez jakiś czas przebywali razem z wami w koszarach. Ostrzegam, że będą zadawać dociekliwe pytania, by dojść do tego, jak stałyście się tym, czym jesteście, i powrócić do mnie z tą wiedzą.

Mój gniew opadł. Sarzana uśmiechnął się krzywo.

- A widzisz? To, że ktoś jest - lub był - królem, nie znaczy, że nie może niechcący kogoś obrazić. Może dlatego właśnie my, władcy, otaczamy się dworakami o jedwabnych językach, by móc uniknąć powiedzenia czegoś, co w konsekwencji spowodowałoby wybuch wojny. Jeszcze raz przepraszam, kapitanie Rali Antero. Nie będziemy już do tego wracać. Powiedz, czy zastanowisz się nad moją prośbą, gdy nadejdzie właściwy czas?

Gniew mi przeszedł zupełnie, ale mimo to nie powiedziałam ani tak, ani nie. Zaraz zresztą pojawił się jeden ze zwierzoludzi Sarzany z jakimś wezwaniem i jego pan odszedł.

Spoglądałam za nim. Co za niezwykły człowiek, szczególnie jak na króla. Oto władca wielkich narodów, a jednocześnie ktoś kto popełnia drobne pomyłki i jest z tego powodu autentycznie zakłopotany...

Późną nocą, w czasie psiej warty, obudziłam się nagle i, zupełnie bez powodu. Byłam tak przytomna, jakbym przespała jak zwykle cztery czy nawet pięć godzin, po czym odbyła ostrą zaprawę i przebiegła z półtora kilometra.

Ubrałam się po cichu i wyszłam na ulicę. Przez chwilę stałam niezdecydowana, po czym odwróciłam się od nabrzeża i ruszyłam w stronę długich schodów, wiodących na płaskowyż. Doszłam do linii posterunków i bez trudu prześliznęłam się obok wartowniczeki. Czuwała owszem - ale w dniu, gdy

mnie lub moim oficerom nie uda się przechytryć szeregowej, będziemy musiały wsadzić miecze w pochwy i dać się zamknąć w pokoju bez klamek. Złamałam własne rozkazy, lecz czułam się bezpiecznie z mieczem przy boku i sztyletem z tyłu u pasa.

Powędrowałam szerokimi schodami Sarzany na drugie piętro, poza skalny tunel, tam gdzie stopnie prowadziły w górę pod gołym niebem. Stałam na podeście wychodzącym na południe, oparłam się o balustradę i spojrzałam w noc. Księżyc był dopiero w pierwszej kwadrze, lecz jasne światło gwiazd pozwalało widzieć wszystko wyraźnie. W dole majaczył port, a w nim czarne kształty naszych okrętów; dalej przylądki, które za kilka dni pozostawimy za sobą, mając za rufą gwiazdę polarną. Spojrzałam w tamtą stronę. Z początku widziałam jedynie czerń oceanu i, jak mi się wydawało, linię rozgraniczającą wodę i niebo, ponad którą zaczynało się królestwo gwiazd.

Może to, co ujrzałam było jedynie fosforescencją morza. Może miałam wizję. Do dziś nie wiem, co to było, więc najlepiej pozostawię ocenę czytelnikowi i tobie, skrybo, ograniczając się jedynie do opowiedzenia tego, co widziały moje oczy. Na początku nisko nad horyzontem, rozlały się ognie, jakby światła dalekich miast, rozjarzające niebo podczas wędrówki przez pustkowia. Było ich coraz więcej i więcej, więc wyobraziłam sobie, że to światła na wyspach Konyi - a archipelag jest o wiele większy, niż przypuszczałam. Blask był coraz silniejszy, aż wydało mi się, że oto patrzę w dolinę z wielkiej wysokości - wyżej, niż rzeczywiście byłam.

Światła płonęły, aż nagle z tyłu, sponad płaskowyzu, napłynęła ciemność czarniejsza niż noc i jak potworny nietoperz pomknęła ku wyspom. Zawirowała, znurkowała i oto - a było to najdziwniejsze ze wszystkiego - przyłączyła się do niej druga chmura, jeszcze groźniejsza, opadająca prosto z góry. Połączyły się i zniżyły. Było tak, jakby na iskry rzucono mokry koc: zapanowała całkowita ciemność. Nie, pamięć mnie zawodzi: trzy, może cztery światła nadal lśniły przez chwilę, jakby walcząc z ciemnością, a potem i one zagasły.

Stałam tam jeszcze długo, lecz już nic więcej nie widziałam. Nagle poczułam chłód morskiej bryzy i zdziwiłam się, że przedtem jej nie było.

Zesłam po schodach, minęłam wartowniczkę i wróciłam do łóżka. Nie spałam jednak, lecz zastanawiałam się nad tym, co ujrzałam, nie wiedząc, dlaczego to ma być takie ważne. Pomyślałam, że spytam Gamelana o zdanie, lecz w końcu nie zrobiłam tego. Być może coś mi podpowiedziało, że sekret raz ujawniony staje się własnością publiczną a zachować go można tylko we własnym sercu.

Cholla Yi uznał, że jesteśmy gotowi do drogi. Mieliśmy obfitość zapasów, a marynarze i gwardziści byli sprawni jak nigdy. W końcu odbyliśmy konferencję na temat Sarzany, jeśli można w ten sposób określić krótkie spotkanie, na którym próbowaliśmy rozstrzygnąć problem, którym statkiem ma popłynąć nasz gospodarz. Naturalni, Cholla Yi pragnął tego zaszczytu dla siebie. Choć niby nie miało to znaczenia, czułam lekki, lecz dręczący niepokój na myśl, że wielki pan, którego wcale dobrze nie znałam, i najemny admirał będą przebywać razem. Naturalnie serce mi podpowiadało, że niepotrzebnie się martwię i jestem małostkowa. Po zakończeniu rozmowy udaliśmy się wszyscy do posiadłości Sarzany aby oficjalnie zaproponować, że będziemy jego eskortą i odwieziemy go do ojczyzny.

Był wzruszony aż do łez i zachowywał się, jakby nasza propozycja wielce go zaskoczyła. Przysięgał, że dzięki podjętej właśnie decyzji staniemy się znani w historii jako bohaterowie, którzy uratowali Konyę. Mówił, że trudno mu znaleźć właściwe słowa, bo wie, że jego potomkowie, a w gruncie rzeczy, wszyscy miłujący pokój obywatele świata...

W tym momencie przestałam słuchać i wymieniłam znaczące spojrzenia z Corais. Przynajmniej jeden obyczaj w tych obcych krainach przypominał nam dom: również i tutaj władcy mieli zwyczaj wygłaszać podniosłe i niezwykle długie tyrady, pełne wielkich słów ilustrowanych bogatą gestykulacją. Rozmaite męzne czyny kwalifikowały kobietę do członkostwa w Gwardii, a moim prywatnym zdaniem, jednym z nich była także umiejętność słuchania całymi godzinami, jak jakiś dureń nudzi o rzeczach bez znaczenia. Należało przy tym stać tak, by nie drgnął ani jeden mięsień, i zachowywać wyraz twarzy pełen uprzejmego zainteresowania.

W końcu Sarzanie skończyły się wszystkie szlachetne myśli i zaskoczył nas prośbą, by mógł płynąć na tym samym okręcie co Gamelan. Po twarzy Cholla Yi przemknął grymas gniewu, więc Sarzana pośpieszył z wyjaśnieniem, że uważa za swój obowiązek przywrócić naszemu magowi mocy, powinien zatem być blisko, by ich serca biły jak jedno. Chciałby jednak, by Gamelan pozostał na znanym sobie terenie, czyli na statku, na którym płynął przez cały czas, odkąd opuścił ojczyznę. Po tych słowach Cholla Yi nie miał już nic do dodania, więc wszystko zostało ustalone.

Spodziewałam się, że Sarzana będzie ładował na statek kufry, skrzynie i pudła pełne wszelakich różności, poczynając od klejnotów i futer, a kończąc na magicznych księgach, tymczasem zabrał ze sobą ledwie pięć skrzynek, z których każdą mógłby unieść przeciętnie silny chłopak.

Mag pewnie zauważył moje zdumienie, bo powiedział z uśmiechem: - Gdy miało się cały świat, a potem się go straciło, można się łatwo nauczyć, co jest człowiekowi naprawdę potrzebne, a co nie.

Najlepiej podróżuje się z małym bagażem.

W noc przed opuszczeniem wyspy Gamelan spytał Sarzanę, kiedy planuje uwolnić swych poddanych. Wydawało mi się, że władca spochmurniał na moment, lecz z pewnością się myliłam. Sarzana uśmiechnął się i powiedział: - Jutro. Z pokładu statku.

Tak też się stało. Podnieśliśmy kotwice i staliśmy, kołysząc się na krótkiej, portowej fali. Sarzana polecił, by opróżnić dla niego pokład naszego okrętu i ustawił na nim osiem pochodni, tworząc ośmiokąt. Stał pomiędzy nimi i ułożył dłonie, jakby trzymał w nich wielki ciężar. Rozpoczął zakłęcie, lecz nie słyszałam ani słowa. Pytałam później Gamelana i marynarzy, stojących bliżej niż ja, lecz żaden z nich także nic nie zrozumiał.

Westchnęłam widząc, jak wielki tłum różnych stworzeń podąża ulicami od strony płaskowyżu. Z początku myślałam, że Sarzana wezwał duchy pomordowanych wyspiarzy, lecz wkrótce zdałam sobie sprawę, że to jego zwierzoludzie. Nikt z nas nie przypuszczał, że jest ich aż tylu, choć powinniśmy się może tego spodziewać, wiedząc, że do utrzymania porządku w posiadłości potrzebny jest tłum służby. Nie potrafię powiedzieć, jak liczny był ów tłum; Corais oceniała, że jest tam pięćset istot, Polillo - że więcej, Ismet - że mniej.

Większość w dalszym ciągu była odziana w dziwaczne dworskie szaty, które Sarzana kazał im nosić.

Mag recytował dalej, a jego dłonie coraz bardziej oddalały się od siebie, jakby to coś, co w nich trzymał, powiększało swoją objętość. Zaśpiew przeszedł w krzyk, a pochodnie rozbłysły i strzeliły wielobarwnymi iskrami. Nad jego głową nagle pojawiły się stada jastrzębi, orłów i innego ptactwa, a spokojne morze zapieniło się i wychyliły się zeń delfiny i ryby. Sarzana rzucił swój niewidoczny ciężar, ten „dar” wolności, w górę i przed siebie, a pochodnie znów błysnęły i zgasły bez najmniejszej smużki dymu. Ponad nami tłum ptaków rozpiierzchł się nagle, a morze naprzeciw wioski opustoszało i ucichło. W wiosce jednak wcale nie zapanował spokój. Zwierzoludzi ogarnęło szaleństwo.

Gorączkowo i gwałtownie zdzierali z siebie szaty, aż pozostały z nich strzępy, a oni stanęli nago, jeśli zwierzęta mogą być nagie.

Polillo, stojąca obok mnie, powiedziała półszepsem: - Zdaje się, że słudzy Sarzany nie przyszli do niego tak całkiem dobrowolnie, jak nam się wydawało, co? Moim zdaniem nie przejawiają szczególnej wdzięczności.

Corais zadrwiła: - Gorsze to, niż zabawa zaciężnych, zwolnionych z armii po wojnie, prawda?

Chyba powinnam była udzielić im nagany, ale milczałam. W dalszym ciągu pamiętałam opowieści Sarzany o tym, jak to „przygotowywał sobie grunt” zaklęciami i jak bardzo wdzięczne były mu te stworzenia.

Nikt, ani zwierz, ani człek, nie czuje wdzięczności za to, że spętano go okowami, choćby były z jedwabiu.

Powiał wiatr z rufy, więc nie trzeba było wiosłować, by wydostać się zza osłony cypli. Gdy okręty wspięły się na pierwsze wielkie oceaniczne fale, pokłoniły się posłuszenie morskim bogom a w powietrzu zapachniało solą, ujrzeliśmy coś dziwnego: drogę przecięło nam wielkie stado łabędzi, sięgające od półwyspu do półwyspu. Płynęły szybko, jak obłoczki między białymi grzywaczami.

- Och, to dopiero dobry omen - powiedział jeden z marynarzy. - Ten rejs będzie szczęśliwy i zaprowadzi nas z powrotem do domu.

Spostrzegłam, że podświadomie krzyżuję palce przeciw złym urokom i poczułam, że opuściły mnie różne czarne, podejrzliwe myśli, które narastały w ciągu minionych dni.

Przez prawie dwa tygodnie płynęliśmy pod jasnym niebem, popychani sprzyjającymi wiatrami, na południe do południowego zachodu, jak to określa żeglarska brać. Warunki żeglugi były doskonałe, a my wszyscy, wypoczęci na lądzie, czuliśmy się pełni radości i chęci do pracy.

Piętnastego dnia po wypłynięciu z Tristana ujrzeliśmy pierwszy ląd.

Pojawił się tuż po obiedzie, kiedy akurat uczyłam rekrutki, jak naprawiać naciąg kuszy. Gdy usłyszałyśmy wezwanie, wszystkie popędziłyśmy na pokład, ciekawe, co to za wyspa. Postarałam się, by do wszystkich kobiet dotarła informacja, jaką Sarzana przekazał mi za pośrednictwem Gamelana: wpływamy na wrogie morza i musimy być gotowe na wszystko.

Z wód przed nami powoli wyłaniała się wyspa. Przez cały dzień płynęliśmy w gęstej mgle i dlatego niespodziewanie znaleźliśmy się bardzo blisko brzegu. Sarzana stał już na pokładzie, w towarzystwie Strykera.

Przyłączyłam się do nich.

- To pierwsza z grupy trzech wysp - powiedział Sarzana. - Nie wiem dokładnie która, lecz to bez znaczenia. Na wszystkich stacjonują wojska baronów, a tubylcy są z natury źli. Ten kurs jednak mi odpowiada. - Dodał jeszcze: - Kapitanie Stryker, proszę zasygnalizować reszcie statków, by się do nas zbliżyły.

Flagi załopotwały i po chwili pozostałe okręty podpływały, by usłyszeć instrukcje Sarzany. Nagłośnił swoje słowa z pomocą magii, ale w jakiś sposób udało mu się uniknąć blaszanego pogłosu, jaki zwykle wywołują podobne zaklęcia. Wręcz przeciwnie - głos jego był spokojny, kojący i tak intymny, jakby mówca stał tuż obok każdego członka załogi. Poleciał wciągnąć pełne ożaglowanie i modlić się, by nas nikt nie zobaczył, a szczególnie abyśmy nie napotkali żadnego innego statku.

Podeszłam do relingu na rufie i obserwowałam, jak garbata wyspa znika za horyzontem w miarę, gdy się od niej oddalaliśmy. Rzeczywiście wyglądała groźnie: szarozielona, złowróźbna, porośnięta gęstą dżunglą.

Przez następne trzy dni pędziliśmy, jakby nas ścigano. Sarzana wspomagał wiatr zaklęciami powietrznymi, lecz obawiał się wywołać złą pogodę, która by nas ukryła przed oczyma nieprzyjaciół, bo magowie baronów łatwo mogliby „podслуchać” jego czary. Przynajmniej tak twierdził Stryker.

Sarzana zmienił swe przyzwyczajenia. Teraz rzadko kiedy wychodził z kabiny, którą oddał mi do dyspozycji nasz kapitan, a gdy pojawiał się na pokładzie, całym swoim zachowaniem dawał do zrozumienia, że nie życzy sobie niczyjego towarzystwa, jeśli nie jest to absolutnie konieczne.

Kolejne wyspy pojawiały się przed dziobem i znikały za rufą. Niektóre były górzyste, podobnie jak pierwsza, inne składały się głównie z nagich skał, wychylających się ze spienionej kipieli; jeszcze inne wabiły soczystą zielenią, a w nocy kusiły światłami wiosek. Zastanawiałam się, kiedy wreszcie ktoś nas wypatrzy. Udało nam się jednak przemknąć tamtędy niepostrzeżenie.

Próbowałam dla odprężenia przeglądać notatki, jakie zrobiłam podczas nauk Gamelana, lecz zawsze, gdy starałam się skoncentrować na magii, coś mnie rozpraszało, zaczynałam ziewać i traciłam zainteresowanie. Nie udało mi się też kontynuować lekcji z Gamelanem - zawsze coś stawało na przeszkodzie albo jemu, albo mnie.

Zajmowałam się więc ćwiczeniami fizycznymi i nie pozwalałam, by gwardzistki utraciły formę. Poleciłam sierżantom i oficerom na pozostałych okrętach, by utrzymywały podobną dyscyplinę. Po pewnym czasie ustawicznie powtarzane ćwiczenia stawały się jednak przeraźliwie nudne i to był nasz główny problem. Ułożyłam dla siebie i wszystkich zainteresowanych południowy cykl ćwiczeń. Jego szczytowym punktem było wspinanie się po linie, na której powieszono supły, z pokładu na reję przedniego masztu. Tam należało przeskoczyć na inną linę, która schodziła z powrotem na pokład. Ta, dla odmiany, miała co pół metra poprzywiązane pętle i należało zejść po niej na rękach. Po pięciokrotnym przejściu tego toru przeszkód człowiek był zbyt obolały, by się nudzić.

Pewnego dnia, po drugim przejściu, oparłam się o maszt i ciężko dyszałam, klnąc swój szatański wynalazek. Jednocześnie obserwowałam grupę marynarzy poniżej, na głównym pokładzie. Przywiązali harpun do liny i polowali na ryby, które całymi ławicami wypływały na powierzchnię morza tuż przed naszym dziobem.

Spostrzegłam, że Sarzana, który akurat wyszedł na pokład, również zainteresował się polowaniem i podszedł do marynarzy.

Dawno już zauważyłam, że ludzie morza rzadko kiedy darzą szacunkiem kogoś spoza swego grona, a szczególnie szczury lądowe, z tych zaś najmniej chętnie tolerują osoby na wysokim stanowisku, choćby nie wiem jak potężne.

Jeden z żeglarzy dotknął palcem czoła w najbardziej swobodnym salucie, jaki w życiu widziałam, i powiedział: - Panie, myśmy się wzięli za łowienie ryb, a te bydlaki nie chcą współpracować. Ale

mówią, żeście kiedyś sami byli rybakami... czy tam jakimś panem nad rybakami i magikiem. Może byście uprzejmie pomachali trochę rękami i powiedzieli parę słów tym pletwiastym łobuzom, żeby tu do nas przyszły?

Sarzana spojrzał na niego zimno i ponuro.

- Nie mam czasu dla takich jak ty. I dla głupstw także - wycedził i odszedł na rufę.

Obserwowali go przez chwilę. Ten, który się odezwał, splunął na bok i stwierdził: - No, ale dał nam popalić, chłopaki. Tacy jak my to pewnie dla niego gorzej niż gówno ośmiornicy, co, jak wiadomo, zawsze idzie w największą głębinę.

- Może po prostu zapomniał rybackich zaklęć - odpowiedział mu drugi. - Może w ogóle żadnego nie znał. Nie byłby pierwszym magiem, który twierdzi, że zna się na morzu, a nic nie umie. Najpierw szybko klepie co mu ślina na język przyniesie, a potem jeszcze szybciej zwiewa, kiedy się tylko odwrócisz.

Zauważyli mnie i zamilkli. Przez chwilę zastanawiałam się nad tym wydarzeniem, a potem o nim zapomniałam. Nawet ludzie, którzy wszem i wobec ogłaszają, że interesuje ich los maluczkich, mają prawo do złych dni, kiedy jedynymi sensownymi rozmówcami wydają się im istotny niebiańskie. A przecież na wyspie Tristan ten sam człowiek potrafił porzucać ważne zajęcia, by świadczyć wszystkim drobne uprzejmości i przysługi.

W dwa dni później zdarzyło się coś jeszcze dziwniejszego, choć wówczas nie dostrzegłam w tym niczego niezwykłego. Po posiłku stałam przy relingu na rufie i zastanawiałam się, jak u diaska, nasz kucharz potrafi ze zwykłego gulaszu z solonego dorsza, świeżo złowionych krewetek, limet i włoszczyzny zrobić odrażającą maź o konsystencji smoły okrętowej. Usłyszałam kroki na schodach i na pokładzie pojawił się Sarzana. Sternik nawet na niego nie spojrzał, tak intensywnie wpatrywał się w gwiazdę, według której miał trzymać kurs na swej wachcie.

Przez chwilę gawędziliśmy swobodnie, a później mag przybrał poważny wyraz twarzy.

- Kapitanie Antero, czy mógłbym poruszyć pewien temat? Jest on nieprzyjemny choć, dzięki bogom, wydarzenie to nie miało poważnych konsekwencji.

Kiwnęłam głową.

- Czy pamiętasz, pani, jak zaatakowano twoją zastępczynię?

- Jakże mogłabym zapomnieć?

- Przypominasz sobie zapewne, że wtedy nie potrafiłem powiedzieć, co się wydarzyło; wątpiłem czy na wyspie istnieje jakiś demon, który pożąda twojej pani oficer. Otóż pośpieszyłem się ze swym osądem. Dziś właśnie wspominałem pierwsze dni na wyspie po wylądowaniu, gdy jej mieszkańcom jeszcze wolno było ze mną swobodnie rozmawiać. - Przypominam sobie, że pewna młoda dziewczyna zapragnęła być moją osobistą pokojową. Może miała na myśli jeszcze inne usługi - nie wiem, ale z pewnością spotkałoby ją rozczarowanie. Człowiek, któremu odebrano cały świat, przestaje interesować się sprawami cielesnymi. W każdym razie dziewczyna ta zasiedziała się u mnie pewnego wieczora, bo składała i porządkowała bieliznę pościelową. Byłem w innej części budynku, nie zdawałem więc sobie sprawy, że jeszcze nie poszła do domu.

W pewnym momencie podszedł do mnie konyański oficer, mój osobisty strażnik i powiedział, że przed pałacem czeka bardzo zdenerwowany mężczyzna, który szuka córki. Był to ojciec tej dziewczyny. Szybko ją odnaleźliśmy... Ten człowiek był bliski płaczu. Uderzył córkę w twarz i krzyknął, żeby nigdy, ale to nigdy, nie wychodziła z domu po zapadnięciu nocy.

Łkając wybiegła z pałacu. Zanim ojciec podążył za nią, zatrzymałem go i powiedziałem, że nie musi się obawiać żadnego niebezpieczeństwa z mojej strony. Wątpiłem też, by jakikolwiek konyański żołnierz chciał ją zgwałcić, ponieważ wiele wioskowych dziewcząt z wielką chęcią ofiarowywało im swoje usługi. Wyjaśnił mi, że nie chodzi o mnie ani o żołnierzy. Jeśli zechce z którymś sypiać, to jej sprawa. A już na pewno, jeśli spodoba jej się taki wielki pan, dodał, a ja miałem wrażenie, że raczej by ją do tego zachęcał.

Oświadczył, że obawia się Starucha. Poprosiłem, by wyjaśnił, kto to taki.

Okazało się, że jeśli na tej wyspie dziewczyna, a szczególnie dziewczyna, wyjdzie sama w nocy, albo, co gorsza, beztrąsko położy się spać pod gołym niebem, może napotkać Starucha. Staruch najpierw przychodzi we śnie, a potem, gdy dziewczyna się obudzi, pojawia się na jawie. Wtedy zaczyna się koszmar.

Zatakowana kobieta z początku chętnie przyjmuje jego zaloty, a potem, gdy akt staje się coraz bardziej brutalny i krwawy, próbuje walczyć z potworem. Nie ma jednak dla niej nadziei. Jest już za późno. Gdy wstanie świt, pozostaje tylko zmasakrowane ciało. Tego właśnie obawiał się ten człowiek.

Powiedziałem mu, że nie ma się czego bać, bo moja moc ochroni wszystkich mych służących. Sądząc jednak po tym, co przytrafiło się twej zastępczyni, Staruch był nie tylko postacią z wioskowych legend. - Sarzana zrobił żalną minę. - Wynika z tego również, że sieć zaklęć, którą rozsnułem nad posiadłością, nie była tak potężna jak myślałem, szczególnie w stosunku do sił takich jak tamten demon.

Czekałam, czy coś jeszcze powie, lecz wyraźnie nie miał nic do dodania.

- Dziękuję. Dlaczego jednak mówisz mi o tym właśnie teraz, panie? - zdziwiłam się. - Zdarzyło się to już dość dawno temu i mam nadzieję, że porucznik Corais zapomniała o wszystkim, a przynajmniej zepchnęła ten incydent na dno swych myśli.

Sarzana spojrzał na mnie dziwnie i odparł: - Szczerze mówiąc, staram się oczyścić mych służących ze wszelkich podejrzeń, choć teraz już są wolni i pozostali daleko za nami.

Chciałam mu odpowiedzieć, lecz nagle uznałam, że mądrzej będzie po prostu podziękować mu za pamięć i zapewnić, że nikt nie zamierza wyciągać na światło dzienne minionych wypadków.

Po wymianie licznych uprzejmości, pożegnał się i zniknął pod pokładem.

W dwie noce później dopłynęliśmy do drugiej grupy wysp, zamieszkiwanych przez nieugiętych wrogów Sarzany. Wyspy były większe, a ciemną zieleń dżungli zastąpiły jasne plamy pól uprawnych i sadów.

Dopóki nie wydostaniemy się z powrotem na otwarte morza, będziemy płynąć tylko nocą, w dzień zaś cumować w ukryciu u brzegów bezludnych wysepek. Tak zarządził Sarzana, dodając, że w miarę możliwości będzie rozsnuwał magiczną mgłę, by nas jeszcze lepiej zamaskować. Usłuchaliśmy go. Im głębiej wpływalismy w archipelag, tym wyraźniej było widać, że wyspy te są bardziej ucywilizowane, niż poprzednie. Każda nocą rozjarzała się światłami od krańca po kraniec, a często układały się one w proste linie, czyli oświetlone ulice.

Może powinniśmy się bać, lecz całą niemal załogę, nie wyłączając mnie, ogarnęła melancholia. Czemu los skazał nas na trwożną żeglugę po nocy obok zamieszkanym krain, gdzie mężczyźni i kobiety żyli w dostatku i spokoju, niezależnie od tego, jaki pan sprawował nad nimi władzę? Czy kiedykolwiek jeszcze ujrzymy Orisę?

Sarzana obiecał, że dotrzemy do jego wysp w ciągu tygodnia, a może nawet prędzej, jeśli wiatr będzie nam sprzyjał. Wtedy przestaniemy się skradać i kryć, jak morskie złodziejzki.

Modliliśmy się, aby miał rację.

Większość z nas zna to uczucie, gdy sen pierzcha przed świtem, a w duszy i poza nią panują całkowite ciemności. To pora nocy, gdy wierzymy, że nikt nas nigdy nie kochał, że życie to próżna męczarnia i walka z cieniami, że koniec nasz będzie niesławny i nikt po nas nie zapłacze.

Mnie również się to zdarzyło. Nigdy nie wiedziałam, jak walczyć z podobnymi myślami - starałam się tylko uświadomić sobie, że czułam się już tak nieraz i że w przyszłości przyjdą znowu podobne chwile.

Znowu dopadł mnie smutek i pustka - oto byłam niekompetentną osobą, niegodną miana oficera, moje podwładne śmiały się ze mnie za plecami, a w życiu nigdy nic mi się nie udawało... zwykły koszmar. Zmusiłam się, by myśleć o czymś innym - o rodzinie, o bracie Amalryku i matce Emilie, a nawet o kobiecie-panterze, której imię nosiłam. Doprowadziłam się do tego, że żałosne obrazy zamgłiły się i

zaczęły rozwiewać. Westchnęłam, rada, że depresja mija i wkrótce nadejdzie sen.

Umysł mój stał się jasny jak kryształowe źródło, jak oszlifowany klejnot.

Pomyślałam o tym, co Sarzana opowiadał poprzedniego wieczora i coś mi przyszło na myśl. Otóż był taki sposób, dzięki któremu zawsze potrafiłam znaleźć winowajczynię, nawet jeśli przewinienie było bez większego znaczenia - mianowicie zawsze podejrzewałam tę, która najbardziej się tłumaczy. Myśli moje ponownie ogarnął zamęt, jakby ktoś spuścił na nie kurtynę, lecz poczęłam walczyć ze wszystkich sił, aby odzyskać jasność umysłu.

Powoli ciemność ustąpiła. Wtedy coś sobie przypomniałam.

Może to była jedna z żołnierskich opowieści... tak, na pewno tak.

Słyszałam ją jednak dwukrotnie. Kiedyś powtórzyła mi ją koleżanka z szeregu, a potem - stara wioskowa czarownica, która pomogła memu oddziałowi, gdy ścigaliśmy bandytów na wzgórzach. Dwie wersje tej legendy pochodziły z różnych stron kraju, od osób które na pewno nigdy się nie spotkały. Jedno było jasne - legendy nie opowiadały o Staruchu, lecz o kobiecie. Rzeczywiście nazywano ją Staruchą. Przychodziła do mężczyzn i wysysała z nich siłę, a rano pozostawiała jedynie wyschnięte resztki. Nikt nie mógł jej się oprzeć chyba, że miał przy sobie miecz. Goła stał trzymała Staruchę z dala, potrafiła ją odstraszyć.

Przypomniałam sobie, że Corais obudziła się z mieczem w dłoni, a zresztą dobrze wiedziałam, że moja zastępczyni tylko w koszarach sypia bez broni obok posłania.

Zaczęłam się zastanawiać nad tą drugą legendą, którą Sarzana tak ładnie zmyślił. Bardziej martwiło mnie jednak, dlaczego to mnie ją opowiedział.

W moim umyśle pojawił się nowy obraz - Sarzana rozgniewany, gdy poproszono go o proste rybackie zaklęcie, i komentarz marynarza, który stwierdził, że mag pewnie się na tym nie zna. Przypomniałam sobie, z jaką radością i przyjemnością Gamelan łowił ryby pod lodem, i jak

niezgrabnie Sarzana brodził po płyciźnie, gdy delfiny urządziły dla nas polowanie...

przecież człowiek obyty z morzem nigdy by się tak nie poruszał.

Wszystkie te myśli były jedynie wstępem do następnej: od chwili, gdy ujrzeliśmy wyspę Tristan, aż do odpłynięcia z niej, wszyscy czuliśmy cię dziwnie bezpieczni i zadowoleni. A przecież na własne oczy widzieliśmy opuszczoną wioskę, splamione krwią domy, rzeźnię w koszarach, zwierzoludzi grających na fletach z ludzkich kości i wiele, wiele innych rzeczy.

Ależ byliśmy głupi!

Spotkaliśmy króla-maga, który oświadczył, że źli ludzie skazali go na wygnanie, a my mu natychmiast uwierzyliśmy. To było takie oczywiste. Takie sensowne. Wszyscy znaleźmy przecież magów tak potężnych, że potrafili z emanacji martwych ciał tworzyć nowe istoty; wiedzieliśmy, że zawsze używają swej siły bezinteresownie. Wiedzieliśmy także o królach, posiadających nieograniczoną władzę, a mimo to zawsze byli łaskawi. Któż by pomyślał, że napotkany król-mag nie jest bynajmniej świętym? Przecież Sarzana nie miał nic wspólnego z Archontami.

Co za głupcy... co za głupcy... i gorzej jeszcze!

Wszyscy ślepo zgodziliśmy się wciągnąć w tę grę - zabrać na pokład człowieka, którego wygnał precz związek wysp, i pomóc mu powrócić na tron.

Ale przecież musieliśmy wiedzieć... przeczuć... o bogowie, jak dobrze to wiedzieliśmy!

Natychmiast zrozumiałam, dlaczego Sarzana chciał płynąć na naszym okręcie. Na pokładzie był przecież Mistrz Magii, choć na razie bezradny, i jego uczennica. Dlatego nie wychodziła mi nauka magii, ani z Gamelanem, ani bez niego: Sarzana nie chciał ryzykować, by pomniejsze sztuczki zniekształciły jego potężne zaklęcie.

Poczułam taki gniew i wstyd z powodu swej bezgranicznej głupoty, że wzrok przesłoniła mi czerwona mgła.

Wstałam z hamaka i ubrałam się. Ruszyłam w stronę schodów, niepewna, co robić dalej. Postanowiłam, że najpierw po cichu obudzę Gamelana i powiem mu, co wymyśliłam. Może jestem głupia, może to tylko czarne myśli? Nie, to niemożliwe! Właśnie czarne myśli są rzeczywiste, a nie te radosne, różowe obłoki, na których pływaliśmy przybycia na wyspę Sarzany. Wróciłam po miecz. Nie wiedzieć czemu wydawało mi się, że może mi się przydać jeszcze przed świtem. Wtedy właśnie usłyszałam z górnego pokładu stłumiony okrzyk, odgłos tępego uderzenia, skrzyp lin i plusk wody.

Popędziłam w górę jak błyskawica i z dobytą bronią wypadłam na pokład.

Panowała tu cisza i spokój. Na przednim pokładzie dwóch marynarzy na oku wpatrywało się w noc. Niżej, na śródokręciu, para gwardzistek w pełnej gotowości patrolowała pokład wokół miejsca, gdzie spała reszta. Nie zauważyły mnie. Uświadomiłam sobie, że rzucono na nie urok.

Na tylnym pokładzie nikt się nie poruszał. Nie było widać ani sternika, ani mata, który powinien był stać na wachcie. Zmyliliśmy kurs, a zygzakowaty kilwater powiedział mi, że u steru nie było nikogo.

Wbiegłam po drabinie. Sternik siedział oparty o rudel: rozrzucił szeroko nogi i kiwał się, jak pijany. W oddechu jego nie wyczułam wina, ale bełkotał głośnym szeptem, a oczy miał całkiem szklane, jakby upił się w sztok lub zobaczył coś przerażającego. Tuż za nim, twarzą do pokładu, leżało potężne ciało Klisury, mistrza żeglarskiego. Jego ukochany szyćlet, jak długa stalowa drzazga wystawał mu z pleców, przygważdżając zwłoki do pokładu. Za nim spostrzegłam luźne fały, na których zwykle wisiąca za burtą szalupa kapitana Strykera. Teraz dotykały wody, a łodzi nie było. Zakłęłam i krzykiem zaalarmowałam gwardzistki i wachtę na dole.

Bez trudu odgadłam, co się stało. Z pomocą magii zmuszono Klisurę i sternika, by spuścili łódź na wodę. Klisura jakimś cudem znalazł dość sił, by opierzeć się zakłęciu, więc zginął, zaś zabójca uciekł w szalupie.

Wyrzałam za rufę, a potem kolejno za obie burty, gdzie majaczyły zarysy wysp, lecz łodzi nigdzie nie było.

Na pokładzie i pod nim tłoczyli się obudzeni ze snu mężczyźni i kobiety.

Zeszłam po drabinie, nie zwracając na nich uwagi, i skierowałam się prosto do pewnej kabiny.

Była pusta. Sarzana zniknął.

W tym momencie prysło zaklęcie, które pętało wszystkie umysły.

Rozdział Piętnasty

KOŚCI GIGANTÓW

Jak można sobie wyobrazić, w czasie narady, na którą zebraliśmy się nieco później, panował ponury nastrój. Z pomocą latarni nadaliśmy komunikat o tym, co się stało, na okręt Cholla Yi i do innych kapitanów, wzywając ich na spotkanie o brzasku. Szczęściem, o świcie właśnie okazało się, że o kilkaset metrów od nas znajduje się piaszczysta łacha, idealna na naradę oficerów.

Wolałam uniknąć podsłuchiwania spodziewając się ostrych starć i wzajemnych pretensji. Jak się okazało, miałam rację.

Z każdego statku przybył kapitan i mistrz żeglarzy. My popłynęliśmy na jednej z łodzi desantowych, po pierwsze dlatego, że ukradziono nam szalupę, a po drugie, ze względu na dodatkowych uczestników zebrania: Corais, Polillo i Gamelana, których zaprosiłam obok Strykera i dowódcy wioślarzy Dubana.

Awansował on na stanowisko mistrza żeglarzy i wcale mi się nie spodobał. Już przedtem go nie lubiłam za brutalne traktowanie wioślarzy, na których krzyczał, jakby byli niewolnikami. Teraz zaś,

natychmiast zaczął się dopytywać, dlaczego trzeba zabrać na tę wyspę aż trzy kobiety, tym bardziej, że dwie z nich nie są starsze stopniem od okrętowych oficerów. Nie odpowiedziałam, gdyż wszelkie tłumaczenia byłyby obraźliwe; po prostu chciałam mieć dwie uzbrojone wojowniczkę za plecami, gdy będę się naradzać z tymi piratami.

Stryker na głos skarżył się, że nie pojmuje, co się stało. Jak, do ciężkiej cholery, zaklęcie takiego Sarzany mogło nas wszystkich ogłupić? Gamelan przypomniał mi, że przedtem na własne oczy widzieliśmy znacznie poważniejsze zastosowania magii - odbudowę muru wokół Likantu w ciągu jednej nocy i ostatnie zaklęcie Archonta, które rzuciło nas na te obce morza.

- Ale to insza rzecz - odpowiedział marynarz. - Te wulkany... mury... ale nie coś takiego. Że też nikt tego nie zobaczył, u diaska. Mnie się zdaje, że choć na krótką chwilę ktoś, wszystko jedno kto, powinien się w tym połapać!

- Tak było - odparł spokojnie Gamelan. - Kapitan Antero na szczęście dziś spostrzegła, co się dzieje.

Stryker poważnie skinął głową. - Lepsze to, niż nic. Pomyśleć tylko, co by się działo, jakby nikt się nie spostrzegł i byśmy popłynęli prosto tam, gdzie ciągnął nas ten przeklętnik. Jasny gwint, że też nikt się nie otrząsnął z tej magii już na tamtej choliernej wyspie!

Jak się spodziewałam, na wysepce rozpętała się niesłychana awantura, gdy tylko opowiedziałam szczegółowo o ucieczce Sarzany. Cholla Yi brutalnie starał się narzucić wszystkim swoje zdanie i raz po raz wybuchał gniewem na myśl o tym, że mi i Gamelanowi nie udało się ochronić ekspedycji.

Zauważyłam, że w zasadzie nikt nie odczytał rzeczywistych intencji Sarzany, na co admirał wybuchnął jeszcze głośniejsze: - I co z tego? Nikt z nas nie udaje, że się zna na magii! Nikt z nas nie przebywał tyle czasu razem z tym oszustem, co wy dwoje. Nikt z nas...

Gamelan przerwał mi: - Prawdę mówisz, admirale. Ale przeszłość zastygła w bursztynie. Co się stało, to się nie odstanie. Mam wrażenie, że w tej chwili powinniśmy się zająć tym, co nas czeka.

- Co nas czeka? A jak my możemy coś planować - powiedział Stryker nieledwie szeptem - na tych obcych morzach, jak wiemy, żeśmy właśnie puścili na wolność demona? Skąd wiadomo, że Sarzana się za nas nie weźmie, jak tylko wyląduje gdzieś, gdzie go będą popierać? Może rzuci jakieś zaklęcie, żeby nikt nie wiedział, że uciekł? Tylko nieboszczyki nie gadają.

- Chyba nie będzie sobie zawracał tym głowy - odpowiedział Gamelan.

- Mniejsza o to - warknął Duban. - Ciekaw jestem tylko, kiedy ktoś wpadnie na to, jak ten szatan wyrwał się z Tristana i zacznie szukać okrętów, co go uwolniły?

Ze strony pozostałych kapitanów dobiegły potakujące pomruki. Jeden z nich, Meduduth, wybuchnął ślepym gniewem: - Ta przekłeta wyprawa wszystkich nas wykończy! Po co żeśmy się zgodzili na taką śmierdzącą robotę?

Trzeba było nie ruszać tyłków z Likantu, zażądać złota, co nam się należy i do diabła z przekłętymi Orissańczykami i ich zboczonymi dziwkami!

Świsnęła stal i Corais, z obnażonym mieczem w dłoni, rzuciła się w jego stronę. Meduduth jęknął i odskoczył, ale i tak czubek miecza zatrzymał się mu na gardle. Wszyscy chwycili za broń, a my z Polillo wyciągnęliśmy ostrza do połowy z pochew.

- Jeszcze słówko i pożegnasz się z życiem, zasrańcu - zasyczała Corais.

- Spokój! - krzyknęłam. Uspokoila się i cofnęła, ale nie opuściła miecza.

- Nie mamy czasu na głupstwa! Sarzana jest wolny i to my go uwolniliśmy. Gamelan ma rację. Trzeba postanowić, co robimy. Admirale? Co proponujesz?

Celowo oddałam głos Cholla Yi. Jeśli miał jakiegokolwiek zdolności przywódcze, oprócz talentu do

szykanowania ludzi i brutalności, nadszedł czas, by je ujawnił. W końcu się opanował, oddychając głęboko. Wiedziała, że z nas wszystkich on jest najbardziej rozwścieczony, nie tylko dlatego, że wszyscy szubrawcy uważają się za znakomitych znawców charakteru ludzkiego, lecz również z tego prostego powodu, że chciał pod banderą Sarzany zbić niezłą fortunę i obłowić się sowicie. Mruczał coś pod nosem, skubał brodę i dumał, a z policzków powoli znikał mu rumieniec.

- Nie widzę nic dobrego - przyznał się w końcu. - Nie mam żadnych mądrych pomysłów, za wyjątkiem jednego, o którym nie chcę nawet mówić, bo mnie wyśmiejecie.

- Nikt nie będzie się śmiał - zapewniłam go. - Zdaje się, że nikomu nic nie przychodzi do głowy.

- A więc dobrze - odparł. - Wymyśliłem tylko tyle: jakie szanse ma Sarzana na dotarcie do przyjaznej sobie wyspy? Jeśli miałaś rację, kapitan Antero i twoje podejrzenia go ostrzegły - choć nie mam pojęcia, jak u diaska, ty sama jedna wymknęłaś się jego zaklęciom - z pewnością uciekł wcześniej, niż planował, co oznacza, że mógł nie dotrzeć do celu. Może wylądował gdzieś na zawietrznym brzegu albo jeszcze lepiej, na wyspie ludożerców - Cholla Yi bezskutecznie starał się dodać nam i sobie otuchy.

- Ni cholery nie wierzę - przerwał mu Kidai, jeden z kapitanów. - Łajdacy nigdy nie robią tego, co byśmy chcieli.

Cholla Yi ponuro pokiwał głową. - A może przygotujesz jakieś zaklęcie z pomocą Gamelana, pani kapitan, żeby potwierdzić, czy... - zamilkł w połowie zdania. - Nie, to bez sensu. Nawet ja wiem, że równie dobrze moglibyśmy wystrzelić racę sygnałową albo wywiesić latarnię we mgle. Zapomnijmy o tym.

Nie wolno zwracać na siebie uwagi tego diabła.

Zamilkł na chwilę, po czym się rozpogodził. - A może po prostu czarno widzę naszą sytuację? Może nikt nie zorientuje się, żeśmy uwolnili tego podleca, a my w tym czasie znajdziemy drogę do domu?

Gamelan potrzęsnał głową i odparł: - Przykro mi, ale to próżne nadzieje, admirale. To bardzo mało prawdopodobne. Musimy zakładać, że w Konyi są magowie równie potężni jak Sarzana, ponieważ byli w stanie zrzucić go z tronu. Gdy na scenie pojawi się po raz drugi ktoś tak silny, jak on, natychmiast zaczną badać sytuację zaklęciami. Między innymi będą chcieli się dowiedzieć, jak wyrwał się z więzienia. Nie, nie możemy zakładać, że nikt się nie spostrzeże, co zrobiliśmy... zorientują się bardzo szybko.

- A gdybyśmy zawrócili? - spytała Polillo. - Moglibyśmy uzupełnić prowiant na Tristanie i pożeglować na wschód, ku znajomym morzom, zbaczając trochę na południe, by ominąć te rafy i wulkany po drodze. Może trafilibyśmy do jakiejś znajomej krainy, jak Jeypur, albo Laosia, skąd już łatwo pożeglować wzdłuż brzegu do Orissy?

Stryker i Gamelan jednocześnie chcieli jej odpowiedzieć. Mag dał pierwszeństwo kapitanowi.

- To jak gra w kości: wóz albo przewóz - oświadczył marynarz. - Czekaliby nas piekielnie długi rejs, każdy to wie. I to po morzu, na którym się nie lepiej znamy, niż dziwka, co się sprzedaje za miedziaki, na złocie. Może by się udało, jakbyśmy mieli mapy. Ale tak, jak jest, to ludzie nie wytrzymają długo.

Wiedziała, co ma na myśli i zgadzałam się z tym. Na pirackich okrętach, dowództwo przypadało tym, którzy mieli siłę, szczęście i poparcie załogi. Jeden fałszywy rozkaz - i niezadowoleni marynarze się zbuntują.

Niepokorni najemnicy bez trudu mogliby wyróżnić oficerów, wymordować nas, wciągnąć czarną flagę i szukać szczęścia na tych wodach, gdyż pirackie rzemiosło jest wszędzie takie samo, tu czy w Orissie.

- A poza tym, czy odnaleźlibyśmy Tristana? Czy zakłęcie, które Sarzana rozsunął przeciwko Konyańczykom nie obróciłoby się przeciw nam, gdyż teraz jesteśmy jego wrogami?

- Na pewno tak by się stało - odparł Gamelan. - To właśnie chciałem wam powiedzieć. Nie, dla nas nie ma powrotu.

- Ale, do cholery, nie możemy iść do przodu na ślepo - syknął Phocas, mistrz żeglarzy z okrętu Cholla Yi.

- Naturalnie, że nie - odparłam. - Mamy plecioną mapę i wiemy z dotychczasowego doświadczenia, że jest dokładna. Jeśli uda nam się ją odczytać w szczegółach, nie będziemy płynąć na wycucie.

- Wszystko mało - odparł Stryker.

- To prawda - zgodziłam się z nim. - Ale nikt nie ma lepszych pomysłów.

Proponuję zatem, byśmy ruszyli na południowy zachód i poszukali najbardziej cywilizowanej wyspy z archipelagu. Otwarcie dobijemy do brzegu i powiemy prawdę, przynajmniej częściowo. Oświadczymy, że jesteśmy wyprawą badawczą i zgubiliśmy drogę. Przybywamy z wielkiego, kupieckiego kraju i szukamy szlaków handlowych z Zachodem. Obiecujemy wielką nagrodę temu, kto nam pomoże i wskaże drogę powrotną do domu. Zasugerujemy również, że niebezpiecznie byłoby wejść nam w drogę, gdyż nasz kraj ma potężnych magów, którzy będą się mścić, jeśli stanie nam się krzywda. Może dostaniemy od nich jakieś zaklęcie? W ten sposób może nie zastosują magii przeciw nam i nie odkryją naszego udziału w ucieczce Sarzany. Może jakiś nawigator albo kapitan wskaże nam kierunek? Może mają gildie kapitanów dalekomorskich, jak Redond?

Odpowiedziały mi pomruki aprobaty. Stryker syknął przez zęby, co miało oznaczać zgodę. Cholla Yi popatrzył na pozostałych i kiwnął wielką głową.

- Może i tak - odparł. - Może i tak. Ten plan jest przynajmniej odważny i nie będziemy musieli się ukrywać na tych morzach i czekać, aż nas złapią. Jak na kobietę, wcale niezły pomysł i bardzo podobny do tego, co sam chciałem zaproponować.

Corais i Polillo nasrożyły się, lecz poza tym nie dały po sobie poznać urazy. Ja również pominęłam milczeniem złośliwość na temat mojej płci. Nie sposób było oczekiwać, że Cholla Yi kiedykolwiek się zmieni.

- Najważniejsza teraz jest szybkość - mówiłam dalej. - Wyczuwam, że Gamelan ma rację - prędzej czy później wyda się, jaką rolę odegraliśmy w uwolnieniu Sarzany. Lepiej, żebyśmy wtedy byli daleko od wysp, które nazywają królestwem Konyi.

Wszyscy się na to zgodzili. Mieliśmy zatem żeglować przed siebie, porównując topografię z mapą, tak, by w końcu oznaczyć nasze położenie i zacząć szkicowanie własnej mapy tych mórz i wysp.

Po powrocie na nasz okręt, Gamelan odciągnął mnie na stronę.

- Wydaje mi się, że twój pomysł był najlepszy, Rali, choć sama powiedziałaś, że daleko mu do ideału. Jest tylko jedna sprawa, której nie wzięliśmy pod uwagę.

- Czyli Sarzana - odrzekłam.

- Tak jest. Nie trzeba magii, by wiedzieć, że zaczniesz jak najprędzej działać, chcąc odzyskać tron, magią i krwią. To jeszcze jeden powód, by jak najprędzej oddalić się z tej okolicy. Poza tym, wypuszczając go na wolność, zaciągnęliśmy dług krwi.

- Wiem - ta myśl była dla mnie ciężarem. Ciężała na nas wina, choć popełniliśmy zbrodnię nieświadomie, pod wpływem magii. - Jak można to zrekompensować? Albo przynajmniej zmyć to piętno?

- Nie wiem - odparł Gamelan z powagą. - Nie wiem. Wiem tylko, że każdy dług trzeba kiedyś spłacić.

Gdy ruszyliśmy przed siebie, znów pod pełnymi żaglami, Corais stanęła obok mnie na pokładzie rufowym. Spostrzegłam, że zawiązała sobie na ramieniu kolorową wstążkę.

- Złożyłaś jakiś ślub?

Kiwnęła głową. - Oderwałam to od jednej z szat Sarzany. Żeby pamiętać, jak mnie zhańbił. Przysięgam tobie, Rali, Maranonii i Te-Date, jak również bogom mego ogniska domowego, że gdy się znów spotkamy - a wiem na pewno, że tak się stanie - odpłacę mu krwią za to, co mi uczynił.

* * * Przez kilka następnych dni nie zetknęliśmy się z cywilizacją. Mijaliśmy małe, skaliste wysepki, a w nielicznych ubogich wioskach, przyklejonych do urwistych brzegów, na pewno nie spotkalibyśmy ani maga, ani nawigatora.

Kilkakrotnie zatrzymywaliśmy kutry i za złoto kupowaliśmy ryby na kolację.

Naturalnie, na zapłatę wystarczyłyby miedziaki, ale chcieliśmy także kupować informację. Zapraszałam rybaków na pokład i gawędziłam z nimi o życiu, od niechcienia wyciągając z nich potrzebne nam informacje.

Niestety, niewiele można było się od nich dowiedzieć. Wyspy były niezależne, a ich mieszkańcy rzadko się kontaktowali ze sobą i ze „świeącymi wyspami” jak określił to jeden z rybaków, czyli z południową, odległą częścią archipelagu. Żeglowanie poza tą grupą wysp było niebezpieczne, gdyż na otwartym morzu były tylko rafy i niebezpieczne dla statków skały zwane Kośćmi Olbrzymów, gdzie prądy oceaniczne zatopiły już niejednego żaglowiec.

Rybacy opowiadali, że nie kontaktują się z Konyańczykami z południa, gdyż niczego od nich nie chcą i sami nie mają nic do zaoferowania. Nie, nie znają żadnych sławnych magów i bardzo się z tego cieszą. Ktoś tam słyszał opowieść o wielkiej wojnie między panami z południa i magami, dawno temu...

podobno magowie ponieśli klęskę. Przysięgał nam, że lordowie wezwali na pomoc morskie demony. Odgadłam, że to opowieść o klęsce Sarzany.

Jedynymi czarownikami, których ci ludzie znali, były wioskowe wiedźmy. Nie potrzebowali nikogo

innego - kobiety te potrafiły przywołać ryby, zamknąć w mieszkach sprzyjający wiatr i sporządzać amulety pogodowe, chroniące przed długotrwałymi sztormami.

Nawigatorzy, znający się na mapach, astrolabiach i kompasach też nie byli tu potrzebni. Nikt nie wyprawiał się na połów dalej, niż o pół dnia drogi od wioski. Każdy tutejszy chłopak znał na pamięć morze przybrzeżne na długo przedtem, zanim pozwolono mu stanąć za sterem. Jeśli sztorm porwał kuter na otwarte morze, no cóż, jeśli bogowie są w dobrym humorze, czasem pokażą drogę do domu. Jeśli zaś nie... rybak wzruszył ramionami.

Powiedziano nam, że powinniśmy udać się jeszcze dalej na południe, za Kości Olbrzymów, ciśnięte w morze przez gigantyczne istoty wiele setek lat temu, gdy grały z ludźmi o te wyspy i przegrały. Powinniśmy jednak płynąć bardzo uważnie, a najlepiej poczekać kilka tygodni, aż miną nadchodzące letnie sztormy.

Nam jednak brakło czasu. Popłynęliśmy dalej, a w miarę, gdy malała ilość spłachetków lądu, ocean stawał się coraz potężniejszy, a wielkie zielone wały wodne, zda się odwiedziły wiele mórz i po drodze stawały się coraz potężniejsze.

Podróż była ciężka, a nasze małe galery raz po raz zalewała woda, lecz wiedziałam już, że niewielka łódź przetrwa praktycznie każdą burzę. Poza tym, przeżyliśmy już sztorm wywołany przez Archonta i olbrzymie fale, które przysły później. Tak więc, spokojni, choć bliscy choroby morskiej, pozostawiliśmy za sobą ląd i skierowaliśmy się w samo serce Konyi.

Pewnego ranka, o świcie, marynarz na oku wypatrzył w dali żagiel. W miarę zbliżania się, okazało się, że jest ich tam cztery. Zwołaliśmy pośpieszną naradę. Czy powinniśmy ich unikać, czy też pójść na zbliżenie? Cholla Yi uważał, że należy śmiało płynąć przed siebie. Przewyższamy ich liczbowo co najmniej dwukrotnie, pewnie mamy przewagę szybkości, więc jeśli okaże się, że to wrogowie, jego ludzie chętnie obmyją we krwi przeżarte morską solą miecze, szczególnie, jeśli można spodziewać się łupów. Może zresztą spotkanie z tymi okrętami to lepszy sposób, by zorientować się w sytuacji, niż wpływanie na ślepo do nieznanego portu, gdzie możemy się znaleźć w zasadzce.

Zmieniliśmy kurs i poszliśmy na spotkanie czterem okrętami. Zaczęło nami jeszcze bardziej kołysać. Płynęliśmy dokładnie na wschód, z wiatrem na sterburtę. Może stawało się coraz bardziej wzburzone, wicher dał z narastającą mocą, a deszcz lał niesłabnącymi strugami. Było tak ciemno, że nikt nie poznałby, czy to ranek, czy szary, późny zmierzch.

- Zdaje mi się, żeśmy się nieźle wpakowali - powiedział Stryker. - Te rybaki wcale nie przesadzały, że te ich letnie sztormy są takie gwałtowne.

Duban pociągnął go do listwy, na której wisiał długi barometr. Poszłam za nimi. Stryker postukał w szkło, zobaczył, jak nisko opadł płyn i zagwizdał.

- Tak, tak - Duban musiał przekrzykiwać ryk fal, żebyśmy go zrozumieli.

- Spadło prawie o szerokość palca przez ostatnie trzy obroty klepsydry.

Będziem mieć za swoje, kapitanie.

- Ano, będziem - zgodził się Stryker. - Zmień wachtę. Upewnij się, czy wszystko na pokładzie jest przymocowane. Niech zgaszą ogień pod kotłem. Daj podwójne liny wokół szalup i przywiąż wiosła.

- Zwrócił się do mnie. - Pani kapitan, za pozwoleniem. Czy mógłbym dostać pod komendę grupę twoich gwardzistek, żeby pomogły mocować ładunek pod pokładem? Pokierują nimi oficerowie.

Zawołałam Corais i poleciłam jej wykonywać polecenia Strykera.

Skwitowała rozkaz skinieniem głowy, popatrzyła na morze, ponad mým ramieniem i szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia.

Odwróciłam się i również nie mogłam się nadziwić. W obliczu sztormu zapomnieliśmy o konyańskich okrętach. Teraz były oddalone zaledwie o kilkaset metrów i mimo deszczu, widzieliśmy je wyraźnie. Trzy były mniejsze, lecz i tak rozmiarem dwukrotnie przewyższały nasze galery. Były to trójmasztowce, z łaćńskim ożaglowaniem i wysokimi pokładami, przy czym od rufy do śródokręcia był tylko jeden dek. Za to czwarty statek wprowadził nas w zdumienie.

Była to galera, ale naprawdę przedziwna. Pokład miała chyba dziesięciokrotnie dłuższy od naszej, a w poprzek mierzyła tyle, co nasza wzdłuż.

Wyposażono ją w pojedynczy rząd wiosła, ale wyjątkowo długich, sięgających daleko w wodę. Znikały one w dziurach na wysokości dolnego pokładu, więc nie sposób było odgadnąć, ilu jest wioślarzy. Oceniałam, że na jednej ławce musi siedzieć przynajmniej pięć lub sześć osób. Nad głównym pokładem był dek ochronny, niewiele mniejszy od głównego, a nad nim - pokład górny. To on nadawał statkowi tak dziwaczny wygląd, gdyż znajdowały się tam trzy chaty pokryte dachem, które wyglądałyby jak lądowe domy, gdyby nie to, że dachy te były uniesione, jak runda zawadiackich letnich kapelusików. Wszystkie miały okrągłe bulaje, podobne do tych na niższych pokładach. Widać było, że drewniane części statku pokrywały skomplikowane płaskorzeźby. Pokłady otaczały solidne, grube relingi, a zejściówki między pokładami przypominały raczej wygodne schody. Krótko mówiąc, była to raczej dwupoziomowa willa, lub też wiejska świątynka, którą magicznym sposobem wyposażono w kadłub i zwodowano na morze. Na środku statku tkwił pojedynczy maszt z jednym kwadratowym żaglem, z podwójnym refem „na motyla”, zawieszony na rei, którą wykonano z olbrzymiego pnia.

- Cholera, wygląda jak wodny żuk - powiedział Stryker i miał rację.

Podobieństwo było uderzające, gdy długie wiosła zaczęły poruszać się w dulkach, a morze wokół nich spieniło się prawie tak samo, jak pod podmuchem sztormowego wiatru.

- Sterowanie czymś takim w czasie sztormu to nie zabawka - rzekł Duban.

- Patrzcie, jak wiatr go spycha, a przecież to dopiero początek burzy. Musi być płaskodenny, jak barka.

Nawet z moim skromnym doświadczeniem wiedziałam, że ma rację - widziałam dziesięciu, nie, czternastu ludzi z całej siły napierających na podwójne rumple połączone z potwornie wielkim sterem, który ukazał się na moment, gdy statek przechylił się na grzbiecie fali, zanurzywszy dziób w wodę, a rufą celując w niebo. Obok nas zaczęli tłoczyć się marynarze.

- Co to takiego? - spytała Polillo.

- Trudno rzec - odparł Stryker. - Takim niezeglownym statkiem może pływać jakiś kupiec z łądu. Ale popatrzcie no tylko, ile tam wacht się kręci po tym krówsku. Żaden kupiec nie wziąłby tylu ludzi do roboty. Może to okręt wojenny? Tylko czym ma, do cholery, walczyć? Nawet, jeśli ma taran, a wali się dziobem w dół na fali, jakby miał, to przecież nikogo nim nie trafi, chyba, że jakiś statek na kotwicy. Do diaska, może te cholerne Konyańczyki przed bitwą upijają się w sztok i potem walą we wszystko, co napotkają? Nie, pewnie idą burta w burtę i wyrzynają się wzajemnie i zwycięża ten, któremu zostaną jeszcze załoganci przy życiu - tu zamyślił się na chwilę. - Ciekawe, co my byśmy potrafili zrobić z takim statkiem. Pomyślcie, psiakrew, ile tam musi być towaru do wzięcia.

Też się nad tym zastanawiałam, ale zbeształam się w duchu. Czyżbym stawiała się morską rozbójniczką, jak Cholla Yi i jego ludzie? W końcu, statki buduje się nie tylko do walki i kaperstwa. A jednak... pomyślałam, jak ładnie cztery zwrotne galery osaczyłyby tego behemota, jak wilkołaki, idące stadem na olbrzymiego niedźwiedzia. Odsunęłam tę myśl od siebie, by zastanowić się nad nią w spokojniejszej chwili.

Trzy mniejsze statki wyraźnie eskortowały czwarty. Gdy się zbliżyliśmy, stanęły przed nim w szyku szturmowym. Teraz zmieniły kurs, w dalszym ciągu ustawiając się między nami a nim.

- Ale go pilnują, niech ich szlag - powiedział Duban. - Ach, oddałbym z rok życia, żeby tak pobuszować mu po ładowniach i nabrać sobie pamiątek.

Szkoda, że mamy inne plany.

Na masztach eskorty pojawiły się barwne flagi sygnałowe, których nie potrafiliśmy odczytać. Bez wątpienia jednak chcieli wiedzieć, skąd pochodzą statki o konstrukcji nieznannej na tych wodach i jakie są nasze zamiary.

Spojrzałam na okręt flagowy, ciekawa, jaką odpowiedź wymyśli Cholla Yi.

Postawił na pojedynczą białą flagę, wyraźnie mając nadzieję, że nawet na tych obcych morzach zostanie ona odczytana jako oznaka pokojowych zamiarów.

Kazałam Strykerowi postąpić tak samo.

Chyba jednak tu biel znaczyła coś innego, albo też nie uwierzyli nam, gdyż zobaczyłam, jak uzbrojeni ludzie, walcząc z wiatrem, wychodzą na pokład i stają przy relingu. Na górnych pokładach przygotowywano do walki dwie lekkie katapulty.

- Kapitanie Stryker - powiedziałam. - Niech Cholla Yi się od nich oddali.

Spodziewają się, że będziemy atakować.

- Przecież nie w taką pogodę - odparł, ale zawołał służbowego oficera.

- Starajmy się nie stracić ich z oczu - dodałam. - Kiedy sztorm minie, podpłyniemy do nich na jednym okręcie, nie całą flotyllą.

- Sygnał od Admirała Yi, kapitanie - zawołał oficer. - Wszystkie statki...

mają się rozproszyć. Płyniemy na południowy wschód, przed czołem burzy.

Potem zbiórka. Więcej nie można odczytać, kapitanie.

Nie było już czasu na dalsze obserwacje obcych statków, gdyż sztorm już nas ogarniał. Powietrze stało się ciężkie od piany morskiej. Ryk wiatru przeszedł w niesłabnące wycie. W tumanie mgły przez chwilę widziałam jeszcze trzy nasze okręty, ale wkrótce straciłam je z oczu. Konyańczycy już zniknęli za zasłoną deszczu.

- Jak tam barometr? - spytał Stryker.

- Dalej opada!

Kapitan zaklął i wyrzucił z siebie całą litanię rozkazów. Wachty z trudem przedzierały się po mostku sztormowym, by założyć podwójne refy na fok, zostawiając jedynie mały spłachetek płótna, dla równowagi. Położono główny maszt i reję. Słyszałam, jak Stryker przeklina Dubana, że nie zrobił tego godzinę wcześniej. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie będziemy ponosić dalszych konsekwencji tragicznej śmierci Klisury, gdyż wyraźnie było widać, że Stryker nie ma do Dubana ani cienia szacunku, jaki żywił dla nieżyjącego mistrza żeglarzy.

Poleciłam gwardzistkom zejść pod pokład. Polillo, wyjątkowo blada, odciągnęła mnie na stronę, przysięgając, że woli by ją fale zmyły za burzę, niż dusić się we własnych wymiocinach tam w dole. Zlitowałam się nad nią i kazałam jej przywiązać się do relingu i w razie potrzeby pomagać sternikowi.

Stryker już odkomenderował dwóch nadliczbowych ludzi do rudla, ale i oni ledwie mogli utrzymać statek na kursie. Zeszłam na dół i nakazałam Dicy z dwiema szeregowymi, by zajęły się Gamelanem w kabine. Cichym głosem wydałam im brutalny rozkaz: w sytuacji ostatecznej życie maga jest ważniejsze, niż ich i mają mieć to na uwadze. Zrozumiały i nie obraziły się za te słowa.

Wróciłam na pokład, obwiązałam się w pasie liną, której drugi koniec umocowałam do drzewca flagowego, tak, że mogłam poruszać się po małym pokładzie rufowym. Stryker i Duban zrobili podobnie.

Wiatr przybrał jeszcze na sile i wył bezustannie. Olinowanie skrzeczało jak zagnany w pułapkę niedźwiedź. Stryker nakazał marynarzom zejść z oka pod pokład. Zielona woda zaczęła przelewać się przez reling. Położyliśmy maszt w ostatniej chwili- teraz nikt nie zdołałby utrzymać się na mostku sztormowym. Wydawało się, że po wzburzonych falach nie płynie statek, lecz dryfują dwie kwadratowe tratwy, w niewiadomy sposób połączone ze sobą.

Choć w portowych tawernach wiele się słyszy opowieści o potężnych sztormach, żaden wilk morski jakoś nie wspomina o jednym: wciąż panował tropikalny upał i duchota. Chlustrząca na nas woda była ciepła jak krew.

Wiatr gnał nas dokładnie na południe i nie byliśmy w stanie utrzymać południowo-wschodniego kursu, nakazanego przez Cholla Yi. Martwe fale zaczęły uderzać nas od wschodu i rozkołysały statek, który zaczął niebezpiecznie przechylać się na boki. Polillo stanęła przy sterze; widziałam, jak napinały się jej mięśnie, gdy wraz z pozostałymi sternikami starała się utrzymać okręt na kierunku. Ocean był szary jak ołów, a wiatr krzyczał rozpaczliwie, porywał ze sobą wodę z wierzchołków fal i tworzył głębokie bruzdy w toni.

Granica między powietrzem a morzem zatarła się całkowicie. Gdy wiatr uspokoił się na moment ujrzałam za rufą inną orissańską galereę, która po chwili zniknęła w skotłowanej mgle.

Krzyżujące się martwe fale sprawiły, że okręt zaczął płynąć skośnie.

Stryker krzyknął mi do ucha, że groził nam rozerwanie kadłuba. Jego zdaniem, to nie tylko sprawa wiatru. Porwał nas prąd oceaniczny, bystry jak wody orissańskich rzek w czasie wiosennej powodzi. Trzeba było wyrzucić dryfkotwę.

Stryker powiedział mi, co mam przynieść. Wiedziałam, gdzie jest schowek bosmański na górze, przedostałam się do luku, poczekałam, aż dostaniemy się w dolinę między falami, szarpnięciem otworzyłam klapę i stoczyłam się w dół zejściówką.

Piekło na pokładzie było niczym w porównaniu z tym, co się działo na dole. Cały świat, ledwie widoczny w blasku kilku ślepych latarek powieszonych pod sufitem, kołysał się wzdłuż i w poprzek. Duszne powietrze śmierdziało strachem, potem, brudnymi ciałami, zeschniętym chlebem, pleśnią, wymiocinami i kałem. Nie wszystkie przedmioty udało się umocować na czas - nagle skrzynia z naczyniami przejechała po pokładzie, niemal przygniatając marynarza. Cynowe garnki klekocąc przewalały się z lewa na prawo, a pod obcasami czułam skorupy misek i kubków.

Marynarze leżeli w najprzedziwniejszych pozach. Niektórzy, zebrani w małe grupki, snuli jakieś opowieści. Ciekawa byłam o czym gawędzą i czy w tych historiach jest choć odrobina sensu. Inni

modlili się. Jeszcze inni po prostu czekali, przywiązawszy się do poziomych belek. Część zaś udawała bez troskę i grała w kości na kocu, choć chyba nikt nie pilnował stawek. Wszystkich jednak przewyższył stary wilk morski, siwobrody Bertulf, który po prostu rozwinął hamak, położył się w nim i zasnął. Nie udawał, bo pochyliłam się nad nim, żeby to sprawdzić. Chrapał, a oddech miał tak cuchnący, że odchody wieloryba przy nim pachniałyby jak fiołki.

Gwardzistki, jak można było się spodziewać, trzymały się nienajgorzej.

Choć nigdy nie przechodziły odpowiedniego szkolenia, nie panikowały i zachowywały porządek. Jak zwykle, prawdą okazało się powiedzonko, że tylko ten, który przeszedł ciężką szkołę walki, dobrze sobie daje radę w boju.

Zabrałam ze sobą Cliges i Ebbo, prawie tak silne jak Polillo i ruszyliśmy przed siebie.

Prawie już dotarliśmy pod środkowe wyjście, gdy poczułam jakiś zapach. Dym! Drewniany, nasmołowany okręt spłonąłby w jednej chwili, gdyby wybuchł pożar. Słyszałam wiele opowieści o statkach, które spaliły się w czasie sztormów. Co za ironia! Dostrzegłam smużkę dymu obok skrzyni solidnie przymocowanej do pokładu. Pamiętałam, że są w niej rzeczy kucharza.

Podbiegłam do niej, otworzyłam zasuwę i otworzyłam wieko. Buchnął dym.

Ktoś zawołał, że się pali, usłyszałam pośpieszne kroki, odgłos uderzenia i krzyk: „Spokój!” gdy wybuchła panika, lecz nie zwracałam na to uwagi.

Rozpaczliwie rozglądałam się, na próżno szukając wody. Dotarła do mnie ironia tej sytuacji i nagle spostrzegłam wiadro uwiązane do belki. Zerwałam je i chlusnęłam zawartością do skrzyni, z której uniósł się obłok pary. Syk na chwilę zagłuszył ryk wiatru na zewnątrz. O mało nie zwymiotowałam, ale wiadro z nieczystościami ugasiło żar. Dym zniknął, sytuacja była opanowana.

Obróciłam się na pięcie, szukając winnego i znalazłam go. Kuk chował się za grodzią. Gdy podeszłam do niego, cofnął się, osłaniając głowę rękoma przed spodziewanym uderzeniem.

- To było tylko trochę hubki... nie chciałem przecież... myślałem, że nic się nie stanie... Po sztormie łatwiej byłoby rozpalić ogień... - bełkotał, po czym wyrzucił obie ręce do góry jak w modlitwie i padł na ziemię.

Płaskonosy Santh pochylił się i wytarł mokre ostrze sztyletu w jego koszulę. Wyprostował się, schował nóż do pochwy i spojrzał na mnie.

- Jak ktoś mnie chce zabić, to ja wolę go załatwić pierwszy - zaśmiał się głośno. - Poza tym, ten skurczybyk z każdego żarcia robił rybnie gównno, nie?

Nie odpowiedziałam i ruszyłam dalej. Statek był ważniejszy. Jeśli Duban, albo Stryker uznają, że popełnił przestępstwo, sami go ukarzą. Wolałam się nie mieszać do spraw marynarzy.

Dotarliśmy do schowka, wyciągnęliśmy zwoje ciężkiej liny i tą samą drogą wróciliśmy na pokład.

Myślałam, że sztorm nie może już przybrać na sile, ale się myliłam. Na całym świecie był tylko nasz okręt i tajfun. Zza kurtyny deszczu prawie nie było widać forpiku. Zgodnie z rozkazem Strykera, zawiązałyśmy pętlę na potężnej linie i mocno uwiązałyśmy ją do tylnej stewy, po czym pozwoliłyśmy kotwie zsunąć się za rufę. Prawie natychmiast odczułam różnicę, gdyż szaleńcze kołysanie zmniejszyło się wyraźnie, za to zaczęło nas nieprzyjemnie podrywać przy każdej mijającej nas fali, gdy lina się napinała.

Z rufy nadeszła ogromna fala. Zdążyłam chwycić Cliges, drugą ręką złapać się belki, zobaczyłam, że Ebbo kładzie się na brzuchu i rozpaczliwie chwyta się obiema rękami rufowego relingu i zwały się na nas masy wody.

Fala z taką samą siłą ciągnęła mnie ze sobą, jak wtedy pod wulkanami, lecz tym razem męka nie trwała całą wieczność. Ulga nadeszła prędej. Z trudem wstałam, pomogłam Cliges się podnieść i zadrżałam, widząc, że woda zabrała ze sobą dwa metry relingu. Relingu... razem z Ebbo! Z wysiłkiem dotarłam do burty i wyrztałam. Wydawało mi się, że przez ułamek sekundy widzę białe ramię... a może mi się wydawało. Potem była już tylko ciemność.

Obok mnie stanął Duban.

- Ano, dostała burza ofiarę, to może ucichnie - warknął.

Mało brakowało, a bym go uderzyła, tylko co by mi z tego przyszło?

Zresztą, może miał rację. Pomodliłam się do Maranonii za moją oszczepniczkę Ebbo i postanowiłam złożyć za nią ofiarę gdy wrócimy do Orissy... podobnie jak za pozostałe zmarłe, których niestety było tak wiele. Teraz nie miałam czasu na żałobę, gdyż sztorm ponownie porwał nas ze sobą i trząśł, trząśł, trząśł, jak terier, który dopadł szczura w magazynie jednego z moich braci.

Fale ryczały. Dryfkotwa trochę nam pomogła, lecz okręt w dalszym ciągu dygotał, gdy fala za falą zwałała się na główny pokład. Zastanawiałam się, ile jeszcze takich ciosów wytrzyma nasz kadłub. Spytałam o to Strykera, lecz ten wzruszył ramionami. Któż mógł to wiedzieć?

Trzeba było w jakiś sposób uspokoić fale. Gorzko żałowałam, że Gamelan utracił moc, gdyż mógłby rzucić pomocne zaklęcie, które otoczyło by okręt pasem spokojnej wody, przypominającej cichą, księżycową sadzawkę.

Wiedziałam, że tylko bardzo potężny mag mógłby się zmierzyć z tak gwałtownym huraganem. Zaczęłam się zastanawiać i nagle coś przyszło mi do głowy. Oliwa. Stryker powiedział, że pod pokładem jest tylko kilka dzbanów spożywczej oliwy i jedno albo dwa naczynia z olejem do smarowania broni, by nie zardzewiała.

Uśmiechnęłam się. To nie mogło być trudne. Jedno naczynie bez trudu można było powielić. I właśnie wtedy, w czasie sztormu, przyszło objawienie.

Przez chwilę błysnęło mi w pamięci wspomnienie z dzieciństwa, gdy godzinami wpatrywałam się w dziwne znaczki bez znaczenia i sensu, aż w pewnej chwili pstryk! I już potrafiłam czytać. Wiedziałam

już, co Gamelan miał na myśli, gdy opowiadał o „wszechogarniającej naturalnej sile” Janosza Szarego Płaszczka.

Jeśli Janosz miał rację - a wiedziałam, że ją miał - musi być bardzo, bardzo wiele dróg, prowadzących do tego samego celu... tyle, ile potrafi stworzyć umysł człowieka albo demona. A teraz, potrzeba mi tylko...

Czułam się, jakby w głowie zagnieździł mi się jakiś brodaty pedant, podobny do nauczycieli mego brata z młodości, tylko, że posiadał prawdziwą wiedzę. Powiedział mi: „Weźmy oliwę, hmmm... tak. Oliwa to płyn, a wszystkie płyny mają wspólne cechy, nieprawdaż? A więc, cała sztuka polega na...

Sztuczka rzeczywiście była łatwa, nawet nie musiałam schodzić pod pokład. Złapałam czerpak, zawieszony przy beczce z wodą dla sternika i wystawiłam go na deszcz. Po chwili był pełen po brzegi. Otworzyłam drzwi do składziku pod podstawą kompasu i znalazłam flakonik z oliwą, używaną do napełniania pojemnika, w którym była zanurzona igła. Oparłam się o ścianę, by utrzymać równowagę, odkorkowałam flakon i kapnęłam do czerpaka kroplę oliwy.

Natychmiast przyszły do mnie słowa: Słuchaj, wodo Usłysz, wodo, Oto twa miła Przytul swą miłą W wspólne ciało macie Razem oddychacie Ty to ona Ona to ty.

...i nagle czerpak był pełen oliwy.

Z równą łatwością wysypałam piasek z wiader przeciwpożarowych, napełniłam je wodą, do każdego wlałam kroplę oliwy z czerpaka i przez rufę wylałam oliwę do wody. Polillo, wykorzystując swą wielką siłę, utrzymywała rudel w równowadze i po chwili cała nasza czwórka wylewała na fale wiadro za wiadrem.

Ośmielona tym sukcesem, postanowiłam zaryzykować kolejne zaklęcie. Poleciałam mężczyznom dotykać każdym wiadrem tylnej stewy, zanim je opróżnią. Wyrecytowałam: Na tym statku się zrodziłaś Idź za matką w ślad.

Idź trop w trop, Otul ją, Niechaj nic was nie rozdzieli.

Nie potrafię powiedzieć, czy zakłęcie podziałało. Oliwa rzeczywiście trzymała się blisko rufy i szła za nami, jakby wylewała się z jakiegoś wielkiego pojemnika na pokładzie, ale może po prostu przyciągał ją nasz kilwater. Moim zdaniem, tym razem nie odniosłam wielkiego sukcesu, gdyż miałam zamiar stworzyć wokół nas plamę oliwy.

W każdym razie, nie miało to wielkiego znaczenia. Fale się uspokoiły i nie tak często uderzały już o pokład, szczególnie z rufy. Niestety, nie wpłynęliśmy bynajmniej do cichego, magicznego portu. Wiatr dalej wył, a statkiem bezustannie rzucało w przód i w tył, w przód i w tył...

Czas mijał. Z pewnością były to tylko godziny, gdyż nie zapamiętałam ciemności. Pamiętam tylko wodę, wiatr, obijanie się o burty i niezliczone siniaki. Dwa wydarzenia naprawdę wryły mi się w pamięć: Zmieniłam Polillo przy rudlu, a dwaj marynarze przejęli ster od zmęczonego sternika.

Wojowniczką bardzo poczerwieniała na twarzy. Z początku myślałam, że z wysiłku, lecz szybko okazało się, że to krew. Wiatr był tak silny, że ciął skórę jak nożem. Poleciałam jej zejść pod pokład. Spojrzała na mnie, znużona, kiwnęła głową i usłuchała bez słowa protestu.

Drugie zdarzenie było takie: w pewnym momencie fala podniosła nas w górę, niemal wyrzucając okręt nad powierzchnię wody a potem wzięła pod siebie. Dziękowałam Te-Date za dryfkotwę. Przechylił się niemal całkiem na burtę, wyjrzałam na zewnątrz i o mało nie zaczęłam krzyczeć. W dolinie fali pod nami była ta monstrualna konyańska galera, z doszczętnie podartym żaglem, złamanym w połowie masztem, bez śladu żywego ducha na pokładach.

Sternika także nie było, a rudlem gwałtownie rzucało na boki. Przez chwilę wydawało mi się, że spadniemy na nią i oba okręty pójdą w drzazgi, ale tamten statek zniknął po chwili w tumanach mgły.

Potem nie było już nic, oprócz wiatru, wody i strachu.

Wreszcie chmury zniknęły i na czystym błękicie zaświeciło słońce.

- Jesteśmy w samym oku! - zawołał Duban.

Zdawałoby się, że i morze powinno być tu spokojne, jak jezioro, po którym pływa się łodzią z kochanką, przy pięknej, słonecznej pogodzie. Nic podobnego. Był to jeden wielki wir, fale były we wszystkich kierunkach, a wiatr także wiał zewsząd. Stado mew przeleciało obok, rzucając podmuchami i natychmiast zniknęło.

Znów ujrzałam konyańską galereę, stojącą dęba na falach. Tuż przed nią szczyrzyły się skały i rafy, czyli Kości Olbrzymów, o których nam mówiono.

Prąd morski niósł nas i ich na pewną zgubę. Ze spienionej wody wyglądały olbrzymie bloki kamienia, płaszczyzny i rafy. W zasięgu wzroku nie było ani odrobiny zieleni, tylko wszędzie nagie skały.

Duban i Stryker wezwali wszystkie ręce na pokład i ludzie zasiedli do wiosł, przywiązawszy się do ławek. Gamelan też chciał wyjść na górę, ale nie zgodziłam się na to i poprosiłam Dicę, by pilnowała, by został na dole. Nawet osoby obdarzone dobrym wzrokiem z łatwością mogły wypaść w morze, jeśli choć na chwilę odwróciły uwagę. Mag zamruczał coś niechętnie, ale usłuchał.

Jakimś cudem udało nam się postawić główny maszt i reję i wciągnąć na nie małe żagle. Wystarczyło to, by oprzeć się prądowi i powoli wypłynęliśmy z rejonu zagrożenia.

Dla konyańskiego statku nie było jednak ratunku. Fale bezlitośnie niosły go ku zgubie. Czyhała nań chyba najgroźniejsza ze wszystkich wysepek i raf, które składały się na Kości Olbrzymów. Z morza wystawały ostre, długie kamienne bloki, podobne zakrzywionym palcom, albo raczej kłom w otwartej paszczy. Były między nimi wolne przestrzenie, lecz zbyt małe, by choćby i najbardziej utalentowany kapitan przeprowadził tamtędy statek, nawet w czasie ciszy morskiej. Po trzech okrętach eskortowych nie pozostał nawet ślad i nigdy już o nich nie słyszeliśmy, więc pewnie zatoneły w czasie sztormu.

Nawet przez kurtynę piany morskiej widziałam, jak konyańscy marynarze na pokładach usiłują

wciągnąć awaryjny, sztormowy żagiel na złamany maszt. Przez chwilę załopotano brązowe płótno i miałam słabą nadzieję, że się uratują, lecz porwał je wiatr. Wiosła się poruszały, ale chyba wśród wioślarzy wybuchła panika, gdyż każde z nich pracowało w innym rytmie. Statek kołysał się na boki, niemal wywracając na fali, przez chwilę myśleliśmy, że uderzy w skałę, równie dużą jak on sam, lecz wyprostował się i minął ją, ale wszystkie wiosła w zetknięciu z kamienną ścianą potrzaskały, jakby to były wykałaczkę. Statek kompletnie wymknął się spod kontroli.

Polillo, zapomniawszy o chorobie morskiej, stanęła obok mnie.

- Czy można im jakoś pomóc? - spytała.

Nie wiedziałam.

- Przecież... nie możemy tak po prostu pozwolić im zginąć.

Spojrzałam na Strykera.

- Co ty na to, kapitanie?

Potrząsnął głową. - Gdyby ta balia była mniejsza, morze spokojniejsze, a przeklęty przez bogów prąd nie gnałby na łeb na szyję przy odpływie, może udałoby się zbliżyć, rzucić linę i ich wyholować. Ale... och, do diabła! Nic się nie da zrobić! - minął mnie wzrokiem i popatrzył na obcy statek, który był już prawie przy skałach. - Rzućcie kotwicę, barany! Żelazo do wody! - zawołał.

Tamci jakby go usłyszeli, gdyż małe figurki z trudem manewrowały żurawiem, starając się wyrzucić za burtę jedyną kotwicę, jaka pozostała na statku. Wpadła do wody, lina się skończyła i miałam kilka sekund, by pomodlić się za nieznanymi żeglarzami, zanim kotwica zaczepiła się o coś i naprężyła linę. Prąd jednak nie zważał na ludzkie wysiłki, pchał galerę coraz bliżej do zguby i po chwili statek gwałtownie szarpnął, lina kotwiczna pękła i upadła na pokład.

Galera uderzyła o skały. Fala uniosła ją i rzuciła w ten straszny półokrąg skalistych zębów. Przed nimi były jednak inne skały i Konyańczycy wylądowali na nich. Skały były poniżej linii wodnej, bo kiedy fala się cofnęła, statek osiadł na nich, prawie cały ponad wodą. Widziałam deski kadłuba i taran, rzeźbiony w baśniowe potwory. Potem morze zakotłowało się i zalało główny pokład.

- Długo tam nie posiedzi - powiedział Stryker. - Przełamie się, ten cholerny taran załatwi go w parę minut.

Spojrzałam mu w oczy. Zaczął coś mówić, raz i drugi, ale tylko potrząsnął głową.

Ktoś na galerze nas zobaczył. Twarze zwróciły się ku nam, a ręce zaczęły rozpaczliwie wymachiwać, błagając o coś... błagając o cokolwiek.

- Jeśli dasz mi marynarzy do wiosła, spróbuję się tam dostać - powiedziałam.

- Nie ma szans - odparł. - Nie na takiej fali.

- A tamtędy? - wskazałam nieprzyjemny krąg skał. Prąd omijał je z obu stron. Wydawało mi się, że między nimi jest spokojna woda, tak jak w czasie wichury pod samotnie stojącą ścianą zawsze jest bezwietrznie, gdyż wicher omija ją bokami. - Jeśli popłyniemy kawałek z wiatrem, potem się cofniemy, to może uda się przeprowadzić szalupę przez te zęby i dotrzeć do nich od tyłu?

Usłyszał to Duban. - Ja tam nie popłynę za nic! I niech mnie szlag trafi, jeśli dam do tej roboty kogoś z moich ludzi.

Stryker odwrócił się i spojrzał na niego. Były mistrz wioślarzy spuścił wzrok. Może to właśnie pomogło kapitanowi podjąć decyzję, gdyż zwrócił się z powrotem ku mnie i kiwnął głową.

- Masz rację. Trzeba coś zrobić. Bo jak morskie bogi poczują, że mamy pietra, to i nam naznaczą ten

sam los, co tamtym. Poza tym - dodał - na pokładzie może być ktoś ważny, co zapłaci dobrym złotem za ratunek. Albo rodzina odwdzięczy się nam, że będzie mogła zrobić porządną pogrzeb komuś tam, co zginął. Mistrzu Duban, zrobimy tak, jak ona chce!

Naturalnie, najemnik nie mógł sobie pozwolić, by ktoś pomyślał, że współczuje cierpiącym, albo chce zrobić dobry uczynek, nie licząc na korzyści własne. Nawet teraz pamiętam jego zachowanie w tamtej chwili i mam nadzieję, że bogowie pozwolili mu na chwilę ulgi od straszliwych tortur, które cierpi za wszystkie swe grzechy.

Duban skrzywił się, ale wydał rozkazy. Wiosła poruszyły się i powoli zaczęliśmy przepływać obok raf. Konyańczycy znów zaczęli wymachiwać rękoma, tym razem gniewnie. Wydawało mi się, że krzyczą, że ich opuszczamy w nieszczęściu, ale było to niemożliwe, bo przecież wycie wichru zagłuszało wszystko.

Wyłynęliśmy spośród skał i pozwoliliśmy, by prąd poniósł nas dalej.

Potem powoli powiosłowaliśmy poza nie. Miałam rację. Fale były tu w dalszym ciągu potężne, lecz o wiele łagodniejsze, niż przed rafami. Nie myślcie jednak, że miałam dużo czasu, by się im przyglądać, gdyż znowu pracowicie przemieniałam wodę w oliwę i wylewałam ją za burtę. Stryker krzyknął, że jesteśmy na pozycji.

Poniżej, na głównym pokładzie, stała grupka marynarzy. Stryker spytał, kto płynie na ochotnika. Nie było chętnych. Zresztą, nie spodziewałam się wcale, że ktoś się zgłosi. Zaskoczył mnie jednak podobny do szkieletu pirat o szpiczastym podbródku, czyli kolega Santha. Skrzywił się, głośno zaklął „o, kurwa”, splunął na pokład, roztarł plwocinę bosą nogą i wystąpił z grupy bez słowa.

- Nie pożałujesz tego, Fyn - powiedział Stryker. W ten sposób dowiedziałam się, jak chudzielec miał na imię.

- Akurat - odparł tamten. - Nic od ciebie nie chcę, kapitanie - dodał.

Odwrócił się, przebiegł oczyma grupę kolegów i szybko wymienił imiona sześciu marynarzy, włącznie z Santhem. - Przynajmniej utonę razem z kumplami od butelki - zaśmiał się. - Wy, koguciki, wiecie, jak się brać do wiosł.

Spojrzał na szalupę. - Potrzeba nam cztery... nie, osiem pustych beczek na wodę. Cztery przywiązać pod ławkami, żebyśmy nie zatonęli, jeśli tak powiosłujecie, śmierdziele, że wylądujemy na skałach. Resztę wsadzić mi do hamaków i dowieźć do każdej po trzydzieści metrów liny, żebyśmy mieli boje.

Dodajcie jedną beczkę z wodą i suchy prowiant na dwa dni, bo jak nas morze porwie, to wy, dupki najpierw będziecie długo grzebać paluchami w tyłkach, zanim zaczniecie nas szukać. I jeszcze chcę dwa zapasowe wiosła.

Spojrzał na mnie. - Jakies dziwki jadą z nami? Ze cztery by się przydały, takie co mają trochę krzepy i potrafią pływać, żeby się nie potopiły jak polecą za burtę.

- Znajdą się chętne - odparłam, wcale nie urażona, gdyż Fyn był bez wątpienia skończonym łajdakiem i nie należało się po nim spodziewać niczego lepszego. Zwróciłam się do kobiet, zgromadzonych na pokładzie.

- Kto na ochotnika?

Naturalnie, wszystkie wystąpiły z szeregu. Nie raczyłam się odwrócić, by sprawdzić, czy któryś z ludzi Strykera miał na tyle poczucia godności, by się zawstydzić. Bez wątpienia zachowanie gwardzistek tylko potwierdziło ich teorię: nie powinno się w ogóle zabierać kobiet na pokład, choćby dlatego, że to kompletne wariatki. Wybrałam cztery: Cliges po raz drugi, łuczniczkę Locris i już miałam wyznaczyć procarcę Dacis, silniejszą nawet od Cliges, gdy napotkałam wzrok Polillo. Podałam się, choć wiedziałam, że postępuję bardzo głupio, pozwalając, by dwie przełożone wypłynęły na morze w tej szalupie.

Wszystko to zajęło o wiele mniej czasu, niż moje opowiadanie, Skrybo.

Łódka wnet była gotowa. Wsiedliśmy do niej, wysunięto ją za burtę, a marynarze stanęli przy falach. Siedziałam na rufie, razem z Fynem. Uważnie obserwował fale, w pewnym momencie zawołał: - Dobra! i łódź zaczęła opadać na wzburzoną powierzchnię morza.

Znaleźliśmy się na falach i niemal natychmiast wysunęły się wiosła, a marynarze zaczęli pracować z całych sił, by jak najprędzej oddalić się od statku.

Nasz morski dom stał się teraz śmiertelną pułapką, równie niebezpieczną, jak skały, do których płynęliśmy. W łódce czułam się zupełnie inaczej: niewiele było z niej widać, w najlepszym przypadku czubek sąsiedniej fali, a poza tym skakała na falach jakby miała zaraz zatonać, a przynajmniej tak musiało się wydawać obserwatorom ze statku. Lecz tu, w dole, świeciło gorące słońce, łódź kołysała na boki i było prawie przyjemnie.

Spostrzegłam, że się uśmiecham. Fyn też to zauważył.

- Chciałem, żebyś z nami płynęła, bo masz czary w kościach. Może cię kiedyś demon porwie za czarną magię, ale utonąć to nie utoniesz i nam też szczęście przyniesiesz - powiedział i splunął za burtę, akcentując w ten sposób koniec zdania.

Z początku nie widzieliśmy konyańskiej galery, gdyż zasłaniał nam ją krąg skał przed nami. Fale rozbiły się dziko o ich podstawę, a morze było spienione, więc cały mój pomysł wydał mi się głupotą. Fyn jednak był niewzruszony. - Podnieść wiosła... dobra, na moją komendę... dawaj! Raz, dwa, ciągnąć!

Przeplłynęliśmy między dwiema skałami z równą łatwością, jak łódki przemykające się między filarami mostu na letnich zawodach na rzece.

Po drugiej stronie wir zakręcił nami w kółko. Dostrzegłam wreszcie konyański statek i zakląłam. Kadłub po prostu wyginał się w środku, gdy skały, fale i ciężar nieszczęsnego tarana skręcały mu kil. Fale przewalały się przez pokład, a uniesione do góry dachy kabin pękały i rozpadały się na kawałki.

Kadłub tarł o skały, na których osiadł. Jęk drewna niósł się ponad wyciem wichru.

W dalszym ciągu jednak życie czepiało się relingów i pełzało po pokładach. Wokół statku unosiły się deski i różne przedmioty. Pośród nich były także i ludzkie ciała. Usłyszałam potężny trzask i galera pękła na pół. W jednej chwili fale zerwały dziób ze skał i zwały go na ostro zakończone skały, roztrzaskując się w drzazgi.

Na rafie pozostała tylko niebezpiecznie przechylona rufa, na której pozostali jeszcze marynarze.

- Bierzemy, ilu się da - rozkazał Fyn. Zbliżyliśmy się do nich. Zobaczyli nas i znowu zaczęli machać rękoma, krzyczeć i błagać, choć i tak nic nie było słychać. Ktoś wspiał się na reling, pochylił się i mimo, że gorączkowo machaliśmy rękoma, skoczył prosto w fale. Po chwili wychynęła z nich głowa i ramiona, a potem zniknął pod wodą i już go więcej nie zobaczyłam.

- Och, co za durnie! - warknął Fyn. - Podpłyniemy bliżej i wtedy mogą skakać, albo niech spuszcza liny. Podsunie im te beczki... szkoda, że nie miałem na pokładzie drabin - powiedział głosem tak spokojnym, jakby opowiadał o tym wyczynie w portowej tawernie. - Drabiny to jest dopiero dobra rzecz, jak się nimi połączy takie beczki, i tak dalej.

Ciekawa byłam, gdzie podziały się szalupy Konyańczyków. Z początku nie mogłam ich wypatrzeć, więc pomyślałam, że albo je spuszczone, gdy statek po raz pierwszy uderzył o skały, albo jeszcze wcześniej porwał je sztorm. Potem dostrzegłam jedną, zwisającą z burty.

Byliśmy tak blisko, że rozpoznawałam rysy twarzy rozbitków. Nie wiem, ilu pozostało na pokładzie. Dziesięciu, dwudziestu, może nawet trzydziestu.

Jednak za każdym razem, gdy fale przewalały się przez pokład, było ich mniej.

Udało mi się wstać. Oparłam się o plecy Polillo, złożyłam ręce przy ustach i zawołałam: Teraz! Teraz! - wskazując dłońmi łódź.

Najpierw wyskoczył jeden marynarz, potem następny. Niektórzy zrzucali sobie do wody deski, inni mieli coś w rodzaju bojek, a reszta po prostu skakała bez asekuracji w nadziei, że dopłyną do szalupy albo znajdą w wodzie coś, czego będą mogli się przytrzymać, zanim do nich dotrzemy.

Polillo wyrzuciła daleko w wodę jedną z naszych beczek, prawie pod sam kadłub galery. Sznur, łączący beczkę z naszą szalupą miał posłużyć jako lina ratunkowa. Pozostałe trzy kobiety zrobiły to samo. Ogarnęła mnie fala dzikiego uniesienia: przekłete może zabierze sobie statek i życie wielu marynarzy, ale na Maranonię, my nie będziemy stać z boku i patrzeć obojętnie.

Bogowie nas pobłogosławiają za to, że uratujemy przynajmniej część tamtej załogi. Kadłub ponownie zaskrzypiał o skały. Wiedziałam, że jeszcze kilka sekund, a fale zmyją go do morza. Byliśmy bardzo blisko - praktycznie wisiał nam nad głowami. Spojrzałam w górę i pomyślałam, że już chyba wszyscy wyskoczyli i wrak pozostał pusty.

Wtedy ją zobaczyłam. Nie wiem, skąd się domyśliłam, że to kobieta - bo równie dobrze mógł to być długowłose mężczyzna. Jakoś wiedziałam. Miała na sobie białą, kompletnie mokra szatę, która oblepiała jej ciało. Dobrze chociaż, że woda była ciepła, bo w przeciwnym wypadku kobieta w jednej chwili by zamarzła. Wydostała się z tego, co pozostało po niby-chacie, stojącej niegdyś na najwyższym pokładzie, chwyciła reling i rozglądała się wokół. Chyba była w szoku, albo odniosła jakieś rany.

Krzyczeliśmy na całe gardło, ale przez bardzo długi czas nie zwracała na nas uwagi. W końcu spojrzała w dół i spostrzegła szalupę. Przysięgam, że się uśmiechnęła. Bardzo powoli i rozważnie wspięła się na reling i przygotowała się do skoku, jakby znalazła się na elitarnym kąpielisku i chciała popisać się techniką. Nagle, wiatr szarpnął jej mokrą szatę i pchnął ją w dół. Wywijając rozpaczliwe koźły wpadła w fale i zatoneła.

Nie myśląc, nie zastanawiając się wcale, skoczyłam w spienione fale.

Wynurzyłam się i z całych sił popłynęłam w miejsce, gdzie uderzyła w wodę.

Czułam, jak prąd chce mnie porwać i roztrzaskać skały, o te śmiercionośne skały, które były tak blisko. Sól szczypała mnie w oczy, ale z niezwykłą ostrością widziałam ich czern, brąz i szarość, zawieszony przede mną, porośnięty wodorostami i małżami kadłub statku i nagle zamajaczyła przede mną biała plama.

Przez chwilę utrzymywała się na powierzchni a potem zniknęła, gdy kobieta ponownie zanurzyła się w fale. Zgięłam się w pół, mocno odbiłam nogami i zanurkowałam, coraz niżej i niżej. Macałam rękami, aż zacisnęłam palce na jedwabnym materiale. Schwyciłam go, przyciągnęłam do siebie, czując słabe poruszenia rąk tonącej i natychmiast skierowałam się do góry.

Wynurzyliśmy się, zaczerpnęłam powietrza, odepchnęłam jej ramiona, które chciały wciągnąć mnie z powrotem w toń, schwyciłam ją za szyję i pod ramię, zmuszając, by ułożyła się na grzbiecie i popłynęłam z powrotem silnymi pociągnięciami, czując, jak wysiłek rozpiera mi płuca. Nagle poczułam, jak mocne ramiona, które mogły należeć tylko do Polillo, wyciągają z wody mnie i kobietę, którą uratowałam od śmierci w odmętach.

Rozdział Szesnasty

KSIĘŻNICZKA XIA

Nie pamiętam co się działo potem. W pewnej chwili ujrzałam nad sobą ciemną, sardonicznie uśmiechniętą twarz Corais. Moja zastępczyni jedną ręką starała się podtrzymywać mi głowę, a drugą balansowała kubkiem. Kabina śmierdziała jak brudna podłoga w marynarskiej tawernie.

- Przestań mi się opierać, kapitanie - mówiła Corais. - Marnujesz dobrą brandy.

Zdałam sobie sprawę, że z nią walczę i uspokoiłam się. Poczułam płomień alkoholu w żołądku. Opary brandy uderzyły mi do głowy i rozjaśniły myśl.

- Dzięki - wykrztusiłam. - Czuję się jak nowo narodzona... albo coś w tym rodzaju.

Dotknęłam palcami dekoltu tuniki, w której zwykle sypiałam. Był mokry do brandy, która wylała mi się z ust. Piersi miałam lepkie od alkoholu.

- Popatrz, płynie mi z piersi brandy, zamiast mleka - zaśmiałam się. - Ale będzie zamieszanie w Cechu Mamek.

Corais zachichotała. - Pierwszy raz się zdarzyło, że panią kapitan trzeba zmuszać do picia. Może jesteś na odwyku, teraz, gdy wzniosłaś się ponad szary tłum, zadajesz się z magami i tak dalej?

- Uważaj na to, co mówisz - zażartowałam. - Gamelan właśnie uczy mnie, jak się zamienia pyską poruczniczyńkę w żabi skrzek.

- Wszystko, byle nie degradacja - odcięła się i znów napełniła kubek.

Na zewnątrz panował spokój. Przez drzwi kabiny sączyło się światło słoneczne. Pachniało morską bryzą. Wtem, powróciły wspomnienia i usiadłam, jakby popchnęła mnie niewidzialna sprężyna.

- Co się stało z - zaczęłam w panice, ale Corais uciszyła mnie, przykładając kubek do mych ust.

- Zatroscyłyśmy się o wszystko - powiedziała uspokajająco. - Wypij to.

Lord Gamelan kazał ci to podać. Dwa kubki brandy, osłodzone jakimś tm zieleń, co rozjaśnia umysł. Ismet to przygotowała.

Wypiłam, a ona w tym czasie opowiadała mi, co zaszło, gdy byłam nieprzytomna. Wykonano wszystkie rozkazy, które wydałam po drodze na statek. Nie pamiętałam ich. Nie pamiętałam nic, poza zimnym, mokrym uściskiem Polillo, ale ukryłam to przed Corais, która pewnie nie oszczędziłaby mi

dalszych złośliwości. Powiedziała, że wydostaliśmy się ze sztormu bez dalszych strat, a te które ponieśliśmy i tak były minimalne. Uratowaliśmy trzynastu Konyańczyków, kilku z nich jest lekko rannych. Wszystkimi zaopiekowano się odpowiednio.

- Po raz kolejny okazało się, że może nie jesteś najlepszą ze wszystkich dowódczyń Gwardii Maranon, ale z pewnością masz najwięcej szczęścia!

- O moich talentach przywódczych porozmawiamy przy innej okazji - warknęłam, z trudem powstrzymując wybuch śmiechu. Drapieżne poczucie humoru mojej zastępczyni przypomniało mi, jak razem przeszliśmy pełne szkolenie w Gwardii. Razem dostawałyśmy w skórę w czasie ćwiczeń z bronią, razem wysłuchiwałyśmy paskudnych obelg z ust kaprali podczas musztry i razem wykonywałyśmy setki bezsensownych poleceń, wydawanych przez tępawę przełożone. Krótko mówiąc, byłyśmy siostrami niemal z urodzenia, nie tylko po mieczu.

- Ano, teraz taka polityka - odparła. - Dobrze, zatem najpierw posłuchaj dobrych wiadomości, a złe zostawię na koniec. Bardzo dobrze, o wielka Kapitan Antero, równie piękna jak mądra, równie mądra, jak...

- Wsadź sobie w gębę brudne gacie, poruczniku - przerwałam. - Opowiedz, co nas dobrego spotkało.

- No więc, pani kapitan uratowała księżniczkę. Konyańską księżniczkę.

Zaniemówiłam. - Innymi słowy, ta kobieta...

Corais kiwnęła głową.

- Tak jest. Ta słodka młodziutka istotka, którą wyciągnęłaś ze słonych odmętów jest równie szlachetna, jak zamiary pijaka, co postanowił rzucić wódkę. To nikt inny, tylko sama księżniczka Xia, córka jednego z członków rady, która rządzi Konyą! Gdy odwieziemy ją do stolicy, obwołają nas bohaterami i dadzą nam wszystko, czego zapagniemy!

Zajrzałam do pustego kubka. Zioła Gamelana niestety działały aż za dobrze. Wcale nie podobał mi się tok mych myśli. Tam, gdzie Corais widziała szczęśliwy zbieg okoliczności, ja przeczuwałam kłopoty. Nie byłam tylko pewna, jakie. Ukryłam jednak te wątpliwości przed moją zastępczynią. Nie chciałam psuć jej dobrego nastroju cynicznymi domysłami.

- Ach, niechaj każde twoje słowo mocno huknie bogów w ucho, Corais - odparłam i jednym susem stanęłam obok koi. - Lepiej pójdę od razu obejrzeć tę królewską rybkę.

Zdjęłam poplamioną brandy tunikę i zaczęłam się myć, jednocześnie zastanawiając się, jakby tu ozdobić strój, w którym zamierzałam się pokazać księżniczce.

- Jeszcze jedno, kapitanie - powiedziała Corais. - Oficer flagowy Cholla Yi machał dzisiaj tymi swoimi szmatami jak mewa z zatwardzeniem. Admirał chce się z tobą spotkać. Natychmiast.

- I bardzo dobrze - odparłam. - Przekaż mu ode mnie pozdrowienia i nadaj, że z przyjemnością spotkam się z nim za godzinę.

Corais wyszła pośpiesznie. Przerwałam mycie na chwilę, by przejrzeć się w lustrze. Od dawna już tego nie robiłam. Nasze dotychczasowe przygody ciężko odbiły się na moich nerwach, lecz nie popsuły wyglądu. Cera lśniła zdrową opalenizną, włosy niemal zbieleły na słońcu, lecz jednocześnie zmiękły i lepiej się układały niż kiedykolwiek w życiu, a sylwetka była szczupła od wysiłku fizycznego. Kości policzkowe wydawały się wyższe, policzki nieco ciemniejsze, a dzięki temu usta były pełniejsze niż przedtem. Oczy błyszczały błękitnie a wokół nich pojawiły się drobne zmarszczki przydające mi autorytetu, nawet dość pociągające.

Jeśli myślisz, Skrybo, że ten sprawdzian przeprowadziłam z czystej próżności, to się mylisz. Od momentu, gdy na poważnie rozpoczęłam naukę u Gamelana, poważnie martwiłam się opowieściami mego brata o tym, jak to intensywne ćwiczenia magiczne odbiły się na wyglądzie Janosa Szarego Płaszca. Amalryk mówił, że czary zniszczyły ciało Janosa, a twarz postarzała mu się o wiele lat. Szczerze mówiąc, mowa była o obsesji na punkcie czarnej magii, ale wcale nie uciszyło to moich lęków. Oglądałam się więc w lustrze raczej z ulgą, niż z satysfakcją.

Dobrze, już dobrze, przyznam się do chwili słabości: zawsze uważałam, że najmocniejszym punktem mej urody jest cera. Jak już mówiłam, aż emanowała zdrowiem, co cieszyło mnie bezgranicznie. Pomyślałam sobie: nic tak nie poprawia kobiecej urody, jak odrobina władzy.

Jeszcze kropla ulubionych perfum z kwiatu pomarańczy i już mogłam wdziać odświętny mundur. Przypięłam miecz, złotą broszę - symbol mego stanowiska, a uszy ozdobiłam złotymi kolczykami w kształcie włóczy i pochodni. Rzuciłam ostatnie spojrzenie w lustro, czując się trochę, jakbym bawiła się w przebieranki.

- Ach, nikt się na tym nie pozna, Rali - uspokoiłam się w myśli i poszłam na spotkanie z księżniczką.

Okrętowy cieśla, prawdziwy mistrz swego rzemiosła, wyczarował tyle miejsca obok kabiny Gamelana, że zmieściło się tam jeszcze jedno maleńkie, choć wygodnie pomieszczenie dla księżniczki. Już miałam zapukać do drzwi, gdy usłyszałam rozmowę.

Pierwszy głos brzmiał jak karcące gdakanie starej kury: - Ależ, bardzo cię proszę, moja pani. Wiem, że nie lubisz smaku alkoholu, ale naprawdę musisz to wypić. Ten stary mag może jest i ślepy, ale niech go bogowie błogosławią, bo naprawdę umie zrobić dobry odżywczy tonik. Moja kochana babunia lepiej by się nie sprawiła, a przecież obsługiwała wszystkie wielkie damy, gdy czuły się słabo.

Odpowiedział jej młody, niezwykle słodki głos: - Och, dobrze już, dobrze, Aztarte. Wprawdzie nie potrzebuję żadnego toniku, gdyż jestem tylko nieco zmęczona, ale będziesz mnie dręczyć bez litości, jeśli go nie wypiję.

Usłyszałam, jak pije płyn drobnymi łyżkami i wciąga gwałtownie powietrze: - Och, moja miła, ten tonik jest tak mocny, że w piersiach zatyka.

Jest też lepszy, niż myślałam.

Ponownie dotarły do mnie odgłosy picia. - Mmmm... właściwie, wcale nienajgorszy. Smak poprawia

się z każdym łykiem. I muszę przyznać, że rzeczywiście zaczyna mi wracać humor. Chyba zmienię poglądy na alkohol. Z pewnością przedtem podawano mi tylko poślednie gatunki.

- A widzisz, księżniczko - gderała stara - powinnaś słuchać swojej Aztarte. Chcę tylko twojego dobra. Przecież zawsze tak było, od dnia, gdy twoja matka, niech będą błogosławione jej kości, kazała mnie przywieźć ze wsi, bym się tobą zajmowała.

Księżniczka zachichotała. Brzmiało to cudownie, jak tony liry.

- I do dziś traktujesz mnie jak niemowlę, prawda? Czy ja dobrze usłyszałam, że ten mag przepisał mi dwa kubki eliksiru? Mam już ochotę na drugi.

Niańka naląła toniku, a księżniczka wypila i spytała: - Powiedz mi, Aztarte, komu mam dziękować za szczęśliwe ocalenie? Spoczęłybyśmy na dnie morza razem z innymi biedakami, gdyby ci dzielni ludzie nie zaryzykowali dla nas życiem.

- Akcję ratowniczą przeprowadzono z rozkazu kapitana Antero - powiedziała niańka - Uratowała cię również ta sama osoba.

- Kapitan? - zdziwiła się nieco księżniczka. - Byłam przekonana, że z wody wyciągnęła mnie kobieta! Wówczas wydało mi się to dziwne, lecz wiesz przecież, że tonęłam, więc nie mogłam jej się zbyt dokładnie przyglądać - w jej głosie zabrzmiał nieco niższy ton, pełen rozczarowania.

- No cóż, trudno. Teraz rozumiem, że to przecież niemożliwe. Może miałam jakąś wizję. To było takie piękne, Aztarte. W życiu nie widziałam piękniejszej kobiety. Miała takie zgrabne i muskularne ręce i nogi, a włosy opadały jej na plecy jak złocista grzywa morskiego rumaka... prawie frunęła nad falami. Niezwykłą wizją, sama przyznasz. Ale niestety... to był tylko sen. Cóż to byłby za świat, w którym zwyczajne kobiety, takie jak my, mogłyby dokonywać bohaterских czynów.

- Ależ, pani moja - przerwała jej stara - to nie był...

Zastukałam do drzwi, nie pozwalając jej dokończyć.

Zapadła chwila ciszy, a potem Xia powiedziała: - Proszę wejść.

Weszłam więc i nisko skłoniłam się w drzwiach. - Jestem kapitan Antero, do usług Waszej Wysokości - powiedziałam.

Oniemiała, niebotycznie zdumiona księżniczka Xia spoglądała na mnie ze swego łóża. Ja sama też na chwilę zaniemówiłam. Była cudowna - ciemna jak Corais i równie szczupła. Mimo, że leżała w łóżku, dostrzegłam, że niemal dorównywała mi wzrostem. Miała na sobie pożyczoną szatę z surowego płótna, lecz nosiła ją, jakby to był królewski strój. Włosy jej opadały na poduszki długimi czarnymi falami, lśniąc złotem w świetle. Oczy, wielkie i czarne, płonęły energią i żywotnością osiemnastolatki. Nad nimi rysowały się regularne czarne brwi. Miała wysokie kości policzkowe, arystokratyczny nos i różane usta, może nieco zbyt pełne, jeśli ktoś woli piękności chłodne od zmysłowych.

Xia uroczym zarumieniła się pod moim nazbyt badawczym spojrzeniem. Po chwili otrząsnęła się ze zdumienia i radośnie zaklaskała w ręce: - A widzisz, Aztarte? Wcale mi się to nie przyśniło. Rzeczywiście uratowała mnie kobieta!

Siwowłosa służąca potrząsnęła głową, aż zatrzęsły się jej liczne podbródki.

- Ależ ja właśnie próbowałam to powiedzieć Waszej Wysokości...

Kapitan Antero to kobieta. Kobieta - wojownik, niech ją bogowie błogosławią.

Mamy szczęście, że jest tu na pokładzie, wśród piratów, którzy wyraźnie stanowią część załogi. Ach, nasza cnota nie ostałaby się nawet sekundy, gdybyśmy były z nimi sam na sam.

Rozradowana księżniczka wyskoczyła z łóżka. Jej szata rozchyliła się na moment i mogłam uradować swe serce widokiem pięknych, stromych piersi o sutkach jak świeże jagody i różowych, miękkich warg sromu na podbrzuszu równie gładkim i pozbawionym włosów, jak u dziecka. Przez chwilę myślałam, że rzuci mi się w objęcia, ale widać spostrzegła głód w mych oczach, zarumieniła się znowu i otuliła się odzieniem, rozchylając je jednak zalotnie, jak zauważyłam.

Następnie powiedziała oficjalnym tonem: - Zawdzięczam ci życie, kapitan Antero. A co ważniejsze, zawdzięczam ci życie mych dwunastu ziomków, włączając w to Aztarte, która jest mi droższa ponad wszystkich ludzi - naturalnie z wyjątkiem mego ojca.

Aztarte głośno zacmokała z radości. - Ach, jesteś kochana, księżniczko - powiedziała i spojrzała na mnie, zaskakująco młodymi oczyma koloru dojrzałych orzechów. - Muszę ci jednak powiedzieć, pani kapitan, że myślałam, że koniec już ze mną, gdy ta twoja wielka wojownicza, którą chyba nazywają Polillo, chwyciła mnie za włosy i podniosła, jakbym była schwytaną na haczyk flądą.

Ponownie nisko się skłoniłam.

- Każda cywilizowana osoba zrobiłaby to samo, co my - odparłam. - Gdybyśmy znaleźli się w podobnej sytuacji, pewnie twoi ludzie, pani, także pośpieszyliby nam na ratunek.

- Nie byłabym tego taka pewna - odparła Xia. - Jesteśmy podejrzliwym narodem, a wy wydajecie się być obcymi z dalekich krajów.

- Rzeczywiście tak jest, szlachetna pani - powiedziałam. - Nasi władcy wysłali nas z bardzo ważną misją, która zakończyła się sukcesem, lecz później zgubiliśmy drogę do domu. Właśnie płynęliśmy do twego kraju w nadziei, że ktoś pomoże nam ją odnaleźć.

Księżniczka Xia roześmiała się, dźwięcznie jak dzwoneczek.

- Ależ, pomożemy wam bez wątpienia. Porozmawiam z ojcem, lordem Kanarą. Na pewno z radością użyje swych wpływów. W końcu uratowaliście jego jedyne dziecko.

Już miałam podziękować, gdy ktoś zastukał do drzwi. Była to Corais.

- Przepraszam, pani kapitan - powiedziała - ale admirał jest już w drodze.

Gdy to mówiła, przenosiła wzrok z księżniczki na mnie a potem z powrotem na księżniczkę.

- Zaraz do ciebie wyjdę, pani porucznik - odrzekłam, a Corais zasalutowała służbiście. Jestem przekonana, że chciała w ten sposób przydać mi godności w oczach księżniczki. Skłoniła się i wyszła.

- Przepraszam, Wasza Wysokość, ale obowiązek wzywa - powiedziałam.

Xia nieco spochmurniała. - Ależ naturalnie, musisz zameldować się u swego admirała, pani - odparła.

Roześmiałam się. - Jest nieco inaczej, szlachetna pani. To on właśnie płynie zameldować się u mnie. W tej flocie on wypełnia moje rozkazy.

- No, no, patrzcie tylko - rozpromieniła się Xia. - Kobieta dowódcą!

Musimy wkrótce porozmawiać znowu, kapitanie.

Wyciągnęła do mnie rękę. Skłoniłam się i dotknęłam miękkiego ciała wargami. Zadrżała. Wyprostowałam się, zaniepokojona, że ogarnia mnie gorączka i pożegnałam się sztywno.

Cholla Yi niespokojnie spacerował po mej kabinie. Kazałam współmieszkankom zabrać z niej swoje rzeczy i przynieść stół z krzesłami, oraz coś do picia. Zauważyłam po pierwsze, że się gniewa, a po drugie, że jest sam, co oznaczało, że nie chce rozmawiać przy świadkach.

Gwałtownie odwrócił się na pięcie i stanęliśmy twarzą w twarz.

- Ano, wpakowałaś nas w straszne kłopoty, kapitan Antero - warknął. - Jeśli się nie pośpieszymy, obedną nas wszystkich ze skóry, albo i gorzej.

Zaskoczyło mnie to oskarżenie.

- A co ja takiego zrobiłam? - zapytałam.

- Uratowałaś tych śmierdzących Konyańczyków! - odparł. - Pierwszy przyznam, że był to popis odwagi, ale i głupoty.

- Od kiedy to ratowanie ludzi jest głupotą? Myślałam, że jest takie niepisane morskie prawo, które nakazuje marynarzom pomagać sobie wzajemnie.

- Może u was tak, ale u mnie na pewno nie - odparował. - A na tych wodach lepiej w ogóle o tym nie myśleć.

Nie potrafiłam na to znaleźć natychmiastowej odpowiedzi, gdyż czułam, co go trapi. Spojrzał na mnie, wyparskał z siebie złość i odzyskał panowanie nad sobą.

- Słuchaj, kapitanie, razem wiele przeszliśmy. W dalszym ciągu nie przepadam z tobą - mówię to uczciwie. Wydaje mi się zresztą, że z wzajemnością. Ale nabrałem do ciebie wiele szacunku, odkąd

zobaczyłem cię w akcji. Mamy jednak poważny problem i nie będę wskazywał palcem winnego, bo nic to nie da. Przykro mi. Nie mieliśmy czasu na rozmowę od czasu tej sprawy z Sarzana i w tym cały kłopot.

Cień niepokoju, jaki zbudził się we mnie, gdy rozmawiałam z Corais, urósł do potężnych rozmiarów. Gdy w pełni zrozumiałam co się stało, opadłam na fotel i nalałam nam po pełnej szklancy mocnego wina. Cholla Yi spojrzał mi w oczy, zorientował się, że pojęłam wszystko i usiadł naprzeciwko.

Wychyliliśmy szklanki do dna i nalaliśmy znowu.

- Na mój rozum - powiedział w końcu Cholla Yi - ten cały Sarzana mówił nam same kłamstwa. A raczej, dokładną odwrotność prawdy. To był podły drań i tyle, a Konańczycy szczerze go nienawidzili. Nie mogli go zabić, z powodu tej klątwy. Akurat to było prawdą. Jeśli Konyańczyk zabije władcę, czeka go straszny los. Tak więc wpadli na inne rozwiązanie, prawie tak samo dobre: zesłali go na wyspę. Potem połączonymi siłami wszystkich magów, czarownic i wiedźm, rzucili na niego zaklęcie tak silne, że nigdy by nie uciekł.

- A potem pojawiliśmy się my i uwolniliśmy go z wygnania. Ale przecież nie ma w tym naszej winy! Gamelan był niesprawny, więc jak mogliśmy się zorientować, że Sarzana osnuwa nas magiczną mgłą?

- Myślisz, że stary mag by to spostrzegł?

- Ależ oczywiście. Sarzana mógł nakładać jedno zaklęcie fałszywej szczęśliwości na drugim, ale dla lorda Gamelana w pełni sił wszystko byłoby jasne. Jak już powiedział kapitan Stryker, ja zorientowałam się zbyt późno, lecz moje zdolności dopiero się rozwijają i nie dorównuję doświadczonym magom takim jak Sarzana. Trudno, co się stało, to się nie odstanie. Oszukano nas, lecz z pomocą potężnej magii. Nie ma czego się wstydzić.

- Mam w dupie wstyd - odparł Cholla Yi. - Ja chcę tylko się wzbogacić i umrzeć ze starości. Teraz jednak możesz sobie wsadzić całą forszę gdzieś, bo nie widzę możliwości, żeby mi broda posiwiała, jeśli choć słowo o tym, co się stało, dotrze do nieodpowiednich ludzi.

- I w ten sposób dochodzimy do uratowanych Konyańczyków.

- I w ten sposób dochodzimy do uratowanych Konyańczyków - powtórzył. - Zanim się pojawili, mieliśmy blefować. Wpłynąć pośpiesznie do jakiegoś portu, pokrzyzczeć trochę o tym, jacy to jesteśmy ważni w Orissie, uzyskać od nich pomoc i zwiąć, zanim się dowiedzą, że to my wypuściliśmy tego diabła na wolność. Ale ten plan - choć i tak naciągany - całkiem upadł teraz, gdy uratowałaś tych ludzi.

- Na okręcie nie utrzyma się żadna tajemnica - ciągnął. - Ludzie są za blisko siebie. Konańczycy zorientują się, co zaszło i jak tylko rzucimy gdzieś kotwicę, zaraz puszczą farbę. A wtedy koniec z nami. Spójrz na to z ich punktu widzenia: zasługujemy na najgorszą karę, jaką tylko uda im się wymyśleć.

- Może Sarzana utonął... - powiedziałam, wiedząc, że to słaba nadzieja. - Ta szalupa była bardzo mała...

Cholla Yi potrząsnął głową. - Tacy podlece nie toną - odparł. Ryby wypłułyby go z powrotem na brzeg. Nie, moim zdaniem, pewnie właśnie teraz dobija do jakiegoś przyjaznego portu i zaraz zacznie szukać zwolenników.

- Ale uratowaliśmy konyańską księżniczkę - argumentowałam. - To już coś!

- No, to może nie wyłupią nam oczu, tylko zwyczajnie obedrą ze skóry i tyle - odparł ponuro.

Zamilkłam, sączyłam wino i w myślach poszukiwałam wyjścia z sytuacji czując się, jakbym waliła pięścią w zaryglowane drzwi.

- Ja widzę tylko jedno rozwiązanie - odezwał się pirat.

- Jakie mianowicie?

Wzruszył ramionami. - Wrzucić ich z powrotem do morza. Utoną, ale i tak przecież zginęliby w czasie sztormu. A my spokojnie popłyniemy do Konyi i poprosimy o pomoc. Nikt się nie dowie, pod warunkiem, że załoga będzie trzymać gęby na kłódkę.

Potrząsnęłam głową: - Nie zrobię tego.

Cholla Yi w jednej chwili z rozsądnego rozmówcy zmienił się w uosobienie furii: - Na bogów, sam ich potopię, jeżeli się brzydzisz!

- Nie morduję cywilów. Ci ludzie nie zrobili nam nic złego.

- Ale i tak by pomarli, gdybyś się nie wtrąciła! - krzyknął. Jego dłoń powędrowała do miecza. Skoczyłam na równe nogi i kopnęłam krzesło w tył, by mi nie przeszkadzało.

- Ale się wtrąciłam. I już. Jak długo tu dowodzę, włos im z głowy nie spadnie.

Wyglądało na to, że admirał zaraz dobiedzie miecza i rzuci się na mnie.

Byłam w pełni przygotowana, by godnie stawić mu czoła. Po chwili jednak, z wielkim trudem zdołał się opanować. Usłyszałam skrzyp skórzanych pendentów. Rzuciłam spojrzenie za siebie i dostrzegłam w drzwiach zwalistą postać Polillo. Tuż za nią stała Corais. Sprzeczka była tak głośna, że przybiegły sprawdzić, czy przypadkiem nie potrzebuję pomocy. Dałabym sobie radę sama, ale śmierć Cholla Yi by nam nie pomogła. Jedyнным rezultatem byłby bunt piratów.

- Wewnętrzne walki nie poprawią sytuacji - powiedział Cholla Yi. - Może znajdziemy inne wyjście.

Wróć na swój okręt i się zastanowię.

- Ja też będę nad tym myśleć - odparłam.

- A zatem spotkamy się jutro, kapitanie? - spytał zimnym, oficjalnym tonem.

- Z przyjemnością, admirale - odparłam.

Gdy wyszedł, zawołałam obie zastępczynie. - Ile z tego usłyszałyście? - spytałam.

- Wystarczająco dużo, by wiedzieć, co nam grozi - odparła Polillo.

- Połowa załogi też wszystko słyszała, kapitanie - dodała Corais. - Szczerze mówiąc, nie była to cicha pogawędka.

- Musi być jakieś wyjście - powiedziałam. - Chodźmy porozmawiać z lordem Gamelanem.

W kilka godzin później, przeanalizowawszy problem ze wszystkich możliwych stron, nawet mag musiał przyznać się do klęski.

- Znam jedno zaklęcie zapomnienia - powiedział - ale jest bardzo zawodne i do tego niebezpieczne. Jeśli coś się nie uda, to lepiej by było dla tych nieszczęśników, gdybyśmy ich od razu pozabijali. Poza tym, chyba jeszcze nie jesteś na tyle silna, by je rzucić, kapitanie Antero.

- Ale zgadzasz się ze mną, że nie wolno nam skrzywdzić tych ludzi, prawda? - spytałam.

- To byłoby tchórzostwo, kapitanie - warknęła Polillo. - Lubię przelewać krew, wszyscy o tym wiecie. Ale nie wezmę udziału w mordowaniu niewinnych.

- Walczyliśmy w ten sposób na ulicach Likantu i ja więcej czegoś takiego nie zrobię - dodała Corais, drżąc na wspomnienie cywilów, których wola Archontów popchnęła do walki przeciw nam.

Spojrzałam na Gamelana. Wyczuł to i potrząsnął głową: - Nie, ja i tak mam na sumieniu dość grzechów, za które odpowiem po tamtej stronie, gdy przyjdzie po mnie Łowca - odparł. - Sprzeciwiam się temu.

- A więc widzę tylko jedną drogę - podsumowałam. - Trzeba wyznać nasze grzechy księżniczce i modlić się do bogów, aby nam wybaczyła i co więcej, wstawiła się za nami.

Nikom do głowy nie przychodziło inne wyjście, więc posłałam po nią.

Gdy weszła, w kabinie aż pojaśniało. Krótka tunika pięknie uwydatniała długie nogi, wąską talię i pełne piersi. Spojrzała na mnie z podziwem. Byłam zrozpaczona, że zaraz zabiję w niej to uczucie. Niestety, musiałam to zrobić.

Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia, gdy opowiedziałam jej o spotkaniu z Sarzana, a gdy dowiedziała się, co zrobiliśmy, zmieniły się w dwa zimne, niewzruszone czarne lustra.

- Żałuję, że nas wyratowałaś - powiedziała. - Wolałabym być martwa niż patrzeć na to, co stanie się z mym ludem teraz, gdy Sarzana wyrwał się na wolność.

- Przynajmniej zostaliście ostrzeżeni - rzekł Gamelan.

Xia zaśmiała się gorzko i odpowiedziała mu dojrzałe, jakby liczyła sobie o wiele więcej, niż osiemnaście wiosen: - Nie zdajecie sobie w pełni sprawy z tego, co uczyniliście. Sarzana jest

największym złem, jakie spadło na nas od niepamiętnych czasów. Uczynił z nas niewolników i pozbawił godności ludzkiej. W czasie swego panowania przelał morze krwi. Cudem udało nam się go pozbyć - widać bogowie nas pobłogosławili. Drugi raz to się jednak nie uda.

- Nie będzie go łatwo ponownie pokonać. Może to się nawet okazać niemożliwe. Ma olbrzymią moc i z pewnością przez te wszystkie lata na wygnaniu wiele ćwiczył i planował zemstę, z utęsknieniem czekając dnia, gdy uwolnią go głupcy, tacy jak wy.

Spojrzała na mnie, a po policzkach spływały jej łzy gniewu.

- Gdy mówiłam, że ojciec mój będzie ci wdzięczny, gdyż uratowałaś jego jedyne dziecko, nie wdawałam się w szczegóły. Powinnam była powiedzieć; jedyne żyjące dziecko. Miałam kiedyś czterech starszych braci. Zamordował ich Sarzana, podczas jednej z czystek.

Wytarła oczy i z trudem się uspokoiła. Twarz jej stała się zimna i oficjalna.

- Nie wiecie, że nad moją rodziną ciąży przekleństwo: pochodzimy z królewskiego rodu. Po matce, która umarła przy moich narodzinach, jesteśmy skoligaceni ze starożytną linią konyańskich monarchów. Sarzana wymordował wszystkie dzieci płci męskiej w rodzinach, które miały królewskich przodków.

Spuściła głowę i znów się rozplakała. Nie wiedziałam, jak ją pocieszyć.

Wszelkie słowa wydawały mi się płaskie i naiwne. Nagle płacz ucichł.

Księżniczka podniosła głowę, a w jej oczach wyczytałam zdziwienie.

- Dlaczego mi o tym powiedzieliście? - spytała. - Przez to znaleźliście się w niebezpieczeństwie.

Opowiedziałam księżniczce o Cholla Yi, jednocześnie bacznie ją obserwując. W jej twarzy nie spostrzegłam strachu, nawet gdy wyjaśniłam, że wprawdzie dowodzę flotą, ale piraci admirała mają przewagę liczebną.

- Czy twoje kobiety są lepsze w boju? - spytała.

Odparłam, że tak, ale nie należy niedoceniać jego ludzi. To dobrzy wojownicy, nieustraszeni i bardzo doświadczeni w boju.

- A mimo to sprzeciwiłaś się mu?

- Tak jest.

- Dlaczego?

Odpowiedź moja była wyjątkowo niezgrabna: - Jestem żołnierzem, ale przede wszystkim dowodzę Gwardią Maranonii.

Przysięgałyśmy chronić rodzinę i ognisko domowe. Tak było od stuleci. Każda z nas wolałaby zginąć w najbardziej haniebnym sposobie, niż pokalać tę tradycję.

Księżniczka zadumała się, a ja ponownie zdziwiłam się, jak ktoś tak młody może wykazywać tak głębokie zrozumienie świata.

W końcu powiedziała: - Pomogę wam... jeśli zdołam. W pobliżu Izoldy jest niewielka, mało zaludniona wyspa - główna wyspa archipelagu. Tam mieszkam. Podpłyniecie tam w nocy, wysiądę na brzeg, a wy będziecie czekać.

Porozmawiam z ojcem i postaram się wyjaśnić mu, że padliście ofiarą Sarzany, podobnie jak my.

- Myślisz, że cię wysłucha?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Nawet, jeśli tak, jest tylko jednym z dziewięciu członków Nieskalanej Rady, czyli naszego rządu.

Mówiąc o Radzie skrzywiła się, jakby myśl o tych ludziach napełniała ją niesmakiem.

- Nie mam pojęcia, co zdecydują. Jeśli się zgodzą, dam wam znać. Jeśli nie, będziecie musieli uciekać. Odpłyńcie wtedy jak najprędzej i jak najdalej.

Niech wam bogowie wybaczą, gdyż wyrządziliście straszną krzywdę memu ludowi. Ja jednak będę się modlić, abyście wreszcie dotarli bezpiecznie do domu.

Wszyscy zgodziliśmy się na tą szlachetną propozycję.

- Co na to powie admirał? - spytała księżniczka.

- Nie wiem - odparłam. - Ale ze wszystkich sił będę się starała go przekonać.

- A jeśli odmówi?

Spojrzałam na moje towarzyski. Stanowczo skinęły głowami.

- To będziemy walczyć.

Ranek nadszedł zbyt szybko. Niewiele spałam, lecz musiałam wcześniej wstać, by się przygotować. W sekrecie nakazałam wojowniczkom, by przygotowały się na najgorsze, lecz starały się zachować tajemnicę.

Wybraliśmy się z Gamelanem na krótką przechadzkę po pokładzie.

Marynarze byli pełni nienawiści i spoglądali na nas tak ponuro, że nawet niewidomy mag wyczuwał, że dzieje się coś niedobrego. Kapitan Stryker trzymał się od nas z dala. Wiedziałam, że kontaktował się z Cholla Yi, gdyż, zamiast zachęcać załogę do pracy, spacerował między nimi, mówił coś po cichu i od czasu do czasu rzucał znaczące spojrzenia w moją stronę. Gamelan uśmiechał się jakby nigdy nic, ale przez cały czas szeptał mi do ucha całą litanię łatwych, lecz skutecznych zaklęć obronnych.

Dwie godziny przed południem, Cholla Yi przysłał wiadomość, że zaraz przyplynie. Z pokładu widziałam, że admirałski okręt opuszcza wiele szalup, pełnych uzbrojonych mężczyzn. Pirat nie popełnił błędu i na pokład wszedł bez tej asysty. Rozkazał im otoczyć nas okręt, a sam przyplynał jedną łodzią, w towarzystwie niemal wszystkich najważniejszych oficerów.

Podszedł do mnie szpalerem, który z jednej strony tworzyli marynarze, a z drugiej - gwardzistki. Zatrzymał się w zasięgu miecza. Świeżo napomadowane włosy sterczały sterczały mu na głowie jak kolce.

- Jak tam, kapitanie Antero - spytał. - Czy rozważyłaś to, co ci wczoraj mówiłem?

- Tak jest, admirale - odparłam. - Porozmawiałam w związku z tym z księżniczką Xią, która obiecała się za nami wstawić.

Wybałuszył oczy, odrzucił głowę w tył i roześmiał się głośno: - Wierzysz na słowo dziewczynie? Jesteś jeszcze głupsza, niż myślałem.

Kilku marynarzy wybuchnęło gromkim śmiechem. Gwardzistki zaczęły z cicha przeklinać.

Uśmiechnęłam się do Cholla Yi i uniosłam brew, komentując milcząco zachowanie jego ludzi, dając mu do zrozumienia, że ja nie dowodzę hołotą.

- Może rzeczywiście jestem głupia - odparłam - ale nie aż tak bardzo, by zamykać uszy na twoje słowa, admirale. Żegnając się ze mną wczoraj obiecałeś, że zastanowisz się nad innym rozwiązaniem.

- I zastanowiłem się - odparł.

- A więc zgadzasz się zostawić Konyańczyków przy życiu? - spytałam.

- Tak jest. Proponuję znaleźć jakąś wyspę, najlepiej odległą i niepozorną, żeby nikt ich nie znalazł. Wysadzimy ich tam, zostawimy tyle wody i prowiantu, ile będziemy mogli, a potem popłyniemy do Konyi jak gdyby nigdy nic. Tam zgodnie z planem poszukamy pomocy, a gdy ją dostaniemy, ruszemy w drogę do domu - odrzekł i zakołysał się na piętach. - Co o tym sądzisz, kapitanie?

Potrząsnęłam głową. - Większym miłosierdziem byłoby ich zabić, niż skazać na śmierć głodową, w najlepszym wypadku. Przykro mi, admirale, ale to rozwiązanie mnie nie zadowala.

Twarz poczerwieniała mu z gniewu, a ręka opadła na głownię miecza.

- To co, wolisz się bić? - krzyknął. Jego ludzie zaczęli warczeć jak gotowe do walki psy.

- Wolałabym znaleźć pokojowe rozwiązanie - odrzekłam - lecz jeśli się to nie uda, będę walczyć.

- Wystarczy, że dam sygnał - powiedział - i będziesz miała przeciw sobie całą flotę.

Krew zaśpiewała mi w uszach. Roześmiałam się mu w nos. - Nie całą, nie całą, przyjacielu. Moje wojsko stanie po mojej stronie. I założę się, że niektórzy twoi ludzie też. Ale jeśli masz apetyt na stal, to proszę, spróbuj.

Błysnęły miecze i na całym statku rozbrzmiały dźwięki metalu uderzającego o metal, jak dzwony na powitanie dnia.

W tym momencie marynarz na oku okrzyknął alarm. Zamarliśmy wpół kroku. Ze wszystkich masztów rozbrzmiało to samo ostrzeżenie. Odwróciliśmy się - i oto zbliżał się do nas potężny okręt wojenny. Na pokładach tłoczyli się żołnierze, a pośród lasu masztów ulokowały się zastępy łuczników, z bronią gotową do strzału.

Nasi wartownicy ponownie zaczęli ostrzegawczo krzyczeć. Odwróciliśmy się znowu. Z drugiej strony nadpływał kolejny potężny okręt, a za nim trzeci, czwarty i następny. Wkrótce zamknęły nas w otoczeniu.

Wydałam rozkazy i gwardzistki zwróciły się ku nowemu wrogowi. Cholla Yi również ryknął kilka komend; jego ludzie poszli w ich ślady.

Staął obok mnie i z krzywym uśmiechem powiedział: - Zabawne, jak wszystko szybko się zmienia, gdy gra się w kości ze śmiercią, prawda?

Z kabiny wybiegła księżniczka Xia.

- To konyańskie okręty! - zawołała. - To moi ludzie!

Cholla Yi prędko ustąpił jej z drogi, pirackim szóstym zmysłem wyczuwając, że oto ma cień szansy, by przeżyć.

- Pozwólcie mi z nimi porozmawiać - poprosiła księżniczka. - Powiem, że nas uratowaliście. Nic nie wspomnę o Sarzanie. Czuję się jak zdrajczyni, ale, jak mawia mój ojciec, czasem honor każe człowiekowi kłamać.

Spojrzałam na Cholla Yi. -Zdaje się, że nie mamy wyboru - powiedział. - Chyba, że życie nam niemiłe.

Złożyliśmy więc broń i sygnałami nakazaliśmy pozostałym okrętom, by także się poddały. W kilka minut później, na pokład wpadli konyańscy żołnierze. Na czele biegł wysoki, siwowłosy mężczyzna, którego mundur i zachowanie zdradzały dowódcę. Ku naszej uldze, natychmiast rozpoznał księżniczkę i wydawał się bardzo zaskoczony, że jest na pokładzie naszej galery.

- Wasza wysokość! - zawołał. - Dzięki bogom, że jesteś bezpieczna!

- Rzeczywiście, należy dziękować bogom, admirale Bhazano - odparła. - Dzięki im za to, że w odpowiednim momencie zesłali nam tych cudzoziemców.

Uratowali nam życie.

Na twarzy Bhazany odbił się gniew.

- Zasłużyli na śmierć, nie na wdzięczność, księżniczko - warknął. - Ci łajdacy uwolnili Sarzanę. Zaatakował nas w kilku miejscach. Mnie wysłano, bym rozprawił się z tym ścierwem!

Gestem wezwał żołnierzy, którzy rzucili się na nas, nie szczędząc razów i kopniaków i powalili na pokład, pomimo, że Xia głośno protestowała. W kilka minut pobito nas i zakuto w kajdany. Byliśmy tak zaskoczeni, że niemal nie stawialiśmy oporu.

- Skąd się dowiedzieli? - szepnął do mnie Cholla Yi, gdy ustawiano nas w szereg, by, skutych, powyrzucać za burtę do czekających w dole łodzi.

Usta miałam pełne krwi, więc nic nie odpowiedziałam. Byłam zresztą tak samo zdziwiona, jak on.

Rzucono mnie głową w dół do łodzi. Wylądowałam na kolanach i łokciach i cudem niczego sobie nie zламаłam. Spojrzałam do góry akurat w chwili, gdy przez burtę przeleciał Gamelan. Z trudem przetoczyłam się tak, by złagodzić jego upadek. Udało mi się chyba, bo niemal mnie splaszczyl tak, że na dłuższą chwilę straciłam oddech. Nie mogłam wciągnąć powietrza, bo jego broda bez przerwy wchodziła mi do ust.

- Złaż ze mnie, magu - wykrztusiłam wreszcie.

- To ty, Rali? - zapytał. Zadygotałam, biorąc głęboki oddech. - Bałam się, że cię zabili.

- Zostawią chyba tę przyjemność oprawcom - skrzywiłam się.

- Pewnie tak - przytaknął, niemal pogodnym głosem. - Ważne, że na razie żyjemy. Gdy będziesz miała tyle lat, co ja, każdego ranka ucieszy cię zwykła świadomość, że oto jeszcze raz się obudziłaś. Dobry dzień to dzień, w którym nie dokucza ci ból w nowym miejscu.

- Magu... - przerwałam mu.

- Tak, Rali?

- Czy mógłbyś się uprzejmie zamknąć?

Rozdział Siedemnasty

W KAZAMATACH

Podobno Izolda jest najpiękniejszą z setek wysp, które składają się na Królestwo Konyi. Bardowie powiadają, że archipelag ten zrodził się, gdy magiczny wiatr rozsiał po zachodnim oceanie nasiona kwiecia, rosnącego w ogrodach bogów - a Izolda, jak mówią, jest córką najpiękniejszego ze wszystkich kwiatów. Konyańczycy niemal płaczą ze wzruszenia, gdy rozwodzą się nad urokami wyspy. Piszą o niej uduchowione ody pożegnalne, opowiadają o losach licznych bohaterów i kochanków, którzy musieli opuścić Izoldę i rozpaczliwie walczyli o to, by na nią powrócić. Poeci opiewają aromatyczne powietrze, ptaki, których głosy godne są liry bogów, ciepłe słońce i pachnący wiatr, który pieści brzegi wyspy. Nawet morze, bezgraniczny przestwór, jak to ujmują śpiewacy, rodzi ryby słodsze niż mięso cieląt karmionych mlekiem, choć to przysmak godny królów.

W czwartej celi, licząc od mojej mokrej nory, siedział jakiś typ, który odśpiewywał wszystkie te pieśni po kolei, gdy owładnął nim melancholijny nastrój, co zdarzało się raczej często, gdyż człowiek ten był szalony jak uczeń ołownika. Wolę nie liczyć, ile dni słuchałam jego pienia i pod koniec gotowa byłam pójść i obciąć mu język, a w szczególnie złe noce, gdy słuchaliśmy, jak drżące tremolo odbija się echem w korytarzach, oddałabym szansę odzyskania wolności, gdyby ktoś przyszedł i pozwolił mi w zamian skrócić mu kark.

- Niemal z ulgą powitam nadejście oprawców, bo nas wreszcie stąd zabiorą - powiedziałam do Gamelana. - Nie ma nic gorszego, niż słuchanie tego syna francowatej ulicznicy.

- Muszę przyznać - odparł - że gdy po raz pierwszy znaleźliśmy się w tych... pokojach gościnnych, pomyślałem, że ten człowiek ma cudowny głos.

Zastanawiałem się też, cóż to za ludzie z tych Konyańczyków, że uwięzili kogoś o takim talencie. Przecież to nie ma znaczenia, że po pijanemu skomponował piosenkę, w której przyrównywał Nieskalaną Radę do dziewięciu czyraków na tyłku starej baby. W krajach cywilizowanych artystów traktuje się ulgowo.

Uważamy, że bogowie z konieczności nie dodali zdrowego rozsądku do świętej gliny, z której uformowali taką osobę. Od tego czasu jednak zmieniłem. Jeśli kiedyś jeszcze odzyskam moc, przysięgam, że pierwsze moje zaklęcie zmieni tego wyjca w tłustą ropuchę, zamieszkałą wśród wiecznie głodnych żurawi, które co dnia powoli rozdziobią ją na kawałeczki i wysrają z powrotem w całości, tylko po to, żeby móc zjeść na nowo następnego dnia.

Wizja ta wielce mi się spodobała i z lekkim sercem zabrałam się znów za wysysanie szpiku ze szczurzej kości, którą odłożyłam sobie na później z wodnistego gulaszu z poprzedniego wieczora. Gamelan zawsze potrafił rozweselić kobietę, nawet w najtrudniejszej sytuacji życiowej.

Zabawne, że zawdzięczaliśmy życie człowiekowi, który spowodował nasze kłopoty, czyli Sarzanie. Czarny mag wypłynął z Cevennes, wielkiej grupy wysp, która miała nieszczęście być jego miejscem urodzenia. Towarzyszyły mu tysiące opętanych żądzą krwi wojowników i stale rosnąca flota okrętów wojennych. Stosowali taktykę spalonej ziemi.

- Nieskalana Rada ma teraz za dużo pracy, by zajmować się takimi jak wy - powiedział admirał Bhazana, gdy prowadzono nas do więzienia. - Ale nie obawiajcie się, nie zapomną o was. Gdy nadejdzie czas, spotka was straszliwa kara za to, co uczyniliście.

Znaleźliśmy się w kazamatach, wydrążonych w zboczu niewielkiej góry.

Miasto wspinało się na jej stoki zatłoczonymi tarasami, zwężającymi się aż po szczyt, gdzie usadowił się starodawny Pałac Monarchów, ozdobiony czerwoną kopułą. Jak nam powiedziano, znajdowała się tam siedziba Nieskalanej Rady i zatrudnianych przez nią legionów urzędników, poborców podatkowych, strażników i pomniejszych gryzipiórków. Przez stulecia, miejskie rynsztoki wypłukały ze skały tę odrobinę ziemi, jaka pozostała w szczelinach i teraz ścieki przesączały się przez niezliczone szczeliny w głąb i docierały do nas, w postaci cuchnących strumyczków, które niestrudzenie płynęły po ścianach i kapały z sufitów.

Pewien więzień, który dzięki kradzieżom i chętnemu udziałowi we wszelkiego rodzaju zbrodniach i zbroczeniach, przeżył w tym smrodliwym grobowcu ponad czterdzieści lat, powiedział, że loch wykopali pierwsi więźniowie, a kolejne pokolenia przez całe stulecia rozbudowywały więzienie, aż stało się potężnym labiryntem korytarzy, jaki możemy oglądać obecnie.

- Wspomnicie moje słowa, ludzie - wychrypiął. - Niedługo znowu zacznie się kucie. Zawsze tak jest, jak zaczyna się wojna. Potrzeba miejsca, coraz więcej miejsca dla wszystkich zdrajców. Ach, idą dobre czasy dla starego Oolumpha, bo zdrajcy zwykle mają rodziny, a te rodziny też przecież idą siedzieć. Trzeba ich nauczyć, jak tu się żyje, przynosić różne rzeczy i robić różne drobne przysługi, nie? Pewnie, mam swoją cenę... ale wziąłem sobie za obowiązek urządzić jakoś tych biedaków co tu przychodzą na zabieg rozciągania kości albo łupienia ze skóry - tu rozciągnął wargi, pokazując pieńki zepsutych zębów, więc domyśliłam się, że chyba się uśmiechnął. - Kiedy ostatni raz wszystko tu szło dobrze, zawdzięczalim to Sarzanie. Później nastały chude czasy... ano, Oolumph to chyba jedyny człowiek w Konyi, który ma powody, żeby wam podziękować za to, coście zrobili.

Z pewnym namysłem przyjrzał się mym kolczykom. - Tak więc, gdy nadejdzie czas, miła siostró - powiedział - mogę szepnąć słówko żołnierzowi, co spuszcza gilotynę. Za jeden taki kolczyk ostrze poleci szybko, nic nie poczujesz.

Zanim Oolumph przykuśtykał pod drzwi mojej celi, siedziałam samotnie cztery dni. Jego pochodnia była pierwszym promykiem światła, który zobaczyłam od tego czasu. Nic także nie jadłam, a woda, którą dostałam w zardzewiałym wiadrze, była pokryta grubym kożuchem nieczystości. W celi, wykutej w mokrym kamieniu, nie było żadnych mebli. W kącie znajdowała się dziura, do której załatwiał się potrzebę. Tak więc Oolumph był w rzeczy samej mile widzianym gościem.

Nie odwróciłam się na widok zniszczonej twarzy, która wyglądała, jakby gorąco stopiło ciało aż do kości. Miał na sobie brudne szmaty, lecz z kosztownego niegdyś materiału, a pokrzywione palce wyglądały z dziur w butach, które niewątpliwie należały do szlachcica. Pozostawiono mi wszystkie przedmioty osobiste, oprócz broni, włącznie z biżuterią i szerokim skórzanym pasem, wypchanym złotymi monetami, z twarzą Maranonii wybitą na awersie.

Wodniste, czerwone oczka Oolumpha wędrowały powoli w stronę owego pasa, poczynając od kolczyków, piersi, do stóp, potem w górę nagich nóg aż po miejsce, gdzie rąbek tuniki zasłaniał dalszy widok, aż wreszcie skierowały się ku talii. Nie protestowałam przeciw takiemu traktowaniu. Wręcz przeciwnie, uśmiechałam się, by uwierzył, że nic mu nie grozi z mojej strony.

Oczy rozszerzyły mu się na widok pasa i natychmiast zapomniał o najbardziej nawet sprośnych myślach, które roily my się pod czaszką. Wyjęłam jedną monetę i podniosłam w górę, by ją sobie obejrzał.

Oblizął wargi i zbliżył się do krat.

- A więc, jak stary Oolumph może usłużyć ślicznej panience? - spytał.

Błyskawicznie schwyciłam go drugą ręką za włosy. Zawył z bólu, gdy przycisnęłam mu twarz do krat. Obnażyłam zęby i warknęłam: - Jeśli stary Oolumph chce sobie jeszcze pooddychać tym śmierdzącym powietrzem, niech się zacznie odpowiednio zachowywać.

- Przepraszam, szlachetna pani - jęknął. - Najmocniej przepraszam.

Proszę, puść!

Gwałtownie rozwarłam palce. Mało brakowało, a byłby upadł.

Wyprostował się, na ile pozwoliły mu zgarbione plecy, a wodniste oczka w odrażającej twarzy zapłonęły gniewem. Zanim zdążył się odezwać, rzuciłam mu monetę przez kraty. Schwycił ją w powietrzu z wprawą miejskiego złodziejaszka, a jego gniew zmienił się w ciekawość.

- Czy posłuchasz mnie teraz uważnie? - spytałam.

- Ależ naturalnie, naturalnie, szlachetna pani.

- Mów do mnie „kapitanie”. Jestem kapitan Antero.

- Ach, oczywiście, kapitanie Antero. A nawet generale, jeśli wolisz. Mnie tam wszystko jedno.

- Zaczniemy od tego, że niezbyt podoba mi się ta cela.

Kiwnął głową z zapalem: - Można znaleźć lepszą, szlach... to znaczy, kapitanie.

- Pragnę także mieć towarzystwo. Mam tu przyjaciela. Starego ślepcę.

Nazywają go Gamelanem.

Oolumph gwałtownie kiwał głową. - Wiem, gdzie go trzymają, jasne, że wiem - odpowiedział.

- No, to zabieraj się do roboty - powiedziałam. - Chcę mieć wygodną, dwuosobową celę i koce, dużo koców. I oczywiście jedzenie. I jeszcze...

- Oolumph dobrze wie, czego trzeba pani kapitan - przerwał mi. Podniósł monetę do góry. - Nie bój się, pani, że cię oszukam. Za to można kupić bardzo wiele. Powiem wam, kiedy będzie trzeba znowu zapłacić - dodał i ponownie długim spojrzeniem obrzucił mój pas. - Mówią, że wy, Orissańczycy, niewiele macie życia przed sobą. Ten pas starczy ci, pani, do samego końca - i z tymi słowy podreptał w ciemność.

Nie wiem, ile czasu minęło, zanim przyszli po mnie strażnicy. W tak głębokich ciemnościach nie dało się liczyć godzin, a tym bardziej dni. Nowa cela okazała się królewską komnatą w porównaniu z tamtą norą. Była dość duża, znacznie mniej wilgotna, a pod ścianami miała kamienne półki, służące jako łóżka, na których - bogom niech będą dzięki - piętrzyły się zapleśniałe, prawie wolne od robactwa koce. A oprócz tych rozkoszy, na podłodze leżał zapas drzewa do palenia i materiał na pochodnie; w suficie zaś wykuto dziurę, przez którą mógł ulatywać dym. Szczęśliwie, gnieździło się

w niej niewiele szczurów.

Pracowicie okadzałam koce, by pozbyć się z nich robactwa, gdy przyprowadzono Gamelana. Włosy miał w strąkach, cerę szarą, lecz szedł sprężystym krokiem, który powiedział mi, że mag jest w stosunkowo dobrej kondycji.

- Witaj w naszym nowym domu, magu - powiedziałam. - Chodź tu, ogrzejesz się przy ogniu.

Odetchnął z ulgą. - Dzięki bogom, że to ty, Rali - odpowiedział. - Myślałem, że czeka mnie łamanie kości, albo coś gorszego.

Ostrożnie zbliżył się do ognia. Wiedziałałam, że obraziłby się, gdybym go chciała podprowadzić. Usiadł na piętach i wciągnął w nozdrza zapach gotowanej zupy, którą przyniósł mi Oolumph.

- Czy to naprawdę mięso? A może się mylę?

- Szczurze mięso - odparłam i napełniłam jego miskę jedzeniem, dokładając ładne tłuste udko.

- Na pewno przekonam się do szczurzyny - stwierdził i zaczął popijać wodnisty płyn. - Nienajgorsze - dodał. Trafił wargami na mięso, wyciągnął je i z zapalem wbił w nie zęby.

- Będziemy mieć jedzenia w bród. Zapoznałam już karczmarza - ucieszyłam go.

Strząsnęłam koc i otuliłam nim wychudłe ramiona maga. Zawinał się weń ciasno, a spomiędzy brudnych strąków brody wykwitł uśmiech czystego zachwyty.

- Ach, co to za rozkosz rozgrzać się znowu - powiedział. - Nie boję się myśli o śmierci. Jeśli zaś chodzi o cierpienia, które przyobiecali nam mili gospodarze, jestem za stary, więc nie dostarczę im

wiele przyjemności. Ale nie podobała mi się myśl, że pójde do grobu zagłodzony i zmarznięty na kość.

- Za dużo ostatnio mówisz o śmierci, magu - odparłam. - Zjadaj swoją porcję. I rozgrzej te stare gnaty aż do szpiku. Potrzebuję twojej mądrości, przyjacielu, gdyż muszę nas stąd jakoś wydostać.

- Wątpię, czy uda nam się uciec, Rali - powiedział. - Siedzimy w kazamatach tak głęboko, że zdolny zdun musiałby rok pracować bez przerwy, by doprowadzić do nas choć promyk słońca. Magia też nic nie da. Konyańscy czarownicy pokryli to miejsce tyłoma powłokami ochronnymi, że nawet wielki Janosz Szary Płaszcz nie zdołałby czarami wywołać krosty na tyłku chorego na ospę więźnia.

Nie spierałam się z nim. Sama natrafiłam na blokadę przy pierwszym zakłęciu, które spróbowałam wypowiedzieć, gdy tylko znalazłam się w tamtej ohydnej dziurze.

- Mimo wszystko, musi być jakiś sposób - odparłam. - Nie zamierzam poddać się bez walki. Mój brat uciekł z miejsca, które było nieporównanie gorsze i w dodatku musiał wymknąć się obu Archontom. Poza tym, muszę się zatroszczyć o moje gwardzistki. To ja wpakowałam je w tę kabałę i to ja muszę je stąd wyciągnąć.

Właśnie wtedy usłyszeliśmy po raz pierwszy ten śpiew. Melancholijna ballada, nucona niezwykle słodkim głosem, zabrzmiała echem w korytarzach więzienia. Była to opowieść o miłości: jakaś młoda dama zmarła tragicznie, a jej kochanek zabił się, by połączyć się z nią na tamtym świecie.

Właśnie miałam powiedzieć, że to piękna pieśń i wspaniale wykonana, gdy jakiś głos zawołał: - Ajmer, ty draniu, zamknij się wreszcie!

Wstrząsnęło mną brutalne traktowanie uduchowionego śpiewaka.

Gamelan był tego samego zdania. Pieśń jednak płynęła dalej, jakby nigdy nic.

- Słyszysz, co się do ciebie mówi, Ajmer?! - odezwał się kolejny krytyk. - Zabiję cię, jeśli nie przestaniesz, przysięgam!

Ajmer nie dbał o nich. Skończył pieśń i zaczął następną, tym razem odę do drzewa, które od tysięcy lat rosło na brzegu rzeki. Zdaje się, że kiedyś było ono dziewczyną, tak piękną, że zakochał się w niej bóg. Odrzucił zaloty bogini, by zalecać się do ziemskiej kochanki, więc niebianka z zazdrości zamieniła ją w drzewo.

Po krótkiej chwili korytarz aż huczał od gróźb i wyzwisk. Ajmer, niezrażony, śpiewał dalej.

- Co za barbarzyńcy - powiedziałam do Gamelana.

- To samo chciałem powiedzieć - odparł. - Ale cóż, różne są gusta.

Minęło wiele czasu. W kieszeni Oolumpha znalazła się następna złota moneta. Bezustannie szukaliśmy jakiegoś wyjścia z sytuacji, ale nic nie przychodziło do głowy ani Gamelanowi, ani mnie. W międzyczasie Ajmer śpiewał niestrudzenie, przerywając tylko na czas snu i jedzenia, a wszystkie jego pieśni opowiadały o słodkiej, straconej miłości. Głos minstrela budził w moim sercu gorzkie wspomnienia dawnych kochanek. Wspominałam Tries, która porzuciła mnie dla innej, Otareę, z której śmiercią wciąż się jeszcze nie do końca pogodziłam i - co najgorsze - księżniczkę Xię. Nie łączył nas wprawdzie intymny związek, lecz jej obraz w tym więzieniu doprowadzał mnie do szaleństwa.

Zaczęłam nienawidzić Ajmera na równi z innymi. Aby nie zwariować, zaczęliśmy wraz z Gamelanem oceniać przekleństwa, które inni więźniowie rzucali na śpiewaka. Ktoś na przykład wykrzykiwał: „Wyrwę ci serce, jeśli nie zamilknie”. Naszym zdaniem, było to marne wyzwisko, pozbawione serca i wyobraźni. Z drugiej strony zaś, więzień, który wrzasnął: „A niech ci francowata dziwka naszcza do zupy!” uzyskał najwyższą notę i nagrodę w postaci miski szcurrej zupy. Jak widać, rozrywek mieliśmy niewiele i nienajlepszej jakości.

Z pomocą Oolumpha dowiedzieliśmy się, że reszta naszych ludzi radzi sobie nienajgorzej. Gwardzistki trzymano w tym samym sektorze. Miały ze sobą dość wartościowych przedmiotów, by złagodzić więzienne rygory.

Przekazałam Corais i Polillo wiadomość, że wszystkie mają jak najwięcej ćwiczyć. Dodałam też kilka optymistycznych kłamstewek, by poprawić im nastrój. Cholla Yi i reszta piratów doskonale się przystosowała do warunków.

Jak wiadomo, nie byli tak całkiem niedoświadczeni w sprawach więziennictwa.

Przez cały ten czas ani Gamelanowi, ani mnie nie udało się wymyślić żadnego rozsądnego planu ucieczki. Im dłużej prowadziliśmy rozeznanie, tym mniejsze widzieliśmy szanse. Bezustannie dręczyło nas pytanie, w jaki sposób Konyańczycy tak szybko odgadli, że pomogliśmy Sarzanie opuścić wyspę.

- Im bardziej się nad tym zastanawiam - powiedział pewnego dnia mag - tym bardziej wydaje mi się, że to sam Sarzana im o tym powiedział. Oprócz niego, tylko nasi ludzie wiedzieli o wszystkim, a nikt przecież nie kontaktował się z Konyańczykami do czasu tej morskiej zasadzki.

- Ale to nie ma sensu - upierałam się. - Co chciał przez to zyskać?

Przecież lepiej by było dla niego, gdyby wrogowie wierzyli, że stał się niesłychanie potężny i uciekł z wyspy bez niczyjej pomocy. Wtedy bardziej by się przerazili, gdyby nagle pojawił się w Cevennes.

- To prawda - odparł Gamelan. - Trzeba być durniem, by nie rozumieć, że to by było z korzyścią dla niego. A jak wszyscy niestety wiem, Sarzana durniem bynajmniej nie jest. Ale... nie ma przecież innej możliwości. Jeśli moje podejrzenia są prawdą, to Sarzana, lub ktoś z kim się kontaktuje, uznał, że lepiej się nas pozbyć i ujawnić swą obecność, niż dać nam spokój i działać z zasadzki.

Rozumowanie Gamelana było bezbłędne. Ale, choć bez przerwy łamałam nad tym głowę, nie potrafiłam odgadnąć, co Sarzana chciał osiągnąć.

Więzienne życie mijało ponuro i powoli, jak pieśni Ajmera.

Wstawaliśmy co dnia - chyba były to dni, gdyż nie widzieliśmy słońca - na dźwięk blaszanych menażek, które przynosił nam Oolumph. Z konieczności, zawsze dostawaliśmy do jedzenia polewkę, a oprócz tego kilka marnych warzyw i nieobdartych ze skóry szczurów, a parę razy trafił się kawałek mięsa, a raczej tłuszczu, niewiadomego pochodzenia. Chętnie poradziłabym także kucharzowi, by, zanim ugotuje ryż albo fasolę, powyrzucał wpierw kamienie.

Zazwyczaj dodawałam do posiłku resztki chleba z poprzedniego dnia, potem obdzierałam szczury ze skóry, troskliwie zachowując krew, którą wlewałam z powrotem do garnka, zeskrobywałam ze skór wszystko, co tylko nadawało się do jedzenia i gotowałam na rosole z kości i skór.

W miarę potrzeby robiliśmy sobie pochodnie, a resztki starych spalaliśmy w ognisku. Myliśmy się jak najstaranniej. Bez przerwy ćwiczyłam skłony, przewroty i walkę z cieniem. Godzinami biegałam w miejscu i podciągałam się na kratkach, aż mięśnie jęczały mi z bólu. W ten sposób nie słabłam, lecz przeciwnie, z każdym dniem byłam silniejsza.

Niestety, nawet ćwiczenia fizyczne nie pomagały mi w zasypianiu.

Wydawało mi się, że za każdym razem, gdy zapadam w sen, jakaś straszliwa siła wciąga mnie w głąb z wielką mocą. Wyczuwałam, że zdarzy mi się coś strasznego, jeśli jej się poddam. Mogłam tylko zapadać w krótkie drzemki, w czym, jako żołnierz, miałam dużą praktykę i w ten sposób zwalczałam senność.

Raz w tygodniu okadzaliśmy koce, materace i odzież, by pozbyć się pcheł i wszy, które zawsze potrafiły zagnieździć się w szwach.

W celi nie było sposobu, by zachować prywatność, ale jakoś dawaliśmy sobie radę, medytując o innych sprawach, podczas gdy drugie załatwiała potrzeby cielesne.

Gamelan był uroczym towarzyszem i nasza przyjaźń jeszcze się utrwalała.

Był dla mnie jak ojciec, brat i przyjaciel jednocześnie. Zwierzałam mu się z największych sekretów, ujawniałam wszelkie słabości i błędy, a on zawsze potrafił znaleźć w nich coś dobrego. Pewnej nocy opowiedziałam mu o Otarze i jej śmierci, a także o tym, że do tej pory jeszcze się nie pogodziłam z tą tragedią. Sama zdawałam sobie sprawę, że legło to u podstaw wszystkich moich niepowodzeń z Tries. Tries bardzo chciała zaadoptować dziecko, a ja z jakichś powodów się chciałam się na to zgodzić. Gamelan twierdził, że obawiałam się więzi, która by między nami powstała i mogłam podświadomie uważać, że w ten sposób zdradzam Otare. Rozpłakałam się, wiedząc, że ma rację, a on wziął mnie w ramiona i uspokajał, jak ojciec.

- Uważam, że Otara była dla ciebie w równym stopniu matką, co kochanką, Rali - powiedział. - Rozpacz po jej śmierci jest powiązana z żałobą po matce, którą podziwiałaś najbardziej ze wszystkich ludzi.

Powiedziałam mu, że matka czasem do mnie przychodzi, tak jak wtedy w ogrodzie, gdy Omerye śpiewała, a w powietrzu zapachniało perfumami z drzewa sandałowego. Przyznałam się, że odwróciłam się wtedy i nie mogłam zaakceptować jej obecności. Wydawało mi się, że to wszystko zdarzyło się tak dawno...

- Powiem ci, co o tym myślę, Rali - odparł. - Pamiętasz, jak opowiadałaś mi, jak ci się przyśniło, że zabiłaś swego kuzyna?

Przytaknęłam, ocierając łzy.

- To wcale nie był sen, kochanie. Dobrze o tym wiesz, inaczej nie przywiązywałabyś tak wielkiej wagi do wspomnienia. Usłyszawszy tę historię, doszedłem do wniosku, że zdolności magiczne odziedziczyłaś po matce.

Przekazała je twemu bratu Halabowi, a w niewielkim stopniu także Amalrykowi. Ale w tobie tkwią największe możliwości, które przeszły bezpośrednio z matki na córkę.

- Chcesz powiedzieć, że moja matka była czarownicą? - spytałam.

- Tak jest.

- Ale czy to możliwe? Przecież nigdy nie zajmowała się magią, ani też nie poświęcała większej uwagi czarownikom i wiedźmom.

- Moim zdaniem zrezygnowała z magii, z miłości dla twego ojca.

Pomyślałam o ofierze, jaką w swoim czasie musiał złożyć Gamelan i o tym z jaką goryczą do dziś to wspominał. Jego słowa wydały mi się sensowne.

Potem przypomniałam sobie legendę o mojej imienniczce, w wiosce, gdzie urodziła się matka. Opowiedziałam to Gamelanowi.

Zastanawiał się długo, aż wreszcie powiedział: - To nie była legenda, Rali. To zdarzyło się naprawdę.

Nagle zrozumiałam wszystko. - A zatem, Rali z opowieści, to...

- To twoja antenatka - przerwał. - Teraz już wiem, dlaczego tak się upierałem, byś uczyła się magii. Od naszego pierwszego spotkania wyczuwałem, że czeka nas niezwykle trudne zadanie, z którym tylko ty będziesz potrafiła się uporać.

Przyznam ci się, Skrybo, że znów się rozplakałam. - Matka zawsze powtarzała - chlpałam - że Rali oznacza nadzieję.

- Tak, droga przyjaciółko - odparł stary mag. - Jesteś naszą nadzieją.

Naszą jedyną nadzieją.

Nadzieja jednak była towarem deficytowym przez wiele, wiele następnych dni. Nieskalana Rada zaczęła przegrywać wojnę z Sarzaną.

Wszystkie wysiłki, by pohamować jego bezceństwa spełzały na niczym i tylko Oolumph cieszył się, gdy liczni generałowie i admirałowie, którzy dowodzili oddziałami, rzucanymi na bój z Sarzaną, ponosili klęskę za klęską. Ci, którzy przeżyli, trafiali do naszych kazamat, a sakiewka starego więźnia puchła, gdyż miał coraz więcej pensjonariuszy pod opieką.

Generałowie wiele opowiadali o okrucieństwach Sarzany. Potrafił on otoczyć wyspę, zgnieść ją magicznymi huraganami, śmiertelnie przerazić mieszkańców, zsyłając na nich hordy demonów, a gdy wreszcie zmusił ich do poddania, krew płynęła strumieniami, a jego wojska mordowały i gwałciły ludzi i paliły dobytek. W miarę, gdy się zbliżał, rosła jego moc, jakby wszystkie dusze, które wysłał Łowcy, były paliwem, dodającym mu magicznej energii.

Konyańscy czarodzieje okazali się równie bezradni, jak wojsko. Pewien generał opowiedział nam, jak poniósł klęskę wkrótce potem, gdy sześciu największych magów w kraju połączyło siły, by stworzyć osłonę dla jego oddziałów.

- Pracowali nad nią przez wiele dni, a gdy skończyli, zapewniali mnie solennie, że nie przeniknie przez nią żadna siła znana naszym bogom. Sam prowadziłem atak oskrzydający. Z początku wszystko szło dobrze.

Zaatakowali nas, my ich odparliśmy i nawet zaczęliśmy przebijać się do przodu.

Widziałem, jak Sarzana na wielkim, czarnym wierzchołku kieruje walką ze wzgórza, do którego się zbliżaliśmy. Poleciałem łucznikom zasypać to wzgórze strzałami, w nadziei, że nawet jeśli go nie zabiją, to zmuszą, by zmienił stanowisko dowodzenia. Ale gdy tylko rozpoczęli ostrzał, powiał czarny wiatr, niebo pociemniało, a wszystkie strzały wycelowane w Sarzanę zmieniły kierunek i uderzyły w nas. A potem moi łucznicy, zamiast przerwać ogień, zaczęli jak szaleni opróżniać kołczan za kołczanem. I każda strzała zmieniała kierunek. I każda strzała trafiała do celu... tylko, że to moi żołnierze ginęli.

Bitwa skończyła się rzezią. Konyańczycy odwrócili się i uciekli. Wtedy z ziemi wyskoczyły olbrzymie wilkołaki i zaatakowały żołnierzy, którym przegryzały ścięgna pod kolanami. Ich szlak znaczyły stosy wijących się z bólu ludzi.

- Tylko ja przeżyłem - opowiadał dalej wojskowy - gdyż przygniótł mnie martwy koń. Przeleżałem pod nim przez całą noc.

Generał miał strzaskane obie nogi. Płakał, opowiadając, jak wilkołaki powróciły, by pożreć ludzi, których wcześniej unieruchomiły. Aż do świtu słuchał krzyków swych własnych żołnierzy.

- Kilku najdzielniejszych oficerów powróciło, by mnie uratować - mówił - ale wolałbym raczej, by mi poderżnęli gardło.

Generał rzeczywiście był bardzo dzielny. Nie protestował, gdy po niego przyszedli - właściwie wyglądał nawet na zadowolonego. Słyszeliśmy, jak pracowali nad nim oprawcy. Krzyczał bardzo niewiele i ani razu nie poprosił o łaskę.

W kilka dni później Oolumph przyniósł wieść o jeszcze większej klęsce.

- Niedługo będę znów potrzebował jedną z tych monet, kapitanie - powiedział, wydając nam dzienne racje żywności. - Na zewnątrz wszystko strasznie drożeje.

Zrobiłam jakąś kąśliwą uwagę na temat chciwych farmerów, którzy wykorzystują ludzi, gdy tylko nadejdą nieco cięższe czasy.

- Ach, tak jest od zawsze - odpowiedział pogodnie. - Stary Oolumph myśli sobie, że oni robią ludziom taką przysługę, wiecie? Bez tego, całe jedzenie zaraz poznikałoby ze sklepów. A kiedy jest naprawdę drogie, można kupić wszystko, czego dusza zapragnie, jeśli ma się na to pieniądze. Jak dobrze pomyśleć, to jest nawet taki obowiązek tych chłopów. Naprawdę, nie jest źle.

Biedota jest przyzwyczajona, żeby głodować, więc nie się jej złego nie dzieje. A ci, co mają trochę pieniędzy, mogą je wtedy dać tym z nas, którzy ich naprawdę potrzebują. Rozumiesz, kapitanie, o co chodzi staremu Oolumphowi, prawda?

Wezbrał we mnie gniew, ale ten łajdak był tak zdemoralizowany, że nie warto było się nim przejmować. Rzuciłam mu tę upragnioną monetę.

- Chcesz przez to powiedzieć, że jest gorzej, niż było?

- Ano, tak - odparł. - Słyszałem, jak mówią, że jakiś tydzień temu zaczął wiać gorący wiatr, dniem i nocą, bez przerwy. Taki gorący, że wysał soki ze wszystkich roślin. I wieje dalej. Nawet najstarsi ludzie niczego takiego nie widzieli na oczy. Tu go nie czujemy, bo siedzimy głęboko w ziemi.

Kiwnęłam głowa i mocniej otuliłam się kocem. W kazamatach Konyi panowała wieczna zima.

- Ale wiatr to mało - opowiadał. - Ludzie zaczęli chorować. Naprawdę chorować. Zdaje mi się, że to chyba jakaś zaraza. Tylu umiera, że niedługo żywych nie starczy, żeby ich grzebać.

- To robota Sarzany! - wychrypiał Gamelan.

- Ano, tak mówią - zachichotał Oolumph. - Atakuje naszą wyspę wszystkim, co tylko umie wymyślić!

- Nie zależy ci, kto wygra, prawda? - spytałam.

Zarechotał jeszcze głośniej. - Już mówiłem, że idą dobre czasy dla Oolumpha. Ale nie aż tak dobre jak za czasów panowania Sarzany. Ano, wtedy to nawet kuli więcej korytarzy. Potem zrobił się spokój. Jakbym ci powiedział, że załuję jego powrotu, pomyślałabyś sobie, że stary Oolumph to kłamca! - wsadził monetę do sakiewki, zagrzechotał nią z satysfakcją i pokuśtykał dalej załatwiać swoje brudne interesy.

- Nic dziwnego, że jeszcze po nas nie przyszli - powiedziałam. - Mają tyle roboty, że nie myślą o zemście.

Gamelan nie odpowiedział. Zmarszczył brwi i zadumał się głęboko.

Zagłębił palce w brodzie i przebierał nimi bezustannie.

- To niemożliwe - mruczał pod nosem.

- Co jest niemożliwe? - spytałam.

Syknął gniewnie, więc dałam mu spokój. Przez resztę dnia nie zamieniliśmy ani słowa. Wieczorem, gdy kładłam się na spoczynek, on dalej bawił się pasmami włosów. Chciałam go spytać, co się dzieje, ale postanowiłam mu nie przeszkadzać.

Gdy tylko zamknęłam oczy, zapadłam w głęboki sen. Tym nie miałam ostrzegawczego odczucia, że wciąga mnie w głąb złowieszczą siłą. Wydało mi się, że błyskawicznie spadam z ogromnej wysokości. Chciałam krzyknąć, sięść na posłaniu i wyrwać się z tego snu, ale nie mogłam. Usłyszałam, jak jakiś głęboki, szorstki, pełen okrucieństwa głos woła mnie po imieniu. Wydawało mi się, że kiedyś go słyszałam, ale nie wiedziałam, do kogo należy. Skalista ziemia pomknęła w moją stronę, lecz zanim się z nią zderzyłam, powiew gorącego wiatru uniósł mnie w górę. Po chwili żeglowałam po bezchmurnym błękicie.

Leciałam w ten sposób bardzo długo. Pode mną falowało nieskończone morze, bez śladu żywej duszy na powierzchni. Nagle ujrzałam przed sobą wyspę, z której buchał dym i płomień. Wioski stały w ogniu a hordy żołnierzy brutalnie rozprawiały się z mieszkańcami. Do mężczyzn i chłopców rzucali włóczniami lub rozrywali ich na kawałki. Kobiety i dziewczęta cierpiały różnego rodzaju upodlenie. Ze szczytu wzgórza zjeżdżał drogą długi sznur konnych wozów.

Siłą woli skierowałam się w tamtą stronę i już po chwili unosiłam się nad pagórkiem. W dole ujrzałam przecudowną świątynię, ozdobioną wielką złotą kopułą. Wzdłuż ścieżek w starym parku stały posągi, przedstawiające prawdopodobnie najważniejsze bóstwa. Ze świątyni wychodziły tłumy żołnierzy, obciążonych zdobyczą. Inni zabawiali się z kapłankami, zmuszając je do wulgarnych praktyk. Wtem, na niewielkim kurhanie ujrzałam Sarzanę.

Siedział na czarnym bojowym rumaku, śmiał się i zachęcał bezbożników do jeszcze większych okrucieństw. Zaczęli zrzucać posągi z cokołów i obdzierać je z ozdób, wykonanych ze szlachetnych metali i klejnotów. Przyciągnęli kilka kapłanek, pchnęli na posągi i tam zgwałcili. Gdy skończyli zabawę, kobiety pozabijano. Oniemiałam. Nic już nie czułam, nawet gniewu, nawet przerażenia.

Wtem, Sarzana uniósł głowę i spojrzał na mnie. Roześmiał się, a dźwięk ten zahuczał tak, jakby wydał go jakiś olbrzym. Odpowiedział mu także śmiech, który grzmiał i porażał jak grom. Dochodził z góry, więc odrzuciłam do tyłu głowę i ujrzałam, jak na niebie kłębi się gęsta czarna chmura. Zawirowała i błysnęła ogniem. Śmiech jakby wylewał się z ohydnej, podobnej do ust dziury.

Chmura zaczęła przybierać postać ludzkiej twarzy o ognistych oczach, zakrzywionym nosie i pożółkłych kłach. To był Archont!

Zobaczył mnie i syknął: - To Antero. Ta dziwka - łasica!

Uformował usta w kształt lejka i zaczął wsysać powietrze. Krzyknęłam ze strachu, czując, że zaraz mnie wessie. Zaczęłam wznosić się w górę, a cuchnące usta Archonta siorbały hałaśliwie.

Nagle koszmar się skończył i gwałtownie usiadłam na łóżku. Pot spływał ze mnie ciurkiem, byłam przerażona i słaba. Spojrzałam w stronę Gamelana.

Widziałam jego twarz w migotliwym świetle gasnącej pochodni. Spał.

Zsunęłam się z posłania, pojękując z wysiłku. Zapaliłam nowe światło, podeszłam do wiadra z wodą i szorowałam się tak mocno, że niemal pozdzierałam sobie skórę. Potem usiadłam na brzegu siennika

i tak doczekałam do rana.

Wreszcie rozległ brzęk wiadra z jedzeniem i ciężkie kroki, zapowiadające nadejście Oolumpha. Zaczął się nowy dzień. Gamelan jęknął i obudził się.

- Bardzo proszę, kapitanie - powiedział Oolumph, podając garnek przez klapkę w drzwiach.

Zwykle bywał wesoły i często żartował, lecz dziś wyjątkowo milczał i krzywił się ponuro.

- Co się stało, Oolumphu? Źle się czujesz? - spytałam.

Potrząsnął głową. - Nic mi nie jest. Ale nie ma co strzepić języka. Dzisiaj jest niedobry dzień.

- Moim zdaniem, gdy panuje zaraza w mieście, wszystkie dni są równie niedobre - odparłam. Dlaczego więc dzisiejszy miałby się różnić od innych?

Oolumph milczał przez chwilę, potem rozejrzał się, jakby chciał sprawdzić, czy ktoś nas nie podsłuchuje i podszedł blisko do krat.

- Stało się coś strasznego - powiedział. - Sarzana w końcu posunął się za daleko. Wczoraj zniszczył świątynię w Chalcidice. Jak to mówią, zbezczescił ją. Zostawił tylko kamień na kamieniu. A kapłanki zgwałcili jego żołnierze.

Wpatrywałam się w niego, oniemiała, a on opowiadał, czego Sarzana dopuścił się na tamtej wyspie. Wszystko zgadzało się z tym, co widziałam we śnie, choć powoli zaczęłam sobie zdawać sprawę, że to nie był sen. A jeśli nawet Oolumph był wstrząśnięty, oznaczało to, że Sarzana oszalał. Albo jeszcze gorzej.

Gdy stary odszedł, opowiedziałam Gamelanowi swoje widzenie.

Spochmurniał. - Sarzana, jakiego znamy, nigdy nie zrobiłby czegoś takiego - powiedział. - Nie pohańbiłby własnych bogów. Wiedzieliby, że nawet, jeśli odniesie całkowite zwycięstwo, jego poddani nigdy mu tego nie wybaczą.

Trzasnęła gałąź w ognisku, a ja podskoczyłam ze strachu.

- Stało się to, czego się obawiałem, Rali - podsumował mag. - Archont powrócił. Zawarł porozumienie z Sarzaną. I zagarnął całą władzę.

Teraz stawką w tej grze było coś więcej, niż nasze mizerne życie.

Archont zagrażał przecież Orissie.

- Jego duch szedł za nami od samego początku - stwierdził Gamelan - i tylko czekał, aż nadarzy się sposobność do powrotu. Znalazł Sarzanę. Tyle, że nie mamy teraz do czynienia ze śmiertelnym magiem, lecz z półbogiem, którego moc jest tym potężniejsza, im więcej ludzi przelewa krew.

Gdy wyruszaliśmy w pościg za Archontem, wiedzieliśmy, że jest bliski odkrycia wielkiego zaklęcia, które ma zniszczyć naszą ojczyznę. Teraz, gdy posiadał tak wielką moc, prawdopodobnie sięgnie po nie bez trudu.

- Musimy go pokonać tutaj, by nie dotarł do Orissy.

- Świetnie, magu, ale czy dzięki temu wzrosły szanse naszej ucieczki?

- Wiemy wreszcie, kim naprawdę jest nasz wróg. Jeśli bogowie staną po naszej stronie, wiedza ta

wystarczy nam do zwycięstwa.

Wyjawił mi swój plan. Wydałam cztery następne monety, by zrealizować jego pierwszą część.

W dwa dni później przyszli po mnie żołnierze, założyli mi potężne łańcuchy i poprowadzili w górę płataniną korytarzy i kręconych schodów, które prowadziły coraz wyżej i wyżej, aż przenikliwie zimno zastąpił dławiący upał.

Na zewnątrz wiatr wył jak dusze potępionych. Czułam kwaśny odór rozkładu i siarkowy dym stosów grzebalnych, a gdy przechodziliśmy obok koszar, przez zakratowane okno zajrzało mętne słońce. Zatrzymaliśmy się przed ciężkimi drewnianymi drzwiami, okutymi żelazem. Jeden z żołnierzy zastukał.

- Wejść - odpowiedział jakiś głos.

Weszliśmy więc, a strażnicy nisko skłonili się przed zakapturzoną postacią.

- Zdjąć jej kajdany - padł rozkaz. Wykonali polecenie bez słowa protestu.

Zabrzmiała następna komenda: - A teraz możecie nas zostawić.

Wyszli, z trudem zamykając ciężkie odrzwia. Usłyszałam dźwięk potężnej zasuw. Postać zdjęła kaptur, spod którego wysypała się burza czarnych włosów. Była to księżniczka Xia, tak przejmująco piękna, że niemal zemdlałam na widok jej urody po tylu dniach, spędzonych w ponurych kazamatach. Otaczał ją świeży, korzenny aromat perfum, który przeniknął i mnie, gdy podbiegła, by mnie podeprzeć.

- Ach, mój biedny kapitanie - powiedziała, a głos jej zabrzmiał tak słodko, że, przyzwyczajona jedynie do szorstkich odzywek strażników, poczułam, jak serce wyrywa mi się z piersi.

Podprowadziła mnie do ławy i pomogła usiąść. Poczułam w ręku srebrną piersiówkę, pachnąca mocnym winem. Pociągnęłam długi łyk, a w żyłach zapłonął mi ogień.

Spojrzałam na nią i czas się zatrzymał. Było tak, jakbym znalazła się w świecie, gdzie nie ma nikogo oprócz nas obu. Konwenanse, rozsądek, wszystko to zniknęło, gdy spoglądałam na tę cudowną twarz, cerę białą jak świeżo udojone mleko, usta czerwone, rozchylone do pocałunku.

Skorzystałam z zaproszenia.

Z tych ust, z tego słodkiego, ruchliwego języka spłynęło we mnie nowe życie. Piersi jej przywary do mnie i czułam, jak obrzmiały owoc jej płci ociera się o moje udo. Oderwałyśmy się od siebie zdyszane, by zaczerpnąć powietrza.

Obie dygotałyśmy z pożądania.

- Myślałam, że cię już nigdy nie zobaczę - powiedziałam, nieledwie płacząc.

- Ach, Rali - odparła, a łzy spływały jej po policzkach - nie mogłam myśleć o niczym, tylko o tobie. Śniłam o tobie co noc. Wydaje mi się, że znam cię od urodzenia.

- Mi też, mi też, księżniczko - szeptałam.

Objęłyśmy się znowu. Upadła na szeroką, twardą ławę, pociągając mnie za sobą. Moje dłonie gorączkowo szukały jej ciała. Podciągnęłam rąbek jej szaty, odsłaniając śnieżnobiałe nogi. Uniosła biodra, bym mogła podciągnąć szatę wyżej, do pasa. Wargi jej płci, gładkie i delikatne, otaczały słodki różany pączek. Wykrzykiwała w głos moje imię, gdy delikatnie go podgryzałam.

Zostałyśmy kochankami w ponurych kazamatach, gdzie nie rośnie nic oprócz ohydnych nocnych grzybów i mchów. Twarda ława była nam łożnicą, a szara kamienna cela - komnatą zakochanych. Lecz to, co nas połączyło, nie zdarzyło mi się nigdy przedtem, ani potem. Wydawało mi się, że znam ją na pamięć - jakby łączyła w sobie Otare, Tries i wszystkie inne moje kochanki. A jednocześnie była nieznajoma, przekorna, obca i młoda. W pocałunki wkładałam całą swoją tęsknotę, a ona odpowiadała tym samym. Gdy już zaspokoiliśmy pożądanie, przytuliłyśmy się, szepcząc sobie do uszu różne głupstwa, jak pijane księżycem nastolatki. W pewnym sensie byliśmy oszołomione. Tak szybko przeszliśmy od kompletnej obcości do miłości, że tylko bogini księżycy potrafiłaby nas zrozumieć. Za drzwiami zadzwoniła zbroja, gdy jeden z żołnierzy zmienił pozycję. Powoli oderwałyśmy się od siebie.

- Zaraz muszę iść, kochana - rzekła. - Powiedz prędko, czego ode mnie chcesz. Zrobię wszystko, by ci pomóc.

- Chcę stanąć przed Nieskalaną Radą - odparłam.

Xia zbladła. - To przekracza moje możliwości - powiedziała i łzy popłynęły jej z oczu. - Miałam tak wielką nadzieję, że wymyśliłaś coś, w czym będę potrafiła ci pomóc. Ale to, o co prosisz, jest niemożliwe. Kto chciałby wysłuchać kogoś takiego, jak ja?

- Więcej osób, niż ci się zdaje. Nas, dziewczęta, uczą, że jesteśmy słabe, więc nigdy nie sprawdzamy, czy przypadkiem nie drzemie w nas moc.

Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, co może się zdarzyć, gdy twoja kobieca siła uderzy z determinacją, w jednym kierunku.

- Ale dlaczego Rada miałaby...

- Bo mogę im pomóc - przerwałam jej. - Mogę wygnać z wysp zarazę.

Oczy jej się rozszerzyły. Skinieniem głowy poprosiła, bym mówiła dalej.

Opowiedziałam jej o Archoncie i naszej misji, a także o tym, jak przez pewien czas łudziliśmy się, że odnieśliśmy sukces. Wyjaśniłam, jak bardzo niebezpieczny jest ten demon dla obu naszych narodów i co muszę zrobić, by go powstrzymać.

- Czy naprawdę myślisz, że uda ci się zrobić coś, czego nie potrafili dokonać nasi najlepsi magowie?
- spytała.

- Tak - odpowiedziałam po prostu. - Doceniam waszych magów, ale między Archontem a mną istnieje więź. Oczywiście, jest to więź nienawiści, ale czasem nienawiść potrafi być silniejszym łącznikiem, niż miłość.

Strażnik załomotał do drzwi. Musiała już iść.

- Czy porozmawiasz o tym z ojcem? - poprosiłam.

- Jak tylko wrócę do domu - obiecała.

Pocałowałyśmy się ponownie i prędko oderwałyśmy się od siebie, by miłość nie owładnęła nami po raz drugi. Xia zawołała żołnierzy, zasuwa odskoczyła i drzwi stanęły otworem. Naciągnęła kaptur na twarz, rzuciła okiem na żołnierzy zakuwających mnie z powrotem w łańcuchy i wybiegła.

* * * Nie wiem, co Xia powiedziała ojcu, ale rzuciła na niego słowami urok nie gorzej niż wprawna wiedźma, gdyż już po kilku dniach znalazłam się twarzą w twarz z dziewięcioma bezlitosnymi mężczyznami.

Strażnicy dobra publicznego byli czymś w rodzaju arystokratycznej zbieraniny. Dwaj ślinili się ze starości, czterej mieli na spólkę tyle włosów, ile powinno się znaleźć na jednej zdrowej głowie, a pozostali trzej, włącznie z lordem Kanarą, ojcem Xii, zdążyli już dobrze poznać dole i niedole wieku średniego. Gdybym była młodym żołnierzem, grupa ta nie wzbudziłaby we mnie szczególnej ochoty

do poświęcania się za kraj. Tym obślinionym lordom pozostało akurat tyle pamięci, że szczerze gardzili każdą stojącą przed nimi poślednią istotą. Niemal załamalam się, spojrzawszy w te twarze. Szukałam między nimi przyjaznej duszy, lecz nie znalazłam zrozumienia u nikogo - nawet u lorda Kanary. Nalegał, by mnie wysłuchano, pewnie wyłącznie ze względu na swą córkę, ale nie wyglądało na to, by chętnie wziął moją stronę. W każdym spojrzeniu czaiła się zasadzka. Zastosowałam więc najlepszą wojskową taktykę, czyli atak.

- Szlachetni panowie - zaczęłam - gdy prowadzono mnie na wzgórze, do waszych komnat, pracowicie układałam w głowie piękną mowę. Zamierzałam rzucić wam do stóp życie swoje i mych dzielnych towarzyszy i błagać was o litość. Zamierzałam mówić, że jesteśmy pokojowo nastawieni, a do waszych brzegów przygnała nas zła przygoda. Zbieg okoliczności sprawił, że wyrządziliśmy wam straszną krzywdę. Ale wszystkie te słowa umknęły mi z głowy na widok okropieństw, które mają miejsce w waszym mieście, niegdyś tak wspaniałym. Na ulicach leżą stosy ciał... to wasi umarli poddani. Rynek jest wyludniony, stragany pozamykane. Drzwi i okna domów pozabijano deskami ze strachu przed zarazą, która przechadza się po ulicach, i przed gorącym wiatrem Sarzany, który wysysa życie z drzew w waszych ogrodach i sadach.

- To miasto wkrótce się podda wrogowi, szlachetni lordowie. Jeśli nie wysłuchacie mnie teraz, niedługo wszyscy będziemy na łasce i niełasce naszego wspólnego nieprzyjaciela.

Obok mnie Xia jęknęła rozpaczliwie. Z tyłu Gamelan pomrukiwał, że powinnam uważać na to, co mówię.

Pierwszy przemówił śliniący się staruch, wysokim, łamiącym się głosem, jakby przechodził mutację.

- Jesteś tylko kobietą - powiedział. - Dlaczego uważasz, że potrafisz zrobić coś, czego nie mogą dokonać nasi magowie?

- Ach, tak, jestem taka mała i słaba... - odparłam. - To cud, że w ogóle przed wami stoję, prawda? Nikt jeszcze w mojej ojczyźnie nie odbył tak dalekiej podróży jak ja. Nikt tu do was przede mną nie dotarł. Walczyłam z wielkimi armiami i je pokonałam, zniszczyłam potężną flotę. To ja zabiłam brata waszego prawdziwego wroga - Archonta Likantu. Wątpię, czy jest wśród waszych poddanych ktoś - obojętne, mężczyzna, czy kobieta - kto potrafiłby dokonać tego samego.

Stary lord przyłożył do ucha złożoną w trąbkę dłoń: - O czym ty mówisz, kobieto? O jakimś Archoncie? Nigdy o nim nie słyszałem. To Sarzana jest przyczyną naszych nieszczęść.

Zwróciłam się do lorda Kanary.

- Spytaj, panie swoich magów, dlaczego są bezradni w walce z Sarzana.

Niewątpliwie, jest on potężnym czarownikiem. Ale czy potrafiłby odeprzeć ich połączone siły? Nie może być przecież aż tak potężny, prawda?

Nad lordem Kanarą pochylił się odziany w czarną szatę mag i szepnął mu coś do ucha. Kanara kiwnął głową i zwrócił się do pozostałych Radnych.

- Nasz naczelny mag potwierdza jej słowa - powiedział. - W żaden sposób nie potrafią rozwikłać tej tajemnicy.

- Spytaj go, panie, czy nie doszli do wniosku, że Sarzana zawarł przymierze z jakąś inną złowrogą siłą - poprosiłam.

Mag znowu pochylił się nad nim i zaczął gorączkowo szeptać. Gdy skończył, Kanara odpowiedział: - Tak, to prawda, kapitanie. Zastanawiali się nad taką możliwością.

- A więc trafili w samo sedno, panie. Sarzana zawarł pakt z Archontem.

- Co proponujesz, kapitanie? - spytał.

- Po pierwsze, pozwólcie mi, proszę, uporać się z tą przeklętą zarazą. Gdy to zrobię, przekonacie się, czy potrafię dokonać i reszty.

- Kompletna bzdura - sprzeciwił się staruch. - To może nawet być herezją, jeśli pozwolimy obcej kobiecie praktykować magię na Izoldzie.

- Czy to będzie herezja? - spytałam bezpośrednio naczelnego maga.

Spojrzał na mnie i potrząsnął głową.

- A zatem, czy coś na tym tracie, panowie? - spytałam. - Jeśli nie zwalczę zarazy, wracam do więzienia i koniec. A jeśli mi się uda, koniec z plagą. To chyba nie najgorszy interes, jaki zrobiliście w życiu.

Dziwięciu mężczyzn zaczęło się naradzać tak cicho, że nie słyszeliśmy ani słowa. Widać było, że mają długą praktykę w sekretnych rozmowach. W końcu odwrócili się do nas. Księżniczka Xia mocno ścisnęła moją dłoń.

- A więc dobrze - powiedział Kanara. - Damy ci szansę.

Zaśliniony lord wszedł mu w słowo.

- Tylko nas nie zawieź, kapitanie - ostrzegł. - Nasi oprawcy są niezrównani w swym rzemiośle i potrafią bez końca zadawać i pogłębiać ból.

Słowa, które wyrzekłam przed Nieskałaną Radą były odważne, lecz w sercu aż trzęsłam się z niepokoju. Gamelan był przekonany, że można odwrócić zakłęcie morowe. Byłam pewna, że jemu by się to udało, gdyby był w pełni sił, lecz miałam poważne zastrzeżenia co do własnych umiejętności. Jakże ja miałam szansę w walce z Archontem? Zapewnienia mego przyjaciela wcale mnie nie uspokajały, lecz musiałam przecież blefować dalej.

Ulokowano nas w strzeżonym kamiennym budynku na skraju terenów pałacowych i przyniesiono zarekwirowane przyrządy Gamelana. Wzięliśmy się do pracy. W ciągu dwóch dni przygotowań nie widziałam się z księżniczką.

Była u mnie tylko jej krawcowa, by wziąć miarę na szatę, jaka była niezbędna do zaklęcia - prostą czerwoną tunikę bez rękawów, rozciętą do uda, by ręce i nogi miały pełną swobodę ruchów. Miałam ją przewiązać złotym paskiem.

Gamelan ostrzegł, bym nie zakładała żadnej biżuterii, szczególnie metalowej i nakazał mi być boso. Z pomocą jego magicznej księgi, poznaczonej na marginesach licznymi uwagami, które poczynił przez lata pracy, przygotowałam dość nieprzyjemne proszki i okropnie pachnące, lotne olejki. Pracowaliśmy bez wytchnienia, a na zewnątrz wył magiczny wiatr, próbując zmieść kamienny dom z powierzchni ziemi. W końcu byliśmy niemal gotowi.

W małym parku, który przeznaczono wyłącznie dla nas, nie można było dojrzeć żadnej publiczności, poza kilkoma przerażonymi strażnikami. Na środku znajdowało się niewielkie jezioro, wokół którego ustawiono w kwadracie cztery stosy pogrzebowe ze szlachetnych gatunków drewna. Gdy byliśmy niemal na miejscu, po brukowanej alei zadudnił wóz. Wystraszony woźnica okładał konie batem. Zatrzymał się tak gwałtownie, że niemal roztrzaskał pojazd. Zeskoczył, odciął uprząż, jednym zalęknionym spojrzeniem obrzucił ładunek i uciekł, gnając przed sobą konie.

Zadygotałam, wiedząc, co mnie czeka, zacięłam zęby i wyciągnęłam z wozu pierwsze zwłoki - dziecko, całe pokryte cuchnącymi krostami. Pozostałe trzy ciała na wozie były jego rodziną: leżeli tam ojciec, matka i siostra.

Posmarowałam całe ciało srebrnym balsamem, który zdaniem Gamelana miał uchronić mnie przed chorobą, ale nie bez lęku wzięłam na ręce małe ciało, zniosłam na stos i ułożyłam na nim. Podobnie postąpiłam z pozostałymi zwłokami.

Gamelan milczał, gdy pracowałam, zły na siebie, że nie potrafi mi pomóc.

Odziałam ciała w bogate szaty i starannie polałam wszystkie stosy magicznym olejkiem. Poza szumem wiatru nic nie mąciło ciszy, lecz czułam na sobie spojrzenia wielu oczu - mieszkańcy pałacu

bacznie mnie obserwowali. Gdy skończyłam przygotowywać zmarłych, podeszłam do Gamelana. Podał mi hebanową szkatułkę, w której znajdowało się serce drugiego Archonta.

- Bądź bardzo ostrożna, Rali - ostrzegł. - Mów tylko to, czego cię nauczyłem i nie waz się zachowywać inaczej, niż przewiduje zaklęcie. W przeciwnym wypadku...

Nie musiał kończyć. Już przedtem ostrzegł mnie, że jeśli mi się nie uda, pozbawię konyańskich oprawców całej przyjemności, gdyż Archont pożre mą duszę.

Podeszłam do sadzawki i ostrożnie włożyłam szkatułkę do małego żaglowca - zabawki. Otworzyłam wieko i klejnot-talizman ujrzał światło dzienne. Obok umieściłam pojedynczą ognistą kulkę, wyrecytowałam zaklęcie zapalające, delikatnie spuściłam łódkę na wodę i popchnęłam ją lekko.

Szepnęłam: Siostrzyczko, płyn chyżo Pod słoneczne wrota Tam, gdzie tańczą bogowie Demon się nie zbliża!

Nie dbając o przeciwny wiatr, który marszczył powierzchnię wody, łódka popłynęła bystro, ustawiając żagle, jakby sterował nią doświadczony marynarz.

Zatrzymała się na środku stawu. Serce zabłysło ognistą czerwienią.

Wpatrywałam się w nie, oszołomiona.

- Szybciej, Rali! - syknął Gamelan.

Skoczyłam na równe nogi, wyrzuciłam w górę ramiona i krzyknęłam wielkim głosem: - Powstańcie! Powstańcie!

Ryknął grom i z łódki buchnęły płomienie. Kolejne uderzenie gromu i cała sadzawka stanęła w płomieniach.

- Teraz, Rali! - zawołał mag. - Nie zatrzymuj się!

Ogień był coraz gorętszy, lecz musiałam odłożyć na bok zdrowy rozsądek. Postąpiłam naprzód. Nie zważając na straszliwy żar, parłam aż do brzegu sadzawki. Włożyłam w ogień bosą stopę, dziwiąc się, że skóra nie czernieje i nie odpada w kontakcie z żywym płomieniem. Przełknęłam ślinę i weszłam na płonącą wodę. Ogarnęło mnie gorąco, lecz nie czułam bólu, gdy szłam po twardej powierzchni sadzawki na środek, do łódki. Wzięłam ją w dłonie i podniosłam wysoko, a płomienie wylewały się ze szkatułki i spowijały mnie całą. Zaczęłam wykrzykiwać zaklęcie, a głos mój wzniósł się ponad wiatr i zapukał do drzwi niebios.

- Pójdź Ojcze, pójdź Matko, Pójdź Siostrze i Bracie.

Wasz zabójca już czeka
Na waszą nienawiść
Na wasze cierpienie
I straszliwy ból.

Niechaj zły wiatr powieje słodyczą,
Słodki wiatr przyniesie chłód.

Powstańcie!

Powstańcie!

Wyjęłam płonące serce, ułożyłam na dłoni i dmuchnęłam ponad nim w żagle łódki.

Drgnęła i skoczyła do przodu jak spłoszony ptak. Pozostawiła za sobą krąg najwyższych płomieni i nagle całe jeziorko zagasło. Stałam po kostki w czerwonej jak krew wodzie. Statek podpływał po kolei do wszystkich stosów pogrzebowych, które eksplodowały płomieniami i czarnym dymem. Smugi dymu splatały się ze sobą jak węże aż wreszcie utworzyły ohydny czarny kolumnę i strzeliły w

niebo. Niebo zaś zaćmiło się, zachmurzyło, a z chmur wyrzała czarna brew i ogniste czerwone oczy.

Głos Archonta zahuczał: - Precz! Precz!

Dym ofiar zarazy zasłonił mu oczy. Rozległ się jęk bólu.

Archont jeszcze raz zawołał: - Precz! Precz! - lecz tym razem w jego głosie dźwięczał strach.

Dym jeszcze zgęstniał i pokrył całą twarz demona. Rozległ się kolejny ryk bólu i gniewu... i wszystko zniknęło.

Czułam się wycieńczona, bezsilna. Spojrzałam w dół, na zwykłą wodę, która obmywała mi kolana. Gdzieś zaćwierkał ptak. Ze zdziwieniem odwróciłam głowę i zobaczyłam wesołego szczygła na uschniętej gałęzi. Nie poruszała się, gdyż gorący wiatr ustał. Potykając się, wyszłam z wody i zbliżyłam się do Gamelana. Wyjął mi z dłoni serce Archonta, odłożył je na bok i wziął mnie w ramiona.

Z pałacu dobiegły mnie radosne okrzyki. Z drzwi wypadli licznie zgromadzeni Konyańczycy. Na czele biegła księżniczka Xia, a chłodny, pachnący wiatr, niosący obietnicę deszczu, podwiewał jej tunikę i obnażał cudowne nogi.

Zakłęcie zostało złamane.

Gdy po raz drugi stanęłam przed Nieskalaną Radą, świdrujące oczy starców nie były już tak bezlitosne. Z pewnością nie spoglądały przyjaźnie.

Wyczytałam w nich jednak szacunek i poparcie dla moich kolejnych działań.

Bez niepotrzebnych wstępów powiedziałam wprost, o co mi chodzi.

- Uwolnijcie moich żołnierzy i marynarzy - poprosiłam. - Oddajcie nam broń i statki, a będziemy walczyć u waszego boku, aż nastanie pokój.

- A kto nam zagwarantuje, że nie uciekniecie? - spytał lord Kanara. - To nie wasza wojna.

Xia chciała zaprotestować, lecz szybko zaczęłam mówić, zanim zdążyła sprzeciwić się ojcu.

- To jest nasza walka, lordzie Kanara - odparłam. - Mówiłam już wam, że z Sarzaną zawarł pakt śmiertelny wróg mego ludu. Trzeba będzie czegoś więcej, niż kilku zaklęć, by pokonać tę parę.

- Ale nawet wtedy pozostanie Sarzaną. Od wielu lat wiemy, jak strasznym potrafi być wrogiem.

- To pozwólcie mi go zabić - odparłam. - Nie możecie zrobić tego sami z powodu klątwy. Ja jestem obca, więc nic mi się nie stanie, gdy odbiorę mu życie.

Dziwiesięciu arystokratów odbyło pośpieszną szeptaną konferencję.

Kanara odwrócił się do mnie. - Opowiedz dokładniej, co proponujesz, kapitanie.

- Chcę przyłączyć się do waszej ekspedycji przeciwko armii Sarzany.

Przekonacie się, że jesteśmy dobrymi żołnierzami. My, Orissańczycy, mamy wiele doświadczenia wojskowego.

Kolejna cicha rozmowa i kolejne pytania.

- Na pewno jesteście bardzo odważni - powiedział Kanara. - Lecz pozostaje jeszcze sprawa zaufania. Nie znamy was. Nie mamy żadnych doświadczeń. W jednym przypadku wyrządziliście nam zło, w drugim - pomogliście. Byliście jednak pod presją. Skąd wiadomo, jak upadną kości, gdy zgodzimy się rzucić je po raz trzeci?

Księżniczka Xia postąpiła krok do przodu. - Panowie, czy mogę przemówić w imieniu konyańskiej młodzieży?

Ojciec, zdumiony, kiwnął głową.

- Wojna wszystkim przynosi cierpienia, szlachetni panowie - zaczęła. - Ale czyż to nie my, młodzi, cierpimy najbardziej? Za panowania Sarzany także wasze córki i synowie byli traktowani z największym okrucieństwem. Ile waszych dzieci wtedy pomarło, szlachetni panowie? A ile umiera właśnie teraz, kiedy tu rozmawiamy?

Wśród tłumu obserwatorów, a szczególnie młodej szlachty, rozległy się pomruki.

Objęła mnie ramieniem.

- Powiedziałaś właśnie ojczu, że kapitan Antero została dwukrotnie poddana próbie. Błagam o wybaczenie, ale chciałabym cię poprawić. Był i trzeci przypadek - przecież mnie uratowała. Mogła spokojnie minąć nasz statek i pożeglować dalej. Pewnie byłoby to rozsądniejsze z jej punktu widzenia, gdyż sztorm w dalszym ciągu zagrażał jej okrętowi, tak samo, jak naszemu. Postąpiła jednak inaczej. Zaryzykowała dla mnie życiem, a jej wojowniczkę uratowały jeszcze dwanaścioro Konyańczyków od pewnej śmierci.

Obawiałam się, że wspomni także o konfrontacji z Cholla Yi, gdy ponownie postawiłam wszystko na jedną kartę. Dobrze by to świadczyło o nas, lecz marnie o nim. A mi był potrzebny ten przeklęty pirat. Odetchnęłam z ulgą, gdy księżniczka sprawnie ominęła tę rafę i popłynęła dalej. Zdziwiłam się

jednak, gdy okazało się, dokąd zmierza.

- Szlachetni panowie, dam wam dowód mego zaufania do kapitan Antero.

Proszę... nie, żądam, bym towarzyszyła jej w walce. Jej los będzie moim. Nie zdradzi mnie, szlachetni panowie, jestem tego pewna. Nie zdradzi młodzieży, nie zdradzi przyszłości królestwa Konyi.

Jej ojciec niemal spadł z krzesła. Jego współpracownicy byli równie zaskoczeni, lecz otaczający nasz tłum zahuczał radośnie. Imię księżniczki odbiło się echem od wysokich, sklepionych sufitów ogromnej sali. Tłum rzucił się w stronę Nieskalanej Rady, żądając, by zgodzili się na nasz udział w walce przeciw Sarzanie i by przy mym boku była księżniczka Xia, jako zakładniczka naszego losu.

Rada, kierowana przez Lorda Kanarę, nie miała wyboru. Musiała się zgodzić. Ojciec Xii głośno nawoływał do porządku szalejący tłum, który radował się tak, jakbyśmy już odnieśli zwycięstwo.

Spojrzałam na mą nową kochankę. Zarumieniła się z podniecenia, w oczach błyszczała jej radość. Zauważyłam jednak coś nowego: uniesiony podbródek nadawał jej twarzy wyraz stanowczości, wyprostowała ramiona, stanowcza jak prawdziwa władczyni. W oczach zagościła duma. Oto miałam przed sobą królową z prawdziwego zdarzenia.

Rozdział Osiemnasty

WOJNA I MIŁOŚĆ

Niektórzy twierdzą, że naszą drogę życiową na tym świecie wybrukowali i wymierzili bogowie. Jeśli to prawda, niebianie muszą żywić niezdrowe upodobania do mocnych napitków. Jak inaczej zrozumieć szaleńcze zakręty, zakosy i zwody tej ścieżki, która to spada w bagniste depresje, to wznosi się na szczyty, aż dech zapiera w piersiach? Chętnie pogadałabym z bogiem, który nakreślił szlak mego życia. Nie jestem tylko pewna, czy w końcu poderżnęłabym mu gardło, czy postawiła następną kolejkę. Tam, w Konyi, z głęboko nieszczęśliwej kobiety, która oczekuje swego losu w trzewiach podziemnego więzienia, w jednej chwili przeistoczyłam się w ważną osobistość, którą wychwalają na komnatach ci sami ludzie, którzy przedtem ją uwięzili. Jak sądzisz, Skrybo, mam

chyba powody przypuszczać, że bóg, który się mną zajmował, był pijany na umór?

Po drugiej audiencji udzielonej mi przez Nieskałaną Radę, nastąpiły dni pełne szaleństwa. Wszystkich nas wypuszczono z więzienia i zakwaterowano w luksusowych komnatach. Nawet najmniejszy majtek, nawet najprostsza szeregową, mieli własne pokoje i to komfortowo umeblowane. Dobrze nas karmiono i nieźle ubrano. Otrzymywaliśmy tyle zaproszeń na różnego rodzaju przyjęcia, że musiałam wszystkim odmawiać, nie ryzykując, że wybierając jedno, a rezygnując z innych, obrażę jakiegoś konyańskiego wielmożę. Zresztą, łatwo było się wymówić przygotowaniami do nadchodzącej bitwy, co w dodatku było prawdą. Miałam jednak wystarczająco dużo czasu na osobiste przyjemności. W końcu musiałam zabawiać nie byle kogo, lecz samą księżniczkę.

Xia sprawiła, że zakwaterowano mnie w niewielkiej willi z widokiem na port. Do obsługi wyznaczyła najbardziej dyskretną służbę. W dniu, kiedy mnie tam zaprowadziła, było ciepło, a powietrze przesycił aromat hiacyntów. Willa, o grubych białych ścianach, była pokryta niebieską dachówką. Pnące róże ozdabiały mur przy wejściu, zapraszając do nasłonecznionego ogrodu. Ścieżkę, która wiodła do domu, ocieniały drzewa o owocach tak słodkich, że przyprawiały o obłęd rezydującą tu kolonię os, które śmigały między rubinowymi kulami, zajadały się ich mięszem i żadna ilość nie była w stanie ich zaspokoić. W środku ogrodu igrała wiekowa fontanna, umieszczona w cieniu wierzby płaczącej. Wilgotna bryza karmiła miękką kępę mchu, rosnącego z przeciwnej strony.

Główna sypialnia była przestronna i wyłożona puchatymi dywanami, na których piętrzyły się poduchy różnej wielkości i kształtu. Łoże z baldachimem, porównywalne wielkością z małym poligonem ćwiczebnym, zajmowało jeden kąt, tuż przy drzwiach na werandę, skąd rozciągał się wspaniały widok na port.

Cóż za azyl dal miłośniczek zachodów słońca i kochanek! Padliśmy na ogromne łoże, gdy tylko przekroczyliśmy próg, nienasycone jak te osy.

Okrywaaliśmy pocałunkami każdy centymetr słodczy. Jęki, krzyki i westchnienia niosły nas z jednego szczytu ekstazy na drugi.

Widzę, że poczerwieniałeś na twarzy, Skrybo, choć wieczór jest chłodny.

Aż tak cię wzruszył ten opis sceny miłosnej? A może się zgorszyłeś? Ach, widzę, że to drugie. A dlaczegoż to? Bez wątplenia spisałeś wiele podobnych pamiętników. Tyle, że były to wspomnienia mężczyzn i męskich przeżyć, prawda? Uważasz może, że tego rodzaju pikantne szczegóły są niedozwolone w opowieści o kobiecie? A może to miłość osób tej samej płci tak ci się nie spodobała? Jeśli to prawda, nie zamierzam cię przeproszać. Przysięgałam mówić samą prawdę, a prawda jest taka: miłość jest zawsze taka sama, niezależnie od tego, jaki przywdzieje strój. Namiętność to cecha wszystkich istot, które chodzą po ziemi, pełzają lub pływają w wodzie. Jeśli ktoś pomija ją milczeniem, albo wręcz jej zaprzecza, nigdy w pełni nie zrozumie życia, które tchnęli w nas bogowie, a nawet nie będzie potrafił do końca pojąć siebie samego.

Kochałyśmy się, aż słońce zniżyło się do kresu codziennej wędrówki.

Spokojnie leżałyśmy, splecione w objęciu, rozkoszując się chłodem wieczornej bryzy.

W końcu, Xia przerwała milczenie. - Nie jesteś mą pierwszą kochanką - powiedziała, nieśmiało spuszczać oczy.

Nie spodziewałam się niczego innego. Jak na tak młodą osobę, miała wiele doświadczenia. Powiedziałam tylko: - To nie moja sprawa. Twoje przygody należą do ciebie. Możesz się nimi dzielić, lub zachować dla siebie, jak skarb.

- Chciałabym ci o tym opowiedzieć, żebyś mnie poznała.

Pocałowałam ją i zamieniłam się w słuch.

- Zawsze czułam się nieswojo, jakby nie na miejscu - zaczęła. - Tak, jakbym nie urodziła się w swojej rodzinie... jakby ktoś mnie porzucił pod drzwiami, a matka wzięła mnie na wychowanie. Na pewno by to zresztą zrobiła, bo miała wielkie serce.

- Jesteś jednak pewna, że cię urodziła, prawda?

Skinęła głową. - Tak. Podrzutki nie zostają księżniczkami. Ale miałam takie uczucie. Nigdy nie lubiłam chłopców. Inaczej, niż przyjaciółki, które bez końca o nich rozmawiały, jeszcze zanim urosły nam piersi i zaczęłyśmy miesiączkować. Właściwie, najbardziej pociągające wydawały mi się właśnie przyjaciółki. W tak młodym wieku było to jak najbardziej naturalne.

Flirtowałyśmy ze sobą, choć one myślały o chłopcach. W szkole zawierałyśmy głębokie przyjaźnie, a wiele z nich wiodło do łóżka. Nikt się temu nie sprzeciwiał. Wydaje mi się nawet, że istnieje pewien rodzaj przyzwolenia na takie związki. Konyańczycy bardzo cenią dziewictwo, a różne niewinne zabawy pozwalają je zachować do chwili, gdy rodziny wynegocjują dla dziewcząt małżeństwo - czyli całą ich przyszłość.

- W Orissie jest tak samo - powiedziałam.

Kiwnęła głową i podjęła opowieść.

- Wszystko szło dobrze, póki nie osiągnęłam dojrzałości do małżeństwa, czyli szesnastu lat. Od tej pory ojciec zaczął nalegać, bym wzięła ślub i dała mu wnuki, aby nasz ród nie wygasł.

- A ty odmówiłaś? - odgadłam.

- Z całą stanowczością. Nigdy nie pozwolę, by rządził mną mężczyzna, a co gorsza - by ze mną sypiał.

Znów uderzył mnie jej królewski, stanowczy wygląd. W żadnym wypadku nie chciałam być wrogiem tej dziewczyny, pomyślałam.

- Coraz trudniej było mi sprzeciwiać się ojcu, szczególnie po wydarzeniach, które zaszły na pewien czas przed tym pamiętnym sztormem.

- Byłam bardzo ciekawa, skąd się wzięłaś na morzu - powiedziałam.

- Wysłano mnie na ceremonię oczyszczenia, do świątyni Selen. Ojciec dowiedział się, że zostałam kochanką dojrzałej kobiety. Fiorna to żona jednego z naszych generałów. On jest ciągle w podróży, co ją bardzo cieszy, gdyż ten bydlak biją ją i dzieci. A ona ma takie same upodobania, jak my. Woli kobiety od mężczyzn. W każdym razie, o mały włos byłby wybuchł skandal. Ją odesłano do domu, do matki, a generała oddelegowano na dalekie pogranicze.

Zaś co do mnie, ojciec postanowił, że należy poddać mnie obrzędowi oczyszczenia, bym zmieniła swe upodobania. Wysłał mnie zatem w tę podróż.

Roześmiałam się, gładząc jej cudowne piersi. - Oczyszczenie chyba nie całkiem się udało - zachichotałam.

Zrobiła zabawną minę. - Szczerze mówiąc, kapłanki okazały się bardzo pomocne. Nauczyły mnie dyskrecji.

Spojrzała na mnie przekornie, a jej dłoń sprawiła, że przeszył mnie dreszcz. - Nauczyły mnie też paru innych rzeczy - zaśmiała się.

- Bogowie wiedzą, że zawsze byłam żądna wiedzy - odparłam schrypniętym głosem.

Później, gdy wstała, by się ubrać i odejść, spytała: - Czy zechcesz coś dla mnie zrobić?

- Wszystko, co tylko zdołam - odparłam.

- Nauczysz mnie walczyć?

Zdumiona, wyskoczyłam z łóżka. - Jesteś przecież księżniczką. Nie potrzebujesz takich umiejętności.

Z powagą potrząsnęła głową.

- Będę razem z tobą, gdy się zacznie bitwa. Nie zgodzę się, by traktowano mnie jak mimozę, podczas gdy inne kobiety - twoje wojowniczkę - będą ryzykować życie. Chcę nauczyć się tyle, abym mogła się sama obronić, a może i czegoś ponad to. Nie bój się, nie zrobię głupstwa i nie popędzę samotnie w wir walki. Nie będziesz się musiała o mnie obawiać. Poza tym, chcę, by ludzie ujrzeli we mnie coś więcej, niż tylko śliczną księżniczkę Xię. Nie życzę sobie, by historycy, piszący dzieje tej wojny, rozprawili się ze mną jedną krótką notatką.

Przemyślałam jej prośbę i wydała mi się rozsądna. Dodała: - Poza tym, kochana, musimy być dyskretne. Szkolenie będzie wspaniałą wymówką, gdyż pozwoli mi przychodzić do ciebie, kiedy tylko zechcę.

- A więc zgoda. Zaczynamy jutro - obiecałam.

Tak też się stało, a Xia okazała się równie chętną uczennicą w sztuce wojennej, jak była nią w miłosnej.

Przez cały czas Konyańczycy przygotowywali się do wojny. Nieskalana Rada wprawdzie dalej omawiała sposób, w jaki należałoby tę wojnę wypowiedzieć, ale na wyspie skończyło się gadanie, a zaczęła praca.

Co dnia w porcie pojawiały się nowe okręty. Czasem przypląwał jeden, czasem sześć, a raz nawet flotylla dwudziestu czterech galer. W końcu, zebrało się ich prawie czterysta. Port zappełnił się od nabrzeża po latarnie wejściowe.

Wiele statków kotwiczyło na redzie. Pochodziły z całego królestwa - jeśli tę zbieraninę

wielojęzycznych archipelagów można w ogóle nazwać królestwem, szczególnie, że każda grupa miała odrębny język i obyczaje. Porozumiewano się po konyańsku, gdyż język ten znała większość arystokracji i szlachty, w narzeczu handlarzy, lub też z pomocą tych Orissańczyków, na których rzuciłam Zakłęcie Wielu Języków.

Mieliśmy statki i okręty wszelkiego rodzaju: wojenne pancerniki, statki przerobione z kupieckich kog, a nawet rekinokształtne galery piratów, którzy postanowili na jakiś czas wciągnąć na maszt uczciwą banderę, póki obiecywała ona bogate łupy.

Byłam zaskoczona szybkością, z jaką czynioną przygotowania do wojny.

Spytałam nawet Xię, czy jej ziomkowie rzeczywiście miłują rozlew krwi.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam - ziewnęła. - Zdaje mi się, że u nas zawsze ktoś z kimś walczy. Jeśli zechcesz, jeden z moich służących oprowadzi cię po arsenał.

Zechciałam i następnego dnia poprowadzono mnie do ogrodzonej i pilnie strzeżonej części portu. Tam poznałam największą tajemnicę wojskową Konyańczyków. Arsenał składał się z szeregu pomostów, a raczej zbudowanych przez człowieka wysp. Na każdej z nich znajdował się długi budynek magazynowy, a dzieliła je od siebie wąska wstążka wody, na obu końcach rozszerzająca się w szerokie doki. Na pomostach kręcił się tłum robotników, którzy docierali tu po szerokich pomostach, przerzuconych z głównej stoczni.

Chwilowo bezużyteczne okręty wciągano do doków na potężnych linach umocowanych do kabestanów na brzegu, przygotowywano je na spoczynek, czyli zdejmowano osprzęt i składano maszty i reje, a potem zakotwiczano kadłuby, by czekały, aż będą potrzebne.

Ogromne wahadłowe drzwi magazynów otwierały się raz po raz, gdy wyciągano z nich maszty, oznaczone nazwami statków, z których je uprzednio zdjęto. Stoczniowe dźwigi unosiły je w górę, a cieśle osadzali we właściwych miejscach. W kolejnym magazynie znajdowały się główne reje, a z następnego wyciągano zwoje lin i rozpoczynał się skomplikowany proces olinowywania.

Wreszcie, na pokład wynoszono płócienne żagle. Mój przewodnik wyjaśnił, że na Izoldzie starano się ujednoczyć okręty, by zaradzić trudnościom z zaopatrzeniem i częściami zamiennymi.

W końcu kadłub, który teraz wyglądał już jak prawdziwy statek, przeciągano do ostatniego magazynu. Tu ładowano wiosła i ławki wiosłarskie, potem baryłki pełne solonej wieprzowiny i wołowiny, wina i słodkiej wody. W ten sposób wyposażano okręty w wyspecjalizowanych działach. Gdy wychodziły ze stoczni, trzeba było je tylko obsadzić załogą i mogły ruszać na wojnę. Cały proces był imponujący, lecz same okręty nie zrobiły na mnie najlepszego wrażenia. Były to wielkie, jednomasztowe galery, jak ta, z której uratowałam Xię. Konyańczykom nie podobały się szybkie, niewielkie okręty, tak lubiane przez Cholla Yi i tutejszych wyspiarzy.

Zainteresowałam się z kolei, w jaki sposób toczy się na tych morzach bitwy i dowiedziałam się, że taktyka Konyańczyków jest jeszcze bardziej prymitywna niż to, czego uczyli nas oficerowie Cholla Yi dawno temu, w czasie pościgu za Archontem. Na każdą z galer zaokrętowywano jak najwięcej żołnierzy, którzy o morzu i statkach wiedzieli jeszcze mniej, niż ja przed wyruszeniem z Likantu. Kapitan okrętu miał bardzo proste obowiązki: musiał trzymać się razem z innymi, do momentu nawiązania kontaktu z przeciwnikiem.

Następnie padał rozkaz do ataku, zawsze falangą, której kształt musiał wykoncypować na miejscu jeden z admirałów. Kapitan jeszcze musiał dobić burtą do przeciwnika, a wtedy żołnierze przeskakiwali na drugi pokład i brali go szturmem. Całe bojowe wyposażenie - katapulty i krucze dzioby, czyli pomosty z hakami, które trwale łączyły pokłady obu statków - było zaprojektowane tak, by osiągnąć tylko ten jeden cel. Taranowanie w dalszym ciągu uznawano za nowinkę, gdyż aż nazbyt często taranujący okręt ulegał równie dużym zniszczeniom, jak przeciwnik, lub też tracił z nim kontakt, a wtedy żołnierze nie mogli doprowadzić bitwy do „właściwego zakończenia”. W ten sposób Konyańczycy walczyli w przeszłości, walczą obecnie i będą walczyć w przyszłości. Sarzana miał podobne statki, tak więc o wyniku walki mogła zdecydować tylko przewaga liczebna, uzbrojenie, magia a, przede wszystkim, sprawiedliwość. Pomyślałam sobie, że sprawiedliwości próżno szukać na polu walki, lecz nic nie odpowiedziałam.

Przypomniałam sobie, co Stryker i Duban mówili w czasie sztormu o galerze Xii. Myślałam wtedy o wilkołakach, atakujących niedźwiedzia. Tym razem jednak, zrobiłam coś więcej, niż same przemyślenia. Późno wieczorami zaczęłam wielkiej tajemnicy spotykać się z Corais, Ismet i Dicą. Tę ostatnią widziałam szczególnie chętnie, wiedząc, że nowicjuszka częstokroć potrafi wnieść świeże spojrzenie na sprawy, w odróżnieniu od doświadczonych weteranek. Czasem przyłączała się do nas także Polillo, choć zawsze protestowała, że jest wojowniczką i nie znosi planowania.

Na bazarze kupiłam tani model monstualnej konyańskiej galery.

Siadałyśmy wokół niej we cztery albo w pięć, jak dzieci, planujące puszczenie statków na sadzawce następnego dnia, i zastanawiałyśmy się. Czasem przychodziły nam do głowy rozsądne pomysły, innym razem głupstwa lub strategie, których nikt nie zdołałby wprowadzić w czyn. Notowałam jednak na tabliczce wszystko bez wyjątku, klnąc na czym świat stoi, że bogowie nie dali mi talentu pisarskiego. Wkrótce opowiem, o czym rozmawiałyśmy i jaki skutek przyniosły owe długie narady.

Pomimo protestów Xii, większą część jej szkolenia nadzorowała Ismet.

Wiedziałam z doświadczenia, że tego rodzaju naukę najlepiej pozostawić innym. Przyjaciółka będzie albo zbyt łagodna, albo zbyt surowa, a poza tym nie ma nic lepszego niż bezosobowa ocena surowej pani sierżant, która dobrze zna rzeczywiste umiejętności rekrutki. Tak więc księżniczka ćwiczyła na placu wraz z pozostałymi gwardzistkami. Wkrótce posługiwała się włócznią, mieczem i łukiem, jakby urodziła się do tego rzemiosła i rumieniła się ze złośliwej radości, gdy udało jej się zyskać przewagę nad sparring partnerką i sprawić jej tęgie lanie drewnianym palcatem. Gdy ujrzałam, jak sprawnie posyła do celu strzałę za strzałą, cieszyłam się, że nie uległam jej prośbom i nie zmusiłam do rywalizacji z błyskotliwą, wszechwiedzącą kapitan Antero.

Ćwiczenia fizyczne odbywały się jednak na innych zasadach. Co wieczór biegałyśmy po obwodnicy, wijącej się po stokach centralnego wzgórza Izoldy.

Pokonywałyśmy prawie osiem kilometrów, pomiędzy portem a niewielką tawerną w pobliżu mej willi. Moja miła przeraziła się, gdy pod koniec tygodnia powiedziałam jej, że stoi przed nami nowy cel: pokonać tę trasę dwukrotnie, potem trzy razy, a w końcu cztery.

- Wątpię, czy uda nam się dojść do tego ostatniego etapu - powiedziałam.

- Mamy za mało czasu, by do tego stopnia wzmocnić ci nogi.

- Coś jest nie w porządku z moimi nogami? - wyduła usta kapryśnie.

Wydawało mi się, że całkiem ci się podobają, kiedy na nich nie biegam.

- Są wspaniałe i naprawdę bardzo mocne, gdy otaczasz nimi mą szyję.

Ale, bogom dzięki, do walki potrzeba więcej sił, niż do miłości. Dla wojowniczkę nogi są ważniejsze nawet niż broń. Maszeruje na nich całymi kilometrami do miejsca, gdzie będzie stoczona bitwa, potem muszą ją utrzymać podczas ciężkiego natarcia, a jeśli przełożeni sobie zażyczą, to będzie musiała iść dalej, bezpośrednio po walce.

- Ale przecież będziemy na statkach - odparła. - Popłyniemy na miejsce bitwy i z powrotem do domu. Tak więc na pewno wystarczy jedna rundka dookoła portu dziennie.

- Zrób to dla mnie - poprosiłam.

- Tak? A co z tego będę miała? - spytała, przekornie unosząc brwi.

Szepnęłam jej słówko do ucha. Zachichotała: - To może być bardzo przyjemne. Słuchaj, może od razu przebiegniemy tę drugą rundę, co?

Pewnego dnia zwołano wielką naradę wszystkich dowódców dywizji.

Mieliśmy poznać naszego nowego dowódcę. Wydawało mi się, że jestem dobrze do tego przygotowana, lecz stało się to, co zwykle. Nie potrafiłam przewidzieć, jak bardzo męczyzn podnieca pozycja przywódcy, ten tani blichtr.

Moje kobiety poczuły się urażone, lecz ja wiedziałam, że nie powierzą mi dowództwa wielkiej ekspedycji przeciwko Sarzanie, przynajmniej nominalnie.

Niezależnie od wszystkich pochwał, jakimi obsypywała mnie Nieskalana Rada, spodziewałam się, że w najlepszym razie zostanę doradcą, zaś w najgorszym - figurantką. Corais i Polillo pomrukiwały niechętnie, że oto znowu kobieta pełni funkcję służebną, ale spytałam ją, jak by ich zdaniem rozwiązano podobną sytuację w Orissie. Czy nasi Radni pozwoliliby jakiejś tam cudzoziemce poprowadzić okręty i całą armię na pewną śmierć?

Wydawało mi się, że to rozsądne wytłumaczenie, lecz obie popatrzyły na siebie, Corais lekko uniosła górną wargę i spytała: - Rali, kochanie, jest oczywistym faktem, że mężczyźni we wszystkich krajach popełniają takie same głupstwa. Mówiliśmy o tym, co zrobiłaby osoba inteligentna.

Roześmiałam się, lecz był to jedyny jasny moment w czasie całej narady.

Posadzono nas z Cholla Yi po obu stronach nowego Admirała, na podium, otoczonym balustradą z rozdziawionych szczęk jakiś morskich potworów.

Admirał nazywał się Trahern i wzbudzał podziw oraz szacunek. Ten potężny mężczyzna - niemal dorównujący wzrostem Polillo, miał głos donośny jak pałacowy dzwon i długą siwą brodę, rozdzieloną przy podbródku i opadającą na pierś dwiema falami. Przekroczył już siedemdziesiątkę, lecz miał gęstą czuprynę, ściągniętą z tyłu głowy w węzeł i poprzetykaną klejnotami. Na piersiach tuniki ze skóry i jedwabiu pobłyskiwały liczne medale - wszystkie, jakie wdzięczny naród może przyznać swemu najdzielniejszemu żołnierzowi.

Niestety, admirał Trahern stoczył swą ostatnią wojnę przed dwudziestu laty i była to z pewnością prowadzona, lecz niezbyt wyrafinowana kampania przeciw jakimś barbarzyńskim wyspiarzom spoza królestwa. Później przeszedł w stan spoczynku, zamieszkał w swej ogromnej posiadłości i został ogólnie znanym historykiem. Jego służba wojskowa była jednym pasmem odważnych, honorowych i szlachetnych uczynków. Teraz wezwano go, by poprowadził Konyę do największego triumfu, który miał być szczytowym i ostatnim punktem jego kariery.

Gdy ogłoszono oficjalną nominację, rozległy się głośnie wiwaty dowódców. Dawno już zauważyłam, że zbyt wielu starszych oficerów było mieszkańcami Izoldy, choć dowodzili okrętami i załogami z innych wysp.

Ponownie znalazłam się w krainie, gdzie klasa rządząca pochodziła praktycznie z jednego rejonu. Może Sarzana rzeczywiście nazbyt ostentacyjnie faworyzował mieszkańców swego rodzinnego archipelagu Cevennes, lecz baronowie wyznawali tę samą zasadę. Wszyscy mężczyźni zdierali sobie gardła, wykrzykując wniebogłosy imię Admirala Traherna, ja pomyślałam sobie: - Do diaska, mamy nowego Jinnaha.

Trahern wygłosił wymaganą heroiczną przemowę. Mówił, jak bardzo czuje się zaszczycony, że może ponownie służyć ojczyźnie, opowiadał, że wszyscy pragniemy zwycięstwa, że słuszość jest po naszej stronie i na pewno wygramy tę wojnę, że Konya ma honor korzystać z wiedzy wojskowej przybyszów z dalekiej krainy, zwanej... tu przerwał, zapomniawszy, skąd też przybyli ci obcy, niewyraźnie wybąkał, że to Larissa, po czym kontynuował przemowę przez dłuższy czas.

Gdy już rozentuzjasmowani oficerowie obnieśli go wokół komnaty na ramionach, zaprosił Cholla Yi i mnie na zamkniętą radę. Był pełen optymizmu i pewności siebie. Naturalnie, mówił, wiem, że to wy jesteście prawdziwymi wodzami tej wyprawy, bo znacie się na tych przeklętych magikach i tak dalej, szczególnie że jeden z nich pochodzi z waszego kraju...

tak przynajmniej mówią, choć ja tam z cholernym trudem mogę uwierzyć, że ktoś na dobre zabity może znowu stanąć do walki. Jasne, on tam nie będzie pomniejszał znaczenia wielkich magów. Myśli jednak, że może nam trochę pomóc, bo zna morza wokół Konyi i, co więcej, duszę swego ludu. Wie też, jak sprawić, by walczyli równie dzielnie, jak dawni herosi, tak, że jeden Konyanin stanie za dziesięciu, a nawet dwudziestu wojowników z innych krain.

Stworzymy razem dowództwo wsparte wzajemnym zaufaniem, wiarą i determinacją, zjednoczone wspólnym celem, mającym niewyobrażalne wprost znaczenie dla kobiet i mężczyzn na całym świecie.

Dla mnie jednak słowa te brzmiały jak stukanie kołatka, które jak wiadomo, wróży śmierć.

Pewnego dnia, przed odejściem Xii, wybrałyśmy się na wieczorny spacer po ogrodach. Spytałam, czy jej ojciec żywi w stosunku do nas jakieś podejrzenia.

- Ach, obowiązki tak go pochłaniają, że nie ma czasu na myślenie, więc i podejrzenia nie mają kiedy powstawać w jego umyśle. Nawet zresztą, gdyby je żywił, nie wypowiedziałby ich na głos, obawiając się, że ktoś doniósłby o tym innym członkom Nieskalanej Rady.

- Szczerze mówiąc, ci panowie nie wydali mi się tak bardzo nieskalani, jak sugeruje ta nazwa.

- Wierzaj mi, cnota nie jest ich specjalnością. Wiele miejskich kurtyzan gorzko by zapłakało, gdyby członkowie Rady nagle zaczęli dotrzymywać złożonych przysiąg. Naturalnie, wśród młodych niewolników i niewolnic, którzy mieli nieszczęście zostać ich domownikami, zapanowałaby szalona radość.

- Cnota nieważna, ale to dziwna nazwa dla rządu - odparłam.

- Ach, to zasługa mego przodka, frywolnego nad wszelką miarę - roześmiała się Xia. - Ten niestrudzony dekadent budował nawet świątynie, a raczej burdele, gdzie oddawano cześć różnym specyficznym bóstwom. Poza tym, brał sobie wszystkie młode dziewczęta i młodych chłopców, którzy akurat mu się spodobali. W końcu sprawy zaszły tak daleko, że baronowie powstali i zmusili go do ustąpienia. Wtedy właśnie utworzono Nieskalaną Radę, której obowiązkiem było przestrzeganie moralności w kraju. Po obaleniu Sarzany okazało się, że to jedyna instytucja w kraju, którą baronowie mogą się posłużyć, by zgodnie z prawem przejąć władzę.

- Jak sądzisz, czy Konya zostanie kiedyś ponownie monarchią? - spytałam.

Spoważniała w jednej chwili. Usiadła na brzegu fontanny i gładziła palcami powierzchnię wody. - Mój ojciec wiąże z tym wielkie nadzieje - powiedziała w końcu. - Podobne poglądy żywią też inni, choć nieliczni, arystokraci, w których żyłach płynie królewska krew. Lecz, gdy to się stanie, żaden z nich nie odważy obwołać się królem, gdyż byłoby to nazbyt drastyczne posunięcie. Jak wiesz, w pewnym momencie władzę w Konyi przejął lud. Potem przyszły rządy Sarzany. Mój ojciec i inni boją się mas prawie tak samo, jak Sarzany. Moim zdaniem, z tego powodu na tronie nie zasiądzie nikt z tego pokolenia. Ale ich dzieci mogą się na to odważyć.

- Czy mówisz o sobie? - spytałam.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam - odparła. - Przecież to nie miałyby sensu.

- Czy w Konyi nigdy nie panowały królowe?

Kiwnęła potakująco głową.

- Królową była moja praprababka, która umarła długo przed moim urodzeniem. Jej mąż nie miał żadnej władzy, był księciem konsortem.

Mało brakowało, a znów bym spytała, czy naprawdę nigdy nie pragnęła, by zasiąść na tronie, lecz spojrzała na mnie w taki sposób, że postanowiłam nie rozwijać tego tematu. Monarchowie nigdy nie kłamią. Oni tylko czasem zmieniają zdanie.

Bohaterska postawa Xii okazała się bardzo korzystna, gdyż zmieniła tę wojnę w świętą krucjatę. Z mego doświadczenia wynikało, że wojna zawsze zaczyna się od szlacheckiej biurokracji, a kończy przelewem chłopskiej krwi, gdyż ci, którzy czerpią najwięcej korzyści z wygranej, zawsze starają się trzymać jak najdalej od pola bitwy. Jednak tu, za przewodnictwem księżniczki, młodzi konyańscy arystokraci tłumnie zaczęli zgłaszać się pod bitewne sztandary.

Nie zaciągnęła się jednak ani jedna kobieta, więc ze smutkiem pomyślałam sobie, że w Orissie, mimo wszystko, istnieje chociaż Gwardia Maranonii. Taka jednostka to mało, ale w porównaniu z krótkowzroczną polityką innych królestw i miast, stanowi ona ogromny krok naprzód.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak wielką popularnością cieszy się Xia wśród arystokracji i rówieśników, póki nie ujrzałam, jak długie szeregi bogato odzianych mężczyzn oczekują, nawet dość cierpliwie, przed budkami werbowników na rynku. Łatwo było znaleźć miejsce dla tych, którzy mieli już jakieś wojskowe umiejętności lub doświadczenie, lecz większość znała się tylko na polowaniu, z sokołami lub bez, i na podobnych dworskich przyjemnościach.

Ale ci nowi rekruci upierali się, że szarża jest bez znaczenia, będą służyć tam, gdzie zostaną odkomenderowani: jako kwatermistrzowie, albo nawet chłopcy okrętowi. Wzięliśmy ich za słowo i okazało się, że w większości wypełniali swe obowiązki pilnie i z oddaniem. Zaskoczyło mnie to, bo nie przypuszczałam, że tacy piękniejsi zdołają wspiąć się na reję pod komendą bosmana, lub wytrzymać ryki sierżanta Ismet i jej konyańskich odpowiedników, których wrzask w czasie musztry obudziłby umarłego.

Wielce jednak kiedyś się ubawiłam, słysząc jak czerwono nosy, cuchnący rumem bosman darł się prosto w twarz jakiegoś chłopakowi, tak głośno, jakby ten był na drugim końcu placu defilad: - Szlachetny lordzie Hilmuthu, ty niewydarzone przybliżenie sześciorożnej świni, co nie ma więcej rozumu w głowie, niż cuchnący kozioł! Jeśli jeszcze raz zszyciesz tak ten żagiel, szlachetny lordzie, to ci te obszczone nogi z tyłka powyrywam, ty świskie ucho i będziesz mi przez resztę rejsu służył na posyłki albo i gorzej, ty durniu patentowany! Za pozwoleniem, szlachetny panie.

Z tego pospolitego ruszenia arystokracji mieliśmy dwie duże korzyści: po pierwsze, dostarczano nam teraz wszystko, czego potrzebowaliśmy, w każdej żądanej ilości, a po drugie, za szlachtą przyszło pospólstwo, a przecież obsadzenie tych wszystkich okrętów wojskiem było zadaniem nie lada. Często zastanawiam się, jak to jest: chłopcy szczerze nienawidzą szlachty, a jednak są nią nieuleczalnie zafascynowani, do tego stopnia, że bezkrytycznie ją naśladowają.

Nasza flota przestała przypominać zbieraninę statków i okrętów i powoli stawała się marynarką wojenną. Byliśmy już prawie gotowi, by wyruszyć i stawić czoła Sarzanie i jego o wiele groźniejszemu stronnikowi i władcy, Archontowi.

Przez te długie tygodnie przygotowań rzadko widywałam Gamelana, choć zakwaterowano nas w tej samej willi. Gdy pytałam go o radę w różnych drażliwych sprawach, doprowadzał mnie do szaleństwa obojętnością; wciąż powtarzał, że powinnam postępować według własnego uznania. Przestał nawet przychodzić na poranne rzucanie kośćmi, usprawiedliwiając się zmęczeniem lub chorobą. Najbardziej brakowało mi jednak naszych nocnych dyskusji, w czasie których nie wahał się poruszać żadnych tematów.

W tym czasie uśmiech nigdy nie gościł na jego twarzy. Zaczął powłóczyć nogami jak starzec - on, który już po utracie wzroku zawsze kroczył sprężysto, jak młodzieniec. Wojowniczkę, którą się nim opiekowały na moją prośbę, mówiły, że mało je, choć starają się go kusić różnymi przysmakami, i nie pija nic poza wodą. Tak zachowywał się człowiek, który do tej pory karciał nas, gdy traciliśmy nadzieję i parł do przodu w najtrudniejszych nawet okolicznościach.

Gdy obserwowałam ten upadek ducha w naszym dzielnym magu, myślałam, że może uwięzienie w kazamatach okazało się dla niego zbyt wyczerpujące. Zaczęłam się obawiać, że umrze.

Pewnej nocy odwiedziłam go i spytałam, czy mogłabym pod jego kierunkiem sporządzić jakiś eliksir, który przywróciłby mu wigor.

- Zestarzałem się i tyle, do cholery! - odpowiedział drżącym głosem.

- Ale Gamelanie, mój przyjacielu, jesteś nam potrzebny. Naprawdę cię potrzebujemy.

- Przez was ledwo żyję - zdenerwował się. - Zabieraj się stąd i daj mi spokój.

Wyszłam. Cóż innego mogłam zrobić? Zauważyłam, że im mniej czasu pozostawało do wypłynięcia z portu, tym większe było jego zniechęcenie.

Gdybym nie miała tylu obowiązków, wcześniej odkryłabym przyczynę tego stanu. Nie, nie tak. Nie chodziło o obowiązki. Powinnam była znaleźć na to czas, lecz Xia oczarowała mnie tak, że poświęcałam jej każdą wolną chwilę.

Księżniczka wywierała na mnie przedziwny urok... a ponieważ jestem próżna, wciąż wierzę, że i ja ją zauroczyłam. Była dla mnie jak chleb i jak wino. Im więcej ze sobą sypiałyśmy, tym goręcej jej pragnęłam. Znalazła gdzieś zakazaną księgę o miłosnych pozycjach i próbowałyśmy wszystkich, z wyjątkiem poniżających lub bolesnych. Nacieraliśmy się miodem i winem, a potem godzinami zlizywałyśmy z siebie nawzajem wszystko, do ostatniej kropli.

Smarowałyśmy się perfumowanymi olejkami, a potem walczyłyśmy wręcz, aż do udawanej kapitulacji. Zwycięzcy mogli wtedy w nagrodę wybierać rodzaj pieszczot.

Spędzałyśmy również długie, leniwe popołudnia na rozmowach, dzieląc się intymnymi sekretami. Płakała wraz ze mną, gdy opowiadałam jej o Otarze, lecz gdy wspomniałam Tries i nasze rozstanie, rozzłościła się, odwróciła ode mnie, a gdy spróbowałam pogłaskać ją po plecach, wycedziła tylko: - Nie dotykaj mnie!

- Co ja takiego zrobiłam? - zapytałam.

- W dalszym ciągu ją kochasz.

- Nie wygłupiaj się. Porzuciła mnie. Nic nas już nie łączy.

- Nieprawda - odparła gorąco. - Widać to, gdy wymawiasz jej imię. Ona z tobą gra. Taka dziwka! Kiedy wrócisz do domu, zmarszczy tylko nos i zaraz padniesz jej w ramiona.

- Przysięgam, Xio, że kocham tylko ciebie - zaprotestowałam.

Rozpłakała się i w końcu pozwoliła, bym ją pocieszyła. Bez końca szeptałam jej imię i prosiłam, by uwierzyła, że nie kocham nikogo innego. W końcu pogodziłyśmy się. Miłosne wybaczenie było pełne żaru i żądy, a Xia poszła do domu rozmarzona i uśmiechnięta. Nigdy więcej nie poruszałyśmy tamtego tematu, lecz wyznam, że poważnie zastanawiałam się nad jej oskarżeniami. Czy rzeczywiście w dalszym ciągu kochałam Tries? Dziwna rzecz, ale nie potrafiłam temu z czystym sercem zaprzeczyć.

Nowi przybysze wciąż przywozili z sobą opowieści o najnowszych okrucieństwach Sarzany. Mam wrażenie, że chciał tymi czynkami wzbudzić w nas panikę, sprawić że zaatakujemy ze ślełą furją albo przeciwnie, poddamy się bez walki. Lecz w większości przypadków, stało się inaczej. Ponieważ głodne krwi upiory, którymi dowodził, pustoszyły wyspę po wyspie, niezależnie od tego, czy mieszkańcy byli wrogo nastawieni, neutralni, czy też gotowi do kapitulacji, bojowe nastroje wśród mieszkańców utrwaliły się na dobre. Niemal wszyscy widzieli jasno, że nie ma szansy na rozejm, kompromis ani negocjacje.

Nawet ci, którzy się wahali, albo jakimś cudem nabrali przekonania, że reżim Sarzany nie był aż tak straszny, jak się to wydaje, a na pewno nie gorszy, niż obecny, zamilkli teraz i woleli przyznawać się do uczuć patriotycznych.

Raz, czy dwa razy usłyszałam, jak ktoś się dziwi, że Sarzana tak się zmienił, jakby pociemniał. Wiedziałam, że to związek z Archontem uczynił z niego zdeklarowanego okrutnika, lecz różnica między jego minionymi a obecnymi poczynaniami była tylko jakościowa.

Pewnego dnia naocznie przekonałam się, ile zła potrafił wyrządzić ten człowiek. Warta trapowa wezwała mnie na pokład. Miałam wówczas dwie kwatery główne - jedną w Pałacu Rady, gdzie odbywały się duże, bądź oficjalne narady, a drugą w dawnej kabinie Xii na pokładzie galery Strykera, gdzie zajmowałam się sprawami wielkiej wagi, lub urządzałam sekretne spotkania. Potrzebowałam tego drugiego miejsca również po to, by ciągle pamiętać, że nie powinnam się mieszać do polityki, zdrad i problemów Konyańczyków. Miałam do wypełnienia trzy proste zobowiązania: wobec Orissy - musiałam zlikwidować zagrożenie ze strony Archonta, drugie wobec moich gwardzistek, a trzecie wobec najemników Cholla Yi. Poza tym, nie licząc mego własnego sumienia, nic nie powinno być dla mnie ważne.

Gdy oficer służbowy spytał, czy mam czas na spotkanie z jednym człowiekiem, popędziłam na pokład, śmiertelnie znudzona konosamentami, grafikami wacht i innymi żołnierskimi obowiązkami, o których jakoś nie wspominają ballady ani sagi. Czekał na mnie szczupły mężczyzna po pięćdziesiątce, z krótko przystrzyżoną brodą i włosami ściągniętymi z tyłu głowy w krótki warkoczyk. Miał na sobie prostą, luźną tunikę i spodnie. Na pendencie miał umocowany miecz i sztylet. Spostrzegłam, że ich pochwy pociemniały ze starości, za to głównie były jak wypolerowane, od ciągłego użytku. A zatem, żołnierz. Jedno tylko mnie zdziwiło. Nie nosił pierścieni, klejnotów, lecz nad uchem miał umocowaną złotą, wysadzaną klejnotami tuleję, długości mniej więcej dziesięciu centymetrów.

Na moło ujrzałam stu podobnie odzianych mężczyzn, ustawionych w wojskowym szyku. Najmłodszy mógł mieć dwadzieścia lat, najstarszy - około sześćdziesięciu. Powitałam mego gościa serdecznie, z nadzieją, że jego znakomity oddział się do nas przyłączy. Powiedział, że ma na imię Nor i że przybyli właśnie z tym zamiarem. Dodał też, że ten oddział to zaledwie połowa siły, jaką rozporządza. Ucieszył mnie tym jeszcze bardziej, gdyż właśnie łamałam sobie głowę, jaką przyjąć strategię do bitwy, mając niestety do dyspozycji tylko sto dwadzieścia pięć wojowniczek, na których mogłam w pełni polegać, czyli moją Gwardię.

Spytałam Nora o szarżę. - Obecnie nie mam żadnego stopnia - odparł. - Wstyd zaś nie pozwala mi

powiedzieć, jaką funkcję pełniłem w przeszłości.

Zajrzałam mu głęboko w oczy i zobaczyłam w nich pustkę i ogień. Już kiedyś napotkałam takie spojrzenie - u torturowanych nieszczęśników, których uwolniliśmy z kaźni Archonta, gdy zdobyliśmy morski zamek w Likancie.

Zorientowałam się, że człowiek ten ma wiele do opowiedzenia. Wyczułam też, że jego historia nie jest przeznaczona dla wszystkich uszu. Wokół nas kręcili się ciekawscy... sporo wojowniczek i marynarzy udawało, że ma do wykonania pilne prace właśnie w pobliżu nas. Powiedziałam mu, że może polecić rozejść się swym żołnierzom. Niech poszukają gdzieś schronienia, bo właśnie zaczęła opadać mgła, zapowiadająca letnią burzę.

Nor pokręcił głową: - Zostaną w szeregu. Nie są z cukru, nie rozpuszczą się.

Zaprowadziłam go więc na opustoszały pokład dziobowy, nad którym rozpięto nieprzemakalną płachtę. Spytałam, czy napije się wina, ale odmówił.

Bardzo dobrze, pomyślałam, jeśli chce od razu przejść do rzeczy, ja nie będę się sprzeciwiać.

- A więc, chcecie się zaciągnąć - zaczęłam. - Dlaczego przyszliście z tym do mnie, a nie do Admirala Traherna, albo jego generałów? Jeśli twoi ludzie są tak bojowi, jak na to wyglądają, każdy dowódca powita was z otwartymi ramionami.

- Po pierwsze dlatego, że słyszałem dużo dobrego o tobie, pani i twoich kobietach. Nie sądzę, by interesowały cię taktyczne rozgrywki... te wszystkie finty, uniki i parady, które większość Konyańczyków nazywa wojną.

- Masz rację - odparłam. - Wojna to wojna i trzeba walczyć ostro i kończyć ją, jak najszybciej się da.

Mówił dalej, jakby mnie nie słyszał: - Po drugie, moi ludzie nigdzie nie są mile widziani.

Jasna cholera, pomyślałam. Pewnie to jacyś pozerzy, bandyci, albo skazańcy. Nie okazałam jednak rozczarowania, lecz czekałam, co powie dalej.

- Ci ludzie to moi bracia - rzekł Nor. Kiedyś, przed pięciu laty i jeszcze dawniej, było nas tysiąc. Nazywali nas Janczarami Sarzany.

Zauważył, jak bardzo wstrząsnęły mną jego słowa. - Tak. Byliśmy strażą przyboczną tego łajdaka. Elitą, która otaczała go w dzień i w nocy, gdy podróżował i gdy przebywał w zamku. Nasze życie należało do niego.

Mieliśmy jeden cel: dbać o jego bezpieczeństwo i dostarczać mu przyjemności.

- Większość władców ma gwardię tego rodzaju - odparłam - lecz zwykle w czasie zamachów ludzie ci giną, ratując życie swego pana, albo tłum morduje ich w czasie puczu. Rzadko też słyszy się, by tacy ludzie, którzy zwykle otrzymują od władcy wielkie przywileje, przeklinali jego pamięć. Chyba, że władca ten jest kompletnym durniem.

Nor nie odpowiedział. Jednym ruchem ściągnął spodnie. Zaczęłam się cofać, przekonana, że oto stoi przede mną przywódca bandy obłąkańców.

Wtedy ujrzałam to, co chciał mi pokazać i zrobiło mi się niedobrze. W miejsce penisa miał niewielki wyrostek, nie szerszy od palca. Co dziwniejsze, poniżej znajdowała się moszna normalnej wielkości. Widywałam przedtem eunuchów, lecz wszyscy byli albo całkowicie wykastrowani, lub też wycinano im same jądra.

Kiwnęłam głową na znak, że rozumiem. Wciągnął spodnie, nie okazując wstydu. Zrozumiałam, że wysadzana klejnotami tuleja służy tym mężczyznom do oddawania moczu. Słyszałam już o tego rodzaju okaleczeniach. Opowiadano mi też o barbarzyńskich plemionach, które kastrują dziewczęta, by nie mogły czerpać przyjemności z gry miłosnej.

- W ten sposób Sarzana przywiązał nas do siebie - podjął opowieść Nor. - Pragnął wojowników, obdarzonych męskimi cnotami, lecz - wybacz mi proszę niewłaściwie dobrane słowo - nietkniętych. W dodatku, mężczyźni, którzy produkują spermę, lecz nie mogą rozładować swych pragnień i potrzeb stają się straszliwymi wojownikami, gdyż zawsze są opętani ślełą furją. Sarzana to wymyślił i miał rację. Staliśmy się postrachem ludzi, gdyż nie cofaliśmy się przed niczym; na jedno skinienie Sarzany zabijaliśmy wszystkich: dzieci, dorosłych i zwierzęta.

- W jaki sposób zdołał utrzymać was przy sobie po tym, co wam zrobił? - spytałam. - Pomagał sobie magią?

- Troszeczkę. Gdy pozbawiono go tronu, zniknęło zaklęcie, które spowijało nasze umysły. Miał jednak coś lepszego. Wszystkich nas zabrał do siebie w dzieciństwie. Nikt z nas nie zna swego prawdziwego imienia, rodziców, ani domu rodzinnego. Sarzana utworzył specjalny oddział, który porywał małych chłopców i ich... rzezał. Ci sami ludzie byli zresztą jego więziennymi oprawcami i spełniali także zadania, których odmawialiśmy nawet my, biedne skurwysyny. Nikt z nich nie przeżył dnia, w którym obalono Sarzanę.

- Wychowywano nas i szkolono z dala od ludzi. Powtarzano nam, że jesteśmy wybrańcami. Bogowie jakoby nazaczyli nas do spełnienia jednego jedyne go celu - mamy służyć Sarzanie i za niego umrzeć - skrzywił się mój gość. - Jeśli tysiąc razy dziennie powtórzysz, pani, dziecku te słowa, od dnia, kiedy nauczy się chodzić, w rezultacie otrzymasz człowieka, jaki właśnie przed tobą stoi.

- Chcecie więc zemsty?

- Tak jest - odparł. - To nasze jedyne marzenie. Jakimś cudem większość z nas przetrwała szturm na pałac i udało nam się zebrać razem. Było to pięć lat temu i od tego czasu przyświeca nam tylko jeden cel: pragniemy posłać Sarzanę w najgorsze piekło, jakie bogowie potrafią wymyślić. Nazwaliśmy się Bractwem Straceńców. Powiem ci, pani otwarcie: chcieliśmy zawiązać spisek, znaleźć wyspę, na której przetrzymywano Sarzanę i go tam odwiedzić.

Kupiliśmy już w tym celu pięć galer od konyańskich korsarzy. Są bardzo podobne do waszych, choć pewnie trudniej jest nimi nawigować. Długo uczyliśmy się żeglowania, w czasie sztormu i w czasie ciszy.

- Żaden nas nie dbał, ani też nie dba o klątwę, która spadnie na królobójcę. Co może być gorszego od tego, że człowiek budzi się co rano i musi sikać przez słomkę - tu dotknął złotej tulei za uchem - wiedząc, że żadna kobieta na niego nie spojrzy, że potomstwo nie przedłuży jego rodu na wieki i nikt nie zatroszczy się o spokój jego ducha, gdy umrze?

- Tak więc w dniu, gdy dowiedzieliśmy się, że Sarzana z pomocą magii wykorzystał was, Orissańczyków i wy dostał się na wolność, większość Konyańczyków rozpaczła i wrywała sobie włosy z głowy, a myśmy świętowali, wiedząc, że Sarzana zbliżał się - a raczej zbliża - do ostatecznej zagłady.

- Uważasz zatem, że jesteście niepokonani? - spytałam, nie zadając sobie trudu, by udawać, że zrobił na mnie wrażenie.

- Oczywiście, że nie. Jestem żołnierzem i mam swój rozum. On może jeszcze wrócić i odzyskać tron, lecz nikt nas żywy nie doczeka tego dnia. Wiem jedno. Jeśli człowiek wierzy w coś z całą mocą, do tego stopnia, że nie dba o własną śmierć, ma duże szanse, że osiągnie cel.

- To prawda - przytaknęłam. - Chcecie więc zaciągnąć się pod moją komendę?

- Tylko pod tym warunkiem przyłączymy się do armii. W przeciwnym wypadku, znajdziemy sposób, by się z nim rozprawić na własną rękę. Możemy dokupić więcej okrętów, albo nawet ukraść, jeżeli zajdzie taka konieczność.

Poza tym, nawet takiemu wielkiemu magowi można z zaskoczenia wbić nocą sztylet w plecy, jeśli nie będzie innego wyjścia.

Nie odpowiedziałam od razu. Zastanawiałam się nad potencjalnymi problemami, które mogą wyniknąć, jeśli ich przyjmę. Ponieważ Nor był ze mną brutalnie szczery, postanowiłam odwzajemnić tę uprzejmość.

- Jeśli was przyjmę, będziecie musieli słuchać rozkazów, które wydam ja, moi oficerowie i sierżanci, bez dyskusji i wyjątków.

- Ależ oczywiście! Nie jesteśmy dziećmi.

- Nie zrozumiałeś mnie. Chodzi o to, że macie usłuchać każdej z wymienionych przeze mnie funkcyjnych, jeśli zabroni wam walczyć, albo na próżno ryzykować życie atakując tylko dlatego, że istnieje cień szansy, że Sarzana znajdzie się w zasięgu strzału. Jest takie stare żołnierskie powiedzenie, że lepiej nie dzielić tarczy z odważniejszymi od siebie. Z odważniejszymi, lub z ryzykantami, wszystko jedno. To mój jedyny warunek, Norze, lecz musisz go całkowicie zaakceptować. Wymagam również, by twoi ludzie zaprzysięgli, że będą przestrzegać tych zasad, w obliczu bogów, którzy są dla was najświętsi.

- Zgadzam się. Nie jestem przekonany, czy masz rację, gdyż bogowie zawsze udzielają błogosławieństwa tym, których w walce ogarnia szaleństwo i nie dbają o własną skórę. Jednak... przyjmuję twoje warunki - odparł, wyprostował się jak struna i położył prawą dłoń na sercu.

Odpowiedziałam podobnym salutem, zastanawiając się w duszy, czy mu wierzyć, czy też nie. Członkowie Bractwa Straceńców, gdy ogarniał ich szal bitewny, prawdopodobnie nie dbali o żadne przysięgi składane bogom, czy też komukolwiek innemu. Postanowiłam jednak, że z tym problemem uporam się, gdy przyjdzie czas. Tymczasem, miałam dwa razy tyle wojska, niż przed godziną, a bezlitosna wojenna gra na przewagi wymaga licznych kompromisów.

Przygotowaniom do bitwy nie było końca, jak zwykle. Choć wojsko ćwiczy bez przerwy, zawsze można się upierać, że można jeszcze wydoskonalic umiejętności żołnierzy. Choć broni jest w bród, zawsze można wynaleźć coś nowszego i lepszego. Prędzej zaś wyschnie ocean, niż kapitanowie powiedzą, że ich okręty nie potrzebują dalszego remontu. Nadchodzi jednak taki moment, gdy całe wojsko wie, że czas już stanąć naprzeciw wroga. Poczynając od tej chwili, przeciwnik może tylko nabierać siły i zdolności bojowej.

W końcu i dla nas nadszedł taki dzień. Odpływ był w sam raz, wiatr sprzyjał i nawet wróże nie mieli już nic więcej do powiedzenia.

Cała Izolda wyszła na brzeg, pożegnać wielką flotę. Były procesje, przemówienia, wino i kadzidła. Żołnierze flirtowali na nabrzeżu z dziewczętami po raz ostatni i nawet najbardziej pruderyjni obywatele uśmiechali się i twierdzili, że to takie słodkie i że tym biednym chłopcom coś się należy od życia. Grzmiąły rogi, dudniły bębny, a kolorowe chmury tradycyjnych, przepięknych latawców kreśliły na niebie fantastyczne wzory. Matki wykrzykiwały imiona synów, którzy byli już na pokładach statków; ojcowie płakali z zazdrości, że nie mogą popłynąć z nimi, a siostry lały łzy, bo nikt nie zwracał na nie uwagi. A potem zajęczały świstawki, na rejach pojawiły się żagle i wkrótce całe morze było pokryte białymi sylwetkami żaglowców, które pędziły ku swemu przeznaczeniu.

Ja zaś, obserwując, jak za rufą maleją sylwetki żegnających nas wyspiarzy, przypomniałam sobie dzień, gdy wymaszerowałyśmy z Orissy.

Wydało mi się, Skrybo, że od tamtych czasów, kiedy to modlono się za powodzenie moje i moich ludzi, dzieli mnie cała długa wieczność.

Rozdział dziewiętnasty

NA SKRZYDŁACH WIATRU

Admirał Floty Trahern może i wygłaszał różne przemówienia na temat równości, lecz w chwili, gdy odbiliśmy od brzegu, jasno dał nam do zrozumienia, kto tu jego zdaniem dowodzi. Traktował mnie i Cholla Yi jak swoich podwładnych, niewątpliwie liczących się, lecz nie dopuszczanych do ważnych spraw, jeśli admirał nie uznał tego za stosowne. Stało się to jasne w chwili, gdy przysłał do nas szalupę, a w niej adiutanta, który przywiózł nam rozkazy, dla przyzwoitości nazwane raportem.

Adiutant powiedział, że konyańscy magowie zlokalizowali miejsce pobytu Sarzany; grasuje on wraz ze swymi stronnikami na Alastorach, archipelagu, który znajduje się trzy tygodnie drogi na południe.

Najprawdopodobniej tam założyli bazę marynarki wojennej. Trahern „zapropozował” abyśmy dalej pełnili rolę wywiadowców, weszli na nowy kurs i płynęli przed jego okrętami. To było wszystko - adiutanta nie interesowały nasze komentarze ani sugestie.

Rozbawił mnie widok Cholla Yi, który wielce się złościł na takie „haniebnie” traktowanie. Spokojnym głosem skomentowałam, że Trahern rzeczywiście zachowuje się nadzwyczaj nieuprzejmie i powinien brać przykład z tego, jak Cholla Yi traktował mnie po wyruszeniu z Likantu. Może nie powinnam była tego mówić, ale nie potrafiłam się powstrzymać. Tylko go tym bardziej rozdrażniłam.

Xia wpadła w furię, wykrzykiwała, że ją zdradzono i że w ten sposób nie traktuje się szlachty. Było senne popołudnie, środkowa wachta, a na zewnątrz słyszałam tylko skrzypienie statku i kroki wartownika, który miarowo przemierzał pokład nad nami.

Leżałam wygodnie na koi, zaś Xia usiadła na piętach obok mnie.

Wytłumaczyłam jej, że w zasadzie ma rację, ale świat jest urządony inaczej, i tu, w Konyi i w Orissie. Mężczyźni są wszędzie tacy sami. Może ona kiedyś zostanie królową i zapoczątkuje nowy styl myślenia, który położy kres tej bzdurnej sytuacji. Spojrzała na mnie dziwnie. Po chwili zmarszczyła brwi i chciała coś powiedzieć, lecz ja miałam inne zamysły. Gdy spoglądałam na nią w migotliwym blasku ślepej latarki, krew poczęła mi żywiej krążyć w żyłach.

Pochwyciła mój wzrok, zaśmiała się domyślnie i wkrótce jej gniew stopniał w namiętym uścisku.

Nie zirytował mnie stosunek Trahera do nas, jego stronników, gdyż od początku wiedziałam, że nie zamierza traktować nas jak równych. Mogłam więc zaplanować, w jaki sposób - i kiedy - rozprawię się z nim na dobre. Dopóki nieprzyjaciel był daleko, można było zaakceptować zaistniałą sytuację.

Skoncentrowałam więc cały wysiłek na codziennym szkoleniu, które miało wydoskonalić wszystkich żołnierzy i marynarzy w opracowanej przeze mnie nowej taktyce. Zaproponowałam rewolucyjne zmiany.

Przede wszystkim, cała flota musiała przyzwycząić się do nowego sposobu myślenia. Nie byliśmy już piechotą, która przypadkiem znalazła się na statku, zamiast na łądzie, lecz kawalerią - i musieliśmy zachowywać się jak jeźdźcy. Największym grzechem, jaki może popełnić kawalerzystka, to zsiąść z wierzchowca nie w porę i zmieszać się z pospółstwem, które brodzi po kolana w błocie, jak świnie i pozwala się tratować pod końskimi kopytami. Naszymi wierzchowcami miały być okręty. Miałyśmy z

nich „zsiadać”, czyli iść na abordaż tylko wtedy, gdy przeciwnik zostanie poważnie osłabiony, podobnie jak kawalerzystka schodzi z końskiego grzbietu wyłącznie po to, by zadać powalonemu przeciwnikowi cios łaski.

Zależało nam na całkowitym zniszczeniu przeciwnika, nie na zepchnięciu go z linii frontu, czyli w tym wypadku z pokładu okrętu. Należało go spalić, staranować, zagnać na skały, zniszczyć żagle lub wiosła - jednym słowem, skutecznie wyeliminować z walki.

Naturalnie, kapitanowie Cholla Yi natychmiast podnieśli wrzawę i narzekania, że w ten sposób pozbawię ich łupu wojennego. Odparłam, że rozumiem ich zmartwienie, lecz w myślach klęłam na czym świat stoi, żałując, że moich marynarzy interesuje wyłącznie złoto, a nie honor i ojczyzna. Nie miałam jednak zbyt wielkiego wyboru, więc zaczęłam im tłumaczyć, że zdobywanie łupów po prostu nieco odwlecze się w czasie, gdyż po bitwie będzie mnóstwo wraków, zdanych na ich łaskę i niełaskę. Czyż nie będzie łatwiej pokonać zdemoralizowaną załogę takiego okaleczonego okrętu, zamiast toczyć z nią krwawą walkę? Poza tym, będą bezpośrednio atakować tylko te statki, nad którymi mają przewagę, więc ich własne galery będą w mniejszym stopniu narażone na zniszczenia i zatonięcie. Przypomniałam im także, że wielkie galery Sarzany będą na pewno miały na pokładach dźwigi z wiszącymi na nich potężnymi głazami, które załoga spuści nam na pokład natychmiast, gdy się zbliżymy do abordażu, pójdziemy wtedy spokojnie na dno i będzie po wszystkim. Bardzo nie chcieli pogodzić się z tym, że można wymyślić nową taktykę w walce morskiej, szczególnie, gdy pomysłodawczynią jest niedoświadczony żółtodziób, a w dodatku kobieta. Tłumaczyłyśmy im więc wszystko wielokrotnie, aż w końcu co nieco pojęli. Za każdym razem, gdy któryś z nich powtarzał jeden z podsuniętych im pomysłów, zachwycałam się tym i solennie przyrzekałam, że włączę jego rozwiązanie do przyjętej strategii.

W końcu zaczęło im się wydawać, że są współautorami całej koncepcji, a potem, gdy wszyscy zaakceptowali taktykę, mogliśmy wreszcie zabrać się za bezustanne ćwiczenie poszczególnych elementów. Marynarze uczyli się nawigowania w bezpośredniej bliskości przeciwnika. Toczyli więc ze sobą morskie pojedynki, uczyli się wycofywać, wychodzić z dryfu, atakować i natychmiast się odrywać od przeciwnika, jak psy, które walczą z odyńcem błyskawicznie rzucając się na niego i odskakując, by nie rozdarły ich straszliwe szable zwierza.

Uczyliśmy się, jak walczyć eskadrami po dwa i po trzy okręty, atakując z flanki, tam, gdzie przeciwnik był najslabszy. Mieliśmy być bezlitośni i nie oczekiwać litości, gdyż nie zamierzaliśmy walczyć czysto, jeśli wojna w ogóle może być „czysta”. Wiedzieliśmy, że podczas starcia będzie dość czasu by opuścić żagle i zmienić kurs, gdyż nasze galery były trzy- a może nawet czterokrotnie szybsze od nieruchawych konyańskich okrętów.

Musieliśmy też zamontować i nauczyć się obsługiwać nową broń, którą w tajemnicy budowano w nowym porcie i przemycono na pokłady pod osłoną nocy. Były to specjalne katapulty z podwójnymi łyżkami, ustawionymi pod lekko rozbieżnym kątem. Ktoś wypatrzył jedną z nich podczas załadunku i spytał, czy zamierzamy wystrzeliwać dwa pociski naraz. Przytaknęłam, nie wdając się w wyjaśnienia, gdyż zakładałam, że Sarzana ma szpiegów w całej Konyi albo nawet obserwuje nas z pomocą magii. Martwiłam się, że przez to ktoś ujawni nasze plany, lecz Gamelan mnie pocieszył: - Nawet jeśli ktoś zobaczy jakiś przedmiot, nie znaczy to, że odgadł jego przeznaczenie, prawda?

Polillo odkomenderowałam, by nauczyła marynarzy jak, a co ważniejsze, kiedy, strzelać z owych katapult. Były one przeznaczone do użytku w szczytowej fazie walki. Moja zastępczyni wprawdzie narzekała, że i tak ma dość pracy przy szkoleniu gwardzistek i przy własnym treningu, gdyż chciała, by jej bojowy topór, zwany Złotko, dobrze zaspokoił pragnienie w czasie walki.

Niech ktoś inny martwi się o przekłete morskie kundle ze sfory Cholla Yi.

Corais roześmiała się i stwierdziła, że Polillo jest naprawdę naiwna. Ona sama nigdy by nie zrezygnowała z szansy, by nauczyć mężczyzn czegoś nowego z dziedziny, która wydaje im się zastrzeżona dla nich samych. - Satysfakcja może być prawie tak wielka, jak gdybyś pokazała jednemu z tych prostaków, co to znaczy naprawdę zadowolić kobietę, a nie wskoczyć na nią, zrobić swoje i szybko zeskoczyć.

Polillo uśmiechnęła się złośliwie i powiedziała rozmarzonym głosem; - To jest myśl... może, jak będę miła, któryś z nich przedstawi mnie swojej siostrze...

- Uwważaj, moja droga - ostrzegła ją Corais. - Marynarze nie miewają siostr. Zadają się tylko z portowymi dziwkami i z latarnikami.

Nie zwracałam uwagi na ich gadaninę, gdyż zastanawiałam się, w jaki sposób Archont posłał po wodzie smugę ognia. Nie potrafiłam tego naśladować, ale wydawało mi się, że bez trudu wymyślę kontr-zakęcie, bardziej skuteczne, niż to, którym posłużył się w czasie bitwy Gamelan.

Sam Gamelan też sprawiał mi zmartwienie. Bardzo starał się nie być nam ciężarem, ani też nie psuć dobrego nastroju ponurym zachowaniem, lecz raczej nie pałał optymizmem. Pewnego razu usłyszałam, jak sierżant Bodilon nazywa go Mistrzem Ponurakiem, więc wzięłam ja na stronę i ostro spytałam, czy byłaby taka wesoła, gdyby na przykład straciła obie ręce. Odparła, że w takiej sytuacji znalazłaby sobie najbliższe urwisko i skoczyła, a nie chodziła z ponurą miną i zarażała nim towarzyszy.

- Widzisz więc, kto ma więcej odwagi. Gamelan walczy i się nie poddaje - odrzekłam, co ją bardzo zdziwiło. Wreszcie skłoniła głowę, przeprosiła i uznała, że mam rację.

Może i tak było, ale z naszym magiem należało coś w końcu zrobić.

Zaczęłam się naprawdę niepokoić, że kiedyś wybierze on rozwiązanie sierżant Bodilon i postanowiłam ostrzec przed tym jego opiekunki.

Po chwili jednak przyszło mi do głowy coś innego. Zastanowiłam się nad tym i wydało mi się, że ma sens, a w każdym razie na pewno nie pogorszy sytuacji.

Następnego dnia zaświeciło słońce i powiał rześki wiatr, a spod dziobu bryzgała woda, gdy płynęliśmy pod pełnymi żaglami na miejsce spotkania z Sarzaną. W powietrzu unosiła się lekka mgiełka, przesłaniając linię horyzontu delikatną poświatą. Gamelan jak zwykle tkwił na dziobie i wpatrywał się w dal, jakby powrócił mu wzrok. Ruchem głowy nakazałam odejść jego towarzyszkom i powitałam go serdecznie.

- Jak tam planowanie, Rali? - spytał obojętnym, głuchym głosem.

Zaskoczył mnie ten ton. Od wielu dni nie myślałam o naszym magu i dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że stracił ochotę do życia, jak żołnierz, którego rany nie chcą się goić. Porozmawialiśmy chwilę i zaczęłam nakierowywać rozmowę na magów admirała Traherna, którzy wywróżyli, że Sarzana jest już blisko.

- Najprawdopodobniej mają rację - odparł. - Wprawdzie nie wróciły mi siły magiczne, lecz podpowiada mi to wieloletnie doświadczenie.

- Mów dalej.

- Sarzana, zgodnie z tym, co nam powiedział, zatriumfował po raz pierwszy, gdy pokonał flotę konyańskiego króla. Jak myślisz, czy nie chciałby powtórzyć takiego zwycięstwa?

- Naturalnie. To pułapka, znana każdemu żołnierzowi. Wszyscy myślą, że jeśli raz im coś się udało, to uda się jeszcze raz, a potem następny i następny, aż w końcu trafią w pułapkę i dadzą się zabić wrogowi, który zdążył dokładnie poznać ich nawyki, lepiej, niż oni sami je znają.

- A co ważniejsze - dodał Gamelan - Sarzanie bardzo zależy, by jak najprędzej zniszczyć Nieskalaną Radę. Niedługo lud zbuntuje się przeciw jego krwawym rządóm - pod warunkiem, że będzie miał alternatywę. Ale jeśli zniszczy on jedyne źródło władzy w Konyi, wszyscy go zaakceptują w obawie, że zapanuje kompletny chaos. - Mag westchnął. - Jestem więc przekonany, że nasze spotkanie jest niedaleko.

- Niestety, jestem także pewien, że walka odbędzie się na terenie, wybranym przez Sarzanę - i Archonta. Może jestem próżny, lecz żaden z konyańskich magów, z którymi rozmawiałem, moim zdaniem nie może się poszczycić nawet połową mocy Sarzany, nie wspominając o jego potężnym stronniku... Bogowie - powiedział z furią - oto bitwa, w której będą ważyć się losy Konyi, a może nawet Orissy, a mnie równie dobrze można posłać na ulicę z żebraczym garnuszkiem! Rali, gdybyś wiedziała, jak gorąco się modliłem, by powróciła choć odrobina mej dawnej mocy!

- Wiem - odparłam. Zamilkłam na długo, a potem powiedziałam najłagodniej, jak potrafiłam: - Gamelanie, minionej nocy przyszła do mnie pewna myśl, która być może okaże się pomocna, więc gdybyś...

Odwrócił się jak fryga i złapał mnie za ramiona. Stał ze mną twarzą w twarz, jakby siłą woli chciał przywrócić sobie wzrok i zajrzeć mi w oczy.

- Mów, przyjaciółko. Zrobię wszystko. Wszystko, co zechcesz. Nie mogę już tego dłużej znieść.

Poczekalam, aż się uspokoi i powiedziałam: - Mimo twych nauk, nie wiem jeszcze zbyt wiele o magii, Gamelanie. To znaczy, nie potrafię odgadnąć, w jaki sposób przyszedł do ciebie Talent.

- Tak samo, jak i odszedł - odparł. - Nieproszony i nieoczekiwany. Teraz gorąco żałuję, że dotknęło mnie to przekleństwo... stokroć wolałbym zostać rybakiem i mieszkać na brzegu naszej rzeki.

- Tak właśnie myślałam - powiedziałam, nie zwracając uwagi na jego gorzkie słowa. - Wiem też, że zawsze traci się mniej żołnierzy, omijając silnie umocniony punkt, lub atakując go od tyłu, a nie szturmując go wprost, z wielkim krzykiem.

- A ja właśnie w ten sposób postępowałem. Chciałem zmusić moc, by do mnie powróciła. - A jaka jest okólna droga, moja przemyślna przyjaciółko?

- Kiedyś byłeś rybakiem, prawda? Właśnie wtedy ludzie spostrzegli, że masz powołanie do magii.

- Tak było.

- Wróć więc do tamtych czasów, a raczej do tamtego sposobu myślenia.

Są tu linki i haczyki. Może wziąłbyś się za wędkowanie? Niech same palce przypomną ci, o czym myślałeś wiele lat temu, gdy zawsze wracałeś z obfitym połowem.

Pokiwał głową z entuzjazmem, rozpogodził się, a ja zdałam sobie sprawę, że to pierwszy uśmiech, który zagościł na jego twarzy od wielu tygodni.

- Tak. Tak. Gdy mięśnie nauczą się, jak wiązać węzeł płaski, a jak babski, człowiek nigdy się już nie

pomyli, chyba że zacznie się nad tym zastanawiać, bo wtedy wyjdzie mu zwykły supeł. Może... może... - przerwał i ujrzałam, że oczy mu zwilgotniały. Odwrócił twarz.

Zawezwałam gestem jedną z towarzyszących mu gwardzistek i poleciłam, by przyniosła, linki, haczyki i wszystko, co będzie mu potrzebne. Kiedy powiedziałam Gamelanowi, że muszę się teraz zająć innymi sprawami, ledwo dosłyszał. Poruszał ustami, jakby już przepowiadał sobie minione, dawno zapomniane słowa.

Gdy tej nocy schodziłam pod pokład, przy relingu w dalszym ciągu majaczyły sylwetki dwóch gwardzistek. Przypomniałam sobie o Rianie, niespełnionej miłości jego życia i różne szeptane wzmianki o tym, jakich cudów potrafi dokonać magia seksu. Przez krótką chwilę pożałowałam, że jedna z jego towarzyszek nie ma naturalnego upodobania do mężczyzn, ale zaraz pokręciłam głową. To głupie. Zrobiłam już wszystko, co potrafiłam.

Zdarzyło się to po wieczornym posiłku, gdy na pokładzie pomagałam łuczniczkom robić strzały. Starannie przycinałam pawie pióra pod odpowiednim kątem i ostrzyłam dudki dokładnie według wskazówek gwardzistki - kaprała, która trzymała garnek z klejem. Obok mnie Corais owijała cięciwę jedwabiem. Gdy funkcyjna zdecydowała wreszcie, że zrobiłyśmy dość strzał, by wyposażyc cały pułk, moja zastępczyni również skończyła pracę. Podeszłam do relingu, by obserwować na zachód słońca. Ten widok nie opatrzył mi się nigdy, podczas całego rejsu.

Corais wciąż miała łuk w ręku i machinalnie wcierała w piękne cisowe drewno oliwę, podczas gdy rozmawialiśmy na różne tematy. Uświadomiłam sobie, że ma tę piękną broń od czasów rekruckich, a ja nie wiem nawet, skąd ją wzięła. Spytałam, czy to pamiątka rodzinna. Potrząsnęła głową, a potem spojrzała na mnie, zaskoczona. Przez wiele lat przyjaźni dzieliłyśmy się wieloma tajemnicami, a mimo to jeszcze pozostała nam jakaś rzecz, o której nic nie wiedziałam.

- Sama go zrobiłam - odparła. - Trwało to pięć lat, a zaczęłam, gdy byłam dziesięciolatką. Był w naszej wiosce pewien mężczyzna, który mnie fascynował.

- Fascynował cię mężczyzna? - zażartowałam. - Nie byłaś ty przypadkiem młodą gąską, z pragnieniami ponad swój wiek? Nic dziwnego, że na krótki czas potem padłaś ofiarą zboczenia i odeszłaś od swej prawdziwej natury, jak to mówią kapłani i inni mężczyźni.

Zmarszczyła nos. - Jak ci wiele razy opowiadałam, nasza wioska od zarania dziejów była nudna. Poza świętem najdłuższego dnia w roku, dożynkami i najkrótszym dniem w roku, można było tylko przyglądać się, jak rośnie rzepa - ot, i całe wiejskie rozrywki. Mieszkali tam tylko chłopci, kapłan, oszust sklepikarz i... właśnie ten człowiek. Nazywał się Sollertiana i robił łuki.

- Teraz rozumiem już naturę twojej fascynacji.

- Na pewno nie do końca - odpowiedziała. - To prawda, w jego warsztacie stały długie, lśniące kawałki drewna, które powoli stawały się śpiewakami śmierci, a obok nich leżały długie brzechwy, ozdobione gęsiami piórami. Lecz to Sollertiana mnie fascynował, a nie jego opowieści, ani też klienci, którzy pokonywali długą drogę z miasta do naszej wioski, choć na zamówiony łuk musieli zwykle czekać ponad rok. Powoli docierała do mnie świadomość, że nie jestem taka, jak inne dziewczynki, nie potrafię udawać strachu na widok chłopca i uciekać przed nim z nadzieją, że może włoży mi swój świński ogonek i trochę nim pomajstruje. Wyczuwałam, że Sollertiana także jest inny.

Wiedziałam o tym na pewno, gdy łuk był już gotowy, a ja miałam piętnaście lat, gdyż nie raz spostrzegłam, jak z okna w warsztacie, w które wprawiono świński pęczek zamiast szyby, wygląda za każdym przechodzącym młodym chłopcem. Rozpoznałam w nim tę tęsknotę, która opanowywała mnie samą na widok jednej, może dwóch dziewcząt z naszej wsi.

- Lecz, tam, gdzie mnie udało się zaznać nieco przyjemności, choć jedna twierdziła, że spała, a druga, że była pijana, Sollertiana nie mógł sobie pofolgować. Gdyby nasz kapłan zaczął go podejrzewać, podburzył by chłopstwo, które spaliłoby naszego mistrza razem z jego domem.

Parsknęła pogardliwie. - Naturalnie, ten sam ksiądz nie przejmował się za bardzo, gdy jakaś kobieta uskarżała się przed nim, że mąż ją bije, albo gdy gospodarz uważał, że ma prawo sypiać ze wszystkimi kobietami w swoim domu, nawet z własnymi dziećmi. Kapłani! - splunęła za burtę i podjęła opowieść.

- Raz w roku Sollertiana wyruszał do Orissy po jedwab i pawie pióra.

Mam nadzieję, że w mieście zaznawał niejakiej pociechy. Zawsze zastanawiałam się, czemu nie przeniósł się do miasta, choćby ze względu na swe skłonności. Raz spytałam go o to i odparł, że nie

potrafi oddychać pełną piersią, nie widząc, jak słońce wstaje na wschodzie i zniża się na zachodzie. Dusił się w mieście - wzruszyła ramionami. - Ale oddalam się od tematu. Wiesz już więc, dlaczego czułam się związana z Sollertianą. Nie dość, że mieliśmy podobne skłonności, to jeszcze wskazał mi drogę, którą powinnam podążać w życiu.

Wiedziałam, że nie chcę spędzić całego życia w tej wiosce, jako stara panna albo z mężczyzną, który będzie stękał i pocił się na mnie nocami.

- Ten łuk pochodzi z kępy trzech starych, potężnych czerwonych cisów, które rosły na tyle blisko świętego gaju, że nikt ich nie wyciął, lecz na tyle daleko od niego, że ścięcie jednego pnia nie było świętokradztwem. Gdy przyszedłam do Sollertiany i powiedziałam mu, że chciałabym mieć łuk, długi czas się we mnie wpatrywał. Myślałam, że powie: - Idź sobie już, dziecko, ja muszę pracować - jak to zwykle powtarzali dorośli. On zaś tylko kiwnął głową i tyle. W tydzień później zabrał mnie do lasu i pokazał tamto drzewo. Ściął je ręczną piłą, co zajęło mu prawie godzinę. Uważnie przepiłował pień na dwie części i zachował tę, która rosła zwrócona w stronę pozostałych trzech cisów.

Nie miała żadnych sęków, przerostów ani węzłów. Zabrał połówkę pnia na wzgórze, gdzie płynął krystalicznie czysty potok i starannie przywiązał go w wodzie.

Drewno moczyło się trzy miesiące, aż wypłukała się z niego część żywicy. Potem zabrał je do wilgotnej, ciemnej szopy i sezonował tam na stojaku tuż nad ziemią, przez ponad rok. Zastanawiałam się, czy może myślał, że już zapomniałam o moim łuku. Jeśli tak, to się mylił. Codziennie chodziłam odwiedzać „mój” kawałek drewna. Czasem miałam wrażenie, że dostrzegam, jak się zmienia i wysycha. Nieraz wydawało mi się, że widzę ukryty w nim elegancki kształt łuku. A Sollertiana stopniowo przenosił drewno w coraz to suchsze miejsca. Kolejny rok, poprzedzający wyginanie, cis przeleżał na otwartym powietrzu pod okapem warsztatu.

Przez cały czas suszenia, Sollertiana obstukiwał drewno delikatnie, aż powoli pozbawił je kory. Następnie z pomocą grubego pilnika, potem tłuczonego szkła, pumeksu, aż wreszcie miłkiego proszku, zaczął je ścierać. W miarę postępu pracy, powierzał mi coraz więcej czynności. W końcu, miałam w ręku coś, co prawie przypominało łuk. Wtedy przyszedł czas na najbardziej niebezpieczny etap. Rozciął drewno na dwie listwy. O mało nie umarłam, przekonana, że zniszczył całą naszą mozolną pracę. Zaś Sollertiana je pięknie ukształtował, spasował, skleił i ... tak powstał prawdziwy łuk!

Nawoskował i polakierował drewno i założył na oba końce nakładki z rogu jelenia, którego zimą sama wytropiłam i zabiłam z innego łuku. W końcu mi go dał - Corais z miłością spojrzała na swą broń. - Była to pierwsza rzecz, należąca jedynie do mnie, nie licząc kilku lalek od matki z czasów jej dzieciństwa.

Po niedługim czasie Sollertiana zmarł, a ja wyruszyłam do Orissy. I spotkałam ciebie.

Znowu pogładziła łuk. - Kiedy pozwalam sobie marzyć o przyszłości - powiedziała tak cicho, że musiałam się nachylić, by usłyszeć jej słowa - co jest głupotą w przypadku kobiety, która wybrała krwawe rzemiosło, chciałabym mieć mały warsztat, jak Sollertiana. Robiłabym łuki i strzały. Pewnie nigdy nie osiągnęłabym takiego mistrzostwa jak on, lecz nie jest to aż tak konieczne.

Takich rzeczy uczy człowieka żołnierskie życie.

- A gdzie zamieszkasz? - spytałam cicho, by nie spłoszyć marzeń. - W mieście?

- Nie. Widziałam już dosyć miast. Wystarczą mi Orissa i Likant.

Wszyscy myślą, że lubię wielkomijski gwar, światła i tak dalej, ale tak naprawdę, w sercu dalej jestem bosonogą dziewczuszką z nogami powalnymi świńskim łajnem. Wrócę na wieś. Ale nie do tej zasmarkanej wioski, z której pochodzę. Życzę im, żeby przeleciały się przez nich trzy albo cztery hordy barbarzyńców. Znajdę sobie jakieś miejsce, gdzie ludzie nie będą tak zadzierać nosa i wydawać pochopnych sądów.

Westchnęła. - Może znajdę wioskę, o której mi opowiadałaś, tam, gdzie urodziła się twoja matka, a ta dziewczyna na panterze dawno temu wszystkich uratowała i nauczyła ich trochę rozumu. Może przypominałabym im o różnych rzeczach, który powinni pamiętać.

Zapomniałam już, że kiedyś opowiedziałam jej, skąd się wzięło moje imię. Znowu uderzyło mnie, jak niewiele naprawdę o sobie wiemy... nie zdajemy sobie sprawy, co jest ważne dla innych, co porusza czułe struny w ich duszy.

- Może kiedyś przyjedziesz do mnie z wizytą - marzyła dalej. - Ty i jakaś twoja stała partnerka... kiedy zaczną nas boleć kości i znużymy się już żołnierką.

To by było coś prawda? Nagle do naszego zadupia przyjeżdża wielka pani Antero... pewnie będziesz już wtedy księżną albo kimś takim. Wypijemy karczmarzowi całe wino, do ostatniej kropelki i popsujemy wszystkie dziewice naokoło.

Morska bryza zapiekła mi w oczy, które nie wiadomo czemu zwilgotniały.

- Świetnie będzie - wybąkałam. - Na pewno się ubawimy.

- Tak więc znasz już historię mego łuku - powiedziała głucho - i wiesz także, o czym kiedyś marzyłam.

Powróciłam do rzeczywistości: - Jak to „kiedyś”?

Nie odpowiedziała, tylko powoli pokręciła głową, a jej ręka powędrowała do góry, tam, gdzie na ramieniu miała zawiązany pasek odcięty z szaty Sarzany.

Na ustach jej zastygł niewesoły uśmiech.

Być może pytałabym dalej, lecz nagle na dziobie okrętu zrobiło się zamieszanie i rozległ się okrzyk: - Złapałem ją! Na bogów, zaczynam je przyciągać!

Był to Gamelan, uśmiechnięty od ucha do ucha. Przysięgam, że biegnąc w jego kierunku widziałam, jak w niewidomych oczach maga błysnęła radość.

Jedna z jego towarzyszek podniosła wysoko w górę wielką, trzepoczącą się rybę, chyba dorsza, a potem rzuciła nią o pokład i zabiła.

- Czułem, że tam jest, Rali - powiedział mag. Zdziwiłam się, skąd wie, że to ja przed nim stoję. - Przyciągnąłem go do siebie i czułem, że tam jest.

Wyszedł z głębiny w poszukiwaniu pożywienia, a ja mu powtarzałem w kółko, że ten kawałek tkaniny, który porusza się przed jego nosem, to najśłodszy kąsek, jakiego zasmakował w życiu, a potem on rzucił się na przynętę i już był mój!

Nagle jego uśmiech zniknął.

- Rali... czy to do mnie wraca?

- Oczywiście - odparłam, zmuszając się, by w moim głosie dźwięczała pewność i starając się sama siebie przekonać. - Oczywiście, że wraca.

Tego wieczora poszłam do kabiny Gamelana i powiedziałam mu, że moim zdaniem nie możemy znajdować się tak blisko przeciwnika i nic o nim nie wiedzieć. Podobnie jak on, nie żywiłam szczególnego zaufania do umiejętności konyańskich magów, a potrzebowałam więcej informacji.

Szarpnął brodę, mruknął, że ryzyko jest chyba za duże, zreflektował się i przeprosił.

- Nie wiem, czy te zaklęcia podziałają - powiedział. Wysyłanie ducha w świat to nie najprostsza magia. Nie zaleca się jej nawet doświadczonym Mistrzom Magii - wędrowcom. Lecz czasy są niebezpieczne i kto potrafi orzec, co wolno, a czego nie? Potrzebne jest nam jakieś stworzenie, żebyś mogła ukształtować się na jego podobieństwo. Jak sądzę, wiesz dobrze, że tak na prawdę nie przybierasz innej postaci, chyba, że Janosz Szary Płaszcz miał rację i wszyscy jesteśmy tylko odmiennymi przejawami tej samej siły. Głęboko zastanawiałem się nad tą koncepcją, lecz jeszcze jej do końca nie pojąłem.

- Dlaczego nie wysłać po prostu mego ducha? Przecież w ten sposób zaatakował nas Archont. Wolałabym być niewidzialna, a nie przyjmować fałszywą postać.

- Kłopot w tym, moja droga przyjaciółko, zakładając, że zakłęcie się powiedzie, że jako duch byłabyś niemal całkiem bezbronna. Nie, przebranie jest dużo lepsze. Być może jest bezpieczniejsze dlatego, że realna postać mocniej zwiąże cię z naszym światem i da ci siłę. Nie wiem tego na pewno, lecz taką mam teorię. Lepiej martwić się, że, jeśli staniesz się na przykład delfinem, wypatrzy cię bystrooki marynarz i sięgnie po harpun, niż zaryzykować, że zostaniesz dostrzeżona przez maga w rodzaju Sarzany albo Archonta. Jeśli rozciągnęli prawdziwe magiczne sieci, twój duch byłby dla nich równie widoczny, jak wschodzący księżyc. Mistrz magii - a obaj są na tym poziomie - w jednej chwili potrafi wysnuć zakłęcie zaczepne i przeciąć nić, łączącą twego ducha z ciałem. Wtedy będziesz skazana na wieczną wędrówkę pomiędzy światami, jako widmo.

Zadrżałam, przypomniawszy sobie, jak mag Raveline z Zamorskich Królestw podstępem zwabił mego nieszczęsnego brata Halaba, by wziął udział w magicznym pojedynku, schwycił go w pułapkę i zniszczył. Nie pozostało po nim nawet ciało, nad którym można by było odprawić ceremonię pogrzebową i duch Halaba znalazł spoczynek dopiero wtedy, gdy Amalryk zabił maga po walce, stoczonej w nawiedzanych przez demony ruinach.

Odepchnęłam od siebie tę myśl. - Ale w jakie stworzenie mam się zmienić, Gamelanie? W albatrosa?

- W żadnym wypadku.

Uśmiechnęłam się, udając, że wielce mnie tym uraził. - A dlaczegóż to nie? Czy nie byłby ze mnie piękny morski ptak? Zawsze mi się podobały...

latają wysoko nad morzami i lądami, zniżając się ku ziemi tylko po jedzenie i sen.

- Podobają ci się... podobnie jak wszystkim innym początkującym taumaturgom - odpowiedział. - Jeszcze przyczep sobie do ogona wstęgę z napisem „To ja, Rali. Jestem na przeszpiegach” i nie trzeba będzie tracić czasu na rzucanie zaklęć ochronnych.

Zrozumiałam, o co mu chodziło. Po chwili mieliśmy już gotowy nieco bardziej subtelny plan i wraz z jego dwiema pomocnicami poszliśmy przynieść niezbędne składniki zaklęć. Powiedziałam Xii, co zamierzam zrobić. Z początku protestowała, lecz wkrótce ucichła, pośpiesznie skinęła głową i uciekła do kabiny, cała zapłakana. Nie poszłam za nią, gdyż nic by to nie dało. Czasem łatwiej jest być wojowniczką, niż ją kochać.

Opowiedziałam Corais i Polillo zarysy mego planu i przekazałam im dowództwo. Nie musiałam wiele wyjaśniać. Jako wojowniczki, zrozumiały wszystko bez zbędnych słów. Polillo skrzywiła się i chciała coś powiedzieć, ale tylko zacisnęła wargi. Pewnie chciała ostrzec mnie przed magią, której bała się bardziej, niż regimentu wrogich żołnierzy.

Dopiero po północy zebraliśmy wszystkie potrzebne przedmioty.

Gamelan uznał, że i tak szybko się z tym uwinęliśmy. W ten sposób ja, czy też to coś, co miało pędzić na skrzydłach wiatru, mogło o świcie znaleźć się w pobliżu miejsca, gdzie prawdopodobnie stacjonowała armia Sarzany.

Gamelan polecił, by na przednim pokładzie rozstawiono namiot i otoczono gwardią, by powstrzymać ciekawskich. Opiszę to zaklęcie ze szczegółami, na dowód, że magia niekiedy jest równie męcząca, niż wykonanie tego samego zadania w „normalny” sposób. Część pierwsza polegała po prostu na tym, by nakłonić mego ducha - tak go nazywał Gamelan, choć zaznaczył, że słowo to niedokładnie oddaje elementarną istotę duszy - by w kilka godzin pokonał odległość równą tygodniowi żeglugi.

- Uczniowie nie zdają sobie sprawy z jeszcze jednej rzeczy - dodał mag. - Powiesz parę prostych słów i hop! - już jesteś rybą. I natychmiast umierasz, z braku wody. Albo wyrzucają cię za pokład i musisz dwa tygodnie płynąć, zanim dotrzesz do celu. Czasami - powiedział wielce urażonym tonem - chce mi się płakać, kiedy ktoś twierdzi, że z pomocą magii można dokonać wszystkiego, czego tylko się chce.

- Pierwszą część podróży odbędziesz na skrzydłach wiatru. Będziesz niemal tak samo bezbronna jak duch, lecz nie aż tak bardzo. Kiedy zbliżysz się do twierdzy Sarzany, będziesz postępować zgodnie z naszym przemyślnym planem. Mam nadzieję, że to rzeczywiście przemyślny plan...

Polecił mi rozebrać się do naga i posmarować balsamem, który wcześniej przyrządziłam według jego wskazówek. Skóra zaczęła mnie piec. Mag wyjaśnił, że między innymi o to mu chodziło, gdyż w ten sposób dusza chętniej wyjdzie z ciała. Najważniejszymi składnikami tej maści były zioła, takie jak werbena, imbir i hyzop, olejki, które zabrał ze sobą, i nieco skóry z pustego worka po magicznym wietrze, zmielonej na proszek. Ten ostatni składnik zawierał magiczną esencję wiatru i zaklęcia, które go przytrzymywało. Do olejków dodano także inne składniki, które miały mi posłużyć w czasie drugiego etapu podróży.

Na trójnogu płonął ogieniek, cuchnący gorzej, niż pogrzebowe stosy, które ułożyłam, odwracając zarazę. Mag wyjaśnił, że to płonie kawałek żagla, który podtrzyma wiatr i uniesie mnie do góry. Oprócz tego dodał do ognia miętę, konopie i mirrę.

Wcześniej nauczyłam się odpowiednich słów, które teraz wyrecytowałam, stojąc nago przy ogniu. Gamelan czekał w pobliżu. Chciałam, by mi pomógł, lecz on obawiał się, że jego zagubiony Talent może przyćmić zaklęcie i zniszczyć całą naszą pracę. Na początku wyrecytowałam imiona dziesięciu tutejszych bogów i bogiń, które mogły być pomocne przy tym czarze: boga burz, bogini morza, boginek tańczących z wiatrem, nimfy-zefirka, którą Xia pamiętała z dzieciństwa i kilku innych. Nie będę ich wszystkich wymieniać, choć dobrze wszystkich pamiętam, gdyż zdaniem większości magów, bogowie mają moc tylko w krainach, gdzie oddaje się im cześć. Jeśli ktoś zechce powtórzyć to zaklęcie, powinien posłużyć się imionami swoich bogów, albo nie przywoływać nikogo, jeśli zgadza się z moim poglądem na charakter bóstw w ogólności.

Potem wyrecytowałam właściwe zaklęcie: - Poczuj wiatr, Dotknij wiatru, Oddal się od siebie.

Wiatr twoim bratem, Jesteś wolna, Śmigaj, śmigaj po niebie.

Mówiąc te słowa, rozsypywałam nad trójnogiem kawałeczki papieru, na którym przed podarciem wypisałam te same słowa. Gorący dym unosił je do góry, a ja czułam, że ręce mi wiotczeją, jakbym miała gorączkę. W pewnej chwili ujrzałam w dole moje ciało, które ciężko usiadło, a potem opadło na ziemię. Nie mogłam jednak dłużej mu się przyglądać, ani też nie miałam na to ochoty, gdyż posłyszałam szelest liny, którą Gamelan odciągnął je na bok, a nade mną zamajaczyły gwiazdy na czarnym niebie i oto byłam wolna.

Coś pchnęło mnie wysoko w powietrze, w przelocie ujrzałam znajomą konstelację, uświadamiając sobie, że podążam na południe. Nie byłam na skrzydłach wiatru, lecz stałam się samym wiatrem, a serce we mnie śpiewało.

Ciało moje spoczywało daleko, gdzieś w dole, lecz duch czuł, jak włosy rozwiewa mi pęd powietrza, gdy mknęłam przed siebie. Ciało przeszywały igielki zimna, jakbym skoczyła do lodowatej sadzawki tuż po wyjściu z sauny.

Wydawało mi się jakbym jednocześnie miała ciało i go nie miała. Nie musiałam odwracać głowy, by ujrzeć hen, w dali światełka naszych galer na tle czarnego morza, a jeszcze dalej ogniki - latarnie na masztach konyańskich statków.

W owej chwili zrozumiałam, czym może być magia i co może dać człowiekowi. Nie jest to czarna siła śmierci, stosowana w walce, ani też zestaw poplątanych słów i zaklęć, pozwalający unikać ciężkiej pracy fizycznej. Przez moment chyba nawet zrozumiałam Janosza Szarego Płaszca i współczułam mu, gdyż poczułam tę samą fascynację, która go w końcu zniszczyła.

Wyczułam, że przede mną rozpościera się ląd i po chwili wichura zaniosiła mnie nad archipelag dziesięciu, a może nawet dwudziestu wysp. Te najmniejsze wyglądały, jakby rozsypano je przed większymi. Wiedziałam, że to Alastory, gdyż podobnie wyglądały na mapach, gdy Konyańczycy pokazywali nam, gdzie prawdopodobnie skrył się Sarzana. Kiedy przelatywałam nad zewnętrznymi rafami, wyczuwałam, że w dole kryją się szpiedzy, wyczekujący pojawienia się naszej armady. Magiczna część mej istoty w dalszym ciągu zachwycała się możliwością widzenia od horyzontu po horyzont, lecz surowa wojowniczką przypomniała kapitan Rali, że nie uda się zaskoczyć Sarzany, gdyż dobrze rozstawił wartowników. Nie miałam zresztą na to większych nadziei, gdyż wartownicy w ludzkiej postaci byli najslabszym i najłatwiejszym do oszukania ogniwnem w ostrzegawczej sieci, otaczającej archipelag wroga.

Jego imię, które przemknęło mi przez myśl, sprawiło, że zaczęłam „wyczuwać” to, co znajdowało się przede mną, tak jak uczył mnie Gamelan. W ten sposób poszukiwałam zastawionych nad wyspami magicznych pułapek. Nic nie znalazłam, lecz wcale mnie to nie uspokoiło. Byłam jak świeżo zwerbowany rekrut, który idzie przed siebie, starając się uniknąć zasadzek, zastawionych nań przez szczwanego, doświadczonego wojownika.

Przedemną zamajaczyła największa wyspa. Nadszedł czas na drugą przemianę, która miała mnie

uczynić nieco mniej bezbronną. Wiatr, którym byłam, nie chciał przybierać innej postaci i rezygnować ze swobodnej włóczędzy, lecz umysł wyrecytował słowa: - Musisz się zmienić i przyjąć postać swego kuzyna.

Jesteś druhem wiatru jesteś z krwi i kości.

Masz postać, masz kształt i masz skrzydła.

Przez chwilę trwał zawrót głowy i oto wszystko się zmieniło. Stałam się materialną istotą i pochwycił mnie poryw wiatru, którym sama byłam jeszcze przed chwilą. Gamelan zasugerował przebranie nieco mniej ewidentne, niż albatros, a ja rzuciłam pomysł, który go zaskoczył. Dlaczego miałam zmienić się w pojedynczego ptaka? Jedno stworzenie może być szpiegiem, szczególnie, jeśli wskazuje na to jego dziwne zachowanie. Ale całe stado? Zdziwiony mag uniósł brwi a potem zachichotał i powiedział, że chyba rzeczywiście już czas, by magią zajęły się młodsze umysły. Oczywiście, czemu nie. Nic nie stoi na przeszkodzie.

Byłam stadem mew, kierujących się w stronę brzegu. Właściwie powinnam zacząć mówić o sobie jako „my”, lecz widzę właśnie, jak mój skryba spogląda z zakłopotaniem, więc chyba uproszczę moją opowieść. Dziwnie się czułam, będąc jednocześnie wieloma stworzeniami. Stałam się dziesięcioma, może piętnastoma ptakami, które myślały w ten sam sposób, lecz spoglądały każde własnymi oczyma. Przefrunęłam nisko nad skałą, która wychylała się z morza, właściwie omijając ją z obu stron. Jednocześnie oglądałam ją z przodu, z boków i z tyłu, wydawało mi się to jednak oczywiste i nie odczuwałam niepokoju ani dezorientacji.

Uniosłam się w niebo, gdyż stado znalazło się nad górzystą wyspą, przedzieloną niemal na pół długą, wąską zatoką. Obu przyładek strzegły miasta, a na końcu zatoki znajdowała się stolica, zwana Ticino. Nawet teraz, tuż przed świtem, na ulicach paliły się światła. Odniosłam wrażenie, że miasto jest niemal równie duże, jak Izolda.

Flota Sarzany kotwiczyła na redzie, otoczona kutrami strażniczymi.

Spodziewałam się wielu okrętów, ale zaskoczyła mnie ich liczba. Próbowałam je dokładnie policzyć, ale nie udało mi się. Oceniałam, że jest ich tam co najmniej ze czterysta, czyli tyle samo, co

w naszej armadzie.

Najprawdopodobniej wrogowie przewyższali nas liczebnie.

Zbliżyłam się do redy i przeleciałam nad nią na wysokości trzystu metrów. Wyglądało na to, że prawie wszystkie galery były potężnymi okrętami na wzór konyański, więc moja żołnierska dusza odczuła pewne zadowolenie.

Nowa taktyka mogła okazać się skuteczna. Przy samym brzegu kotwiczyły inne okręty. Pofrunęłam tam, lecz jakoś nie mogłam im się bliżej przyjrzeć. Wzrok mi się zamglił, tak jakby nieoczekiwanie woda prysnęła mi prosto w oczy zanim zdążyłam zamrużyć powiekami, albo jakbym oglądała nasłonecznione górskie zbocze, przesłonięte tumanem mgły.

Coś doradziło mi szeptem, bym się temu teraz bliżej nie przyglądała, bo jest na to za wcześnie. Pomimo wszystkich moich wysiłków, mgła w dalszym ciągu dzieliła mnie od okrętów.

Poniżej nie było oznak alarmu. Nieliczni marynarze na pokładach sennie wykonywali codzienne obowiązki. Nikt nie spoglądał w niebo, a nawet, jeśli ktoś uniósł głowę, widział tylko stado szaropióрых mew o rozdwojonych ogonach, które bez wątpienia przyleciały do zatoki w poszukiwaniu posiłku.

Postanowiłam zbliżyć się do miasta i jednocześnie do zagrożenia, które stanowiła magia Sarzany i Archonta. Lecz po raz drugi oczy me zasnuła mgła i nie mogłam dojrzeć szczegółów, choć byłam blisko, a bystre oczy mewy pozwalały mi wypatrzeć ławice małych rybek na płytkiej wodzie. Ponownie usłyszałam szept, który przybrał na sile, ostrzegając mnie przed zbliżaniem się do miasta. Rozsądek nakazał mi zawrócić i cofnąć się nad zatokę.

Nie dostrzegłam nic niepokojącego, lecz czułam, że niebezpieczeństwo było tuż, tuż. Zatoczyłam kilka leniwych kręgow, unosząc się coraz bliżej.

Słońce lśniło nad horyzontem, a cienie na łądzie i wodzie nabierały coraz ostrzejszych zarysów. Jak

na pierwszą wyprawę zwiadowczą, dowiedziałam się wystarczająco dużo.

Armada Sarzany rzeczywiście czekała na nas tam, gdzie jej się spodziewaliśmy, gotowa do walki. Lecz co oznaczały te zamglone obszary?

Nie wiedziałam tego, lecz przeczuwałam, że stanowią dla nas zagrożenie.

Cóż, trudno. I tak zrobiłam już bardzo wiele.

Postanowiłam wracać.

Później, moja rzeczywista postać wybrała się na wyprawę zwiadowczą innego rodzaju. Obiektem moich badań była Xia. Pamiętam powrót z dalekiej krainy, do której wysłały mnie jej dłonie i usta. Nic już nie wiedziałam, a moje ciało jak echo powtarzało potężną wibrację. Powoli uświadomiłam sobie, że księżniczka złożyła głowę na mym brzuchu. Udało mi się wydobyć z gardła mruknięcie. Na nic więcej nie było mnie stać. Zachichotała.

- Straciłaś świadomość, leżąc na mnie.

- Mhm.

- Założę się, że ta sztuczka uda mi się jeszcze raz - powiedziała i poruszyła palcami. Wystarczyło mi jeszcze sił, by przesunąć jej dłoń w górę, tak by spoczęła mi na piersi.

- Nie rób tego - poprosiłam. - Jestem jak klucha. Albo jak szmata.

Właśnie tak. Jestem jak naręczce mokrego jedwabiu.

- Naprawdę jesteś jak jedwab - zgodziła się, lecz pozostawiła dłoń tam, gdzie ją umieściłam. Po krótkiej chwili ciszy spytała: - Rali? Powiedz, co przyniesie przyszłość?

- Przede wszystkim odrobinę snu, ty nienasycona bestio.

- Nie o to mi chodzi. Co się zdarzy, jak zabijemy Sarzanę?

- Uwielbiam twój optymizm. Co zrobimy ze skóry na tym niedźwiedziu?

Dywan przed kominek, czy okrycie na zimę? Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale zanim zaczniemy się nad tym zastanawiać, czeka nas jeszcze pewna drobnostka.

- Na pewno go zabijemy, wiem o tym - odparła. - Odpowiedz mi na pytanie.

Usiadłam, zupełnie przytomna. - Będę musiała wrócić do Orissy.

- A co ze mną? Co z nami? Przecież nie będę mogła dołączyć do was, jako twoja towarzyszka, a przynajmniej nie na długo. Pochodzę z rodu Kanara.

Jestem jego ostatnim potomkiem.

- Ależ naturalnie, że nie chcę, byś się za mną włóczyła po świecie, moja miła.

- To znaczy, że chcesz zostać tutaj? Ze mną? Nie sądzę, by baronowie, czy inni władcy twojej krainy mieli coś przeciw temu, zważywszy ile dla nich uczyniłaś.

- Nie, na pewno się nie sprzeciwią - odparłam.

Położyłam się z powrotem i zaczęłam zastanawiać. Co będzie się z nami działo później? Ona pochodziła z wielkiego rodu i ja też, a na dobitkę dowodziłam Gwardią. Pochodzenie nie liczyło się tak bardzo, gdyż Amalryk na spółkę z naszymi debilnymi braćmi na pewno poradzi sobie z zarządzaniem majątkami. Ale czy chciałam oddać dowództwo? Czy miałam już dość żołnierki? Albo, jeszcze prościej: czy naprawdę chciałam opuścić Orissę na zawsze?

- Co miałabym do roboty, gdybym została z tobą? - spytałam.

- Zaraz ci pokażę - odparła i połaskotała mój sutek, aż stwardniał. - I tak dalej, bez końca.

- Nie o to mi chodziło... zaczęłam i ucichłam. Jakie to dziwne. Dotychczas to ja wiodłam prym we wszystkich związkach miłosnych. A ta smarkata osiemnastolatka właśnie zaplanowała mi przyszłość. Nie byłam pewna, czy mi się to podoba, ale pewnie w ten sposób zachowują się osoby królewskiego rodu.

Ach, przynajmniej pyta mnie o zdanie, skomentowałam kwaśno w myśli. Nie podobała mi się jednak rola pokojowego pieska, choć byłam pewna, że gdybym chciała, Xia poruczyłaby mi dowodzenie wojskiem. Szlachta zawsze potrzebuje miecza, by zachować pewność siebie. Ale jednak... mimo to...

Uciekłam od tej myśli, kierując się starą żołnierską zasadą, że pomyślę o tym jutro. Ach, do diabła z tym wszystkim. I tak nie ujdziemy z życiem z pola bitwy.

Poza tym, nie byłam w stanie myśleć, gdyż Xia natrafiła na zasupłaną jedwabną nić i rozplątywała ją starannie, drugą ręką wmasowując oliwę w mój brzuch.

W dzień albo dwa później, siedziałam o świcie na pokładzie i powoli się budziłam. Tuż obok sierżant Ismet ćwiczyła, rozciągając mięśnie. Skończyła i stanęła obok mnie przy relingu. Był

cudowny dzień. Niebo aż skrzyło się błękitem, a słońce witało nas jasnym blaskiem. Wietrzyk gładził czuby niskich fal, a galera pędziła przed siebie. Za naszym kilwaterem, płynęła reszta zwiadu a za nimi z kolei cała armada, podobna ciemnym kreskom na niebieskim tle.

- Jakie to dziwne... - powiedziałam smutno. - Oto płyniemy po romantycznym morzu, w cudowny dzień, idealny na wakacje, a wkrótce czeka nas bitwa.

- Wcale nie myślę o wakacjach, gdy widzę tę mgiełkę na horyzoncie i nie wiem, co się za nią kryje - odpowiedziała.

- A gdybyś nie była wojowniczką?

- Gdybym nie była wojowniczką, nigdy bym się tu nie znalazła, prawda?

I nie czekając na odpowiedź, dodała: - Pani kapitan wybaczy, ale muszę powyciągać z hamaków te leniuchy, bo czas na ćwiczenia - i odeszła.

To zdarzenie po raz kolejny przypomniało mi, że Ismet jest wielką zagadką. Może wam się wydawać, że była głupią, ponurą służbistką. To nieprawda. Kiedyś obserwowałam ją w towarzystwie słynnych poetów, gdy na równi z nimi recytowała stare eposy wojenne. Nie знаła jednak, albo nie chciała znać, ani jednej zwrotki z miłosnych ballad albo legend z czasów olbrzymów i wrózek, którzy podobno przemierzali nasze krainy przed nadejściem ludzi.

W dalszym ciągu żałuję, że nie potrafiłam jej zrozumieć. Nikt tego nie umiał. Kiedyś zastanawiałam się, czy Ismet nie jest wcieleniem jednej z cnót Maranonii i do dziś nie wiem, czy przypadkiem nie miałam racji.

Następnego ranka zawołał mnie Gamelan. Znalazłam go tam, gdzie zwykle najbardziej lubił łowić ryby. Siedział i nieomal świecił własnym blaskiem ze szczęścia.

- Popatrz - powiedział, gdy tylko nadeszłam. Siedział w kucki na pokładzie i gdyby nie szaty, wyglądałby jak każdy stary rybak, który z niechęcią spogląda na leżące przed nim splątane sieci.

Wyciągnął rękę, wnętrzem dłoni dotknął sznurów i uniósł dłoń jakieś sześć centymetrów nad siecią, po czym zakreślił kilka kół, przebierając palcami jak mackami ośmiornicy. Z trudem nadażałam wzrokiem za ich poruszeniami, lecz po chwili moją uwagę pochłonęły zwoje sieci. Poruszyły się z własnej woli, gdyż nic ich nie dotykało, sieć zwinęła się, opadła na pokład i leżała nieruchomo, w dalszym ciągu beładnie, lecz teraz już całkowicie rozplątana.

Kilku marynarzy i gwardzistek, obserwujących jego poczynania, zaczęło wiwatować, lecz on nie musiał patrzeć, by wiedzieć, co się stało. Uśmiechał się.

- Umiałem to robić w dzieciństwie - powiedział - więc i teraz umiem...

Mój Talent rzeczywiście powraca.

W kilka dni później ponownie wyprawiłam się do wrogiej twierdzy.

Wiedząc, że będę musiała bardziej się do niej zbliżyć, stworzyłam zabezpieczenie. Stadu mew nie łatwo byłoby uciec w przypadku zagrożenia, więc musiałam dodać sobie sprytu i szybkości. Nowy balsam zrobiłam w pobliżu dwóch talizmanów. Jako pierwszy posłużył mi kawałek szaty Sarzany, który Corais w dalszym ciągu nosiła jako symbol nienawiści do maga, drugim zaś był ów ohydny klejnot - serce brata ostatniego Archonta. Gamelan sprzeciwiał się temu z wielkim przekonaniem, lecz nie pozwoliłam mu się zawrócić z obranej drogi. Miała przed sobą bardzo ważne zdanie i wiedziałam, że jeśli pofrunę nad Ticino jako stado niepozornych mew, wystrzegających się ludzi i myśliwych, przemknę się do miasta i powrócę niezauważenie.

Dałam sobie dodatkową godzinę przed świtem na przespiegi. Nikt nie zwrócił uwagi, gdy zbliżałam się do stolicy archipelagu. Trzykrotnie okrążyłam ufortyfikowany port, lecz nie udało mi się spostrzec nic więcej, niż poprzednim razem. Zorientowałam się, że okręty spowija magiczna mgła. Na szczęście, tym razem mogłam dokładniej obejrzeć miasto. Było rzeczywiście wielkie. Ulic miało zaledwie kilka, gdyż domy, wille i place łączyła sieć kanałów. W samym środku stolicy rozsiadła się ogromna, stosunkowo niewysoka wieża, a raczej cały zamek, z licznymi wieżyczkami i umocnieniami

wokół dachu. Wokół rozpościerały się niezabudowane place, ozdobione rzeźbami, a do zamku wiodły cztery szerokie drogi, prowadzące do potężnych bram. Trudno byłoby zdobyć tę fortecę, więc miałam nadzieję, że dostaniemy w swe ręce Sarzanę i Archonta, w jego aktualnej postaci, w czasie walki morskiej i w ten sposób zakończymy długą wojnę.

Musiałam jednak zobaczyć coś więcej, a jedynym sposobem, by wyostrzyć wzrok, było zakłęcie, które jednak zwiększało zagrożenie. Musiałam jednak podjąć ryzyko. Zebrałam siły i ukształtowałam w myśli obraz Sarzany, takim, jakim widziałam go ostatnio - zdenerwowanego, w jedwabiach, na pokładzie galery. Ostrożnie rozpoczęłam zakłęcie, lecz w tym samym momencie obraz zniknął i na jego miejscu pojawiło się wyobrażenie groźniejszego nieprzyjaciela.

Straciłam kontrolę i umysł mój wypełniła postać Archonta na morzu pośród szalejących wulkanów. Na usta wystąpiła mu krwawa piana, płamiąc pożółkłą brodę. Świat zawirował i wymknął mi się spod nóg. Wir porwał mnie w stronę twierdzy.

Po chwili wszystko ucichło. Znajdowałam się w przestronnej, mrocznej komnacie, obwieszanej gobelinami, rozjaśnionej tylko blaskiem cienkich świec.

Nie byłam już mewą, a raczej całym stadem, ani też kobietą. Byłam duchem, obecnością i wpatrywałam się w jedyną osobę w pomieszczeniu, która nagle zdała sobie sprawę z tego, że nie jest już sama. Przy stole siedział Sarzana i wpatrywał się w wielką kałużę czegoś, co przypominało rtęć.

Oczy mu zabłyśły. - Antero - zgrzytnął, lecz nie swoim głosem, lecz tonem, który po raz pierwszy usłyszałam z czarnej chmury podczas szturm na likantyjski zamek. Sarzana syczał teraz jak żmija i cuchnął ohydny, mogilnym zaduchem. Wstał i podszedł do mnie dziwnym, nieznanym krokiem, który niczym nie przypominał małego człowieczka, którego uratowałam z Tristana. Takie długie kroki mógł stawiać tylko ten, który zamieszkał w jego ciele. To był Archont, mój najgroźniejszy wróg.

Sarzana ponownie odezwał się skrzypiącym głosem. Wiedziałam już, że to nie on porusza wargami i gardłem tego ciała. - Nie skończyłaś jeszcze z Likantem, Antero - powiedział i roześmiał się, jak Archont.

- Bardzo dużo się nauczyłem - dodał. Gdybym wiedział, jakie skarby tu na mnie czekają, odbyłbym tę

podróż dużo wcześniej. Wiele jest tu światów, ukrytych jeden za drugim, Antero. Mogliśmy wraz z bratem wyrwać im wszystko, co najlepsze i uczynić Likant potężniejszym, niż kiedykolwiek, potężniejszym, niż Zamorskie Królestwa i wszystkie krainy z dziecięcych baśni.

- W dalszym ciągu mam taką szansę - powiedział, podszedł do mnie i zawył z furią, jak wtedy na statku Symeona: - Zapłaciłem cenę, a walka jeszcze trwa.

Z dłoni wyrosły mu pazury, podobnie jak niegdyś bratu, lecz tym razem nie dzieliła nas stalowa zbroja, ani ciało.

Oba potwory - gdyż wahałam się nazwać ludźmi Archonta i jego nowego niewolnika Sarzanę - zawahały się na krótką chwilę, nieledwie ułamek sekundy, jakby chciały zgromadzić siły. W tym momencie zebrałam całą energię i pchnęłam mego ducha daleko poza mury twierdzy, na wolność. W mózgu mym wirowały obrazy: łasiczka, oblicze Gamelana, puzdro z sercem Archonta w środku, twarz Amalryka i matka, moja ukochana matka. W pędzie czułam, jak wyciągają się ku mnie macki Archonta.

Wciąż jednak byłam poza ich zasięgiem, a mój umysł odnalazł słowa zaklęcia i wyrzucił je w przestrzeń: Śmigaj w przestworza Swobodnie i lekko, Na morza, na morza Daleko, daleko.

Palce mego ducha „przypomniały sobie” pióro sokoła morskiego, które gładziłam na pokładzie statku i natychmiast stałam się tym ptakiem. Mknęłam nisko nad kanałami, wiatr świstał w mych lotkach i niósł hen, daleko, na morza.

Dusza sokoła pragnęła wzbić się w górę, wyżej, niż niebezpieczeństwo, lecz ja, Rali Emilie Antero, wiedziałam lepiej, co robić, by się wymknąć. Błyskawicznie przeleciałam pomiędzy tłumem łuczników, a potem przez port, robiąc ostre zwody i uniki. W kilka sekund pozostawiłam za sobą galery. Czułam za sobą dziką furię, która ścigała mnie jak ogary, pędzące po świeżym tropie, lecz byłam już poza jej zasięgiem. Wykorzystałam sprzyjającą chwilę, której Archont i Sarzana nie zdołali pochwycić.

Nad ujściem zatoki zwolniłam, zaklęciem zmieniłam postać i z powrotem stałam się wiatrem, wiejącym w kierunku morza. Zawirowałam, wzburzyłam fale i już mnie nie było. Wydawało mi się,

że „widzę” w niebiosach, za sobą, olbrzymiego orła, śmiertelnego wroga sokołów, który majestatycznie krąży i szuka mnie na morzu, lecz może tylko mi się tak wydawało. Nie mogłam tego sprawdzać, gdyż straciłabym zbyt wiele energii, ryzykując ponadto, że pozostawię za sobą ślad.

Udało mi się uciec Archontowi.

Druga taka możliwość nie będzie mi dana.

Gamelan bardzo się rozżłościł, gdy opowiedziałam mu, co mi się przydarzyło. - Archont ponownie cię naznaczył, Rali - stwierdził. - Będiesz jego pierwszym celem, gdy przyjdzie nam stoczyć bitwę.

- Ach, niech tylko spróbuje - powiedziałam i natychmiast zawstydziłam się brawury, godnej rekrutki, szczególnie gdy niewidzące oczy Gamelana wbiły się we mnie, a warga uniosła się ironicznie. Zanim powiedział to, co już sama wiedziałam, czyli że każde spotkanie z wrogiem zmniejsza me szanse, przeprosiłam za głupotę.

- Powstaje pytanie, jakiego rodzaju osłonę można ci teraz dać, byś miała z nim równe szanse, przynajmniej przez chwilę. Muszę pomyśleć. Muszę się nad tym dobrze zastanowić.

W tej armadzie, jedynie Gamelan zajmował się czymś tak mało spektakularnym, jak myślenie. Gdy zdałam admirałowi Trahernowi raport z tego, czego udało mi się dowiedzieć, zignorował wszelkie uwagi na temat Archonta, jakby w dalszym ciągu nie potrafił uwierzyć w istnienie magii.

- Wreszcie wpadł w pułapkę - odparł radośnie, polecił wciągnąć wszystkie żagle i zasiać do wioseł. - Tym razem Sarzana nam nie umknie.

Wiedziałam, że Sarzana nawet nie próbuje wypływać z zatoki, więc zaczęłam się zastanawiać, kto tu na kogo właściwie zastawia pułapkę. Dziwne wydało mi się także polecenie Traherna, by wszyscy siedli do wioseł. Przecież w ten sposób marynarze będą strudzeni jeszcze zanim rozpocznie się bitwa.

Nikt mnie jednak nie pytał o zdanie, więc milczałam.

W tydzień później znaleźliśmy się blisko Alastorów. Wydawało mi się, że rejs trwał całą wieczność, choć śmiertelnie bałam się bitwy, którą mieliśmy toczyć w obrębie tego archipelagu. Przez chwilę marzyłam, by wszyscy ludzie na świecie nauczyli się magii i mogli wysyłać swe dusze w powietrze, by rozkoszowały się swobodnym lotem. Ta beztroška myśl była dla mnie jedyną pociechą w otaczającym nas ponurym świecie.

Dwukrotnie jeszcze próbowałam wybrać się na przeszpiegi, lecz zawsze kończyło się na tym, że stałam nago, ociekająca oliwą i czułam się nieco głupio.

Archont, bo tak o nim myślałam, niezależnie od tego, w czym znajdował się ciele, zamknął przede mną drzwi na dobre.

Zawsze jednak można znaleźć inną drogę. Pod osłoną nocy i złej pogody zbliżyliśmy się do zatoki, a potem popłynęłam na przeszpiegi w szalupie, z dobraną grupą wojowniczek. Minęłyśmy dwa miasta na cyplach i ujrzałyśmy gotową do bitwy armadę. Nie, Sarzana wcale nie myślał o ucieczce.

W końcu nasze okręty dotarły do wysp i stanęły w szyku bojowym, tworząc trzy skrzydła. Admirał floty rozkazał wszystkim kapitanom zebrać się na statku flagowym, największej i, moim zdaniem, najmniej zwrotnej ze wszystkich konyańskich galer.

Udałam się tam z Gamelanem i Cholla Yi, który kipiał z gniewu.

- Ciekaw jestem tylko, w jaki sposób ten pomyłony dziadek postara się, by nas pozbawić chwały, która nam się uczciwie należy - warczał.

Zgodziłam się, że z pewnością będzie to coś bardzo głupiego. I rzeczywiście.

Polecił jednemu z adiutantów, wyróżniającemu się zdolnościami artystycznymi, namalować na mapie ogromny plan strategiczny, pokazujący, w jaki sposób admirał zamierza rozegrać tę bitwę. Był to bardzo piękny rysunek, gdyż chłopak miał czas dodać w rogach smoki, plujące morską pianą, syreny a nawet ze dwa, może trzy demony po bokach, tak, by nie przeszkodzić nam w napawaniu się geniuszem admirała Traherna. Szkic doskonale pasował do aksamitów i złocien w admirałskiej kabinie i do samego statku, przy którym galera, z której uratowałam Xię, wydawała się wzorem oszczędnej elegancji i umiarkowania. Wszędzie błyszczał wypolerowany mosiądz i białe jak śnieg plecionki z liny. Wachta i trapeziści byli odziani w biało-granatowe tuniki o długich rękawach, białe spodnie i rękawiczki, a stopy mieli bosc.

Krótko mówiąc, Trahern proponował by podzielić armadę na trzy jednostki bojowe. Jedna z nich miała po wejściu do zatoki trzymać się lewej, zachodniej strony. Miał nią dowodzić ten sam admirał Bhazana, który tak pragnął mojej głowy, gdy pochwycili nas Konyańczycy. Przynajmniej był to wojak z krwi i kości. Lewym, wschodnim skrzydłem kierował admirał Bornu, który, jak słyszałam, nie nadawał się do niczego, gdyż bardziej niż podległe mu statki, interesowało go kto aktualnie sypia z jego rozwiążą, bogatą żoną.

Środkowym skrzydłem i całą armadą miał dowodzić admirał Trahern.

Plan był prosty, co stanowiło jego jedyną zaletę. Armada miała wpłynąć do zatoki i napotkać flotę Archonta, na drodze do Ticino. Wtedy wszystkie konyańskie okręty miały zewrzeć się frontalnie z galerami Sarzany, dokonać abordażu i po kilku godzinach zwyciężyć. Tak w skrócie, wyglądała cała „strategia”.

Pieniłam się ze złości, widząc, że w tej bitwie nie przewidział dla nas miejsca. Zmusiłam się jednak, by spokojnie o to zapytać.

Admirał Trahern, nieco zdenerwowany, odparł: - Więc, kapitanie... do diaska, nie rozumiem, dlaczego nie nadaliśmy ci odpowiedniego tytułu, bo, psiakrew, trudno zapamiętać, że jesteś czymś więcej niż prostym oficerem...

więc pomyśleliśmy, że ty i twoi mężczyźni... to znaczy, twoi ludzie... będziecie rezerwą. Macie stać w gotowości, by zaatakować wroga we właściwym momencie.

Ten i ów parsknął śmiechem, gdy admirał powiedział „mężczyźni”, nie ze względu na gwardzistki, lecz na nieszczęsnych towarzyszy Nora.

Zignorowałam je. - To znaczy kiedy? - spytałam.

- No... naturalnie, na mój sygnał - wykręcał się admirał. - Albo wtedy, gdy złamiemy ich opór, może pomożecie ich dobijać. Właśnie, tak będzie najlepiej.

Już miałam wybuchnąć, gdy nagle w mej głowie powstał cały plan i zobaczyłam wszystko z krystaliczną jasnością, jakbym obserwowała bitwę, toczoną przez miniaturowe okręty pod szkłem. Dokładnie wiedziałam, co należy zrobić, a co ważniejsze, zdałam sobie sprawę, że admirał Trahern właśnie dał nam po temu sposobność. W tym momencie Cholla Yi, wściekły, skoczył na równe nogi, przewracając krzesło. Odwróciłam się do niego gwałtownie i czas zatrzymał się na chwilę. Pirat otworzył usta, by ryknąć z wściekłości, że znowu ktoś go odsuwa od zdobyczy, lecz spojrzałam mu prosto w oczy.

Przysięgam, że nie stosowałam magii. Nawet nie pomyślałam o zaklęciach.

Jednak w jakiś sposób przekazałam mu swoje myśli, gdyż gwałtownie zacisnął usta, odwrócił się i wyszedł bez słowa.

Admirał Trahern poczerwieniał, wyraźnie chciał rozkazać, by zakuto w kajdany tego niezdyscyplinowanego pirata, lecz prędko się opanował.

- Gorąco przepraszam za zachowanie mego ziomka - rzekłam gładko. - Po prostu poniosło go pragnienie, by wreszcie skończyć z tym złem. Nietrudno go zrozumieć, gdyż wszyscy podzielamy jego uczucia. Nieprawdaż?

- Skoro już wstałam - mówiłam dalej - chciałabym zadać pytanie, dotyczące strategii. Wydaje mi się,

że zapomniałaś, panie, o klątwie, która wisi nad tymi, którzy zabijają władców Konyi. Nieskalana Rada wysłała mnie - tu tonem głosu podkreśliłam wagę następnej frazy - oraz księżniczkę Xię - między innymi dlatego, by krew Sarzany nie splamiła rąk żadnego Konyańczyka. Czy to znaczy, że nie obawiasz się tej klątwy?

Kapitanowie konyańskich okrętów zaczęli coś pomrukiwać ze wzburzeniem. Na niejednej twarzy malował się lęk. Trahern odchrząknął.

- Co do klątwy - powiedział - no cóż, muszę przyznać, że nie do końca daję wiarę pewnym przekonaniom, które prosty lud uznaje za prawdę. Znaczy, co się stało z tym kimś, no, wiecie, co poderżnął gardło naszemu ostatniemu królowi, czy też zamordował go jakoś inaczej? Nie widziałem, żeby ulicami Izoldy uciekał jakiś duch ścigany przez hordę demonów.

Wybuchnął wymuszonym śmiechem, lecz nikt mu nie zawtórował.

- W rzeczy samej, kapitanie Antero, wziąłem tę klątwę pod uwagę.

Mamy szczerą wolę, by w pełni wykorzystać wasze siły zbrojne we właściwym momencie i w żadnym wypadku nie zamierzamy sprzeciwiać się zamierzeniom Rady - ta ostatnia myśl chyba go nieco zaniepokoiła. - Bądźmy jednak realistami. Przyznam, że jeśli Sarzana padnie w boju z ręki nieznanego żołnierza lub łuczника, wtedy postaramy się zrównoważyć te straszne kary, które mają spaść na duszę jego upiora honorami wojskowymi i wdzięczną pamięcią wszystkich Konyańczyków.

- Nie sądzę jednak, by coś takiego mogło się zdarzyć i dlatego też poleciłem waszym galerom stać w odwodzie. Gdy tylko osaczymy Sarzanę na okręcie flagowym i opanujemy pokład, dam wam sygnał flagą, lub z pomocą jednego z moich własnych magów, abyś przybyła ze swymi kobietami i zadała ten ostateczny cios, który oswobodzi nasze krainy. Cieszę się, że o to spytałaś, kapitanie, gdyż w ten sposób mogliśmy wyjaśnić sobie owo drobne nieporozumienie.

Nieporozumienie, też coś. Trahern był jeszcze większym durniem, niż się spodziewałam. Jasno widziałam, że zamierza zagarnąć całą chwałę z zabicia Sarzany, nie dbając o to, co się stanie z jego ludźmi. Ponownie przypomniałam sobie generała Jinnaha, który również wolałby przegrać wojnę, niż zaakceptować realia.

Skłoniłam się jednak z kamienną twarzą i przeprosiłam zebranych, mówiąc, że muszę ustawić galery w szyku i będę uważnie wyczekiwała sygnałów. Trahern wiedział, co myślę, a raczej tak mu się wydawało, i chętnie mnie pożegnał. Wzięłam Gamelana pod ramię i wyszliśmy z kabiny na pokład.

Cholla Yi, z twarzą aż czarną z gniewu, niecierpliwie spacerował wzdłuż relingu, sam, gdyż żaden Konyańczyk nie odważyłby się zbliżyć do tego zwalistego mężczyzny o włosach, przypominających kolce jeża. Już miałam do niego podejść, gdy powstrzymał mnie Gamelan. - Rali? - spytał cicho. - Powiedz mi, czy jest tu coś, co odbija światło?

Przez chwilę wydawało mi się, że zwariował, lecz szybko się uspokoiłam.

- Prawie wszystko - odparłam. - Admirał Trahern prawdopodobnie sądzi, że jeśli coś się rusza, należy mu salutować, a jeśli tkwi w miejscu, należy to polerować.

- Podprowadź mnie do czegoś takiego. Najlepiej, żeby było z metalu.

Niecały metr od nas na grodzi wisiała dziwna dekoracyjna tarcza z brązu.

Wykonałam polecenie.

- Wyjmij sztylet i ukłuj się w palec.

- Gamelanie...

- Rali, rób, co ci mówię!

Głos jego zabrzmiał rozkazująco. Tak, ten człowiek, choć teraz niewidomy, był niegdyś przywódcą wszystkich magów Orissy. Usłuchałam go.

- Rozsmaruj nieco krwi na brzegu tego przedmiotu. Na samym brzegu, i staraj się, żeby nikt tego nie zauważył. Rozejrzyj się, czy przypadkiem ktoś nas nie obserwuje.

Zrobiłam, jak kazał. Konyańczycy na pokładzie pracowali pilnie, gdyż był to jedyny sposób, by pozostać w admirałkiej załodze, niektórzy zaś ze zdziwieniem gapili się na Cholla Yi. Dotknęłam placem brzeżka tarczy.

- Zabieraj Cholla Yi i idziemy.

- Powiedz, co takiego zrobiłeś?

- Kiedy indziej.

Cholla Yi, w dalszym ciągu rozgniewany, siedział na rufie szalupy.

Popłynęliśmy prosto na jego galerę. Weszłam za nim do kabiny. Już miał sobie nalać kubek wina, gdy nagle zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na mnie z góry.

- No więc? - powiedział tylko.

Wyjaśniłam, o co mi chodzi. Trahern zaplanował niewypowiedziane głupi atak. W żaden sposób nie mogłam uwierzyć, że Sarzana się nas nie spodziewa. Wyglądało na to, że będzie zachwycony, jeśli Konyańczycy popłyną prosto w jego objęcia. Na pewno, oprócz przewagi liczebnej, krył w zanadrzu jeszcze coś.

- To oczywiste - przerwał mi Cholla Yi. - Dlatego właśnie chciałem powiedzieć temu idiocie z zarzyganym mózgiem... Nieważne. Mów dalej.

Podjęłam tok rozumowania. O co walczymy? O co nam chodzi?

- O Archonta - odparł pirat z urazą. - Zakładając, że jakieś zaklęcie nie pomieszało ci w głowie i jego cholerny duch, czy coś tam innego, zjednoczył się teraz z Sarzaną.

- Tak jest. Kiedy go zabijemy, albo nawet pochwycimy, będzie koniec wojny. Zgoda?

- Zgoda.

Powiedziałam, że nie zamierzam poświęcać moich wojowniczek, ani piratów Cholla Yi, dla kaprysu Konyańczyków, jeśli nie zbliża nas to do celu, wytkniętego przez władców Orissy. Ta bitwa zmieni się w krwawą jatkę, nawet jeśli Sarzana nie przygotował żadnych brzydkich niespodzianek.

Zakładam, że Cholla Yi zamierza powrócić do Orissy na statkach i z załogą, albo też, jeśli planuje pozostać w Konyi, będzie chciał mieć do dyspozycji flotyllę, która unosi się na falach, a nie tkwi na dnie Zatoki Ticino.

- Jasna sprawa.

Niech więc admirał Trahern nadaje nam dowolnie wybraną nazwę.

Możemy być lotną rezerwą albo nawet różowymi świnkami. My ścigamy Sarzanę. Jeśli go dopadniemy, wszystko, co zrobimy potem, zostanie nam wybaczone.

- Święta prawda. Poza tym, mamy ze sobą tę twoją ptaszynę, księżniczkę, która będzie świadczyć za

nami, gdy wrócimy do Konyi.

- Tak jest.

Wymyśliłam, że w czasie, gdy trzy skrzydła armady zewrą się z wrogiem, ja przygotuję zaklęcie, które odnajdzie tego drania, a wtedy zaatakujemy jego statek, nie dbając o nic i nikogo.

- W zamieszaniu podczas bitwy, taki plan ma całkiem spore szanse na sukces, jeśli zaatakujemy śmiało - odparł Cholla Yi, a jego gniew topniał z każdym słowem. Jeśli uderzymy razem, na przykład w szyku żurawim, przebijemy się przez tłum...hmm. W dodatku, jeżeli to my przywieziemy głowę Sarzany i załatwimy jakoś tego przeklętego Archonta, żeby poszedł na samo dno piekła i to na dobre... ach, niech to jasny szlag! Wtedy będziemy mogli przezwąć Izoldę Yi, albo Antero, jeśli nam się tylko zachce.

Wreszcie nalał to wino, ale dwa kubki i z ceremonialnym ukłonem wręczył mi jeden.

- Kapitanie Antero - powiedział. - Moim zdaniem nie tylko wymyśliłaś plan, który okryje nas chwałą, co oznacza złoto, lecz także większość z nas przeżyje tę bitwę i z radością je wyda. Jesteś prawdziwym wojownikiem, kapitanie.

Chciał coś jeszcze dodać, pohamował się i pociągnął łyk. Popijając wino, zastanawiałam się, co też chciało mu się wymknąć: „jak na kobietę”? „szkoda, że urodziłaś się z dziurą” „prawie jak na mężczyznę przystało?” Nieważne. Skończyłam wino i wróciłam do siebie.

Tej nocy nikt nie spał.

Następnego ranka ruszyliśmy do bitwy.

ZBROJNY PÓŁKSIĘŻYC

Okręty Sarzany czekały, ustawione w wielkie półkole, blokując całą zatokę, od płycizn na wschodzie po strome skały na zachodzie. Widziałam, jak promienie słońca odbijają się od zbroi przeciwników.

Galery nasze kołysały się na łagodnej fali. Uniosły się wiosła i trzy skrzydła floty ruszyły na spotkanie zbrojnego półksiężyca. Nie złożyliśmy masztów, gdyż później w ciągu dnia mogliśmy potrzebować pełnej szybkości przy manewrach. Galera Cholla Yi była oddalona od nas o kilkanaście metrów.

Przez głowę przebiegła mi ponura myśl, że oto jesteśmy biernymi widzami wspaniałego meczu, w którym główną nagrodę stanowi ludzkie życie. Obok mnie na tylnym pokładzie stała Xia, przyodziana w nową zbroję, z mieczem u pasa. Chciałam odkomenderować kogoś do opieki nad nią, lecz się nie zgodziła.

Corais, Polillo i Gamelan również czekali na pokładzie, podobnie jak Stryker i Duban. Gamelanowi towarzyszyły dwie wojowniczkę. Jedną z nich, Pamphylia, doskonale służyła mu jako „oczy”, a jej cichy głos stał się nieodłącznym elementem obecności maga. W słońcu błysnęły pióra wioseł, gdy ruszyła armada Sarzany. Wiatr, dmący w stronę Ticino ucichł nagle i zastąpiła go przeciwna bryza, w odpowiedzi na magiczne wezwanie naszego wroga.

Wiała nam prosto w twarz, na południe, a żagle okrętów Sarzany wypełniły się i wyduły. Konyańscy magowie odpowiedzieli zaklęciem, więc żagle załopotały nagle, gdy kontr-zaklęcie złamało magię wiatru Sarzany. Zaczęło wiać ze wszystkich stron, a w powietrzu utworzyły się wiry. Cholla Yi basowym głosem wydał rozkazy i my również ruszyliśmy, cały czas zachowując właściwą odległość od linii frontu; znajdowaliśmy się na tyle blisko, by pośpieszyć z pomocą na ewentualne wezwanie, lecz na tyle daleko, by nie pozwolić się związać w walce.

Poczułam nagłą ochotę, by znów zmienić się w stado mew i obserwować walkę z góry. Na szczęście zwierzyłam się Gamelanowi, który skrzywił się i odparł: - Rali, miałem wrażenie, że cię czegoś nauczyłem i że jesteś dość inteligentna. Jak myślisz, co się stanie, gdy poszybujesz tam w górę? Będiesz jak wiejski głupek, co wybiera się na piknik na pole walki, by popatrzeć jak leje się krew. Niech no tylko wypatrzy cię jeden z naszych potężnych wrogów, w powietrzu, bez osłony, bez

możliwości ukrycia się! Kobieto, czy ty uparłaś się szukać kata na swoją szyć?

Taką dał mi nauczkę.

Nie przeszkadzało mi to, że zabronił mi latać, gdyż miałam coś w rodzaju wizji... a nawet więcej, gdyż nie była to iluzja, lecz ogląd pola bitwy z wysoka, jakbym zawisła na niebie, albo patrzyła ze szczytu urwiska na zachodzie na wszystko, co działo się tego straszliwego dnia. Podobnie jak Konyańczycy, Sarzana podzielił swe okręty na trzy grupy. Być może stało się to za sprawą przypadku, a może taka była zwykła taktyka na tych wyspach, ale dla mnie nie był to bynajmniej dobry omen, gdyż sugerował, że nas szpiegowano, bezpośrednio, lub za sprawą magii. W ten sposób Sarzana chytrze sprawił, że każda z jego jednostek mogła niezależnie, z równą siłą odpowiadać na ataki naszych trzech skrzydeł.

Próbowałam ogarnąć wzrokiem zatokę z tyłu za zbliżającym się półksiężycem, lecz ponownie na przeszkodzie stanęła ta zaskakująca „mgła”, leżąca nisko nad wodą między nami a miastem. Teraz już domyślałam się, co skrywa ta zasłona: Sarzana z pewnością opracował nową magiczną broń, którą zamierza zastosować we właściwym momencie. Był to drugi zły omen. Potem spostrzegłam, że na zachodnim urwisku nie ma żywego ducha. To wydało mi się jeszcze dziwniejsze, gdyż zwykle, gdy bitwa morska toczy się w pobliżu miast, cała ludność wybiega na brzeg, by okrzykami zagrzewać swoich żołnierzy do boju, obserwować, jak potoczą się losy bitwy, a więc i ich samych, a przede wszystkim, oglądać niezwykle widowisko. Ciekawa byłam, co stało się z mieszkańcami Ticino. Przez chwilę zastanawiałam się, czy, jeśli Sarzana poniesie klęskę, nie wkroczymy do miasta, którego ulice będą splamione zakrzepłą krwią.

- Strzelają - mruknął Stryker. Dostrzegłam rozbryzgi wody przed pędzącymi konyańskimi galerami.

- Świetnie - Polillo starała się, by jej głos zabrzmiał optymistycznie. - W ten sposób zmarnują wszystkie pociski na strzelanie do fal.

Widać było, jak na dziobach nieprzyjacielskich okrętów łyżki katapult odginają się do tyłu i wyrzucają w powietrze potężne gązdy. Wydawało mi się, że słyszę, jak drewniane ramiona z hukiem uderzają w pokryte skórą belki.

Następnie żołnierze ściągali je do dołu i przygotowywali do kolejnego strzału.

Na Izoldzie mówiłam admirałowi Trahernowi, że konyańskim okrętom brakuje wyposażenia tego typu, lecz zbył mnie stwierdzeniem, że w tych krainach toczy się wojnę bez użycia machin: o wygranej decyduje stal i krew, a nie drewno, sznury i żelazo, więc do zwycięstwa wystarczą katapulty, które już przedtem zamontowano na konyańskich galerach. Nie interesowało go również zastosowanie nowej broni, którą właśnie skończyłam projektować.

Niewątpliwie nie nauczył się oczywistej prawdy, że w walce nigdy nie ma dość oręża.

Poczułam na plecach macki strachu. Oprócz strachu ogarnęło mnie przekonanie, że klęska jest nieunikniona, a ja nie nadaję się do niczego jako dowódca, a właściwie nawet stanowię zagrożenie dla mych podwładnych.

Znałam to uczucie. Archont dawno temu zastosował wobec nas to samo zaklęcie, w bitwie pod wulkanami. Było ono wprawdzie niepokojące, lecz do zniesienia, ponieważ się z nim wcześniej oswoiłam. Z konyańskich statków dobiegły mnie okrzyki przerażenia. Zakłęłam. Gdy ostrzegałam magów z Izoldy przed sztuczkami Archonta, zapewniali mnie, że kontr-zaklęcia nie sprawią im trudności. Jeśli nawet zadali sobie trud, by coś przygotować, okazało się to nieskuteczne. Przypomniałam sobie malowidło na ścianie naszej zbrojowni w Orissie, na którym przedstawiono zwłoki gwardzistki na polu bitwy. Nad nim zaś wypisano ponure hasło: NIE BĘDZIESZ NIEDOCENIAĆ NIEPRZYJACIELA SWEGO. Konyańczycy właśnie zaczęli uczyć się tej prawdy na własnej skórze... zapomnieli już, że Sarzana bez trudu pokonał ich najlepszych magów. Nie mogłam tego pojąć, ale chyba zwycięzcy mają jeszcze krótszą pamięć, niż pokonani.

Okręty Sarzany znalazły się już w zasięgu strzałów. Do akcji weszły kolejne maszyny bojowe - kusze, których ostre pociski darły żagle, niszczyły nadburcia i często trafiały konyańskich żołnierzy. Te na czele armady plunęły „ognistymi palcami”, jak je nazwałam, i wiele naszych galer stanęło w płomieniach. Wypatrywałam, czy pociski przypadkiem nie wylatują z jednego statku, którym prawdopodobnie byłby okręt flagowy Sarzany, ale chyba wszystkie galery były wyposażone w tę broń. Archont wyraźnie udoskonalił swe zaklęcie.

Niedaleko nas jakiś okręt zszedł z kursu i trzepotał wiosłami, jak wodny żuk w panice na widok wychylającego się z głębin karpia. Gdy się do niego zbliżyliśmy, ujrzałam, jak na pokładzie żołnierze i marynarze walczą rozpaczliwie z niewidocznym dla mnie wrogiem. Po krótkiej chwili

okazało się, że pokład pokrywała masa wielkich żmij, które zwiły się i atakowały ludzi z nienaturalną energią. Ponieważ nie widziałam, by okręt dosięgnął wcześniej pocisk z katapulty, który niósłby zdradziecki ładunek, domyśliłam się, że węże opadły na pokład drogą magiczną.

- Nienajgorsze sztuczki zna ten Sarzana - skomentował Gamelan, gdy Pamphyllia opisała mu tę scenę.
- Sam bym na to nie wpadł. Warte uwagi.

- Może Sarzana, a może Archont - odparła cicho Corais. Polillo zadrżała, więc ukradkiem ujęłam jej dłoń, by się uspokoiła i puściłam, zanim ktoś coś zauważył. Odzyskała wigor w jednej chwili i znowu była sobą - chłodną, gotową do boju wojowniczką.

- Zapominamy, że Archontowie władali Likantem nie tylko magią, lecz także dzięki swym talentom wojskowym.

Xia wyglądała na zmartwioną i przerażoną. Nic dziwnego, gdyż była to jej pierwsza bitwa. - Co to oznacza? - spytała.

Chciałam ją jakoś uspokoić, ale uprzedził mnie Stryker: - Kapitan Antero mówi, że dobrze byłoby, jakby byk zatłukł lansjera, zanim ten drań mu ucieknie na koniu.

Konyańskie okręty rzeczywiście zbliżyły się do przeciwnika powoli, uparcie, jak byk, nie zważając na deszcz pocisków. Pamiętam, jak kiedyś atakowano nas w ten sposób, choć zapomniałam już, co to była za przygraniczna potyczka. Przeciw łucznikom szły długie szeregi piechoty. Pod gradem strzał żołnierze pochylali ramiona, przyginali się ku ziemi, lecz szli uparcie naprzód, jakby walczyli z niewidoczną wichurą. Tak samo parły przed siebie nasze galery.

- Spójrz! - zawołała radośnie Xia. - Przebiją się!

Na to wyglądało. Środkowa grupa nieprzyjacielskich statków odsunęła się na bok. Na maszcie Trahera pojawiły się flagi sygnałowe, lecz admirał Bhazana sam już dostrzegł przetasowanie wroga i zaczął wywieszać barwne proporce. Jego okręty wysunęły się z linii, oddalając się od płycizn na

wschodnim krańca zatoki i galer Sarzany, w nadziei, że otoczą z flanki jego środkową grupę. Ten odważny manewr mógł rozbić nieprzyjacielską armadę w jednej chwili i bitwa zakończyłaby się jeszcze przed południem.

- Za prędko, za prędko - mruzczała pod nosem Polillo. - Najpierw sprawdź, czy przeciwnik nie blefuje, a potem uderzaj!

Miała rację. Gdy okręty Bhazany stanęły w nowym szyku, przez zatokę powiał w naszym kierunku silny magiczny wiatr, a okręty Sarzany, które tylko na to czekały, pomknęły jak błyskawice, prosto na flankę Bhazany.

- O kurwa! - zaklął Stryker. - Złapali się na tą samą sztukę, co ją chcieli wykręcić tym draniom!

Manewr zagroził nie tylko naszemu wschodniemu skrzydłu. Środek armady, pod dowództwem Traherna również zszedł z ustalonego kursu. Być może admirał chciał dodatkowo pogłębić błąd przeciwnika, lecz przez to spowodował jeszcze większe zagrożenie.

Obie linie frontu się zwały i rozpoczęła się bitwa, niestety w inny sposób, niż życzyłby sobie tego Trahern. Admirał planował bezpośredni atak i abordaż, lecz okręty przeciwnika wywijały się niezgrabnie, unikając kontaktu. Nie zawsze im się to udawało, ze względu na rozmiary, więc często śmigwały kotwiczki i konyańscy żołnierze przeskakiwali przez nadburcia. Lecz nawet, gdy okręty nieprzyjaciela zostały unieruchomione, walka nie toczył się na warunkach, podyktowanych przez Traherna. Natychmiast inna galera atakowała jego okręt od rufy, trzymając się zaledwie o kilka metrów za nim i łucznicy zasypywali pokład strzałami, odwracając uwagę atakujących. Wydawało się, że obserwujemy sforę dobrze wyszkolonych psów, które chwytają niedźwiedzia za łapy i boki, chcąc, by wypuścił z paszczy ich pobratymca.

Po wodzie niosły się krzyki i jęki. Widziałam, jak buchają płomienie i padają maszty, gdy okręty Sarzany wbiły się w pierwszą linię konyańskiej armady. Nawet abordaż okazał się utrudniony, wbrew przypuszczeniom Traherna. Dostrzegłam błyski stali nad samym nadburciem nieprzyjacielskiej galery. Były to ostre pręty, podtrzymujące mocno naciągnięte stalowe druty.

Stanowiły jeszcze lepszą ochronę przed abordażem, niż tradycyjne zwisające sieci. Naturalnie, nie

pozwalają własnym żołnierzom Sarzany na atak, ale on zdaje się nie zamierzał wcale toczyć bitwy zgodnie z tutejszą tradycją. Widać było wyraźnie, że posłusznie wykonuje rozkazy Archonta, nie tylko w dziedzinie magii, lecz także i w walce.

Znaleźliśmy się zbyt blisko bitwy, więc krzyknęłam do Cholla Yi, że musimy się odsunąć, pozostając jednocześnie na tyle blisko bitwy, by móc wzmocnić skrzydło Bhazany, jeśli wróg je przełamie. Wycofaliśmy się na lepszą pozycję, lecz wciąż nie nadchodził rozkaz, byśmy ruszyli do boju.

Mogliśmy tylko czekać. Teraz rzeczywiście poczułam się, jakbym zawisała nad polem bitwy. Z poziomu morza zmagania okrętów przypominały walkę na lądzie, gdy ludzie krzyczą, krwawią i umierają, biegają tu i tam, potykając się i kuleją, wszędzie jest pełno dymu i kurzu, sztandary pochylają się, padają na ziemię i po chwili ponownie zaczynają powiewać nad pułkami - tyle, że żołnierzami były tu ogromne okręty.

Niektóre z nich tonęły, a marynarze, którzy od razu nie poszli na dno, unosili się na falach, rozpaczliwie czepiali pływających kawałków drewna i resztek statków i wołali o ratunek. Niektórzy dostrzegli nasze galery i ostatkiem sił zaczęli płynąć. Dzielił ich jednak od nas zbyt duży dystans i jedna po drugiej, ich głowy poczęły znikać. Z pola bitwy poczęły wypływać okręty.

Gdziekolwiek wciąż toczyła się walka na pokładach, na innych nie było śladu życia, a wiele z tych ogromnych nadbudówek na ich pokładach było pogruchotanych głazami. Wydawało mi się, że jest wśród nich więcej konyańskich okrętów, niż galer nieprzyjaciela. Po chwili konyańczycy rzeczywiście zaczęli się wycofywać z wiru bitwy. Niektóre okręty, rzeczywiście pogruchotane, ciągnęły za sobą resztki masztów, inne dymiły lub były dziurawe.

Większość jednak nie odniosła żadnych szkód.

Polillo nieświadomie wyjęła topór z pochwy, uniosła go i tłukła obuchem w zaczerwienioną dłoń, a na jej twarzy walczyły uczucia gniewu i bezradności.

- Skurwysyny bez jaj - klął Stryker. - Te śmierdzące tchórzem dziady uciekają, choć jeszcze nie ma południa.

Drgnąłam, spostrzegłszy, że słońce stoi już wysoko nad głową, a ja straciłam poczucie upływu czasu. Nagle wzrok mój przyciągnął obłok na tyłach nieprzyjacielskiej floty: Sarzana rozwiął magiczną mgłę i jego tajemna broń ruszyła do boju. Była to niewielka flotylla przedziwnych statków, jakich nigdy w życiu nie widziałam. Były niewiele dłuższe niż nasze galery, lecz nieco szersze i miały jeden rząd wiosł. Wyglądały dziwnie i przerażająco: pomalowano je na kolor krwi i śmierci, okrywał je solidny, podobny do pancerza pokład, a na dobitkę nie miały masztów. Pełzły naprzód, podobne wielonogim żółwiom. Abordaż nie wchodził w grę, gdyż potężne konyańskie okręty nie byłyby w stanie podejść do nich blisko. Szczerze cieszyłam się, że nie jestem kapitanem okrętu, idącego w pierwszej linii, gdyż przez chwilę nie miałam pojęcia, jak można zniszczyć te z pozoru niepokonane galery. Było ich co najmniej trzydzieści i atakowały w szyku żurawim prosto w osłabioną, odsłoniętą zachodnią część skrzydła Traherna - tam, gdzie powstała pusta przestrzeń między nim a okrętami admirała Bornu.

Stryker kłął, a Duban skamlał jak pies.

Niewzruszona Corais powiedziała: - Nie rozumiem, w jaki sposób będą walczyć. Może po prostu mają nas śmiertelnie wystraszyć.

W kilka sekund później okazało się jednak, że „żółwie” były śmiertcionośną bronią nie tylko z wyglądu. Były to pływające tarany, lecz i w tym przypadku Sarzana zastosował nowatorskie rozwiązanie. Obserwowałam, jak jeden z tych statków uderza w konyańskiego wroga a potem odpływa, jakby nigdy nic, zamiast pozostać w morderczym klinczu z przeciwnikiem. Uderzony okręt zakołysał się i przechylił na burtę, gdy woda wdarła się przez dziurę wybitą przez dziób „żółwia”. Konyańczyk w kilka sekund zniknął pod wodą.

Zorientowałam się, że tarany można demontować, albo, co bardziej prawdopodobne, pękają pod wpływem nacisku. Urządzenie takie byłoby bardzo szkodliwe na statku, który musi pływać podczas złej pogody, gdyż mogło nieoczekiwanie prysnąć pod naporem fal, pozostawiając dziurę w części dziobowej. Jednak tutaj, na spokojnych wodach zatoki, była to idealna broń.

Pływające żółwie zaprezentowały nam jednak coś więcej. W pewnym momencie otwały się luki na pokładzie. Dojrzałam w nich potężne głowice pocisków-strzał. Żółw zbliżył się do rufy przeciwnika i ze strzał uniósł się dym, a po chwili katapulty wystrzeliły, a pociski wbiły się głęboko w nawis rufowy.

Luki zamknęły się z trzaskiem a strzelcy zaczęli ładować nowe pociski, bezpieczni poza zasięgiem kontrataku, zaś konyański statek płonął jak pochodnia. Strzały widocznie namoczono w smole, albo opatrzone stosownym zaklęciem.

Gdy pierwszy okręt stanął w płomieniach, Xia wydała cichy okrzyk przerażenia, którego nie słyszał nikt poza mną. Byłam pełna podziwu dla odwagi tej dziewczyny. Mało kto zachowywał się tak dzielnie w czasie pierwszej bitwy, nawet ja, gdy po raz pierwszy brałam udział w potyczce, nie wiedząc, że oczekiwanie i myślenie są groźniejsze niż najbardziej okrutny wróg.

Teraz walka rozpętała się na dobre i szala zwycięstwa przechyliła się na korzyść Sarzany. Za statkami-żółwiami płynęło zachodnie skrzydło floty, liczące ponad sto zwykłych okrętów. Nie wiedziałam, co robić. Cała konyańska flota szła w rozsypkę. Po lewo, cofały się okręty admirała Bhazany; w środku, w kłębach dymu, walczyło skrzydło Trahera, a po mej prawicy, statki-żółwie wraz z konwencjonalnymi okrętami wycinały sobie drogę przez flotyllę admirała Bornu. Gdy jego skrzydło zaczęło podawać tyły, zdałam sobie sprawę, że nie mogę im pomóc, chyba, że zmienię się w tysiąc kobiet, mając do dyspozycji tysiąc tysięcy gwardzistek i galer bojowych. Nie uszkodzone okręty konyańskiego admirała poruszyły wiosłami, zmieniając kurs, postawiły wszystkie żagle i, wykorzystując magiczny wiatr Sarzany od lądu, pomknęły na pełne morze, ścigane przez „żółwie” i wielkie bojowe galery czarnego maga.

Reszta Konyańczyków chyba wyczuła, co się dzieje, bo pozostałe skrzydła poszły w rozsypkę w tej samej chwili. Nie wszystkie jednak były w stanie zawrócić. Wiele z nich tkwiło w kotłowaniu w centrum bitwy; teraz atakowano je jeden po drugim i niszczone. Widziałam banderę na statku flagowym Bhazany, który uciekł z płycizny, a po chwili dostrzegłam okręt Trahera, idący pod pełnymi żaglami i wiosłami. Ach, wy dranie, pomyślałam sobie. Poprowadziliście marynarzy na śmierć, a brak wam odwagi by zostać i podzielić ich los. Może i Trahern był kiedyś dzielnym człowiekiem, ale wiek i wygodne życie pozbawiły go tej cechy.

Minął nas pierwszy okręt. Marynarze krzyczeli, byśmy uciekali jak najprędzej. Ponieśliśmy klęskę i nawet martwi powstali z głębin, by się z nami bić. Przez chwilę zastanawiałam się, o co chodzi a potem niemal zwymiotowałam, gdy odrażający smród z pierwszego ogarnął naszą galereę.

Dochodził on z pierwszego nieprzyjacielskiego okrętu, który teraz był od nas oddalony zaledwie o jakieś trzysta, czy czterysta metrów.

Podjęłam decyzję, lecz Cholla Yi mnie ubiegł. Na maszcie sygnałowym pojawiły się flagi, a oficer wykrzykiwał przez tubę, że mamy się natychmiast wycofać, gdyż nic nie zdziałamy przeciw wrogowi.

Xia zaczęła krzyczeć w ślepej furii, że Cholla Yi jest tchórzem. Odwróciła się gwałtownie słysząc, że wydaję tę samą komendę Strykerowi. - Nie wolno ci! - wołała gniewnie, bliska łez. - Nie jesteś lepsza, niż...

- Cisza! - huknęłam. - Chciałaś być żołnierzem! To nim bądź!

Umilkła natychmiast. Powrócił jej zdrowy rozsądek, opuściła ramiona i odwróciła się tyłem.

Teraz wyraźnie widziałam już kilka okrętów Sarzany. Oniemiałam. Zdaje się, że umykający Konyańczycy mieli rację. Na pokładach tłoczyły się ohydne postacie, które niegdyś były ludźmi. Niektóre zgniły w wilgotnym powietrzu, inne wyschły na brązowe wióry w podmuchach gorącego pustynnego wiatru, a jeszcze inne były pokryte plamami i białe jak rybnie brzuchy, od leżenia na dnie oceanu. Niektórzy ciągnęli liny, inni metodycznie ładowali katapulty lub cierpliwie czekali z gotowymi do strzału łukami i włóczniami, aż wróg znajdzie się w zasięgu rzutu. Przez głowę przemknęła mi opowieść brata o mieście chodzących trupów daleko na zachodzie, w pobliżu Zamorskich Królestw, gdzie nawet władca był żywym trupem. Amalryk o mało co nie zginął w tej strasznej nekropolii. Ale on miał ze sobą Janosza... a ja byłam sama.

Trupi odór wciskał się wszędzie i nawet zahartowani w bojach najemnicy zaczęli okazywać lęk, choć w dalszym ciągu wykonywali polecenia.

Zawróciliśmy i rzuciliśmy się do ucieczki wraz z innymi.

Wtedy uświadomiłam sobie, co to za woń i kim są ci martwi żołnierze, prawdopodobnie ze względu na to, że sama potrafiłam rzucać zaklęcia i byłam wrażliwa na magię. Gdy znałam już prawdę, bez trudu wymyśliłam środki zaradcze. Posłałam Xię pod pokład, by przyniosła mi kosmetyczkę. Spojrzała na mnie zdziwiona, więc warknęłam, by się pośpieszyła. Usłuchała, w dalszym ciągu zaskoczona poleceniem. W kilka sekund wróciła i podała mi torebkę.

Znalazłam flakon perfum, odkorkowałam go i powąchałam. Aromat był idealny - kwiatowy, ciężki i upajający.

Rzuciłam flakon w powietrze. Zawirował, pryskając perfumami naokoło, a ja wyrecytowałam słowa, które przysły do mnie same, bez wysiłku: Szukaj kwiatów, wroga szukaj.

Pochwyć go, odmień go.

Córko ziemi, w tobie siła.

On jest słaby bo z powietrza.

Pochwyć go, odmień go, zawróć go.

Trupi odór zniknął.

- To fałsz! To tylko zaklęcie! - krzyknęłam. - Ci ludzie są tacy sami jak my! Zmieniła ich magia Archonta!

Po tych słowach, a może na widok kogoś, kto nie poddał się panice, ludzie się uspokoili, choć oglądając się w tył w dalszym ciągu widzieli pędzące wrogie statki z tłumem zmartwychwstałych zwłok na pokładach.

- To zaklęcie też mogę złamać! - krzyknęłam i na moment oniemiałam.

Bitwa się skończyła, ale nie dla wszystkich. Ujrzałam, że dwie nasze galery zawracają i pędzą w

stronę Sarzany! Nie musiałam wyteżać wzroku, by je zidentyfikować. Wiedziałam, że to obłąkani wściekłością ludzie Nora. Może nawet podziwiałabym tę samobójczą akcję, gdyż nie raz widywałam jak kobiety, nie bacząc na własne życie, rzucały się w sam środek wroga z radosną pieśnią śmierci na ustach. Ale tym razem było inaczej. Na pokładzie tych galer było osiem gwardzistek, które nie wybrały sobie takiej śmierci. A więc dobrze, pomyślałam. Mam kolejny dług do spłacenia. Nie będzie pierwszy, później przyjdzie czas na Sarzanę i Archonta.

Galery natychmiast znalazły się w okrążeniu okrętów-żółwi, ich maszty zniknęły i więcej już nich nie widziałam tego dnia. W ogóle ich już więcej nie zobaczyłam.

Nie był to jednak czas i miejsce na gniew.

Od zachodu zbliżała się do nas jedna z olbrzymich galer Sarzany.

- Polillo! - krzyknęłam i moja zastępczyni skoczyła pod przedni maszt, gdzie czekała na nią zdenerwowana obsługa dwóch dziwacznych katapult, których ramiona były już napięte. Na bliźniaczych łyżkach spoczywały harpuny, między którymi wisiał swobodnie worek z siecią. Wewnątrz tego worka ukryłam zwinięty cienki łańcuch, na który rzuciłam zaklęcie.

Potężny okręt zbliżał się do nas pod żaglami, wypełnionymi magicznym wiatrem Sarzany. Już docierały do nas radosne okrzyki nieprzyjaciół, przekonanych, że pochwycili nas w pułapkę. Górował jednak nad nimi zaśpiew Polillo: - Spokojnie, spokojnie, trochę w lewo... bardzo dobrze... w górę... jeszcze w górę, dobrze, bardzo dobrze...

- Ognia! - huknęłam i obie katapulty zadźwięczały jak źle odlane dzwony, w które ktoś uderza drewnianymi młotami. Pociski z prawej ominęły cel, lecz z lewej trafiły. Dokładnie tak, jak planowałam, jak ćwiczyliśmy, ciężkie harpuny śmignęły rozbieżnymi torami lotu, siatkowy worek pękł, łańcuch wydostał się na zewnątrz i napiął się do ostateczności, bliski pęknięcia albo rozerwania całej broni, a potem uderzył z wielką siłą w nieprzyjacielski maszt i przeciął go w połowie jak gałązkę. Żagiel pofrunął w dal, na pokład poleciał deszcz rei i sztagów.

Mieliśmy czas tylko na ten jeden wystrzał, lecz postanowiłam go oddać, by moi ludzie nie czuli się całkowicie pokonani.

Rzuciliśmy się do ucieczki, by nie dopadły nas statki-żółwie.

Postawiliśmy wszystkie żagle, a wioślarze pracowali ze wszystkich sił.

Dziękowałam Maranonii, że nie poszliśmy do bitwy jak zwykle, ze zdjętymi żaglami. Teraz, gdy zneutralizowałam pierwszą część zaklęcia Archonta, łatwiej było pracować nad drugim czarem. Miałam nadzieję, że jeśli go zdejmę, uda się zawrócić flotę i przynajmniej powstrzymać pościg Sarzany.

Zastanawiałam się nad składnikami i słowami potrzebnymi do kontr- zaklęcia, jednocześnie przygotowując wiadomość dla Traherna. Podeszłam do relingu, spojrzałam na brzegi zatoki, która coraz bardziej poszerzała się w miarę zbliżania się do otwartego morza. Mijaliśmy właśnie dwa miasta na przylądkach. Okręty nasze rozproszyły się po oceanie jak strzępki papieru, niebaczone na nic oprócz własnego bezpieczeństwa. Żadne zaklęcie nie zmusiłoby ich do dalszej walki.

Za późno było na magię, moją, czy też obcą.

Na szczęście okręty Sarzany nie dysponowały większą prędkością, niż nasze, gdyż startyby armadę w proch, gdyby udało im się nas dopaść. Pozostały jednak z tyłu. Widziałam, jak okręty-żółwie nabierają niebezpiecznego przechyłu, gdy zakolebały nimi pierwsze potężne oceaniczne fale, i powracają na bezpieczne wody zatoki po wykonaniu zadania. W kilka minut później poszła ich śladem cała flota Sarzany. Moje zaklęcia nie zdałyby się już na nic.

Sarzana odniósł wielkie zwycięstwo i rozbił naszą flotę.

Galera Traherna pozostała daleko za nami. Wprawdzie jeden z pierwszych rzucił się do ucieczki, lecz jego statek, wielki, ciężki i powolny, niechętnie słuchał steru. Nagle, w oczach zmienił się w wielką kulę ognia i dymu, która wciąż rosła i wreszcie eksplodowała, śląc w niebo pióropusze pary wodnej! Po chwili przez fale przetoczyła się w naszym kierunku fala uderzeniowa.

Jeszcze nie znikła ognista kula, a na niebie pojawiła się zjawą.

To Archont przez jedną chwilę obnażał spiłowane kły, zanosząc się radosnym wyciem. Po chwili niebo pociemniało i nie było już nic, oprócz popielnego smaku klęski i śmierci.

Rozdział Dwudziesty

PIERWSZY LALKARZ W OKRĄGŁEJ WIEŻY

O zmierzchu Konyańczycy zwolnili. Nie pierwszą taką paniczną ucieczką z pola bitwy widziałam w życiu... i pewnie nie ostatnią. Ogarnięci przerażeniem żołnierze w końcu ulegają zmęczeniu i zatrzymują się, gdy nieprzyjaciel znika im z oczu, albo gdy brak im już sił, gdy inni wokół zwalniają, lub gdy staną twarzą w twarz z czymś nieznanym i jeszcze groźniejszym, niż to, co sprawiło, że umykali od dźwięku bojowych bębnow.

Tak też się stało z konyańskimi okrętami. Byliśmy daleko od domu, a jedyne bezpieczne schronienie znajdowało się za morzami. Niektórzy widzieli z pewnością, jak zawracają głównie siły Sarzany i zdali sobie w końcu sprawę, że nikt ich już nie ściga. Konyańczycy zaczęli się więc zbierać w grupki wokół dowódców, którzy przeżyli bitwę.

Sarzana popełnił niewybaczalny błąd. Powinien ścigać nas przynajmniej do zmroku, by marynarze wiedzieli, że rozjuszone demony idą ich śladem.

Moim zdaniem, uczynił tak z dwóch powodów. Po pierwsze, chciał odnieść wyraźne zwycięstwo, nie angażując się w mało spektakularny szereg pojedynków, które by nas ostatecznie zniszczyły. Wszyscy Wielcy Przywódcy są tacy sami: ich działania muszą być śmiałe, pełne energii i trwać na tyle krótko, by nie znużyć poddanych. Nie interesują ich drobne, nużące szczegóły.

Dlatego też, jeśli toczy się walka między Genialnym Generałem a Podłymi Bandytami, nie całkiem bez sensu jest postawić na Podłych Bandytów.

Ponadto, wyczuwałam, że śmiertelny cios ma dopiero przyjść i będzie to burza, wyczarowana przez Archonta. Rozproszy ona galery jak ziarnka piasku, tak, że tylko kilka powróci do Konyi, by zanieść wiadomość o klęsce. Czułam, że rośnie za nami magia już w chwili, gdy wypływaliśmy z Zatoki Ticino, śladem uciekających Konyańczyków, którzy ignorowali sygnał za sygnałem. Gdy okręty opuściły żagle - przysięgam, tak niechętnie, jakby marynarze wiedzieli, że zachowują się głupio, jak wiejskie gęsi - zaczęły się gromadzić chmury.

Znad Ticino powiał zimny wiatr, fale urosły, a barometr gwałtownie poszedł w dół.

Zdawałam sobie sprawę, że w już za kilka godzin będziemy musieli stawić czoła burzy, lecz stanęły przede mną ważniejsze problemy.

Zbliżyliśmy się do galery Bhazany, która po zatopieniu Trahera stała się okrętem flagowym. Wciągnęliśmy na maszt flagi sygnałowe, nakazujący, by natychmiast zwołał na odprawę kapitanów wszystkich okrętów, nie tylko dowódców eskadr i dywizji. Doszłam do wniosku, że wszyscy zmieszczą się na jego statku, gdyż bitwę przeżyła mniej niż połowa Konyańczyków. Czekałam, niepewna co robić, jeśli admirał nie usłucha, lecz wkrótce ujrzałam, jak na jego maszt wędrują sygnałówki i błyskają latarnie w gęstniejącej ciemności.

Najbliższe jednostki odebrały polecenie, przekazały je dalej i wokół galery flagowej poczęły gromadzić się pozostałe okręty. Widziałam, jak spuszczały szalupy na wodę. Nadałam sygnał na pobliską galerę Nora, że jej kapitan jest wyłączony z uczestnictwa w odprawie, lecz ma się stawić na wezwanie na pokładzie mojego okrętu. Powiedziałam, że będą mi towarzyszyć Corais, Gamelan i Xia, a ta ostatnia ma wdziać zbroję. Zdziwiła się, lecz dodałam, że wkrótce okaże się, dlaczego ją o to proszę.

Przekazałam Polillo dowództwo Gwardii, nie tylko dlatego, że chciałam, by jej potężna sylwetka i osobowość osłaniały tyły aż do mego powrotu.

Wiedziałam, że moje plany niezbyt by jej odpowiadały. Niektóre ciemne strony żołnierskiego rzemiosła raczej nie podobały się mej zastępczyni. Szanowałam ją za to, gdyż po cichu gardziłam tą częścią mego charakteru, która uparcie nakazywała mi spełnianie nieprzyjemnych obowiązków takich jak ten, który mnie czekał za chwilę.

Poleciałam spuścić na wodę dużą szalupę, która zawiozła na okręt Bhazany Sierżant Ismet, dziesięć uzbrojonych po zęby gwardzistek, okrętowego cieślę, dwóch marynarzy i inne niezbędne narzędzia i materiały. Nasza czwórka wsiadła do mniejszej łodzi i popłynęliśmy na statek Cholla Yi. Wyjaśniłam mu, co zamierzam czynić podczas odprawy i co w ogóle należy zrobić, jeśli mamy przeżyć i wypłatać się jakoś z tej strasznej sytuacji.

Miałam dość czasu, by opracować plan po drodze. O dziwo, Cholla Yi wysłuchał go uważnie i niechętnie zgodził się, że najprawdopodobniej przyjąłam prawidłowy tok myślenia i strategię. Nie podobało mu się tylko, że to nie jego plan i nie on go przeprowadzi. W ten sposób zyskałam jednego sojusznika, przynajmniej chwilowo. Nie miałam złudzeń co do długotrwałej lojalności tego pirata.

Gdy zbliżyliśmy się do okrętu admirała Bhazany na tyle, bym mogła zobaczyć, w jakim jest stanie, gniew mój stopniał. Ci ludzie nie umknęli po pierwszym wrogim okrzyku ze strony Sarzany. Okręt poniósł naprawdę poważne szkody w wyniku ostrzału z katapult, które zerwały dach z górnej pokładówki, cały reling i część deskowania kadłuba na prawej burcie. Główna pokładówka była osmalona dymem i poczerniała od ognistych strzał Sarzany, a połowa wiosł poszła w drzazgi, podobnie jak dwa sztagi grotmasztu, który kołysał się jak pijany. Na pokładzie uwijali się marynarze, pośpiesznie naprawiając szkody. Starali się przy tym nie patrzeć na długi szereg owiniętych w płótno zwłok, które czekały na pogrzeb, złożone na tylnym pokładzie.

Po wejściu powitał nas dowódca galery. Spojrzałam na niego zimno.

- Przyjmuję powitania od żołnierzy, nie od ludzi, którzy odwrócili się od honoru - powiedziałam tak, by słyszeli mnie wszyscy marynarze w zasięgu głosu.

Poczerwieniał, lecz starannie unikał mego spojrzenia. To był pierwszy znak tego dnia, że plan może mi się udać; gdyby wybuchnął gniewem albo sięgnął po broń, wiedziałabym, że Konyańczykom naprawdę zabrakło odwagi.

Poleciałam Cholla Yi i pozostałym, by pozostali na pokładzie, a cieśli, by brał się do roboty. Rozkazałam, by kapitan galery zaprowadził mnie do Bhazany. Admirał czekał pod pokładem, w kabinie, która wspaniałością wyposażenia niemal dorównywała kajucie Trahera. Siedział odwrócony tyłem i spoglądał przez bulaj na rząd zwłok na tylnym pokładzie.

Nie patrząc na mnie, powiedział: - Jestem durniem.

- To prawda - zgodziłam się. - A co gorsza, przerwałeś front.

Odwrócił się gwałtownie: - Najpierw dałem się nabrać na tę dziecinną sztuczkę, a potem, gdy zaatakowali, nie mogłem ustawić okrętów z powrotem w szyku - powiedział. Przyglądałam mu się bez słowa. - Ale przysięgam, że nie uciekłem. - Przysięgam, że Trahern sygnałami nakazał odwrót.

Milczałam dalej. Spuścił głowę: - Nie liczę na to, że mi uwierzysz - mówił dalej. - Proszę tylko o pozwolenie, bym mógł zapłacić za swój błąd.

- Jak zamierzasz to zrobić?

- Odejdę do mych bogów - odparł, dotykając palcem kordzika u pasa. - Chciałem to zrobić wcześniej, ale mnie powstrzymano. Kapitan Oiroth powiedział... Ach, nieważne.

- Już raz dziś rzuciłeś się do ucieczki - powiedziałam, a ironia kapiała z tych słów jak krew spływająca po klingie miecza. - Mało ci tego? Chcesz jeszcze raz umknąć? Nie pozwalam, byś sobie pobłażał.

Oblał się rumieńcem.

- Możesz się zabić, obwiesić medalami albo wsadzić sobie maszt w tyłek, jak już będzie po wszystkim, nic mnie to nie obchodzi. Teraz jednak przechodzisz pod moje rozkazy i będziesz je dokładnie wykonywał. Jasne?

Gdy żołnierz utraci honor, staje się miękki jak rozgrzany wosk. Cała sztuka w tym, by go dodatkowo

nie pohańbić, bo wtedy się załamie. Tego nie chciałam, dodałam więc: - Słuchaj, panie. Plan jest taki - i wyjaśniłam mu wszystko bardzo dokładnie.

W godzinę później przybyli pozostali kapitanowie. Było ich stu siedemdziesięciu czterech, więc stłoczyli się ciasno na pokładzie i jeszcze w przejściach obok pokładówki. Był wśród nich admirał Bornu, równie świeży i nietknięty, jak jego galera, która minęła nas, umykając na otwarte morze. W odróżnieniu od Bhazany, Bornu próbował przepchnąć się do nas. Nie zwróciłam uwagi na jego wysiłki, więc musiał pozostać na pokładzie, z pozostałymi żołnierzami. Mało kto miał ochotę do rozmów, gdyż dzień przyniósł im klęskę, a poza tym uwagę ich przykuwała konstrukcja, którą nasz cieśla ustawił na górnym pokładzie.

Stałam nad zejściówką, wiodącą na główny pokład. Otaczali mnie Cholla Yi, Corais, Xia, Gamelan i admirał Bhazana. Gwardzistki zajęły miejsca z tyłu.

W milczeniu wyszliśmy ze zrujnowanej pokładówki, nie powitaliśmy zebranych, tylko czekaliśmy. Powoli ucichły nieliczne rozmowy. Pozwoliłam ciszy narastać, aż stała się nie do zniesienia. Tylko wiatr wył na wantach coraz głośniejsze, a fale uderzały o kadłub galery.

- Dziś Sarzana zadał nam klęskę - powiedziałam wreszcie. - Umknęliśmy przed nim jak ryby przed stadem rekinów. Czy mamy powrócić do Konyi z hańbą w duszy? Chcecie opowiadać najbliższym o waszym tchórzostwie, chcecie, by wszystkich ogarnął terror Sarzany?

- A co mamy robić? - odezwał się ktoś z tyłu. Rozległy się pomruki poparcia. Znowu nie uciszałam nikogo, lecz pozwoliłam, by głosy marynarzy utonęły w wyciu wichru.

- Co mamy robić? Wracamy do Ticino! - odparłam. - Bitwa dopiero się zaczyna.

- Ale kiedy? - spytał nieznany mi oficer z pierwszego rzędu. - Ile czasu minie, zanim z Konyi dotrą posiłki? Miesiąc? Dwa?

- Wracamy jutro. Jutro w nocy - odparłam.

- To niemożliwe! - tym razem odezwał się admirał Bornu.

- Nie ma rzeczy niemożliwych.

- Niech cię diabli porwą! - krzyknął, wspiął się do połowy na zejściówkę.

Odwrócił się do oficerów i zaczął: - Dziś magia i nieprzyjacielskie wojska zadały nam straszną klęskę! Nie zdołamy odzyskać sił po tym ciosie!

Utraciliśmy zbyt wielu żołnierzy! Ta cała przeklęta kampania jest z góry skazana na niepowodzenie! W ogóle nie powinniśmy byli wyruszać, tylko czekać na Sarzanę w pobliżu Izoldy i pokonać go na własnym terenie, na naszych własnych wodach!

Kapitanowie głośno wyrażali poparcie.

- A może powinniśmy się od razu poddać, bez walki? - spytałam.

Zapadła martwa cisza.

- Może powinniśmy zawrzeć jakąś ugodę - wybełkotał Bornu. - Gdybyśmy poszli do Sarzany i zaproponowali mu...

- Co chcesz mu zaproponować? Wasze córki? Wasze żony? A może złoto? Z pewnością nie honor, bo z twoich słów wynika, że go nie masz!

Bornu zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Usłyszałam z tyłu szelest. To Locis, łuczniczka, sięgnęła do

kończana. Postąpiłam krok w stronę zejściówki.

- Co, admirał? - spytałam. - Teraz sięgasz po miecz, choć przez cały dzień nie wyjmowałeś go z pochwy, prawda?

- Jesteś szalona - powiedział, lecz opuścił rękę.

- Tak sądzisz? Słuchajcie, ludzie. Posłuchajcie tego wiatru. Jest silniejszy, niż godzinę albo dwie temu, prawda? Naprawdę myślicie, że Sarzana i jego sojusznik, Archont, z nami skończyli? Wygnali nas na otwarte morze, pozbawili woli, zdolności rozumowania i odwagi. Myślicie, że zawahają się przed zesłaniem huraganu? Macie nadzieję, że pozwolą nam wrócić spokojnie do domu i jeszcze raz im się przeciwstawić? To nie ja jestem szalona, lecz wy, jeśli w to wierzycie!

- Zresztą, nieważnie w co wierzycie. Jesteście żołnierzami i marynarzami.

Przysięgaliście poświęcić życie w obronie Konyi. Lecz ci spośród was, którzy dotrzymani przysięgi i ocalili honor, leżą tam, na rufie, zaszyci w płótno, z pieniążkiem w ustach i ołowianym ciężarkiem, który pociągnie ich w głąbinę.

- A co z pozostałymi? Co teraz o sobie myślicie? Ilu z was umknęło z bitwy, nie wystrzeliwszy ani jednej strzały, nie dotknąwszy włóczni? Wzywam was pod moją komendę. Jeszcze raz zaatakujemy Sarzanę. I tym razem go pokonamy!

- Pod czyją komendę? - roześmiał się Bornu. - Cudzoziemki? Kobiety?

Zwróciłam się do Xii. Postąpiła naprzód.

- Jestem księżniczka Xia Kanara - powiedziała. - Mój ojciec jest członkiem Nieskalanej Rady. Przemawiam w jego imieniu. Czy ktoś z was podał to w wątpliwość?

- Jesteś dzieckiem - odparł Bornu. - Nie przysięgałem ci posłuszeństwa.

- Ale będziesz mi posłuszny. Rozkazuję ci wypełniać rozkazy kapitan Rali Antero. Rada obwołała ją dowódcą, gdyż ta cudzoziemka najlepiej wie, jak zniszczyć Sarzanę. Hańba nam, że nie pozwolono jej kierować ekspedycją od samego początku!

Byłam pod wrażeniem. Sugerowałam księżniczce, co ma powiedzieć, jeśli nadarzy się okazja, lecz nie oczekiwałam czegoś takiego.

Bornu chciał coś odpowiedzieć, lecz nie zdążył, bo u boku Xii stanął Bhazana.

- Admirale - powiedział. - Obie kobiety mają rację. To dzień naszej hańby i należy zań zapłacić. Wiem, że nie przewyższam cię stopniem wojskowym, lecz ich rozkazy musisz wypełniać.

- Jestem admirał Nepean Bornu, baron i ziemianin - odparował tamten - a mój ród służy Konyi od pokoleń. Ja także wiem, co to obowiązek. Moim obowiązkiem jest bezpiecznie doprowadzić okręty do domu, gdzie będą bronić Konyi w czasie ostatecznej bitwy. Mam przejść pod rozkazy młodszego stopniem wojskowego, cudzoziemskiej czarownicy, która pewnie sama spiskuje z Sarzaną, gdyż sprowadziła zło na nasz kraj, i tej dzierlatki, zakochanej w cudzoziemce?! Nie. Odmawiam.

- Po raz drugi rozkazuję, Admirale - w głosie Xii dźwięczała nuta nazbyt poważna dla młodej panienki.

- Ja mam obowiązki. Dużo ważniejsze obowiązki.

- Księżniczko - wtrąciłam. - Sama przysięgałam waszej Radzie, że pokonam Sarzanę. To, co ten człowiek mówi, to zdrada.

Wśród oficerów rozległy się ciche okrzyki. Liczne spojrzenia skierowały się na konstrukcję, ustawioną na pokładzie.

- Prawdę mówisz. To zdrada - przytaknęła Xia.

Bornu gorączkowo rozejrzał się wokół. Zanim zdążył się poruszyć, zanim ktoś ruszył mu na pomoc, huknęłam: - Sierżant Ismet!

Moje kobiety skoczyły w dół zejściówki jak atakujące lwice, z obnażonymi mieczami, wzniesionymi włóczniami i strzałami na cięciwach.

Ismet i Dacis schwyciły Bornu za ramiona, zanim zdążył dobyć miecza.

Oficerowie na pokładzie krzyczeli w głos. Tu i ówdzie lśniła dobytą broń.

- Sierżant! Powiesić go!

Bornu wrzeszczał i wrywał się, lecz był bezsilny. W jednej chwili wciągnięto go na górny pokład i stanął u stóp konstrukcji. Był to żuraw, prosta szubienica, którą cieśla zbudował na naszym okręcie, przewiózł na galerę Bhazany i zmontował. Na szyi admirała zawisła lina, sięgająca mu do kolan i przerzucona przez ramię szubienicy. Za lewym uchem miał węzeł.

Spojrzałam na księżniczkę. Zacisnęła stanowczo usta, aż wargi jej zbieleły.

- Powiesić zdrajcę - powiedziała.

Sierżant Ismet pchnęła wysięgnik żurawia, Bornu potknął się i upadł, pokład wysunął mu się spod nóg i admirał zawisnął w powietrzu. Lina naprężyła się, a w szumie wichru usłyszałam trzask

pękających kręgow szyjnych. Ciało zatrzepotało i zwisło bezwładnie. Zapanowała całkowita cisza.

- Skazałam na śmierć admirała Bornu za zdradę - powiedziałam. - Skażę też wszystkich, którzy będą sprzeciwiać się moim rozkazom, lub odmówią ich wykonania! Czeka ich ta sama kara.

- Będziecie mnie słuchać - tu wysunęłam bron z pochwy - albo, na bogów, zdziesiątkuję załogę każdego statku i pójdziemy do boju z trupami dyndającymi na rejach, jeśli będzie trzeba!

Nie pozwoliłam im się otrząsnąć z szoku.

- Teraz wszyscy dowódcy eskadr natychmiast stawią się w kajucie admirała Bhazany po rozkazy dla wszystkich.

Bez zbędnych słów odeszłam w mrok. Słyszałam, jak za mną podążają pozostali. W czasie całej przemowy okazywałam stanowczość, lecz duszę mą zżerał niepokój. Nie raz już musiałam uśmierzać lęk i panikę, lecz nigdy nie stawałam przed takim tłumem. Często wymierzałam sprawiedliwość, kilkakrotnie nawet orzekając najwyższy wymiar kary. Kiedyś nawet oddałam morderczynię-gwardzistkę, która ściągnęła na nas hańbę przed całym miastem, na ofiarę w ceremonii Całowania Kamieni, ale nigdy nie skazałam nikogo na śmierć od ręki, bez sądu, odwołania ani możliwości obrony.

Lecz ani wtedy, ani teraz nie widziałam innej możliwości. Przed bitwą nie ma czasu na dyskusje i wahania. Każdą słabość należy wykorzeniać równie szybko, jak z rany wyrywa się zatrutą strzałę, gdyż w przeciwnym razie wszystkich czeka śmierć.

Widzę, że mój skryba skoncentrował się na pisaniu i nie chce spojrzeć mi w oczy. Oto jeszcze jedna strona wojennego rzemiosła, o której nikt nie chce mówić, a szczególnie ci, pragnący zapomnieć że istotą wojny jest zabijanie, nie pieśni wojenne, sztandary, parady i zbroje, lśniące w wiosennym słońcu.

Zapamiętaj me słowa, Skrybo i powtórz je swoim synom i córkom, zanim pozwolisz, by padli w

objęcia komisji poborowej.

Wydałam rozkazy dowódcom eskadr z równą surowością, choć wyjaśniłam im, że na tych wodach, o tej porze roku sztorm jest nieznanym zjawiskiem. Potwierdził to zresztą kapitan Oirot, dowódca galery Bhazany.

Gdy zwłoki Bornu zniknęły z widoku, oficerowie zaczęli się zastanawiać.

Niechętnie zgodzili się ze mną, że Sarzana na pewno będzie chciał zniszczyć nas doszczętnie z pomocą magii i że w tej sytuacji nasze szanse na ucieczkę są równie małe, jak gdyby ścigała nas jego armada.

- Naturalnie, zawsze możemy się rozdzielić i wracać do domu pojedynczo. Wtedy ten łajdak będzie mógł sobie spokojnie niszczyć jeden okręt po drugim - stwierdził któryś oficer.

Ponieważ zaczęli mniej więcej pojmować, w jakiej znaleźliśmy się sytuacji, przedstawiłam im plan. Jutro wyślę na każdy statek kurierów z dokładnym planem bitwy. Po południu ruszymy w kierunku Ticino, a gdy zapadną całkowite ciemności, przedostaniemy się poza miasta na przylądkach.

Oznacza to, że po północy zaatakujemy okręty, kotwiczące na redzie.

- Nocny atak - skrzywił się jeden z nich. - Moi ludzie nie nawykli do walki w ciemności.

- A jak myślisz, panie, czy ludzie Sarzany do niej nawykli bardziej, niż wy?

Uśmiechnął się lekko i pokręcił głową.

- Ten, kto uderza pierwszy, zawsze ma przewagę, nieprawdaż? - odparłam. - Wiecie, że zazwyczaj

zwycięstwo przypada najodważniejszym.

- A magia? - ktoś zapytał. - Wytrzymaliśmy, póki moi ludzie nie zobaczyli tych ich przeklętych zakrytych okrętów, a za nimi galer z trupami zamiast załogi.

Odpowiedziałam, że nikt nie przełęknie się już okrętów-żółwi ani żywych trupów, gdyż ich główną siłą było zaskoczenie. Przed atakiem rzucimy orissańskie zaklęcia, które skruszą magię nieprzyjaciela jak cienką warstwę lodu na sadzawce.

Wydałam im liczne rozkazy: mieli dopilnować, by wszyscy kapitanowie zrozumieli plan bitwy, by przeprowadzono konieczne naprawy, a co najważniejsze, by żołnierze się najedli i by każda wachta dobrze wypoczęła. O świcie dowódca eskadr mieli spróbować zebrać wokół siebie podległe im okręty i czekać w gotowości.

Naturalnie, wszystko to było potrzebne, ale głównie chciałam, by zajęci pracą Konyańczycy nie mieli czasu na tchórzostwo. Dodałam jeszcze, że nasze orissańskie galery mają specjalne rozkazy; będą strzec zgromadzonej floty, by nikomu nie udało się uciec.

- Nie będę zadawała sobie trudu i stawiała szubienic dla uciekinierów - powiedziałam. - Po prostu pošlę marynarzy na dno, bez ceremonii pogrzebowych, morskim demonom na żer, by ich duchy nigdy nie zaznały spokoju.

Poleciałam im się rozejść do zajęć.

Konyańczycy powiadali na szalupy, czekające wokół okrętu i jeden po drugim odpłynęli w noc. Niejeden przed odjazdem rzucił spojrzenie na zwłoki Admirala Bornu, wciąż kołyszące się na szubienicy.

Poczekalam, aż wszyscy się rozeszli i sama skierowałam się do łodzi.

Admirał Bhazana poprosił mnie o chwilę rozmowy na osobności.

- Będą posłuszni - powiedział. - Ja też.

Rzuciłam mu długie, twarde spojrzenie i bez słowa zesłam do szalupy.

Wiedziałam, że tej nocy nikt z nas nie zazna odpoczynku, ja zaś w szczególności. Miała to dla mnie być druga bezsenna noc, więc muszę przespać się w dzień przynajmniej ze dwie godziny. W przeciwnym wypadku okazałabym się w bitwie niezdatna do niczego, jak sztylet - zabawka.

Zamiast od razu wcielić się w postać dowódcy armady, zaczęłam od magii. Przede wszystkim musiałam odwrócić zagrażającą nam burzę, która prawdopodobnie miała wybuchnąć w nocy. I tu zaczęły się niespodzianki.

- Nie możemy rzucić takiego zaklęcia bezpośrednio - powiedział Gamelan.

- Dlaczego? Wiem, że on jest potężny, potężniejszy od nas, ale zdaje mi się, że...

- Nie rozumiesz? - w jego głosie zadźwięczało zdumienie.

- Co mam rozumieć?

- Myślałam, że wiesz i dlatego chcesz dalej walczyć. Archont myśli, że nie żyjesz.

- Co? Ale dlaczego? I jakim cudem? - zachowywałam się równie głupio, jak kiedyś, gdy dowódczyni warty powiedziała mi, że zapomniałam skontrolować posterunki i wartowniczką, korzystając z okazji, wpuściła na teren obozu dwóch kupców winnych. Przekupili ją pięcioma litrami wina, które wypła na miejscu.

- Ach, wciąż jesteś na poziomie czeladnika - westchnął. - Zapomniałaś już, że gdy byliśmy na pokładzie okrętu Trahera, rozsmarowałem odrobinę twojej krwi na jakiejś tarczy, czy innym kawałku błyszczącego metalu?

Powiedziałem przy tym parę słów, w nadziei, że powróciła moja moc. Zaklęcie to jest tak proste, że nawet dziecko potrafi je rzucić, szczególnie, jeśli obserwator jest daleko.

- Ach. Ta tarcza z brązu stała się lustrem i odbijała... moją postać? - odgąłam.

- Tak właśnie. Gdy Archont pojawił się na niebie, w zamieszaniu i szaleństwie bitewnym, gdy wszędzie snuły się chmury dymu i magii i zaklęć, ujrzał cię na pokładzie okrętu Trahera. Chyba nie myślisz, że zależało mu, by pozbyć się tego starego śmierdziela, co? Dlaczego miałby sobie zawracać głowę zaklęciami, by akurat ta galera rozprysnęła się, jak melon zrzucony z wieży? Ty byłaś jego celem, a teraz jest przekonany, że mu się udało.

- Szczerze mówiąc, jestem pewien, że właśnie dlatego pościg tak prędko zawrócił i że nasz wróg nie śpieszy się z zaklęciem burzowym. Ostateczne zniszczenie floty jest celem Sarzana, ale nie Archonta, który dobrze wie, że może zniszczyć Konyę kiedy zechce i jak zechce, jeśli nie staniesz mu na przeszkodzie.

- Moim zdaniem, rozwiązaliśmy jeszcze jedną zagadkę. Czy pamiętasz, jak zastanawialiśmy się, dlaczego Sarzana ujawnił, że go uratowaliśmy, rezygnując z pochwalenia się swoją potęgą, dzięki której jakoby sam się uwolnił? To także nie był jego pomysł, lecz Archonta. Archont niewątpliwie rozesłał po całej Konyi magiczne podszepty, by wszyscy dowiedzieli się że to Orissańczycy uwolnili Sarzanę. Nikt jednak nie znał źródła owych pogłosek.

- Zależało mu na twojej śmierci i w odróżnieniu od prostackich łajdaków takich jak Nissou Symeon, oraz arogantów jak Raveline z Zamorskich Królestw, nie ma nic przeciwko temu, by inni załatwiali za niego brudną robotę.

- Zachowuje się, jakbym była jakimś potężnym Mistrzem Magii - odparłam. - Jakbym była tobą,

Gamelanie i miała za sobą całą potęgę orissańskiego cechu magów. Ten człowiek, jeśli w dalszym ciągu jest człowiekiem, nigdy nie stchórzył. Czy mam wierzyć, że jest aż takim durniem?

- Nie bądź naiwna, Rali. Spójrz na wydarzenia z jego perspektywy.

Gdybyś była potężnym magiem, podobnie jak twój brat, gdybyście współpracowali z jeszcze większymi magami ze wschodu i gdyby wasze plany najpierw pokrzyżował ktoś nazwiskiem Antero, a potem jakiś jeszcze potężniejszy mag, również z rodu Antero, zabiłby twojego brata, co byś zrobiła?

Poza tym, widać wyraźnie, że masz wielką moc, nawet, jeśli jeszcze nie do końca rozwiniętą.

W milczeniu zastanowiłam się nad jego słowami. Potem potrząśnięciem głowy odpędziłam wszystkie myśli.

- Mniejsza o to, magu, musimy rzucić jakieś zaklęcie. Wybierzmy coś, co nie zdradzi, że pozostałam przy życiu. O wiele lepiej się czuję wiedząc, że ten drań wreszcie przestał mnie świdrować wzrokiem.

Zabraliśmy się do pracy i po godzinie wszystko było gotowe.

Przygotowaliśmy potężne zaklęcie, które nie unicestwiało burzy, tylko ją opóźniało. Sztorm w dalszym ciągu trwał i nam zagrażał, ale pełną siłę miał osiągnąć co najmniej za dwa dni. Archont na pewno nie wyczuje, że jego magia natrafiła na opór, szczególnie jeśli, zgodnie z domysłami Gamelana, niespecjalnie interesowało go natychmiastowe zniszczenie rozproszonej floty.

Drugie zaklęcie było bardziej ryzykowne i mogło ujawnić moje istnienie, jednak moim zdaniem należało się na nie zdecydować. Ulałam kilka kropli rtęci z pojemnika, w którym pływała igła kompasu. Dodałam nieco balsamu, który kiedyś pomagał mi wznieść się w powietrze i zasiadłam samotnie w kajucie Gamelana. Zapaliłam świecę, wrzuciłam w płomień specjalne zioła, prysnęłam aromatycznym olejkiem z zapasu maga i zaczęłam głęboko wdychać opary.

Następnie zasiadłam przy stalowym lustrze, umieszczonym obok świecy i skoncentrowałam całą uwagę, całą swą istotę na odbiciu płomienia w stali.

Odległość, oddalenie, uniemożliwiały odkrycie mej obecności. Taką przynajmniej miałam nadzieję. W umyśle moim nie pozostał nawet cień myśli o Archoncie ani Sarzanie, gdy stałam się płomykiem - niczym więcej, tylko zwykłym płomykiem.

- Ogniu, ogniu Potężny żywiole Tylko ty jesteś Nic poza tobą Jesteś sam Nic ci nie trzeba Jesteś chwilą Jesteś ogniem.

Rali Antero zniknęła, ulotniła się gdzieś i istniał tylko mały płomyczek, który rozświetlał ciemności. Pochłonał nieco balsamu, rozsmarowanego na aromatycznym drewnie, błysnął, stał się czymś innym i zachwycała go radość latania, unoszenia się nad wodą, powietrzem i nad dwoma najpotężniejszymi wrogami. Ujrzał swoje odbicie w maleńkiej kropli rtęci i w dziwny sposób poczuł coś, co istota ludzka nazwałaby słowami: - Oto coś nowego Oto twój brat Szukaj, ogniu, Aż odnajdziesz.

Na moment stałam się ową kroplą rtęci i przez moment „szukałam” mego brata. W chwili, gdy go odnalazłam, mą duszę skuł lud i poczułam, jak z tyłu gromadzi się ciemność. W tej samej chwili byłam już ogniem, byłam sama, byłam świecą, bezpieczną na pokładzie statku. Wiedziałam jednak, że moja kropla rtęci „odnalazła” ową tablicę rtęciową na blacie stoły Sarzany i że dzięki niej odnajdę i zabiję mego wroga.

Tym razem nie pójdziemy do boju na ślepo. Ale bój ten będzie śmiertelny, gdyż Sarzana znalazł kryjówkę w najlepiej obwarowanym miejscu w Ticino. Wiele krwi się poleje, zanim go stamtąd wykurzymy.

Świtało. Ostatnią godzinę przed wzejściem słońca spędziłam, rysując dokładną mapę miasta z zaznaczonymi celami taktycznymi. Następnie pocięłam ją na dwieście kawałków, wyrecytowałam proste zaklęcie powielające i stół załamał się pod ciężarem dwustu dużych map miasta. Nic już nie miałam do roboty, więc przekazałam dowództwo Corais i zapadłam w sen bez marzeń.

Gdy się obudziłam, poleciłam rozstawić na mostku parawan i wzięłam słoną kąpiel, wylewając sobie na głowę wiadro za wiadrem słonej wody, podawane przez jedną z szeregowych. Marzyłam wprawdzie o czymś innym: o długiej kąpeli w aromatyzowanej wodzie. W domu często moczyłam się w wannie wielkiej, jak ten cały mostek, pełnej gorącej wody, jakby prosto z gejzera, perfumowanej najkosztowniejszymi olejkami i solami. Pozwoliłam sobie na chwilę marzeń. Taak, kąpiel a potem długi masaż. A masażystką jest Xia... jakąś częścią umysłu zastanawiałam się, skąd księżniczka wzięła się w Orissie, lecz nie było to ważne... obie byłyśmy nagie, powoli wcierała olejek w mą skórę, a jej sutki twardniały, pieszcząc me plecy, a potem...

... a potem Corais poprosiła panią kapitan o wybaczenie, gdyż z galery Nora nadawano sygnały. Odsunęłam więc marzenia o tym, co zdarzyłoby się dalej... o starannie dobranych daniach, o powolnym splataniu się dwóch ciał w miłosnym uścisku na jedwabnych prześcieradłach, o długim, spokojnym śnie, przebudzeniu do miłości, zapachach... i ani jednej myśli o przeklętej wojnie, magii i wydawaniu rozkazów.

Poleciłam zignorować wszelkie sygnały i wezwać go natychmiast do nas na pokład. Wytarłam się, czując swędzenie wysychającej soli i odziałam się jak do bitwy.

Poleciłam, by z mostku zeszli wszyscy poza oficerem wachtowym i sternikiem, i by Nora przyprowadziły do mnie dwie w pełni uzbrojone gwardzistki. Nie byłam pewna, co chcę mu powiedzieć; to był twardy człowiek, twardszy niż Bhazana i konyańscy kapitanowie. Wiedział, że jego oficerowie złamali przysięgę, gdy na ślepo popłynęli ku zagładzie, więc nie było sensu mu o tym przypominać. Zamiast tego powiedziałam, że nie potrzebujemy ani jego, ani pozostałych dwóch galer i dlatego też nie wezwaliśmy go na odprawę u Bhazany. Widać było, jak go to zabolalo. Warknął, że nie zdołamy go powstrzymać.

Odparłam, że zdołamy i to bez problemu, gdyż bez skrupułów wystawię trzy okręty Bhazany przeciw każdej jego galerze. Marynarze bali się Bractwa i zarazem go nienawidzili, gdyż widząc ich uświadamiali sobie, że i ich mógł spotkać podobny los. Poza tym, pragnęli pokazać, że mimo wszystko są wojownikami, więc skoczyli by eunuchom do gardła na jedno moje skinienie.

Nor milczał. Milczał, gdyż nie miał nic do powiedzenia: wiedział, że mam rację. Stracił rezon i spytał: - Czy naprawdę nie zechcesz, pani, odwołać tych rozkazów? Nie będę przepraszał za to, co zrobili Nasby i Yanno, powiem tylko, że złamali przysięgę, którą złożyliśmy wszyscy. Nie spodziewam się, że uwierzysz w moje obietnice, ale to się naprawdę nie powtórzy. Wszyscy moi ludzie widzieli, jak giną nasi bracia, a Sarzanie nie dzieje się najmniejsza krzywda.

Już był mój. Powiedziałam, że owszem, istnieje jedna jedyna szansa i wyjaśniłam o co chodzi. Tylko w ten sposób mógł wziąć udział w bitwie i naprawić zło, które wyrządzili krzywoprzysięzcy. Zaczął protestować, lecz ucichł prędko, gdyż uświadomił sobie, że nie zamierzam zmienić zdania, choć rozkaz ten oznacza dla nich rezygnację ze wszelkich planów i marzeń o walce.

Dostaną albo to, albo nic.

Zgodził się, choć niechętnie. Powiedziałam, że ma dwie godziny na przygotowanie do opuszczenia okrętów. Po tym czasie przyłyną po nich szalupy.

Tak też się stało. Gdy tylko jego ludzie przesiedli się na szalupy, ich galery zostały wzięte na hol przez większe konyańskie okręty. Potężne łodzie krążyły wokół kadłubów, które były nazbyt zniszczone, by ponownie wziąć udział w bitwie; przeładowywano na nie balast z żez i przewożono go na inne okręty, by służył jako pociski do katapult. Następnie załoga opuściła uszkodzone wraki, które pośpiesznie zatopiono.

Armada wyruszyła do Ticino. Płynęliśmy nieśpiesznie, gdyż żeglugę spowalniały pozostałe wraki, które też należałoby na dobrą sprawę zatopić, gdybym przyjęła inną taktykę. Teraz, razem z Bractwem Straceńców, miały stanowić klin, który wedrze się w szeregi Sarzany.

Podczas żeglugi, między okrętami bezustannie krążyły szalupy, dowożące pewnego rodzaju materiały na zniszczone statki, przewożące marynarzy z jednego okrętu na drugi, wypełniające wiele innych funkcji.

Ja również byłam bardzo zapracowana. Powiedziałam Bhazanie, że potrzebuję do wypełnienia specjalnego zadania pięciu okrętów z załogą złożoną z najodważniejszych marynarzy. Nie zastanawiając się ani chwili, polecił mi wziąć pięć galer z eskadry kapitana Yezo. Pływali na nich uciekinierzy z wysp zniszczonych przez Sarzanę, a cała rodzina Yezo została wymordowana przez maga wiele lat temu, gdy zasiadał na tronie.

Dużo słyszałam o odwadze tych ludzi, ale niewiele widziałam, więc powiedziałam admirałowi, że

wolałabym ich sama ocenić. Osobiście popłynęłam na każdy z okrętów, którego załoga zgłosiła się na ochotnika. Nie czułam zbyt wielkiej sympatii dla przeklętych Konyańczyków, lecz musiałam niechętnie przyznać, że chyba będą potrafili przeprowadzić mój plan, choć najlepszym sprawdzianem umiejętności jest zawsze sama bitwa. Gdybym miała batalion Gwardii, lub chociaż pułk, by na każdym statku trzon załogi tworzyły moje kobiety, byłabym spokojniejsza, lecz naturalnie mogłam o tym jedynie marzyć.

Upewniłam się, że wszyscy marynarze wiedzą dokładnie, co mają robić w czasie bitwy i dodałam, że prawdopodobnie żaden z nich nie doczeka świtu.

Nikt się nie cofnął. Jeśli okręty Nora były klinem, pięć konyańskich galer stanowiło łom, którym otworzę drzwi na roścież.

Poleciłam, by przysłano mi najzdolniejszego rzeźbiarza na okręcie. O dziwo, okazało się, że to okrutny Santh, rodak Fyna. Wydałam mu rozkazy i zaczęłam wyjaśniać, dlaczego chcę tak zrobić. Zrozumiał w lot.

- Ten syn francowatej dziwki nastął na nas magię, nie? No, to po sprawiedliwości będzie, jak mu ją odeślesz - stwierdził, pogładził kawałek miękkiego drewna i zabrał się do pracy, mruczając fałszywie pod nosem.

Później, w kajucie Gamelana, mag miał okazję wypróbować swój odradzający się Talent. Pamiętam, z jakim zadowoleniem trzymał nade mną ręce, marszczył brwi w skupieniu i recytował: - Odwróć się, nie patrz.

Szczypią cię oczy a tu nic nie ma.

Skończył zaklęcie, dotknął mej głowy i ramion modrzewiową gałązką i rzekł, wzruszając ramionami: - No cóż, jeśli wróciła choć odrobina mej mocy i prawidłowo zapamiętałam to dziecinnie łatwe zaklęcie, będziesz do pewnego stopnia chroniona przed Archontem, a to ma pewien urok.

Uśmiechnął się lekko z tej marnej gry słów, a ja roześmiałam się, nie tyle z dowcipu, ile z radości, że Gamelanowi wraca humor i niedługo mag będzie równie pogodnym towarzyszem, jak przed przyjazdem do Konyi. Miałam nadzieję, że jego moc będzie powoli powracać, gdyż w przeciwnym razie mag ponownie się załamie.

Uśmiech zniknął. Gamelan wyglądał na zaniepokojonego. - Widzisz różnicę, Rali?

Zakłęcie było łatwe do wypowiedzenia, lecz jego zamysł wydał mi się wyjątkowo sprytny; mag wymyślił subtelną odmianę czaru, którym Archont ukrywał swe żółwie-okrety za mgłą. Do jego rzucenia potrzeba było o wiele mniej energii i materiałów. Działał jedynie w odniesieniu do magicznego spojrzenia, co jeszcze bardziej upraszczało sprawę. Gdyby jakiś Mistrz Magii obserwował magicznym wzrokiem miejsce, gdzie akurat przebywałam, zaczęłyby go piec oczy, jak gdyby dostała się do nich woda; na samym początku zaklęcia Gamelan sprawił, że Pamphylija mrugała powiekami właśnie w ten sposób. Wygodniej i łatwiej było spoglądać gdzie indziej, na coś innego, choć ta świadomość nie docierała już do magicznego obserwatora.

- Jak mam ją niby zobaczyć? Magiczny wzrok to jeszcze nie moja specjalność. Może zawołamy jakiegoś Archonta i go zapytamy? - zażartowałam, zarażona jego wesołością.

- No cóż, w takim razie, jeśli zadziała, to dobrze. Jeśli nie, to zapiszesz mi w spadku twoją magiczną księgę? - odparował.

Roześmialiśmy się i zajęliśmy się następnym zaklęciem. Przez chwilę zastanowiłam się, jak wyglądałoby życie w świecie bez magii.

- To niemożliwe - prychnął mag. - Równie dobrze możesz wyobrazić sobie świat bez wody i powietrza.

Do głowy przyszła mi następna błaha myśl: - Ponieważ magia bitewna zwykle nie działa, albo działa nie dość dobrze, w natłoku zaklęć i zamieszaniu, co by się stało, gdyby ktoś poszedł do boju nie zwracając sobie głowy czarami?

- Powiedz, próbowałaś kiedyś rozgrzać nad ogniem pusty dzban na wino a potem zakorkować go mocno, zanim ostygnie?

- Pewnie, że tak. W dzieciństwie. Dzban rozprysnął się i zabrudził całą kuchnię, a ojciec posłał mnie za karę do pokoju na resztę dnia, bez jedzenia.

Amalryk miał więcej szczęścia i opowiadał, że korek wskoczył do środka z głośnym cmoknięciem.

- Dokładnie to właśnie by się stało, gdybyś ruszyła do boju bez Mistrzów Magii i ich zaklęć, nawet jeśli całe to mamrotanie jest w większej części nieskuteczne. Ogień wypchnął coś z dzbana, w środku zrobiło się nieznośnie pusto i korek musiał wskoczyć, by wypełnić jego wnętrze. Magia twego wroga ogarnęła by cię jak pobierak i porwała jak ławicę stynek.

- A więc tak już musi być? Na każde zaklęcie jest kontr-zaklęcie, przeciw któremu rzuca się kontr-kontr-zaklęcie, a potem kontr-kontr-kontr...

- Rali, bierzmy się do roboty.

Posłuchałam go. Ale zanim z powrotem pochyliłam się nad alembikiem i różdżką, przyszła mi do głowy przekorna myśl o świecie bez magii. Bogowie, o ileż prostsza byłaby wojna, gdyby człowiek mógł polegać tylko na własnych mięśniach, mózgu i mieczu. W takim świecie pewnie nie byłoby armii, gdyż nie istniałaby potrzeba tworzenia licznych wojsk. Ludzie rozstrzygaliby spory tocząc pojedynki, jak nasi prymitywni przodkowie.

Gdy przygotowaliśmy już wszystkie zaklęcia, wezwałam na galerę wszystkich konyańskich magów, którzy przeżyli bitwę. Zostało ich czterech - reszta zginęła w wybuchu galery Trahera. Dzięki temu mieliśmy choć kilku pomocników, gdyż ich umiejętności były nieco mniej zaawansowane, niż orissańska magia. Zebraliśmy kilka pozostałych worków z wiatrami ze wszystkich statków i z ich pomocą wyrecytowaliśmy zaklęcie, przywołujące sprzyjający wiatr, który miał zanieść nas do Ticino. Mogliśmy także kontrolować jego kierunek i siłę, dzięki mojemu pomysłowi, by przed jednym z worków położyć mały kompas z szalupy. Gdy czterej Konyańczycy recytowali zaklęcie, pchnęłam paznokciem igłę, by zawirowała. Jeden z magów po skończonym zaklęciu stwierdził, że przez to otrzymamy wiatr ze wszystkich kierunków naraz albo nawet cyklon. Nie zwróciłam na to

uwagi, bo wiedziałam, że mam rację.

Gdy zbliżyliśmy się do archipelagu, sztorm wyczarowany przez Archonta ucichł, a ja nieco się uspokoiłam. Gdyby wróg śledził nas z pomocą magii, oko cyklonu poruszało by się w ślad za naszą armadą.

Późnym popołudniem dojrzeliliśmy pierwsze wyspy. Po raz kolejny zmieniałam się w stado mew i poleciałam na rekonesans. Nie groziło mi wykrycie, nawet w tym starym przebraniu, pod warunkiem, że będę się trzymała z dala od głównego lądu. Większość wartowników opuściła swe posterunki na pomniejszych wyspach. Odwołano ich do Ticino, gdy nasza flota odpłynęła w rozsypce. Pozostali strażnicy byli, łagodnie mówiąc, niespecjalnie czujni. Mimo tego, rzuciliśmy następne zaklęcie, gdyż nie mogliśmy podejmować zbędnego ryzyka. Dobrze, że dzień był pochmurny, choć miałam w zanadru inny czar, na wypadek słonecznej pogody. Na pokładzie narysowaliśmy pentagram i w każdym rogu ustawiliśmy kociołki na wysokich trójnogach. Płonęło w nich kadzidło, które naszym zdaniem powinno spodobać się konyańskim bogom powietrza i - co ważniejsze - zioła, które powinny sprowadzić magiczną moc, niezależnie od woli bogów: laur, szarotka, korzeń pokrzyku i tojad mordownik.

Na środku pentagramu Gamelan wyrysował kredą symbole. Ukłękłam obok, nad płonącym węglem drzewnym. Do ognia wrzuciłam inne zioła, między innymi korzeń mniszka i babkę lancetowatą. Nad nim wisiał kociołek z wodą. Gdy zawrzała i buchnęły z niej kłęby pary, odczytałam listę imion, które zapisałam sobie fonetycznie na kartce. Nie miałam pojęcia, w jakim są one języku. Co dziwniejsze, Gamelan też tego nie wiedział.

- To jedno z zaklęć, które magowie przekazują sobie od niepamiętnych czasów - powiedział. - Gdy kazano mi się nauczyć go na pamięć, pytałem, czy ktoś zna tłumaczenie, albo wie, o czym mówią te słowa, poza tym, że przywołują zasłonę z chmur i że stosują je najczęściej wiedzmy pogodowe, na farmach, by ostre letnie słońce nie wypalało młodych roślin.

Zmodyfikowaliśmy zaklęcie dla własnych potrzeb. Z trudem wymawiałam skomplikowane słowa. Podniosłam wzrok i ujrzałam, jak powoli, majestatycznie chmury schodzą na naszą prośbę w dół, by połączyć się ze swą siostrą. Przerwaliśmy ceremonię, by mgła, gęstniejąc zanadto, nie uniemożliwiła nam żeglugi. To by dopiero było, gdyby magia przywołana do pomocy, oślepiła nas tak, byśmy na siebie wpadali i zatapiali własne statki samobójczo, bez udziału wroga.

Następnie magów i magię przenieśliśmy na okręt flagowy admirała Bhazany. Na galerze Strykera nie było dla nich miejsca, poza tym wiedziałam, że w bitwie nie będzie to najbezpieczniejsze miejsce. Jeden z Konyańczyków dostał polecenie czuwania nad mgłą; miał ponownie wyrecytować zaklęcie w razie, gdyby się rozwiewała. Pozostali trzej pilnowali wiatru. Gamelan, niepewny, czy można im zaufać, zastanawiał się, czy nie powinien im towarzyszyć. W jego głosie dźwięczał ton dawnej goryczy, gdy powiedział: - Przynajmniej stary dziadek by wam tu nie wchodził w drogę.

Już miałam coś na to odpowiedzieć, ale ubiegła mnie Pamphylia.

- Ależ, panie - powiedziała beczelnie - będziesz niezbędny przy zdobywaniu miasta. Chodzi o to, żeby w ktoś w awangardzie był w stanie gwałcić kobiety, bo podobno wszyscy żołnierze tak robią.

Gamelan prychnął ze złością, ale humor mu się poprawił.

Xia czekała na mnie w kajucie. Weszłam, by przebrać się w zbroję.

Księżniczka miała na sobie mundur Gwardii Marannon, zbroję trzymała na podorędziu i siedziała na skrzyni z odzieżą, wpatrując się w nagi miecz, towarzysza codziennych ciężkich treningów, jakby nigdy w życiu go nie widziała.

- Księżniczko - zaczęłam oficjalnym tonem, gdyż zamierzałam wydać jej rozkaz, a nie przekazać prośbę kochanki. Wydawało mi się w każdym razie, że podjęłam tę decyzję z rozsądku, a nie z miłości. - Gdy ruszymy do boju...

Przerwała mi.

- Gdy ruszymy do boju, będę u twego boku, kapitanie.

Zatkało mnie. Spodziewałam się sprzeciwu, gdy rozkaże, by przeniosła się na galerę admirała

Bhazany, albo przynajmniej pozostała na pokładzie u Strykera, gdy wylądujemy w Ticino. Miałam na to przygotowaną odpowiedź.

Ale odebrała mi przewagę, używając mego tytułu. Próbowałam przenieść dyskusję na poziom oficjalny, a ona obróciła tę broń przeciw mnie.

- Jeszcze żaden Kanara nie prowadził bitwy z bezpiecznego namiotu - odparła. - Nie zamierzam zhańbić tej tradycji.

- Tak jest. To bardzo szlachetne, księżniczko. Pamiętaj jednak, że jesteś ostatnia z tego rodu. Co się stanie, jeśli...

- Wtedy ojciec będzie musiał uznać jednego ze swych bastardów za legalnego potomka, a może nawet ożenić się z jakąś konkubiną. A te zasmarkane owoce żądz w dziesięć lat doprowadzą rodowy majątek do ruiny.

I co z tego? Mało dbam o wszystko, co zdarzyło się przed moim urodzeniem, chyba, że ma to na mnie bezpośredni wpływ. To zaś, co się stanie po mej śmierci, obchodzi mnie jeszcze mniej. Z tego co wiem i w co wierzę, w chwili, gdy zabierze mnie ten, którego wy nazywacie Łowcą, cały świat zafiliuje i zgaśnie jak zdmuchnięta nagle świeca. Może wszystko to istnieje tylko dla mej rozrywki?

Już miałam znaleźć ciętą odpowiedź na tę oczywistą bezczelność, gdy spostrzegłam, że ma ukochana ukrywa uśmiezek i spogląda na mnie łobuzersko.

Odłożyła miecz i wstała. - Mamy w rodzinie jeszcze jedną tradycję - dodała schrypniętym głosem i podeszła do mnie. Miałam na sobie tylko buty, pas i luźną, wydekoltowaną tunikę, sięgającą do połowy uda. Ciężki pas z hukiem upadł na pokład i już jej ręce były na moich ramionach. Ściągnęła tunikę do pasa, me sutki stwardniały, odzienie poleciało na pokład, a Xia uniosła mnie i położyła na nim.

Sama się nie rozebrała, lecz wzięła mnie jak wojownik dziewicę, którą dostał jako wojenny łup. Jej

usta i palce były wszędzie, pieściły, gładziły, potem naciskały, a ja dygotałam, czułam pod pokładem szorstkie deski pokładu i zagryzałam usta by nie krzyknąć, gdy pieszczoty Xii uniosły mnie wysoko w niebo, wyżej nawet niż moja magia.

Powróciłam na ziemię po chwili, po kilku dniach, tygodniu, czy też roku i ujrzałam mą kochankę, jak spoczywa na boku obok i gładzi mnie paznokciem po skórze.

- Fantastyczna tradycja - udało mi się wykrztusić. - Chyba mój ród ją przejmie.

Zebrałam się w sobie i odwróciłam ku niej, ale potrząsnęła głową.

- Po bitwie, moja miła Rali. Najpierw musimy ich zniszczyć. Potem będziemy miały dość czasu na miłość.

Okręty nasze przemknęły się między przylądkami w całkowitych ciemnościach. Nikt nie palił świateł, nikt nie odezwał się ani słowem, gdy sunęliśmy po falach. Szkoda, że dwa dni temu wszystko odbyło się zupełnie inaczej, gdyż byłoby z nami kilka tysięcy mężczyzn więcej, oddychaliby i marzyli o domach i o chwale, zamiast gnić na dnie oceanu w ciszy, kołysząc się w rytm przyływów i odpływów.

Przed wejściem do zatoki ustawiliśmy się w szyku bojowym. Na przedzie szły wraki, obsadzone przez ludzi Nora i ochotników. Tuż za nimi płynęło siedem naszych galer, a w pobliżu pięć konyańskich okrętów kapitana Yezo. Za rufą mieliśmy okręt flagowy admirała Bhazany i pozostałe galery. Nie dawałam mu szczegółowych rozkazów, poza tym, że jego ludzie mają atakować każdego wroga w ich zasięgu. Zakładałam, a raczej miałam nadzieję, że dowódcy formacji potrafią nimi komenderować. Dodałam, że z pewnością nieprzyjaciele nie będą już unikać walki, jak poprzednio, gdyż zyskamy nad nimi przewagę, atakując z zaskoczenia. Na koniec zabroniłam oddalać się z pola bitwy bez rozkazu wydanego przez mnie i nikogo innego, dodając, że wezwałam zaklęciem morskie demony, by zniszczyły wszystkich maruderów.

Nie chcąc kończyć rozkazów tak potężnym kłamstwem, zawahałam się na moment i dopisałam: - Nie popełni błędu ten, kto dzisiejszej nocy podąży z bronią tam, gdzie dźwięczy stal. Bogowie są z nami!

Nie pozostało mi nic innego tylko czekać i modlić się, by nas nie odkryto.

Obok mnie w forpiku była Corais. Obie spoglądałyśmy na światła miast daleko za rufą. Odwróciłam się, by wyjść na mostek. Zatrzymała mnie dotknięciem dłoni.

- Gdy wrócisz do Orissy, zorganizujesz pierwszego dnia lata turniej łuczniczy mojego imienia? Niech będzie otwarty dla wszystkich, szczególnie dla młodych dziewcząt, które może zechcą potem wstąpić do Gwardii.

Chciałam coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili znalazłam inne słowa: - Obiecuję - odparłam - pod jednym warunkiem. Masz trzymać łapska z dala od łuczniczek, przynajmniej póki ich matki będą patrzeć.

Uśmiechnęła się i dotknęła palcem opaski z szaty Sarzany, którą wciąż miała na ramieniu.

- Dziękuję ci - odpowiedziała tylko.

W ciemnościach nocy i oparach mgły migotały światła Ticino. Wkrótce okaże się, czy opracowałam skuteczną strategię. Mniej niepokoiła mnie siła bojowa, niż element zaskoczenia; przeciwnik mógł przecież odkryć nasze plany z pomocą magii i zastawić pułapkę. Przede wszystkim jednak martwiłam się, czy Konyańczycy będą walczyć, czy też znowu uciekną.

To nie furia nakazała mi przeprowadzenie ponownego ataku na twierdzę Sarzany od razu po klęsce. Nie kierowałam się także starodawnym powiedzonkiem, że jeśli koń zrzuci jeźdźczynię, musi ona natychmiast wsiąść znowu na jego grzbiet, bo już zawsze będzie się bała dosiadać wierzchowca.

Nie, ja miałam inny powód: po prostu dobrze znam żołnierzy. Po zwycięstwie, a szczególnie tak spektakularnym jak to, które przypadło im w udziale, należy świętować. Wojsko pragnie pić, jeść, kochać się - jednym słowem potwierdzać swą przynależność do świata żywych.

Najlepiej byłoby kontratakować w nocy natychmiast po klęsce, lecz było to niemożliwe. Jednak, gdy zastanowiłam się tym głębiej, przypomniawszy sobie, jakiego nieraz miewałam kaca po bitwie, szczególnie przy okazji wybijania klina klinem, doszłam do wniosku, że właśnie tej nocy armia Sarzany będzie najmniej zdarna do boju. Już za chwilę miało się okazać, czy moje domysły były słuszne. Widziałam już linię okrętów stojących na kotwicy, odcinającą się od jasnych świateł miasta. Słyszałam wrzaski uczujących, hałaśliwe dźwięki wojskowych marszów i pijackie piosenki. Widziałam błyski pochodni na gondolach, które krążyły po kanałach, zastępujących w tym mieście ulice. W porcie było prawie ciemno; na większości okrętów nie pozapalano nawet latarni na masztach, co zwykle robi się, stojąc nocą na kotwicy.

Wydałam pierwszy rozkaz i sierżant Ismet otworzyła ściankę ślepej latarni, nadając umówiony sygnał: długi, krótki i długi. Na ten znak magowie z galery Bhazany powinni wzmóc wysiłki. Poczułam, że wiatr z rufy przybiera na sile, a Gamelan, stojący obok mnie skomentował: - Przynajmniej potrafią słuchać rozkazów. To znaczy, jak na razie.

- Niech się starają, dla własnego dobra - warknęła Polillo. - W przeciwnym razie ja się nauczę magii i rzucę zaklęcie, po którym namiastki ich fiutów całkiem wyschną i odpadną.

Spojrzała na Corais, oczekując kwaśnego komentarza, ale odpowiedzią był tylko cień uśmiechu i milczenie. Zaniepokoiła się wyraźnie, ale w końcu wzruszyła ramionami i powędrowała na posterunek przy katapultach.

Nasze żagle wypełniły się wiatrem i Duban szeptem nakazał je zrefować; ten wiatr miał pomóc innym okrętom, powolniejszym od naszego. Udało mu się to świetnie - wielkie żagle na płynących przed nami kadłubach wydeły się, sfatygowane galery jęknęły, zaskrzypiały i zwiększyły prędkość. Ich śladem pobieżyły maleńkie białe falki. Okręty kapitana Yezo również ruszyły do przodu pełną prędkością, gdyż miały wejść do akcji przed nami.

Do tej pory moja strategia zdawała egzamin, więc zaczęłam się niepokoić.

Jest takie stare powiedzenie, że jeśli jakiś plan udaje się bez przeszkód, to znaczy, że na końcu czeka zasadzka. Z nieprzyjacielskiego kutra patrolowego błysnął sygnał i rozległo się pytanie o hasło. W sekundę później pierwszy okręt Yezo roztrzaskał łódkę na kawałki i posłał na dno. Krzyki tonących

marynarzy prędko ucichły. Na konyańskich wrakach zabłyśły pochodnie i rozpoczął się drugi etap mego planu. Okaleczone okręty miały wykonać samobójczą szarżę; podczas żeglugi załadowano na nie łatwopalne materiały. Do masztów przywiązano baryłki z oliwą, pod pokładami zamocowano inne baryłki ze starymi żaglami nasączonymi woskiem i smołowanym linami. Wszystko to miało podsycać płomienie. Gdy konyańscy magowie zwiększyli siłę wiatru, ludzie Nora i inni ochotnicy na pokładach ognistych okrętów wbijali dna baryłek do wewnątrz i zapalali ich zawartość.

Noc rozświetliły szalejące płomienie, a wśród ich ryku usłyszałam okrzyki i jęki wartowników Sarzany, nagle wyrwanych z pijackiej drzemki. Na tle czerwonożółtych ogni widziałam sylwetki ludzkie, rzucające pochodnie w łatwopalne baryłki. Gdy pożar ogarniał pokłady, podpalacze umykali do szalup, zakotwiczonych przy każdym kadłubie. Jedna załoga nie zdążyła i ogień porwał krzyczących z bólu ludzi w swe objęcia. Ogniste statki jarzyły się jak papierowe latarnie i coraz bardziej zbliżały się do nieprzyjacielskich okrętów na redzie.

Na wrogich pokładach zapanował chaos: nieprzytomni ze snu lub przepicia żołnierze Sarzany wybiegali z kajut. Wyobrażałam sobie, jak biedacy miotają się, nie wiedząc co czynić i których komend słuchać. Tu i ówdzie przytomni marynarze odcięli toporami liny kotwiczne, by umknąć przed ognistymi statkami, a wiatr pochwycił uwolnione okręty i poniósł je wprost na inne galery. Jedna z galer Sarzany nie zdążyła uciec przed pływającą pochodnią.

Płomienie z rykiem przeskoczyły na jej pokład, a wrzaski i słup ognia strzeliły w niebo. Po chwili druga i trzecia padła łupem ognistych statków.

Za nami słyszałam zgrzyt i uderzenia: to nieliczne maszyny wojenne na pokładach konyańskich galer rozpoczęły ostrzał. Były wciąż za daleko, więc tylko w ciemności wykwitły fontanny wody, jak zabójcze kwiaty. Po chwili jednak kilka głazów trafiło w cel. Niebo przeszyły ogniste strzały i po chwili płomienie zatańczyły na pokładach kolejnych wrogich okrętów.

Pierwszy konyański okręt dopadł wroga, przez burtę przeleciały kotwiczki i po chwili na pokład wpadł tłum żądnych krwi marynarzy. Z drugiej strony ustawił się następny konyańczyk, a na rufie trzeci. Nawet niezgrabne galery z Izoldy potrafiły wykorzystywać naszą taktykę i nękać ofiarę jak drapieżna sfora.

Na orissańskich statkach raz za razem odpalały katapulty do ścinania masztów. Cele były wyraźnie widoczne, gdyż czarne maszty na statkach Sarzany ostro odcinały się od morza płomieni. Nie dbałam

o to, czy pociski trafią w cel, czy też będą siał zniszczenia w mieście; podobnie jak wszystko inne, miały tylko potęgować zamieszanie i przerażać wroga. Sądząc jednak z radosnych okrzyków na dziobie, Polillo z radością odbijała sobie długi dzień bierności i patrzenia na klęskę sojuszników.

Zaskoczenie było naszą najpotężniejszą bronią, planowałam więc nie wypuszczać jej z rąk. Nasz atak był jedynie dywersją, mającą ukryć szturm na cytadelę Archonta. Przed wyruszeniem w śmiertelny bój musiałam zrobić jeszcze jedną rzecz. Przy samym brzegu kotwiczyły statki-żółwie, wyraźnie obsadzone przez elitę marynarzy, która była znacznie bardziej przytomna niż reszta. Co najmniej połowa tych galer wysunęła już wiosła, opuściła po cichu kotwicowisko i popłynęła do walki.

Wyjęłam z pudełka miniaturę takiego statku, starannie wyrzeźbioną przez Santha. Uprzednio obłożyłam ją zaklęciem i dotknęłam grotem nieprzyjacielskiej strzały, by okręcik dobrze „poznał” swych dużych braci i wiedział, gdzie ich szukać. Włożyłam go do miednicy z wodą, co nie miało znaczenia dla magii, lecz chroniło nasz własny statek przed pożarem.

Odkorkowałam flakon i oblałam model oliwą do lamp.

- Ożyj, oliwo Ożyj i rośnij.

Uleć w powietrze, Uleć i płoń.

Dotknęłam drewnianą drzazgą płomienia oświetlającego kompas i gdy zajęła się płomieniem, przytknęłam ją do nasączonego oliwą modelu.

- Jesteś ogniem i masz moc.

Możesz zwalczyć czarną noc.

Noc się podda i ulegnie.

Na dnie morza wszystko legnie.

Bierz co chcesz, bo wszystko twoje.

Wszystko twoje i jednakie.

Dalej, ogniu, pędź na zer.

Wszystkie statki-żółwie eksplodowały. Pomyślałam ponuro, że przy wulkanach Archont pokazał mi broń, a ja ją rozwinęłam, zmodyfikowałam i oto jego własna siła odwróciła się przeciw swemu wynalazcy. Żadna z opancerzonych galer mi się nie oparła, gdyż ochrona przeciw strzałom teraz stała się śmiertelną pułapką. Tylko nieliczni marynarze wydostali się z luków, zanim statki-żółwie spopielily się aż po linię wodną i poszły na dno. Magiczny ogień pochłonał je prędzej niż jakiegokolwiek ziemskie płomienie.

W porcie było jasno jak w dzień. W mieście również zapaliły się światła, gdy Ticino przygotowywało się do walki, lecz nie przejmując się tym, zajęłam się kolejnym zaklęciem. Moim zdaniem nie było ono potrzebne, lecz Konyańczycy już raz umknęli przed tą iluzją, a ja nie miałam zamiaru przegrywać bitwy, gdyby Sarzana przywołał ją ponownie.

Gamelan już przygotował trójnóg. Sypnęłam w ogień suszone zioła: przytulię i rutę od uroku, a rozmaryn jako ochronę przed śmiercią.

- Spoglądajcie, oczy!

Spoglądajcie jasno Spoglądajcie bystro A ujrzycie prawdę.

Mgła ani zasłona Was nie otumani Spoglądajcie, oczy!

Na to, co przed wami.

Maleńka chmurka dymu zaczęła rosnąć i okryła idące za nami konyańskie okręty, po czym znikła. Ostrzegłam admirała Bhazanę, że będę rzucać zaklęcie przeciw iluzji, lecz mimo to marynarze zaczęli krzyżeć ze strachu, a kilka galer zeszło z kursu. Zakląłam, lecz nie miałam czasu by temu przeciwdziałać, gdyż pięć okrętów kapitana Yezo zbliżyło się do celów, czyli pięciu bram morskich między zatoką a pięcioma kanałami miejskimi. Zwykle pozostawały zamknięte, by oceaniczne pływy nie zmieniały poziomu wody w kanałach. Widziałam, jak na nabrzeże pędzą karne oddziały uzbrojonych żołnierzy, w biegu zasypując atakujące statki deszczem strzał i włóczni.

Spóźnili się jednak.

Czas było już zrzucić z siebie opończę maga i wreszcie zająć się tym, co naprawdę potrafiłam robić. Z mieczem w dłoni wybiegłam na mostek i dalej, po sztormówce, tam, gdzie czekał już oddział szturmowy. Xia uśmiechnęła się twardo, bez humoru, prawdopodobnie nieświadomie i zbliżyliśmy się do doków Ticino.

Pięć okrętów Yezo i pięć morskich bram..Nakazałam, by atakował je prosto z morza, gdzie woda była najgłębsza. Jedna z galer skręciła. Pewnie raniono sternika, albo coś innego się zdarzyło i uderzyła prosto w nabrzeże.

Żołnierze jednak chyba nie zorientowali się, co jest przedmiotem ataku, gdyż przerwali ostrzał pozostałych galer i skoncentrowali się na walce z unieruchomionym napastnikiem. Pozostałe okręty były o krok od katastrofy, lecz okazało się, że ludzie Yezo są rzeczywiście tak zdyscyplinowani, jak mi z dumą opowiadał. Nie dbając o deszcz strzał, odcięli liny kotwic, zawieszonych na zaimprovizowanych żurawiach na rufie, tak, jak ćwiczyli na pośpiesznie przeprowadzonym szkoleniu i kotwice z pluskiem wpadły w czarne wody zatoki.

Cztery okręty uderzyły. Trzask bram na chwilę zagłuszył odgłosy walki na redzie. Siła odrzutu powaliła marynarzy na pokłady, lecz ci szybko wstali, gdy okręty pochylały się na burtę i kołysały, po czym rzucili się do prymitywnych kabestanów kotwicznych zamontowanych na mostkach,

ściągać wraki na bok, by zeszyły nam z drogi.

Stryker krzyknął, by wciągnięto wszystkie żagle na maszt, Duban nakazał wiosłarzom iść pełną parą, lecz ja w skupieniu obserwowałam statki Yezo, które powoli, z trudem, odsuwały się do tyłu, odsłaniając wejścia do kanałów. Na czwartym powstało zamieszanie, gdy oba łańcuchy kotwiczne popękały i śmignęły na pokładzie, zwałając ludzi z nóg. Ale trzy bramy stały otworem, dając nam przejście do samego serca miasta. Słyszałam, jak Cholla Yi ryczy z radości, ja też krzyczałam, wiosła poruszały się jak skrzydła, a nasze galery, poganiane magicznym wiatrem konyańskich Mistrzów, chyżo jak ptaki wpłynęły w kanały. Słyszałam jęk i trzask drewna, gdy jedna z nich otarła się o brzeg, lecz jak długo parliśmy przed siebie nie obchodziło nas, że się ledwo mieścimy w wybitym przejściu.

Kanał poszerzył się i można już było wiosłować, więc ruszyliśmy jeszcze szybciej. Projektanci miasta nadali mu geometryczny kształt, więc kanały łączyły liniami prostym nabrzeże i kończyły się w okolicach głównego placu.

Ta prostota miała się okazać zgubna. Przed nami leżał pusty plac, nad którym górowała potężna, okrągła cytadela Sarzany. Usłyszałam za sobą narastający hałas i na moment odwróciłam oczy od celu. Wiedziałam, co się dzieje z tyłu.

To ludzie kapitana Yezo, zgodnie z rozkazami przepłynęli na ląd, przeskoczyli nań z burt swych galer, albo nawet przedostali się po długich deskach, które specjalnie załadowaliśmy na ich okręty, by posłużyły jako pomosty. Rozkazy mieli proste - siać jak najwięcej paniki i zamieszania, ogniem i mieczem.

Poleciłam im nie mordować cywilów i nie rabować, lecz prawdę mówiąc, nie oczekiwałam, że się do tego zastosują. Jeśli bitwa na redzie przebiegnie zgodnie z planem, wkrótce po nich do miasta dotrą marynarze z pozostałych konyańskich okrętów.

Chciałam, by w mieście wybuchło zamieszanie: jeśli całe Ticino pogąrzy się w zamęcie, nasi prawdziwi wrogowie nie zauważą, że gwardzistki i najemnicy zagrażają ich życiu.

Duban krzyknął rozpaczliwie, gdy „jego okręt” czyli nasza galera, uderzył w kamienne moło przy

placu. I co z tego? Jeśli przeżyjemy, Konyańczycy z chęcią odbudują nasze galery nawet po tysiącokroć, zanim wyruszymy do domu.

Pomosty z trzaskiem opadły na nabrzeże i tłumnie zeszliśmy na granitowy plac w Ticino. Z tyłu za nami z innych galer wysiadali na brzeg inni żołnierze, lecz nie było czasu sprawdzać, kto to, gdyż już pędziłam co sił w nogach ku schodom, które łagodnym łukiem prowadziły do mostów, wiodących na zamek.

Pilnowało ich pięciu - nie, sześciu wartowników, którzy w jednej chwili padli trupem, z wystającymi z piersi bełtami strzał, które przebiły ich zbroję, jakby jej nie zauważyły.

Mosty stały otworem, przede mną widziałam samo serce twierdzy i znów pędziliśmy, jeszcze prędzej, zanim opadną bramy, które przecież musiały istnieć. Na szczycie pierścienia murów obronnych czekali łucznicy. Jakaś strzała przeleciała obok mnie, odbiła się od bruku i pokoziołkowała dalej.

Zadźwięczały nasze cięciwy, świsnęły strzały i na murach zrobiło się pusto.

Usłyszałam bojowe okrzyki gwardzistek, wśród nich jazgotliwe skowytanie Corais, przypominające dziką lisicę, którą zresztą była i na chwilę ogarnęła mnie fala radości. Po to budowałam Gwardię i do takiego celu ją wiodłam. Oto stanowią lśniące ostrze mego miecza, którym zadam wrogowi śmiertelny cios. Przez moment, w czasie tego krwawego biegu po moście, obok ciał poległych żołnierzy byliśmy jednością. Oto sens mego życia, myślałam w uniesieniu, a nie nużące, bezustanne odprawianie wart, odprawianie zaklęć w kucki przed ogniskiem, jak jakiś zasuszony, stuknięty dziadek-szaman.

Wiedziałam jednak, że myśli te są fałszywe, nawet w chwili, gdy rozjarzały czerwienią mój umysł.

Gdy znalazłyśmy się w odległości kilku metrów od sklepionego przejścia, które prowadziło na wewnętrzny dziedziniec poprzez bramę w murze obronnym, zaskrzypiał zardzewiały, od dawna nieużywany mechanizm i ze szczeliny w sklepieniu zaczęły się wysuwać długie, ostre kolce kraty. Locris i Polillo rzuciły się naprzód, by nie pozwolić jej zapaść na dobre. Cztery inne gwardzistki - nie pamiętam ich imion, wiem tylko, że jedną z nich była sierżant Neustria - minęły mnie w pędzie.

Po drodze któraś wbiła włócznię w prowadnicę, po której poruszała się druga krata i zablokowała ją na dobre.

Stałam na środku tunelu i patrzyłam jak Polillo dokonuje niemożliwości - zupełnie sama trzyma żelazną bramę i czeka. Po chwili pojawiła się Locris, wpół ciągnąc, wpół dźwigając potężną kłodę, którą ustawiła pionowo, podparła kratę - i oto droga stanęła otworem.

Po moście nadbiegła reszta gwardzistek z pozostałych galer, za nimi zaś Cholla Yi z marynarzami. Daleko w dole, na placu, dostrzegłam trzy postaci.

Wiedziałam, że to Gamelan, nieugięty, choć niewidomy, z dwoma przewodniczkami. Na moście leżały ciała, ciała mych gwardzistek. Było ich tak wiele, że odwróciłam oczy i spojrzałam na wieżę po drugiej stronie sklepionego przejścia, wiodącego do twierdzy. Ponad moją głowę, w wąskim okienku strzelniczym na środku nadbudówki nad bramą zaśpiewała kusza i strzała wbiła się głęboko, aż po belt, w bok Locris. Gwardzistka krzyknęła, kurczowo chwyciła lotki strzały, postąpiła dwa kroki do przodu i umarła. Jedna z łuczniczek strzeliła prosto w okienko, lecz tam już nikogo nie było, a w każdym razie nie słyszałyśmy, by kogoś trafiła.

I znów biegłyśmy, przez ciemne przejście prosto w szarość twierdzy i oto ponad nami górowała wielka okrągła wieża. Olbrzymie wierzeje były zamknięte, a przed nimi stała w szeregu kompania kuszników.

Krzyknęłam: - Padnij! I już leżałyśmy na brzuchu, zupełnie jak na ćwiczeniach w zdobywaniu budynków. Usłyszałam, jak Xia upada obok mnie, a ciężki kusz grają głośno, jak przecięte okrętowe liny, a strzały z jękiem przelatują górą, zwalając z nóg tylko jednego, czy dwóch marynarzy, co się pociskom nie kłaniali.

Pięć metrów ode mnie, Dica skoczyła na równe nogi: - Ruszajmy! Zanim naciągną kusze! - krzyknęła i już biegła z wysoko wzniesionym mieczem, lecz nikt nie podążył jej śladem. Zanim zdążyłam ją ostrzec okrzykiem, pierwszy szereg kuszników ukląkł, drugi wystrzelił, Dica zwinęła się w skoku, miecz pofrunął daleko w nocne niebo, a ona upadła na ziemię.

Noc nagle stała się czerwona, nie od ognia, lecz od krwi, gdy Gwardzistki powstały i zaatakowały,

krzyżąc z wściekłości, przebiegły przez podwórzec w jednej chwili, jak krople rtęci, jak błyskawica. Obok mnie pędziła Ismet, skowycząca z żalu za zabita kochanką jak rozwścieczona samica rysia. W jednej chwili znalazłyśmy się wśród kuszników, siejąc pogrom mieczem i toporem, zanim którykolwiek z nich zdążył sięgnąć po broń. Wszyscy zginęli n amiejscu, jak jeden mąż. Razem z nimi w zawziętym boju padały i gwardzistki; Czarny Łowca pochwycił Neustrię, Jacenę i wiele innych.

Na żałobę po Dicy została mi ledwie sekunda. Naturalnie, dziewczyna popełniła błąd, atakując kuszników zanim skończyli strzelać, lecz zginęła bohatersko, walcząc w pierwszej linii. Ciekawa byłam, ile z nas zawahałoby się przed szarżą, gdyby nie ta nieświadoma ofiara Dicy. Dałybyśmy pierwszemu szeregowi czas na ponowne naciągnięcie kusz i szarża pochłonęłaby jeszcze więcej ofiar. Ach, zbyt wiele najdzielniejszych wojowniczek szło w ten sposób na spotkanie z Łowcą... dlatego też w Gwardii Maranońskiej ginęło tyle samo oficerów, co szeregowych.

Potężne wierzeje twierdzy były zamknięte, lecz niespodziewany, krwawy atak nie dał obrońcom czasu na zamknięcie małych drzwiczek, potrzebnych do wypadów w czasie oblężenia i zanim którykolwiek z nich zdążył drgnąć, już byliśmy w środku.

Polillo jakimś cudem znalazła się przede mną. Zaatakowało ją trzech nieprzyjaciół. Dla nich pewnie była ruchomą, śmiercionośną plamą, ludzką machiną bojową, lecz ja widziałam, jak precyzyjne, powolne i dokładne są jej ruchy, gdy obuchem topora pchnęła jednego z nich na drugiego, a gdy obaj potoczyli się pod ścianę, zmieniła chwyt i z wykroku, jakby walczyła halabardą, wbiła topór w gardło trzeciego. Nie zmieniając pozycji, jednym potężnym pociągnięciem wyrwała ostrze z ciała i już była gotowa na przyjęcie obu napastników. Wybiła pierwszemu miecz z ręki tak łatwo, jak kociakowi odbiera się patyk z łapek a następnie, płynnym ruchem odwodząc broń, zahaczyła ostrzem o szyję drugiego i złamała mu kark. Pierwszy krzyknął ze strachu i chciał uciekać, lecz Polillo, tańcząca z gracją, jakby demonstrowała Płasz Wojennego Topora oniemiałym z podziwu rekrutkom, roztrzaskała mu kręgosłup i padł na ziemię, trzepocąc jak wyciągnięta z wody ryba.

Skoczył na nas wojownik z długą halabardą i Xia cięła na odlew przez drewnianą rękojeść i ramię mężczyzny. Zalał się krwią, krzyknął i upadł.

W tym momencie poczułam, że zakłęcie Gamelana znika. Wiedziałam, że stoję naga naprzeciw Archonta. „Usłyszałam” krzyk pełen zaskoczenia i wściekłości i nagle kamienne płyty zaczęły nam się usuwać spod nóg i kruszyć, jakby ziemia się zatrzęsła. Zdawałam sobie sprawę, że to tylko Archont w dalszym ciągu przeżywa wstrząs, że go oszukano i że ja jeszcze żyję.

Ponownie dałam komendę od ataku i popędziłyśmy długim, pełnym zakrętów korytarzem. Z różnych drzwi wypadały na nas oddziały żołnierzy, śmigały strzały, czasem wbijając się w ludzkie ciała, włócznie dzwoniły o kamienne ściany, gdy gwardziści Sarzany starali się nas powstrzymać, odeprzeć, lecz bez skutku; cofali się z powrotem do swych mysich nor albo ginęli.

Wreszcie korytarz się skończył i znaleźliśmy się w wysokiej sali tronowej Sarzany. Sufit, zwieńczony kopułą, znajdował się ze trzydzieści metrów nad nami, a średnica okrągłej komnaty musiała mieć ze siedemdziesiąt metrów.

Ściany obwieszono gobelinami i sztandarami bojowymi. Pomieszczenie oświetlały pochodnie w ścianach i potężny ogień, rozpalony pod ścianą.

W komnacie nie było nikogo, poza moim wojskiem i Sarzaną, zasiadającym na wysokim podeście po środku. Tyle ujrzały gwardzistki, Cholla Yi i kilkunastu mężczyzn, którzy przybiegli za nami.

Ja widziałam więcej.

Nad Sarzaną górował Archont, jak lalkarz, pochylający się nad marionetkami! Był olbrzymi, mierzył z dziesięć metrów, a przez jego nie całkiem materialne ciało widać było kamienną ścianę naprzeciwko. Uniósł ramiona, by mnie zniszczyć.

Tuż obok stała Corais. Jak automat uniosła łuk w górę, napięta go, brzechwa strzały dotknęła drewna, a palce trzymały bełt przy uchu spokojnie, jak na strzelnicy, potem zwolniła uchwyt i strzała pomknęła prosto w stronę Sarzany. Wyciągnął rękę i przysięgam, choć poruszała się wolno, jak mucha w miodzie, schwycił brzechwę w powietrzu i złamał ją między palcami. W tej samej chwili usłyszałam trzask i łuk Corais, z taką miłością wykonany wiele lat temu, pękł jak gałązka, albo ta strzała, którą mag odrzucił na bok.

Rzuciłyśmy się pędem przed siebie, ku podestowi, w rozpaczliwej szarży, a dłoń Sarzany uniosła się do góry, palce zakrzywiły jak żmijowy łeb, strzelił z nich zielony ogień, jaki widuje się na czubkach masztów podczas burzy i zgęstniał w kulę, która poleciała wprost na nas. Corais potoczyła się pod

ścianę.

Myślałam, że nie żyje, lecz zerwała się na równe nogi. Jej twarz ociekała krwią, jakby ją pobito. W ręku Sarzany znów zaśnił zielony ogień, lecz w tej samej chwili gwardzistka wyciągnęła sztylet, otarła ostrze o kawałek szaty maga zawiązanej na ramieniu i rzuciła. Nie miała magicznej mocy, nigdy nie zdradzała talentu do zaklęć, lecz możliwe, że część nienawiści, którą czuła do Sarzany za to, że niemal ją pohańbił, przeniosła się na ten talizman.

Trafiła celnie, w samą pierś, nieco poniżej żeber. Sarzana krzyknął, jęknął w agonii jak patroszony koziół, lecz po chwili jęk ten zmienił się w okrzyk radości. Mag skrzeczał: - Jestem wolny!

W tym momencie poczułam, że Archont znikł.

Sarzana wyrwał sobie sztylet z ciała i odrzucił go w stronę Corais. Ostrze pomknęło jak atakująca zmija i trafiło ją prosto w serce. Nie wiem, czy mag był już martwy, czy też jego potężna magiczna moc oznaczała, że rana, dla każdego śmiertelna, w jego przypadku była zaledwie skaleczeniem. Nie miało to znaczenia. Jednym skokiem znalazłam się na podium i z pasją cięłam go mieczem, wkładając w to uderzenie cały mój ból. Trafiłam go w ramię, poniżej szyi i rozplątałam prawie całą klatkę piersiową. Trysnęła fontanna krwi, mag zwalił się na ziemię a ja wyrwałam miecz z jego ciała.

Podobnie jak kiedyś Ismet, nie pozostawiłam nic przypadkowi, lecz cięłam mieczem raz i drugi, po czym cisnęłam ociekające krwią serce w gasnący ogień na kominku. Może powinnam była zrobić z niego drugi talizman, lecz nie potrafiłam, gdyż wciąż tkwił w nim płomyk życia Corais. Płomienie ogarnęły serce maga, ryknęły gniewnie i ogień buchnął wysoko, jakbym polała go baryłką oliwy. Komnata wypełniła się rozedrganym blaskiem, jakbyśmy nagle ujrzeli ją w upalny letni dzień, po raz kolejny ziemia zadrżała mi pod stopami, usłyszałam z dali skowyt, gdy demony porwały duszę czarnego maga, czy też to coś, co niegdyś było duszą i Sarzana zniknął z tego świata na wieki.

Nie myślałam jednak o tym. Skoczyłam ku Corais, leżącej z głową na kolanach Polillo.

O dziwo, jeszcze żyła, choć widać było, że Łowca już za chwilę weźmie ją w ramiona. Spojrzała na mnie i bezskutecznie próbowała się uśmiechnąć.

- I tak głupio bym wyglądała... jako... stara babcia - powiedziała. Na wargi wystąpiła jej krwawa piana i moja serdeczna przyjaciółka odeszła.

Polillo popatrzyła na mnie. - Magia ją zabiła - szepnęła tak cicho, że tylko ja ją dosłyszałam. - Tak jak i mnie zabije.

Wstałam. Obok mnie była Xia, lecz w tej chwili nie potrzebowałam od niej pociechy.

Wiem, że wszyscy musimy umrzeć, a Corais, wybierając żołnierskie życie, wybrała także żołnierski los. W dodatku, zgładziła Sarzanę. Lecz oddałabym wszystko, zwycięstwo nad tym łajdakiem i całe śmierdzące konyańskie wyspy, gdyby w zamian za to mogła do mnie powrócić.

Rozdział dwudziesty drugi

W STRONĘ DOMU

W większości krain bóg zwycięstwa pyszni się wspaniałymi skrzydłami, a z twarzy przypomina srogiego szlachcica. Lecz tak naprawdę, powinien być wilkołakiem, który wyje nad wypatroszoną padliną. Zwycięstwo w bitwie nigdy nie wydawało mi się szlachetne, a już na pewno nie słodkie. Ach, naturalnie, były krótkie chwile radości - na przykład pijackie opowieści obozowe o tym, jak to się oszwabiło i pokonało szczególnie sprytnego przeciwnika. Lecz radość wojowniczką jest podszyta fałszem - gdyż wkrótce po bitwie uświadamia sobie, że tylko szczęściu może zawdzięczać, że pozostała przy życiu i że tego szczęścia zabrakło wielu jej towarzyszkom broni.

Poza gwardzistkami zginęło wielu innych żołnierzy. Gdy galera Cholla Yi przemykała się kanałami, niewidoczny łucznik zabił Phocasa. Zmarł też nasz kapitan Meduduth, kapitan Yezo, Nor - modliłam się po niego, by śmierć przyniosła mu ulgę w cierpieniach - i wiele setek konyańskich żołnierzy i marynarzy, nieznanymi mi z nazwiska. Wiele lat musi upłynąć, by zwycięstwo nasze przestało kojarzyć się ludziom z żałobą.

Powoli żeglowaliśmy ku Izoldzie, opromienieni chwałą bohaterów. Z każdej mijanej wysepki przyływały na statki i łodzie, by nas powitać.

Grzmiały fanfary na rogach i trąbkach. Na wierzchołkach wzgórz gromadziły się wiwatujące tłumy. Ale pod pokładami jęczeli ciężko ranni, na pokładach zaś Mistrzowie Magii bez wytchnienia błogosławili zmarłych, wkładając im pod język monetę, by udobruchać Czarnego Łowcę, który zabiera dusze do swej jaskini. Nie rozmawiałam z nikim, ani z Gamelanem, ani nawet z Xią. Leżałam zwinięta w kłębek na łóżku i cierpiałam z żalu za Corais i wszystkimi kobietami, które oddałam na żer demonom wojny. Zostało nas pięćdziesiąt. Pięćdziesiąt zaledwie! Tyle zostało z kilkuset wojowniczek, które wyruszyły na Likant. Nie płakałam; rozpacz zmroziła me serce. Gdy budziłam się rano, długo czekałam nie otwierając oczu i modliłam się, abym uniosła powieki i spostrzegła, że oto minął nocny koszmar, a Corais spogląda na mnie z sardonicznym uśmieszkiem na ustach. Brakowało mi jej. W dalszym ciągu za nią tęsknię. Jeśli jest jakieś życie poza tym światem, modlę się, abyśmy kiedyś znów maszerowały pod tym samym sztandarem.

W dwie noce przed zawinięciem do portu w Izoldzie, do mej kajuty wkradła się Xia. Miłość nasza była niespieszna, słodka i gorzka zarazem.

Potem zadrzemałyśmy w swoich ramionach, słuchając huku fal. Przed samym świtem odwróciła się i głęboko zajrzała mi w oczy. Postarzały się - był w nich ból i mądrość zdobyta cierpieniem.

- Kocham cię, Rali - powiedziała i wyszła, zanim zdobyłam się na odpowiedź.

Wstałam tego dnia niezbyt wyspana, nienajweselsza, ale nieco uleczona.

Żalobę zastąpił niepokój. Prześladowało mnie straszne przeczucie, choć nie potrafiłam powiedzieć, czego dokładnie dotyczyło.

Gamelan czekał na mnie w kajucie. - Właśnie miałem po ciebie posłać, Rali - powiedział. - Jesteś mi potrzebna.

- Chodzi o Archonta, prawda? - spytałam, natychmiast domyśliwszy się, nad czym się zastanawiał. - Jeszcze z nami nie skończył. Albo my z nim.

- Nie jestem pewien - odpowiedział mag. - Wysyłam zaklęcia na wszystkie strony, ale zdaje się, że go tu nie ma. Przyznam, że mój magiczny talent jeszcze nie do końca powrócił. A jednak, każde zaklęcie natrafia na blokadę. Właściwie, nie na blokadę, gdyż wyczuwałbym coś w rodzaju ściany, lecz jakby na drzwi, zamknięte na klucz. Bardzo mnie to niepokoi.

- Jak mogę pomóc? Czy potrafię dokonać czegoś, co dla ciebie jest nieosiągalne?

- Jestem przekonany, że między tobą a Archontem istniała - lub istnieje - pewna więź. Naturalnie, jest to więź nienawiści, lecz w tym ogniu kształtują się najsilniejsze okowy na świecie. Być może początki więzi sięgają do czasów, gdy twój brat przeciwstawił się Archontowi. W tamtych czasach pełno było zaklęć czarnej magii, gdyż Szary Płaszcz, Raveline i Archontowie eksplorowali głębiny, w które mało kto odważył się zapuszczać od czasów starożytnych. A w środku tego tkwił, chcąc nie chcąc, Amalryk. Potem pojawiłaś się ty i oto znów ktoś z rodu Antero pozostaje w bezpośredniej bliskości potężnych, aktywnych mocy. Już w Likancie, gdy Jinnah nie był w stanie utrzymać w dłoni kości, a tym bardziej nimi rzucić, wiedziałem, że przemówią tylko do ciebie i do nikogo więcej. Potem zabiłaś jednego z Archontów, potwierdzając ich najgorsze obawy dotyczące rodu Antero. W końcu, gdy ostatni Archont przeklął cię w chwili śmierci, a potem oszukał samą śmierć, umykając w eter - klątwa stworzyła najmocniejszą z tych wszystkich więzi.

- Tak więc, droga przyjaciółko, odpowiedź na twoje pytanie brzmi: owszem, możesz zrobić wiele rzeczy, których ja nie potrafię, a przynajmniej modlę się, żeby tak było. Może właśnie Rali Emilie Antero trzyma w dłoni klucz do zamkniętych drzwi.

- Co mam zatem zrobić?

- Znajdź Archonta - odparł i wyciągnął puzdro, zawierające serce- talizman.

Nie sprzeciwiałam mu się, lecz moje przerażenie zmieniło się w uczucie potężnego, pulsującego nacisku.

- Weź to w dłonie i skoncentruj się, najsilniej, jak potrafisz. Nie odzywaj się, nie szukaj słów zaklęcia. Wypowiem je za ciebie.

Przełknęłam ślinę. - Daj mi minutę na przygotowanie.

Zaczęłam oddychać głęboko, starając się opróżnić umysł. Poruszyłam ramionami, by je rozluźnić, pokręciłam głową w obie strony, by uaktywnić mięśnie. Potem mocno schwyciłam puzdro i głęboko wciągnęłam w płuca ostatni oddech, po czym wypuściłam powietrze.

- Gotowa - zameldowałam.

I Gamelan zaczął: - Rozsnuwaj sieci Matko losu.

Rzuć połów na brzeg, Córka twa już czeka Na wschód od bramy Starodawnych Bogów.

Wydadaj wyrok na istotę Pełną nienawiści.

Uderzył grom i w kajucie pociemniało. Powietrze stało się ciężkie i gorące. Uderzył mnie w nozdrza aromat drzewa sandałowego - zapach mej matki, silniejszy niż kiedykolwiek. „Rali” szepnął mi do ucha głos matki.

Zebrało mi się na płacz... tak bardzo ją kochałam i tak za nią tęskniłam.

Ponownie szepnęła me imię i poczułam przy uchu oddech, delikatny jak skrzydło motyla. Zadrzałam.

Puzdro gwałtownie szarpnęło się w mych dłoniach. Chwyciłam je silniej.

Przez wieko zaczął prześwitywać czerwony blask, w kształcie dwugłowego lwa, godła Archontów. Lew obnażył kły i jednym skokiem znalazł się na ścianie kabiny. Jakiś zwierzę zasyczał i oto pod lwem przeżyła się potężna czarna pantera.

Warczała, obnażając kły i dziko biła ogonem. Ogniste lwie głowy urosły, a za nimi pojawiło się potężne cielsko. Głowy zaryczały, potężna szyja wygięła się jak u węża, lecz wszystko to tylko bardziej rozdrażniło panterę. Znowu prychnęła i przypadła niżej do pokładu. Wysunęła pazury podobne sierpom i napięła mięśnie tylnych łap, gotowa do skoku. Znowu uderzył grom i za bestią Archonta otworzyła się czarna dziura. Obie lwie głowy zaryczały i stwór rzucił się w głąb. Pantera skoczyła za nim.

Głos matki szepnął mi do ucha: - Idź za nią.

Wir pochłoniął mnie bez ostrzeżenia. Spadałam z wielkiej wysokości w czerń, pośród migających świateł. Uszy wypełniało wycie, jazgot i skrzek istot, pogrążonych w nieskończonym bólu. Czułam zapach siarki, krwi i odchodów, wydalanych ze strachu. Ogarnęło mnie zimno, wielkie zimno, jak cios nożem na zimowych morzach. Albo jak deszcz Czarnego Łowcy, który przychodzi raz na sto lat i zabija lasy, pola i ludzi. Nagle przestałam spadać. Biegłam przez poczerniały od ognia las. Ścieżka była wąska i skalista. O mało się nie przewróciłam, gdy nastąpiłam na wielkiego białego robaka, który pełznął w poprzek. Bałam się, lecz wiedziałam, że to ja prowadzę pościg, a nie mnie ścigają. Ujrzałam przed sobą panterę na zakręcie i przyśpieszyłam kroku.

Widziałam, jak demony plotkują na bezlistnych drzewach. Widziałam, jak kruki uczują na ciałach rannych żołnierzy, którzy rozpaczliwie wołali o pomoc, gdy ich mijałam. Lecz ja nie mogłam się zatrzymać... nie miałam odwagi, więc tylko pędziłam po ścieżce w ślad za panterą.

Wybiegłam z umarłego lasu na ośnieżoną równinę, oświetloną księżycowym blaskiem. Ścieżka zmieniła się w zaniechaną drogę, więc musiałam przeskakiwać pokruszone kamienie i stosy gruzu. Na równinie toczyła się bitwa. Wojownicy pojedynkowali się na topory i miecze. Śnieg był pokryty zwłokami i splamiony czerwonym krwią. W dali widziałam panterę, a przed nią - dwugłową bestię Archonta. W tle majaczył zarys czarnej góry, w którą biły pioruny.

Droga wiodła pod tę górę. Była stroma, obludzona, a ja zaczęłam słabnąć.

U mego boku a pojawiła się pantera i zmuszała mnie do dalszego wysiłku.

Ruszyłam przed siebie i wkrótce znalazłyśmy się za przełęczą. Na końcu drogi wznosił się czarny, stalowy zamek Archonta, podobny do czaszki demona; wieżyczki przypominały rogi, blanki - brwi, a oświetlona pochodniami brama wyglądała jak paszcza. Bestia Archonta przemknęła przez bramę, która powoli zaczęła się zatrząskiwac. Pantera skoczyła jej śladem, lecz spóźniła się i brama się zamknęła. Zwierz wrzasnął i rzucił się na kraty. Jego furia i mnie doprowadziła do szału, więc i ja również zaczęłam szarpać żelazo, wykrzykując przy tym okrzyk wojenny.

Ujrzałam Archonta. Przechadzał się po dziedzińcu, z dwugłową bestią u nogi. Tym razem nie pojawił się jako olbrzymia postać w chmurze, lecz przypominał zwykłego człowieka. Był jednak równie przerażający. Spostrzegł mnie i wymierzył w mój kierunek zgięty palec. - Precz! - zakrzyknął.

Z palca buchnął ogień i trafił prosto w kraty. Krzyknęłam z bólu i gniewu, gdy rozgrzane żelazo oparzyło me dłonie, lecz tylko mocniej szarpnęłam metal. Poczulałam swąd palonego ciała i nagle ktoś tuż obok krzyknął mi do ucha: - Rali! Rali! - to był Gamelan.

Puściłam kraty i upadłam na plecy. Wtem, znalazłam się w kajucie, wciąż wykrzykując obelgi. Puzderko z talizmanem leżało na pokładzie, widocznie je upuściłam. Czarny kamień - serce upadło obok. Gamelan otoczył mnie ramieniem i powtarzał: - Już dobrze, Rali. Już dobrze.

Zadrżałam, dochodząc do przytomności i powiedziałam: - Wróciłam, magu.

Lewa ręka pulsowała bólem. Otworzyłam dłoń: wypalony na niej widniał dwugłowy lew - symbol Archonta.

- Jeszcze nie odszedł? - spytał Gamelan. - Wciąż nam zagraża?

- Tak - odparłam. - Jest blisko.

Gdy opowiedziałam mu o wszystkim, odparł: - Jest bardzo źle, moja przyjaciółko. Archontowi udało się stworzyć ognisko mocy w jednym ze światów duchowych. Rzeczywiście dysponuje ogromną potęgą.

- Przecież niedawno zadaliśmy mu klęskę - odparłam. - Powinien być słabszy, a nie silniejszy.

- Zło rodzi zło, Rali. Dowiódł tego Szary Płaszcz, wbrew własnej woli.

Archont pożywił się przelaną krwią, terrorem i żalością. Klęska sprawiła jedynie, że nie pochłonął nic więcej. A gdy pożarł duszę Sarzany... ach, to równało się co najmniej stu zabójstwom.

- Jak sądzisz, do czego on zmierza?

- Łatwo to odgadnąć nawet bez pomocy magii. Dobrze znam mego wroga.

Po pierwsze, pragnie zemsty. Chce zniszczyć Orissę tak, by nawet pamięć po niej nie została. Po drugie, pragnie stać się jeszcze potężniejszy i stworzyć królestwo z tego świata. Nie sądzę, by zadowolił się Orissą, Likantem, a nawet Zamorskimi Królestwami. Wyobraź sobie złego półboga, a będziesz wiedziała, z kim mamy obecnie do czynienia.

- Jak go można powstrzymać?

- Musimy jak najprędzej wracać do Orissy - odparł mag. - Pokonamy go, wspólnymi siłami wszystkich naszych magów.

Powiedział te mocne słowa bez przekonania. Postanowiłam jednak, że skutecznością naszych Mistrzów Magii będę się martwić, gdy wrócimy do domu, jeśli w ogóle uda nam się tam dotrzeć.

- Niepokoi mnie ta pantera - dodał.

- Moim zdaniem, to dobry znak - odparłam. - Niewątpliwe jest to pantera z opowieści mej matki. Ta, na której moja imienniczka przyjechała, by pomóc wieśniakom.

- Tak, wiem. Ale... gdy cię trzymałem... zanim powróciłaś... głośno krzyczałaś.

- Wiem. I co z tego?

- Krzyczałaś głosem pantery - odparł mag.

Gdy dotarliśmy do Izoldy, cała wyspa wyległa nam na powitanie. Po zatoce kręciło się tyle łódek i statków, że z trudem dotarliśmy do portu. Na nabrzeżach i ulicach wiodących nad morze zgromadziły się tłumy. Wygrywano radosne fanfary na wszelkiego rodzaju instrumentach: rogach, fletach, bębnach, a nawet garnkach i patelniach. Miasto lśniło czystością i wszędzie powiewały flagi i sztandary. Wszędzie też porozpalano ogniska, a ludzie wylewali w płomienie aromatyczne olejki i kadzidła, warte fortunę. Gdy zeszlismy ze statków i pomaszerowaliśmy na wzgórze, by oficjalnie przekazać władcom Konyi wieść o zwycięstwie, pod nogi rzucono nam setki tysięcy kwiatów. Na przedzie szli konyańscy oficerowie, którzy przeżyli, za nimi moja gwardia, a pochód zamykali ludzie Cholla Yi. Księżniczka Xia postanowiła maszerować u mego boku, a rozhisteryzowany tłum zalewał się łzami na jej widok i głośno wiwatował.

Dotarliśmy do Pałacu Monarchów i przez długie godziny staliśmy na dziedzińcu, wysłuchując magicznie nagłośnieionych przemówień członków Nieskalanej Rady. Każdy z nich po kolei wychwalał nas i radował się ze zwycięstwa. W końcu tłum zaczął się burzyć i żądać byśmy wraz z księżniczką weszły na podwyższenie, by wszyscy mogli nas zobaczyć. Powitały nas wiwaty, a niektórzy - kobiety i mężczyźni - mdleli ze wzruszenia.

Gdy wszyscy się w końcu zmęczyli, lord Kanara pociągnął mnie za rękaw i gestem poprosił, bym poszła za nim. Wymknęłyśmy się razem z Xią.

Poprowadził nas do pałacu, do niewielkiej, lecz bogato zdobionej komnaty, gdzie stał stół zastawiony jadłem i napojami. Zaprosił nas gestem, byśmy się poczęstowały, lecz obie podziękowałyśmy ruchem głowy. Byłyśmy nazbyt zmęczone.

- Za to chętnie napiłabym się brandy, ojciec - powiedziała Xia.

Poprosiłam o to samo. Lord Kanara napełnił trzy kryształowe kieliszki.

Usiadł. Poszłyśmy w jego ślady.

- Córkę, jestem z ciebie bardzo dumny - powiedział.

Skromnie skłoniła głowę. - Spełniłam tylko swój obowiązek, ojciec.

Spojrząwszy jej w oczy, przekonałam się jednak, że tylko udaje pokorę.

- Rozumiem. Dokonałaś czegoś wielkiego. Moja dziewczynka zapisała się złotymi zgłoskami w historii.

Xia drgnęła, słysząc, jak się do niej zwrócił, lecz odparła: - Inni byli o wiele dzielniejsi ode mnie, ojciec. Ale dziękuję ci.

- Obsypimy cię zaszczytami. A niektóre przywileje z radością nadam ci osobiście.

Uśmiechnęła się skromnie. - Dziękuję, ojciec - odparła.

W jej głosie dźwięczała szczerłość. Ponownie jednak pochwyciłam jej spojrzenie i przysięgam, że oceniała swego ojca. Zdaje mi się, że wiele stracił w jej oczach.

- Wiele ci zawdzięczamy, kapitan Antero - zwrócił się do mnie lord Kanara.

- Proszę tylko o mapy i doradców, którzy wskażą nam drogę do domu.

- Naturalnie. Mapy są już gotowe. Zwołam też radę najlepszych nawigatorów, która będzie na twe usługi.

- Dzięki, lordzie Kanaro - odparłam.

- Postanowiliśmy również sownie was nagrodzić - dodał. - Wypełnimy wasze statki aż po burty bogactwami wszelkiego rodzaju. Gdy wrócicie do domu, nawet najpośledniejszy majtek będzie bogaczem.

Podziękowałam ponownie, a on zapytał: - Czy macie może jakieś życzenia, o których nie wiemy?

Spojrzałam na Xię. Nie musiałam zaglądać jej w oczy, by wiedzieć, że nie powinnam prosić o pierwszą rzecz, która mi przyszła na myśl. Poprosiłam więc o drugą: - Błagam cię, panie, byś uwolnił z kazamat wszystkich więźniów i więźniarki. Przypominasz sobie zapewne, że byłam tam... gościem. Spotkałam wielu tamtejszych pensjonariuszy i zaprzyjaźniłam się z nimi.

Spochmurniał, a wyraz jego twarzy bardzo przypominał Xię. W końcu uśmiechnął się. - Niechaj tak będzie - odparł. Wypił brandy i widać było, że przygotowuje się, by jeszcze coś powiedzieć.

W końcu zaczął: - A teraz ja mam prośbę do ciebie, kapitanie.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - odparłam.

- Wszyscy Orissańczycy muszą stąd natychmiast wyjechać. I to bez hałasu.

- Ojczy! - krzyknęła wstrząśnięta księżniczka. - Jak możesz...

Podniosłam dłoń. - Wszystko w porządku, miła lady. Nie czuję się urażona.

Zwróciłam się do jej ojca: - W dalszym ciągu obawiacie się Sarzany, prawda? A przynajmniej kłątwy, która ma spaść na jego zabójczynię.

- Moim zdaniem to bzdurne przesady - odparł. - Ale inni biorą to poważnie. Boją się, że coś złego się zdarzy, jeśli będziecie zwlekać.

- A zatem, odjedziemy bezzwłocznie - powiedziałam. - Poza tym, mam własne powody do pośpiechu.

Lord Kanara wyraźnie odetchnął i odprężył się. Uniósł kieliszek.

- Za Orisę - powiedział. - Niechaj bogowie błogosławią ją, że w potrzebie przysłała nam swą córkę.

- Za Orisę - powtórzyłam.

Wypiłam i ogarnęła mnie potężna fala tęsknoty za moim miastem nad rzeką. Bez słowa napełniłam kieliszek i wychyliłam go do dna.

* * * Następnej nocy po raz ostatni widziałam księżniczkę Xię. Przyszła do mej willi i spacerowałyśmy po cichym ogrodzie, rozkoszując się aromatem hiacyntów. Poniżej, w porcie, ktoś grał na lirze starą, uroczą pieśń o miłości zdobytej i utraconej. Objęłyśmy się, a potem ją pocałowałam. Miała takie miękkie usta, upajające jak wino. Osunęłam się, czując na piersi jej stwardniałe sutki. Zajrzałam głęboko w te ciemne oczy... przyjrzałam się włosom i złotemu diademowi, lśniącemu w świetle księżycy.

- Będę za tobą tęsknić - powiedziałam.

Odsunęła się, zaniepokojona. - A ja za tobą - odparła.

Usiadła na ocembrowaniu fontanny. Oparłam but na skałce obok i czekałam. - Ale chyba dobrze się stało, że odjeżdżasz - dodała.

- Wnoszę z tego, że masz szerokie plany. A moja obecność mogłaby je pokrzyć.

Kiwnęła głową. - Ostatnio rozumiałam wiele różnych rzeczy. Dzięki tobie i twoim gwardzistkom.

Milczałam. Uniosła głowę i spojrzała na mnie, a jej twarz mogłaby posłużyć malarzowi jako model do portretu królowej.

- Chciałabym, żebyś wiedziała jedno. Jeśli za kilka lat twoi ludzie będą chcieli handlować z Konyą, będą mile widziani. Obiecuję.

- Czy to mówi córka dobrze ustosunkowanego tatusia, czy może przyszła królowa? - spytałam.

W jej śmiechu nie było wesołości, lecz przymus. W ten sposób królowie się śmieją, by okazać, jacy z

nich dobrzy kompani: pozwalają z siebie żartować zupełnie jak my, zwykli śmiertelnicy.

Odpowiedziała z wyższością: - Ujawniłaś mój sekret, przemądra Pani Kapitan.

- To, że zostaniesz królową? - uśmiechnęłam się. - Do tego nie trzeba mądrości. Myślę, że wiedziałam to od samego początku. Będiesz dobrą władczynią, mogę się o to założyć. Tylko co zrobisz z ojcem?

- Bez trudu przekonam go, by mnie poparł - odpowiedziała. - A jeśli będzie... rozsądny... No cóż, zobaczymy. Zobaczymy... - pozostawiła tę groźbę niedokończoną, jak nóż w pochwie. Nie chciałam się znaleźć w skórze jej ojca, gdyby stanął jej na drodze.

- Jeszcze jedno, Rali. Mam nadzieję, że cię to nie zaboli... Za nic nie chciałam cię skrzywdzić. Ale jeśli kiedyś przyjdzie ci do głowy, by tu wrócić... to lepiej nie wracaj.

- Klątwa Sarzany? - spytałam, wiedząc, że nie o to jej chodzi. Chciałam jednak, by wypowiedziała na głos swoje motyw.

- Ach, w tej sprawie podzielam zdanie ojca - odparła. - Kompletna bzdura.

Chodzi o to, że z moich planów wynika, że kiedyś w końcu będę musiała wyjść za mąż. Będę potrzebować księcia konsorta, by został ojcem mych dzieci. Ród Kanara nie może zagać.

- Nie rozumiem, w czym miałabym ci przeszkodzić.

Wstała i wzięła mnie za rękę. Nagle zaczęła ciężko oddychać, a w oczach zabłyśła jej żądza.

- Pragnę cię, Rali! - powiedziała. - Błagam cię!

Odparłam bezlitośnie: - Najpierw zdejmij koronę!

Zaskoczyło ją to. Zawahała się, ale kiwnęła głową. Zdjęła diadem z kędzierzawej główki i podała mi go. Wrzuciłam go do fontanny, pochwyciłam ją w ramiona i zaniósłam po schodach do łóża.

O świcie rozplakała się.

- Ach, Rali - łkała. - Tak mi żal.

Rzadko widuje się takie ataki rozpaczliwego, wstrząsającego płaczu.

- Nie żałuj niczego, kochana - odparłam. - Dam sobie radę. Nigdy cię nie zapomnę... ale przeżyję.

Spojrzała na mnie, a z pięknych oczu tryskały strumienie łez. - Ja nie płaczę z żalu za tobą, Rali - załkała. - Tylko za sobą.

Wyruszyliśmy w strugach deszczu... w porcie ani na wzgórzach nie było żywej duszy, która wysłaby na pożegnanie. Lecz siedem okrętów, które pozostały z naszej floty, szło przy dużym zanurzeniu, ciężkich od złota i bogactw. Większym jednak darem były mapy na mostku Cholla Yi, przygotowane dla nas przez konyańskich kartografów i magów.

Zmieniłam rozlokowanie gwardzystek. Zostało ich tak niewiele, że wszystkie przenieśliśmy do siebie na galerę Strykera. Nie chciałam ryzykować rozproszenia ich na siedmiu okrętach, gdyż nie ufam najemnikom, tym bardziej, że moje kobiety miały sakiewki pełne złota. Poza tym, chciałam mieć je pod ręką, gdyż rzeź pod Ticino osłabiła ducha w nas wszystkich i uznałam, że najlepiej będzie, jeśli Gwardia Maranon będzie wspólnie lizać rany, jak zwykle.

Zimny deszcz zgotował nam żalosne pożegnanie owych pięknych wysp, lecz wschodni wiatr dał mocno i pewnie, niosąc nas w stronę Orissy. Ulewa i wichura nie stanowiły niebezpieczeństwa, więc ci, którzy nie zajmowali się żeglowaniem prędko popadli w otępiającą rutynę snu bez marzeń z przerwami na posiłki. Tak wiele dni minęło bez większych wydarzeń, że nawet ich nie zauważyliśmy i wkrótce znaleźliśmy się w pobliżu oznaczonych przez Konyańczyków cieśnin, które miały nas przeprowadzić przez ogniste rafy.

Ten dzień był równie szary i wietrzny, jak pozostałe. Mimo marnej widoczności dostrzegliśmy na wschodzie niesamowitą lunę na niebie.

Słyszeliśmy też odległy grzmot wulkanów. Zgodnie z mapą, ujrzeliśmy ląd na południu. Doradzono nam, byśmy się go trzymali, by uniknąć raf na północy.

Mówiono nam również, by nie zabawić tam długo, gdyż zaklęcia konyańskich magów, rzucane, by ułatwić nam odnalezienie drogi powrotnej, natrafiły tam na wiele zła. Ostrożnie więc, statek za statkiem, przekradliśmy się przez cieśniny.

Choć nikt z nas nie zauważył niczego konkretnego, wszyscy wyczuwaliśmy coś przerażającego w pobliżu. Gdy nasza galera przepływała przez najwęższe miejsce w archipelagu, poczułam gęsią skórkę, jakby obserwowały mnie czyjeś oczy. Na skraju mego pola widzenia ujrzałam, jak na pokładzie przywarowała pantera, obnażyła kły i biła się ogonem po bokach. Lecz gdy chciałam na nią popatrzeć wprost, zniknęła.

Przebyliśmy cieśniny bez przeszkód i z wielką ulgą odpłynęliśmy stamtąd pod pełnymi żaglami. Tej nocy chmury zniknęły, odsłaniając miłe oku, znajome konstelacje. Następnego dnia wstał rześki, jasny świt i wszyscy poczuliśmy, że naprawdę wracamy do domu, choć przed nami jeszcze daleka droga.

W kilka dni później udałam się na naradę do Cholla Yi. Choć przedtem już pływaliliśmy po tych wodach, nie były one najlepiej znane, więc uznałam, że musimy przygotować się na spotkanie z piratami, tym bardziej, że z naszej floty pozostały niedobitki. Przy drabince kotwiczyła mała szalupa, widocznie admirał miał także innych gości. Poleciałam przywiązać naszą łódź obok i zostać, by nie zalewały ją bryzgi wody.

Weszłam na pokład akurat przy zmianie wacht, więc nikt nie obwieścił mego przybycia: jeszcze jeden przykład na to, że staliśmy się nazbyt beztroscy.

Oficer wachtowy spojrzał na mnie, jakby zaskoczony i zasalutował. Oddałam mu honory. Chciał mnie odprowadzić do kajuty Cholla Yi, ale poleciłam mu zostać.

- Na waszym miejscu trochę zainteresowałabym się czujnością wacht - powiedziałam. - Nie zauważyli mnie, więc ciekawe, kogo przepuszczą następnym razem? - mruknął jakieś przeprosiny i samotnie ruszyłam przed siebie.

Zawahałam się przy drzwiach, słysząc znajome grzechotanie kości w kubku, a potem odgłos rzutu. Ktoś zaklął, widząc wynik. Był to Stryker, który widocznie niezauważenie wymknął się z naszej galery.

- W życiu żem nie widział, żeby ktoś miał takiego farta! Jakby to nie były moje kości, to bym sprawdził, czy nie są podrabiane.

Cholla Yi roześmiał się.

- To już szósty wygrany rzut. Postawisz resztę swojego udziału, żeby się przekonać, czy będzie i siódmy?

Uśmiechnęłam się. Mimo wszystkich bogactw na pokładzie, Cholla Yi jeszcze czuł niedosyt, mimo, że jego część zadowoliła by księcia. Pracowicie wyciągał pieniądze od własnych ludzi. Ten człowiek nadał całkiem nową jakość powiedzonku „chciwy jak pirat.” Stryker odpowiedział wymuszonym śmiechem.

- Jak wy to robicie, admirale? Weszliście w spółkę z demonem?

Głos Cholla Yi zabrzmiał twardo i nieprzyjemnie: - Czyżby to było oskarżenie?

Stryker natychmiast spoważniał: - Ależ skądże. Skądże tam znowu, admirale. Ja tylko przeklinam wasze piekielne szczęście.

Cholla Yi odprężył się i zarechotał: - Z kośćmi idzie ci jeszcze gorzej, niż ze strzelaniem z łuku. Pamiętam, jak kiedyś miałeś ładny, czysty strzał, wiatr ci sprzyjał, a reszta tak była zajęta pilnowaniem, żeby ktoś im nie podziurawił skóry, że nie zwracała na ciebie najmniejszej uwagi. A ty spudłowałeś.

- Nie moja wina - odparł Stryker. - I wcale nie było tak łatwo. Pokład pod nogami skakał jak szalony, a z pół tuzina diabłów miało na mnie chrapkę. A poza tym, żeby ktoś miał tyle szczęścia, to aż dziw. Wasze szczęście, admirale, to jest nic, w porównaniu do...

- Trzymaj język za zębami. Na statku ściany mają uszy - przerwał mu Cholla Yi.

Zaczerwieniłam się, gdyż nieświadomie trafił w sedno. Ciekawa, czy ten nieszczęśnik, o którym mówili, w końcu uratował życie, zastukałam do drzwi.

- Wejść - warknął admirał.

Na mój widok obaj się zaczerwienili i skoczyli na równe nogi. O mało co nie wybuchnęłam śmiechem. Na tym statku poczucie winy było równie zaraźliwe, jak letni katar.

Cholla Yi wyjąkał powitanie: - Eeee... cieszę się, że was... eeee... widzę, kapitanie Antero. Ja i Stryker tak tu sobie... eee...

- Sobie trochę gramy - pośpieszył mu na ratunek marynarz. - A raczej trochę przegrywamy, szczególnie ja, he, he, he.

Zachowywali się jak uczniaki przyłapani na złośliwej psocie.

Roześmiałam się szczerze.

- Ależ panowie, nie jestem aż taką ważniaczką. W rzeczy samej, niektórzy widzieli samą mnie z kubkiem w rękach, raz czy dwa, gdy nie było nic lepszego do roboty.

Obaj zaśmiali się nieszczerze.

- Czym mogę służyć, kapitanie? - spytał Cholla Yi.

- Chciałam porozmawiać o środkach bezpieczeństwa, admirale. Te wody wyglądają mi na nieprzyjazne.

- Dobry pomysł - odparł pirat. Rzucił Strykerowi takie spojrzenie, że marynarz wyprężył się na baczność i już go nie było.

Usiedliśmy do rozmowy, popijając brandy. Łatwo zgodził się na moje propozycje, więc szybko skoczyliśmy. Napełnił kieliszki po raz drugi i wznosił toast: - Dobry rejs mieliśmy, kapitanie - powiedział. - Prawie mi przykro, że się kończy.

Również uniosłam kieliszek i wypłam. - Sprawy wzięły zdecydowanie inny obrót, niż spodziewał się generał Jinnah, prawda?

Spochmurniał: - O co chodzi? - spytał.

Zaskoczył mnie jego ton. - Nie ma o co się obrażać - odparłam. - To oczywiste, że Jinnah starał usunąć mnie z drogi, gdyż nie chciał dzielić się zasługami. Wcale nie chciał, byśmy odnieśli taki sukces. Przez myśl mu to nie przeszło.

- Oszukał mnie i moich ludzi, pozbawiwszy uczciwego udziału w łupach, ot, co - warknął Cholla Yi. Z jakiegoś powodu powróciły jego dawne urazy.

- A więc to ty, panie, będziesz się śmiał ostatni. Złota mamy tyle, że się w ładowniach nie mieści. Zyskałeś o wiele więcej, niż byś miał, pozostawszyszy w Orissie.

Ale Cholla Yi był niepokieszony. - Wyruszyłem z piętnastoma dobrymi okrętami. Teraz mam siedem, w dodatku tak zniszczonych, że do niczego się nie nadają. To niesprawiedliwe, powtarzam. Oszukano mnie.

Nie wspomniałam mu, że za garstkę konyańskich błyskotek ze swego udziału odkupiłby te statki z nawiązką. Zostało nam tak niewiele drogi do pokonania, że wolałam żeglować w towarzystwie zadowolonego pirata. Nie było sensu stwarzać nowych zagrożeń, gdy dom był już blisko.

- Dopilnuję, byś dostał zadośćuczynienie za straty - obiecałam. - Jeśli będzie trzeba, sama zapłacę za statki.

- Myślisz, że chodzi mi tylko o pieniądze, co? - warczał. - A szacunek?

Chcielibyście się mnie pozbyć, co? Jak potrzeba, to wszyscy mówią admirał to, admirał tamto, może zechcesz panie umrzeć za naszą sprawę? A jak wojna się skończyła, to wszyscy zaczynacie traktować mnie i chłopaków jak zwykłych przestępców.

Miałam tego dość. Wcale mu nie zależało, by między nami panowała zgoda. - Wiele razy przypominałeś mi, panie, że jesteś najemnikiem, a złoto to jedyny sztandar, pod którym pragniesz żeglować. Nie mam nic przeciwko temu.

Znalazłam dla ciebie złota, ile dusza zapragnie. Zdobyłeś również mój szacunek jako wojownik, jeśli ci na tym zależy. Natomiast co do reszty, to sam wybrałeś takie życie, przyjacielu.

Wsypałam kości do kubka i potrząsnęłam. - Jeśli nie spodoba ci się mój rzut, możesz winić tylko siebie.

Odwrociłam kubek do góry dnem. W zadumie spojrział na stół.

Gwałtownie wciągnął powietrze. Spojrzałam i ja: siódemka, czyli ulubiony rzut Fortuny.

Cholla Yi wyraźnie zbladł, jakby coś nim wstrząsnęło.

- Wybacz mi ten wybuch, kapitanie Antero - powiedział i potarł dłonią czoło. - Ostatnio marnie sypiam. Głowa boli mnie tak strasznie, że najchętniej bym ją sobie urwał.

Nic mnie to nie obchodziło, ale uznałam, że warto okazać mu nieco współczucia.

- To ja przepraszam - odparłam. - Powinnam zauważyć, że nie czujesz się dobrze, panie. Czy mogę ci jakoś pomóc? Może nasz mag sporządzi dla ciebie eliksir?

W odpowiedzi stanowczo potrząsnął głową i uśmiechnął się z łajdackim wdziękiem.

- Mam tu eliksir, jakiego mi potrzeba - powiedział, wskazując brandy.

Wychylił kieliszek do dna i otarł brodę. - Zajmę się tymi zabezpieczeniami, o których rozmawialiśmy - dodał na zakończenie rozmowy. Porozmawialiśmy jeszcze chwilę i pożegnaliśmy się.

Już po wyjściu usłyszałam grzechot kości i odgłos rzutu. Cholla Yi zaklął. Wynik chyba mu się nie spodobał.

Nie wiedziałam jednak, co to wszystko oznacza.

* * * Polillo o wiele głębiej pogrążyła się w żałobie po Corais, niż ja. Przez tyle lat były nieodstępnymi przyjaciółkami, że z trudem można było sobie wyobrazić jedną z nich osobno. Różniły się temperamentem, kolorytem i wzrostem i dzięki temu uzupełniały się nawzajem. Polillo wspierała Corais siłą i niepokromioną odwagą, a Corais była w tej parze szybsza, bardziej inteligentna i przemyślna. Razem budziły grozę w przeciwnikach, którzy popełnili głupi błąd, narażając im się w tawernie albo na placu boju. Po śmierci Corais, Polillo nie rozklejała się... nawet nie płakała. Zamiast tego, rzuciła się w wir pracy. Bez przerwy organizowała ćwiczenia, uczyła gwardzistki nowych sposobów walki, które sama wymyślała, albo po prostu trzymała je za ręce i uspokajała, gdy nie potrafiły dać sobie rady z nieszczęściami i kłopotami. Lecz nie tylko to się w niej zmieniło.

Pewnego dnia podczas treningu obserwowałam, jak uchyla się przed ciosem drewnianego miecza. Nagle wpadła na jednego z marynarzy, który pragnął z niezbyt bliska obserwować sprężyste części kobiecego ciała.

Pchnął ją i krzyknął z bólu: - Zejdź ze mnie, ty krowo!

Na pokładzie natychmiast zapanowała cisza. Polillo powoli wstała i pochyliła się nad marynarzem, który zbladł jak śmierć.

- Jak mnie przed chwilą nazwałeś, człowieczku? - spytała ostro.

Gwałtownie przełknął ślinę. Wiedziała, że przeklina demona, który na moment wziął w posiadanie jego język.

Przypomniałam sobie, jak pewnego razu jakiś mężczyzna uczynił podobną uwagę w portowej tawernie w Orissie. Siedziałyśmy tam spokojnie, popijając i zabawiając się z dziewczynkami. Poczuliśmy się urażony, że córka barmana wołała towarzystwo Polillo, niż jego, więc uderzył moją zastępczynię krzesłem od tyłu, wołając: - A masz, ty krowo!

Polillo została bogato wyposażona przez naturę i jest na tym punkcie bardzo wrażliwa. Obraziła się. Zanim zdążył się zorientować, złapała go i przycisnęła z całą siłą do piersi, krzycząc: - Muu! Muu, ty skurwielu! - i dusiła go w najlepsze. Gdyby nie Corais, chyba by go zabiła.

Obawiałam się powtórzenia tamtej sytuacji i ruszyłam do przodu. Ku memu zdumieniu, olbrzymka uśmiechnęła się nagle, pochyliła się i zwichrzyła mu włosy, po czym wciągnęła powietrze, marszcząc nos.

- Obszczałeś sobie spodnie, co? - spytała.

Nieszczęśnik tylko pokiwał głową.

- Lepiej idź się umyć - poradziła. - Nie ma nic gorszego jak wysypka od sików.

Odwróciła się, a marynarz zemdlął.

- Napijesz się ze mną, ślicznotko? - spytałam, patrząc, jak otrzepuje sobie tunikę.

- To najlepsza propozycja tego dnia - odparła, wzięła mnie pod rękę i udałyśmy się do mej kajuty, by spróbować bladezłotego konyańskiego napitku, który zwał się jak szarżujący bojowy koń.

- Cóż za wzruszający pokaz miłosierdzia - powiedziałam, gdy na serio wzięłyśmy się do picia.

W odpowiedzi wzruszyła ramionami.

- Corais zawsze powtarzała, że moją największą wadą jest porywczosć - odparła. - Teraz, gdy odeszła, sama muszę się kontrolować.

Oczy jej zwilgotniały. - Myślę, że w wielu sprawach na niej polegałam.

Taka ze mnie humorzasta dziwka. Nie mam pojęcia, jak ona ze mną wytrzymywała - ze złością otarła łzę z policzka.

- Kochała cię, Polillo - odparłam. - Tak jak my wszystkie. A co do twoich humorów, moim zdaniem uzupełniają ze wspaniałymi cnotami, jakimi obdarzyli cię bogowie. W przeciwnym razie, byłabyś ideałem.

Prychnęła pogardliwie. - Jakimi darami? Jestem wielka i brzydka. Czy to są jakieś ważne dary?

Oniemiałam. - Ty? Brzydka? Polillo, nie ma na świecie kobiety, która nie pozazdrościłaby ci urody.

Powiedziałam prawdę. Jak wspominałam, Polillo miała doskonałą figurę.

Przepięknych proporcji jej ciała nie psuł ani gram tłuszczu. Nogi miała kształtne jak tancerka, a twarz, szczególnie wielkie, lśniące oczy, skłoniłaby każdego malarza, by sięgnął po paletę i płótno.

- No dobrze, lustra na mój widok nie pękają, ale przyznaj, że taki wzrost i siła nie są normalne - mruknęła niechętnie.

- Bogini pobłogosławiła cię, dając siłę herosa, co rzeczywiście jest nienormalne - zgodziłam się. - Kiedyś, gdy nasze czasy staną się odległym wspomnieniem, będą o tobie śpiewać pieśni, droga

przyjaciółko.

Wierszopisowie stworzą całe ody o pięknej kobiecie, obdarzonej siłą dziesięciu mężczyzn. Lepiej z tym się pogódź. Jesteś żywą legendą.

- Legendą o humorzastej dziwce, co? - zachichotała.

- O humorzastej dziwce, tak jest - zgodziłam się chętnie.

Pociągnęła spory łyk. - Swego czasu rozwaliłam parę główek, które same się o to dopraszały - przyznała.

- Niewątpliwie.

- A zaczęłam od własnego ojca.

- Opowiadałaś kiedyś, że to był drań, ale na tym zawsze kończyłaś.

Prowadził gospodę, prawda?

Przytaknęła ruchem głowy. - Miał gospodę, miał kuźnię i cholerny był z niego dupek. Wielki, silny syn francowatej dziwy. Gdybyś widziała jego matkę, przekonałabyś się, że to nie bezpodstawna obelga. Ojciec mój prowadził zatęchłą dziurę, nazywaną gospodą, na rozstaju dróg w wiosce. Z tyłu była kuźnia, żeby podkuwać konie podróżnym i tak dalej. Przepijał cały zysk i póki nie urosłam co nieco, chodziliśmy w łachmanach i posiniaczeni. Czasem myślę, że dlatego jestem taka duża. Bił nas zawsze, odkąd sięgam pamięcią. Złamał ramię mojemu starszemu bratu - a on był taki miły, taki kochany i słodki.

Matka zawsze miała podbite oczy i kulą. Doprowadzał mnie do szaleństwa.

Jak miałam sześć lat, chciałam go zbić w łóżku pogrzebaczem. Ale to on mnie w końcu sprął, prawie do nieprzytomności. Bolało jak cholera, ale nie płakałam.

Nie przy nim. Wtedy właśnie postanowiłam, że będę wielka i silna. Ze strachu przede mną już nikogo z nas nie odważy się dotknąć. Zaczęłam podnosić różne rzeczy, im cięższe, tym lepiej. Biegać. I walczyć. Kiedy miałam dziesięć lat, podnosiłam jego kowadło, choć z trudem. Więc zaczęłam wyczekiwać.

Tygodnie minęły, zanim znów zaczął swoje sztuczki. Zaczęłam się bać, że może uznał swą winę i teraz się poprawi. Modliłam się, żeby tak się nie stało - do tego stopnia go nienawidziłam! Tak bardzo chciałam go skrzywdzić.

Potrzebowałam tylko pretekstu.

- I w końcu się nadarzył? - spytałam.

Uśmiechnęła się niewesoło. - A czy pies lubi padlinę? Pewnie, że się nadarzył. Ojciec rzucił się na matkę. A ja go usadziłam na dobre - uderzyła jedną potężną pięścią w drugą. - Jednym ciosem. Złamałam mu tę paskudną szczękę. Zęby były wszędzie. Nawet w zupie. Potem wygnałam go z domu i powiedziałam matce, że od tej pory gospoda należy do niej.

- I nigdy więcej go nie widziałaś?

Roześmiała się. - Nigdy. Nie śmiałby się pokazać we wsi, gdzie wszyscy wiedzieli, że dziesięcioletnia córka rozłożyła go jednym ciosem. To właśnie jest takie miłe w męskiej dumie: raz złamana, już się nie odrodzi.

- Jak u tego marynarza, co sobie obsikał spodnie, prawda?

Skrzywiła się. - Ach, on nie jest jeszcze taki zły. Widziałam go przy pracy - bierze na siebie więcej, niż reszta. W walce też nie jest najgorszy. Po prostu go zaskoczyłam i tyle. Wcale nie chciał mnie obrazić. Po prostu mu się wymknęło. Patrzyłam na niego z góry i nagle sobie pomyślałam: „Polillo, staruszek. Ile razy sama wpakowałaś się w kłopoty, bo obracałaś językiem w gębie, zamiast ją trzymać na kłódkę?” I jeszcze przyszło mi na myśl, że Corais strasznie by się rozżłościła, gdybym go zabiła. Więc dałam spokój.

Zaczęła sobie nalewać następny kieliszek, ale przerwała w pół gestu i zmarszczyła brwi: - Słuchaj, ale ludzie nie pomyślą sobie, że zmięklam, prawda?

- Obchodzi cię to?

- Właściwie nie - odparła po chwili zastanowienia.

Gdy zdała sobie sprawę, co powiedziała, twarz jej opromienił uroczy uśmiech: - Corais byłaby ze mnie dumna, jak myślisz? - spytała.

- Na pewno, kochanie.

Spędziłyśmy cudowną noc, popijając, chichocząc i opowiadając sobie różne bzdury, jak za dawnych dobrych czasów, gdy byłyśmy młode, niewinne, a nadzieje nasze lśniły równie jasno jak niesplamiona w walce stal naszych mieczy.

Pędziliśmy na wschód, a ja coraz częściej wstawiałam przed świtem, by oglądać wschód słońca. Widok ten nie przestaje mnie zachwycać, szczególnie ta chwila, gdy blady róż rozlewa się po niebie jak słodzona woda różana.

Gamelan, jak każdy stary człowiek, lubił budzić się rano, więc przyłączał się do mnie, łowił ryby, a ja opisywałam mu spektakl na niebie.

- W dzieciństwie wolałem zachody słońca - powiedział pewnego dnia. - Drobne rozczarowania z całego dnia znikają wtedy jak ręką odjął, a blask niebiański mówił o nowych możliwościach, czekających na mnie następnego dnia. Ale gdy się postarzałem, zachodzące słońce zaczęło mi się wydawać...

kresem, u diaska! Nigdy nie wiadomo, czy doczekam do jutra. A o wschodzie słońca można się oszukiwać, że człowiek dotrwa przynajmniej do końca dnia.

- Jesteś przecież magiem - odparłam. - Czy magowie nie przeczuwają, że ich czas się dokonał? Wydawało mi się, że mag potrafi wyczuć obecność Łowcy.

Roześmiał się. - Jedynym znanym mi magiem, który prawidłowo przewidział swe odejście, był mój mistrz. Tylko, że on co wieczór klął, że go szlag trafi przez nas, czyli tępych durniów, których musi nauczać. I wiesz co?

Ta chwila przyszła na niego, gdy skończył pięćdziesiąt dwa lata.

- Ach, przeżyjesz go, przyjacielu. Postaraj się mnie nie rozczarować, gdyż w przeciwnym wypadku nie będę ci szczenił wymówek.

Zamiast roześmiać się cicho z marnego dowcipu, Gamelan nagle spoważniał.

- Wczoraj śniła mi się pantera - powiedział.

- Tak?

- Nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Śniłem, że jest w mej kabynie i szuka wyjścia. Bardzo się niepokoiła - cały czas chodziła w kółko. Ale kiedy podszedłem do drzwi - we snach wraca mi wzrok, jak wiesz - nie mogłem podnieść zasuw. Wołałem o pomoc, ale nikt nie słyszał.

- I co dalej?

- To już wszystko. Obudziłem się - odrzekł i dodał: - Rali, a tobie śni się jeszcze ta pantera?

- W ogóle nic mi się nie śni. Nic, od czasu, gdy miałam wizję Archonta i po raz pierwszy spotkałam panterę.

- A normalnie, często miewasz sny? - spytał.

- Zawsze. Nawet, jeśli po obudzeniu nie pamiętam, co mi się przyśniło, wiem, że miałam sen.

Westchnął i potrząsnął głową.

- Czy to coś oznacza?

- Nie wiem, Rali. Szary Płaszcz przypuszczał, że sny są rzeczywiste.

Kiedy śniesz, przenosisz się do innego świata, który niemal dokładnie przypomina twój własny świat, za wyjątkiem jakiegoś drobnego - albo całkiem sporego - szczegółu. I ten szczegół, jak sama spostrzegłaś, staje się tworzywem snu.

- Ach, ten przeklęty Janos zabierał głos na wszystkie możliwe tematy - warknęłam. - Dlaczego

wszystko trzeba tak dokładnie ważyć i mierzyć? Czy nie można uznać, że sny to sny i dać sobie spokój?

- Może jednak jest w nich jakiś sens - zadumał się stary mag. - Zastanawiałem się nad tym, tylko ze względu na tę panterę. Mówiłaś, że czasem zdaje ci się, że ją widzisz.

- Na skraju pola widzenia - odparłam. - I zawsze w cieniu. Pewnie to wytwór wyobraźni.

Tej nocy spróbowałam przywołać marzenia senne. Wyobraziłam sobie Xię - tworzyłam jej obraz, aż wydała mi się żywa i bliska. Gdy odpływałam w sen, starałam się utrzymać tę wizję, lecz umknęła mi, jak tylko zamknęłam oczy.

Obudziłam się i spróbowałam tej sztuczki ponownie, z tym samym skutkiem.

Przywoływałam jeszcze inne wizje, przyjemne i odpychające, lecz choć starałam się skoncentrować, odpływały, gdy zaczynałam zasypiać. W kocu całkiem wybiłam się ze snu i rzucałam na łóżku, na przemian pocąc się i marznąc.

Przez cały czas wydawało mi się, że słyszę, jak o pokład skrobiją pazury wielkiego zwierzęcia. Wiedziałam, że to pantera niestrudzenie krąży po kabinie.

W końcu wyszłam na pokład. Noc była cicha, morze spokojne. Poszłam do kabiny Gamelana i przycisnęłam ucho do drzwi. Wyraźnie słyszałam stuk pazurów wewnątrz pomieszczenia.

Pociągnęłam za zasuwkę. Zacięła się. Spróbowałam jeszcze raz i metalowe ramie uniosło się do góry. Powoli uchyliłam drzwi. Mag spał spokojnie.

Poczułam muśnięcie gorącego powietrza i odsunęłam się, a coś wielkiego przemknęło obok. Było bezkształtne... właściwie, nie dałabym głowy, czy w ogóle istniało. Lecz wyraźnie poczułam dotyk

futra na ciele, a w nozdrza buchnął intensywny zapach wielkiego kota. Rozejrzałam się, lecz wokół było pusto. Przyjrzałam się jeszcze raz Gamelanowi, po czym zamknęłam drzwi i wróciłam do siebie. Rzuciłam się na łóżko i natychmiast zasnęłam.

Tej nocy miałam sen. Przyszła do mnie czarna pantera. Pędziła przez puszcę i niosła mnie na grzbiecie.

Rozdział dwudziesty trzeci

MORZA DEMONÓW

Dni mijały, dał silny wiatr z zachodu albo południowego zachodu i niósł nas tam, gdzie według map rozścięrały się znane nam morza, a za nimi Orissa.

W dalszym ciągu mieliśmy przepiękną pogodę. Napięcie, wywołane długim pościgiem, zaczęło opadać, więc na statkach panowała radosna atmosfera. Gwardzistki opowiadały sobie niestworzone historie, zastanawiały się, co zrobią z bogactwami, które pozostaną niewyobrażalnie wielkie, nawet gdy Orissa i Mistrzowie Magii potracą z nich prawie należną im część. Dwie z nich zagadnęły mnie kiedyś bardzo ostrożnie starały się wybadać grunt, czy ktoś obdarzony darem wymowy nie mógłby stanąć przed Radą i wyprosić dla nas zwolnienia z podatków... tyle z nas oddało życie za miasto, więc Orissa mogłaby przynajmniej nie odbierać gwardii ciężko zarobionego złota.

Obie otrzymały tę samą odpowiedź: wojownicze chciwość nie przystoi.

Jedna z nich, Pamphylia, odpowiedziała bezczelnie, że złoto wcale nie spowolniło miecza Cholla Yi ani jego ludzi. Wyraźnie zbyt długo przebywała z Gamelanem, który tolerował jej gadaninę. Poleciałam jej zameldować się u sierżant Ismet z poleceniem, by wybrała dla niej jakieś szczególnie cuchnące zajęcie, by ukarać niesubordynację. W duszy jednak byłam nawet zadowolona, że w moich kobietach pozostało choć trochę ducha po tak wielu trudach, choć większość ich towarzyszek znalazła się na liście poległych.

Gerasa zwróciła się do mnie z tą samą prośbą i gdy uzyskała podobną odpowiedź, co Pamphylią, popatrzyła na mnie w zadumie, poprosiła o pozwolenie, by coś powiedzieć i spytała dlaczego sądzę, że zamierza po powrocie pozostać w szeregach Gwardii.

Nie odpowiedziałam na to. Odesłałam ją, mówiąc, że prawo jest prawem i ani ona, ani ja nie będziemy decydować o tym, co Orissa robi z należnym jej złotem.

Po tej rozmowie zaczęłam się jednak zastanawiać. Zdałam sobie sprawę, że właściwie nigdy nie zastanawiałam się nad przyszłością. Zawsze wydawało mi się, że będę dalej walczyć w Gwardii, a kiedyś tam dostanę medal, wydadzą na moją cześć suto zakrapiany winem bankiet, a może nawet dostanę czysto honorowy awans, gdyż przecież byłam kobietą, a one nie zostają generałami.

Potem zaś wycofam się z czynnego życia i zamieszkam w rodzinnej posiadłości.

Może zresztą przedtem zginę w jakiejś nieważnej granicznej potyczce? Nigdy nie wyobrażałam sobie życia poza Gwardią. Była dla mnie matką, ojcem, kochanką i domem, od kiedy przestałam być dziewczynką... czasem więcej znaczyła, niż rodzina Antero, Otara, Xia, a nawet Tries, choć kochałam je wszystkie.

Próbowałam odepchnąć od siebie te myśli. Niezdrowo jest wojowniczo myśleć o przyszłości. Gdy na przykład na warcie zaczniesz marzyć o ciepłej tawernie i wdziękach przyszłych towarzyszek łoża, jest prawie pewne, że ktoś z obnażonym sztyletem, skoncentrowany tylko na chwili obecnej, skrada się jej za plecami. Myśli jednak uparcie powracały.

Bardzo dobrze wiedziałam, co mnie czeka. Jeszcze przecież nie skończyliśmy z Archontem. Przede wszystkim, po powrocie do domu, będę musiała wraz z Gamelanem stanąć przed Radnymi i Mistrzami Magii i opowiedzieć im o naszych obawach.

Wszystko to sprawiło, że popadłam w ponury nastrój, choć starałam się tego nie okazywać. Sypiałam niespokojnie i często się budziłam. Oblewały mnie fale zimna i gorąca na zmianę. Wiem, że śniłam a sny moje nie były przyjemne, lecz nie pamiętałam ich po obudzeniu.

Jeden z takich koszmarów uratował mi życie.

Obudziłam się, gwałtownie usiadłam w hamaku i siłą woli starałam się oprzytomnieć. Ciało nie chciało się obudzić, lecz zmusiłam je do tego, wiedząc, że jeśli nie wstanę, nie przejdę się po pokładzie i nie oprzytomnieję, znów zapadnę w ów straszny sen. Miałam niejasne wrażenie, że świt już blisko.

Oprócz skrzypienia okrętowych belek i szumu morza na zewnątrz posłyszałam cichy szmer, jakby ktoś próbował otworzyć zasuwkę u drzwi. Rzeczywiście, drzwi się otworzyły, pojawił się w nich jakiś cień i prześliznął się w moją stronę. Z ciemnego kształtu wyłoniła się dłoń z długim, obosiecznym sztyletem, który opadł w miejsce, gdzie leżałam.

Tyle, że mnie tam nie było.

Zanim zabójca zdążył jęknąć ze zdziwienia, wysunęłam się z bezpiecznego cienia i skoczyłam, zarzucając nań koc jak rybacką sieć.

Owinęłam go ściśle, obróciłam i wymierzyłam kolanem kopniaka na wysokości bioder. Zwalił się na ziemię, jak rażony gromem.

Znów skoczyłam na niego. Żadne z nas nic nie widziało w ciemnościach, lecz długoletnia praktyka nadała mym mięśniom i pięściom wyczucie, niemal zastępujące zmysł wzroku. Uderzyłam go kantem dłoni w czoło; huknął głową o pokład. Odwiodłam ramię i poprawiłam hakiem w skroń. Ledwo się pohamowałam, by nie zakończyć wszystkiego trzecim ciosem w miękkie gardło.

Jęknął z bólu i osłabł, więc zeskoczyłam z niego i pociągnęłam bezwładne ciało pod latarnię, zawieszoną pod belką. Zdjęłam osłonę, rozdmuchałam hubkę, aż zajęła się ogniem i przekręciłam gałkę, odcinając dopływ oliwy do knota. Chciałam krzykiem zaalarmować Gwardię, lecz po chwili zrezygnowałam z tego pomysłu. Napastnik starał się podnieść i oprzytomnieć po ciosie. Schwyciłam jego sztylet, uklęknęłam obok, schwyciłam go za włosy i zajrzałam mu w twarz.

To był Stryker.

Spojrzał przytomnie na ostrze, które trzymałam mu na gardle.

- Sam to wymyśliłeś, czy Cholla Yi ci kazał? - spytałam ostro.

Zacisnął wargi. Przesunęłam sztyletem po jego szyi. Trysnęła krew.

- Cholla Yi ci kazał - powiedziałam, wiedząc, że gdyby sam wpadł na taki pomysł, natychmiast zaczęłby nalegać, bym porozmawiała z jego zwierzchnikiem. - Dlaczego?

Uparcie zaciskał wargi, więc zaczęłam podrzynać mu gardło.

- Prowadzisz nas na śmierć - zaczął pośpiesznie. - Coś strasznego nas czeka. Cholla Yi tak czuje i ja też. I wiem, co to jest.

- Archont?

- Ale z ciebie mądrała, no, no.

- I co ci to da, jeśli mnie zabijesz?

Zrobił chytrą minę, więc znów przejechałam mu nożem po gardle.

- Lepiej zacznij mówić, stary - zagroziłam - bo zawołam Polillo z toporem i będzie ci obcinać paluszki po jednym, aż zrobisz się rozmowniejszy.

- I co z tego? - odpowiedział. - I tak mnie zabijesz.

- Teraz na pewno. Ale za minutę albo za godzinę... może bym się zastanowiła. Co zyskasz dzięki mojej śmierci?

- Mogę usiąść?

- Możesz mówić na leżąco. Albo się wykrwawiać, jak wolisz.

- Cholla Yi wreszcie rzekł mi, co się dzieje. Miał te wizje. Jakby mag się z niego zrobił. Powiedział, że Archont do niego przychodzi, ale nie widać twarzy ani ciała. Ale on wie na pewno, że to Archont. I mówi, że to nie koniec pościgu i nigdy nie dopłyniemy do Orissy, bo on postawi takie zaklęcia, że nie damy rady, a ci cholerni Radni i tak nam nic nie zapłacą. Za to o tych, co są teraz z nim, będzie pamięć przez wieki, a wrogów demony będą rozdzierać do końca świata i dłużej.

- I ty... i Cholla Yi uwierzył Archontowi?

- Wiem, że to brzmi jakoś głupio - odpowiedział Stryker - ale Cholla Yi mówi, że nie ma mocnych, jak taki wielki mag przemawia. A szczególnie jak obiecuje różne rzeczy i powiada, że potrzebuje ludzi, prawdziwych, żywych ludzi, żeby odzyskać tron. Tron i wszystko inne. On to jest dopiero mocny, mówił Cholla Yi. Ma to zaklęcie o którym dawno temu szeptałaś z Gamelanem, jak myśleliście, że nikt nie słyszy.

Mnie się zdaje, że Archontowi mało brakuje, a będzie bogiem. A człowiek nie ma szans z bogami. Najlepiej się do nich jakoś dostosować, nie?

Może trzeba im dobrze służyć, w nadziei, że człowiekowi coś skapnie z tego, co oni sobie biorą, albo co.

Skrzywił się. - Dziw, że nie zgadłem wszystkiego, jak wtedy u Cholla Yi wyrzuciłem w kości oczy śmierci, a ty tam byłaś blisko. Nigdy bym się nie zaciągnął do Cholla Yi, jakbym wiedział, co to będzie za pechowy rejs. Już pierwszy raz jak się biliśmy z Archontem, powinienem zgadnąć, że przeklęty, jak mi wtedy nie wyszło co miało wyjść. Tam pod wulkanami, zanim wybuchły i wypłuły nas na tamte dziwne wody.

- O czym ty mówisz?

- Ano o tym. Powiem ci wszystko, może coś na tym wygram. Pamiętasz, jak z tą czarną dziwką wspięłaś się na statek Archonta, a potem weszłaś na przedni maszt?

Przypomniałam sobie wszystko z nadzwyczajną jasnością. Gwałtownie wciągnęłam powietrze i nieświadomie odsunęłam się od Strykera, tak, że klęczałam chyba z metr od niego. Wtedy, gdy razem z Ismet wspięliśmy się na maszt galery Archonta, między nami gwizdnęła strzała i otarła ramię mojej towarzyszce. Żadna z nas nie potrafiła wtedy wyśledzić łucznika. Nic dziwnego, że nie było go pod nami na pokładzie, bo strzała nadleciała z naszego własnego okrętu.

- Pamiętam - odparłam. Stryker usiadł, namacał palcami krew po obu stronach szyi i drgnął. - Ty wtedy strzelałaś?

- Ja. I spudłowałem. Mało brakowało, a bym trafił tą czarną dziwkę. Też by nie było źle.

- Cholla Yi ci rozkazał?

- Nikt nikomu nie rozkazywał - odparł Stryker. - Cholla Yi po prostu jasno mi wytłumaczył, jak to Generał Jinnah uważa ciebie za swojego najgorszego wroga. I jak wrócimy do domu, on będzie ważny w Radzie Miejskiej. I jakby nie musiał sobie głowy zawracać tobą, dawno już by się z nami rozliczył i byśmy na tym lepiej skorzystali. Prędzej byśmy się sami załatwili z Archontem, zanim nabral tych wszystkich sił.

- Ach, co za przekłete durnie! Co za barany! Dlaczego dopiero teraz spróbowałaś znowu?

- Bo nie jestem taki całkiem głupi. Jakżeśmy zeszli z tych raf na nieznane wody, to sobie wyrozumowałem, razem z Cholla Yi, że potrzebne nam są wszystkie miecze. Powiedział, że będziemy się martwić o tą całą zafajdaną Orissę i Jinnaha, jak będziemy blisko domu.

- Para zaszranych idiotów. Uwierziliście, że Archont znajdzie dla was miejsce? Nie pamiętasz, co się stało z Sarzaną? Też myślał, że zagra z nim w kości, jak równy z równym. Nigdy w życiu nie widziałam... - przerwałam, widząc, że zaraz sama powiem coś głupiego. Jasne, że duch, czy tam demon Archonta nie próbowałby swoich sztuczek, nie otaczając tych dwóch łajdaków złocistą chmurą zaklęcia perswazji i wiary.

- W porządku - stwierdziłam. - Zajmijmy się wszystkim po kolei.

Najpierw tobą, a potem Cholla Yi.

Właściwie nie wiedziałam, co mam począć ze Strykerem i dopiero zamierzałam się nad tym zastanowić. Ale kapitan źle zrozumiał moje słowa i uznał, że los jego jest już przesądzony. Nie zauważyłam, że zdążył ukucnąć na piętach; skoczył wprost na mnie, jedną ręką celując w oczy, drugą - sięgając do noża.

Moje mięśnie znów zareagowały bez udziału świadomości. Padłam do tyłu na plecy, wystawiając sztorcem nóż, trzymany w obu dłoniach i Stryker nadział się na własne ostrze. Zalała mnie jego krew, a mężczyzna jęknął, zeszytywniał i umarł. Wydostałam się spod niego, wstałam, zarzuciłam tunikę na ramiona i pochwyciłam pas z mieczem. Wyskoczyłam na dolny pokład i krzykiem zaalarmowałam gwardzistki, a gdy otrząsnęły się ze snu i tłumnie wybiegły z kajut, popędziłam w górę po zejściówce, z dobytym mieczem w dłoni.

Okręt Cholla Yi był już dwadzieścia metrów od nas. Na pokładzie tłoczyli się zbrojni mężczyźni, a z burty wystawały gotowe do abordaży pomosty. Na mostku stał uzbrojony po zęby Cholla Yi. Ryknął z gniewu, widząc mnie wciąż żywą. Z tyłu za nim tkwili kapitanowie dwóch pozostałych statków. Jednym z nich był Kidai, zaś imię drugiego uleciało mi z pamięci. Wyraźnie admirał był przekonany, że trzy galery wystarczą, by nas pokonać, albo też pozostali kapitanowie nie dali się namówić do

buntu.

Gwardzistki wyskoczyły na pokład, w biegu dopinając pasy i zakładając hełmy. Razem z nimi biegli marynarze Strykera, wyraźnie nieświadomi, co się dzieje. Zdaje się, że Cholla Yi, jako doświadczony zdrajca, starał się dopuścić do spisku jak najmniej osób. Gdyby Stryker zamordował mnie pod pokładem, zdążyłby wezwać swoich ludzi do walki z gwardzistkami. Ale teraz...

- Zabić je! - wrzeszczał Cholla Yi. - Pozabijać te dziwki! Wszystkie! Są w zмовie z Archontem!

Kilku marynarzy spojrzało na nas... i na szereg obnażonych mieczy.

- Każdy kto wystąpi przeciw nam - umrze! - huknęłam w odpowiedzi. - To Cholla Yi zdradził!

Zakłęłam w myśli, bo moje słowa tylko powiększyły zamieszanie i krzyknęłam: - Wszyscy marynarze pod pokład! Natychmiast! Nie mieszać się do tego!

Niektórzy ruszyli do zejściówek, inni tkwili nieruchomo, nie wiedząc, co robić. Duban chyba coś wiedział, bo wyrwał sztylet zza pasa. Zanim znalazł sobie cel, Ismet ścięła go mieczem, a marynarze ryknęli gniewem.

Nie miałam jednak czasu się nimi zajmować. Okręty Cholla Yi były już bardzo blisko.

- Odeprzeć abordaż! - krzyknęłam. - Gerasa! Bierz na cel sternika i Cholla Yi!

Moja najlepsza łuczniczka, awansowana na sierżanta mimo jej gorących protestów spojrzała oniemiała, po czym szcęknęła kilka rozkazów i już jej oddział stał wzdłuż relingu i ostrzeliwał wroga. Było jednak za późno.

Skrzywiłam się, widząc, że strzała trafiła marynarza obok Cholla Yi i nagle ich galera zderzyła się z naszą, opadły opatrzone hakami pomosty i stanęliśmy połączeni burta w burtę. Druga galera nadpłynęła od przeciwnej burty, lecz zaśpiewały katapulty, gwizdnęły kamienie, trzech marynarzy na pokładzie padło z rozłupanymi czaszkami i strzaskanymi żebrami, więc sternik prędko skręcił i ominął nas z dala.

Trzecia galera zachodziła nas od rufy, lecz przestałam się nią przejmować, widząc, że ludzie Cholla Yi już przebiegli po pomostach i na pokładzie powstał rozkrzyczany kłęb walczących mężczyzn i kobiet.

- Szyk żurawi! - zakomenderowała Polillo. Cztery wojowniczkę zajęły miejsca za nią i zaatakowały. Marynarze, krzycząc ze strachu zaczęli uciekać przed straszliwym toporem. Dwóch zaatakowało mnie, sądząc, że będą mieli przewagę. Odskokczyłam i stanęli ze sobą twarzą w twarz. Sparowałam niezgrabne pchnięcie pierwszego, zadałam cios od góry po ramieniu, przecinając ścięgna. Upuścił miecz i dał mi czas, by pchnąć jego towarzysza, wyrwać broń z ciała i wykończyć ранego, zanim zaatakował mnie następny.

- Bić te dziwki! - krzyczał Cholla Yi. - Zabić je! Najpierw tę cholerną kapitan!

Przede mną wyrósł jakiś mężczyzna, trzymający halabardę na krótkiej rękojeści, sparował nią cięcie, skoczył na przód, gdy mu umknęłam i wrócił do pozycji obronnej. Dobry wojownik. Skakałam na boki, by stracił rozeznanie, udałam, że atakuję, źrenice mu się rozszerzyły, a ja padłam na pokład z prawej, przeturlałam się, jednocześnie wykonując obrót i miecz Santha uderzył w pokład z takim impetem, że aż drzazgi poleciały.

Wrzasnął ze strachu i rozpaczliwie szarpał zaklinowaną w drewnie broń, lecz ja już skoczyłam z przysiadu i cięłam straszliwie. Stracił większość twarzy, cofnął się, przechylił przez reling i poleciał do morza, ale halabarda pierwszego marynarza smagnęła mnie jak atakująca żmija i rozorała nie chronione napierśnikiem żebra. Ból niemal mnie oślepił, lecz nie dbałam o to, gdyż wolną ręką pochwyciłam rękojeść halabardy i pociągnęłam mężczyznę do siebie, na siebie i na nadstawiony miecz. Śmierć zasnęła mu oczy, padł na pokład, przydeptałam zwłoki nogą i wyszarpnęłam ostrze.

Na pokładzie panowało takie zamieszanie, że nie sposób było ocenić, na którą stronę przechyliła się szala zwycięstwa. Doskonale wiedziałam, co zrobić, by zapanował spokój. Cholla Yi górował ponad tłumem, jego miecz wznosił się i opadał, a napomadowana, kolczasta fryzura lśniła w blasku

wschodzącego słońca. Wyrąbałam sobie drogę do niego.

Ubiegła mnie Polillo. Widziałam, jak admirał wymierza jej cios, ona odchyła się do tyłu przed świszczącym mieczem, a potem uderza obuchem, jak pałką. Cios w pierś odrzucił pirata do tyłu, ale nie było krwi a na twarzy nie pojawił się grymas bólu; pod tuniką miał zbroję. I już tańczyli w przód i w tył...

wszyscy się jakimś sposobem zorientowali, że ten pojedynek zdecyduje o wyniku bitwy, nikt więc nie ciskał kamieniami, nie rzucił włóczni ani nie wystrzelił śmiertelnej strzały. Nie wiem, dlaczego nagle, na pokładzie pirackiego statku zdarzyła się tak absurdalna rzecz jak ten pojedynek między mą zastępczynią a renegatem i sprzedawczykiem, lecz tak było... przez krótką chwilę.

Cholla Yi walczył potężnym, dwuręcznym lecz idealnie wyważonym mieczem, czasem tnąc obiema rękami, czasem jedną; wykreślał ostrzem stalowa kurtynę między sobą a toporem, tańczącym w rękach Polillo, która napierała, zmuszając go, by bezustannie się cofał, aż w końcu oparł się o reling.

Dostrzegła wreszcie szansę na atak i zadała potężny cios. Ktoś - może ja - jęknął, gdy chybiła, otwierając się na śmiertelne cięcie pirata. Uderzył, lecz wojowniczką nieprawdopodobnym wysiłkiem zatrzymała potężny topór w pół uderzenia i odwiodła go, parując cięcie. Odepchnęła miecz na bok, a Cholla Yi zatoczył się, tracąc równowagę. Powrócił jednak, piękną paradą, lecz ponownie udaremniła mu atak, aż wreszcie z całej siły uderzyła z bliskiej gardy.

Potrafiłabym zadać tak silny cios jedynie z pełnego zamachu. Topór wbił się w bok pirata, przebił zbroję, jakby jej nie było i na pokład wypadły wnętrzności w kałuży krwi.

Cholla Yi wydał śmiertelny okrzyk i padł, z twarzą poczerniałą w ostatnim ataku furii.

Oprzytomniałam i zamierzyłam się na jakiegoś marynarza, lecz on już rzucił miecz na pokład i podniósł do góry bezbronne ręce, błagając o litość.

Inni poszli w jego ślady, dźwięczała odrzucana broń i rozległy się błagalne okrzyki.

Oczy wciąż zasnuwała mi czerwona mgła, gdyż ujrzałam na pokładzie zwłoki trzech... nie, czterech gwardzistek i może kazałabym wybić buntowników do nogi, gdyby nie Gamelan. Stał na mostku, razem z Pamphylią i drugą gwardzistką, które ściśle trzymały się wcześniejszych rozkazów.

- Przestańcie! - krzyczał. - Nadchodzi! On nadchodzi! Widzę go!

W sekundę zorientowałam się, o co chodzi magowi... ujrzałam, że jego oczy pojaśniały i spoglądał na mnie, na świat, a nie - jak zwykle - w głąb siebie.

Morze eksplodowało i Archont zaatakował.

Ani przez chwilę go jednak nie widzieliśmy podczas owego szaleńczego koszmaru, gdyż nie posługiwał się czystą magią, tylko morskimi demonami i istotami z czarnych głębin oceanu.

Woda poczerniała, jakby dodano do niej barwnika i wychyliły się z niej macki, wydłużyły się i pochwyciły z sąsiedniego statku jednego, a potem drugiego marynarza. Przeniosły ich nad wodę, tam, gdzie lśniły wielkie oczy bez powiek i papuzi dziób, który rozdziawił się, zamknął z trzaskiem i krzyki ucichły. Obok pojawiła się łuskowata salamandra, wielkością trzykroć przewyższająca człowieka... łuski były czarne, z czerwonymi pręgami, a z paszczy za każdym razem buchał ogień. Stwór niezgrabnie wdrapał się na burtę galery Kidai. Widziałam, jak marynarze atakują go włóczniami, zajmują się żywym ogniem i uciekają, krzycząc, jak żywe pochodnie.

Na wodzie unosiły się i inne potwory; zwykłe demony, podobne do Elama, choć nieco mniejsze od niego, wspinały się na okręty, błyskając podobnymi do szabel szponami, albo po prostu chwyciły ludzi w pasie, rozdzierając ich na miejscu. Jakaś bestia, o mackach jeszcze potężniejszych, niż widziana przed chwilą potworna ośmiornica, wychyliła się z morza, porwała w objęcia całą galerę i ukryła się w głębinie, nie pozostawiając po sobie nic, prócz kilku kawałków drewna i gigantycznego wiru.

Zdaje mi się, że w tamtym momencie obłąd ogarnął nas wszystkich, gdyż ujrzeliśmy rzeczy, które powinny być ukryte przed okiem ludzkiej istoty i stanęliśmy wobec śmierci, jakiej nikt z nas nie

wyobrażał sobie nawet w najczarniejszych koszmarach. Niektórzy zamarli w bezruchu i zginęli. Inni walczyli dzielnie, lecz i ich spotkał ten sam koniec.

Nie byliśmy jednak całkiem bezbronni. Oto ognista salamandra rozwarła paszczę, a Kidai cisnął w nią włócznią, zanim buchnęły płomienie i zginął Kidai, jak inni przed nim. Lecz salamandra ryknęła w śmiertelnych drgawkach i rzucała się po pokładzie, rozgniatając ludzi i ścinając maszty, aż wreszcie wpadła z powrotem czarne fale z takim impetem, że okręt przechylił się na bok, nabrał wody i zatonął.

Jakiś demon wspiął się na nasz pokład, lecz topór Polillo tylko śmignął i obciął mu pół czaszki. Potwór jednak nie umarł; oślepy, przeszedł przez cały pokład i wpadł do morza z drugiej strony.

Z głębin wynurzył się kolejny stwór, długi chyba na siedem metrów. Był to ohydny wąż, barwy zielonego śluzu, bez oczu, bez skrzeli, o okrągłej, otoczonej kłami paszczy w kształcie lejka. Rzucił się na mnie. Odskoczyłam, ujrzałam halabardę marynarza, którego przedtem zabiłam, rzuciłam miecz i pochwyciłam drzewce. Gdy stwór zaatakował po raz drugi, uderzyłam z całej siły i ostrze przyszpiliło go do pokładu. Zadygotał, jak robak na haczyku i zdechł.

Jakiś potworny wąż morski szalał na rufie, błyskając kłami spod rogatego ryja. Skoczył i porwał jedną z gwardzistek, a potem syknął głośniejszy, niż tysiąc krzyczących mężczyzn, gdy dziesiątki strzał wbiły mu się w głowę, a ja oprzytomniałam.

To magia wywołała z głębin tę przeklętą czeredę i tylko magia mogła posłać ją z powrotem na dno. Rozpaczliwie szukałam słów, jakiegoś zaklęcia, wiedząc, że nie starczy mi czasu. Pobiegłam do Gamelana. Nagle z fal na mostek wyskoczył demon, podobny do niesamowitego morskiego lemura, tyle że był barwy gnijącego mięsa, a zamiast ramion miał kosy. Rzucił się na maga, lecz ten dostrzegł go w porę, uskoczył i sięgnął po harpun. Demon znów zaatakował, lecz między nimi stanęła Pamphylija, zgodnie z rozkazem przyjęła cios na własną pierś i padła, choć jej miecz wszedł głęboko w cielsko potwora.

Pobiegłam na górę zejściówką, lecz Gamelan wyciągnął rękę.

- Nie, Rali - rzekł spokojnie, jakbyśmy siedzieli w jego maleńkiej kabinie i dyskutowali o teorii

magii. - Nie zbliżaj się teraz do mnie.

Wiedziałam, że muszę go usłuchać i pozostałam na miejscu.

Uśmiechnął się do mnie ciepło, serdecznie, na powitanie i zarazem na pożegnanie, a potem jego spojrzenie powędrowało dalej, aż objął nim przestwór czarnego morza.

Sięgnął w fałdy szaty i wydobył czarne onyksowe puzderko z sercem Archonta. Uniósł je w obu rękach i wyrecytował zaklęcie. Choć mówił bardzo cicho, jego głos brzmiał ponad oceanem głośniejszy, niż najsilniejszy tajfun: - Moc do mocy Czerń do czerni Ciemność umyka, Płomień zabija, Ogień zabija Noc.

Oto jest wszystko, oto jest wszystko.

Oto jest kres.

Moc do mocy.

Ręce jego poruszały się dziwnie, kreśląc koła, jakby jednocześnie wypisywał w powietrzu niewidzialne symbole. Znikąd nadpłynął ryk bólu i dźwięk, który potrafię opisać jedynie jako wielki trzask, jakby pękała gigantyczna lodowa kra.

Z trudem znajduję słowa, by opowiedzieć o tym, co się stało dalej. Było tak, jakby podmuch wiatru rozwiął chmurę mgły. Jej szare pasma, jak macki, wysnuwały się z Gamelana na pokład, na morze, oplątywały demony, a wszędzie, gdzie dotarły, potwory wrzeszczały z bólu i umierały albo znikwały w wodzie. Przez cały czas coś huczało, jak trąba powietrzna, lecz żagle nieruchomo zwiślały z masztów.

W końcu z niebios rozległ się okrzyk triumfu. Myślałam, że to Gamelan.

W końcu wszystko ucichło, a morze stało się spokojne jak wiejska sadzawka.

Lecz pokłady okrętów splamiła krew i wnętrzności, zwłoki poległych leżały nieruchomo i dały się słyszeć jęki i śmiertelny skowyt ciężko rannych.

Gamelan stał bez ruchu, z pustymi rękoma. Ruszyłam ku niemu i w tej chwili osłabł i zaczął osuwać się w dół. Zdążyłam go chwycić i przytrzymać, zanim upadł na pokład. Oczy miał jasne. Odzyskał wzrok, lecz nie patrzył już na mnie. Uśmiechnął się jeszcze raz.

I umarł.

Czułam, jak odchodzi, czułam, jak tworzy się pustka tam, gdzie niegdyś tętniło życie, dobroć i ciepło.

Złożyłam ciało na pokładzie i stanęłam nad nim, nie kryjąc łez.

Gamelan odszedł, złożył siebie w ofierze i zabrał nasz wielki talizman, serce Archonta.

Nie wyczuwałam jednak obecności naszego wroga.

Niewiele brakowało, a zniszczyłby nas zdradą i magią. Z siedmiu okrętów tylko dwa pozostały na wodzie - nasz i galera flagowa Cholla Yi.

Reszta zatoneła, lub zniknęła, wciągnięta w głębinę przez morskie potwory.

Opatrzyliśmy rannych i pochowaliśmy umarłych.

Było ich wielu... bardzo wielu. Prawie tyle, co po bitwie z Sarzaną.

Pamphylia. Cliges. Dacis. Inne. Zginęło więcej marynarzy, niż gwardzistek, lecz cóż z tego? Czasem można było odprawić ceremonię pogrzebową nad kompletnym ciałem, lecz częściej sprawialiśmy pochówek skrawkowi odzienia, flakonowi perfum, ulubionej broni, albo, jak przypadku Cliges, jej ukochanemu skórzanemu kubkowi. Tylko w ten sposób potrafiliśmy uchronić dusze od wiecznej wędrówki.

Przeprowadziliśmy prowizoryczne naprawy, postawiliśmy żagle i powoli, jak kulawy człowiek, ruszyliśmy przed siebie - dalej na wschód.

W dwa dni później ujrzeliśmy orissańską galerę.

KSIĘGA TRZECIA

ORISSA

Rozdział dwudziesty czwarty

CHWAŁA BOHATEROM

Im bliżej byliśmy tego okrętu, tym większa stawała się nasza pewność, że to nie gra świateł, ani nie złudzenie utrudzonych walką umysłów.

- Statek z domu! - wołała Polillo, wałąc mnie po plecach.

Niektórzy wiwatowali, inni płakali, lecz wszyscy byliśmy równie zachwyceni, gdy usłyszeliśmy z tamtego pokładu powitanie w ojczystym języku. Ach, jakże nam się podobała ta galera, jaka była cudowna, poczynając od znajomego kształtu, a kończąc na drewnie, z którego ją zbudowaną...

pochodziło przecież z balsamicznie pachnących lasów za naszym miastem. Zaś mężczyźni, którzy powitali nas śpiewną, płynną mową znad brzegów ukochanej rzeki, byli równie swojscy. Znaliśmy zaułek tkaczy, skąd pochodziła ich odzież; nie raz uskarżaliśmy się na odór kadzi farbiarskich, w których tkaninom nadawano wszystkie te słoneczne, orissańskie barwy. Kształt ich bród, linia butów i sandałów, nawet pierścienie i naszyjniki - oraz sposób ich noszenia - wszystko mówiło nam o domu.

Jeszcze większa radość zapanowała, gdy powitał nas kapitan i dowiedzieliśmy się, jak myłące były mapy. Otóż, zamiast wielu tygodni żeglugi, od Orissy dzieliło nas zaledwie kilka dni. Wielki ciężar spadł nam z serca. Teraz wszystkie troski, niepokoje i trudności będziemy już mogli dzielić z rodakami. Jeśli ponownie zagrozi nam Archont, będzie zmuszony walczyć z dziesiątkami tysięcy Orissaczyków. Odpowiedzialność została z nas częściowo zdjęta. Możemy liczyć na pomoc przyjaciół, kochanków i rodzin.

Weszłam na pokład dumnym krokiem, a zmęczenie bitewne opadło ze mnie tak łatwo, jak koszulka w gorącą letnią noc. Ranni znaleźli troskliwą opiekę, nad zmarłymi odprawiono znajome ceremonie, które nieco ukoiły żalobę po ich odejściu. Choć na okręcie panował tłok, pozostało nas tylko dwadzieścioro, więc bez trudu znalazło się miejsce. Potem, bezzwłocznie pożeglowaliśmy do domu. Orissańska galera handlowa wzięła na hol dwa nasze okręty, o wiele od niej mniejsze i lżejsze. Okazało się to łatwiejsze, niż przeładowywanie skarbów, choć zdaje się, ci co przeżyli, ani trochę nie dbali już o całe to złoto.

Zakwaterowano mnie razem z Polillo. Gdy tylko się rozgościłyśmy, kapitan, imieniem Wazanno, przyszedł upewnić się, czy jest nam wygodnie.

- Nie było was tak długo, pani kapitan - powiedział. - Wszyscy myśleli, żeście pomarli - dodał i nalał nam po kielichu czerwonego orissańskiego wina, którego nie piłyśmy prawie od dwóch lat.

- Nie raz i nie dwa mało brakowało, a byście mieli rację - odparłam.

- Najgorzej było jednak tuż przed naszym spotkaniem - dodała Polillo. - Zaatakowały nas morskie potwory, demony i bogowie wiedzą, co jeszcze.

- Rzeczywiście? Koniecznie musicie opowiedzieć mi o tych wszystkich przygodach, gdy już odpoczniecie.

Polillo prychnęła pogardliwie: - Musisz więc sobie zapewnić, panie, wiele wolnego czasu i co najmniej pół tuzina butelek tego winka. Mamy wiele do opowiedzenia. Trudno się dziwić, opłynęliśmy przecież pół świata.

Widzieliśmy takie rzeczy, że medaliony ci zamarzną, jak o nich usłyszysz.

Wazanno wstał, zabierając się do odejścia. - Bardzo chętnie wysłucham tej opowieści, jeśli pozwolą mi na to obowiązki. Jestem z tych kapitanów, co wolą sami sterować, więc nie mam zbyt wiele czasu.

Ziewnął. - Wybaczcie mi, ale niewiele miałem czasu na sen w tym rejsie.

Zupełnie nie udawało nam się dobrze rozmieścić balastu - wyjaśnił, przeprosił nas i wyszedł.

- Co za zimnokrwisty facet, istna ryba. Nawet dorsz przewyższa go wyobraźnią - stwierdziła Polillo.

Westchnęłam. - Pewnie jeden z tych nowych ludzi, którzy tak denerwują mojego brata. Od kiedy zaczęły się rejsy do Zamorskich Królestw, zaczęło brakować wykwalifikowanych żeglarzy. Dzięki bogu, ten wygląda na doświadczonego. Amalryk opowiada okropne historie o różnych mętach, które nie raz musiał zatrudniać.

- Przynajmniej zostawił wino - dodała Polillo, napełniając kielichy. - Witaj w domu - powiedziała, wznosząc toast.

- Witaj w domu - odparłam jak echo.

Orissa powitała nas jak bohaterów. Ludzie tańczyli na ulicach do wtóru muzyki, Radni wygłaszali mowy, a Mistrzowie Magii urządzili wspaniały pokaz fajerwerków. Paradowali przed nami żołnierze w lśniących, odświętnych mundurach, a na czele maszerował generał Jinnah - tak, właśnie ten przekłety Jinnah. O dziwo, wygłosił płomienną mowę o tym, jakie to z nas wspaniałe bohaterki - a szczególnie ja! Wybałuszyłam oczy na ten kaprys losu, który sprawił, że po powrocie serdecznie wita mnie największy, śmiertelny wróg, a on prędko skończył mowę, wojskowa orkiestra odegrała wzruszającą triumfalną fanfarę na naszą cześć, po czym wojsko odmaszerowało równie szybko, jak się pojawiło. Gdy tylko zniknęło z widoku, tłum również zaczął się rozpraszać: nasi krajanie rozeszli się powolutku do swych codziennych obowiązków.

Wszystko to wydało nam się sztuczne i wymuszone. Wyraźnie, z punktu widzenia Orissańczyków, wojna skończyła się już dawno temu, a my byliśmy po prostu jakimś drobnym, niedokończonym incydentem w historii. Z łatwością wyobraziłam sobie rozmowę w tawernie po dwóch - trzech tygodniach: - Jesteś kapitan Antero, tak? Ach, pamiętam. Dowodzisz Gwardią Maranonii, albo czymś w tym rodzaju. Dziewczęta Jinnaha. Dokonałaś czegoś szlachetnego, z poświęceniem, prawda? Niech mnie licho, jeśli pamiętam, co to było dokładnie.

Postawiłbym ci jednego, ale widzę już dno w sakiewce. Przyjdź kiedy indziej, miła pani kapitan, to się razem porządnie napijemy.

Nie czułam zazdrości ani nie rozczułam się nad sobą. Wzruszyłam ramionami, uznawszy, że na całym świecie żołnierze zawsze spotykają się z podobnym traktowaniem. Wszyscy nas wynoszą pod niebiosa, gdy zabrzmia wojenne bębny, ale gdy powróci pokój - uciekają jak od trędowatych. Poza tym, wielce radowałam się z powrotu do domu i nie obchodziły mnie sprawy ambicji.

Zgodnie z protokołem, postawiłam gwardzistki na baczność i przekazałam dowództwo sierżant Ismet, gorąco pragnąc - jak zresztą one wszystkie - by pozbyć się wreszcie ryszunku śmierci i powitać dom. Ismet ryknęła na cały głos, komendę do rozejścia się, kobiety dwa razy strzeliły obcasami i pobiegly w stronę tłumy oczekujących. Zawołałam Ismet do siebie.

- Sierzancie - powiedziałam - o ile wiem, nie macie rodziny.

- Mam przecież Gwardię, Kapitanie. Czego więcej trzeba kobiecie?

Znowu odczułam błysk zadziwienia... czyżby Ismet rzeczywiście była wcieleniem Maranonii? Ostrożnie dobieierałam słowa.

- Pomyślałam sobie tylko, że w koszarach możesz się poczuć samotnie, gdy wszystkie się rozjadą. Może zechciałabyś wybrać się do mnie w gości?

Miejsca jest dość, a moja rodzina jest nieszczęśliwa, jeśli nie mieszka u nas przejazdem co najmniej sześcioro albo siedmioro przyjaciół.

Ismet wyglądała na speszoną. Zdałam sobie sprawę, że z trudnością znajduje słowa spoza wojskowego świata.

- Przepraszam bardzo panią kapitan, ale ja nie bardzo wiem, co to znaczy samotność. Bardzo lubię być sama w koszarach. Wtedy się odprężam, przypominam sobie, kim jestem i nabieram sił. Jeśli mam ochotę rozmawiać, za bramą jest wiele tawern. Gdy się tym zmęcę, wracam do domu pobyc w ciszy, choć zawsze słycać tam szcęk oręża, rozmowy wartowników i okrzyki straży.

Chyba bym nie wiedziała co robić, jakby tego wokół mnie nie było.

- Gwardia naprawdę jest moją rodziną. Pewnie inne kobiety potrzebują czegoś więcej. Ja nie. Może to z powodu... miejsca, skąd pochodzę.

Zacisnęła usta. Ten jeden jedyny raz przyznała, że przeżyła coś w przeszłości poza Gwardią, naturalnie, nie wspominając, co.

Szukałam słów, by zakończyć rozmowę, która stała się kłopotliwa dla nas obu, lecz zanim znalazłam, Ismet powiedziała: - Dziękuję za zaproszenie, pani kapitan. Ale nie warto, żeby jakaś weteranka wchodziła ci w drogę, gdy masz do załatwienia tyle ważnych spraw. Jeśli zechcesz, któregoś dnia możemy się razem napić i porozmawiać o tej kampanii. Zastanawiałam się nad popełnionymi błędami i nad tym, jak ich uniknąć, gdy znów nas gdzieś wyślą.

Cała Ismet. Naturalnie, powiedziałam, że chętnie się z nią spotkam, a ona zasalutowała i odeszła.

Polillo i reszta gwardzistek porozeżdżały się w towarzystwie krewnych i przyjaciół na długi, dobrze zasłużony urlop. Przebiegałam oczyma topniejący tłum. Posmutniałam, nie widząc Amalryka. W gardle poczułam wielką gulę rozczarowania i rozpaczy. Nagle podeszli do mnie pozostali bracia z żonami.

Zbliżyłam się niechętnie, w oczekiwaniu zwykłej niechęci i dystansu.

Wyobraźcie sobie moje zdumienie, gdy Porcemus porwał mnie w objęcia z okrzykiem: - Dzięki bogom, że do nas powróciłaś, Rali! - po czym mnie ucałował. Odsunęłam się i ujrzałam, że oczy mu zaszyły łzami z wielkiego wzruszenia.

Reszta otoczyła nas ciasnym wianuszkiem, powtarzając, że są ze mnie tak bardzo dumni i tym podobne głupstwa. Wiedziałam, że mówią to z serca.

Bracia obejmowali mnie, klepali po plecach, a kobiety chlpiąc powtarzały, że to niesłychane, ile odwagi może być w kobiecie. Wzruszyło mnie to wszystko i w końcu sama się popłakałam, zasmarkałam i zamoczyłam.

- A gdzie Amalryk? - wykrztusiłam w końcu.

- Ach, jakże będzie żałował, że się z tobą nie spotkał - odpowiedział Porcemus. - Dwa dni temu odpłynęli razem z Omerye do Zamorskich Królestw.

Musimy ich natychmiast powiadomić. On także się o ciebie zamartwiał.

Chciałam zobaczyć się z bratem nie tylko z osobistych powodów. Trzeba było coś zrobić z Archontem - i to natychmiast! Gamelan nie żył, więc potrzebowałam współczującego ucha w kręgach władzy. Nagle, na końcu ulicy ujrzałam znajomą, radosną postać. Był to Malaren, jeden z najbliższych przyjaciół Amalryka i moich. Zastąpił swego ojca na stanowisku Radnego tuż przed moim wymarszem do Likantu.

Przeprosiłam na moment, wyrwałam się z lepkich objęć mej rodziny, pobiegłam i dopędziłam go za rogiem.

- Malaren, zaczekaj! - zawołałam.

Zatrzymał się na mój widok i nikły uśmiešek wykrzywił jedną stronę jego klasycznie pięknej twarzy.

- Ach, moja droga kapitan Antero - powiedział uprzejmie. - Jaka to radość, zobaczyć cię znowu po tylu długich miesiącach - i podał mi dłoń.

Roześmiałam się, odsunęłam ją na bok i pochwyciłam go w niedźwiedzi uścisk. Ledwie zauważyłam, że chyba się zdziwił.

- Po co te komunały, Malaren? - spytałam. - Kiedy się ostatnio widzieliśmy, traktowałeś mnie jak siostrę i spiskowaliśmy, że pozbędziemy się Porcemusa, a ty przyłączysz się do rodziny na jego miejsce. Naturalnie, byliśmy wówczas oboje pijani, ale moim zdaniem, jak na człowieka, który leży na podłodze w tawernie, mówiłeś całkiem rozsądnie.

Zachichotał nerwowo i odwzajemnił się uściskiem, lecz nieco zbyt sztywnym. - Tak... eee... kochana Rali. Dobrze wiesz, że kocham cię ponad wszystko.

- Co u ciebie słyhać, stary podrywacz - spytałam. - Żona już wyrzuciła cię z domu?

Znów ten nerwowy chichot. - Ach, wiesz, jak to z nami jest, Rali.

Kłócimy się od czasu do czasu, to prawda. Ale w końcu sobie wybaczymy, moja miła.

- W życiu nie słyzałam lepszego dowcipu. Za cwany jesteś, chłopaczku, ale w przeciwnym razie ona już dawno złapałaby kuchenny nóż i zrobiła z ciebie koloraturowy sopran.

I jeszcze raz chichot. - Ach, jak obrazowo to powiedziałaś. A potem: - Teraz, kiedy już wróciłaś, musisz wpaść do nas na kolację.

- Rozum też straciłeś? Razem z poczuciem humoru? Doskonale wiesz, że twoja żona mnie nienawidzi. Myśli, że się w tobie sekretnie kocham.

- Ach, no tak - odparł bez przekonania. - To prawda.

Znów objął mnie z nienaturalną sztywnością. - Bardzo cię przepraszam - powiedział - ale naprawdę muszę już lecieć. Mam spotkanie Rady, wiesz przecież.

Zatrzymałam go, zanim zdążył umknąć. - Słuchaj, mam też poważny powód, by się z tobą spotkać, poza tym, że chcę napatrzeć się na twoją śliczną buzię. To jest bardzo ważne.

Trzymałam go mocno za rękaw, a on próbował się wyrwać tak, by nie wyglądało to grubiańsko. - Naprawdę, moja droga, bardzo się śpieszę - powtórzył.

Byłam zmęczona, zniecierpliwiona i zbita z tropu. Ogarnęło mnie szaleństwo i chyba zaczęłabym na niego krzyczeć i powtarzać, że chodzi o losy całej Orissy. W tej chwili jednak dołączyła od nas moja rodzina i nagle poczułam, że zachowuję się głupio, histerycznie, a w dodatku słaba jestem jak stare sznurowadło. Powiedziałam więc tylko: - Bardzo cię proszę, Malarenie!

Błagam cię w imię naszej przyjaźni, znajdź czas, by się ze mną spotkać. To śmiertelnie ważna sprawa, przysięgam.

- Dobrze - westchnął. - Przyślę po ciebie lektykę jutro po południu.

Odszedł pośpiesznie tuż przed nadejściem Porcemusa z resztą rodziny. Po raz kolejny ogarnęła mnie fala nieznannej mi wcześniej rodzinnej czułości.

Obiecana przez Malarena lektyka nie przybyła po mnie następnego dnia, ani w dzień później, ani też trzeciego dnia. Wysłałam do niego kilka liścików i na każdy odpowiadał, podając marne wymówki, jakby postanowił mnie unikać.

Jednocześnie zaś rodzina rozpieszczała mnie jak ukochane dziecko. Wszyscy przenieśli się do willi Amalryka i zapełniali mi czas niekończącymi się przyjemnościami i rozrywkami. Wydawali na mą cześć przyjęcie za przyjęciem.

Wino lało się strumieniami, a stoły trzeszczały pod ciężarem jedzenia. Co dziwniejsze, paradowały przede mną całe zastępy atrakcyjnych młodych kobiet.

W odróżnieniu od Amalryka, pozostali bracia brzydzili się mych upodobań seksualnych, a ich żony zachowywały się wręcz obraźliwie. Ale wszystko to, zdaje się, zostało zapomniane w imię panującego nam teraz ducha miłości.

Byłam zbyt znużona, by dać się skusić, lecz przyjmowałam ich awanse jak najuprzejmiej, zadowolona, że choć przez wiele lat byłam wyrzutkiem, teraz wreszcie rodzina zaakceptowała mnie taką, jaką jestem. Z nikim nie sypiałam, gdyż nie było we mnie pożądania, tym bardziej, że spytałam

kogoś o Tries i odpowiedziano mi, że wyszła za mąż i ma roczne dziecko.

Teraz zdaję sobie sprawę, że w owym czasie pod względem emocjonalnym przypominałam wulkan, o krok od wybuchu. Gdy zagrażała eksplozja, wycofywałam się, przerażona, że nie będę w stanie jej zdławić. W sercu tego wszystkiego był Gamelan i to nie tylko dlatego, że oddał za mnie życie, choć to wystarczający powód. Dał dowód największej odwagi, jaką w życiu widziałam. Przecież był to tylko stary mag, niewidomy i pozbawiony mocy. Jakże głęboko musiał sięgnąć, by znaleźć potrzebne mu siły. Poznałam już odrobinę krainę cienia - świat magii, jeśli tak można go nazwać, lecz to co widziałam, było jak palec zanurzony w fale głębokiego, czarnego morza.

Gamelan zaś musiał dotrzeć do samego dna i niżej jeszcze, by zdobyć potęgę, dzięki której przewyższył Archonta. Noc w noc i w każdej spokojnej chwili za dnia przeżywałam ponownie jego śmierć i ocalenie mnie, niegodnej. Tylko śmierć matki pogrzyżyła mnie w głębszej żałobie, niż jego odejście. Nie rozpaczałam tak nawet za Otarą i - bądźmy szczerzy - za własnym ojcem.

Próbowałam znaleźć ukojenie w pijackim otępieniu, lecz za każdym razem, gdy docierałam na urwisko, gdzie kończy się trzeźwość, coś nakazywało mi odstawić kielich. Bałam się utraty kontroli nad sobą; nie wiem, czemu tak się działo. Czasem wydawało mi się, że ktoś mnie obserwuje... nie rodzina, choć bez przerwy kręcili się koło mnie, zaspokajając wszystkie me potrzeby...

była to czyjaś niewidoczna obecność. Nocą nieraz miałam przedziwne uczucie, że ktoś szuka we mnie słabości. Nie niepokoiłam rodziny opowieściami o Archoncie i o tym, że dalej nam zagraża. Bracia, choć tak kochani, w dalszym ciągu byli nerwowi i panicznie obawiali się magii, pamiętając tragedię Halaba, choć wydarzyła się dawno temu.

Tęskniłam również za Gwardzistkami, nieodstępnyimi towarzyszkami przez całe dwa lata. Wszystkie jednak rozjechał się na urlop i nie sposób było ich odnaleźć. Pewnej nocy samotnie wymknęłam się z domu do naszego ulubionego klubu. Choć było jeszcze wcześniej, w Orissie panowała cisza i tylko gdzieś świeciły się lampy. Jak wiecie, normalnie nasze miasto jest radosne i niewiele innych może się z nim równać, jeśli chodzi o nocne życie.

Tego wieczoru jednak nawet jaszczurki i szczury nie biegały po miejskich śmietnikach. Tylko Pałac Magów tętnił życiem. Starożytny budynek otaczała aureola magicznego światła, z okien na parterze również biła jasność, a powietrze kłuło niby igiełki - jak zwykle, gdy magowie biorą się do pracy. Oto odpowiedź, pomyślałam. Na pewno zapomniałam o jakimś religijnym święcie.

Dlatego w mieście panuje taki spokój.

Jednak niektóre tawerny bywają u nas otwarte nawet w świąteczne dni. Z Alei Piekarskiej poszłam skrótem do pewnej gospody, gdzie napitek zawsze jest ważniejszy niż wszyscy bogowie razem wzięci. Zaułek jednak skręcił jakoś dziwnie i zanim się spostrzegłam, zaprowadził mnie z powrotem na Piekarską.

Rozejrzałam się nieufnie, bo przecież znałam te zakamarki jak własną kieszeń.

Tu przecież był Cech Piekarzy, a naprzeciwko skład, do którego młynarze dostarczali mąkę dla wszystkich piekarni na ulicy. Jeszcze raz poszłam zaułkiem i znów wyszłam na tę samą ulicę. Zirytowałam się, lecz po chwili wzruszyłam ramionami. Amalryk często opowiadał, jak myląca bywa pamięć po długiej nieobecności w domu. No cóż, trudno, pomyślałam. Pójdę naokoło.

Ruszyłam przed siebie, skręciłam w uliczkę Świński Łeb, gdzie pracują i mieszkają bednarze i jeszcze raz skręciłam, obok ulubionego sklepiku Amalryka. Trzy bramy dalej znalazłam tawernę, dokładnie tam, gdzie powinna być. Jęknęłam ponuro, gdyż była zamknięta i cicha, podobnie jak reszta miasta.

Przed drzwiami wisiała tablica, na której stali klienci zawsze zostawiali wiadomości dla nieobecnych przyjaciół. Było tam kilka świeżych kartek; okazało się, że wszystkie zostały przyczepione przez gwardzistki, poszukujące się wzajemnie. Między nimi dojrzałam znajome bazygroły: „Pojechałam zobaczyć się z matką. Wrócę przy pełni księżyca. Kapitan postawi kolejkę wszystkim obecnym Gwardzistkom... Całuję tkliwie i pozdrawiam - Polillo.” Uśmiechnęłam się, wiedząc, że wiadomość jest przeznaczona dla mnie - i mojej sakiewki. Spotkanie miało być już niedługo. Miło będzie zobaczyć się znów. Wróciłam do domu znacznie pogodniejsza.

Niestety, dobry humor nie dotrwał nawet do świtu. Obudziłam się w ponurym nastroju, z poczuciem, że czas ucieka. Wskoczyłam na konia i kopiąc go bezlitośnie, pognałam do domu Malarena. Im bardziej się zbliżałam, tym goręcej pragnęłam się z nim policzyć. Przybyłam niezapowiedziana i zaczęłam walić w drzwi. Wyszedł odźwierny i próbował mi wytłumaczyć, że pana nie ma, ale odepchnęłam go i zaczęłam wołać mego przyjaciela po imieniu, aż mrugając wyszedł z gabinetu. Nie

słuchając niezgrabnych wyjaśnień, zaciągnęłam go z powrotem do pokoju, posadziłam i zmusiłam do wysłuchania całej opowieści. Trwało to kilka godzin. Gdy skończyłam, popatrzył na mnie jak na wariatkę.

- Chcesz, żebym to wszystko powtórzył Radnym? Mam im powiedzieć, że Archont przeżył, mimo oczywistych dowodów? I że mam na to słowo kobiety, która nigdy przedtem nie przejawiała talentów magicznych, a teraz nagle twierdzi, że została wielkim magiem?

Westchnął i z rozpaczą potrząsnął głową. - Nie pozwolę na to, droga przyjaciółko - powiedział. - Twoja reputacja ogromnie by na tym ucierpiała.

- Nie zawracaj sobie głowy moją reputacją - wybuchnęłam. - Przysięgałam umrzeć za Orisę, jeśli będzie trzeba. Teraz, gdy miasto stanęło wobec największego zagrożenia wszechczasów, dlaczego miałabym obawiać się jakiegoś tam upokorzenia? Chcę, by mnie wysłuchali, do diaska! Żądam audiencji przed Radą Miasta i Radą Mistrzów Magii! To moje prawo i obowiązek! Jako dowódca Gwardii Maranon muszę złożyć raport z wyprawy.

To na ich rozkaz wyruszyłam w drogę! Przez ten rozkaz powróciła nas zaledwie dwudziestka.

Poddał się. - Dobrze, spróbuję się zorientować, co można zrobić w tej sprawie - powiedział.

Ależ mnie tym rozdrażnił! - Lepiej przestań próbować, tylko zrób coś!

Chyba nie rozumiesz, co się dzieje. Archont jest o wiele potężniejszy, niż dawniej. Na bogów, gdyby byli tu Amalryk i Gamelan, latalibyście teraz wszyscy jak koty z pęcherzem!

- Tak, tak - powtarzał. - Uspokój się już, moja droga Rali. Zaraz zajmę się tą sprawą.

Znów mijał czas. W końcu nadeszła wiadomość od Malarena. Radni i Magowie zgodzili się na

audiencję, lecz przedtem życzyli sobie otrzymać pisemny raport, który mogliby szczegółowo rozpatrzyć. „Lecz przedtem” to ulubiony zwrot różnych gryzipiórków i drobnych urzędników. Tylko poborcy podatkowi go nie używają. Całymi dniami opracowywałam więc ten dokument, szlifując frazę po frazie, aż wszystko stało się zupełnie jasne.

Wysłałam go w końcu i, ku memu zdumieniu, bardzo szybko wyznaczono datę posłuchania. Miało się odbyć za tydzień, pierwszego dnia pełni. Przez cały czas rodzina ani słowem nie komentowała moich poczynań. Gdy ostrzegłam Porcemusa, że zamierzam trochę namącić, odpowiedział tylko „zrób, jak uważasz, Rali”. Jego podejście do tej sprawy było tak beztroskie, że aż przerażające.

W końcu nadszedł dzień audiencji. Przygotowałam się do niej troskliwie; najpierw wzięłam długą, aromatyczną kąpiel. Przycięłam i opiłowałam paznokcie, kazałam ułożyć sobie włosy na kształt hełmu, naoliwiłam pas tak, że aż lśnił, wypolerowałam każdą kawałek metalu i naostrzyłam miecz. Gdy odziałam się w uniform, aż bił ode mnie blask, poczynając od śnieżnobiałej tuniki, kończąc na wypastowanych butach. Nawet gołe ręce i nogi lśniły brązem, jakiego skóra nabiera tylko od morskiej bryzy i słońca.

Przy wyjściu zawahałam się, bo przyszło mi do głowy, że powinnam odwiedzić grób matki, bo to przyniesie mi szczęście. Gdy tylko przeszłam przez bramę rodzinnego cmentarza, spostrzegłam, że coś jest nie tak. Ogród zwykle był miłą oku plataniną drzew i kwiatów, a teraz stał się obcy i nieskazitelny.

Wszystkie kamienie pobielono, trawę wycięto niemal do samych korzeni, a drzewa rosły w szeregu tak równym, że jeśli stanęło się za jednym, pozostałe były niewidoczne. Rośliny i kwiaty sadił chyba geometra, zbkikowany na punkcie idealnie równych figur. Stanęłam oniemiała, zastanawiając się, czy Amalryk zwariował i zwolnił starego ogrodnika, który pracował w tym domu od zawsze i nagle zauważyłam, że nic tam nie pachnie. Powietrze było świeże, ale gdzie podział się aromat róż, drzewa sandałowego i drzew owocowych? Poza tym, miast chóru różnorodnych ptaków, gdzieś w gałęziach świergotał tylko jeden maluch i bzyczała samotna pszczoła. Niemal pobiegłam łagodnie zakręcającą ścieżką do pomnika nagrobnego. Tu czekała na mnie jeszcze większa, okrutna drwina. Prosty, gładki kamień zniknął, podobnie jak otulający go różany krzew i maleńkie, melodyjnie ciurkające źródło. Na ich miejscu stanął wielki pomnik matki. Tak, podobieństwo uchwycono doskonale, matka była piękną kobietą, więc nie sposób było określić rzeźby jako brzydactwo.

Lecz twarz jej miała tak szlachetny i cierpiętniczy wyraz, że matka z pewnością czułaby się upokorzona takim pomnikiem i pozbyłaby się go natychmiast.

Zawołałam Porcemusa. Nadbiegł niemal natychmiast i zaatakowałam go bez pardonu. - Co wyście zrobili? - wrzasnęłam.

- O co chodzi, Rali? - spytał, zdziwiony.

- Sanktuarium matki zniknęło, a zamiast niego stoi ta wielka, ohydna statua - warknęłam.

Mój brat gapił się na pomnik, jakby pierwszy raz go widział.

- Czy Amalryk wie o tym? - indagowałam dalej.

Porcemus odzyskał równowagę i uśmiechnął się: - Ależ oczywiście, że wie. W końcu to jego dom, prawda?

- Nie wierzę, że zaakceptowałyby coś takiego - powiedziałam. - Na pewno zrobiliście to w czasie jego nieobecności.

- Tak, tak, bardzo dobrze zgadłaś - odparł z dziwną ulgą w głosie. - Chcieliśmy zrobić mu niespodziankę. Nawet mu się podobało. Przykro mi, że tobie nie.

Nie słuchając dalszych wyjaśnień, odwróciłam się na pięcie i wyszłam, wściekła, klnąc cicho pod nosem. Miałam znów tego samego nieszczęsnego wierzchowca, więc spodziewałam się, że odskoczy, gdy wpadłam do stajni, gdzie koniuszy przygotowywał mnie do drogi. Zamiast tego, koń spokojnie przyjął na grzbiet kipiącego ze złości jeźdźca, doprowadzając mnie tym do jeszcze większej furii. Chciałam znów pognać go do galopu, lecz zdałam sobie sprawę, że w ten sposób tylko przelewam swój gniew na biedne zwierzę, więc tylko smagnęłam go wodzami po boku. Ruszył równym kłusem i wkrótce oddaliliśmy się od willi. Uspokoiliłam się. Tego dnia miałam przed sobą o wiele ważniejsze sprawy. Miałam tylko nadzieję, że początek dnia nie jest przepowiednią tego, co ma się zdarzyć dalej.

W godzinę później wprowadzono mnie do głównej komnaty Ratusza Miejskiego. Stałam sztywno na baczność, gdy ojcowie naszego miasta wchodzili do sali jeden po drugim i zajmowali miejsca. Pozostałe siedzenia były puste, gdyż udzielono mi prywatnego posłuchania. Mężczyzn było siedmiu - pełen skład Rady Miejskiej, czyli pięciu radnych, oraz dwóch młodych magów - przedstawiciele Rady Mistrzów Magii. Nie znałam ich, natomiast w Radzie zasiadali sami moi znajomi, a wśród nich Malaren, który powitał mnie przyjaznym uśmiechem, zanim usiadł.

Straciłam wszelką nadzieję, gdy ujrzałam, że na najwyższym krześle po środku, zarezerwowanym dla jednego z Przewodniczących rady, zasiada irytująco znajoma postać. Był to Jinnah! Na bogów, jakimże cudem ten drań zaszedł tak wysoko? Nie mogłam jednak nic na to poradzić. Mogłam tylko zaufać zdrowemu rozsądkowi pozostałej szóstki. Zacięłam zęby i rozpoczęłam starannie przygotowaną mowę.

- Wielce szanowni panowie, stoję oto przed wami w wielkim smutku.

Zadanie, które mi powierzyliście, nie zostało wypełnione, mimo desperackich wysiłków waszej ukochanej Gwardii Marannon. W celu wykonania rozkazu, pożeglowaliśmy na zachód - dalej, niż ktokolwiek odważył się zapuścić w całej historii. Napotkaliśmy tam barbarzyńców i inne wrogie siły i pokonałyśmy wszystkich. W imieniu waszym i Orissy nawiązałyśmy przyjaźń z dzielnym ludem Królestwa Konyi, które oczekuje teraz na emisariuszy handlowych. To bogaty naród i szlachetni ludzie. Będą wartościowymi sojusznikami, gdy ruszymy na zachód. Lecz z rozpaczą oświadczam, że sukcesy te są niczym w obliczu wielkiego niepowodzenia, jakim jest niewykonanie rozkazu.

- Ostatni Archont Likantu umykał przed nami do samego końca.

Powróciło nas tylko dwadzieścia, moi panowie. Dwadzieścia, z całego oddziału, który wyruszył w drogę dwa lata temu. Stoję dziś przed wami tylko dzięki krwi, przelanej przez moje siostry, bym mogła zanieść wam ostrzeżenie.

- Panowie, Orissa stanęła w obliczu największego kryzysu w historii. W chwili, gdy przed wami przemawiam, Archont opracowuje ostateczny plan zniszczenia miasta i upokorzenia jego mieszkańców. Sam lord Gamelan - największy Mistrz Magii, jakiego wychowała Orissa - oddał życie, bym mogła zadać w róg wojenny. Wielce żałuję, że bogowie zdecydowali tak, a nie inaczej i

że to nie on stoi tu dziś przed wami zamiast mnie, gdyż łatwiej by wam uświadomił, jak wielkie niebezpieczeństwo nam zagraża. Proszę, szlachetni panowie, uwierzcie, że pokój jeszcze nie nastał. Wiedźcie, że nasz największy wróg wciąż jest na tropie i wkrótce nas zaatakuję.

Tak się skoncentrowałam na przemowie, że nie zwracałam uwagi na reakcje ojców miasta. Lecz, gdy skończyłam i spojrzałam na ich twarze, zdumiała mnie kompletna obojętność. Zachowywali się tak, jakbym nie odezwała się ani słowem.

Po dłuższej chwili Jinnah odchrząknął i posłał mi ten swój podły uśmieszek. - Doskonały raport, pani kapitan Antero - rzekł. - Należą ci się gratulacje, pani. Ja jako pierwszy wyrażam żalobę po śmierci wszystkich szlachetnych kobiet, które oddały życie za Orissę.

Pozostali zgromadzeni przytaknęli półgębkiem. Czułam, jak krew się we mnie burzy i gniew huczy w skroniach. Jinnah uniósł do góry egzemplarz mego raportu.

- Bardzo uważnie go przeanalizowaliśmy, kapitanie - oświadczył - więc nie ma potrzeby obecnie zajmować się szczegółami. Muszę przyznać, że bardzo nas zaniepokoił, nieprawdaż, panowie?

Rada przytaknęła mrukliwie. Malaren energicznie pokiwał głową.

- Byliśmy tak zaniepokojeni, że podjęliśmy pewne kroki, nie czekając na te audiencję - podjął Jinnah.
- Bądź spokojna, pani, nasi Mistrzowie Magii natychmiast zabrali się do pracy.

Odetchnęłam z ulgą. Dzięki Te-Date, coś się wreszcie dzieje. Lecz ulga nie potrwiała długo.

- Rzucono zaklęcia, które jak mnie zapewniono, są niezwykle skomplikowane. Mam przyjemność poinformować panią kapitan, że nie ma już powodów do poważnych obaw.

- Cooo!?! - ryknęłam. - Co powiadasz, panie?

Jinnah tylko uniósł brwi. - Powiadam, moja dzielna kobieto, że wbrew twoim ponurym słowom, wyprawa zakończyła się całkowitym sukcesem.

Twoje gwardzistki, ani też wielki Lord Gamelan nie zginęli na próżno, zapewniam cię. Archont nie żyje. Dzięki tobie, Orissa jest bezpieczna, jak nigdy przedtem. Nie ma żadnego zagrożenia.

Czy wyobrażasz sobie ten koszmar, w którym utkwiałam, Skrybo? Oto stoję przed obliczem człowieka, którego istnienie jest dowodem, że cynizm jest prawdziwym królem świata. Wysłał Gwardię Marannon w pościg za Archontem kierując się najpodlejszymi, najbardziej egoistycznymi przesłankami, w ogóle nie dbając o dobro Orissy. Te same motywy sprawiły, że uknuł spisek na życie dowódczyni Gwardii, stwarzając tym samym zagrożenie dla całej wyprawy. W sprzedajnych rękach tego człowieka, tego durnia, był teraz los całej Orissy.

- Popełniasz straszliwy błąd, panie - krzyknęłam. - Sam lord Gamelan potwierdzał moje słowa.

Rozbawiony Jinnah uśmiechnął się. Zerknął na młodych Mistrzów Magii, którzy bezczelnie chichotali.

- To ty tak twierdzisz, kapitanie - powiedział. - Sama jednak przyznajesz, że lord Gamelan oślepl i utracił moc. Ponadto - choć nienawidzę źle mówić o umarłych - Gamelan był już starym człowiekiem. Dawno minęły już czasy jego świetności, choć rzeczywiście nikt nie mógł się wtedy z nim równać. Czyż nie tak, panowie? - spytał, spoglądając na magów.

Jeden z nich kiwnął głową i dalej chichotał. Po chwili spróbował przybrać poważny, żałobny wyraz twarzy.

- Obawiam się, że prawdę powiadasz, panie - odparł. - Biedny lord Gamelan nie tylko był stary. W dodatku nie pojmował wielkich magicznych odkryć, których dokonaliśmy, gdy brat naszej dobrej pani kapitan wyprawił się do Zamorskich Królestw, lecz w dalszym ciągu rozpaczliwie czepiał się starych sposobów. Nie zgadzał się z teoriami nieżyjącego lorda Janosza Szarego Płaszczka, którego w dodatku po cichu oczerniał. Choć brzmi to brutalnie, rozsądek nakazuje uznać, że lord Gamelan już

wtedy nie był kompetentnym magiem.

Cóż za nieprawdopodobne bzdury usłyszałam! To prawda, Gamelan obawiał się, że podeszły wiek źle wpływa na jego sprawność umysłową. Nie raz w czasie naszych długich rozmów uświadamiałam sobie, że te obawy mobilizują go tylko do jeszcze głębszych przemyśleń. A jak często wychwalał przede mną teorie Szarego Płaszczka i zastanawiał się, do czego mogą one kiedyś doprowadzić? Powiedziałam im to wszystko, broniłam Gamelana jak lwica, lecz nic nie mogło zetrzeć im z twarzy owych przeklętych uśmiezków.

Wtedy Jinnah pochylił się do przodu. - Dobrze, dobrze, pani kapitan Antero - powiedział. - Lecz w raporcie piszesz, że to ty rzuciłaś zaklęcie, a nie lord Gamelan. Również ty znalazłaś dowody na to, że Archont wciąż nam zagraża. Nieprawdaż?

- Tak jest. Ale to Gamelan mnie uczył i prowadził.

- Ach, więc teraz znowu twierdzisz, że jesteś magiem? - zapytał. - I to tak potężnym, że twoje czarodziejskie próby mają być zaakceptowane przez najtęższe magiczne umysły w Orissie? - tu wskazał obu Mistrzów.

- Mogę powiedzieć tylko to, co wiem - odparłam. - Nie żądam niczego ponad to, byście uwierzyli, że mówię prawdę. Spójrzcie na moją dłoń, wciąż splamioną piętnem Archonta! Proszę was, szlachetni panowie. Musicie mnie wysłuchać. Archonta trzeba powstrzymać!

- Wybacz, kapitanie Antero - oświadczył Jinnah - ale muszę przerwać dzisiejsze posłuchanie. Nikt, a ja w szczególności, nie zechce patrzeć na poniżenie największej bohaterki w Orissie. Wiele przeszłaś, pani. Jestem pewien, że odczuwasz znużenie i zamęt. Powinnaś wiele odpoczywać, kapitanie. Potem, w swoim czasie, gdy zastanowisz się nad tym, co dziś zostało powiedziane i jeśli wciąż będziesz miała wątpliwości, przyjdź się ze mną spotkać. Drzwi mego domu zawsze stoją dla ciebie otworem, kapitanie, gdyż wielce szanuję twoje osiągnięcia.

Oniemiałam, nie wierząc własnym oczom i uszom, a siedmiu mężczyzn powstało z miejsc jak jeden mąż i wyszło z komnaty. Wartownik zamknął za nim drzwi i stanął na straży.

Wybiegłam z ratusza. Na ulicach było niewiele osób, gdy pędziłam ulicami w poszukiwaniu cichego zakątka, gdzie mogłabym usiąść i pomyśleć.

Wszyscy Orissańczycy odnajdują spokój nad rzeką. Jest naszą pocieszycielką, gdy czujemy się opuszczeni, więc nic dziwnego, że nogi same zniosły mnie na jej brzeg. Na falach nie kołysał się ani jeden statek i tylko samotny rybak zarzucał sieć hen, w dali. Nie miałam pojęcia, co zrobiłam źle. Nie wiedziałam też, co mam począć dalej. Siedziałam zamyślona ponuro, aż zrobiło się chłodno. Spojrzałam w niebo i ujrzałam, że nadchodzi już noc. Tamten odległy rybak znów wstał i zarzucił sieć, a ja poczułam potężne pragnienie, by powrócić do willi Amalryka. Rodzina mnie z pewnością pocieszy. Wstałam i ruszyłam po konia do miejskiej stajni. Okazało się, że wszystkie sklepy na ulicy są już pozamykane, mimo wczesnej pory, nawet dwie tawerny. Zapłaciłam właścicielowi i zabrałam konia. Gdy na niego wsiadałam na dziedzińcu, młody stajenny zamknął drzwi na wielką zasuwę.

Wszystko to było bardzo dziwne. Tawerny przy głównych ulicach zwykle pozostają otwarte przez całą noc, a stajnie nigdy się nie zamykają.

Przyszło mi na myśl, że ten rybak na rzece był równie niepokojący. Przecież o tej porze nigdy nie zarzuca się sieci. Po raz kolejny opanowały mnie marzenia o spokojnej willi Amalryka, uderzyłam konia piętami i ruszyłam do domu. Gdy mijałam granicę miasta, przypomniałam sobie nagle wiadomość, którą zostawiła Polillo. Pisała, że będzie czekać w tawernie koło sklepu gdy nadejdzie pełnia, czyli właśnie tej nocy. Zawróciłam do miasta i natychmiast zapomniałam o willi.

Gdy dotarłam do sklepiku, w Orissie panowały całkowite ciemności. Poza jasnym księżycowym blaskiem, jedyne światło w mieście otaczało dziwną poświatą magów, pracujących w pałacu na szczycie wzgórza. Skręciłam w zaułek. Okazało się, że tawerna jest znowu zamknięta. Już miałam zsiąść z konia, by sprawdzić, czy na tablicy nie wisi kolejna wiadomość od Polillo, gdy usłyszałam krzyk: - Uważaj, Ismet!

Ledwie miałam czas zorientować się, że to Polillo woła, gdy usłyszałam odrażający ryk. Wyciągnęłam miecz z pochwy i popędziłam konia na koniec ulicy, skąd dochodził hałas.

Zobaczyłam, że Polillo i Ismet walczą o życie. Potworny demon zapędził je w ślepą uliczkę. Wyglądał jak przykucnięta ropucha o potężnych, porośniętych futrem łapach i długich, grubych,

bezwłosych ramionach. Demon, w samym sercu Orissy! Niech lichy porwie wszystkie wróżby magów i Jinnaha!

Końskie kopyta zaklaskały po bruku, demon obejrzał się i mnie spostrzegł. Miał twarz tłustego mężczyzny, wydatne szczęki i wargi. Warknął, obnażając długi szereg szpiczastych zębów. Koń spłoszył się, słysząc upiorne wycie, a ja ciężko upadłam na ziemię, ledwo zdążywszy wyrwać stopy ze strzemion.

Wstałam niezgrabnie, nie wypuszczając miecza z dłoni. Demon odwrócił się do moich towarzyszek. Zanim zdążyłam skoczyć do przodu, wymierzył potężnego kopniaka mocną łapą, zmuszając je do odskoczenia. Ogromna kończyzna uderzyła w ścianę, rozkruszając kamienie na proszek. Potem, gdy obie kobiety szykowały się do kontrataku, ostre pazury zabłyśły tuż obok Ismet.

Potoczyła się po ziemi... lecz potwór spodziewał się uniku. Gdy wstała, śmignęła druga łapa i rozcięła jej brzuch.

Zaatakowałam jak błyskawica, wiedząc, że rana jest śmiertelna, zanim jeszcze usłyszałam gniewny, rozpaczliwy jęk Polillo. Wydałam z siebie wojenny okrzyk i skoczyłam. Zanim zdążyłam zadać cios mieczem, bestia skoczyła wysoko w powietrze i niemal zderzyła się ze ścianą. Skoczyłam na nią, wywinęłam salto i stanęłam na nogach, lecz opuściłam gardę, a demon rzucił się na mnie, przebierając w powietrzu ostrymi jak brzytwa pazurami.

Nagle, nikąd pojawiła się Ismet. Krew tryskała jej z ust, jedną ręką przytrzymywała sobie wnętrzności, lecz mimo wszystko z wielką siłą cięła długim mieczem raz i drugi łapę potwora, zanim mnie dopadł.

Bestia wrzasnęła i znikła.

- W górze! - zawołała Polillo.

Demon stał na dachu tawerny, a z łapy lała mu się krew. Stanęłyśmy w gotowości, myśląc, że znów

się na nas rzuci. Popatrzył na mnie, a w oczach zamigotał mu lęk. Zawył jeszcze raz i zniknął, zanim zdążyliśmy mrugnąć okiem.

Podbiegłyśmy tam, gdzie leżało bezwładne ciało Ismet. Jeszcze żyła, ostatkiem sił. Uśmiechnęła się lekko na mój widok.

- Wiedziałaś, że przyjdiesz - powiedziała i umarła.

Długo klęczałyśmy nad jej ciałem. Ta dziwna wojowniczką, uosabiająca ducha naszej Gwardii lepiej niż sztandary i posągi bogini, odeszła.

Wiedziałaś, że nigdy w życiu nie spotkam drugiej takiej, jak ona. Była moją prawą ręką i przyjaciółką, jeśli w duszy Ismet istniał zakątek dla przyjaźni.

Przypomniałam sobie, jak dawno temu stała się moją partnerką... było to w Likancie. Złamała mój rozkaz, gdy popędziłam po schodach w górę, żeby zabić Archonta. Jesteśmy zespołem i umrzemy jako zespół, powiedziała wtedy.

Zamiast tego, oddała swoje życie za mnie.

Zawiodłam ją, choć nic nie mogłam zrobić. Może powinnam się uprzeć, żeby spędziła urlop wraz ze mną... Może to... może tamto.... nie było jednak czasu, by się nad tym zastanawiać.

- Chodźmy stąd - powiedziała Polillo. - On może tu wrócić.

Wątpiłam w to, lecz nie sprzeciwiałam się jej. Koń uciekł już dawno temu, więc piechotą wyszłyśmy z zaułka i ruszyłyśmy w stronę rzeki. Polillo zaprowadziła mnie do kryjówki w pobliżu portu. Szepnęła magiczne słowo, które zapalało świetliki. Rozejrzałam się ze zdziwieniem widząc, że kryjówka wyraźnie była używana już od pewnego czasu. Wśród rozlicznych udogodnień, wyposażono

ją w niewielki materac i dzban, który jej mieszkanka odkorkowała.

Pociągnęła spory łyk i oddała mi naczynie. Zakrzusiłam się, czując w ustach czystą brandy, lecz gdy odkaslnęłam, ten smak nawet mi się spodobał.

- Widzę, że mieszkasz tu od pewnego czasu - powiedziałam. - Lepiej mi powiedz, co tu się dzieje.

- Nie udało mi się dotrzeć do matki - odpowiedziała olbrzymka. - Może pamiętasz, że brat przyjechał po mnie wkrótce po paradzie.

Kiwnęłam głową, przypomniawszy sobie jakiegoś wysokiego, chudego chłopaka, który otoczył Polillo ramieniem, a potem zarumienił się uroczo, gdy przedstawiła nas sobie w powitalnym zamieszaniu.

- Zgubiliśmy się w tłumie, a przynajmniej tak mi się z początku wydawało - opowiadała dalej. - Szukałam go prawie godzinę, a potem doszłam do wniosku, że pewnie czeka na mnie na rozdrożu za miastem. Poszłam do wschodniej bramy, ale żołnierze nie chcieli mnie wypuścić. Pokłóciłam się z tymi tępotłowymi łajdakami, ale nic to nie pomogło. To samo było przy pozostałych bramach.

- Ale ja kilka razy przejeżdżałam przez zachodnią bramę, już po powrocie - zdziwiłam się - i nie było tam żadnych żołnierzy, którzy mogliby zatrzymywać ludzi.

Aż stęknęła ze zdziwienia. - Pewnie to prawda - odparła - ale to samo przydarzyło się reszcie gwardzistek, z którymi udało mi się spotkać. Żadnej z nich nie zezwolono na wyjście z miasta.

- Gdzie się zatrzymałaś? - spytałam.

- Najpierw przez parę nocy mieszkalam w koszarach, razem z Ismet - odparła.

Zaczerwieniłam się, słysząc te słowa. Znow pożałowałam, że niezbyt przekonująco zapraszałam sierżant w gościnę do siebie.

Polillo wyczuła, o czym myślę. - Nie tylko Ismet poległa - powiedziała. - Z tego co wiem, demony zabiły jeszcze trzy z nas.

Poczułam, że coś ściska mnie w dołku. Cóż za serdeczne powitanie...

- W ciągu dnia nie było tak źle - opowiadała dalej. - W tawernie można było dostać coś do picia, a na straganie kupić sobie jedzenie. Ale w nocy wszystko zamiera i wtedy właśnie przychodzą demony. Na początku nie rozumiałyśmy, co się dzieje. Przypadkowo się w tym zorientowałam, gdy zobaczyłam wszystkie te kartki na drzwiach tawerny.

- Czytałam twoją - odparłam.

- Miałam nadzieję, że tak się stanie. Zawracali mnie przy bramie za każdym razem, gdy wybierałam się do ciebie za miasto. Doszłam jednak do wniosku, że w końcu ty tu kiedyś przyjedziesz i uda ci się dotrzeć tam, gdzie ja nie mogłam. Modliłam się jak wariatka, żebyś poszukała nas na starych śmieciach i zobaczyła tę wiadomość - uśmiechnęła się z trudem. - Dobrze wiem, że w życiu nie odmówiłaś postawienia kolejki, więc uznałam, że nie przepuścisz i tej okazji.

- Gdzie jest reszta? - spytałam.

Wzruszyła ramionami. - Kryją się tu i tam. Trochę potrwa, zanim je skrzyknę, ale to jest do zrobienia.

Opowiadała dalej, że kilka nocy przedtem demon zaatakował ją razem z Ismet w koszarach. Uciekły i dowiedziały się, że reszta też jest ścigana.

Postanowiły trzymać się razem i nawiązać kontakt z jak największą liczbą Gwardzistek. Od tej pory cudem unikały śmierci i czekały, aż się wreszcie pojawię.

- Zdaje mi się, że ten cholerny demon też na to czekał - stwierdziła. - Krył się w cieniu, kiedy tam przyszlśmy. Zagnał nas w zaułek.

- To jest kolejna dziwna rzecz - powiedziałam. - Od kiedy ten zaułek jest ślepą uliczką? Przecież kiedyś prowadził na Piekarską Aleję?

- Jasne, że tak. Przez jakiś czas doprowadzało mnie to do obłądu. Ale to jeszcze nic. Od naszego powrotu dużo chodziłam po mieście. Poznikały całe budynki. Niektóre ulice trafiają na mur i po prostu się kończą. Nocą próbowałam nawet zaglądać do okien i przysięgam, czasem zdawało mi się, że wieczorami cała Orissa ucieka z miasta, żeby nam zrobić na złość. Nic nie słyhać: małżonkowie się nie kłócą, dzieciaki nie marudzą, że za wcześnie jeszcze na spanie, nawet stare dziadki nie chrapią wniebogłosy, kiedy robi się naprawdę późno.

Znów przechyliła dzban do ust. - A teraz zadam ci to samo pytanie, które ty mi przed chwilą zadałaś, dowódcu. Co tu się dzieje, w imię boga, którego najlepiej lubisz przeklinać?

- Licho wie, ale zdaniem naszych przemądrych przywódców, zdecydowanie nie jest to Archont.

Polillo oniemiała. Gdy szczegółowo opowiedziałam jej o posłuchaniu u Radnych i Mistrzów Magii, szczęka opadła jej tak, że niemal nurzała się w błocie.

- Nie trzeba być Mistrzem Janoszem, żeby dodać dwa do dwóch i uzyskać jasny wynik - stwierdziłam. Kto, jak nie Archont, zsyła na nas te wszystkie demony? Kto, jak nie Archont pragnie śmierci wszystkich uczestników wyprawy? Nie wiem nic o innych dziwactwach, ale niezależnie od wszystkiego, musi za tym stać Archont.

- Dlaczego więc nasi Magowie go nie wywęszyli? - spytała Polillo.

- Nie wiem. Ale jedyny budynek, w którym nocą palą się światła i tętni życie, to Pałac Mistrzów Magii. Zapraszam cię więc na krótką przechadzkę przy księżycu, piękna Polillo. A jeśli przypadkiem znajdziemy się w pobliżu Pałacu, kto wie, co się może zdarzyć?

Uśmiechnęła się złośliwie. - Poczekaj minutkę, kapitanie. Wezmę topór.

Wyciągnęła go spod materaca. Śmiercionośna broń zaśniła w blasku świetlików. Spojrzała na nią ze smutkiem.

- Myślałam, że się na trochę rozstaniemy - powiedziała. - Ładnie tu witają wracającego z wojny żołnierza! Chwała bohaterom! Phi!

Rozdział dwudziesty piąty

ŻELAZNY ZAMEK

Nie jestem pewna, co chciałam osiągnąć, udając się tamtej nocy do Pałacu Mistrzów Magii. Gdy tam doszliśmy, nerwy miałam napięte, jak struny liry.

Budynek przytłaczał nas ogromem, a z okien bił blask, lecz poza tym nie było śladu życia, oprócz niskiej wibracji w ziemi, jakby gdzieś pracowała potężna maszyna.

Wzgórze było słabo osłonięte. Gdy przebiegałyśmy od krzaku do krzaku, zaczęłam żałować, że przyszłyśmy. Rzuciłam zaklęcie, zmieniające posmak naszej aury, na wypadek, gdyby kręciły się tu polujące demony, ale nieznośnego blasku księżyca w pełni nie potrafiłam zaćmić. Nie odczułam ulgi nawet, gdy w końcu dotarłyśmy w głęboki cień Pałacu. W powietrzu unosił się siarkowy odór magii, włoski na całym ciele stanęły mi dęba, a skórę kłuły miliony rozpalonych igieł. Wcale się nie ucieszyłam, że główna brama, choć zamknięta, pozostaje niestrzeżona.

Jeszcze bardziej się zdenerwowałam, gdy przykucnęłyśmy za gęstymi krzewami rozmarynu; zaczęłam poszukiwać zmysłami magicznej sieci i nic nie znalazłam. Nasi Mistrzowie Magii zawsze byli skryci i nadzwyczaj ostrożni.

Gdybym natrafiła na magiczną powłokę ochronną, chyba byśmy zawróciły. Jej brak jeszcze wzmógł me podejrzenia. Mimo to, wahałam się.

Polillo przysunęła się bliżej i szepnęła: - A co będzie, jak nas złapią?

Jeszcze niedawno - zanim Amalryk ich poskromił - Mistrzowie Magii skazaliby nas na niewyobrażalnie okrutną śmierć. Kiedyś rzucili fałszywe oskarżenie o herezję na mego brata, Halaba i zamordowali go, więc ród Antero miał ważne powody, by się ich strzec. Ale nowa, panująca nam generacja Mistrzów Magii musi przestrzegać tych samych praw, co reszta Orissańczyków.

Co mogli zrobić bohaterce spod Likantu, zabójczynie Archonta? Nic, oprócz publicznego pohańbienia. Tak w każdym razie chciałam myśleć.

Odpowiedziałam więc przyjaciółce wzruszeniem ramion: kto to wie? A mimo to, uczciwość praworządnej mieszkanki Orissy o mało co nie przeważała. Tak naprawdę, powinnam jeszcze raz stanąć jutro przed Radą Miasta i wszystkimi Magami. Powinnam przedstawić im dowody, że rzeczy mają się inaczej, niż im się wydaje. Niechaj świadczy o tym krew Ismet i pozostałych pomordowanych gwardzistek. Niektóre z nas nawet widziały demony, które zadały im śmierć.

Tak, pomyślałam, głupio zrobiłam, wyprawiając się tu na podchody.

W tym momencie zobaczyłam panterę. Czaiła się przy głównej bramie, zaglądając do środka przez kraty. Odwróciła łeb i spojrzała na mnie, a oczy jej zalśniły w promieniu księżycowego światła, które przedarło się przez cienie.

Coś pchnęło mnie do niej, a ona odwróciła głowę, wstała, przeszła przez kraty i zniknęła po drugiej stronie. Z zachowania Polillo wywnioskowałam, że nic nie widziała. Wezwałam ją gestem i przebiegłyśmy przez trawnik do bramy.

Uklękłyśmy z boku, sprawdzając, gdzie jest strażnik, ale i tym razem w pobliżu nikogo nie było. Nagle ujrzałam, że do kraty coś się przyczepiło. Przyjrzałam się temu i okazało się, że to kosmyk czarnego futra. Biła od niego woń wielkiego kota. Odczepiłam go i już miałam wyrzucić, lecz za podszeptem instynktu wsunęłam go sobie do kieszeni. Następnie dałam znak Polillo.

Nadszedł czas.

Zrobiła siodełko z dłoni i podniosła mnie do wierzchołka bramy. Gdy odzyskałam równowagę, olbrzymka skoczyła, schwyciła najwyższą sztabę i jednym podrzutem znalazła się na terenie Pałacu. Podziw dla jej ogromnej siły dodał mi wiary w siebie: skoczyłam, a ona pochwyciła mnie w locie i łagodnie postawiła na ziemi. Uśmiechnęłam się: było tak, jak za dawnych lat! Stłumiła śmiech, mocno klepnęła mnie w plecy i razem pomknęłyśmy ścieżką w stronę Pałacu.

Z boku znów ujrzałam panterę. Czekwała przy portalu drzwiczek ukrytych za grubym, podobnym do kolumny pniem topoli. Gdy zwróciłam się w jej stronę, zniknęła wewnątrz. Polillo była równie zaskoczona jak ja, gdy doszłyśmy do portalu okazało się, że poza nim nie było nic, tylko pusta framuga.

Wyglądało to tak, jakby jakiś cieśla zaczął tu pracę a potem odwołano go do innych, pilniejszych prac i zapomniał założyć drzwi. Długo czekałyśmy przed portalem, upewniając się, że nikt nie zaatakuje nas wewnątrz. Zmysły nie ostrzegały mnie przed żadną magiczną barierą. Polillo odczepiła topór a ja dobyłam miecza. Kiwnęłam głową i weszłyśmy do środka. Wtedy do głowy przyszła mi szalona myśl: jeśli nas złapią, zawsze możemy udawać, że jesteśmy pijane. Wszyscy zawsze wierzą wojownicze, jeśli powiada, że zrobiła to czy tamto pod wpływem alkoholu.

Znalazłyśmy się w długim, ciemnym korytarzu. Ściany miał gładkie i bez połysku, jak z czarnego metalu. Ostrożnie szłyśmy nim przed siebie, nie widząc nigdzie drzwi ani prześwitów i odczuwałyśmy coraz większe napięcie, świadome, że to jedyna droga odwrotu.

W końcu korytarz zmienił się w olbrzymią komnatę, oświetloną jedynie zimnym światłem księżyca, wlewającym się przez wysokie okna. Częścią umysłu starałam się wyczuć ewentualne zagrożenia, a jednocześnie zastanawiałam się, dlaczego w tym pomieszczeniu jest tak ciemno, choć z zewnątrz widziałyśmy, że cały pałac jest jasno oświetlony. Poczulałam jeszcze większy zawrót głowy, gdy uświadomiłam sobie, że pomieszczenie jest zupełnie puste - nie ma tu ani jednej ławy, żadnych ozdób, ani nawet kominka, by odegnać zimowe chłody. Oprócz wejścia, którym przyszłyśmy, widać było tylko korytarz po przeciwnej stronie komnaty, podobny do ślepego oka.

Sunęłyśmy ku niemu, przytulone do ciemnych, metalicznych ścian. Gdy mijałyśmy jedno z okien, dłoń Polillo nagle mocniej zacisnęła się na moim ramieniu. Zatrzymałam się, gotowa do ataku lub błyskawicznej ucieczki, w zależności od sytuacji. Wskazała palcem za szybę. Oczy jej rozszerzyły się ze zdumienia, a może nawet strachu. Zorientowałam się, że chce, bym wyjrzała na zewnątrz. Nie mogłam - okno było za wysoko, sięgało jej do podbródka. Znow zrobiła z dłoni siodełko. Gdy na nie stanęłam, podniosła mnie w górę.

Z początku nie wiedziałam, na co patrzę. Przeraziłam się dopiero, uświadomiwszy sobie, czego nie widzę. Za oknem powinien roztaczać się widok na Orissę, spokojnie śpiącą pod czujnym okiem położonego wysoko Pałacu Mistrzów Magii. Zamiast tego, ujrzałam przerażający widok: przestronny dziedziniec i wysokie, czarne żelazne bramy. Wychyliłam się z okna. Poniżej były wysokie czarne ściany, zakończone znanymi mi z koszmarnych snów wieżyczkami. Mało się nie udławiłam, uświadomiwszy sobie, gdzie jesteśmy. Pałac Mistrzów Magii posłużył jedynie jako fasada. Nie byłyśmy wcale w Orissie, lecz na górze z mych snów - wewnątrz czarnego zamku Archonta.

Zeskoczyłam na podłogę i oparłam się o ścianę. Polillo wpatrywała się we mnie, nie rozumiejąc, co się dzieje. Nie umiałam znaleźć odpowiedzi.

Nawet, gdybym potrafiła jej wszystko wyjaśnić, zdumienie odebrało mi mowę.

W tym momencie usłyszałam stuk szponów, podniosłam się i ujrzałam atakującego nas demona.

Skoczyłyśmy w przeciwne strony. Zawył, niezadowolony, że wymknął mu się łatwy kąsek. Odwrócił w moją stronę masywne żabie cielsko tak lekko, jakby nic nie ważył. Polillo zaatakowała go od tyłu, lecz tylko grzebnał potężną, kosmatą, tylną łapą i trafił ją w pierś. Siła uderzenia odrzuciła ją na drugi koniec komnaty. Osunęła się na ziemię pod ścianą. Jej atak dał mi sekundę przewagi.

Uniknęłam ciosu pazurzastej łapy i cięłam go głęboko w brzuch. Wrzasnął z bólu, odskoczył, zanim zdążyłam powtórzyć uderzenie i natychmiast zaatakował mnie pazurami. Jeden z nich zahaczył o mój miecz z taką siłą, że wyrwał mi rękojeść z garści. Rzucił się na mnie, gdy skoczyłam za mieczem, lecz poruszał się powoli, a krew buchała z głębokiej rany. Mimo to, ledwie zdążyłam schwycić miecz, znów znalazłam się w jego zasięgu. Balansowałam na jednej nodze, bez szans, by mu się wywinąć. Mimo to spróbowałam niezgrabnie odtoczyć się na bok, pewna, że mi się nie uda. Zanim mnie ciął, usłyszałam soczyste uderzenie i potwór bez jęku padł na posadzkę. Nad nim stała Polillo. Topór wbił się głęboko w czaszkę bestii. Postawiła stopę na jego cielsku, zaparła się i wyciągnęła broń, po czym wytarła ostrze w futro.

Dotknęła klatki piersiowej w miejscu, gdzie otrzymała kopniaka i skrzywiła się: - Zadzuszę następną babę, która mi pozazdrości wielkich cyków - powiedziała. - Ciągłe mi tylko przeszkadzają.

Wybuchnęłam szaleńczym śmiechem nie dbając, że odbija się echem w stalowej komnacie. Zarechotała w odpowiedzi i porwała mnie w objęcia. Po chwili odsunęliśmy się od siebie.

- Uwielbiam cię, Polillo - chichotałam.

- Założę się, że mówisz to każdej, co potrafi załatwić demona, co? - odpowiedziała radośnie.

Śmiech ucichł. - On wie, że tutaj jesteśmy - powiedziałam.

- I dobrze - odparła, waząc w ręku topór. - Znajdźmy wreszcie tego łajdaka, to go zabijemy.

Śmiało ruszyliśmy do drugiego wejścia, a echo niosło odgłos naszych obcasów bijących o stalową posadzkę. Kolejny korytarz był równie długi i ciemny jak poprzednio, lecz szeptem zbudziłyśmy świetliki do życia i uniosłyśmy je wysoko w dłoniach, by oświetlić sobie drogę. Korytarz prowadził szerokimi zakosami w dół; im głębiej schodziliśmy, tym donośniejsza była ta dziwna mechaniczna wibracja. Kilka razy wydawało mi się, że kątem oka spostrzegłam cień wielkiego kota, niknącego za zakrętem.

Potem zaczął parzyć mnie miecz, więc spojrzałam na dłoń: piętno dwugłowego lwa napuchło i zaczęło krwawić. Byliśmy już blisko. Za następnym zakrętem zrobiło się jasno. Gestem nakazałam mej towarzysze, by się zatrzymała.

Wiedziałam, że zaraz nie będzie czasu na zastanawianie się. Szanse miałyśmy śmiesznie małe - miecz, topór i mięśnie przeciwko magii Archonta. Nie było też przy mnie Gamelana z jego nieskończonymi zasobami magicznych sztuczek, wspomaganych baterią proszków i flakonów. Przy sobie również nie miałam niczego takiego. Przypomniałam sobie jednak, że zdaniem Gamelana, Janosz Szary Płaszcz gardził wszelkimi magicznymi środkami; uważał, że jedynie pomagają skoncentrować myśli i energię. Ach, dobrze ci tak, Janoszu, pomyślałam. Dobrze ci tak, ty skrytobójczy, fałszywy synu francowatej dziwki.

Przeklęłam go, przeklęłam naszego podłego pecha, siebie i swoje magiczne umiejętności na poziomie freblówki i w tym momencie w moim umyśle pojawiło się wyobrażenie pantery. Przypomniałam sobie o kłaczku futra w kieszeni.

Polillo pewnie myślała, że zwariowałam, a ja niemal wyrwałam go z kieszeni i uklęknęłam na posadzce, mrużąc coś pod nosem. Myśli wirowały mi w głowie jak śmieci na ulicy podczas wichury. Nagle uchwyciłam coś - modliłam, się, by to były właściwe słowa - i przycisnęłam futro do napiętnowanej dłoni.

- Cicha córa ciemności Gibka nocna łowczyni Pójdź ze mną na łowy Gdzie potwór dwugłowy Czai się w jaskini Chwyć czarnego maga Niech się nie wywinie.

Dłoń zapiekła mnie tak mocno, że omal nie krzyknęłam. Otworzyłam ją i ujrzałam, że zniknęły i futro i piętno. Dłoń w dalszym ciągu paliła, więc polizałam ją powoli, by zagłuszyć ból. Zniknął w jednej chwili. Wstałam, mając umysł tak jasny, jak nigdy. Czułam się, jakbym napiła się z czarodziejskiego źródła przenikliwości. Ponownie ruszyłam ku światłu, silna i pewna siebie.

Nie uszłam nawet pół tuzina kroków, gdy magia uderzyła we mnie jak fala na wzburzonym morzu. Trzymałam się jednak twardo i dałam odpór ze wszystkich sił. Fala cofnęła się, lecz wiedziałam, że powróci. Wybudowałam w myśli falochron, o który się rozbiła, gdy zaatakowała ponownie. Zaśmiałam się szaleńczo i odwróciłam, by judzić Polillo, aby ruszyła za mną, byśmy wspólnie

rozniosły Archonta na strzępy.

Lecz moja towarzyszka stała w miejscu, z maską bólu na twarzy.

Zachrypiała: - Rali, ja... - i przerwała, gdyż ogarnęła ją kolejna fala bólu.

Gdy ruszyłam na pomoc, nagle zeszywniała i wyprostowała się na całą wysokość.

Już nie ból, ale nienawiść ściągnęła rysy jej twarzy. Otworzyła usta i przemówiła głosem Archonta: - Teraz wreszcie zginiesz, Antero!

Zamierzyła się na mnie toporem, wkładając w to całą swą niewiarygodną siłę. Odskoczyłam. Ostrze świsnęło obok i zadzwoniło o metalową ścianę.

Uderzyła z taką mocą, że wrywając topór do następnego uderzenia, wybiła w stali wielką, nieregularną dziurę.

- Polillo, przestań! - krzyknęłam, choć wiedziałam, że to nie olbrzymka ze mną walczy.

Wywinęłam salto do tyłu, znów umykając przed opadającym z potworną siłą toporem, który tym razem roztrzaskał podłogę. Wstając, dostrzegłam, że odsłoniła się, ponownie unosząc do góry swą potężną broń. Nawet w rękach Polillo topór jest mniej zwrotny niż miecz, a ja byłam od niej szybsza, o wiele szybsza. Z łatwością dostałabym się poza gardę i skończyła z nią. Lata szkolenia i doświadczeń nakazywały mi zadać ten cios, lecz nie mogłam, nie potrafiłam zabić siostry-wojowniczkę. Wolałabym sama umrzeć. Omal tak się nie stało, gdy uderzyła po raz kolejny. Przemknęłam się pod toporem i uciekłam. Biegła za mną korytarzem i przeklinała huczącym głosem Archonta, wywijając bronią, gdy tylko znajdowałam się w jej zasięgu. Topór wygrywał muzykę śmierci, która powracała brzękliwym echem w metalowym korytarzu.

Znowu się odsłoniła i tym razem skoczyłam naprzód, przerzucając miecz do drugiej ręki. Zadałam jej potężne uderzenie pięścią, z całych sił. Lecz jej żebra były jak wzmocniona stal i o mało nie złamałam sobie nadgarstka.

Zaśmiała się dudniącym śmiechem, jak Archont. Bez wysiłku podniosła mnie za kark, jakbym nic nie ważyła. Znowu wymierzyłam cios, lecz nie przyjaciółce, tylko temu śmiechowi, tylko Archontowi. Poczułam, że pod pięścią trzasnęła kość i piękna twarz mojej Polillo stała się krwawą masą. Plunęła krwią i wybitymi zębami i potrząsnęła mną jak wieprz, kiedy zabija węża. Byłam bezradna w obliczu takiej straceńczej furii. Wtedy rzuciła mnie w powietrze...

leciałam, rozpaczliwie starając się wygiąć tak, bym wylądowała na nogach.

Niestety, wszedł mi w drogę miecz, który desperacko zaciskałam w dłoni i ciężko upadłam na kolana.

Strach postawił mnie na nogi. Wylądowałam twarzą do światła u wylotu korytarza. Usłyszałam, że idzie za mną, więc popędziłam przed siebie, najszybciej jak mogłam. Jej jednak wściekłość dodała skrzydeł i prawie się ze mną zrównała. Wiedziałam, że w każdej chwili topór może rozłupać mi plecy.

W tym momencie wybiegłam z korytarza i światło niemal mnie oślepiło. Drogę zagroziła mi poręcz. Padłam na ziemię i usłyszałam zdziwione mruknięcie Polillo. Skoczyła, uderzyła o barierkę i przeleciała na drugą stronę.

Podniosłam głowę i usłyszałam, jak krzyczy, swoim własnym głosem, nie Archonta; krzyczała ze strachu: - Rali!

Krzyk urwał się po chwili i słyhać było już tylko mruczenie ogromnej maszyny, tuż za poręczą. Z jękiem podniosłam się, pokuśtykałam do niej i wyrzłam w dół. Strzaskane ciało Polillo leżało na ogromnym zębatym kole, będącym częścią potwornego mechanizmu.

Poniżej wisiała Orissa!

Panowała tam noc... nad śpiącym miastem wisiał księżyc w pełni.

Dostrzegłam Ratusz i przestronny plac ozdobiony rzeźbami naszych bohaterów, dalej Wielki Amfiteatr, z wieloma rzędami kamiennych siedzeń opadającymi do samej sceny. Dalej, za portem, wielka rzeka cicho wpływała do morza.

Zauważyłam, że cała scena obraca się powoli i aż odskoczyłam do tyłu, gdyż uświadomiłam sobie, że oglądam ogromną makietę naszego miasta. Miniatura Orissy unosiła się nad dziwaczną machiną, podobną do metalowych żaren, leżących na płask, napędzanego przez system zębatach kół.

Dłuższą chwilę gapiłam się na tę przedziwną konstrukcję, gdy nagle uświadomiłam sobie, że właśnie oglądam machinę zagłady, której się od tak dawna obawialiśmy. Archont w końcu stał się tak potężny, że mógł ją zbudować, a gdy Gamelan pokonał go w ostatniej bitwie, czarny mag przeniósł mnie do wnętrza swego modelu. Wszystko, poczynając od orissańskiego statku, który zabrał nas do kraju po bitwie, a kończąc na tej nienaturalnej wojskowej paradzie powitalnej, było niczym innym, jak tylko skomplikowanym zaklęciem.

Dostrzegłam spore niedociągnięcia, jakie mój wróg popełnił przy budowie makiety. Niektórych budynków brakowało, ulice kończyły się ślepo tam, gdzie nie powinny, a poza murami miejskimi była pustka. No, nie wszędzie.

Mogłam dostrzec drogę do willi Amalryka, otoczoną zaroślami i drzewami. Po chwili zrozumiałam, że Archont nie znał Orissy i przez to popełnił liczne inne błędy, nie tylko przy odtwarzaniu miasta. Jinnah został Przewodniczącym Rady, gdyż był znanym mu wrogiem - dowódcą, który walczył z nim pod Likantem, choć marnie mu to szło. Archont nie wiedział także, że Malaren jest moim przyjacielem i dlatego automat odgrywający jego rolę zachowywał się tak dziwacznie. I wreszcie, największe dziwo - miłość, jaką okazywała mi rodzina.

Likantyczyk nie znał prawdziwych uczuć, jakie żywili do mnie Porcemus i reszta rodziny. Przecież z żyjących członków rodu Antero tylko Amalryk mnie kocha, a ja jego. Policzki mi poczerwieniały ze wstydu, na myśl o tym, że moja słabość pozwoliła tym istotom mnie tak haniebnie oszukać. Tak

bardzo pragnęłam akceptacji ze strony rodziny, że nawet nie przeszło mi przez myśl, iż ostentacyjne okazywanie uczuć nie może być niczym innym, jak tylko oszustwem.

Nagle, koła zębate zaskrzypiały w proteście, gdy potężne ciało Polillo dostało się między ogromne zęby trybów.

Wyczułam czyjąś obecność. Uniosłam wzrok, osłaniając oczy dłonią, by nie oślepiło mnie ostre światło bijące z wysokiej kopuły. Stałam na pomoście, otaczającym czarną przepaść, w której Archont zawiesił swą machinę zagłady.

Po drugiej stronie przepaści widniały zapraszająco otwarte drzwi. Ruszyłam w tamtą stronę i trafiłam w coś twardym. Spojrzałam w dół. To był topór Polillo.

Schowałam miecz do pochwy i podniosłam jej broń. Była ciężka, lecz gdy poprawiłam chwyt, palce trafiły na zagłębienia, pozostałe po palcach mojej przyjaciółki. Topór stawał się coraz lżejszy, aż w końcu przestał mi ciążyć w dłoni, jakby w dalszym ciągu posługiwała się nim Polillo.

Szepnęłam do niego: - Pomścij nas, siostrze.

Podeszłam po pomoście do drzwi. Nie zawahałam się przed wejściem, lecz śmiało wkroczyłam do pokoju. Archont już czekał.

Stał przy oknie, a ponury krajobraz, na jaki spoglądał, pozwolił mi odgadnąć, że jesteśmy w głównej zamkowej wieży. Oczy mego wroga błyszcząły, a na twarzy, w gęstwinie brody, krył się uśmiech, podobny raczej skurczowi pośmiertnemu, który odsłaniał długie, żółte zęby. Tym razem jednak się nie naśmiewał, nie przeklinał, nie drwił wulgarnie z mej płci, ani też nie wskazywał na mnie zgiętym palcem, krzycząc „zgiń! przepadnij!” Powinnam się była bać, drzeć przed tym potężnym magiem. Zamiast tego prześliznęłam się po nim wzrokiem... czułam się odważna i silna.

Komnatę wypełniały przeróżne przedmioty, używane do czarnej magii: czaszki, szpony demonów, części ludzkiego ciała zakonserwowane w szklanych słojach i maleńkie kamiennymi rzeźbami, które

przedstawiwały zwijające się z bólu stworzenia. Gorące powietrze cuchnęło ściekami i zgnilizną. Obok mnie poruszyło się coś gibkiego, lecz bynajmniej nie odskoczyłam z przestachu.

Wiedziałam co to jest, więc spokojnie spojrzałam na warującą obok panterę.

Podrapałam ją za uszami i spojrzałam na naszego nieprzyjaciela. - To już koniec - powiedziałam.

Uniosłam topór i ruszyłam przed siebie. Pantera nie odstępowała mnie na krok. Archont uczynił gest dłonią i powietrze przed nami zgęstniało, a ja trafiłam na niewidzialną ścianę, która jednak zaczęła się uginać. Zaatakowałam ją zaklęciem. Jeszcze bardziej się poddała, lecz wkrótce zeszywniała, gdy Archont wzmocnił działanie swej magii. Wiedziałam jednak, że i tak ją przełamie, prędzej czy później.

- Czyim ty jesteś demonem? - zaskrzeczał.

Zaskoczył mnie. - Jak to: demonem? Nie jestem nim.

- Dla mnie jesteś - odparł. - To ty, łasico, zniszczyłaś moje królestwo. Ty zabiłaś mego brata i ścigałaś mnie tak, że nigdzie nie mogłem się ukryć.

Patrząc na wydarzenia z jego czarnej perspektywy, przyznałam, że miał rację. Mocniej napałam na ścianę i poczułam, jak dygoce. Pantera warknęła radośnie. Jeszcze chwila i przeszkoda zniknie.

Zaśmiał się, znów pewny siebie. - Jeszcze mnie nie wykończyłaś, Antero - powiedział. Wobec mojej mocy jesteś bezradna. Talent masz tylko ze względu na dziedzictwo rodowe. Twoja matka przeniosła to nasienie na ciebie, choć sama odwróciła się od magii. Nie ma w tym potęgi ani wielkości.

Teraz ja wybuchnęłam śmiechem. - To dlaczego się mnie boisz? - spytałam. - Jak to się stało, że taka słaba kruszyna pokrzyżowała twe plany?

- Popęłniłem jeden jedyny błąd: rzuciłem na ciebie klątwę. Wiedziałem, że mnie zabijesz i myślałem, że będzie to moja jedyna zemsta. Jednak, umierając, dostrzegłem inne rozwiązanie i uciekłem do tego świata. Ale ta przeklęta klątwa uwiązała ciebie do mnie i nie pozwoliła mi urzeczywistnić największego marzenia, jakie może mieć mag - aby sięgnąć po moc samych bogów.

- A tobie się wydaje, że mógłbyś być bogiem, co? - zadrwiłam.

- Już nim jestem, łasico - odpowiedział Archont. - Walka z wami sprawiła jedynie, że stałem się silniejszy. Żywiłem się waszymi nieszczęściami. Piłem krew waszych umarłych. Pochłonałem także mych poległych stronników.

Gdybyś była mądra, dałabyś mi spokój, Antero. Powinnaś usłuchać lęków, jakie rozsnułem w twoich snach. To prawda, zadawałaś mi cierpienia. Ale ja kazałem ci cierpieć o wiele bardziej. Zabiłem wszystkie twoje wojowniczkę.

Zgładziłem wszystkie przyjaciółki i przyjaciół, a ostatnią bliską ci osobę zwróciłem przeciw tobie. Gdy umierała, wysłałem z niej lęk; jej zdrada upoiła mnie jak wino.

- Nie zdradziła mnie, czarowniku - odpowiedziałam. - Ty byłeś w jej ciele. To ty, a nie Polillo, chciałeś mnie zabić.

Wydał z siebie drwiący śmiech: - Taka maleńka różnica - rechotał. - I w tym znajdujesz pociechę?

Szczerze mówiąc, tak właśnie było. Polillo zaatakowała mnie, ale nie tak, jak Szary Płaszcz, który zwrócił się przeciw memu bratu. Do końca była lojalna.

Odpowiedziałam Archontowi uśmiechem i widać dojrzał w nim prawdę, bo spochmurniał. Cierpiał, nie mogąc mi zadać cierpienia. Pantera warknęła, gdy sprawdzałam jego osłony, lecz tym razem odparł mnie z większą mocą, tak, że musiałyśmy się cofnąć kilka kroków, zanim odzyskałam

równowagę.

To dodało mu sił. - Przyznaję, że sprawiałaś mi kłopoty, łasico. Długo zastanawiałem się nad tym, co jest takiego w rodzie Antero, że potrafi mi tak utrudniać działanie. Niewątpliwie, za twoją rodziną, a szczególnie tobą, stoi jakaś siła. Ta pantera jest naturalnie jej wysłanniczką. Jak inaczej wytrwałabyś tak długo? Jak byś przeżyła? Wiedz, jednak, Rali Antero, córko Emilie. Wiedz, że ten, kto cię wspiera, robi to dla własnych celów, a ty go nie interesujesz.

Już niedługo nie będzie mógł zapewnić ci bezpieczeństwa.

- Wiedz, że jedynie twoja śmierć dzieli mnie od wstąpienia na boski tron, który sobie już zbudowałem. Gdy zginiesz, Orissa przepadnie razem z tobą.

Machina została nastawiona i tylko twojej krwi potrzeba, by naoliwić tryby i dokonać dzieła. Po Orissie przyjdzie czas na Zamorskie Królestwa. Wkrótce cały znany świat będzie należał do mnie. Gdy zyskam tę namiastkę mocy, padną przede mną także światy, do których wstąpiłem, umykając przed śmiercią.

Nieuważnie słuchałam tej szaleńczej paplaniny, zastanawiając się nad pewną rozmową z Gamelanem, który zastanawiał się nad teoriami Szarego Płaszczka. „Magia pochłania moc, Rali, tak jak kierat młyński potrzebuje siły wołów, by się obracać. A woły potrzebuje zboża. A zboże ziarna, które rośnie, pochłaniając moc słońca. Bogowie tylko wiedzą, co napędza słońce, lecz nawet i jego moc nie jest niewyczerpalna. Im więcej jej ubywa, tym mniejszy będzie pewnie jego żar.” Jeśli to prawda, pomyślałam, wiem już, dlaczego Archont stoi przede mną w ludzkiej, śmiertelnej i bardziej bezbronnej postaci, a nie jawi się jako wszechpotężne widmo na niebie. Całą swą moc zużył na skonstruowanie fałszywej rzeczywistości - jeśli tak można ją nazwać - wewnątrz której przebywaliśmy. Poczynając od pokoju na wieży, poprzez sam żelazny zamek, aż po fałszywy model Orissy, który miał zostać zgruchotany przez maszynę zagłady. Zaś sama machina najprawdopodobniej pochłaniała niesłychane ilości magicznej mocy.

Pogłodziłam panterę, która zamruczała przerażająco.

- A co się stanie, magu, gdy wraz z mą siostrą przebijemy się przez tę ścianę? - spytałam. - Dobrze

wiesz, co się stanie. Wiesz, że słabniesz, a my nabieramy sił.

Pantera warknęła, a Archont spuścił oczy. Miałam nadzieję, że to oznaka strachu.

Podniosłam topór. - Odważysz się zmierzyć ze mną w tej postaci, magu? - spytałam i wywinęłam toporem z całej siły. Rozległ się huk, jakby eksplodował garncarski piec. Migotliwa powietrzna zasłona zabłysła białym światłem i zniknęła. Postąpiłam naprzód, z panterą u boku.

- Aby mnie zabić, musisz zniszczyć to wszystko - powiedziałam.

Ogień zgasł w jego oczach i wiedziałam już, że mam rację. Nienawiść sprawiła, że ruszył się z miejsca, cofnął się, a w powietrzu strzeliły magiczne iskry. Rzuciłam toporem. Trafił go prosto w pierś, wbił się głęboko i odrzucił go do tyłu. Starzec uderzył o ścianę. Powinien był od tego umrzeć, a raczej umrzeć ponownie, gdyż raz już go przecież zabiłam. Wstał jednak niezgrabnie, choć topór dalej tkwił w ranie. Wyciągnęłam miecz, by z nim skończyć, lecz zanim zdążyłam zadać cios, z ciała buchnął czerwony dym. Jego kłęby wypełniły pomieszczenie do samego sufitu i po chwili wychynął z nich Archont w nowej postaci.

Dwugłowy lew ryknął na mnie, szczerząc w obu paszczach kły długie jak włócznie. Odpowiedziała mu pantera; skoczyła nań i wbiła kły w przednią łapę.

Rozległ się dwugłos pełen bólu i gniewu. Bestia odrzuciła od siebie panterę, lecz ona lecąc obróciła się i urosła, a gdy wylądowała na ziemi, dorównywała mi wzrostem. Rycząc wściekle, Archont wcielony w lwa wyskoczył przez ściany wieży, rozwinął skrzydła i odfrunął.

Zamek zadygotał. Po ścianach poczęło spływać stopione żelazo. Po chwili cała konstrukcja - zamek, machina i model miasta, zaczęła rozsypywać się w gruzy wokół mnie. Miauczenie pantery wyrwało mnie z osłupienia.

Jakimś sposobem wiedziałam, co mam robić. Gdy podłoga się zarwała, skoczyłam na nią, chwytając dłonią futro. Poczułam, że skacze i miękko przepłynęliśmy przez czarną dziurę w ścianie, wybitą

przez Archonta.

Ogromna kocica nie opadła na ziemię, lecz wzniosła się wysoko do góry.

Podciągałam się na rękach, aż wy dostałam się na jej grzbiet. Pędziłam na panterze przez nocne niebo. Objęłam ją mocniej, stapiając się w jedno z potężnymi mięśniami, które pracowały płynnie i niemal bez wysiłku. Poczułam, że te smukłe mięśnie są moje, podobnie jak ostre, wielkie pazury. Serce pantery było moim sercem, nerwy płonęły gwałtowną, kocią furją, a umysł pragnął pościgu i mordy. Stałam się wielkim kotem i zawylałam z radości, czując w sobie siłę i nienawiść, które pchały mnie do pościgu za Archontem. Skakałam z chmury na chmurę, gardząc wszystkimi skrzydlatymi istotami, które posłużą mi jako pożywienie, jeśli tylko rozkażę.

Najpierw dopadłam go na szczycie góry. Z pysków bestii buchał ogień i błyskawice, lecz instynkt pantery bez trudu pozwolił mi się przemknąć między nimi. Zbliżyłam się, a on znowu uciekł. Teraz deptałam mu po piętach, lecz nagle w niebiosach otwarła się ogromna czarna dziura. Lew wskoczył w nią bez namysłu. Poszłam w jego ślady, wiedząc, że prowadzi mnie do innego świata.

Serce pantery nie znało strachu, umysł pantery nie dbał o przyszłość - i oto ciało pantery pędziło po ogromnej lodowej równinie.

Powierzchnia jej była przejrzysta, błękitna i poznaczona grubymi różowymi żyłami. Wyciągnęłam pazury, czepiając się lodu i wydałam panterzy okrzyk wojenny, niemal dopadając dwugłowego lwa. Nie zastanawiając się, wiedziałam, że żadne z nas nie będzie mogło wznieść się w powietrze w tym świecie; akceptowałam to jako prawo, które rządzi tu podobnymi do nas istotami.

Nagle świat się odmienił i znaleźliśmy się gdzie indziej. Wszędzie szalały płomienie i kłębił się gęsty dym. Pędziłam przed siebie na ślepo, choć łapy parzyło gorące podłoże, a płuca pękały od żaru. Widać Archont cierpiał na równi ze mną, gdyż ognisty świat nagle stopniał... i znalazłam się w wąskiej szczelinie.

Na ścieżce wiły się setki jadowitych węzów. Atakowały mnie tłumnie, lecz skakałam ponad nimi, z głazu na głaz. Wąwóz o wysokich, stromych ścianach wił się, jak te węże, aż do miejsca, gdzie zamykała go lita skała.

Wysoko w górze na urwisku wznosił się pałac o szmaragdowej kopule, wsparty na złotych kolumnach, które lśniły w księżycowym świetle.

Dwugłowy lew z trudem wspinał się po skalnej ścianie ku pałacowi.

Wiedziałam, że jeśli się tam dostanie, wszystko będzie stracone. Skała była jednak zwietrzała i rozpadała się w proch pod naciskiem ogromnych pazurów.

Wydałam wojenny okrzyk i bestia zamarła wpół kroku, odwróciła się i stanęła ze mną twarzą w twarz. Lew rósł, aż stał się znowu Archontem, lecz tym razem jego postać wznosiła się na co najmniej siedem metrów. Miał potężne lwie pazury i wielkie żółte zęby. Ryknął wyzywająco, a jego wojenny okrzyk poniósł się echem wzdłuż wąwozu. Skoczyłam na niego, czując, jak pazury zaciskają się i dziurawią me ciało.

Uderzyłam pazurzastą łapą i przegryzłam się przez brodę; poczułam pod nią gorące, miękkie gardło i z traskiem zacisnęłam szczęki. Trysnęła krew, której pragnęłam zasmakować. Uścisk pazurów osłabł a Archont padł na skałę.

Nie zwolniłam śmiertelnego uścisku, lecz bezustannie potrząsałam zdobyczą, aż krew przestała płynąć, a serce stanęło.

Puściłam go i uniosłam głowę. Stałam na zwłokach Archonta. Z piersi uniosła się smużka czarnego dymu. Tyle tylko pozostało z duszy potężnego maga. Zdusiłam ją łapą, jakby to była mysz. Zniknęła.

Archont przestał istnieć.

Mój okrzyk zwycięstwa poniósł się aż do księżyca.

Wtedy Archont, pałac, wawóz i księżyc zniknęły, a ja nie byłam już panterą, lecz Rali, śmiertelną, aż nazbyt śmiertelną kobietą i wojowniczką.

Leżałam na pokładzie statku, krwawiąc z licznych ran. To był mój statek.

Wokół piętrzyły się zwłoki gwardzistek. Obok mnie leżał martwy Gamelan.

Dalej - Polillo. Wstałam z trudem i spojrzałam na falujące morze.

Wiedziałam, że nigdy nie opuściłam tego pokładu, tylko duch mój z niego uleciał. Najpierw toczyliśmy bitwę na morzu, a potem w eterach, gdzie wreszcie odniosłam zwycięstwo. Przyklęłam na jedno kolano i odmówiłam modlitwę do Maranonii, za to, że podarowała swym córkom godną śmierć.

Spojrzałam na dłoń. Piętno dwugłowego lwa znikło i nigdy już nie miało powrócić.

Zapłakałam. Płakałam z żalu po Polillo, Gamelanie, Corais, Ismet i po wielu innych, a także nad sobą. Przeżyłam i wiedziałam, że niełatwo będzie mi dźwigać poczucie winy, że wciąż jestem wśród żyjących.

Rozdział Dwudziesty Szósty

KRZYK MEWY

Niewiele pamiętam z tego, co działo się dalej. Droga do domu była długa i trudna. Zdaje mi się, że głodowałam. Prawdopodobnie dokuczało mi zimno i gorąco. Nie wiem. Jakimś cudem zrefowałam żagle i okręt ruszył przed siebie, dalej na wschód, dalej do domu. Jakimś cudem wiatry okazały się przychylne i nie pozrywały żagli. Jakimś cudem umocowałam rudel. Jakimś cudem morze pohamowało swą gwałtowność. Może bogowie uznali, że skończą swe igraszki bo nie pozostało ze

mnie nic, co mogłoby stać się pożywką dla drwin.

Pewnego dnia ujrzałam na horyzoncie żagiel. Był to orissański statek handlowy, z floty Amalryka. Tym razem okazał się prawdziwy, a kapitan, który mnie powitał, oniemiał, dowiedziawszy się, kim jestem i czego dokonałam.

W kraju, jak wszystkim wiadomo, powitano mnie jak bohaterkę.

Radowałam się bezgranicznie niewymuszonym, serdecznym ludzkim ciepłem.

Mieszkańcy Orissy przybyli tłumnie i ponieśli mnie na rękach do Wielkiego Amfiteatru, gdzie odśpiewano hymny pochwalne i obsypano mnie wszelkimi zaszczytami. Potem zaś wino popłynęło strumieniami we wszystkich domach i tawernach, jak to jest w zwyczaju u świętujących Orissańczyków.

Amalryk porwał mnie w objęcia z taką siłą, że niemal zgruchotał mi żebra. Omerye ucałowała mnie i obie zapłakałyśmy ze szczęścia. Porcemus i pozostali bracia zachowali chłodny dystans, co mnie szczerze uradowało. Ich stała niechęć była mi niemal równie droga, jak miłość Amalryka.

Jeszcze bardziej uradowałam się na wieść, że Jinnahowi nie przypadły w udziale żadne zaszczyty, jakie Archont nadał mu w fałszywej Orissie. Gdy powrócił z Likantu, Radni i Mistrzowie Magii ukarali go za liczne przewierstwa popełnione w czasie oblężenia, a w szczególności za to, że wysłał mnie w pościg za Archontem z tak nielicznym, osłabionym oddziałem.

Rodzina się go wyrzekła, pozbawiono go szarży i skazano na wygnanie z miasta i wszystkich prowincji. Ktoś słyszał, że porwali go łowcy niewolników i przykuli do wiosła na dziurawej barce, która żegluje po wodach Jeypuru, gdzie piratów liczy się na setki.

Podczas mojej nieobecności przed koszarami przez całe dwa lata stała honorowa warta. Odmówiono wiele modlitw i złożono liczne ofiary na intencję naszego bezpiecznego i zwycięskiego powrotu. Tuż przed moim powrotem Orissą wstrząsnęło potężne trzęsienie ziemi, z epicentrum na wzgórzu, gdzie

wnosił się Pałac Mistrzów Magii. Na szczęście, ofiary w ludziach i szkody były bardzo niewielkie. Magowie sprawdzili, że zagrożono ono miastu dokładnie w chwili, gdy walczyłam z Archontem w eterze, jako pantera.

Zaś owego świętego zwierzęcia nie ujrzałam już więcej, chyba, że w koszmarnych snach.

Gdybym zechciała, mogłabym zaznać miłości do upojenia. Wiele kobiet pragnęło dzielić ze mną noce i dni. Zgodnie z przypuszczeniami księżniczki Xii, Tries przybiegła do mnie natychmiast po powrocie. Oczywiście nie wyszła za mąż i przysięgała, że przez cały czas rozstania żyła miłością do mnie. Jej zdaniem przytrafiło nam się głupie nieporozumienie... czasem wydaje mi się, że miała rację. Czasem jednak, no cóż, powiem tylko, że nie związałam się z nikim i jak na razie pozostaję w czystości.

Pytasz, co zamierzam robić? Czy to ma jakieś znaczenie? Księga zamknięta, opowieść dobiegła kresu i na tym koniec.

Ach dobrze, już dobrze, skrybo. Opowiem wszystko, najlepiej, jak potrafię.

Tydzień temu, Amalryk zaprosił mnie do swej willi. Spędziliśmy uroczy wieczór na pogaduszkach, popijając wino i słuchając, jak Omerye gra na lirze.

Ogród, jak dawniej, był miłą oku, zaciszną plątaniną zarośniętych ścieżek, przemykających się pośród słodko pachnących kwiatów i owocowych drzew.

Spacerowaliśmy po nich z bratem, nie rozstając się z pucharami. W końcu znaleźliśmy wygodnie siedzisko przy fontannie naprzeciw prostego kamienia nagrobnego naszej matki.

Amalryk zadał mi to samo pytanie, co ty, skrybo: Co zamierzam robić dalej?

Roześmiałam się.

- A ja łudziłam się, że pragniesz mego towarzystwa, kochany braciszku - powiedziałam. - Ty jednak wolisz się przyłączyć do stada polujących na mnie ogarów. Nie dadzą wojownicze ani chwili spokoju, by mogła nacieszyć się domem. Od razu musi się brać do roboty, organizować sobie życie. A niech Te-Date broni, jeszcze się rozleniwi. - Uniosłam kielich. - W tej chwili pragnę tylko tego, trochę słońca i muzyki. Czy to coś złego?

W lot chwycił sugestię i ponownie nappełnił puchar. Powiedział: - Wiesz, że chcą odtworzyć Gwardię Maranońską, prawda?

Westchnęłam. - Ach, więc o to chodzi! Posłuchaj. Radni już mnie kusili, bym przyjęła dowództwo nad nową Gwardią. Odmówiłam najgrzeczniej, jak potrafiłam.

Uczęstował mnie tym swoim chłopięcym uśmiechem. - Tak też mi powiedzieli - odparł. - Poprosili też, bym wywarł na ciebie niejaki nacisk, a może zmienisz zdanie.

Potrząsnęłam głową. - Powiedz, że błagałeś mnie gorąco, lecz ja w dalszym ciągu nie przyjmuję rozsądnych argumentów. Nie zgadzam się.

- Co się z tobą dzieje, Rali? Kiedyś Gwardia Maranońska była całym twoim życiem. Gdy zostałam wojowniczką, urzeczywistniłaś swe dziewczęce marzenia.

Pociągnęłam łyk wina. - Wciąż muszę wysyłać młode kobiety na śmierć i mam tego dosyć. Już mi starczy duchów do towarzystwa. Nie potrzebuję nikogo więcej.

- A więc skończyłaś z żołnierskim rzemiosłem?

- Nie jestem pewna. Ale jak długo Orissa jest bezpieczna, raczej nie wezmę broni do ręki.

- Więc czego ty w końcu chcesz?

Niespodziewanie łzy stanęły mi w oczach. - Żeby mi dali spokój - odparłam, tłumiąc szloch.

Podszedł i otoczył mnie ramieniem. - Nie licz na to, kochana siostrzyczko - powiedział. - Masz pecha: jesteś bohaterką, która pozostała przy życiu.

Zwalczyłam pragnienie uzalania się nad sobą i otarłam oczy. - A co gorsza, znam się tylko na wojowaniu - dodałam.

- Nieprawda - mruknął w odpowiedzi. - Jesteś czymś więcej, niż chodzącym mieczem i tarczą. Wiem o tym, od czasów chłopięcych, gdy na krok nie odstępowałam swej podziwianej, bohaterskiej siostry.

Spojrzałam na omszały kamień na grobie matki. Wydaje mi się, że szukałam rady. Nic się jednak nie stało. Nie pojawił się ulotny zarys twarzy, nie zapachniało drzewem sandałowym, duch nie wyszeptał mi do ucha ostrzeżenia ani słów otuchy.

Powiał lekki wiaterek, niosąc z sobą zapach rzeki. Wraz z nim powróciło wspomnienie twardego okrętowego pokładu, trzepotu żagli, skocznych fal, zapachu soli i zimnej mgły kłującej ciało jak szpileczki, i jeszcze horyzontu, który figluje jak tancerka z welonami i zawsze umyka, mamiąc wzrok wędrowca.

- Za miesiąc wysyłam wyprawę badawczą - powiedział Amalryk.

A ja pomyślałam: Tak!

- Opowiadają o wielkich możliwościach handlowych daleko na południu, gdzie nikt jeszcze nie

dotarł - dodał.

A ja pomyślałam; Tak!...tak!

- Nie zamierzam udawać, że będzie to bezpieczny rejs. Będzie chłodno, głodno, a szanse na sukces są raczej niewielkie. Ale to wielka przygoda, Rali.

Nowe kraje. Nowi ludzie. Nowe nadzieje. To wszystko mogę ci na pewno obiecać.

A ja pomyślałam: - Ależ, tak.

- Potrzebujemy dobrego Mistrza Magii - oświadczył.

Serce we mnie zamarło. - Ale przecież nikt na to nie pozwoli. Jeszcze nigdy w historii Orissy kobieta nie była Mistrzem Magii na statku odkrywczym.

- Czas zapoczątkować nową tradycję - odrzekł mój brat. - W końcu, ty jesteś Rali Emilie Antero. I możesz być, kim zechcesz. I co ty na to, kochana siostró? Popłyniesz z nimi?

A ja powiedziałam: - Tak!

Wiesz już zatem wszystko, Skrybo. Oto opowieść wojowniczką, którą niektórzy głupcy obwołali bohaterką. Większość pamiętnika jest już gotowa i wkrótce znajdzie się w księgarniach.

Ciekawa jestem, co pomyślą ludzie, gdy to przeczytają... Czasem wyobrażam sobie, że jakaś dziewczynka przewraca kartki, skulona nocą w swym łóżeczku. Czyta pod kołdrą, przy blasku świetlików, żeby nie narazić się na gniew niani. Zastanawiam się, o czym będzie myślała. Czy zechce sprzeciwić się tradycji i zamienić lalki na miecz? Czy pragnęłabym czegoś takiego? Szczerze

mówiąc, nie jestem pewna. Tak naprawdę pragnęłabym, żeby ta mała mogła decydować o swoim losie; żeby w życiu, które wybierze dla siebie, była równa mężczyznom i by nie akceptowała uległości.

Wiesz, Skrybo, chciałabym, aby to dziecko pomyślało o mnie, gdy następnego ranka usłyszy krzyk mewy.